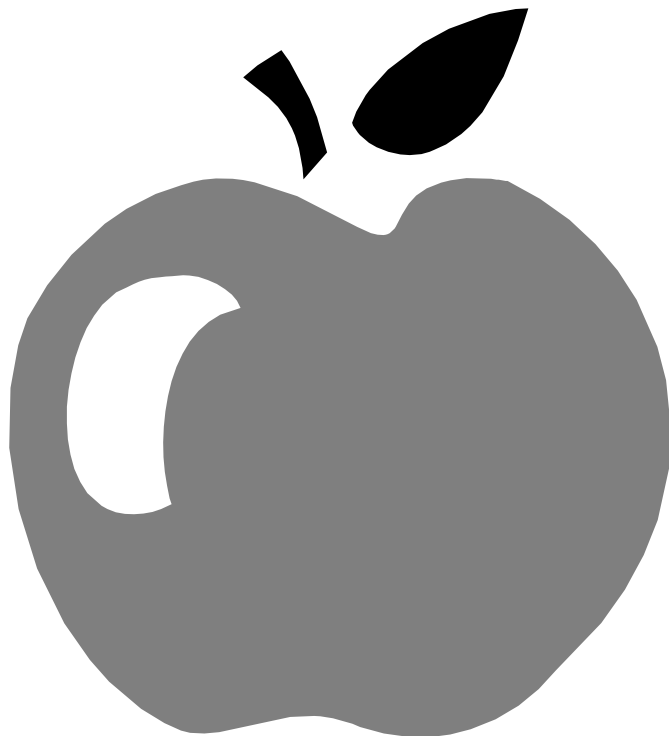


**SZCZEPAN A. PIENIĄŻEK**

**PAMIĘTNIK SADOWNIKA**



Warszawa, 1997



## SPIS TREŚCI

1. Na Pieńkach	1	
2. Na Swobodę	7	
3. Do Mrozów	15	
4. Siedlce	19	
5. W sutannie		25
6. Decyzja	33	
7. Pierwszy rok na uniwersytecie	40	
8. Wybieram kierunek specjalizacji	48	
9. Spełniona wróżba Cyganki	61	
10. Pierwszy rok w Ameryce	68	
11. Początek studiów	74	
12. Rok 1939	81	
13. Wielka podróż	86	
14. Druga Wojna Światowa	92	
15. Trzeci rok studiów	97	
16. Ameryka przystępuje do wojny	100	
17. Pierwsze dwa lata w Kingston	103	
18. Ostatnie lata w Ameryce	109	
19. Podróż do Polski	114	
20. Ziemie stare i odzyskane	118	
21. Początki współpracy z Ameryką	121	
22. Polityczne decyzje	125	
23. Rolnictwo polskie w latach 1946-1956	127	
24. Biologia miczurinowska	130	
25. Instytut Sadownictwa	135	
26. Polska Akademia Nauk	137	
27. Takie różne sprawy	139	
28. Pierwszy raz na zachodzie Europy	142	
29. Pierwsze sadownicze spotkanie Wschód-Zachód	146	
30. Przez uchylone drzwi	148	
31. Wyprawa do Chin	151	
32. Ameryka po dwunastu latach	160	
33. Polsko-Amerykańska wymiana rolnicza	164	
34. Dookoła sadowniczego świata	174	
35. Fundusz PL-480 i Fundusz Marii Skłodowskiej-Curie	181	
36. Upadek Gomułki	184	
37. Dziesięciolecie Gierka	189	
38. Sadownictwo polskie w latach 1946-1980	191	
39. Batalia o zajęcia	193	
40. Grono najbliższych współpracowników	199	
41. Trudności we współpracy	209	
42. Sadownicze dziwactwa	212	

43. Cytryna skierniewicka	217
44. Ogród Botaniczny Polskiej Akademii Nauk	221
45. We władzach Akademii Nauk	224
46. Międzynarodowe Towarzystwo Nauk Ogrodniczych	230
47. Solidarność i Stan Wojenny	235
48. Emerytura	240
49. Fundacja Na Rzecz Rozwoju Polskiego Rolnictwa	244
50. Do Okrągłego Stołu	247
51. Rzeczpospolita Polska	250
52. 40-lecie Instytutu Sadownictwa	253
53. Uroczystości Jubileuszowe z okazji 80-lecia	254

## Na Piénkach

„A z których to Pieniżków Pano pochodzi?” - zapytał mnie Starosta Warszawski latem 1938 roku wręczając mi paszport zagraniczny, gdy wyjeżdżałem na studia doktoranckie do Ameryki i podając mi swą szeroką dłoń. Odpowiedziałem, że mój ojciec jest wiejskim stolarzem w Radości pod Warszawą, robi ramy okienne i drzwi do budujących się domów. Rozmowa nasza jakoś się na tym urwała, Starosta wstał i na pożegnanie podał mi swoje przysłowiowe dwa palce.

Wiedziałem, że nazwisko moje jest w Polsce mocno rozpowszechnione, zwłaszcza na południu kraju. Można nawet powiedzieć, że jest to nazwisko historyczne. Jakiś tam Pieniżek, Krzysztof było mu na imię, zdobywał Gdańsk dla króla polskiego. Pewnie z tego powodu koło Świecia, w województwie gdańskim, jest miejscowość Pieniżkowo. Prokop Pieniżek w końcu XVI wieku walczył z korsarzami na Morzu Śródziemnym, a po powrocie do kraju bił się z Moskwą i Tatarami. Ci najważniejsi Pieniżkowie mieli najczęściej podwójne nazwiska Odrowążów-Pieniżków albo pieczętowali się herbem Odrowąż. Najwięcej Pieniżków, głównie mniej zamożnej szlachty, można było znaleźć w dawnej Galicji. Gdzieś koło Nowego Targu znajduje się też wieś Pieniżkowice.

W mojej rodzinie rzadko mówiło się skąd pochodzimy, ale starsze rodzeństwo pozbierało trochę danych na ten temat. Nie jestem pewien, czy nie są dane trochę „podkolorowane” jeżeli chodzi o historie związane z Insurekcją Kościuszkowską i Powstaniem Listopadowym, natomiast o swoim udziale w Powstaniu Styczniowym opowiadał mi dziadek. Otóż nasz przodek, Michał, pochodził z ziemi krakowskiej i brał udział w Insurekcji Kościuszkowskiej. W bitwie pod Maciejowicami, w dawnym powiecie garwolińskim, uratował życie młodemu Wilkońskiemu herbu Odrowąż, właścicielowi majątku Górzno pod Garwolinem. Po klęsce maciejowickiej odwiózł rannego Wilkońskiego do Górzna. Nie wrócił w Krakowskie. Pozostał z Wilkońskim.

Michał Pieniżek był prawdopodobnie chłopem. Wskazuje na to fakt, że Wilkoński dał mu kawał ziemi, którą Michał uprawiał, nie odrabiając za to pańszczyzny. Michał miał trzech synów, z których jeden był kaleką, a pozostałych dwóch, Jan i Karol, brało udział w Powstaniu Listopadowym, znowu razem z Wilkońskimi. Karol wrócił z powstania z przestrzelonym płucom, zdrowie mu szwankowało, umarł około 1850 roku.

Mój dziadek, Adam, urodził się w 1841 roku, był synem Karola. Także nie odrabiał pańszczyzny. Tuż przed Powstaniem Styczniowym ożenił się z Heleną Zygadło, pochodzącą z chłopskiej pańszczyźnianej rodziny.

Pamiętam oboje dziadków. Najpierw zmarła babka w 1921 roku, a w dwa lata potem dziadek, gdy miałem dziewięć lat. Pamiętam zwłaszcza śmierć babki. Zima była bardzo surowa, w końcu stycznia. Babka przędząc kądziel nagle poczuła się źle. Młodsze pokolenie mojej matki nigdy już wrzeczona nie używało. Każda z kobiet miała do przędzenia kołowrotek, zwany u nas „kółkiem”, ale babka kółka nie uznawała. ‘Cóż z tego, że na kółku przędzie się szybciej, skoro nici nie wychodzą tak miękkie i nie tak równe’ -mawiała.

Otóż, gdy babka poczuła się źle, poszła do łóżka i poprosiła moich rodziców, aby zwołali wszystkie jej dzieci, bo za tydzień umrze. Dzieci, siedem córek i jeden syn - mój ojciec, zjechały się i babka, kobieta cicha i wyjątkowo małomówna, wygłosiła do nich długie przemówienie. Pamiętam je, jak dziś. Mówiła im, że nawet nie zdają sobie sprawy z tego w jak szczęśliwych żyją dziś czasach. Opowiedziała im, jaka była jej młodość za czasów pańszczyźnianych, jak karbowy zacinając biczem po nogach pędził dziewczęta do roboty, a pracowało się latem po czternaście, szesnaście godzin dziennie, zaczynało się przed wschodem słońca, a kończyło po zachodzie.

Wspominała jeden rok wyjątkowego głodu, gdy to ziemniaki nie obrodziły. Był to pewnie słynny w całej Europie rok zarazy ziemniaczanej, która największy nieurodzaj ziemniaków spowodowała w Irlandii. Zginęło tam wtedy z głodu prawie milion ludzi, a półtora miliona wyemigrowało do Ameryki. I u nas, jak mówiła babka, ludzie, a zwłaszcza dzieci, umierały z głodu. Na drugi dzień po tym przemówieniu babka skończyła życie.

Tak więc rodzina mego ojca, chłopska wprawdzie, bo dziadek Adam miał w Górninie ledwie 8 mórg (4,5 ha) ziemi, nie była pańszczyźniana i posiadała we wsi specjalną pozycję. Dziadek, jako jedyny we wsi potrafił czytać. Nauczył się tej sztuki od organisty czy od księdza i pewnie od dziedzica. Łączyły go ze dworem jakieś szczególne więzy. W młodości przyjaźnił się na swój sposób z którymś z młodych Wilkońskich. Podróżował z nim jako chłopak do posług poza granice kraju. Opowiadał mi, że gdzieś w Austrii, czy w Prusach kupili dwie tak zwane angielskie kuchnie. Jedną z nich dziadek zainstalował we dworze, a drugą u siebie w domu, pierwszą we wsi. Była to normalna kuchnia z fajerkami, po zdjęciu których wpuszczano się w głąb sagan. Do tego czasu sagany z gotującą się strawą przysuwało się bokiem do palącego się w piecu drzewa. Dom dziadka był też pierwszym domem na wsi, gdzie położono normalną drewnianą podłogę. Dlatego u niego odbywały się wszystkie wiejskie wesela. Lepiej się tu tańczyło niż w innych domach, gdzie podłogę stanowiła gliniana polepa. U dziadka zapłonęła pierwsza na wsi lampa naftowa. W innych domach jeszcze długo światła dostarczało łuczywo. Opowiadał także, że za jego dziecięcych lat ludzie na wsi mieszkali razem ze zwierzętami. Łóżka stały wysokie, podniesione na słupkach, bo pod nimi zimą trzymano młode cielęta i jagnięta, przynajmniej przez kilka tygodni po przyjściu ich na świat, aby nie zmarzły w oborze. A kury z kurczętami, nawet za moich młodych lat, chowały się w mieszkaniu razem z ludźmi.

Gdy wybuchło Powstanie Styczniowe dziadek wziął w nim udział, znowu razem z Wilkońskim. Wilkońskiego wzięto jednak do niewoli w jednej z pierwszych potyczek, a dziadek uciekł w lasy. Gdy przekonał się, że go nie poszukują, wrócił do domu. Opowiadał nam kiedyś o nastrojach na wsi w czasie powstania. W kościele w Górninie śpiewano pieśni patriotyczne, przerywane wybuchami płaczu. Broń powstańcza ukrył dziadek tak głęboko, że nie znaleźli jej żandarmi przeprowadzający później rewizję.

Pamiętam z opowiadań dziadka, jak wreszcie raz na zawsze rozszedł się z Wilkońskimi. Car wydał w 1864 roku ukaz uwłaszczający chłopów. Dziedzic zwołał wszystkich swoich poddanych i zaczął im tłumaczyć, że zginą pozbawieni jego opieki, bo jeśli teraz spali się któremu chałupa, zwołuje się innych i stawia nową. Tak samo pomoże w każdym innym nieszczęściu. Dziedzic dalej wywodził, że dlatego też napisał w ich imieniu prośbę do cara, aby pańszczyzny nie znosił. Oto ta prośba, niech się wszyscy pod nią świętymi krzyżami podpiszą.

Dziadek, chociaż pańszczyzny nie odrabiał, na zebraniu był. Bywał przecież z dziedzicem wszędzie. Będąc, jak na swoje czasy, człowiekiem światłym, kiedy chłopci już brali się do podpisywania, krzyknął na nich, aby tego nie robili. Przecież w innych krajach chłopci bez dziedziców dają sobie radę, nie zginą i tu. Podobno Wilkoński chwycił go za kark i zrzucił z werandy. Tak skończyła się ich przyjaźń, przynajmniej na jakiś czas.

Chociaż dziadek przyjaźnił się z dziedzicem i proboszczem, dyrygował chórem w kościele parafialnym, to podstawy jego bytu materialnego były bardzo kruche. Miał 4,5 ha ziemi, ziemi piaszczystej, mało urodzajnej, a dzieci aż ośmioro, w tym siedem córek i jednego syna. Jako człowiek w świecie bywały nie godził się ze swoim losem. Doszło do jego wiadomości, że niektórzy chłopci emigrują do Brazylii. Zapisał się na wyjazd, ale potem ostrzeżony przez proboszcza

i dziedzica zmienił swój zamiar. W latach dziewięćdziesiątych ubiegłego stulecia postanowił sprzedać swoje gospodarstwo i kupić gospodarstwo znacznie większe, aby było z czego wiano- wać dzieci. Trafiła się okazja. Oto w miejscowości Słup, około 20 km na północ od Górzna, w tymże samym powiecie garwolińskim, jakiś generał rosyjski wyciął las nadany mu za zasługi w tłumieniu powstania i sprzedawał ziemię. Dziadek, za pieniądze uzyskane ze sprzedaży swoich 4,5 ha ziemi wraz z budynkami, kupił w Słupie aż 22,4 ha. Była to jednak wycinka po lesie bez budynków, zaprzął więc swoje córki i jedyne, dorastającego już syna, do roboty.

Wyciągali karpę po starych wyciętych drzewach i układali je w ogromne stopy. Pamiętam je jeszcze ze swoich wczesnych dziecięcych lat. Było ich tyle, że starczyło do palenia przez dwa- dziesiątka kilka lat, aż do 1918 roku, do czasu, kiedy przeprowadzaliśmy się na inne gospodarstwo. Straszna to musiała być robota, ale dziadek wiedział, że na starym gospodarstwie dzieci jego zeszyłyby na dziady. Nie wystarczyłoby dla każdego z nich po hektarze. Dlatego też podjął tę ważką w skutkach decyzję, chociaż nie była ona łatwa. Przecież dopiero skończyły się czasy, gdy chłopcy byli prawnie „glebae adscripti”, przypisani do ziemi. W umysłowości ówczesnych ludzi musiała to coś znaczyć. Kiedy dziadek powiedział księdzu o swoim zamiarze, ten osłupiał. „Człowieku, czy zdajesz sobie sprawę z tego, że pogrzebią cię na innym cmentarzu, niż ten, na którym leżą kości twoich ojców”?

Dziadek nie zmienił swego zamiaru, nawet wtedy, gdy ksiądz wyzwał go publicznie z ambony. Osiadł na Słupie, a raczej na Pieńkach, bo wieś tę wszyscy w okolicy Pieńkami nazywa- li. Gospodarzem był dobrym, a ziemia poleśna, nowinami zwana, przez pierwsze lata była bardzo urodzajna. Dlatego też każde z ośmiorga dzieci osiadło z czasem na gospodarstwie około 6 - 8 ha.

Mój ojciec, Józef, urodził się w Górznie w 1881 roku. Tam zaczął chodzić do szkoły i choć nauka trwała przez cztery lata nie dała mu wiele, czytać i pisać po polsku nauczył się potem sam lub od przygodnych znajomych i przyjaciół. Wyrastał w atmosferze chłopskiej rodziny, ale rodziny wybijającej się ponad przeciętny poziom. Dziadek był uznanym liderem w otaczającej go społeczności wiejskiej. Gospodarstwo prowadził bardzo dobrze, miał spory sad, prawie 1 ha, a do tego dużą pasiekę. Znał poza tym dobrze roboty ciesielskie i stolarskie, którymi dorabiał jesz- cze w Górznie, aby wyżywić rodzinę, gdy zbyt małe gospodarstwo nie przynosiło na to dosta- tecznych dochodów. Ciesielki i stolarki nauczył także mojego ojca, co bardzo przydało mu się w późniejszych latach.

Ojciec, jako dorastający młodzieniec, interesował się postępowaniem w rolnictwie, prenume- rował pisma rolnicze i pszczelnicze, a przede wszystkim wraz z innymi młodymi ludźmi w para- fialnej osadzie Parysów związał się z ruchem oświatowym i patriotycznym. W 1905 roku brał nawet udział w ruchu rewolucyjnym, ale do czynnej akcji nie włączył się, bo mu wytłumaczono, że to ruch miejski, ze wsią nie mający nic wspólnego. Jako jedynaka do wojska rosyjskiego go nie wzięto. Miał 24 lata, kiedy ożenił się w 1905 roku z moją matką, Zofią Mroczek ze Starowo- li, wsi leżącej między Pieńkami i Parysowem. Nie była to wieś pańszczyźniana, należała do daw- nych królewskich przodkowie matki nigdy pańszczyzny nie odrabiali, a płacili czynsze.

Między wsiami królewskimi, a pańszczyźnianymi istniały wtedy znaczne różnice w oby- czajach, a nawet w języku. Na Pieńkach mówiło się: krzyż, chojak, syrzanie (od słowa syr, czyli ser), a w Starowoli figura, sosna, twaróg. Na Pieńkach wieszano się choinkę u sufitu do dołu wierzchołkiem, a w Starowoli normalnie stawiano ją na stole czy na podłodze. Na ogół we wsi królewskiej kultura życia codziennego była wyższa niż na wsi pańszczyźnianej.

Ojca obejmowało w Górninie obowiązkowe szkolnictwo w języku rosyjskim, a matki w Starowoli nie. Matka mówiła, że w ich wsi nie było obowiązku szkolnego, ale chłopcy już wtedy rozumieli potrzebę oświaty. Dlatego wynajęli nauczyciela, który uczył ich dzieci oficjalnie, nie po kryjomu, po polsku. Matka doskonale czytała, nauczyła się tej sztuki lepiej niż jej rówieśnicy i jako dorastająca dziewczyna często na spotkaniach starszych czytała modlitwy i pieśni nabożne. Pochodziła z rodziny trochę uboższej niż ojciec, miała dwóch braci i dwie siostry, a jej ojciec, Andrzej, gospodarował na pięciu hektarach. Mój ojciec nie spieszył się do żeniaczki, pochłaniał go sprawa rolnictwa, oświaty i ruchu narodowego. Przez pewien czas miał pannę w Parysowie, ale zraził się do niej z niewiadomych mi względów. Poznał wtedy moją matkę i ożenił się w wieku dwudziestu czterech lat, a więc późno, jak na swoje środowisko, matka miała lat osiemnaście.

Ponieważ wszystkie siostry ojca powychodziły już za mąż, to kiedy ożenił się mój ojciec, dziadek oddał mu 9 ha ziemi wraz z budynkami, a sobie zachował na dożywocie 2 ha. Mieszkali dalej w tym samym domu, dziadek z babką zajmowali jeden pokój, ojciec ze swoją rodziną dwa duże pokoje, dużą kuchnię i tak zwaną komorę. Dom był drewniany, ale ojciec otynkował go później. Niemcy spalili go w 1943 roku wraz z najstarszą siostrą ojca i jej mężem, których zamknęli w domu w odwet za działalność partyzancką ich bratanków.

Już w pierwszych latach swojej samodzielnej gospodarki ojciec również wyrobił sobie pozycję lidera, zarówno jako gospodarz, jak i rozumiejący sprawy społeczno-polityczne. Gospodarstwo prowadził wzorowo, odnowił sad, pierwszy zaczął uprawiać na większą skalę warzywa, a także kapustę. W domu kwasilo się zatem kapustę, bo główki w polu wyrastały duże, a liście zewnętrzne szły na paszę dla bydła.

Można dziś powiedzieć, że ojciec na owe czasy prowadził intensywną gospodarkę. Najstarszych dzieci nie pędził wzorem sąsiadów do pomocy w gospodarstwie, bo chciał, żeby się kształciły. Trzymał więc na stałe parobka i służącą, tak się złożyło, że oboje mieli dobre głosy i często śpiewali pieśni narodowe, znacznie częściej niż nabożne, pamiętam doskonale tę patriotyczną atmosferę w naszym domu. Śpiewały także kobiety, które schodziły się na darcie pierza i wspólne przedzenie i towarzysząca im wiejska kawalerka. Z rozpaloną twarzą słuchałem więc o polskim żołnierzu tułaczku, o legionach Dąbrowskiego, o powstaniach, o dwóch dębach, co stały nad modrym stawem i marzyły o tym, że będą z nich czasem kołyski dla przyszłych rycerzy, by bić się i wrócić ojczyźnie utraconą wolność. Taka atmosfera panować musiała nie tylko w naszym domu, ale i w domach rodzin zupełnie biednych, z których pochodzili nasi służący.

Prowadził też ojciec wzorową gospodarkę hodowlaną. Miał rasowe bydło i nierogaciznę. Karmił je w sposób nowoczesny, jak na owe czasy. Pierwszy w całej okolicy wprowadził w swoim gospodarstwie kisenie paszy zielonej na zimę. Zaraz po ślubie, w 1905, roku kupił żonie maszynę do szycia Singera, która przetrwała u nas aż do 1937 roku, kiedy poszła na licytację za rzekome długi. Kupił też ojciec szwedzką wirówkę Alfa Laval do odciągania śmietanki od mleka. Korzystaliśmy z niej nie tylko my, ale w późniejszych latach cała wieś. Była doskonałym pretekstem do ściągania dzieci ze wsi na tajne nauki języka polskiego. Przynosiły mleko, a potem zostawały na lekcje, które dawała nauczycielka zatrudniona przez ojca niby to jako służąca.

Rodzice moi mieli ośmioro dzieci: Stanisława, Janinę, Mariannę, Antoniego-Władysława, Szczepana-Aleksandra, Waclawa, Wandę i Kazimierza-Feliksa. Wszystkie urodziły się na Pieńkach, z wyjątkiem najmłodszego, który przyszedł na świat już po przeprowadzeniu się na Swobodę. Ja urodziłem się w Dzień Bożego narodzenia, dnia 25 grudnia 1913 roku. Podobno



nie bardzo podobał mi się ten świat i miałem zamiar szybko przenieść się na tamten, więc zaraz na drugi dzień chrzczono mnie w najbliższym po drodze kościele, w Borowiu. Rodzice chcieli mnie nazwać Aleksandrem, a ksiądz się uparł, że trzeba mi dać imię, które na ten świat przyniosłem. W wyniku kompromisu dano mi Szczepan-Aleksander. Dopiero następnego dnia wpisano do ksiąg parafialnych w Parysewie, stąd mam w metryce 27 grudnia, jako dzień urodzin. Odmłodzono mnie o dwa dni. W rok później zachorowałem na zapalenie opon mózgowych. O tej chorobie często opowiadało się w mojej rodzinie. Był to pierwszy rok wojny światowej, która i do nas dotarła. Trudno było oczekiwać solidnej opieki lekarskiej na głębokiej wsi. Wzięto mnie wprawdzie do prawdziwego lekarza, do odległego o 10 km Garwolina, ale lekarz popatrzył tylko i powiedział „Wracajcie dobrzy ludzie do domu, dziecko wkrótce umrze”. Oprócz gorących okładów na rozpaloną głowę niczego nie poradził. Matka nie dała jednak za wygraną, poszła do felczera w Parysewie, opisała moją chorobę, a ten natychmiast powiedział „zapalenie mózgu” i nie widząc mnie, przepisał odpowiedni sposób leczenia, a przede wszystkim lód zamiast gorących okładów na głowę. Tak więc uchowałem się, chociaż jakiś rok nie władałem nogą. Kąpiele w soli ciechocińskiej, stosowane przez wiele miesięcy, przywróciły mi w niej władzę. Pozostałem jednak tak zwanym chorowitym dzieckiem, zwłaszcza w latach dorastania.

Spośród rodzeństwa zmarła tylko Marianna, a reszta chowała się zdrowo. Chociaż ojciec był wzorowym gospodarzem, to postanowił wszystkim dzieciom dać wykształcenie, aby żadne z nas nie zostało na gospodarstwie. Na punkcie wykształcenia, oświaty miał po prostu obsesję. Lekcje dla dzieci organizował u prywatnych nauczycieli, na co nigdy nie żałował pieniędzy.

Zdawał sobie jednak sprawę z tego, że z 9 ha ziemi nie będzie w stanie wykształcić siedmiorga dzieci, zwłaszcza, że ziemia na Pieńkach, która w pierwszych latach po wykarczowaniu lasu była bardzo urodzajna z biegiem czasu stała się licha, piaszczysta i nieurodzajna, bo zapas próchnicy pozostającej po lesie szybko się wyczerpał. Postanowił więc sprzedać swoje gospodarstwo, chociaż było dobrze urządzone, a za te pieniądze kupić znacznie większy kawał ziemi z parcelacji i urządzić się na nowo. W końcu 1918 roku nadarzyła się taka sposobność. Parcelowano majątek Swobodę w powiecie Mińsk Mazowiecki, około 15 km na północ od Pieńków.

Ojciec namówił braci i siostry matki, a także jej krewnych i znajomych z sąsiednich wsi i Swobodę kupili. Ojcu przypadła część majątku, razem 45 mórg, czyli 25 ha, z częścią dworskich zabudowań i sadem. Późną jesienią sprowadziło się do Swobody dziesięć rodzin i zamieszkało w „Pałacu”, starym drewnianym i bardzo zniszczonym dworze parterowym, mającym akurat dziesięć pokoi.

Opisane dzieje rodziny znam z opowiadań rodziców i starszego rodzeństwa. Moja własna pamięć sięga jednak początków naszego zamieszkania na Pieńkach. Rosjan nie pamiętam wcale, ale pamiętam żandarmów czy też żołnierzy niemieckich. Utkwiło mi zwłaszcza w pamięci zdarzenie, kiedy to przyszli niemieccy żołnierze zabierać zboże. Był wśród nich Poznaniak, który oczywiście mówił po polsku, pomógł ojcu ukryć beczki ze zbożem. Przed odjazdem zdjął z siebie pas, opasał nim mnie i prorokował mi karierę wojskową. Proroctwo się nie spełniło, ale pozostało w mojej pamięci.

Z ostatniego roku mieszkania na Pieńkach pamiętam jeszcze pierwszą wieść, którą ktoś przywiózł z niedalekiego miasteczka o filmach wyświetlanych w kinie. Nazywało się to wtedy „żywymi obrazami”. Mówili, że te „żywe obrazy” poruszają się po ścianie. Wyobrażałem to sobie w sposób szczególny, oto na ścianie wisi obraz Kościuszki oprawiony w wąskie, drewniane ramki. Cały ten obraz, wraz z ramkami - myślałem sobie - hasa po ścianie, ale nie przypuszczałem, żeby taki Kościuszko mógł wymachiwać rękami czy nogami.

Pamiętam także, że jedliśmy w domu, jak wszyscy na wsi, chleb żytni, razowy. Kiedy rodzice jechali na jarmark raz w tygodniu, przywozili z miasta bochenek białego chleba, albo, by zrobić nam wyjątkową przyjemność, chałki.

Czasami chodziły po wsi od domu do domu Żydówki i sprzedawały różne smakołyki, jak cukierki, bułki, rogaliki i owoce. Spośród owoców najbardziej pamiętam strąki chleba świętojańskiego, które były tak tanie, że rodzice czasami je dla nas kupowali. Kosztowały o połowę mniej niż jabłka. Przyszło mi to na pamięć w latach sześćdziesiątych, gdy chleb świętojański pojawił się w Warszawie w cenie 110 zł za kilogram. Dobre jabłka sprzedawano wtedy po 15 zł za kilogram.

Pamiętam też obrządki związane z pieczeniem chleba. W obszernej izbie, zwanej kuchnią, stał wielki piec również kuchnią zwany. Służył do gotowania strawy. Paliło się w nim drewnem, bo wtedy węgla jeszcze na wsi nie używano. W dolnej części pieca mieścił się „szabaśnik”, czyli piec do wypieku chleba z jednym dość dużym otworem. Chleb piekło się mniej więcej raz na tydzień. Najpierw paliło się w szabaśniku dobrym drewnem, aby się rozgrzał. Po wygarnięciu węgla i popiołu, po wymieceniu pieca pomiotłem, wsuwało się tam płaskie placki z ciasta przygotowanego na chleb. Były to podpłomyki, na które z niecierpliwością oczekiwaliśmy, rwaliśmy je gorące palcami i łapczywie połykaliśmy. Czasami zamiast podpłomyków matka piekła pierogi z kapustą albo posiekaną marchwią w środku.

Teraz do pieca wkładano sześć dużych żytnich lub razowych bochnów chleba. Po wyjęciu chleba wrzucało się do gorącego jeszcze pieca ulęgałki do suszenia. Dzikie grusze często rosły na miedzach i wśród pól. Owoce po zbiorze musiały się ulężyć. Ich wnętrze miękło wtedy, stawało się słodkie i brązowało, ale było dalej kamieniste. W każdej rodzinie suszyło się ich worek lub dwa na zimę. Czasami przyrządzano z nich kompoty lub zupę.

Pilnowałem, jak matka pomiotłem wymiałała na drugi dzień z pieca ususzone już ulęgałki. Nawet przy troskliwym wymiataniu zostawało ich jeszcze trochę po rogach. Wtedy na czworakach wchodziłem do pieca i wybierałem resztki. Cóż to była za przygoda. Żaden dzisiejszy speleolog nie przeżywa takich emocji. W piecu było zupełnie ciemno, zwłaszcza, gdy wchodząc do środka zasłaniało się otwór. Wtedy na myśl przychodziły opowieści o smokach w ciemnych jaskiniach żyjących.

## Na Swobodę

Pamiętam, kiedy w domu zaczęło się mówić o sprzedaży gospodarstwa i o przeprowadzeniu się na Swobodę. Zanim przeprowadzka się dokonała, ojciec jeździł tam kilka razy wozem, obiecując, że jadąc następnym razem zabierze mnie ze sobą. Nigdy nie zapomnę tej pierwszej w moim życiu wielkiej podróży, chociaż w późniejszych czasach jeździłem po świecie znacznie więcej i znacznie dalej. Śniłem o niej co noc, a potem chłonałem oczyma pola i wioski, przez które przejeżdżaliśmy. Zachwyił mnie „pałac” w którym mieliśmy zamieszkać i sad przylegający do „pałacu”.

Sprowadziliśmy się tuż przed samą zimą i przez pierwszą zimę mieszkaliśmy w starym dworze wraz z innymi dziewięcioma rodzinami. Zapamiętałem z tego czasu zdarzenie, które utwierdziło we mnie na jakiś czas wiarę w duchy. O duchach mówiło się na wsi często, zwłaszcza, gdy zebrały się z całej wsi prądkie na wieczorne przedzenie lnu albo też kobiety na darcie pierza. Przychodziły często do nas, bo u nas nawet na Pieńkach izba była większa niż u sąsiadów. Siedziały przez długie godziny, a że zarówno przy przedzeniu jak i przy darcu pierza rozmowa nie przeszkadzała, śpiewały albo opowiadały.

Opowiadały o „umetrach”, czyli przekupnych geometrach, którzy źle rozmierzili pola, a po śmierci jako błędne ogniki wędrowali po miedzach i granicach, mierząc je raz jeszcze i jeszcze. Opowiadano o zmorach, które nocą jeździły na koniach, że rano znajdowano je w stajni zlane gorącym potem. Czasami siadały nocą na piersi mężczyzn czy kobiet i dusiły swoim ciężarem. Innym pokazywały się duchy przy cmentarzach, pod mostami, albo w gęstych leśnych zaroślach.

Otóż i w Swobodzkim „pałacu” pojawił się duch. Nikt go wprawdzie nie widział, ale dokładnie o północy zaczynało się pod podłogami chrobotanie, niektórzy słyszeli podzwanianie ciężkich łańcuchów. Przez całe dni opowiadano o tym najpierw szeptem, potem głośno, choć, trwożnie. Domyślano się, że była to dusza zmarłego niedawno wielkiego grzesznika, kuzyna jednej z mieszkających w sąsiednim pokoju rodzin. Złożono się i dano na mszę za spokój duszy tego nieszczęśliwca. Pomogło z miejsca. Ustało chrobotanie pod podłogą, nikt nie słyszał już dzwonięcia łańcuchów. Cała nasza społeczność „pałacowa”, a było tego z rodzinami siedemdziesiąt osób, święcie wierzyła, że to była dusza, a pomogła jej msza święta. Tylko mój najstarszy brat, który przebywał już w Gimnazjum Górskiego w Warszawie, przebąkiwał coś o szczurach.

Nie wierzyłem mu, bo skąd szcury mogłyby się umawiać, by zaczynać swój koncert o północy. Dlaczego przestały hałasować, gdy dano na mszę? Sam nie stwierdziłem, że koncert się o północy zaczynał, ale raz, czy dwa to chrobotanie słyszałem. Obudziła mnie nasza służąca w tajemnicy przed rodzicami, bo bardzo ją o to prosiłem.

Powszechna też była jeszcze, zwłaszcza wśród ludzi starszych, wiara w czary i rzucanie uroków, ale nam dzieciom tego rodzaju rzeczy wydawały się niepojęte. Pewnego razu poszedłem do ciotki, aby zobaczyć małe źrebiątko, które dopiero co przyszło na świat. – „O jakie śliczne!” - zawołałem zachwycony. – „Nie mów tak - skarciła mnie ciotka - bo uroczysz”. Poszła do domu, znalazła tam czerwoną wstążeczkę i zawiązała źrebięciu na szyi.

W tę pierwszą zimę na Swobodzie doszedł niejasno do mej świadomości pewien fakt o znaczeniu społecznym. Otóż w majątku Swoboda przed jego parcelacją pracowała służba folwarczna, mieszkająca w tak zwanych „czworakach”. Było tego paręnaście rodzin. Gdy majątek rozparcelowano, służba straciła miejsce pracy. Podobno zorganizowała jakiś komitet i zaczęła coś w rodzaju strajku okupacyjnego. Bardzo zdziwiło to naszych gospodarzy. Cóż za dzikie pre-

tensje? Wynosić się i koniec. Nie mieli rzeczywiście innego wyboru. Nowi właściciele nabyli ziemię i wzięli ją w swoje posiadanie. „Dworscy” wynieśli się, nie wiem oczywiście dokąd, a czworaki zostały rozebrane.

Wiosną 1919 roku wszystkie rodziny pobudowały domy na swoich gospodarstwach. My tylko jeszcze przez jeden rok zamieszkiwaliśmy tymczasowo stary spichrz. Rozebrano wszystkie inne dworskie zabudowania, także stary wałący się „pałac”, oborę i stodołę. Zastała tam nas wojna bolszewicka. Mówiło się o niej w domu, zanim wojska bolszewickie przeszły przez nasze tereny. Cała ludność wiejska miała nadzieję i modliła się, aby zwyciężył Piłsudski. Dochodziło do mnie, że niektórzy właściciele okolicznych majątków uciekali w popłochu do Warszawy ale na wsi popłochu nie było. Kiedy obudziłem się pewnego dnia, zobaczyłem na podwórzu kilkudziesięciu bolszewickich żołnierzy gotujących strawę. Jakiś oficer rozmawiał z ojcem. Ogromnie to mnie zafascynowało, że rozmawiają jakimś językiem, którego nie rozumiałem.

W naszej okolicy nie doszło do żadnych bitew ani potyczek. Bolszewicy pytali o Warszawę. Nie rabowali niczego, nic darmo nie brali, za wszystko płacili i nigdy nie targowali się o cenę. Mieli ze sobą drukarkę i drukowali tyle rubli, ile im na zapłatę było potrzeba. Starszyzna karała żołnierzy za nadużycia. Nasz sad wydzierzawiony był przez Żyda z Siennicy. Dojrzewały pierwsze gruszki, ale nawet tych gruszek nie brali bolszewicy za darmo. Ojciec uważał, że Żyd zdierał z nich zbyt wysokie ceny, wyższe, niż nam płacono za masło i ser. Ale oficer, skarbnik, płacił.

Jeden z żołnierzy wskoczył przez płot do ogrodu matki i zaczął zrywać ogórki. Zrobił wiele szkody deptając je ciężkimi butami. Matka poskarżyła się oficerowi, a ten wyrwał rewolwer zza pasa i strzelił do żołnierza. Pewnie tylko na postrach, ale tamten przez płot i do stawu. Matka przestraszyła się bardziej niż żołnierz, chwyciła oficera za rękę błagając go, żeby nie strzelał, bo może człowiekowi wyrządzić krzywdę. A ogórkom ostatecznie nic nie będzie.

Po klęsce pod Warszawą, wojska bolszewickie uciekały innymi drogami. Przez naszą wieś nie przechodziły. Pozostały nam po nich wspomniane już drukowane na miejscu ruble. Poszły na podpałkę do pieca.

Na dużej gospodarce i na lepszej ziemi w Swobodzie ojciec dalej prowadził wzorową gospodarke. W domu na stole widziałem coraz więcej pism rolniczych. Poza prasą rolniczą przychodziła stale do nas prasa polityczna. Jak wszyscy chłopci, ojciec i matka byli przykładnymi parafianami. Naszą parafią była odległa o 5 km Siennica. Ojciec miał u proboszcza wielkie poważanie, ale bynajmniej sam proboszcza za wyrocznie nie uważał. W młodości był raczej radykałem, czytywał „Zaranie” i miał wielki respekt do Maksymiliana Malinowskiego. Nigdy nie przystał do Narodowej Demokracji, chociaż oczekiwano tego od chłopca bogatszego. W latach późniejszych stał się z natury rzeczy bardziej konserwatywny, ale jego zaufaniem cieszyło się Stronnictwo Ludowe „Piast”. Ojciec był stronnikiem Witosa przez cały okres międzywojenny, spotykał się z nim i jednal mu w okolicy zwolenników.

Był to okres formowania się od nowa państwowości polskiej. Ze Związkiem Radzieckim zawarto pokój w Rydze, ustalając wschodnią granicę.

Wielkie wzruszenie wywołał wybór pierwszego Prezydenta Rzeczypospolitej Polskiej, Gabriela Narutowicza. Przedtem jeszcze słyszałem długie na ten temat dyskusje, czy będziemy mieli króla, czy prezydenta. Więcej ludzi było na wsi za królem, bo przecież cała nasza patriotyczna tradycja nawiązywała do czasów przedrozbiorowych, gdy Polska była monarchią. Pamiętam, jak pewnego ranka wpadł do naszego domu brat mojej matki z wielką nowiną – „Mamy

prezydenta!”. Wszyscy go obstąpili, kto? Jak się nazywa? Nie bardzo był pewien, ale wydawało mu się, że coś tak jak Archanioł Gabriel.

W kilka dni później gruchnęła wieść, że prezydent Gabriel Narutowicz został zamordowany przez jakiegoś szaleńca. Nasza wieś oniemiała. Jak to? Prawie sto pięćdziesiąt lat czekaliśmy na wolną Polskę, a ktoś morduje pierwszego prezydenta Rzeczypospolitej Polskiej?

Gospodarstwo na Pieńkach sprzedał ojciec swemu szwagrowi, Chmielakowi, mężowi najmłodszej siostry. Wziął za nie trzy czwarte należności gotówką, a jedna czwarta pozostała na hipotecę do zapłacenia po roku. Po roku sumę tę otrzymał. Można było za nią kupić kurę, a może małe cielątko, nic więcej. Był to czas ogromnie szybkiej inflacji, marka wprowadzona przez Niemców spadała z dnia na dzień.

Jak wspomniałem, ojciec postanowił wykształcić wszystkie swe dzieci, dać im jakiś miejski zawód, aby nie musiały pracować na roli. Panowało wtedy przekonanie, że nie ma doli gorszej niż życie chłopca. Pamiętam, jak jedna z dziewczyn z naszej wsi wyszła za mąż za tramwajarza warszawskiego, nie żadnego dygnitarza, ale zwyczajnego konduktora. Bardzo jej tego wszystkie koleżanki zazdrościły. „Ona nic nie będzie robiła” - mówiły o niej, a miały na myśli to, że nie będzie musiała do pracy w polu wychodzić, zajmowanie się domem i dziećmi nie uważały za pracę.

Najstarszego brata umieścił ojciec w jednym z najlepszych gimnazjów w Warszawie, prywatnym gimnazjum Górskiego przy ulicy Hortensja, noszącej dziś nazwę Górskiego. Było to gimnazjum drogie, dostępne raczej dla dzieci bogatych właścicieli ziemskich lub dla bogatych kupców i rzemieślników, a nie dla chłopów, ale ojciec tego nie dostrzegał. Siostrę Janinę posłał do Seminarium Nauczycielskiego w Radzyminie. Była to szkoła państwowa, nawet internat przy niej mało kosztował.

Ojciec miał wielką ciekawość do świata. Chyba około 1922 roku kupił w Warszawie gramofon z wielką, czerwoną tubą, a także kilka płyt. Było to na wsi nie byle jakie wydarzenie. W niedzielę po południu zeszli się sąsiedzi, a ojciec nastawiał płyty, przeważnie ludowe piosenki, czy tańce - polki, oberki, mazury. Ludzie nie mogli się nadziwić. Mnie się wydawało, że w głębi tuby gramofonowej siedzi maleńki krasnoludek o silnym głosie i śpiewa albo gra. Wieczorem, gdy rodzice i rodzeństwo zajęli się swoimi sprawami, podszedłem do gramofonu i włożyłem rękę głęboko w tubę. Krasnoludek był jednak tak maleńki, że schował się w najwęższe czełuści tuby, w jakie nawet moje drobne paluszki dostać się nie mogły.

W dwa czy trzy lata później zjawilo się w naszym domu pierwsze radio, wcześniej niż w innych domach. Było to radio na kryształek i słuchawki, które zakładało się na uszy, a niewielką igłą szukało najlepszego miejsca gdzie odbiór był słyszalny. Zdawałem sobie sprawę z wyższości radia nad gramofonem. Słyszało się przecież, jak przemawiał ktoś w Warszawie. Kiedy opowiadałem o tym pewnemu bardzo starymu pastuchowi, obruszył się. Powiedział, że to brednie. Jakże to być mogło, by tu, w Swobodzie, mógł ktoś słyszeć głos z Warszawy. W kilka lat później zaowocowało to pomysłem napisania opowiadania pt. „Radio”, pierwszego w moim życiu utworu, który został wydrukowany.

Mimo wzorowego gospodarowania dochody z gospodarstwa nie wystarczały na wydatki związane z kształceniem dzieci oraz na inny styl życia w domu. Bo i w domu żyło się u nas inaczej niż u sąsiadów. Matka po śniadaniu nie zamykała w szafce chleba na klucz, jak to czyniły inne kobiety, aby się do niego nie dobierały dzieci. Mleko mieliśmy zawsze, mięso, jaja i ser znacznie częściej niż w innych domach. Ludzie starzy, nawet mieszkający z nami dziadkowie bardzo surowo przestrzegali utrzymywania postów w dni nakazywane, czyli w piątki, a w Wiel-

kim Poście w środy i piątki. Używali wtedy do kraszenia pokarmów tylko oleju roślinnego, żadnych natomiast tłuszczów zwierzęcych, a dawniej - nawet mleka.

Na ten styl życia naszej rodziny nie wystarczały dochody z gospodarstwa, ojciec zaczął pożyczać pieniądze od lichwiarzy, zazwyczaj Żydów. Płacił niewiarygodnie wysokie odsetki, dochodzące do 20% miesięcznie, było to bowiem w czasach wielkiej inflacji. Po pewnym czasie udało się ojcu zaciągnąć większą pożyczkę w państwowym banku, ale i to okazało się raczej nieszczęściem niż dobrodziejstwem. Grabski przeprowadził w 1924 roku reformę walutową i zamiast marek wprowadził złote polskie. Nastąpiła deflacja, pieniądź zniknął z rynku. Dług zaciągnięty w markach okazał się ogromny po przeliczeniu na złote. Aby go spłacić, ojciec sprzedał 4 ha ziemi sąsiadowi i zaczął zaciągać nowe długi u lichwiarzy, płacąc wysokie odsetki. Ja tymczasem podrastałem i rozglądałem się wokół.

Od północnej strony przylegał do domu stary sad, rozrośnięte ogromne drzewa, jabłonie - michy, rzepki i oliwki, grusze pomarańczówki i cebulki, które nęciły nas od pory kwitnienia do końca zbioru owoców. Można się było po nich wdrapywać na sam wierzch korony, ale trzeba było utrzymywać dobre stosunki z Żydem, dzierżawcą sadu. Był to zwykle szewc albo krawiec z Siennicy czy Mińska Mazowieckiego, znający się jednak na rzeczy.

Do starego sadu od strony wschodniej przylegał młody sad, też pewnie z hektar. Drzewa miały po 8 - 10 lat, jabłonie i czereśnie o pniach znacznie wyższych niż w starym sadzie. Pośród jabłoni było drzewo znacznie od innych mniejsze, kwitło jak jabłoń, liście miało jabłoniowe, a owoce żółte, drobniutkie, wielkości leśnych czarnych jagód, twarde, cierpkie i niejadalne do późnej jesieni. Dopiero po przemarznięciu brązowiały, miękły i nabierały przyjemnego, słodkiego smaku. Ojciec mówił, że to jabłoń syberyjska. Dodawało to tajemniczości nie tylko drzewu, ale i ciągle żywym jeszcze wspomnieniom i opowiadaniom o Syberii, dokąd zsyłano polskich powstańców.

Mój starszy brat Antoni chodził do szkoły powszechnej do sąsiedniej wsi Rososz, odległej zaledwie o kilometr od naszego domu. Mimo, że doszedłem już do właściwego wieku, do szkoły mnie nie zapisano ze względu na moją słabowitość. Trudno mi dziś powiedzieć, na czym ona polegała, ale faktem jest, że przechodziłem częste zaziębienia i zaplenia płuc, mającym w gorączce i widywałem przeróżne straszdyła. Pamiętam, jak pewnego razu, gdy byłem tak ciężko chory, ojciec przywiózł mi z jarmarku w Mińsku Mazowieckim prawdziwą pomarańczę. Podobno wyzdrowiałem po niej natychmiast.

Kiedy jednak skończyłem osiem lat, w styczniu 1923 roku poszedłem do szkoły. Nauczycielka przeegzaminowała mnie i zdecydowała zapisać mnie do trzeciego oddziału. Czytać i pisać już dawno nauczyłem się od starszego rodzeństwa, od niego też pewnie znałem tak zwane rachunki, czyli arytmetykę.

Szkoła była czterooddziałowa, ale jednoklasowa, mieszcząca się w wynajętej izbie. Jedna nauczycielka uczyła dzieci we wszystkich czterech oddziałach jednocześnie. Szkoła od tej pory stała się moją największą radością. Wpatrywałem się w młodą nauczycielkę, jak w obrazek, chłonałem jej słowa inne niż te, jakie słyszałem od rodziców czy też od rówieśników. Był to prawdopodobnie poprawny język polski, a my na wsi mówiliśmy ciężką gwarą mazowiecką. Nie minęło kilka miesięcy, a już Pani ustanowiła mnie swoim pomocnikiem, czytałem młodszym klasom.

Skończyłem czwarty oddziały w Rososzy, a ponieważ do szkoły, gdzie były dalsze klasy było 5 km, a ja nadal słabowałem, rodzice zdecydowali, że pozostanę jeszcze przez rok w Roso-

szy, pomagając nowemu nauczycielowi. Na przyszły rok miał być otwarty 5 oddział w Zglecho-  
wie, tylko 2,5 km od naszego domu. Tak więc jeszcze raz przezimowałem w czwartym oddziale.

Nasza Swoboda była wyspą katolicką w morzu mariawitów. Była to sekta religijna powstała na przełomie XIX i XX w., jako ruch odrodzenia religijnego w kościele katolickim, później jednak uznana przez papieża jako heretycka. Działo się to głównie w Płocku i w Cegłowie, małej osadzie oddalonej o 4 km od Swobody. Okoliczne wsie były w większości mariawickie, a Swoboda katolicka, bo przywędrowaliśmy z okolic, gdzie mariawitów nie znano.

Między miejscową ludnością katolicką i mariawicką panowała nienawiść. Większość dzieci w szkole stanowili mariawici przez nas „mankietnikami” albo „koźłami” zwani. Nauczycielka w klasie utrzymywała między nami pokój, ale już na pauzach i po wyjściu ze szkoły wybuchały walki. Zaczynało się od wyzywania przeciwników i obrzucania ich obelgami. Jeśli mariawita chciał wyrazić wobec katolika największą pogardę, nazywał go, nie wiadomo dlaczego Szwedem. „Szwedzkie g... na tobie jedzie” krzyczał na cały głos. Z trudem wytrzymywaliśmy te obelgi i tylko, aby nie pozostać dłużnymi, wrzeszczeliśmy: ty koźle, albo żegnaliśmy się po mariawicku wykrzykując „Imiorek, paciorek, siekierka, toporek, kozie kopytko, kozie kopytko, kozie kopytko”. To miała być aluzja do Mateczki Kozłowskiej, czczonej przez nich zakonnicy, jeszcze wtedy żyjącej. Mariawici razili nas wtedy słowami „Dominus vobiscum”, co wydawało nam się niesłychaną bezczelnością i miało nam przypominać, że ksiądz modli się po łacinie, a u nich po polsku.

No tego już nie byliśmy w stanie wytrzymać i rzucaliśmy się z pięściami na przeciwników. Pokrwawione nosy były częściej u nas niż u nich, bo mieli liczebną przewagę. Było to w wielu przypadkach echem prawdziwych tragedii rodzinnych, kiedy ojciec przeszedł na mariawityzm, a matka pozostawała katoliczką lub odwrotnie. Wtedy zawsze dziewczynkom zapisywano wyznanie matek, a chłopcom wyznanie ojców. Zdarzało się, że w ogólnej walce brali udział chłopcy i dziewczęta i bywało, że brat wczepiał się we włosy siostry, bo taki trafił mu się przeciwnik.

Wprawdzie naszą parafią była Siennica, ale częściej chodziliśmy ze Swobody do kościoła w Cegłowie, bo było bliżej. Parafia ceglowska w początkach ruchu mariawickiego opowiedziała się za nim. Był tam stary kościół, który opanowali mariawici, a popierały ich władze carskie, starając się na każdym kroku zwalczać w Polsce katolików. Mniejszość katolicka znalazła jednak potężnych sprzymierzeńców wśród kolejarzy pracujących w warsztatach naprawczych na Bródnie w Warszawie. Przyjechali uzbrojeni w pręty żelazne i klucze francuskie, kościół siłą odbili i osadzili katolickiego księdza. Na pamiątkę tego zdarzenia, co roku szóstego sierpnia, w odpust Przemienienia Pańskiego, zjeżdżały z Pragi rodziny kolejarские, wypełniające przynajmniej dwa pociągi. Wielkie i bardzo kolorowe było to święto.

Mariawici musieli wybudować w Cegłowie drugi kościół, znacznie mniejszy, a przy nim duży żeński klasztor. Jeszcze za naszych czasów było w tym klasztorze około siedemdziesięciu mariawitek. Zajmowały się nie tylko modłami, zorganizowały tkalnię i szwalnię oraz warsztaty robót ręcznych.

W początku lat dwudziestych panował wśród mariawitów fanatyzm religijny. Pewnego razu, w listopadzie, przyjechała do Cegłowa Mateczka Kozłowska. Wierni wyszli po nią z kościoła na kolanach. I tak przemieszczali się 500 m, aż na stację kolejową. Wierni wykazali ponadto niezwykle ofiarną. Mimo panującej biedy, nie było kłopotów z zebraniem pieniędzy potrzebnych na wybudowanie kościoła i klasztoru w Cegłowie, a murowanej kaplicy w każdej z wiosek, w której mieszkali mariawici. Wydawali własne pismo zwane „Gazetą Mariawicką”.

Czasami czytałem ją z ciekawości. Dostawałem ją od rówieśników mariawitów, z którymi razem pasaliśmy krowy. Pamiętam zwłaszcza listy pisane przez wiernych o cudach, jakie się w ich wioskach zdarzały. Połowa z tych cudów polegała na uzdrowieniu nieuleczalnie chorych za wstawiennictwem Mateczki, a połowa na strasznych doczesnych karach za wyszydzanie Mateczki. Oto bezbożny Szwed (katolik) podarł portret Mateczki i z miejsca tknął go paraliż rąk, inny wykrzykiwał bluźniercze słowa pod jej adresem, za co został głuchoniemym do końca życia.

Powoli jednak namiętności zaczęły wygasać i walk religijnych było coraz mniej. Osłabła żarliwość mariawitów oraz ofiarność na cele religijne. Ogromny, jak na małą osadę, klasztor żeński w Cegłowie stracił finansową podporę, a rękodzielnicze wyroby zgromadzonych tam mariawitek nie mogły zapewnić utrzymania. Wyższa hierarchia mariawicka, wobec podobnej sytuacji w innych parafiach, zaczęła chwycić się środków raczej rozpaczliwych, niż dobrze przemyślanych. Wyświęcano siostry zakonne na coś w rodzaju kapłanek i wysyłano niektóre z nich do tych wsi, gdzie w dawniejszych czasach pobudowano kaplice. Ponieważ nie było plebani więc siostry mieszały w wynajętych izbach, przeważnie kątem u rodzin.

Mieszkałem na Swobodzie od 1918 do 1926 roku, a potem z drugiej strony Cegłowa, w Mrozach, do 1929 roku, a więc przez czas zaledwie dziewięciu lat. W ciągu tak krótkiego czasu problem mariawicki przestał istnieć, a wielu mariawitów nawróciło się na katolicyzm. Ci zaś, którzy zostali przy swojej sekcji, starali się już w swojej społeczności wiejskiej niczym nie odróżniać. Wygasły stare swary.

Na wsi panowała wtedy powszechna bieda. Najbardziej dokuczała biednym i bezrolnym chłopom. Dzieci cierpiały głód. Oprócz biedy na wsi panowały choroby, a zwłaszcza gruźlica. Na Swobodzie żyła pewna rodzina spokrewniona z moją matką. Było tam, jak zwykle na wsi, przynajmniej siedmioro dzieci. Zwaliśmy ich klitusiami, a pochodziło to od klituś-bajduś. Umieli opowiadać bajki tak, że siadałoby się i słuchało, słuchało. Poza tym wszyscy mieli uzdolnienia rzeźbiarskie. Pamiętam, jak dziesięcioletni może Klituś ulepił z gliny pastuszka, całe stado krów, cielęta, owce, a nawet pieska, który stado do kupy zganiał. Umarł na gruźlicę, jak większość jego rodzeństwa.

Umierali ludzie i na inne choroby, które można byłoby zapewne wyleczyć. Nie leczono się jednak, bo to by kosztowało. A już jak zarazy wystrzegano się szpitala. Pamiętam, jak na tyfus zachorował nasz kuzyn i rodzice radzili odwiedzić go do szpitala, ale kuzyn uparł się, powiedział, że na zatracenie dobrowolnie nie pójdzie.

Higiena życia codziennego była na bardzo niskim poziomie, ale widać było wysiłki, by nastąpiła tu poprawa. Powszechne było zawszenie. Często, ale nie zawsze łączyło się to z biedą. Znałem jednak rodziny bardzo biedne, ale czyste.

Pracowało się na wsi ciężko, w lecie od świtu do nocy. Minęły już wprawdzie czasy pierwotnej, naturalnej, zupełnie samowystarczальной gospodarki, ale nie były znowu aż tak odległe. Opowiadał mi dziadek, że za jego dziecięcych czasów chłopci niczego ze swoich gospodarstw nie sprzedawali i niczego nie kupowali. Kiedy jedna z gospodyń zaczęła wnosić masło do miasteczka na sprzedaż, to ją sąsiedzi palcami wytykali. Za moich dziecięcych lat kupowało się i sprzedawało wiele, ale w domu rękodzielnictwo kwitło. Każdy gospodarz siał len. Po zbiorze moczyło się len w stawie, potem oczyszczało się z paździerzy na międlnicy, tarło się na cierlicy, czyli oczyszczało z najbardziej delikatnych paździerzy, wreszcie cesało na metalowych szczotkach. Jesienią przedło się len na kołowrotkach. Tylko bardzo stare kobiety używały wrzecion i przedzielnic. W każdym domu, u nas też, były krosna, na których ze lnu robiło się płótno na bie-



liznę osobistą i pościelową, na lekki letni przyodziewek. W większości domów przędło się wełnę i tkalo sukno na ciepłą odzież.

Szyło się prostą odzież samemu w domu albo sprowadzało z miasteczka krawca zimową porą na tydzień czy dwa, a on obszywał całą rodzinę. Na Swobodzie przyjeżdżał do nas ten sam krawiec, który latem dzierżawił sad.

Masło wyrabiano się w domu. Najbardziej prymitywnym statkiem do tego celu była masielnica, drewniane, walcowate, zwężające się u góry naczynie. W jej środku znajdowała się okrągła tarcza z dużymi otworami i rączką w środku. Rączka wystawała do góry poza naczynie. Trzeba nią było poruszać w górę i w dół, aż z kwaśnej śmietany poczęło wytrącać się masło i zbierać w większe grudy. Bardziej nowoczesna masielnica miała w środku cztery skrzydła, które wprawiało się w ruch przy pomocy korby.

W moich czasach rzadko spotykało się po domach żarna do mielenia zboża albo stępy do robienia kaszy jaglanej. Większość gospodarzy odwoziła zboże do wiatraków czy młynów wodnych.

Pracowały i dzieci, pomagając rodzicom w różnych zajęciach gospodarskich. Pomoc zaczynała się w domu od pilnowania młodszego rodzeństwa, a rodziny były liczne, wielopokoleniowe, składające się najczęściej z rodziców i dziadków oraz z pięciorga do dziesięciorga dzieci. Między jednym, a drugim różnica wieku była zwykle niewielka.

W każdym domu stała drewniana kolebka czyli kołyska, gdzie przebywało najmłodsze dziecko. Kiedy płakało, trzeba je było kołysać, a do tego nadawały się dzieci nawet niewiele starsze, cztero czy pięcioletnie. Kiedy matka szła do żniw, brała ze sobą niemowlę i zostawiała w „bujbie”. Było to coś w rodzaju hamaka zrobionego z prześcieradła, zawieszanego na drewnianej poprzeczce, umocowanej na końcach do również drewnianych krzyżaków. Gdy dziecko płakało należało je „bujać”, czyli kołysać, stąd nazwa bujby. Pospolitym zajęciem chłopców było pasienie krów. Na starych wsiach, gdzie były wspólne pastwiska, pasienie krów należało do zajęć nawet bardzo lubianych. Gromadka pastuszków wymyślała sobie na ten czas przeróżne zabawy. Na takiej wsi, jak Swoboda, każde gospodarstwo miało własne pastwisko, a więc pastuszek był sam i nudził się niepomiernie, chyba że tak się złożyło, iż pastwisko sąsiada znajdowało się tuż przez miedzę.

Oprócz nudy pasienia, pamiętam też lęk przed wściekłym psem. Wścieklizna panowała przez kilka lat w okolicy raczej powszechnie. Mnie wprawdzie nigdy pies wściekły nie napadł ani go nie widziałem, ale śnił mi się po nocach, tak się go bałem. Inni chłopcy bali się też burz i piorunów, ale ja od wczesnego dzieciństwa lubiłem burze i pioruny. Już dawno nie wierzyłem w to, co opowiadali o piorunach starzy ludzie. Według nich rozgniewany Bóg Ojciec strzelał w najgorszych grzeszników, a że nie za każdym strzałem padał trup, to dlatego, że w ostatniej chwili między strzelającego a grzesznika wsuwał się Pan Jezus i zasłaniał go swym ciałem. Mgliście wprawdzie, ale wiedziałem, że piorun w jakiś sposób wiąże się ze zjawiskiem elektryczności, a elektryczność z magnetyzmem. W czasie jednej burzy wraz z synem sąsiada schroniliśmy się pod dużym, samotnie na miedzy rosnącym drzewem. Mój przyjaciel miał namagnesowany scyzoryk. Trzymał go w ręku. Gdy się błysnęło, odrzucał go od siebie. Gdy grzmot przebrzmiał, brał go znowu do ręki. Pomogło. W żadnego z nas piorun nie trafił.

W 1925 roku poszedłem do szkoły z Zglechowie. Było tam dwoje nauczycieli i pięć oddziałów, a więc reprezentowała wyższy poziom niż szkoła w Rososzy. Nauka nie sprawiała mi trudności, tym bardziej że kurs czwartego oddziału przerobiłem dwa razy. Niedługo w niej zresztą zabawiłem, bo nie cały rok.

## Do Mrozów

Mimo dobrego gospodarowania sytuacja materialna rodziców pogarszała się z roku na rok. Przyczyną takiego stanu rzeczy były wydatki na kształcenie dzieci oraz tryb życia w domu ponad zwyczajny chłopski stan. Muszę jednak przyznać, że ojciec nie miał zbyt dobrej głowy do interesów. Zjadały go zwłaszcza lichwiarskie pożyczki. W końcu 1925 roku tak zabrnął w długi, że postanowił sprzedać gospodarstwo i kupić mały młyn wodny wraz z 3 ha gruntu w Dąbkowiznie tuż pod Mrozami, również w powiecie Mińsk Mazowiecki.

Na maleńkiej rzeczce, której nazwy nie pamiętam, było sześć młynów, a ten w Dąbkowiznie był najmniejszy ze stawem o najmniejszej ilości wody. Ojciec doszedł do porozumienia z jego właścicielem wczesną wiosną 1926 roku. Sprzedał swoje gospodarstwo na Swobodzie, pospłacał długi i jako zadatek dał właścicielowi młyna połowę umówionej należności. Podpisano umowę „złoty za złoty”. Znaczyło to, że jeśli z umowy przed podpisaniem właściwego aktu kupna - sprzedaży wycofa się właściciel młyna, to musi ojcu zwrócić podwójną sumę zadatku. Jeśli się wycofa ojciec, to traci połowę zadatku. Termin ostateczny aktu sprzedaży ustalono na 15 maja 1926 roku.

Tymczasem 13 maja tegoż roku Piłsudski dokonał zamachu stanu. Wartość złotówki w stosunku do dolara spadła w ciągu dwóch dni więcej niż o połowę. Właściciel młyna odmówił podpisania aktu. Owszem, podpisze, jeśli ojciec zapłaci za młyn i ziemię o 50% więcej niż ustalono. Jeśli nie, to poczeka. Zwróci zadatek, ale może za miesiąc, może za rok, jak go sąd do tego zmusi. Ojciec miał doświadczenie z lat inflacji w latach 1918-1924. Któż mu zaręczy, że za rok odebrany zadatek nie wystarczy zaledwie na kupno kury? Dlatego przystał na podyktowane warunki, zapłacił za nabyty młyn i ziemię sumę o połowę wyższą, a zatem musiał zaciągnąć nową pożyczkę.

Źle zaczęła się jego gospodarka w Dąbkowiznie, od razu z długami. Nieszczęścia chodzą w parze. Najstarszy mój brat, uczący się w gimnazjum Górskiego, zachorował na gruźlicę. Ojciec nie zostawił syna bez opieki, chociaż to drogo kosztowało, oddał go do Sanatorium w Rudce koło Mrozów, gdzie chłopiec wyzdrowiał.

Zmuszony wzrastającymi długami sprzedał ojciec wszystką ziemię, jaka była przy młynie, zostawiając tylko młyn z niewielkim ogrodem i maleńką łączką, na której wypasała się nasza krowa. Całą swoją działalność skoncentrował teraz ojciec na młynie, ale miał zbyt mało wody w stawie i zwłaszcza latem mógł pracować tylko po parę godzin dziennie. Ojciec powziął więc plan, aby zamienić młyn wodny na motorowy, a raczej na wodno-motorowy. Miał zakupić silnik, aby pracował wtedy, gdy nie było już dość wody do obracania koła młyńskiego.

Niejaki Aniszewski z Mińska Mazowieckiego, zaufany przyjaciel ojca od polowań i wspólnych wakacji, pracował jako technik w fabryce broni w Rembertowie. Doskonale znał się na broni, ale mniej na silnikach, bo podsunął ojcu pomysł bezsensowny: poradził kupić stary autobus, wyjąć z niego silnik i użyć go do napędzania kamienia młyńskiego. Jak postanowiono, tak uczyniono. Ale nie przewidziano kosztów benzyny. Przedsięwzięcie pogrzyżyło ojca w długach, z których trudno było mu wybrnąć.

Niewiele czasu spędziłem w Dąbkowiznie, a raczej w Mrozach, które były odległe o pół kilometra. Wprowadziliśmy się tam w maju 1926 roku, a wyprowadziliśmy jesienią 1929 roku. Wyjechałem do internatu w Siedlcach wcześniej, jesienią 1928 roku. Krótki to był okres czasu,

ale niezmiernie dla mnie ważny, okres między dwunastym a piętnastym rokiem życia. Zdecydował w znacznej mierze o całym moim dalszym życiu.

A tymczasem życie biegło. Ze Zglechowa przeniosłem się do siedmioklasowej szkoły powszechnej w Mrozach. Poziom jej był znacznie wyższy, mimo to nie miałem trudności z innymi przedmiotami poza kaligrafią i śpiewem. Pisać nauczyłem się sam, więc piszę brzydko i nieczytelnie. Między oddziałem szóstym i siódmym miałem niedostateczny ze śpiewu. Postawił mi ocenę niedostateczną nauczyciel Redo, bo nie chciałem mu na egzaminie zaśpiewać solo jakiejś piosenki. Do muzyki i śpiewu mam rzeczywiście, jak twierdzi moja żona, drewniane ucho.

Ogromną rolę odgrywały wtedy na wsi biblioteki szkolne i gminne. W domu nie mieliśmy wielu książek ani też nie było od kogo pożyczyć. Do biblioteki odnosiliśmy się niemal z nabożną czcią. Okładaliśmy książki, aby się broń Boże nie zniszczyły. Pamiętam, jak w domu matka pytała: „Bierzesz książkę? A ręce umyłś?”

Lubiłem niezmiernie język polski, a w tym - o dziwo - gramatykę, która wydawała mi się tak niezmiernie logiczna. Lubiłem przyrodę, historię, matematykę, wszystkie zresztą przedmioty, z wyjątkiem wspomnianego śpiewu i rysunków. Czytałem bardzo dużo powieści. Przepadałem za Kraszewskim, za Rodziewiczówną. Płakałem nad „Trędowatą” Mniszkówny. Starsza siostra podsuwała mi „Pana Tadeusza”. Próbowałem go czytać w klasie czwartej, ale nawet w piątej nie doczytałem do końca. Przeczytałem go po raz pierwszy raz od deski do deski i z zachwytem dopiero w klasie szóstej. Nawet i wtedy najbardziej podobał mi się opis bitwy. Po kilka razy czytałem też wstęp, wzmianki o Napoleonie, nadejściu jego wojsk, polowanie na niedźwiedzia, opisy wieczorów i poranków. Czytałem chyba wtedy coś po raz pierwszy w życiu nie dla fabuły, a dla języka, niezwykle pięknego języka.

W mrozowskiej szkole spotkałem się po raz pierwszy z językiem francuskim, którego uczyła Pani Sylwestrowiczowa. Do dziś pamiętam wiersz o wieśniaku, który mieszkał o 10 mil od słynnej fortecy Carcassonne, która ani razu w ciągu piętnastu wieków istnienia nie była zdobyta przez nieprzyjaciela. Wieśniak już jako młody chłopiec widział z oddali jej wieże i obiecywał sobie, że wkrótce obejrzy ten ósmy cud świata. Ale, że Carcassonne była tak blisko, zawsze tę wycieczkę odkładał. W międzyczasie zwiedził Paryż i Orlean, Bordeaux i Lyon, Marsylię, Rzym i Londyn, nawet New York. I teraz leży na łożu śmierci i mówi:

„Et je n'ai pas vu Carcassonne.” (i nie zobaczyłem Carcassonne)

Nie myślałem wtedy, że przyjdzie mi się uczyć nie jednego tylko języka obcego, że zobaczę kiedyś i Paryż, i Londyn i New York, a nawet piękny zamek Carcassonne, że w Paryżu zostanie wybrany na członka Akademii Rolniczej Francji.

W Mrozach właśnie zrodziły się moje zamiłowania przyrodnicze, a zaczęło się to w sposób nieco niezwykły. Otóż zdarzało mi się czasami pasać naszą krowę na łączce, a także na tak zwanych „górach” za stawem, należących do majątku Kuflewskiego. Poznałem tam staruszkę nazwiskiem Bosko, który mieszkał przy stacji pomp kolejowych. Pan Bosko, już wtedy na emeryturze, pasał także swą krowę, a jednocześnie zbierał zioła, był bowiem okolicznym zielarzem - znachorem. Tak pięknie umiał opowiadać o każdej zupełnie zwyczajnej - dla mnie - roślinie, z taką czułością do niej podchodził, że zaciekał mnie. Po zapędzeniu krow do obory wybieraliśmy się razem na długie wycieczki, by zbierać rośliny, których nie można było znaleźć w pobliżu.

Bosko podobno niechętnie opowiadał o swoim zawodzie i nie zdradzał nikomu swoich sekretów. Mnie jednak widocznie polubił, bo zapoznawał mnie z roślinami, uczył w jaki sposób i w jakich chorobach należy je stosować. Jego wiedza znachorska graniczyła z magią. Nauczył mnie zamawiać ból zębów. Trzeba było na ząb nałożyć woreczek ze sproszkowaną rośliną i wymawiać magiczne słowa. Ból przechodził. Wypróbowałem to niejednokrotnie na sobie i na członkach swej rodziny, ale ze skutkiem niejednoznacznym. Czasem ból zębów przechodził, czasem nie. Uczył mnie Bosko stosowania ziół w rozlicznych chorobach, ale edukacja urwała się, gdy wyjechałem do siedleckiej szkoły, a mój mistrz nagle zmarł.

Przechodziłem w szóstym oddziale okres, w którym chłopcy zaczynają zwracać uwagę na pleć odmienną, a przybiera to formy dla starszych pociesznie. I o moich przeżyciach w tym czasie można by napisać niejedno. Dla mnie były to oczywiście przeżycia wzniosłe, które dały mi w początkach pełnię szczęścia, a potem wtrąciły w najczarniejszą rozpacz. W naszym oddziale była sobie dziewczynka, Jaśka P., niedaleka moja sąsiadka z Woli Kałuskiej. Miała lat pewnie tyle co ja i była prześliczna. Zaprzyjaźniliśmy się bardzo. Przynosiłem jej pod szkolną choinkę prezenty, kupione za nie wiadomo skąd wzięte pieniądze. Pomagałem w odrabianiu lekcji. Wiosną, latem i jesienią spędzaliśmy cały czas razem. Na naszym stawie mieliśmy łódkę. Jaśka przychodziła do mnie po lekcjach, wypływaliśmy na staw, zatrzymywaliśmy się na maleńkiej wysepce, którą nazywaliśmy „Wyspą miłości”. Brodziliśmy po bagnistych, splątanych chmielem olszynach, otaczających staw, i nigdy nie brakło nam tematów do rozmów. Byliśmy zbyt młodzi, by mówić o miłości. Przyjaźniliśmy się bardzo i jednego dnia bez siebie nie mogliśmy spędzić.

Niedaleko za stawem, była stara nieużywana już kopalnia żwiru, stanowiąca głęboki wąwóz, co na naszych równinnych terenach stanowiło rzecz niezwykłą. Poszliśmy tam kiedyś i natknaliśmy dwie stare cyganki. Jedna uparła się, żeby powróżyc mi z ręki. Powiedziałem, że przecież nie mam pieniędzy, bo i skąd, ale odparła, że powróży bez pieniędzy, bo jej się podobam. Popatrzyła na moją dłoń. Powiedziała, że będę żył długo i szczęśliwie, w wojsku nigdy służyć nie będę, że gdy dorosnę, pojedę do Ameryki, że ożenię się kiedyś z Janiną. Uśmieliśmy się z Jaśką oboje, a przecież przepowiednia cyganki spełniła się, z tym tylko, że inna Janina weszła w me życie.

W następnym jednak roku przestałem wierzyć w możliwość osiągnięcia za życia stanu wiecznej szczęśliwości. Wróżka nie wzięła pod uwagę faktu, że kobieta to stworzenie zmienne i zdradliwe. Jaśka została na drugi rok w tym samym oddziale, kiedy ja przeszedłem do następnego. Pojawił się wtedy na horyzoncie rywal, który miał w dodatku rower, co na tamte czasy znaczyło więcej, niż dziś FIAT 126. Moja Jaśka przestała do mnie przychodzić na łódkę, jeździła na wycieczki rowerowe ze Stasiem.

Rozpacz moja, jak to się zwykle mówi, nie miała granic. Przemyśliwałem to nad zemstą, to nad jakimś wyczynem, który miałby Jaśce pokazać moją wyższość nad Stasiem, ale nic niezwykłego nie przychodziło mi na myśl. Najpierw postanowiłem zdobyć natychmiastową sławę pisarza. Zacząłem pisać wiersze, ale po paru próbach dałem spokój. Przerzuciłem się na pisanie nowel, jak na przykład „Twierdzą nam będzie każdy próg”. Było to bardzo patriotyczne, ta obrona starego dworu, żywcem przypominającego stary pałac na Swobodzie przed napaścią bolszewików w 1920 roku. Zapiisałem trzy zeszyty kratkowanego papieru, ale doszedłem do przekonania, że droga do sławy Reymonta czy Sienkiewicza była dłuższa, niż mi się wydawało, a ja nie miałem czasu do stracenia, bo wycieczki rowerowe trwały. Musiałem znaleźć coś takiego, co by

w krótkim czasie zwróciło na mnie uwagę niewiernej. I wtedy właśnie zacząłem słuchać uważnie księdza dziekana z Kałuszyna, który w mrozowskiej szkole nauczał religii.

Był to ksiądz światowy, nie domorosły, przez dwa lata studiował w Rzymie, podróżował po całej Europie. Był to człowiek najbardziej wykształcony i inteligentny ze wszystkich moich nauczycieli. Miał niezwykły dar wymowy i pięknie opowiadał dramatyczne zdarzenia z historii kościoła albo też swoje własne przygody z podróży. Słuchałem go pewnie z otwartymi ustami, bo zwrócił na mnie uwagę. Wiedział, że po skończeniu szkoły powszechnej chcę się uczyć dalej, że nauka przychodzi mi łatwo. Zaczął mnie namawiać, abym poszedł do biskupiego gimnazjum w Siedlcach, które przygotowuje uczniów do seminarium duchownego. W pięknych słowach malował mi szczytne powołanie do stanu kapłańskiego, zapraszał do siebie, gdzie prowadziliśmy na ten temat długie rozmowy.

Namowa księdza padła na grunt bardzo podatny. Prawdę mówiąc, moi rodzice, jak większość rodzin chłopskich, marzyli o tym aby któregoś z synów wyuczyć na księdza, zwłaszcza marzyła o tym matka. Ponieważ nauka w szkole mnie szła najlepiej, myśleli o mnie. Jeśli taki jest ród niewieści - powiedziałem sobie - to nie chcę mieć z nim nigdy do czynienia. Zostanę księdzem albo zakonnikiem. Powiedziałem o tym rodzicom. Ucieszyli się niezmiernie, nie tylko matka, ale i ojciec, tym bardziej, że zdawał sobie sprawę z tego, że nie będzie mógł się podjąć kosztów normalnego kształcenia mnie w mieście. Najstarszy brat po zdaniu tak zwanej małej matury i przejściu przez kursy melioracyjne, pracował przy budowie kolei. Siostra Janina po skończeniu Seminarium Nauczycielskiego pracowała w Pietkowie w białostockim jako nauczycielka. Antoni uczęszczał w Warszawie na kursy techniczne i jednocześnie pracował. Ojciec był zadłużony, młyn wielkich dochodów nie przynosił.

W takiej sytuacji ojciec chętnie przyjął propozycję księdza dziekana, aby oddać mnie do gimnazjum siedleckiego, które nosiło nazwę: „Wyższe Gimnazjum Biskupa Podlaskiego w Siedlcach, czyli Mniejsze Seminarium Duchowne imieniem Świętej Rodziny”. Ważne było to, że gimnazjum wprawdzie prywatne, ale było bardzo tanie. Za internat i za naukę płaciło się razem tylko 50 zł miesięcznie, bo kuria biskupia wspomagała szkołę pieniężnie. Ojca nie stać było nawet na te 50 zł miesięcznie, ale siostra Janina ofiarowała się ze swej skromnej pensji uiszczać tę opłatę za mnie w pierwszym przynajmniej roku, a potem się zobaczy.

Tak więc decyzja została powzięta. Przeczytałem raz jeszcze swoją pierwszą w życiu powieść, pokiwałem głową i doszedłem do przekonania, że nagrody Nobla za nią nie dostanę. Nikomu jej nigdy nie pokazałem i przeznaczyłem na spalenie na ognisku rozpalonym w tym celu na wysepce, której już żadnej nazwy nie nadawałem.

Po zakończeniu roku szkolnego w czerwcu 1928 roku pojechałem do Siedlec na egzamin. Kandydatów było dwóch na jedno miejsce, ale zostałem przyjęty. Przez wakacje sam pływałem łódką po stawie, brodziłem po bagnach, wspominałem zeszłoroczne towarzystwo Jaśki. W tych wędrówkach szukałem samotności, stroniłem od ludzi. Przemyślałem nad swoją przyszłością z pełnią postanowienia, że zostanę księdzem.

## Siedlce

Jesienią pojechałem do szkoły. Takie szkoły znajdowały się we wszystkich diecezjach. Przygotowywały młodzież męską do seminariów duchownych. Były to tak zwane Wyższe Gimnazja, bo zaczynały się nie od klasy pierwszej, ale od czwartej. Nauka trwała pięć lat, po klasie ósmej zdawało się maturę. Nasza szkoła miała tak zwane niepełne prawa państwowe, to znaczy, że na maturze zdawaliśmy egzamin piśmienny i ustny z czterech przedmiotów: łaciny, z obcego języka nowożytnego, z polskiego i z matematyki, a ponadto ustny z historii, nauki o Polsce współczesnej i fizyki. W gimnazjach z pełnymi prawami państwowymi zdawało się zarówno w egzaminie piśmiennym jak i ustnym tylko z czterech przedmiotów.

Gimnazja w owym czasie dzieliły się na trzy typy, a mianowicie klasyczne, humanistyczne i matematyczno-przyrodnicze. W gimnazjach klasycznych uczono greki i łaciny, mniej natomiast przedmiotów matematyczno-przyrodniczych. Nasze gimnazjum było humanistyczne, na łacinę kładło się ogromny nacisk, znacznie większy niż w państwowych gimnazjach typu humanistycznego, co było zresztą zrozumiałe.

Oprócz łaciny przez cztery lata uczono nas języka greckiego, od piątej do ósmej klasy. Język grecki nie był obowiązkowy, nie figurował na naszych świadectwach szkolnych, ale był przymusowy.

Szkoła mieściła się tuż obok Kurii Biskupiej w Siedlcach przy ulicy Kościuszki 8. Wszyscy uczniowie, nawet pochodzący z Siedlec, musieli mieszkać w internacie. Do internatu przylegał park o obszarze około 5 ha, po którym mogliśmy spacerować, grać w siatkówkę i inne gry, ale brama była zamknięta, na miasto nie mogliśmy wychodzić, bo za wyjście bez zezwolenia wyrzucano ze szkoły. Dwa razy w tygodniu, we czwartki i w niedziele po południu, wychodziliśmy na dwu-trzygodzinny spacer za miasto, na pola, łąki i do lasu pod wodzą księdza prefekta.

Najbardziej lubiłem wycieczki na Sekułę, tak pięknie opisaną przez Żeromskiego w „Przedwiośniu”. Był to mieszany las, a przy nim łąki nad rzeczką Muchawką, około 5 km na południe od Siedlec.

Mieszkaliśmy w dużych pokojach, po dziesięć, dwanaście łóżek w każdym. Wstawaliśmy o 6<sup>30</sup> rano, po umyciu się szliśmy codziennie do kaplicy na modlitwę i mszę. Po śniadaniu wychodziliśmy do osobnego, przylegającego do internatu budynku szkolnego, ale znajdującego się już za bramą. Potem obiad i znowu do kaplicy na krótką modlitwę. Czas wolny, około półtorej godziny spędzaliśmy w naszym parku, ogrodzonym wysokim szczelnym płotem, przylegającym do parku miejskiego. Od godziny 16 do 19 odrabialiśmy lekcje we wspólnych dwóch salach pod czujnym okiem ks. prefekta i dyżurnego, który utrzymywał ciszę. Co godzinę urządzano krótką przerwę dla przewietrzenia sali, nas wyganiając do parku. Potem kolacja, po czym znowu pół godziny spaceru po parku. O godz. 20 modlitwy w kaplicy, które trwały około 15 minut i znowu do odrabiania lekcji do godz. 21<sup>30</sup>. Teraz dzwonek wzywał do rozejścia się po sypialniach. W 15 minut później gaszono światła, trzeba było spać.

Czas spędzony w kaplicy nie dłużył się. Większą jego część wypełniało śpiewanie pieśni religijnych, a te były bardzo urozmaicone. Czekaliśmy zwłaszcza na kolędy, których bogactwo zaskakiwało nas każdego roku.

Szkoła nasza była niewielka, przyjmowano 30-32 chłopców. W starszych klasach było ich już coraz mniej. Niektórzy wykruszali się z tego prostego powodu, że ich rodzice nie mogli uiszczać nawet tak skromnej opłaty, jaką było 50 zł miesięcznie. Innych dyrekcja wyrzucała za

złe zachowanie. Ważnym powodem zmniejszania się liczby uczniów, zwłaszcza od szóstej klasy, było to, że w ostatnich trzech latach obowiązywało noszenie sutanny, zarówno w szkole, jak i w domu w czasie ferii świątecznych czy wakacji. Pewna część uczniów nie chciała, by ich uważano za kleryków i przenosiła się do innych szkół.

Biskupem Podlaskim był wtedy Henryk Przeździecki, człowiek bardzo światły, mądry, skromny, o bardzo wyraźnych zamiłowaniach przyrodniczych. Obowiązki dyrektora szkoły sprawował ks. dr infulat Karol Dębiński, lat wtedy pewnie przynajmniej sześćdziesięciu kilku, człowiek naprawdę wyjątkowy. Posiadał wszechstronne wykształcenie, znał języki obce, miał zamiłowania zarówno humanistyczne, jak i przyrodnicze. W hierarchii kościelnej piastował wysokie stanowisko infulata, o jeden stopień niższe od biskupa.

Obdarzony całkowitym zaufaniem biskupa, ks. Dyrektor rządził szkołą według swojego najlepszego rozeznania. Najważniejsze było to, żeby szkoła stała na jak najwyższym poziomie. Stwarzano do tego wszystkie warunki: uczniowie nie mieli żadnych zajęć poza nauką, nie musieli pomagać rodzicom w gospodarstwie, nie wychodzili na miasto, nie spędzali wobec tego czasu na baraskowaniu. Odrabiali lekcje pod nadzorem przez 4,5 godziny dziennie.

Najwięcej oczywiście zależało od nauczycieli, a ks. Dyrektor dobrał możliwie najlepszych. Zapewniały to znacznie większe zarobki niż w gimnazjach państwowych czy prywatnych. Klasy były niewielkie, a uczniowie trzymani pod ścisłym nadzorem, nie przysparzali zbyt wielu kłopotów.

Zorientowałem się, że niektórzy kanonicy w diecezji głośno sarkali na ks. Dyrektora, że zatrudnia ludzi niewierzących, a widziałem, że w moich czasach nauczyciel przyrody, polskiego, matematyki i nauczycielka francuskiego nie kryli się ze swoimi przekonaniami, okazywali je jawnie, a jednak ks. Dyrektor nie myślał ich zwalniać, a na odwrót, bardzo ich cenił. Kiedy przeszedł na emeryturę, wśród personelu nauczycielskiego nie uchował się za jego następcy ani jeden niewierzący nauczyciel.

Do najwybitniejszych naszych wykładowców należeli nauczyciele polskiego, łaciny, matematyki i przyrody. Polskiego nauczał Teodor Turek, lat wtedy pewnie około 45, doskonały mówca, deklamator. W młodym wieku wydał tomik wierszy, którym zresztą nie zwrócił na siebie uwagi, toteż później tworzyć już nie próbował. Uwielbialiśmy jego lekcje. Jak on cudownie czytał Słowackiego.

Łaciny, a od klasy piątej także greki, nauczał Wojciech Woszczerowicz, ojciec znanego aktora Jacka. Tego wspominam zawsze z szacunkiem i z serdeczną czułością. Mały, z wiechą potężnych wąsów, ruchliwy, dowcipny, inteligentny i błyskotliwy, rozmiłowany w logice języka łacińskiego, a także w kulturze starożytnego świata.

Największym szacunkiem darzyłem Stanisława Rostkowskiego, nauczyciela matematyki. Nasze stosunki zaczęły się bardzo źle. Już w pierwszym chyba tygodniu po przyjeździe do szkoły urządził klasówkę. Rozwiązałem zadanie dobrze, ale jak już swego czasu wspomniałem, pisałem bardzo brzydko i bardzo niewyraźnie. Rostkowski nie mógł klasówki rozczytać i z oburzenia postawił mi dwójkę. Tym czasem ja się obraziłem, ale zareagowałem niemądrze. Przestałem się uczyć przedmiotu. Kiedy w miesiąc później wyrwał mnie do tablicy, nie odpowiedziałem na jego pytania, bo odpowiedzieć nie potrafiłem. Postawił mi dwójkę na pierwszy okres.

Oprzytomniałem, kiedy wyrwał mnie następnym razem, byłem już przygotowany, odpowiedziałem prawidłowo. Popatrzył na mnie, nic nie powiedział i nie postawił mi żadnego stopnia. W krótkich odstępach pytał mnie jeszcze kilka razy i w rezultacie na półrocze dostałem piątkę. Tak więc przez cały czas pobytu w szkole nie miałem u niego nigdy trójki, ani czwórki.

Rostkowski był człowiekiem powolnym, spokojnym, nie obdarzonym bujną wyobraźnią, ale niezmiernie logicznym. Wykładał jasno, nie denerwował się nigdy. Jego filozofią był stoicyzm, nie przejmował się rzeczami mało ważnymi, zawsze mówił prawdę. Był niewierzący i nie krył się z tym wcale, ale też i nie afiszował się ze swoją niewiarą, nikomu jej nie narzucał. Jakże zdziwiło i oburzyło mnie już w pierwszym roku mego pobytu w szkole, gdy zobaczyłem, że w czasie mszy Rostkowski nie ukląkł nawet w czasie podniesienia. Myślałem sobie „i takiego tu trzymają”!

Niewierzący był też cichy, spokojny nauczyciel przyrody Waclaw K. Z zamiłowania ornitolog, ale potrafił rozbudzić w nas ciekawość także i do innych działów przyrody, zabierając nas na pola, łąki i lasy w poszukiwaniu rzadkich roślin i zwierząt. O sprawach religii nigdy z nami nie rozmawiał, machał ręką i odpowiadał, że go to wcale nie obchodzi, a na żadne uroczystości kościelne po prostu nie chodził.

Uczniowie naszej szkoły pochodzili prawie wyłącznie ze wsi, najczęściej ze szkół, gdzie nauka nie stała na wysokim poziomie, toteż mieli w pierwszych miesiącach duże trudności. Szybko jednak podciągali się dzięki dobrym warunkom do nauki, ale - rzecz naturalna - były między poszczególnymi uczniami duże różnice. System pedagogiczny naszej szkoły nie zacierał tych różnic, a raczej starał się je podkreślić. Stopnie stawiano nam cztery razy do roku i za każdym razem ustalano kolejność uczniów według stopni od najlepszego do najslabszego. Mało tego usadzano nas w klasie według stopni. Prymus siedział w ostatniej ławce na honorowym miejscu, obok niego uczeń mający drugie miejsce, a na pierwszej, czyli osłej ławce siedzieli najgorsi uczniowie. Za pierwszy okres w czwartej klasie z powodu dwójki z matematyki pierwszego miejsca nie miałem, ale już od półroczka zdobyłem pozycję prymusa, którą zachowałem do końca pobytu w szkole. Prymus zajmował w niej ważną pozycję, związaną z wielu przywilejami.

Szkoła nasza powstała w 1923 roku, istniała więc niedawno, ale nasz gabinet przyrodniczy zasługiwał na miano regionalnego podlaskiego muzeum przyrodniczego. Było to zasługą nauczyciela przyrody oraz jednego z uczniów Władka. Gabinet mieścił się w trzech dużych pokojach i wypełniony był okazami występujących na Podlasiu ssaków i ptaków, ryb, gadów i płazów, gablotami owadów, zielnikami oraz gablotami roślin. Oprócz okazów miejscowej fauny i flory znajdowały się tam okazy egzotyczne, przywożone najczęściej przez podróżujących po świecie księży diecezji podlaskiej.

Osobistą opieką gabinet otaczał biskup Przeździecki, przypominając wysyłanym do Rzymu księżom, aby coś ze sobą przywieźli, i sam zawsze ciekawe okazy przywoził. Jeszcze większą opiekę nad gabinetem roztaczał ks. Dyrektor.

Jak już wspomniałem, gabinetem opiekował się także Wladek, który z miejsca zwrócił uwagę nauczyciela na swoje zamiłowania przyrodnicze. Gdy przyszedłem do szkoły, Wladek rozpoczynał właśnie klasę ósmą, czyli ostatnią. Był wtedy faktycznym kierownikiem gabinetu. Obdarzony dużymi zdolnościami, nie potrzebował wiele czasu na przygotowanie lekcji, cały czas poświęcał przyrodzie. Układał w gablotach okazy, oznaczał gatunki owadów i roślin, wypychał nadeszłe nowe okazy zwierząt.

Ks. Dyrektor okazywał mu wielkie zaufanie. Budynek szkolny, w którym mieścił się gabinet, stał za zamkniętą na klucz bramą. Wladek miał na stałe klucz do tej bramy, mógł więc w zasadzie, kiedy chciał, wychodzić na miasto. Za swoją pracę w gabinecie Wladek zwolniony był nawet z opłat za szkołę. Od początku specjalizował się w entomologii, przez ferie i wakacje uga-



niał się po polach i lasach z siatką na owady. W ciągu roku szkolnego oznaczał je i układał w gablotach.

Ale Władek nie miał następcy. Martwił się ks. Dyrektor, martwił się Krzemieniewski. Ponieważ już dawno pomagałem Władkowi, wybór okazał się prosty. Zainteresowania przyrodnicze zdradzałem od czasów starego znachora z Mrozów i znałem bardzo dużo nazw gatunków roślin. Na odrabianie lekcji potrzeba mi teraz było mało czasu, mogłem wiele godzin spędzać w gabinecie. Przy końcu roku już było wiadome, że przejmę schedę po Władku. Oficjalnie zaproponował mi to ks. Dyrektor i od przyszłego roku miałem być zwolniony od wszelkich opłat za szkołę. Jeszcze w końcu czwartej klasy dyrekcja szkoły zapłaciła za mnie 50 zł. za udział w dieściodniowej wycieczce szkolnej na Powszechną Wystawę Krajową do Poznania i nad polskie morze do Gdyni i na Hel.

Zwolnienie z opłat ucieszyło mnie niezmiernie, bo gdyby nie to, nie wiem, czy mógłbym skończyć szkołę średnią. W ciągu pierwszego mojego roku w Siedlcach opłatę za szkołę uiszczała moja siostra, ale przecież nie mógłbym być dla niej takim ciężarem przez całe pięć lat. Zarabiała sama 180 zł. miesięcznie, wydać z tego aż 50 zł. to byłoby zbyt wielkie poświęcenie. Jeśli chodzi o rodziców, finansowa ich sytuacja ze złej stała się katastrofalną. Mieli już długi.

W 1928-29 roku przyszła niesłychanie surowa, zaiste syberyjska zima, w czasie której wymarzło w Polsce ponad 50% drzew owocowych. Mrozy dochodziły do 40 stopni. Zamknięto na jakiś czas szkoły, tylko naszej nie zamknięto ani na dzień, bo myśmy nie musieli do niej z daleka dochodzić.

Dała się za to we znaki rodzicom. Głęboko zamarzła woda w naszym stawie. Ciężar lodu wysadził upust, a to oznaczało ruinę. Sprzedał więc ojciec resztki zniszczonego młyna. Po spłaceniu długów nie zostało mu już nic poza kilkuset złotymi na przeżycie kilku miesięcy. Miał na głowie jeszcze troje chodzących do szkoły powszechnej dzieci, Waława, Wandę i Kazika, bo Antoni już się usamodzielniał, jako technik.

Na szczęście ojciec był człowiekiem zdolnym i miał nie jeden zawód. Z młodych lat jeszcze wyćwiczył się w ciesielce i stolarce. Teraz, kiedy przyszła katastrofa, postanowił żyć z tych umiejętności. Przeprowadził się do Radości pod Warszawą, wynajął mieszkanie składające się z dwóch pokoi i kuchni, i zaczął pracować trochę jako cieśla, trochę jako stolarz przy budowie domów, robiąc ramy okienne, drzwi i wykonując przy budowie inne roboty. Nie był jednak starym i uznanym fachowcem, nie mógł otworzyć własnej firmy, własnej stolarni. Pracował przeważnie sam. Toteż trudno byłoby się spodziewać, że będzie dużo zarabiał. Czasy nie były ku temu sprzyjające. Cały świat przechodził ostry kryzys ekonomiczny, Polska także, budowało się niewiele, a stolarzy i cieśli nie brakowało.

Na wakacje po pierwszym roku gimnazjum przyjechałem więc do Radości. Chodziłem po tak zwanych Wilanowskich lasach, rozciągających się między Radością a Starą Miłosną. Należały do Potockich, właścicieli Wilanowa. Szperałem za rzadkimi roślinami. Znalazłem w lasach stanowisko lilii złotogłowu (*Lillium martagon*), o której występowaniu w tej części Polski nasi botanicy nie wiedzieli. Pojechałem na dwa tygodnie do Władka, do wioski nad Bugiem. Tam wspólnie znaleźliśmy wielką rzadkość, cenne trofeum dla naszego gabinetu, gniazdo ptaka remiza, utkane w kształt fajki, jakby z wojłoku zrobionego z włosków otaczających nasiona błotnej rośliny, pałki (*Tipha*). Znaleźliśmy też najdalej w Polsce na wschód wysunięte stanowisko bluszczu (*Hedera helix*).

Władek po maturze szykował się do Seminarium Duchownego w Janowie Podlaskim. Nie dyskutowaliśmy wcale żadnych innych możliwości. Uważaliśmy to obaj za rzecz zupełnie

naturalną, że po skończeniu Mniejszego Seminarium Duchownego idzie się do właściwego Seminarium.

Po wakacjach wróciłem do szkoły. Nie mogłem się tego doczekać. Lubilem się uczyć, bo lubilem moją szkołę i moich nauczycieli, a także nie mogłem się doczekać momentu, gdy pierwszy raz w życiu stanę na własnych nogach i zacznę na siebie zarabiać jako opiekun gabinetu przyrodniczego. Dostałem klucz do bramy - dowód całkowitego zaufania ks. Dyrektora. Zajmowałem się konserwacją dotychczasowych zbiorów i zacząłem rozwijać nową, botaniczną część gabinetu. Nazbierałem mnóstwo roślin, które trzeba było oznaczyć. Siedziałem więc sam w gabinecie do momentu, kiedy trzeba było iść spać.

Zdarzył mi się wtedy zabawny incydent, który spowodował, że na pewien czas odżyła we mnie wiara w duchy. Przyszedłem raz wieczorem do gabinetu i po ciemku wyciągam rękę, by zapalić światło, tymczasem zniemacka dostaję potężny cios w głowę. Nie zdołałem zapalić światła, podniosłem się i uciekłem. Pomacałem głowę - nic, ani znaku. Wstydzilem się komukolwiek do tego przyznać. Przez dwa tygodnie bałem się iść wieczorem do gabinetu. Ale pewnego razu w ciemną listopadową pogodę chciałem zapalić światło w dzień, a tu coś mną nagle i potężnie wstrząsnęło. Dla mnie elektryczność była jednak rzeczą zupełnie nową, w domu jej nie mieliśmy. Nic dziwnego, że drobny szok w zupełnej ciemności wziąłem za uderzenie.

W gabinecie przyrodniczym hodowałem też żywe stworzenia, zbierałem jaja owadów, a gdy wykluwały się z nich gąsienice, żywiłem je aż utuczone do nieprzytomności zamieniały się w poczwarki, a z poczwarki wylatywały motyle. Krzemieniewski pokazywał to wszystko w klasie. Hodowałem patyczaki, owady z tropików sprowadzone. Wyglądały tak, jakby poskładane były z prawdziwych patyczków.

Pielęgnowałem też różne ptaki i ssaki, przeważnie takie, które gdzieś tam z gniazda wypadły. Przeważnie odżywiałem je i wypuszczałem na wolność, ale niektóre z nich trzymałem na stałe. Miałem więc synogarlicę, przywiezioną przez jednego z księży aż z Ziemi Świętej, traktowaną przez nas z wielką rewerencją, niemalże ze czcią, jako ptaka w Ewangelii wspomnianego. Synogarlic dzikich nie było wtedy w Polsce, dopiero po wojnie opanowały nasz kraj w takich ilościach, że widzi się je wszędzie.

Przyniesiono mi kiedyś małego chomika. Karmiłem go w pierwszych dniach mlekiem przy pomocy kroplomierza. Ogromnie się potem do mnie przywiązał, ale skończył tragicznie. Kiedy bawił się ze mną, nagle coś go przestraszyło bo schwycił mnie za palec. Wgryzł się w jego poduszkę do kości, więc bardzo bolało. On sam tym bardziej się wystraszył, więc nie chciał czy nie mógł palca puścić. Poprosiłem aby inne osoby wyszły z pokoju. Przemawiałem do niego czule, głaskałem go po głowie i grzbiecie, ale nic nie pomagało, palca nie puszczał. Krzemieniewski próbował mu pyszczek siłą otworzyć, ale nie dało się tego zrobić. Trzeba było chomika zabić, aby palec uwolnić. Mam na nim do dzisiaj znak.

Najciekawszą osobistością spośród moich podopiecznych był kruk, którego nazwałem Kubuś. Znalazłem go w lesie, zwanym Puszcą Jatą, około 25 km na południe od Siedlec, znanej z tego, że działał tam ze swoim oddziałem w czasie Powstania Styczniowego ks. Brzózka. Krucaćko wypadło z gniazda, było mocno poturbowane, a zbyt młode, aby mogło latać. Przyniosłem je do naszego parku, zrobiłem dla niego klatkę i zacząłem karmić kawałkami mięsa, które udawało mi się u siostr wyprosić. Kruk przychodził do siebie i rósł. Oswoił się bardzo szybko, toteż wypuściłem go z klatki. Żył sobie w parku, ale karmiłem go codziennie. Kiedy wychodziliśmy

parami na spacer, na miasto, Kubuś leciał wysoko nad nami, ale na machnięcie ręki opadał, siadał mi na ramieniu, często ocierał się dziobem o policzek.

Innych ludzi się nie bał, ale z nimi się nie przyjaźnił. Uznawał tylko mnie i prof. K. W czasie wakacji przebywał w ogrodzie u prof. K., a w czasie roku szkolnego w parku. Intrygowały go różne świecidełka. Kiedy przyszła do nas w klasie siódmej nowa nauczycielka francuskiego, podała mu niebacznie swój pierścionek, aby sprawdzić, czy to co mówią jest prawda. Pierścionka już więcej nie zobaczyła. Odkryłem kiedyś jedną z jego kryjówek, gdzie było mnóstwo szkiełek i blaszek, ale pierścionka nie było.

W późniejszych latach Kubuś stał się złośliwy. Kiedyś szedłem przez miejski park, a obok mnie po trawniku skakał sobie Kubuś. Na niedalekiej alejce przystanąła sobie dziewczyna i poprawiała pończochę. Kubuś zaszedł z tyłu i bęc ją dziobem w łydkę. Podniósł się wrzask, podobno łydka krwawiła. Kubuś w górę, a ja odwróciłem się, wyparłem się wszelkiej z nim znajomości.

Między siódmą, a ósmą klasą prof. K. spędzał wakacje na wsi kilkanaście km od Siedlec. Zabrał ze sobą Kubusia. Przyjechałem tam na parę dni. Widziałem dwa wyczyny kruka. Pierwszy z nich polegał na łapaniu kielbi w płytkiej wodzie sączącej się obok rzeczki. Nie zawsze połów się udawał, ale czasami tak. Najzabawniejszą historię obserwowałem pewnego upalnego popołudnia. Kubuś był, jak wspomniałem złośliwy. Idzie sobie drogą, a tu w kałuży leży nieprosiak, ale wielki wieprz. Kubuś zakrada się cichcem i bęc wieprza w pośladek. Wieprz był zbyt leniwy, by na to zwrócić uwagę. To dopiero kruka rozeźliło! Jak nie skoczy mu na kark, jak nie zacznie walić! Tego było wieprzowi za wiele, zerwał się i w nogi z okrutnym kwikiem. Kubuś triumfująco rozpostarł skrzydła i kracząc jechał na wieprzu długo.

Kiedy przyjechałem po zakończeniu ostatnich wakacji do szkoły, nie wrócił do niej Kubuś. Prof. K. powiedział mi, że znalazł go martwego. Kubuś miał na sumieniu niejedno kurczątko czy kaczątko. Wprawdzie profesor płacił sumiennie odszkodowania, ale ktoś nie wytrzymał i wymierzył sobie sam sprawiedliwość. Została mi po Kubusiu fotografia, jak stara się ściągnąć błyszczącą skuwkę z mego ołówka.

W ciągu piątej klasy utrwaliłem w szkole swoją pozycję. Wprowadziłem w gabinecie przyrodniczym duże zmiany, stał się on bardziej wszechstronny, nie tylko zoologiczny. Podobało się to profesorowi i ks. Dyrektorowi, a nawet biskup Przeździecki zachodził do niego parę razy i chwalił moją działalność. Pracowałem w gabinecie sam, bo jakoś nie przychodzili do szkoły chłopcy z widocznymi zamiłowaniem przyrodniczymi, dopiero w ósmej klasie podchowałem sobie następcę. Jednocześnie ustaliłem swoją pozycję w klasie jako coś w rodzaju etatowego prymusa zarówno w przedmiotach humanistycznych, jak i matematyczno-przyrodniczych.

Mimo pracy w gabinecie znajdowałem dość czasu, aby wiele czytać, po prostu połykać książkę za książką. Czytałem oczywiście głównie powieści. Wiele razy mimo, iż ksiądz prefekt sprawdzał, czy światło gasi się o godzinie 21<sup>30</sup>, udawało się nam zapalić je później i czytać. Wiosną budziłem się rano i czytałem przed dzwonkiem. Często czytałem książki na lekcjach, gdy nauczyciele przepytawali kolegów. Łatwo mi to przychodziło, bo siedziałem zawsze na ostatniej ławce, a że byłem w klasie najmniejszy lub prawie najmniejszy, nie było mnie widać z katedry nauczyciela.

Przy końcu klasy piątej znowu zorganizowano wycieczkę krajoznawczą, na którą pojechało ponad 40 chłopców. Kosztowała 60 zł, ale szkoła zapłaciła za mnie tę sumę, więc mogłem wziąć w niej udział. Zwiedzaliśmy Sandomierz, Kraków, Wieliczkę i Zakopane. Z Zakopanego

furmankami pojechaliśmy nad Morskie Oko, a stamtąd urządziliśmy wyścigi, kto pierwszy dojdzie do Czarnego Stawu.

Wygrałem ten wyścig, chociaż w naszej wycieczce brali udział i starsi chłopcy, siedmioklasiści. Byłem drobny, ale zawsze szybki. Na gimnastyce często wygrywałem zawody w biegu na krótki dystans. Zawsze lubiłem szybko chodzić. W latach późniejszych na wielu wycieczkach sadowniczych musiałem ciągle sobie przypominać, że inni tak szybko nie chodzą, że trzeba zwolnić kroku. Była tylko jedna osoba, która chodziła jeszcze szybciej od mnie, której sam z trudnością, zwłaszcza w latach starszych, dotrzymywałem kroku, moja żona.

Wakacje po klasie piątej spędziłem tylko częściowo w domu. Przez przeszło tydzień ugaśniałem się po wsi z Władkiem, który przeszedł właśnie na drugi kurs Seminarium Duchownego w Janowie Podlaskim, ale nie porzucił swoich zamiłowań przyrodniczych. Marzył o tym, by po skończeniu Seminarium biskup wysłał go na studia przyrodnicze na uniwersytet. Nie były to marzenia bezpodstawne.

## W sutannie

Kiedy przyjechałem jesienią 1930 roku do klasy szóstej, było nas znacznie mniej, chyba czternastu. Przywiozłem ze sobą sutannę, która się stała od tej pory moim codziennym strojem. Strój ten krępował mnie, zwłaszcza z początku. W szkole wszyscy byliśmy tak samo ubrani, więc nie sprawiało to różnicy. Kiedyśmy jednak wyszli długim podwójnym szeregiem na spacer w pierwszą niedzielę, wydawało mi się, że wszyscy patrzą tylko na mnie, zwłaszcza dziewczęta z rozbawionym, a często drwiącym czy nawet szyderczym wyrazem twarzy. Nic w tym dziwnego, bo pocieszny musiał być widok piętnastoletnich chłopców, których trzymały się raczej jeszcze psie figle niż sprawy poważne, a których obowiązywały poważne miny dostrojone do naszych ubiorów.

Będąc w szóstej klasie zaczęliśmy brać udział w niektórych nabożeństwach w siedleckiej Katedrze. Normalnie w każdym mieście diecezjalnym jest Seminarium Duchowne i biskupom w czasie nabożeństw asystują klerycy, alumni Seminarium Duchownego. W diecezji podlaskiej Seminarium Duchowne mieściło się w Janowie Podlaskim, więc uczniowie trzech starszych klas naszej szkoły, ponieważ nosili sutanny, zastępowali kleryków. Trochę to nam imponowało, bo na nas przecież zwracała się znaczna część oczu zgromadzonych wiernych. Było bardzo przyjemnie, gdy mszę celebrował pogodny, zawsze uśmiechnięty ordynariusz diecezji, biskup Przeździecki.

Ale Boże uchronij, kiedy trzeba było służyć przy mszy sufraganowi diecezji, ks. biskupowi S. Kiedy go ubieraliśmy w szaty liturgiczne, nie jedno mało pobożne słowo od niego usłyszeliśmy. Mnie się też zdarzyło, że przy tej ceremonii zaplątałem coś w sprzączkę od jego trzewika. Dobrze, że nie stałem blisko, bo machnięcie jego nogą inaczej niż kopnięciem nie można byłoby nazwać.

W szkole i w Siedlcach ubiór nasz zwracał na siebie uwagę i wywoływał komentarze, ale byliśmy w gromadzie. Gorzej było, gdy wyjechaliśmy na pierwsze ferie świąteczne Bożego Narodzenia. Znalazłem się w pociągu sam i wtedy już nie wydało mi się, że wszyscy na mnie patrzą. Naprawdę było tak, że wszystkie oczy kierowały się na mnie. Podróżni wymieniali między sobą uwagi na mój temat, nawet głośne. W takim wieku najbardziej dopiekały spojrzenia, szept, śmiechy i uwagi dziewcząt, dla których spotkanie takiego cudaka w pociągu czy w autobusie było nie lada uciechą.

W Międzyzlesiu, zaledwie o kilometr od naszego domku, mieszkał z rodziną Tadeusz Eytner, kolega z naszej siedleckiej szkoły, z klasy o dwa lata młodszej. Kiedy przyjechaliśmy na Święta Bożego Narodzenia, zaprosił mnie do siebie. Miał on starszego brata i dwie starsze siostry. Zebrało się tam w niedzielę wieczorem sporo młodzieży na ogół starszej ode mnie. Zaczęły się różne zabawy, a więc w popsuty telefon, w listonosza. Jedną z zabaw polegała na tym, że dla wykupienia przegranego fantu trzeba się było z partnerką pocałować. Nic wielkiego, jakieś tam cmoknięcie w policzek. Ale ja byłem w sutannie, więc całe młode towarzystwo bawiło się moim kosztem. Dobrano mi partnerkę rezolutną i zdecydowaną, która żądała tego, co jej się za przegrany fant należało. Można sobie wyobrazić, jakie przeżywałem męki. Próbowałem cmoknięcia w powietrze, ale nie dała się zbyć byle czym. Musiałem swoje odrobić, a cmoknięcia w policzek też nie uznano za wystarczające. Już nigdy więcej nie poszedłem na taką zabawę.

W domu oglądano mnie też ze wszystkich stron. Na pierwszą Wielkanoc starszy brat przyniósł mi dwa wianki kielbasy, jeden święcony, a drugi nie i zażądał, abym jako specjalista od tych spraw powiedział, który jest święcony. Tylko rodzice byli ze mnie ogromnie dumni, z czego się bardzo cieszyłem, bo życia lekkiego nie mieli. Nie mieszkali już na komornym, to prawda.

Siostra Janina ze swoich oszczędności kupiła mały plac na pół drogi między Radością a Międzylesiem i ojciec zbudował tam pół drewnianego domu. Na dole mieścił się niewielki pokój z kuchnią, a na poddaszu jeszcze jeden pokój z ukośnym sufitem. Ojciec dalej jeszcze utrzymywał się z pracy ciesielskiej i stolarskiej. Czasy były coraz cięższe. Najstarszy brat po skończeniu kursów melioracyjnych pracował przez pewien czas przy budowie kolei Śląsk-Gdynia, a potem powiększył szeregi bezrobotnych. Miał już wtedy żonę i dwóch synków. Chwytał się różnych przygodnych prac. Drugi brat pracował w fabryce Era we Włochach pod Warszawą jako technik, a jednocześnie kończył trzyletnią wieczorową szkołę techniczną. Związał się z ruchem socjalistycznym i zorganizował w swojej fabryce związek zawodowy. Wyrzucono go za to z tak zwanym wilczym biletem. Nigdzie nie mógł dostać stałej pracy, więc także chwytał się robót przygodnych.

Nic więc dziwnego, że rodziców bardzo cieszyła moja sutanna, widoma zapowiedź mojej przyszłości. Pamiętam, jak znajomi ojca wieszowali mi i mówili, zdawało mi się, że z niejakim przekąsem: „Ma Pan się z czego cieszyć. Kto ma księdza w rodzie, tego bieda nie ubodzie”.

Muszę przyznać, że za to mnie to ubodło. Przebywając tu i ówdzie na plebaniach, napałowałem się na księży, którzy mogli stanowić doskonałą ilustrację tego bardzo rozpowszechnionego przysłowia. Zdierali dziesiątą skórę za posługi religijne, za chrzty, śluby i pogrzeby, i to nie tylko z bogatych, ale i z biednych. Wbrew wskazaniom Ewangelii gromadzili skarby doczesne, wyposażali swe dalsze i bliższe rodziny.

Ale ja chciałem być innym księdzem. Chciałem żyć dla idei. I wtedy właśnie, pierwszego roku w sutannie, założyłem specjalny zeszyt, gdzie na pierwszej tytułowej stronie napisałem: „Jeśli nie zostanę księdzem - spalę. Jeśli nim zostanę, zostawię zeszyt na wieczne memento, będę stale go czytywał, aby nie stać się takim, o jakich tu piszę”. Notowałem wszystkie opowiedane mi historie o księżach, spaliłem zeszyt po maturze.

Jeszcze większa szkoda, że powodowany nie wiem już jak nierozsądnymi przyczynami spaliłem już znacznie później, w czasie studiów amerykańskich, swoje dzienniki. Zaczęłem je prowadzić w klasie czwartej, pisałem w nich skrupulatnie codziennie aż do matury, potem już tylko od czasu do czasu, aż gdzieś do 1940 roku.

Przyznam, że od bardzo wczesnej młodości lubiłem pisać. Polonista chwalił moje wypracowania. W tym właśnie czasie powstało w Warszawie pismo młodzieżowe zwane „Kuźnią Młodych”. Początkowo prenumerowano je i w naszej szkole. Otóż ogłosiło ono konkurs na nowelkę czy opowiadanie. Napisałem takowe pt. „Radio”. Jakże przyjemne było moje zdziwienie, że nie tylko zostało wydrukowane, ale wyróżnione książkową nagrodą i zaproszeniem na zjazd młodzieżowy do Warszawy. Ks. Dyrektor pozwolił pojechać mi na zjazd w cywilnym ubraniu. Poznałem wtedy późniejszego literata Aleksandra Kotta, który też za jeden ze swoich utworów został nagrodą wyróżniony. Zjazd wywarł na mnie duże wrażenie, zwiedziliśmy Zamek Królewski, przyjął nas prezydent Mościcki.

Potem pismo wydrukowało moją odpowiedź na ankietę „Jestem redaktorem Kuźni Młodych”. Wypowiadałem się tam na temat zmian, które moim zdaniem winny być w piśmie wprowadzane. Na tym jednak skończyła się moja współpraca z „Kuźnią Młodych”.

Pismo zaczęło uderzać w radykalizujące antyklerykalne tony. Ks. Dyrektor namówił mnie, bym napisał do niego artykuł pt. „medice - cura te ipsum” – „lekarzu - ulecz samego siebie”. Artykułu tego oczywiście nie wydrukowano, do udziału w pisaniu przestano mnie zapraszać, a szkoła przestała pismo prenumerować. Od tej pory, jeśli drukowałem coś, to tylko w Pół-

roczniku i w Roczniku, wydawanym w naszej szkole. Kiedy jednak dziś czytam te artykuły, widzę w nich coś w rodzaju wypracowań na zadane tematy. Nie mogłem pisać o swoich prawdziwych przeżyciach. Na ten ostatni temat napisałem tylko swój ostatni przedmaturalny artykuł stwierdzając, że nie wiem, co będzie ze mną dalej, delikatnie napomykając o tym, że nie wiem już, jakie są moje przekonania i wierzenia.

Pewnie po moich próbach pisarskich w „Kuźni Młodych” przyłgnęło do mnie przezwisko „Redaktor”. Bolek Król napisał w Roczniku naszej szkoły, wydanym z okazji jej dziesięciolecia, opowiadanie zatytułowane „Imioniska”. Każdy z nas w klasie miał oczywiście swój przydomek lub przezwisko, jak nas było dwunastu. Bolek opowiada dowcipnie o pochodzeniu tych przezwisk. Mnie uwiecznił jako redaktora uczniowskiego pisma „Głos spod ławki”.

Jeśli chodzi o kontakty ze światem zewnętrznym w klasie szóstej, to muszę wspomnieć o odczycie, jaki wygłosił w naszej szkole słynny podróżnik nazwiskiem Jarosz. Mówił nam o swoich podróżach po Ameryce. Opowiadał o przygodach za Oceanem bardzo żywo i interesująco, a na zakończenie powiedział „A teraz życzę Wam wszystkim podróży do Ameryki”. Na sali rozległ się śmiech. Mówił przecież do gromady prostych, wiejskich chłopców, gdzieżby komuś powstały w głowie takie marzenia. Odczyt Jarosza przypomniał mi się we wrześniu 1938 roku, kiedy odpływałem Batorym z Gdyni do Ameryki. Potem przyszedł mi na myśl w 1969 roku, kiedy w ramach zorganizowanej przeze mnie Polsko-Amerykańskiej Wymiany Rolniczej wysyłałem na rok do USA asystenta z Wyższej Szkoły Rolniczej z Krakowa, nazwiskiem Jarosz. Był to syn podróżnika, który opowiadał nam o Ameryce w siedleckiej szkole i życzył podróży za ocean. A potem dowiedziałem się, że wojna rzuciła za ocean kilku wychowanków naszej szkoły: Kowalewski, Gontarski, Argasiński. Żaden z nich do Ojczyzny nie wrócił.

Nadeszły pierwsze wakacje, które musiałem spędzić w sutannie, przebywałem najwięcej w domu lub w kościele, często w towarzystwie proboszcza. Spędzałem więc czas w sposób dla mego wieku mało naturalny. Wydaje mi się, że rodzaj szkoły odbił się niekorzystnie na moim rozwoju fizycznym. Wyżywienie było bardzo jednostajne i niewłaściwe. Przyrządzały nam je siostry zakonne. Na śniadanie dostawaliśmy zabielałą mlekiem kawę zbożową i chleb ze smalcem, rzadziej z masłem. Na drugie śniadanie glonkę chleba ze smalcem. Na obiad mały kawałek mięsa, oprócz dni postnych, najczęściej kaszę jęczmienną, tylko dwa razy w tygodniu ziemniaki. Jeszcze do dziś mam odrazę do kaszy jęczmiennej, a uwielbiam ziemniaki. Na kolację podawano herbatę i chleb ze smalcem. Warzyw ani owoców prawie wcale nie dostawaliśmy, z wyjątkiem kapusty i kiszonych ogórków. Tak więc dieta była uboga, nieracjonalna, zbyt mało mieliśmy białka, bo porcje mięsa były niewielkie, zbyt mało owoców i warzyw. Jeśli doda się do tego, że prowadziliśmy tryb życia bardzo osiadły, mieliśmy bardzo mało ruchu, to nic dziwnego, że odbijało się to źle na naszym rozwoju fizycznym.

Pewnego razu urządziliśmy strajk głodowy. Na kolację dostawaliśmy herbatę z mlekiem w garnuszkach blaszanych, starych z odpryskującą polewą. Siostry do czystości nie miały zamiłowania. Kubki po prostu śmierdziały, bo mleko między potrzaskaną polewą pozostające wydawało zapachy nad wyraz przykre. Prosiliśmy, aby dawano nam herbatę bez mleka, ale nie zgodził się na to ks. Dyrektor, utrzymując zupełnie słusznie, że młodym ludziom mleko jest potrzebne. Pewnego dnia nikt z nas nie ruszył kubka pełnego herbaty z mlekiem. Wpadł ks. Dyrektor, ale mimo jego krzyku nikt herbaty nie ruszył. Od następnego dnia dostawaliśmy herbatę bez mleka.

Po wakacjach wróciliśmy do szkoły. Zaczęła się klasa siódma, którą mogę śmiało nazwać decydującą w moim życiu. Kończyłem osiemnasty rok życia, dorastałem, dojrzewałem. W tym wieku chyba najczęściej w życiu młodego człowieka zapadają decyzje, od których zależą dalsze

lata czynnego życia. Nie stanowiłem tu żadnego wyjątku. Nie miałem wątpliwości, że zostanę księdzem. Nie przychodziło mi nawet na myśl, żeby mogło być inaczej. Wraz z całą hierarchią kościelną, z którą się spotkałem, a do której najniższego szczebla wszedłem dzięki sutannie, uważałem, że wszyscy ludzie niewierzący są występni i źli. Nie raziło mnie powiedzenie, że „człowiek bez religii gorszy psa” i że „Polak i katolik to jedno”. Dogmatami i nakazami bardzo się przejmowałem. Do spowiedzi i komunii chodziłem często.

Pamiętam, jak kiedyś rano przed mszą połknąłem w parku kilka owoców głogu, zapomniałem o tym i podczas mszy przyjąłem komunię. Dopiero wtedy uprzytomniłem sobie, że popełniłem straszne świętokradztwo. Przecież komunię należało wtedy przyjmować rano zawsze przed jedzeniem. Zaraz wieczorem poszedłem się wyspowiadać. Spowiednik zbagatelizował sobie mój występnek, ale mimo to nie spałem kilka nocy, męczyło mnie moje świętokradztwo.

Czytałem coraz więcej dzieł przyrodniczych. Połknąłem po prostu Darwina i wyszukiwałem w naszej bibliotece, zwłaszcza w jej części dla uczniów niedostępnej, wszystko to, co dotyczyło się teorii ewolucji. Mój stosunek do religii zaczął się niepostrzeżenie zmieniać. O ile dawniej myślałem o stanie duchownym głównie ze względu na Boga, to teraz ze względu na ludzi. Mniej interesowało mnie to, że jako kapłan będę bronił ludzi od mąk piekielnych, a więcej to, jak będę mógł im pomagać w życiu doczesnym. Myślałem o pracy społecznej księdza na wsi, o tym, że może on szerzyć oświatę, między innymi oświatę rolniczą, podnosić poziom rolników. Z zapałem w oczach słuchałem o proboszczach, którzy organizują kółka rolnicze, spółdzielnie mleczarskie i ogrodnicze. Słynne było wtedy nazwisko księdza Blizińskiego z Liskowa, który taką działalność prowadził jeszcze przed wojną i sprawił, że cała jego wieś i gmina podniosła się na wyższy szczebel gospodarczego rozwoju. Postanowiłem go naśladować, gdy sam księdzem zostanę.

Oprócz książek naukowych czytałem także powieści, a w każdej był wątek miłosny, ale ta strona życia nie miała żadnego wpływu na moją ostateczną decyzję, a nawet było chyba odwrotnie. We wszystkich powieściach niebiańsko piękne kobiety wpadały w ramiona wysokich, przeważnie bardzo bogatych mężczyzn, a ja dorosłem tylko do 162 cm, za przystojnego w żadnym razie się nie uważałem, do bogactwa było mi bardzo daleko. Wydaje mi się, że miałem wtedy ogromny kompleks niższości. Byłem pewien, że żadna dziewczyna nigdy się we mnie nie zakocha, a więc miejsce moje było w stanie kapłańskim.

Połykane przeze mnie powieści zwracały też moją uwagę na inne, ujemne strony życia. Na zakłamanie i niesprawiedliwość, na brutalność, chamstwo i chciwość. W religii widziałem przede wszystkim etykę. Chciałem poświęcić życie, by szerzyć wśród społeczeństwa wzniosłe zasady etyki chrześcijańskiej.

Jeśli chodzi o moich kolegów, to nie trudno było zauważyć, że wahania niektórych, co do planów na przyszłość, wynikały z gwałtownego zainteresowania się płcią odmienną. Okna naszych sal szkolnych wychodziły na ul. Kościuszki, którą tłumnie spacerowały zwykle uczennice pobliskiego gimnazjum żeńskiego im. Królowej Jadwigi. Do tych okien na pauzach tłoczyli się koledzy, próbowali zaczepiać przechodzące panny, albo też odpowiadać na ich uwagi.

W naszej bursie była sala, gdzie w czwartki i w niedziele po południu przyjmowało się gości. Do jednego z kolegów z naszej klasy, Mundka S, przychodziła zgrabna, powiewna kuzynka, Jadzia S. Sala, w której przyjmowano gości, była przechodnia. Kiedy Jadzia odwiedzała Mundka, przez gościnną salę w tę i z powrotem przewijał się korowód naszych chłopców, aby na dziewczynę popatrzeć. Najczęściej i najdłużej przypatrywał się jej N.N. Chłopiec najmniej w naszej klasie rozgarnięty, ale najbardziej wolę bożą czujący. Wszyscy zauważyliśmy, że N.N.



pożera Jadzię oczyma. Bolek Król wdał się z nim w rozmowę i zyskał jego zaufanie. N.N. zwierzył mu się ze swego zakochania. Bolek zapewnił go, że Jadzia również na niego patrzy inaczej niż na nas. Poradził, żeby napisał do niej i wyznał swą miłość. N.N. długo się wzdrygał, ale wreszcie dał się namówić. Sam jakoś wyrazić tego, co czuje, nie potrafił, ale Bolek jako znany w klasie poeta pomógł mu i wspólnie wypieklili list, który przekazali Mundkowi, aby oddał go swej kuzynce.

Mundek był oczywiście w zмовie z nami. Długo w nocy nie mogliśmy zasnąć, brzuchy bolały nas ze śmiechu, kiedy list czytaliśmy. Bolek w imieniu Jadzi zredagował ostrożną, nieśmiałą na razie, ale zachęcającą odpowiedź, którą Mundek wręczył N.N. Tak wymieniono z obu stron po kilka listów. Ich temperatura podniosła się na pewno powyżej punktu wrzenia. Teraz postanowiliśmy zaaranżować konfrontację kochanków. Jadzia oczywiście nic o tym nie wiedziała. Tak scenę przygotowaliśmy, że kiedy weszła do pokoju przyjąć, nie było tam nikogo. Wchodzi N.N. i zdumionej Jadzi zaczyna wyrzucać z siebie poplątane podziękowania i wyznania. Niestety zbyt wcześnie ukryci za kotarą wybuchneliśmy śmiechem. Jadzia pierzchła, a N.N. złapał za ciężki pogrzebacz, ale obeszło się bez trupów.

Na stopniową zmianę moich przekonań wpłynęło wiele czynników. Na pewno dużą rolę odegrali tu nauczyciele. Z Prof. K. wiele razy dyskutowaliśmy sprawy ewolucji. Ewolucji nie odrzucali już świątli księża. Ks. prefekt na religii nauczał, że człowiek prawdopodobnie rozwinął się ze zwierząt małpokoształtnych, ale na jakimś etapie jego rozwoju Bóg tchnął w niego nieśmiertelną duszę. Kiedy zapytałem prof. K. co o tym sądzi, powiedział, że „każdy dorastający młody człowiek musi sam swój światopogląd zbudować” i dalej nie chciał na ten temat rozmawiać.

Francuskiego i niemieckiego uczyła w naszej szkole p. A. Była to starsza już pani, jakiegoś węgiersko- polsko- rosyjsko- niemieckiego pochodzenia, mówiąca bardzo źle po polsku. Trudno mi dziś sądzić, czy mówiła dobrze po francusku, ale nie lubiliśmy ani jej, ani jej lekcji. Nazywaliśmy ją: „ucu, ucu - nie doucu”, to znaczy: „uczyłeś się, uczyłeś, ale nie douczyłeś”.

Mniej więcej tyle samo z nas uczyło się niemieckiego, co francuskiego, ale potem proporcje się zmieniły. Uczących się francuskiego w naszej klasie było coraz mniej, a w siódmej klasie pozostało nas tylko dwóch, Felek C. i ja. Pani A. odeszła z Siedlec. Ks. Dyrektor zaangażował do nas pannę P., uczącą francuskiego w państwowym Gimnazjum im. B. Prusa w Siedlcach. Panna P. miała około dwudziestu pięciu lat, była wysoką, szczupłą, bardzo przystojną osobą. Podobno mieszkała przez wiele lat w Paryżu, francuski nie tylko znała, ale go kochała, entuzjastycznie się nim. Chyba obaj z Felkiem z miejsca zakochaliśmy się w niej platonicznie. Wszystko byśmy dla niej zrobili, a między nami powstało coś w rodzaju sprzysiężenia. Żadnego przedmiotu nie uczyliśmy się tak, jak francuskiego. Nic też dziwnego, że będąc tylko we dwóch opanowaliśmy go wyjątkowo dobrze. Nie czytaliśmy już polskich powieści, tylko francuskie. Pani Podhorodeńska przynosiła je z nie znanych nam źródeł w tajemnicy przed ks. Dyrektorem, bo czasami były to książki zakazane.

Na zakończenie każdego roku najlepszy uczeń w klasie dostawał książkową nagrodę. Były to zwykle polskie powieści. Po klasie szóstej dostałem np. powieść Rodziewiczówny „Lato Leśnych Ludzi”. Po klasie siódmej, na pewno na propozycję pani Podhorodeńskiej, wręczono mi encyklopedię Larousse'a z 1932 roku z dedykacją wypisaną złoconymi literami i podpisami całej Rady Pedagogicznej. Była to pierwsza moja własna książka w języku obcym. Przyczyniła się na pewno do tego, że w roku następnym tym więcej czasu poświęcałem nauce języka francuskiego.

Ale największy wpływ na mój światopogląd miał nasz nauczyciel matematyki, Stanisław Rostkowski. Tak go kiedyś wspominałem: Byłem prymusem w swojej klasie od półrocza IV klasy aż do matury. Muszę o tym wspomnieć – „nie dla próżnej chwały”, jak to się pisze w starych dokumentach, lecz dlatego, że inaczej opowieść o moim nauczycielu trudno byłoby zrozumieć. A więc jako prymus cieszyłem się specjalnymi względami grona nauczycielskiego, a przede wszystkim ks. Dyrektora. Wiele mi było wolno. Wychwalano mnie wszędzie i zawsze, co naturalnie musiało mi uderzyć do głowy. Stałem się zarozumiały, byłem pewien, że posiadam talenty, którymi w rzeczywistości nie byłem obdarzony.

Ale znalazł się taki nauczyciel, który w kształtowaniu mego charakteru odegrał większą rolę niż ktokolwiek inny. Rostkowski nie był porywającym wykładowcą. Mówił zawsze głosem cichym, może nawet monotonnym, przekonywująco i rozumnie, ale raczej beznamiętnie. Prawdę mówiąc w pierwszych trzech latach nie lubiłem go specjalnie, lecz szanowałem.

Mieliśmy w szkole różne uroczystości kościelne i państwowe, imieniny biskupa i dyrektora. Na niektóre z tych uroczystości przygotowywaliśmy programy artystyczne - śpiewy, deklamacje, jednoaktówki, pantomimy, korzystaliśmy oczywiście ze znanych tekstów, ale zdarzało się, że pisaliśmy sami. Cokolwiek napisałem dotychczas spotykało się z powszechnym podziwem i pochwałami. Uważałem więc, że mogę coś napisać, ale mało było mi roli autora, podjąłem się roli reżyserowania i odegrania w niej roli aktora. Rzecz była o przygodach pijaka powracającego do domu po wieczornej libacji.

W pierwszym rzędzie sali gimnastycznej, zamienionej na teatralną, siedział ks. Dyrektor, obok goście, grono nauczycielskie, dalej pięć klas naszej szkoły. W czasie przedstawienia cała sala huczała śmiechem. Spoglądałem na ks. Dyrektora, nie śmiał się może tak, jak się tego spodziewałem, ale uśmiechał się dobrotliwie, może pobłażliwie. Natomiast pokładali się ze śmiechu moi koledzy, nauczyciele klaskali. Wszyscy, może nie wszyscy, nie mogłem przecież ze sceny wszystkich obserwować, nie przypominam sobie matematyka.

Po skończonym przedstawieniu wszyscy mi gratulowali, koledzy z klasy rzucili trzy razy w górę i raz o ziemię. Zasypiając nocą marzyłem pewnie o przyszłych laurach dramaturga.

Następnego dnia na pierwszej lekcji mieliśmy matematykę. Wydawało mi się, że Rostkowski jakoś często mi się przygląda. Po lekcji przywołał mnie do siebie. Szliśmy korytarzem, a gdy byliśmy już zupełnie sami, nauczyciel zatrzymał się, spojrzał na mnie i zapytał: „To tyś napisał tę wczorajszą pantomimę, Pieniążek?” „Ja, panie profesorze” - odpowiedziałem, dumnie wypinając chudą swą pierś. „Jeszcze nigdy nic podobnie obrzydliwego nie widziałem.” Odkręcił się na pięcie i poszedł pozostawiając mnie w całkowitym osłupieniu.

Oszolomienie trwało kilka dni. Rozmyślałem nad słowami nauczyciela, czy naprawdę moja pantomima nie tylko nic nie była warta, ale była nawet obrzydliwa. Jakże to być mogło, kiedy moi koledzy śmieli się i klaskali, a nawet uśmiechał się ks. Dyrektor. Już dawno wiedziałem, co to znaczy. „Vox populi - vox Dei.” Słowa nauczyciela bolały, jak przysłowiowe uderzenie szpicrutą w twarz. „Nie może tak być, buntowałem się - żeby on miał rację, w swoim sądzie odosobniony, skoro wszystkim się podobało.”

Powoli jednak zacząłem tracić pewność siebie. Przede wszystkim zastanowiłem się, jakie pobudki mogły Rostkowskim powodować. Nie miałem podstaw, żeby myśleć, że mnie nie lubi. Nie chwalił mnie przesadnie jak inni, ale często spokojnie mówił w klasie, że rozumiuję słusznie, logicznie, że moje wypowiedzi ustne czy pisemne są najlepsze. Zaczęły mi przychodzić do głowy pewne fakty, które jakby kątem oka widziałem przy różnych okazjach, ale nie zwracałem na

nie większej uwagi. Większość naszych nauczycieli demonstracyjnie okazywała swoją religijność. Na naszych rannych codziennych mszach wprawdzie nie często bywali, ale brali udział w bardziej uroczystych okazjach, w nabożeństwach odprawianych w katedrze. Pamiętam, że patrzyłem na jednej z takich uroczystości na Rostkowskiego, który stał niewzruszony, nie czynił żadnych gestów, jakich by się po nim spodziewano.

Intrygowało mnie to bardzo. Byłem jego brakiem uczestnictwa we mszy oburzony. Dopiero teraz zaświtało mi w głowie, że to musi być człowiek, który zawsze stara się być sobą, zawsze stara się postępować zgodnie ze swoimi przekonaniem. Więc chyba i w mojej sprawie po prostu powiedział to co myślał.

A inni? Ks. Dyrektor uśmiechał się, teraz już byłem pewien, że tylko pobłaźliwie, nauczyciele oklaskiwali mnie, bo jakże nie oklaskiwać prymusa? A koledzy? Po prostu nie mają wyrobienia, a każda draka, w życiu czy na scenie, zawsze im się podobała.

Zacząłem przyglądać się całej sprawie z boku, jakby tę pantomimę ktoś inny napisał. Może to rzeczywiście było wulgarnie? Po kilku dniach sam przyłapałem polonistę. Poprosiłem o szczerą ocenę mojego dzieła. „No - widzisz, jesteś młody, to twoja pierwsza rzecz, wyrobisz się.” Same ogólniki, ale już bez pochwał, a więc i on w głębi duszy to samo o pantomimie myślał, co matematyk. Nie zapytałem wprost, dlaczego zaraz po sztuce tak mi serdecznie gratulował. Zrozumiałem, że tu nie mogę się niczego spodziewać. Zdobyłem się na odwagę i poprosiłem matematyka o rozmowę.

Rozmowa trwała trzy godziny. Zaczęło się od pantomimy. Zanim wytłumaczył mi, że była płaska, wulgarna, zapytał mnie, czy mogę porównać ją z czymś, co już czytałem, czy widziałem. Potem powiedział, że w życiu jest wiele rzeczy obrzydliwych, ale przecież nie musimy ich na scenie pokazywać, że lepiej zajmować się czymś, co jest piękne i zdrowe. Najwięcej jednak czasu spędziliśmy rozmawiając o atmosferze, w której żyłem, o atmosferze naprawdę niebezpiecznej. Zaczął przytaczać wiele szczegółów z mojego postępowania i z odezwań się, z których wynikało, że jestem zarozumiały i bezkrytyczny względem siebie.

Najtrudniejszą częścią naszej rozmowy była sprawa szczerości. Jak przystoi na wiek młodzieńczy, nie mogłem tego pojąć. „Jeśli to wszyscy widzieli, widzieli, że król jest nagi, Panie Profesorze, to dlaczego nikt mi o tym nie powiedział oprócz Pana.” Wyjaśniał mi długo, wiele mówił o oportunizmie, o świętym spokoju.

W końcu rozmowy tak już swojej pantomimy nienawidziłem, że matematyk prawie zaczął jej bronić. Przekonywał mnie, że to jest drobiazg, którym nie warto się więcej zajmować. „Robisz wiele dobrych rzeczy i to się liczy, a nie ma człowieka, który wszystko dobrze robi. Każdemu coś się udaje, a coś się nie udaje, i takie jest życie. Jest tylko jedno złe przekonanie, że wszystko, coś zrobił, jest dobre. Pamiętaj o tym zawsze, gdy cię będą za coś chwalili.” Po tej rozmowie wiedziałem, że moim najlepszym przyjacielem w szkole jest Rostkowski.

To przekonanie utrwalił potem mój ostatni dzień w jej murach. Rostkowski na moje oświadczenie, że idę na uniwersytet, nic nie powiedział, uściśnął mi tylko rękę, na pewno znacznie mocniej i dłużej, niż to było w jego zwyczaju.

Tak się złożyło, że w życiu wiodło mi się raczej nieprzeciętnie. W młodszym niż zazwyczaj wieku przyszły tytuły naukowe i stanowiska. A więc dalej żyło mi się trochę tak, jak dawnemu prymusowi w siedleckiej szkole. Zbyt często ludzie prawili mi niezасłużone przesadne komplementy, zbyt często oklaskiwali. Mogę jednak zapewnić, że w takich chwilach najczęściej udawało mi się przebić wzrokiem poza nich i dostrzec w głębi spokojną, mądrze uśmiechniętą twarz mojego matematyka. „I tyś rzecz tak obrzydliwą napisał, Pieniążek?”

Proszę nie zrozumieć mnie źle. Bynajmniej nie straciłem wiary w siebie i w swoje zdolności, ale uznaję za rzecz oczywistą, że mogą mi się zdarzać takie gimnazjalne pantomimy, to znaczy rzeczy, które źle wykonałem, i sprawy, z których nie mogę być dumny.

Najtrudniejszym zadaniem dla każdego z nas jest właściwie ocenić własne postępowanie. Chyba w większości przypadków, dzięki Mistrzowi, z czasów młodości sam potrafię swoje błędy zobaczyć, ale na pewno nie zawsze i nie od razu. Od czasu do czasu zdarzy mi się, że znajdzie się nowy Rostkowski i przypomni, że „prawda tylko prawdę znaczyć powinna.”

Najważniejsze chyba jest to, aby w życiu każdego dorastającego młodzieńca, ot właśnie w szkole średniej, znalazł się taki Rostkowski, a nauk od niego otrzymanych nie zapomina się w życiu nigdy.

## Decyzja

Przez cały czas przyjaźniłem się z Władkiem, chociaż on uczył się w Janowie Podlaskim, a ja w Siedlcach, pozostawaliśmy w stałym kontakcie. Pisywaliśmy do siebie często w czasie roku szkolnego. Spędzaliśmy ze sobą wiele czasu w każdej wakacje oraz w niektóre ferie świąteczne. Władek był starszy ode mnie o cztery lata, ale pod niektórymi względami różnica między nami nie była aż tak duża. On pochodził z bardzo głębokiej wsi, z fanatycznie religijnej, dawnej unickiej rodziny. Moja rodzina była bardziej postępową, bardziej radykalną w swoich poglądach. W czasie wakacji często mówiło się u nas w domu o socjalizmie. Czytywałem pisma lewicowe przynieszone przez starszych braci. A i w czasie roku szkolnego moja lektura, dzięki nauczycielce języka francuskiego, była zupełnie inna od tej, którą w czasie swoich lat szkolnych czy też później w Seminarium czytywał Władek.

Mieliśmy wspólne zamiłowania przyrodnicze i to nas łączyło. Te właśnie zamiłowania spowodowały u Władka podobne zmiany światopoglądowe jak i u mnie, tyle, że u niego w znacznie późniejszym wieku, bo dopiero na trzecim kursie seminaryjnym. Dyskutowaliśmy żarliwie w czasie naszych przypadkowych spotkań. Wiosną 1932 roku, kiedy spotkaliśmy się w Siedlcach, Władek powiedział mi, że już nie jest człowiekiem wierzącym, że nie może już dłużej w Seminarium pozostać.

W czasach dzisiejszych nie byłaby to żadna tragedia. Młody człowiek rzuciłby w kąsuttannę i poszedłby na uniwersytet. Ale wtedy inne to były czasy. Władek powiedział rodzicom, że taki ma właśnie zamiar. Jego ojciec odrzekł mu na to, że takiej hańby w swojej rodzinie nie przeżyje. Zabije swoją żonę, a sam się powiesi. Zdjął ze ściany krucyfiks, położył palce na gwoździem przebitych stopach chrystusowych i złożył uroczystą wobec zgromadzonej rodziny przysięgę, że tak właśnie postąpi.

Nie była to teatralna komedia. Gdyby Władek z Seminarium wystąpił z własnej woli, nikt w społeczności wiejskiej nie dałby temu wiary, byłoby to nieprawdopodobne. Wszyscy byliby przekonani, że wyrzucili go za jakieś straszne występki. A to byłaby hańba, której jego ojciec nie mógłby przeżyć.

Władek najpierw długo zabiegał wokół ojca, próbował dyskutować, ale ojciec nawet słuchać nie chciał i groźbę swoją ponawiał: „tylko spróbuj”.

Poszedł Władek w parafii do swojego proboszcza. Niestety, i tam nie znalazł żadnego zrozumienia. Przyjechał na długą naradę do swojego dawnego opiekuna, ks. Dyrektora. Ten przyjął go jak zwykle bardzo serdecznie i wysłuchał bardzo uważnie. Znał dobrze fanatyzm, jaki panował w dawnych unickich wsiach, toteż nie lekceważył groźby Władkowego ojca. Poradził Władkowi, aby wystąpiwszy z Seminarium poszedł do zakonu jezuitów. Są tam ludzie wszechstronnie wykształceni. Może pod ich wpływem wróci wiara.

Władek usłuchał rady. Dzięki listowi polecającemu ks. Dyrektora przyjęto go do zakonu jezuitów w Kaliszu. Zorganizowano dla niego wstępne, trwające trzy miesiące rekolekcje, które miały mu wiarę przywrócić. Nic takiego się jednak nie stało. Mówił mi potem Władek, że „gdybym i trzy lata na rekolekcjach przesiedział, nie mógłbym uwierzyć w rzeczy, które mój rozum odrzuca”.

Wrócił znowu do ks. Dyrektora na długą rozmowę. Dostał teraz od niego radę, która mnie zdumiała. Otóż ks. Dyrektor poradził wrócić do Seminarium, mimo iż wiedział, że Władek u

jezuitów nie tylko nie odzyskał, ale utracił resztki wiary, jakie mu jeszcze pozostawały. Powiedział mu mniej więcej tak: „Wracaj do Seminarium, wiesz przecież, że w średnich wiekach wielu nawet wielkich uczonych, chociaż nie byli ludźmi wierzącymi, szło do zakonów, bo tylko tam tworzono im warunki, w których mogli oddawać się ukochanej przez nich dziedzinie nauki. Jeśli nie możesz iść na Uniwersytet normalnie, to wracaj do Seminarium, skończ je, a ja ci gwarantuję, że zaraz potem biskup pośle cię na biologię na Uniwersytet. Będiesz księdzem dla chleba, a przyrodnikiem z zamiłowania”.

Wrócił Władek do Seminarium. Skończył je w roku 1935. A ks. Dyrektor słowa dotrzymał. Biskup Przeździecki wysłał Władka na wydział matematyczno-przyrodniczy Uniwersytetu w Poznaniu. Uniwersytet ukończył tuż przed wojną. W czasie wojny głęboko zaszyty na podlaskiej wsi jako wikariusz, a w chwilach wolnych od posług religijnych uganiał się po polach za owadami, przygotowywał pracę doktorską. Doktoryzował się zaraz po wojnie. Jeszcze kilka lat pozostał w stanie kapłańskim, nauczając biologii w tym samym siedleckim gimnazjum biskupim.

Odwiedziłem go zaraz po moim powrocie z Ameryki w 1946 roku. Szkoła jeszcze istniała, tylko jej uczniowie nawet w starszych klasach nie nosili sutann. Kilku innych księży, oprócz Władka, uczyło świeckich przedmiotów. Byli to dawni nasi koledzy, spotykaliśmy się u Władka na herbacie i powstały nieuniknione w takich czasach dysputy.

Dopiero po kilku latach, gdy zmarł jego ojciec Władek zdjął sutannę i przeszedł do pracy naukowej, został profesorem. Ożenił się, miał jedną córkę. Zmarł, gdy córka doszła do matury.

Sprawa Władka była dość drastyczna. Zdarzało się jednak wiele innych, łagodniej przebiegających, ale także bolesnych.

Na wakacje po klasie siódmej, pełnej ważnych wrażeń i przeżyć, czekałem ze szczególną niecierpliwością. Pragnąłem bardzo odetchnąć jakąś inną atmosferą, wyzwolić się choćby na krótki czas z więzów sutanny. Razem z Bolkiem Królem, z kolegą z tej samej klasy, z którym się chyba najbardziej przyjaźniliśmy, postanowiliśmy puścić się na pieszą wycieczkę po kraju. W tamtych czasach można było liczyć tylko na własne nogi, wobec czego trasa wędrówki przebiegała z Siedlec do Puław i z powrotem, wracając oczywiście inną drogą, niż tą, którą mieliśmy dojść do Puław. Ks. Dyrektor pozwolił nam na odbycie tej wycieczki w ubraniach cywilnych. Uzbrojeni w plecaki i laski, które miały nas bronić od złego, wyszliśmy z Siedlec w kierunku południowym. Pierwszego dnia zrobiliśmy ponad 20 km, doszliśmy do Jagodnego, do brzegów Puszczy Jaty. Jej jądro stanowił rezerwat przyrody ustanowiony tam dla ochrony najdalej na północ wysuniętego w Polsce, poza Białowieżą, pierwotnego lasu jodłowego. Spędziliśmy tu dwa dni. Był to pierwszy pierwotny las, jaki w życiu oglądałem, toteż wywarł on na mnie wielkie wrażenie. Opisałem potem swoją wycieczkę w Roczniku Gimnazjalnym, wydany w 1933 roku. Oto wyjątki z tego opisu:

„Nigdy dotąd nie widziałem prawdziwej puszczy, dopiero Jata dała mi należyte wyobrażenie. Weszliśmy w mały, gęsty zagajnik, z gdzieś niegdzie sterczącymi wysokimi, olbrzymimi jodłami, zniszczonymi przez korniki, z gałęziami bez igieł, w połowie pooblamywanymi i odartymi: sterczą tak wśród jednolitej masy zieleni - czarne, nagie, wysokie. Dalej zagajnik przechodzi w bór wysoki, potężny, wyrosły na bagnie. Tu i ówdzie połyskuje woda. Jaka mieszanina drzew! Jesiony, klony, jawory, lipy, olchy, jodły i graby. Wszystkie dorodne, piękne, wysmukłe, nie takie, jak u nas w parku: grube, niskie i chorowite. Dołem rozpostarły się krzewy i młode drzewka, a jeszcze niżej olbrzymie turzyce, kosańce, trawy, a przede wszystkim paprocie - tak wielkie, świeże i fantastyczne, jakich nigdy nie widziałem. Bagna są niedostępne, więc przerzu-

cono przez nie kładki z szeregu ułożonych obok siebie kłoców, które tworzą długą aleję. W pewnym miejscu odchodzi od głównej alei boczna, którą doszliśmy na niewielkie wzniesienie, otoczone dookoła bagnami. Tu bór najpotężniejszy i najciekawszy. Jodły dochodzą do 44 m wysokości, klony i jawory są również potężne. Tu, lat temu prawie siedemdziesiąt, ks. Brzózka ćwiczył swoich powstańców. Wytropiony przez szpiegów, musiał uchodzić dalej. Długo staliśmy na uroczysku, wpatrując się w splekane konary, widok i cisza onieśmiały, nawet nie dzieliliśmy się wrażeniami”.

Mijaliśmy na drodze furmanki jadących na jarmark chłopów, przyłączaliśmy się do gromadek dzieci, które częstowaliśmy cukierkami. Nocowaliśmy po wsiach. Nie zgłaszaliśmy się po noclegi do sołtysa. Wszędzie, gdzie wstępowaliśmy, przyjmowano nas gościnnie, pojono mlekiem, karmiono chlebem, jajecznicą. Nie zdarzyło się ani razu, żeby gospodyni przyjęła zapłatę. Przedstawiliśmy się jako uczniowie, ale nie wymienialiśmy nazwy naszej szkoły. Nocowaliśmy zawsze za zgodą gospodarza w stodole na sianie. Przeszliśmy przez Kamień i Kłoczew, dobrnęliśmy do Dębłina, a stamtąd do Puław i do Kazimierza.

Pogoda była piękna, słoneczna, upalna. W Kazimierzu obejrzelśmy rynek, ruiny zamku. Wrażenie zrobiły na nas resztki rozpadających się słynnych kazimierzowskich spichrzów. Poszliśmy się wykapać i spędziliśmy cały dzień na plaży. Postanowiliśmy kawałek powrotnej drogi przejechać statkiem. Żegluga rzeczna była w rękach jakiejś prywatnej, pewnie żydowskiej firmy. Świadczyły o tym napisy i ogłoszenia na przystani, zredagowane w bardzo specyficznej polszczyźnie. Wyczytaliśmy, komu przysługują zniżki: „Dla uczniów - 50% zniżki. Dla duchownych szczykich wyznań - 50% zniżki”.

W kasie siedział może 15-letni chłopak żydowski, nieprawdopodobnie blady, w czarnym surducie i jarmulce, spod której spadały mu po obu stronach uszu równie czarne, kręcone pejsy. Zamierzaliśmy statkiem dopłynąć do przystani w Pawłowicach. Całodzienny pobyt na słońcu zrobił swoje. Obaj mieliśmy dreszcze, a statek utknął gdzieś po drodze na mieliźnie. Dotarliśmy do Pawłowic o północy. Na przystani tylko kładka do brzegu i pustkowie. W nieznanym terenie, trzęsąc się z zimna dobrnęliśmy wreszcie do wsi Paprotna. Całe szczęście, że we wsi odbywało się wesele, ludzie nie spali. Ledwo obroniliśmy się przed zaproszeniami na wesele. Utonęliśmy w sianie w najbliższej stodole. Opalenizna nie dała nam spać.

Przez Żelechów, Stoczek i Wolę Wodyńską wędrowaliśmy dalej, aż szczęśliwi i weseli dotarliśmy do Siedlec. Nałożyliśmy sutanny i, przybrawszy na powrót poważne miny, udaliśmy się do naszych rodzinnych pieleszy, by spędzić w nich resztę wakacji.

Do szkoły wróciłem w nastroju pełnym oczekiwania i podniecenia, rozpoczynałem ósmą, czyli ostatnią klasę. Mocno przeżywałem wszystko przez co przechodził Władek. Jak zwykle połowa chłopców poszła do Seminarium, połowa w świat. Nie wszystkim udało się wstąpić na wyższe uczelnie. Niektórym wiodło się bardzo źle, panował przecież ciężki kryzys ekonomiczny. Mnie żyło się jak u Pana Boga za piecem: nie płaciłem za szkołę, dostawałem nawet trochę pieniędzy na pokrycie kosztów wycieczek szkolnych, na zakup sutanny i podręczników szkolnych, dalej prowadziłem gabinet przyrodniczy, dalej cieszyłem się względami ks. Dyrektora.

Nie mogłem spokojnie myśleć o tym, że w ciągu tego właśnie roku szkolnego będę musiał podjąć ostateczną decyzję.

Coraz bardziej widziałem stan kapłański jako nieobciążonych rodzinami społeczników. Chyba gdzieś w połowie roku zdałem sobie jednak sprawę ze stanu swego ducha i powziąłem decyzję, że do Seminarium Duchownego nie pójdę. Teraz dopiero opadły mnie skrupuły i świadomość tego, w jakim zakłamaniu żyłem do tej pory. Z jednej strony brak wiary, z drugiej ego-

izm powodowany chęcią zapewnienia sobie wygodnego życia. Jeśli dowie się o tym ks. Dyrektor, wyrzucą mnie przed maturą. Zdołałem się na odwagę i powiedziałem wszystko spowiednikowi. Był to człowiek prosty i cichy, spowiadał nas od czterech lat i znał bardzo dobrze. Powiedział mi, że nie wiem, co mówię, że różne rojenia biorę za rzeczywistość, ale takie stany ducha przechodzą. Powiniennem się tylko modlić i czekać cierpliwie, a wiara sama powróci.

W rzeczywistości czasami jeszcze zdobywałem się na modlitwę. Czekałem wtedy, czy wiara powróci. Zbliżały się wielkanocne trzydniowe rekolekcje. Były to rekolekcje nieme, podczas których nie wolno było nam z sobą rozmawiać. Prowadził je zwykle jakiś zakonnik, najczęściej jezuita, a trzeba było przyznać, że jezuita wyróżniali się wykształceniem i podejściem do nas. Kazania były bardzo ciekawe. Otóż w jednym klasztorze była bardzo pobożna zakonnica. Wieść o jej pobożności rozeszła się dokoła, zaczęto uważać ją za świętą i oczekiwać cudów. Dowiedział się o tym biskup i wysłał tam księdza, aby całą rzecz zbadał. „Czy to ty jesteś tą słynną świętą, o której dziś się mówi?” - pyta ksiądz. „Ja, proszę wielbnego księdza” - odpowiada zakonnica. Ksiądz nie pytał już o nic więcej. Wiedział co odpowiedzieć biskupowi. A my otrzymaliśmy naukę na zbliżające się samodzielne życie. Po zakończeniu rekolekcji odbywała się spowiedź. Spowiedników, jak zwykle było wielu. Pamiętam jednego tęgiego kanonika z ogromnym czerwonym nosem. Unikaliśmy go jak ognia, bo scenicznym szeptem, który wszyscy wokół słyszeli, wymieniał grzechy penitenta, strasząc go wiecznym potępieniem.

Udało mi się dostać do spowiedzi u jezuita. Wyjaśniłem mu swoją sytuację. Nie powiedział mi nic więcej niż nasz poczciwy spowiednik. Zalecał modlitwę i cierpliwość. Ale we mnie decyzja już zapadła.

Podczas ferii wielkanocnych postanowiłem powiedzieć o niej rodzicom. Zwierzyłem się najpierw matce, bo wprawdzie wiedziałem, że moja decyzja zabolii ją najbardziej, ale w niej widziałem najbliższą, najbardziej rozumiejącą mnie istotę. Matka popłakała się, ale oczywiście nie zrobiła mi żadnych wyrzutów. Poradziła, abym z ojcem pomówił na osobności.

Skorzystałem z tego, gdy szliśmy do lasu kopać karpą na opał. Słuchał i nic nie mówił. Gdy zamilkłem, znowu ani słowa. Więc mówiłem jeszcze i jeszcze, wyjaśniając dlaczego zdecydowałem się nie iść do Seminarium, lecz na biologię na Uniwersytet Warszawski. Kiedy już wyczerpałem wszystko, co mogłem powiedzieć, znowu zapadło długie milczenie. Dopiero w powrotnej drodze ojciec przemówił: „Chyba nie oczekujesz, że ucieszę się z twojej decyzji. Wolałbym, abyś poszedł na księdza, ale to twoje życie, a nie moje. Masz prawo tak je urządzić, jak uważasz za stosowne. Mnie chodzi tylko o jedno. Dokądkolwiek pójdziesz, kimkolwiek będziesz, ważne jest tylko to, abyś był porządnym człowiekiem, jak wszyscy w naszej rodzinie”.

Nigdy nie zapomnę tych kilku zdań, które mi ojciec powiedział. Zbyt dobrze znałem swoich rodziców, by obawiać się ich ostrych sprzeciwów wobec mojej decyzji, wiedziałem, że przyjmą to bez wymówek, bez nalegań, bym ją zmienił. Nie spodziewałem się jednak, że cała sprawa przejdzie tak łatwo, że ojciec uzna mnie za zupełnie dorosłego, którym już nie może kierować. A jak wzruszające było to jego ostateczne zdanie, w którym podkreślił, że zależy mu tylko na tym, abym wyszedł w życiu na „porządnego człowieka”.

Zdawałem sobie sprawę z tego, że rodzice będą musieli przeżyć z mego powodu upokorzenie. W czasie wakacji, gdy zrzuciłem raz na zawsze sutannę, opowiadano, że mnie z Seminarium wyrzucono. Dopowiadano do tego różne przypuszczenia i grzechy, za które rzekomo wyrzucony zostałem. Nie było to dla rodziców łatwe, tym bardziej, że na pewno marzyli o tym, bym w życiu był kimś znacznie lepszym, cieszyli się, że będę księdzem - to osoba ważna. A kim w życiu



cywilnym zostaną, tego nie mogli sobie wyobrazić. Pozostawała też sprawa materialna. Wybierając uniwersytet miałem przed sobą pięć lat studiów, za które trzeba było płacić, a poza tym zapewnić sobie na ten czas utrzymanie.

Ojciec powiedział, że sam chyba zdaje sobie sprawę z jego sytuacji materialnej. Chętnie by mi pomógł finansowo, ale nie ma z czego. W dalszym ciągu moich dwóch starszych braci nie miało pracy, siebie mogli zaledwie utrzymać. Siostra Janina była jedyną w naszej rodzinie osobą mającą stałą posadę, chociaż słabo płatną. Waclaw skończył szkołę podstawową i chciał uczyć się dalej, ale brakowało pieniędzy na posłanie go do szkoły średniej. Pozostał w domu i pracował razem z ojcem przy stolarce i ciesielce. Pracował z ojcem jako stolarz, ale uczęszczając na kursy wieczorowe i ucząc się po całych nocach dostał wreszcie maturę, co mu pozwoliło później na pójście na Politechnikę Warszawską. Ukończył ją i pracował potem jako inżynier architekt. Wanda też kończyła szkołę podstawową. Udało się jej dostać do trzyletniej Miejskiej Szkoły Rękodzielniczej w Warszawie. Mieszkała w domu i dojeżdżała do Warszawy codziennie pociągiem. A to kosztowało. Najmłodszy brat jeszcze chodził do szkoły w Radości. I ja mogłem mieszkając w domu codziennie pociągiem na Uniwersytet dojeżdżać. Już samo to byłoby dla mnie wielką pomocą. Jeszcze w czasie ferii wielkanocnych rodzzeństwo dowiedziało się o mojej decyzji. Starsi bracia ucieszyli się. Janina przyjęła moje stanowisko spokojnie i podeszła do niego rzeczowo, powiedziała, że na pierwszym roku pomoże mi w zapłaceniu czesnego.

Wróciłem do szkoły po świętach bardzo pokrzepiony na duchu. Kości zostały rzucone. Mało tego, dzięki obiecanej pomocy finansowej ze strony siostry i możliwości mieszkania w domu, moje studia wyglądały całkiem realnie. Przyszedł czas decyzji o kierunku studiów. Mimo zamiłowań przyrodniczych, nie wydawało się to proste. Wiedziałem, że nie mam uzdolnień jednokierunkowych, jak niektórzy moi koledzy: Bolek Król był urodzonym polonistą, Julek Lewczuk na odwrót, miał zdolności do matematyki i fizyki, natomiast łacina i języki nie przychodziły mu łatwo, a ja - wydawało mi się - byłem uczniem niezdecydowanym, bez żadnego wyraźnego ukierunkowania czy upodobania. To, że interesowałem się przyrodą, zawdzięczam raczej okolicznościom niż zamiłowaniom. Zajęcie się gabinetem przyrodniczym dało mi możliwość przetrwania przez cztery ostatnie lata gimnazjalne.

Dzięki Woszczerowiczowi bardzo polubiłem łacinę i grekę, a także kulturę świata starożytnego. Przez długi czas kusiło mnie, aby studiować języki starożytne. Rozważałem też możliwość studiowania medycyny.

Stały kontakt z przyrodą w szkolnym gabinecie, rozczytywanie się w literaturze przyrodniczej, zwłaszcza w pracach prof. Władysława Szafera, oraz szperanie po łąkach, polach i lasach w czasie wakacji i ferii świątecznych, wpłynęło na podjęcie mej ostatecznej decyzji. Zdecydowałem, że pójdę na Wydział Matematyczno-Przyrodniczy Uniwersytetu Warszawskiego, na sekcję biologiczną, a specjalizował się będę oczywiście w botanice.

Przyszedł czas na przygotowania do matury. Było nas w klasie dwunastu: uczniowie, jak to się zwykle dzieje, jedni silniejsi, drudzy słabsi. Gdyby każdy z uczniów był egzaminowany na osobności, to pewnie może ze dwóch, może trzech matury by nie otrzymało. Wiedzieliśmy jednak, że nie tylko u nas, ale w całym kraju jak Polska długa i szeroka istnieje solidarność grupowa, solidarność całej klasy. Uczniowie silniejsi nie pozwolą, by przepadali słabsi. Od czego ostatecznie są ściągawki?

Podpowiadanie i ściąganie w szkołach od powszechnych po wyższe, ma w świecie długą i ciekawą tradycję. Podobno wywodzi się z tych czasów, gdy w szkołach zaborców obcy nauczyciele, Niemcy i Rosjanie, uczyli nasze dzieci, gdy uczyli je w obcym języku. Stało się wtedy pa-

triotycznym obowiązkiem uczyć się obcego języka jak najmniej, a jednak przy egzaminie wykazywać jego dostateczną znajomość. Było czynem szlachetnym wprowadzać w błąd, oszukiwać nauczyciela, który był jednocześnie prześladowcą. Prześladowcy odeszli, a tradycja podpowiadania i ściągania pozostała. Jest to w samej rzeczy oszustwo, ale nie nazywamy go słowem tak brzydkim. Zostały stworzone słowa specjalne - ściąganie, ściągawka, których nie ma wcale w niektórych obcych językach.

Jest rzeczą bardzo ciekawą, że ani w Wyższym Gimnazjum Biskupim, ani w Seminarium Duchownym ściąganie nigdy nie uchodziło za oszustwo, nie było uważane za takie przez władze duchowne. Nikomu z nas, ani z alumnów Seminarium, nie przyszłoby do głowy, żeby spowiadać się z tego, że komuś podawało się ściągawkę, albo że ze ściągawki korzystało. Nigdy nam tego nie sugerował ksiądz nauczający etyki na lekcjach religii. Dopiero w kilka lat później, gdy wyjechałem na studia do Ameryki, spotkałem się z tym problemem. Zauważyłem, że na tamtejszym uniwersytecie nikt tego nie robi. Zajrzałem do słownika i znalazłem, że polski wyraz „ściąganie” tłumaczy się na angielski wyrazem „cheating”, to znaczy po prostu oszustwo. Kiedy zacząłem na ten temat rozmawiać, to dowiedziałem się czegoś, co mnie bardzo zawstydziło, że robią to tylko cudzoziemcy. A kiedy wdałem się w szerszą rozmowę, dowiedziałem się, że był to Polak.

Teraz jednak żadne niuanse polityczne nas nie męczyły. Mieliśmy zdawać egzamin piśmienny z czterech przedmiotów: z polskiego, z języka nowoczesnego, z łaciny i z matematyki oraz ustny z tych samych przedmiotów plus nauka o Polsce, historia i fizyka.

Wszyscy najbardziej bali się egzaminów piśmiennych, bo wiadomo „scripta manent”, to co napisane - zostaje. Natomiast na egzaminie ustnym nauczyciel zawsze może umiejętnie doprowadzić pytanego na właściwą odpowiedź. Przygotowaliśmy całą strategię. Ściągawki miały sens oczywiście tylko na łacinie i matematyce, a nie na języku polskim czy obcym. Łacinę przetłumaczyłem szybko. Delegat siedział przy stole. Kiedy obejrzał się, podałem ściągawkę na lewo, potem w chwili stosownej na prawo. Opowiadał później mi Woszczerowicz, że była scysja z delegatem z kuratorium. Mieliśmy tekst z Cycerona, który opisuje pewnego senatora i jego togę, którą nazwał: „toga versicolor”, to znaczy dosłownie toga różnokolorowa. Wiadomo, że senatorowie rzymscy nosili togi purpurowe. Autor chciał pewnie powiedzieć, że toga mieniła się w słońcu kolorami tęczy. Dla jednych na ściągawce napisałem dosłownie „toga różnokolorowa”, niech się sami męczą z interpretacją, sam napisałem - toga mieniąca się kolorami tęczy. Woszczerowicz postawił mi piątkę, delegat miał co do tego wątpliwości, był za dosłownym tłumaczeniem.

Egzamin piśmienny z matematyki o mało dla jednego z uczniów nie zakończył się tragicznie. Był to N.N., młodzieniaszek niewinny, zwłaszcza w dziedzinie wiedzy matematycznej. Wspomniałem już, że piszę nieporządnie i niezrozumiale. Otóż literę g w skrócie tg napisałem niewyraźnie, nie zamykając jej brzegów u góry, a więc wyszło z tego ty + ty, zamiast tg + tg. Nasz młodzieniaszek tak właśnie zadanie przepisał. Był on niezwykle uzdolniony w sztuce kaligrafii, to też, żeby nie było żadnej wątpliwości, napisał ty + ty, wywijając na zewnątrz lewą stronę litery "y". Delegat długo nad tym dumał i coś podejrzewał ale mu wytłumaczono, że nasz kolega ma właśnie taki dziwny sposób pisania pewnych liter. Na wszelki wypadek postawił mu trójkę.

Tak więc maturę pisemną zdali wszyscy. Zaczęliśmy się przygotowywać do ustnej. Wprawdzie mówiło się, że musimy zdawać z siedmiu przedmiotów, ale tak źle w rzeczywistości nie było. Kto miał z nauki o Polsce, z historii i fizyki czwórkę jako stopień roczny, tego zwalnia-

no z egzaminu ustnego. Jeśli zaś chodzi o przedmioty, z których zdawało się egzamin pisemny, to obowiązywały te same zasady. Trzeba było jednak zdawać egzamin ustny przynajmniej z jednego przedmiotu, choćby się miało stopnie najlepsze. Tak więc cała nasza dwunastka zdała egzaminy maturalne z wynikiem pomyślnym, jedni lepiej, drudzy gorzej.

Matura nasza zbiegała się z dziesięcioleciem szkoły. Zakończenie roku było więc bardzo uroczyste. Wziął w nim udział nie tylko biskup Przeździecki, jak co roku, ale liczne duchowieństwo i pięć roczników poprzednich maturzystów. Zjechali się z Seminarium Duchownego w Janowie, z Uniwersytetów oraz tacy, którzy poszli do pracy.

Pożegnałem się serdecznie z ks. Dyrektorem. Powiedziałem mu, że wybieram się na studia przyrodnicze do Warszawy. Wydało mi się, że przy zwyczajnym „Niech cię Bóg błogosławi” uchwyciłem w jego głosie jakąś nutkę szczególną, a w oczach jakiś błysk niezwykły. I ja byłem bardzo wzruszony. Żegnałem człowieka, który umożliwił mi przejście przez szkołę średnią, któremu tak wiele zawdzięczałem, gdyby nie zwrócił na mnie uwagi, nie zainteresował się mną, nie wypytał o warunki finansowe mej rodziny, musiałbym wcześniej naukę przerwać. Żegnałem człowieka, którego głęboko szanowałem i którego podziwiałem za stworzenie takiej szkoły, jaką było nasze gimnazjum.

## Pierwszy rok na uniwersytecie

Na Uniwersytecie Warszawskim obowiązywał konkurs matur, egzaminów wstępnych nie było. Nie obawiałem się więc o to, że mogą mnie nie przyjąć. Kandydatów nie było wielu, bo i nie wiele było średnich szkół w Polsce, nie wszyscy mieli odwagę czy też możliwości studiowania. Za naukę trzeba było płacić tak zwane chesne. Parę lat przed moim wstąpieniem na Uniwersytet, przeprowadzono zmiany na uczelniach. Podwyższono chesne i tak rozłożono raty, że najczęściej płacono się na pierwszym roku, aż 320 zł, a najmniej na czwartym - tylko 220 zł. Prasa krytykowała, że zrobiono to z wyraźnym wyrachowaniem, aby zniechęcić do wstępowania na studia najuboższych, a zwłaszcza tych z prowincji. Wiadomo, że najgorszy dla studenta z prowincji jest w wielkim mieście pierwszy rok, zanim się rozpatrzy i nie znajdzie sobie źródeł zarobkowania. Żeby jeszcze wstępowanie na studia utrudnić, minister oświaty, Jędrzejewicz, postanowił że pierwsza połowa chesnego musi być wpłacona już w pierwszym miesiącu studiów i nie może być rozłożona na raty. Stypendiów na pierwszym roku nie było żadnych, a na dalszych latach niewiele. O ministrze - za sprawą studentów - mówiło się na Uniwersytecie jak najgorzej. Natomiast pracownicy naukowcy mieli żal za częściowe zniesienie autonomii uniwersyteckiej i zwolnienie lub też przedwczesne przeniesienie na emeryturę nieposłusznych profesorów.

Poznałem p. Jędrzejewicza zupełnie niespodziewanie wiosną 1976 roku w New Yorku na jednym z zebrań poświęconych 50-leciu zasłużonej dla naukowych i kulturalnych stosunków polsko-amerykańskich - Fundacji Kościuszkowskiej. Jędrzejewicz zagał zebranie. Wrócił wspomnieniami do przedwojennej, naprawdę wolnej Polski, kiedy kto chciał, mógł do niej przyjeżdżać, a kto chciał, mógł wyjeżdżać, kiedy panowała zupełna wolność nauki, jednym słowem, kiedy na ziemi istniał niczym nie zmacony raj. Słuchając staruszka, wracałem myślami i ja do tego raj, na który w swoim czasie patrzyłem oczyma studenta, a nie ministra.

Pierwsze pomaturalne wakacje spędziłem u rodziców w Radości. Nie miałem możliwości zarobkowania, ale starałem się być użyteczny. Pomagałem matce w ogrodzie, gdzie uprawialiśmy warzywa na własne potrzeby. Udało mi się zdobyć niewielką i mało płatną korepetycję w Warszawie, trzy razy w tygodniu, po 75 groszy za godzinę. Nie miałem wtedy biletu miesięcznego na kolej. Chodziłem pieszo do tramwaju na Gocławku, oddalonego o 6 km, oszczędzałem zatem sporo, wydawałem tylko po 10 gr. na bilet tramwajowy w obie strony. Tak więc z lekcji zostawało mi 65 gr. Kilka razy trzeba było jeździć na Uniwersytet, by załatwić sprawy związane z przyjęciem.

Dnia 1 października 1933 roku zostałem studentem Uniwersytetu im. Józefa Piłsudskiego w Warszawie. Wykupiłem sobie tani bilet miesięczny na kolej, dojeżdżało się wtedy na Dworzec Gdański, a stamtąd pół godziny pieszo na Uniwersytet, by oszczędzić wydatków na bilet tramwajowy. Dopiero w rok czy dwa lata później uruchomiono linię średnicową i tunel pod Alejami Jerozolimskimi, dochodzący do Dworca Głównego. Tunel był przez pewien czas nieoświetlony, a w wagonach nie zapalały się na ten czas lampy. W wagonie dla młodzieży szkolnej ustawiał się wtedy śpiewak kolejowy i śpiewał modne tango „Przytul, uściśnij, pocałuj ...”. Podobno więcej na tej krótszej przestrzeni zbierał niż na całej trasie z Otwocka do Warszawy.

Przychodząc na uniwersytet miałem mocne postanowienie, że niczym się poza studiami nie będę zajmować, a przede wszystkim ślubowałem sobie nie mieszać się do polityki. Okazało się to jednak niemożliwe już od pierwszego dnia. Aby stać się częścią społeczności studenckiej, trzeba się było zapisać do „Bratniaka”, który zapewniał pomoc, a często przetrwanie. Była to

organizacja w zasadzie apolityczna, ale opanowana przez endeków, czyli Stronnictwo Narodowo-Demokratyczne, skrajnie konserwatywne i klerykalne. Do „Bratniaka” należeli oczywiście tylko Polacy. Żydów nie przyjmowano. „Bratniak” prowadził tanie stołówki lub wydawał bezpłatne obiady, udzielał pożyczek i zapomóg, przedstawiał interesy studentów wobec władz uniwersyteckich, władz miasta i państwa. Członkowie „Bratniaka” nosili znane wszystkim czapki studenckie, białe rogatywki. Tylko mało szanujący się student nosił czapkę czystą. Im bardziej brudna, tym w wyższym była poważaniu. Na początku lat trzydziestych powstał na Uniwersytecie nowy „Bratniak”, zorganizowany dla przeciwwagi przy pomocy władz sanacyjnych. Członkowie nosili także białe czapki, ale o rondach obszernych, ośmiograniastych. Nowy „Bratniak” udzielał podobnej pomocy niezamożnym studentom i także był organizacją w zasadzie apolityczną. Skupiał on jednak poza młodzieżą sanacyjną także znaczny procent młodzieży bardziej radykalnej, lewicowej lub lewicującej. Nowy „Bratniak” nie miał jednak nawet czwartej części tej liczby członków, jaką miał stary. Żydów również nie przyjmowano.

Musiałem się do jednego z „Bratniaków” zapisać, już choćby dlatego, żeby mieć prawo do noszenia czapki. Bez takiej czapki nikt by mnie za studenta nie uważał. Zbuntowany już w szkole przeciwko wszelkiemu konserwatyzmowi i klerykalizmowi, nawet nie myślałem o starym „Bratniaku”. Zapisałem się do nowego. Jediną formą pomocy, z jakiej w nim skorzystałem, były tanie obiady na Sewerynowie, czasami pożyczki pieniężne, a najczęściej tanie lub bezpłatne bilety teatralne.

Problemem, którego nie sposób było na Uniwersytecie nie zauważyć, była kwestia żydowska. Endecy uniwersyteccy rekrutowali się przeważnie z polskiego mieszczaństwa, z którym konkurowała ludność żydowska, głównie w handlu i w wolnych zawodach, adwokackim i lekarskim. Broniąc się przed tym rzucili hasło obrony wyższych uczelni przed zalewem Żydostwa. Żądali zmniejszenia procentu przyjmowanych na studia Żydów, a w skrajnych przypadkach nawet nie przyjmowania ich w ogóle. Ponieważ władze sanacyjne nie godziły się na zamknięcie studiów wyższych przed Żydami, młodzi endecy zaczęli stosować terror. Uzbrojone bojówki urządzały pogromy, studentów Żydów bito, wyrzucano z sal wykładowych i laboratoriów. Uniwersytety miały wtedy częściową autonomię. Na teren nie miała prawa wstępu policja. Własna uniwersytecka straż porządkowa była słaba, często przekupiona, to też w praktyce nie interweniowała.

Władze uniwersyteckie nie mogły sobie poradzić, zamykały więc uczelnię na jakiś czas, aż się studenci uspokoją. Nie było wykładów ani ćwiczeń. W czasie moich pięcioletnich studiów nie było ani jednego roku, w którym Uniwersytet nie byłby przynajmniej raz zamknięty. Pogromy były urządzone wyłącznie przez studentów ze starego „Bratniaka”, ubranych w rogatywki. Nowy „Bratniak” był tu neutralny, członkowie nigdy w pogromach udziału nie brali, ale i też nie bronili napadanych Żydów. Broniły ich tylko nieliczne lewicowe jednostki. Stosunek do sprawy żydowskiej był przed wojną kamieniem probierczym postępowych przekonań. Natura moja wzdygała się przeciwko endeckim metodom prześladowania Żydów.

Studia uniwersyteckie w moich czasach były wolne w tym sensie, że nie stosowano systemu kursowego przechodzenia z roku na rok. Studia humanistyczne można było skończyć nawet w trzy lata, jeśli się zdało wszystkie, przepisane prawem egzaminy, i zrobiło pracę magisterską. Ale zdarzało się, że młody człowiek studiował dziesięć, piętnaście lat. Nie wyrzucano go z uczelni. Studia przyrodnicze można było w zasadzie skończyć w cztery lata. Wykłady nie były obowiązkowe. Obowiązkowe były pracownie i seminaria, a potem zrobienie eksperymentalnej pracy magisterskiej. W praktyce studiowało się najczęściej przynajmniej pięć lat, nawet wtedy,

gdy studiowało się pilnie, tak, jak to było w moim przypadku. Na pierwszym roku nie dostałem się do niektórych pracowni, bo albo nie było już miejsca, albo nie zgłosiłem się na nie, bo z braku informacji nic o nich nie wiedziałem. Potem pilnowałem przewidzianego programu

Przeciąganie studiów było powodowane różnorodnymi przyczynami. Najczęściej były to trudne warunki finansowe studentów, które zmuszały do podjęcia dodatkowej zarobkowej pracy. Niektórzy starsi studenci pracowali rzeczywiście, na przykład w szkolnictwie na pełnych etatach nauczycielskich. Pozakładali rodziny. Mało mieli czasu na studia, więc wlekły się one latami. Znałem jednak i takich studentów, rekrutujących się najczęściej z zamożnych rodzin, którzy bawili się, grali w karty, urządzali pijatyki i studiów w terminie nie kończyli. Znani byli z tego zwłaszcza członkowie ekskluzywnych małych stowarzyszeń studenckich, zwanych korporacjami. Nie nosili oni nawet pospolitych bratniackich czapek, ale swoje własne „korporantki”. Z dwunastki naszych maturzystów siedleckich, ośmiu poszło do Seminarium Duchownego, czterech zaś w świat, z tego tylko dwóch z nas znalazło się w Warszawie. W trzy lata później doszło do grupy warszawskiej jeszcze dwóch, którym w Seminarium dano „Consilium abeundii”, to znaczy „radę” aby z Seminarium wystąpili. Zaczęliśmy się też komunikować z kolegami ze starych lat z naszej szkoły, którzy studiowali lub pracowali w Warszawie. Niektórzy radzili sobie dobrze, inni nie. Zaprzyjaźniłem się szczególnie z Kostkiem, który ukończył naszą szkołę w Siedlcach rok temu, a studiował na Uniwersytecie filozofię. Był to człowiek wyjątkowo zdolny, inteligentny, a przy tym pracowity. Pamiętam, że w wigilię Bożego Narodzenia spotkałem go na ulicy i zaprosiłem do siebie. „Nie przyjdę - odpowiada - bo muszę w bibliotece wyszukać dokumenty źródłowe do mojej pracy seminaryjnej”. „Jutro? Przecież biblioteka będzie zamknięta”. „Ach prawda, zapomniałem, że jutro święto”.

Kostek pochodził z rodziny nauczycielskiej z Żelechowa, w powiecie garwolińskim. Jego ojcem chrzestnym był słynny na całą Polskę lekarz, dr Badmajew, zielarz i wyznawca medycyny tybetańskiej, człowiek bardzo bogaty. Bardzo Kostka lubił, a że był człowiekiem jeszcze nie starym, zaczął snuć plany które dotyczyły nie tylko jego chrześniaka, ale i mnie. Otóż namawiał Kostka, aby po skończeniu filozofii poszedł na medycynę, kiedy ją skończy, on na koszt własny wyśle nas obydwu do Tybetu, abyśmy studiowali tamtejszą medycynę. Obaj entuzjastycznie odnosiliśmy się z początku do tego projektu, ale w miarę upływu czasu zaczęło to nam pachnąć znachorstwem. Kostek już w trzy lata skończył filozofię i poszedł na medycynę. Jeszcze przed wojną, w czasie studiów medycznych, zdobył doktorat z filozofii. Wybuchła wojna, w czasie której dostał się jako oficer do niewoli, Uciekł z niej, przedarł się do Belgii i tam dostał dyplom lekarza, ożenił się z pielęgniarką, Belgijką. Po wojnie chciał wrócić do kraju, ale jego żona nie chciała jechać do kraju komunistycznego. Kostek z kolei nie zgodził się zostać w Belgii. Wyjechali do Kanady. Tam rychło został profesorem medycyny, zyskał dużą sławę, kierował bardzo dużym instytutem.

Nie wszyscy koledzy radzili sobie tak dobrze, jak Kostek. Dały o sobie znać złe skutki naszego wychowania, odosobnienia w wieku dorastania i jakiegokolwiek kontaktu z dziewczętami. Niektórzy z naszych kolegów, wypuszczeni na wolność od razu wpadali w ręce kobiet od siebie najczęściej starszych, mocno już doświadczonych, dla których tacy niedoświadczeni eksklerycy stanowili łup niezmiernie łatwy.

I ja zakochałem się prawie z miejsca, już w czasie pierwszych wakacji po zrzuceniu su-tanny. Moją wybranką była koleżanka młodszej siostry, Wandy, Janka W., piękna jasna blondynka, mająca wtedy lat pewnie ze 16, uczęszczająca z nią razem do Miejskiej Szkoły Rękodzielni-

czej w Warszawie. Jej też pewnie zaimponował, a może i naprawdę podobał się student. Mieszkała w Radości. Razem jeździliśmy pociągiem do Warszawy. Wieczorami przychodziła do siostry odrabiać lekcje, co dawało mi sposobność odprowadzania jej do domu. Była to już druga miłość w moim życiu, trwała przez pełne dwa lata. A potem bez żadnej tragedii ani rozczarowania, ze strony mojej, czy jej, tak się to jakoś wszystko powoli rozeszło. Spotykaliśmy się jeszcze potem czasami, nawet wtedy, kiedy ona wyszła już za mąż, przyjaźnie do siebie ustosunkowani. Jej zawdzięczam, że pierwsza moja dorosła miłość nie pozostawiła za sobą żadnych konsekwencji ani komplikacji, że wspominam ją jak najlepiej.

Przyznam, że z drzeniem serca oczekiwałem spotkania z profesorami uniwersyteckimi. Nazwiska niektórych z nich znałem już w czasach szkolnych, myślałem o nich z nieukrywaną atencją, ale dla mnie wówczas był to piedestał nieosiągalny.

Jako jedne z pierwszych wybrałem wykłady z botaniki ogólnej, prowadzone przez profesora Zygmunta Wóycickiego. Był wtedy w wieku około lat 60, średniego wzrostu i tuszy, poważny, trzymający się z godnością, doskonały wykładowca. Przewód myślowy prowadził bardzo jasno i logicznie, chociaż może bez zbytniego polotu. Studenci bali się go, bo na egzaminach był srogi, czasem złośliwy. Nie lubił, gdy mu w wykładach przeszkadzano cichymi nawet rozmowami, a gdy jeden ze studentów ciągle coś szeptał do swej sąsiadki, profesor spoglądał na niego srogo od czasu do czasu. Dopiero, gdy wykład się skończył, podszedł do niego: „Bardzo pana przepraszam, że panu tak swoim wykładem przeszkadzałem w rozmowie z sąsiadką, ale widzi Pan, ja muszę wyklądać, bo inaczej wyrzucono by mnie z Uniwersytetu, a ja mam żonę i dzieci, które muszę utrzymać. Mnie płacą za te wykłady”. Student stał zaczerwieniony, nie wiedząc, co powiedzieć, ale od tej pory na wykładach profesora było cicho jak makiem zasiał.

Nim zacząłem studiować, znałem z publikacji prof. Bolesława Hryniewieckiego, znanego systematyka roślin, ponieważ już w gimnazjum stykałem się z systematyką, myślałem więc, że będę specjalizował się pod jego kierunkiem. Na pierwszym roku musiałem wziąć jednak wykłady z botaniki ogólnej, a systematykę dopiero na drugim. Zanim jednak doszedłem do roku drugiego, już zdecydowałem się pójść na specjalizację u prof. Wóycickiego.

Trzeba było na pierwszym roku wziąć niektóre przedmioty pomocnicze, jak matematyka, obejmująca rachunek różniczkowy i całkowity oraz logika. Matematykę zapomniałem dość szybko, ale nigdy nie zapomnę logiki wykładanej przez prof. Łukaszewicza. Dotychczas rażą mnie braki w logicznym przekazywaniu myśli, na co zwracał uwagę profesor tłumacząc nam: „Jeśli mówimy ‘razy’ - to mamy na myśli wielokrotność - tłumaczył prof. Łukaszewicz. Mamy o połowę mniej, a nie dwa razy mniej”. Chemię nieorganiczną wyklądał stary już prof. Jabłczyński, a organiczną prof. Lampe. Za najlepszego wykładowcę swoich studiów uniwersyteckich uważałem prof. Lewińskiego. Wyklądał geologię, a raczej historię naszej ziemi. Bardzo mały, chyba nawet nieco garbaty, posiadał głos mocny, donośny. Mówił pięknie, obrazowo i dramatycznie, słuchało się go z zapartym tchem. Na wykłady przychodzili nie tylko ci, dla których geologia stanowiła przedmiot obowiązkowy, ale nawet prawnicy i humaniści,

Uczęszczanie na wykłady nie było obowiązkowe. Na niektórych wykładach panowały pustki, na innych zaś tłok. Zależało to od wielu czynników. Niektórzy profesorowie wykładali tak, jak prof. Lewiński, więc przychodziło się go słuchać dla przyjemności, chociaż istniał piękny przez niego napisany podręcznik, z którego można się było do egzaminu przygotować. Na wykłady prof. Wóycickiego tłumnie uczęszczali studenci z innych powodów. Wykłady były dobre, to prawda, ale trzeba było na nie przychodzić dlatego, że nie było podręcznika. Trzeba się było do egzaminu uczyć z notatek, bo inaczej dwójka murowana. Znałem takich, co egzamin u Wóy-

cickiego zdawali po trzy czy cztery razy. Zdarzało się, że na pięćdziesiąt osób zdających zdało nie więcej niż dziesięciu studentów. Na innych wykładach panowały pustki, bo albo profesor wykładał nudnie, albo wydał dobry skrypt, z którego można się było do egzaminu przygotować.

Pierwszą ratę czesnego za półrocze zapłaciła za mnie siostra. To mi pozwoliło zacząć studia, ale mimo to było ciężko. Nie zarabiałem ani nie miałem też żadnej pomocy materialnej. Rodzice dawali mi mieszkanie, śniadania i kolacje, to wszystko. A skąd było wziąć pieniądze na podręczniki i skrypty, na bilet kolejowy, na ubranie oraz na tak zwane drobne wydatki? Dostałem po starszym bracie jakąś podbitą kozuchem kurtkę, którą nosiłem w czasie ciepłej jesieni i zimnej zimy. Miałem też jedno jedyne ubranie, które jako już używane kupiłem w żydowskim sklepie na Świętokrzyskiej za 20 zł.

Kończył się rok 1933. Od kilku już tygodni wśród studentów rozprawiało się o sylwestrowych zabawach, organizowanych przez oba „Bratniaki” oraz inne stowarzyszenia studenckie. Janka dyskretnie pytała o moje plany, a ja planów nie miałem żadnych. Jakże miałem pójść na bal sylwestrowy, skoro nie umiałem tańczyć, skoro moje jasno brązowe, mocno już zniszczone ubranie zupełnie się do tego nie nadawało.

W początkach 1934 roku niezamożnym studentom przyszedł z pomocą rząd. Utworzono w Warszawie 150 posad gońców w urzędach skarbowych. Złożyłem odpowiednie podanie i taką posadę dostałem. Wybrałem sobie urząd, którego nikt nie chciał, był ponoć najgorszy, przy ul. Gęsiej, bo te lepsze zostały już rozchwyte przez studentów z Warszawą obeznanych albo mających jakie takie stosunki. Jego granice wyznaczały ulice: Gęsia, Zamenhoffa, Dzika i Nalewki, a więc obejmowały samo centrum warszawskiej dzielnicy żydowskiej. Okazało się później, że mój urząd był pod wieloma względami najlepszy ze wszystkich, bo najgęściej zaludniony, najmniejszy.

Praca gońca polegała na tym, że trzeba było rano przyjść do urzędu i odebrać codzienną pocztę do doręczania płatnikom podatkowym. Były to zawiadomienia o dacie płatności podatku, upomnienia, gdy podatek nie został na czas zapłacony, wezwania do złożenia wyjaśnień, zawiadomienia o wyznaczonej licytacji majątku ruchomego lub nieruchomego, odpowiedzi na złożone odwołania i zapytania. Korespondencję tę trzeba było poroznosić po rejonie należącym do urzędu i otrzymać potwierdzenie odbioru. Goniec nie dostawał stałego uposażenia, za doręczenie jednej sztuki płacono mu 5 gr.

Otrzymanie tej posady wielce mnie uradowało. Gotów byłem robić wszystko, by jakieś wynagrodzenie otrzymać, inaczej bowiem nie mógłbym dłużej na studiach pozostać. Dobrą stroną zajęcia było to, że mogłem je wykonywać o dowolnej porze dnia. Przychodziłem zwykle do urzędu na ósmą rano i odbierałem korespondencję, potem szedłem na Uniwersytet na wykłady. Jeśli w wykładach zdarzała się dłuższa przerwa, roznosiłem zawiadomienia. Większość wykonywałem jednak już po zakończeniu wykładów.

Doręczenie korespondencji zajmowało mi przeciętnie od 4 do 6 godzin czasu dziennie. Pracowałem w Urzędzie przez sześć miesięcy, do końca czerwca 1934 roku i zarobiłem w sumie 380 zł, to znaczy przeciętnie po 63 zł miesięcznie. Między kolejnymi miesiącami były pewne różnice, ale niewielkie. Ci koledzy, którzy wybrali sobie bardziej eleganckie dzielnice Warszawy, żalowali tego, bo zarabiali mniej, niektórzy zaledwie po 40 zł miesięcznie. W środowiskach bogatszych mniej mieli korespondencji do roznoszenia, a musieli przy tym obsługiwać teren znacznie bardziej rozległy.



Praca na Gęsiej dostarczyła mi możliwości do zupełnie niespodziewanych obserwacji i dała mi dobrą szkołę. Wyszedłem z gimnazjum, gdzie otrzymałem wychowanie konserwatywne, klerykalne, jednak z gimnazjum wyszedłem zbuntowany przeciwko ideologii, antysemity się nie czułem. Mimo to o Żydach w Polsce miałem zupełnie fałszywe wyobrażenie.

Patrzyłem na Żydów jako na społeczność jednorodną, spoiwą, jako na ludzi bogatych, żyjących z handlu stojącego na pograniczu wyzysku. Pamiętałem przecież swe lata dziecięce i lichwiarskie pożyczki, zaciągane przez mego ojca u Żydów w okolicznych miasteczkach.

Tu, na Gęsiej, przekonałem się, że społeczeństwo żydowskie tak jak i każde inne, jest niejednorodne, podzielone przede wszystkim na bogatych i biednych. Biedni stanowili w nim ogromną większość. Dzielnica żydowska stanowiła typowe warszawskie slumsy. Ulice były zwarto zabudowane, podwórka - studnie - otoczone były kilkupiętrowymi oficynami.

Mieszkania były bez łazienek i kanalizacji, ciasne i smrodliwe, zapluskwione i pełne prusaków, często na strychach i w suterrenach. Nigdy nie widziałem przykładów tak skrajnej nędzy. W jednej z suterren mieszkały trzy rodziny, każda z dużą gromadką dzieci. Nie widziałem w niej ani jednego mebla, każda rodzina miała kąt deskami odgradzony, a w kącie trochę słomy i jakieś łachy służące za przykrycie. Dzieci nie wyglądały normalnie, blade, bo słońca nigdy nie widziały, niedożywione, chude i brudne, ubrane w strzępy jakichś koszulin, z objawami niedorozwoju. Suterena ta długo śniła mi się po nocach, a jej najemcy zaniósłem zawiadomienie o licytacji. Nazwał się Josek Śmierć.

Gdzież ta słynna solidarność żydowska, o której tyle mówiło się w kołach antysemitycznych. Słyszałem przecież, że istnieją charytatywne organizacje żydowskie, niosące pomoc najbardziej potrzebującym. Za mało wtedy wiedziałem o lewicowych politycznych organizacjach żydowskich, toteż do nich nie poszedłem po wyjaśnienie. W tym samym domu mieszkała jednak bogata rodzina żydowska. Doręczając jakieś pismo głowie rodziny, zapytałem o mieszkańców sutereny. Gospodarz w odpowiedzi prawie krzyknął „tym ludziom pomoc nie można. To chasydzi, to wariaci! Moja służąca zaniósła im raz resztki jedzenia, ale ją wyrzucili, nie byli pewni, czy to koszerne. Im nikt już i nic pomóc nie może”.

Tego dnia wieczorem przeczytałem w jednym z pism literackich wiersz poety, którego nazwiska dziś nie jestem pewien, wydaje mi się, że był to Wojciech Bąk. Za wierność powtarzanego wiersza nie ręczę, tyle tylko, że część jego na zawsze pozostała w mojej pamięci.

Przybiegły cztery sarny. Powiedziały mi,  
że wieczny Kain Abła wiecznego zabija  
I wali go toporem. Czyż nie wyjdzie nikt?

Praca w urzędzie okazała się bardzo ciężka. Wymagała chodzenia, a raczej biegania przez wiele godzin codziennie. Prawie żaden dom nie posiadał windy. Ciągle biegłem, byle prędzej, bo chciałoby się wcześniej do domu wrócić, może jeszcze uda się Jankę zastać odrabiającą lekcje z Wandą, może uda się ją jeszcze wieczorem do domu odprowadzić. Ciągle zaziębienia i następujące po nich stany osłabień dawały się we znaki, ale jakże można byłoby położyć się do łóżka. Po kilku dniach nieobecności wzięto by kogoś innego na moje miejsce.

Kiedy w 1946 roku, tuż przed powrotem do kraju, poszedłem do kliniki w Bostonie na dokładne badanie, dowiedziałem się ze zdziwieniem, że mam coś w rodzaju astmy i rozedmę płuc. Wdałem się z lekarzem w rozmowę i zapytałem, jak to możliwe? Odpowiedział mi pytaniem na pytanie: „A może Pan kiedyś po schodach za dużo biegał?”

O ile w pierwszym półroczu bardzo gorliwie uczęszczałem na wszystkie wykłady, to w drugim zacząłem niektóre, mniej ważne lub mniej interesujące opuszczać. Po prostu nie wystarczyło mi na nie ani czasu, ani siły.

Nadchodziła wiosna. W dniu 1 Maja 1934 roku ustawiłem się specjalnie przy jednej z ulic, aby obserwować pochód. O święcie robotniczym słyszałem oczywiście w gimnazjum, ale zawsze w specjalnym nieprzychylnym naświetleniu. Chociaż mój brat, Antoni szedł w pochodzie i mnie namawiał, bym się do niego przyłączył, nie miałem wcale tego zamiaru. Chciałem się na razie tylko przypatrzeć. Przyznam się, że manifestacja majowa wywarła na mnie duże wrażenie.

Mój światopogląd polityczny nie miał jeszcze czasu na pełną krystalizację. Jak już wspomniałem, zaraz w pierwszych miesiącach studiów, chociaż postanowiłem stać daleko od wszelkiej działalności politycznej, przekonałem się, że było to niemożliwe, a wstąpienie do nowego „Bratniaka” już samo w sobie było aktem politycznym, aktem przeciwstawienia się endecckiej większości. Późną jesienią pierwszego roku studiów jeden z kolegów namówił mnie do zapisania się do studenckiej organizacji społeczno-politycznej pod nazwą Legion Młodych.

Legion Młodych powstał z inicjatywy rządzącego wówczas stronnictwa politycznego pod nazwą Bezpartyjny Blok Współpracy z Rządem, zwanego Sanacją, bo miał w kraju niby uzdrowić stosunki polityczne. Był to zlepek różnych ugrupowań, wyraźnie konserwatywny i faszystujący, podtrzymujący dyktaturę Piłsudskiego. Działali w tym zlepku niektórzy dawni działacze socjalistyczni, którzy jeszcze obecnie szermowali hasłami radykalnymi. Widząc powszechną radykalizację młodzieży, działacze sanacyjni postanowili powołać do życia młodzieżową organizację, która wypisze na swoich sztandarach hasła, w miarę postępowe, nawet antyklerykalne, ale pro-rządowe, a wtedy będzie miała szansę przyciągnąć do siebie przynajmniej część młodzieży. Dla mnie, po opuszczeniu biskupiego gimnazjum, hasła te wydały się bardzo postępowe i radykalne, to też się do organizacji zapisałem. Znaczna część członków nowego „Bratniaka” wstąpiła do Legionu Młodych, który niejako patronował nowemu „Bratniakowi”. Nazywano też często nowy „Bratniak” Bratniakiem Legionowym.

W maju dostałem wreszcie pierwsze korepetycje, a mogłem ich udzielać, bo wiedzę z gimnazjum miałem ugruntowaną, nawet uczniom ze szkół średnich zarówno z łaciny, jak i z matematyki, a więc z tych dwóch przedmiotów, z których korepetycji najbardziej poszukiwano, a także z francuskiego. Lekcje dostałem na Pradze, daleko na Targówku. Dojeżdżałem, a raczej dla oszczędności dochodziłem z Dworca Wschodniego trzy razy na tydzień, na dwie godziny. Płacono mi po 1 zł za godzinę, to znaczy 6 zł na tydzień, około 25 zł na miesiąc. Było to bardzo dużo za niewielką ilość poświęcanego czasu, w porównaniu z moimi zarobkami w Urzędzie Skarbowym. Utrzymałem tę korepetycję przez dalsze pełne trzy lata, aż doprowadziłem swego Jasia szczęśliwie do matury. Wyrósł potem na lekarza, losy wojny rzuciły go do Ameryki i tam pozostał na stałe.

W czerwcu - dość niespodziewanie - dostałem dwie nowe korepetycje, jedną w Międzylesiu, drugą w Warszawie. Stałem więc mocno na nogach. Miałem już własne pieniądze na zapłacenie czesnego. Postanowiłem rzucić pracę gońca z końcem czerwca, co też bez żalu uczyniłem. Tylko nieliczni przetrwali i pracowali dłużej ode mnie. Potem, urzędy skarbowe przestały studentów zatrudniać jako gońców.

W czerwcu nadszedł czas egzaminów, a Wóycickiego wszyscy bali się panicznie, bo zwykle za pierwszym razem zaledwie nikły procent zdających uzyskiwał oceny zadawalające. Do tego roku profesor egzaminował ustnie, a w tym roku postanowił urządzić egzamin pisemny.

Studentów opanował jeszcze większy strach, bo nie wiedzieli, czego mają się spodziewać. Profesor pousadzał nas daleko jedno od drugiego i na tablicy wypisał pięć pytań. Na pierwsze cztery pytania jedni odpowiedzieli dobrze, inni źle, a na piąte pytanie nie odpowiedział nikt, ja również nie. Na około czterdziestu zdających oceny pomyślne otrzymało tylko kilkanaście osób. Dostałem czwórkę.

Piąte pytanie brzmiało: „Co to jest zmiana faz, pokoleń i postaci u roślin?” Nikt z nas tego nie wiedział, bo profesor w swoich wykładach nigdy tak tego problemu nie formułował. Nie potrafili na to odpowiedzieć asystenci profesora, a nawet jeden z docentów nie wiedział, o co profesorowi chodziło. Dopiero drugi docent wyjaśnił, że profesor miał na myśli zmianę faz diploidalnej i haploidalnej, pokoleń płciowego i bezpłciowego, postaci naczyniowej i plechy.

## Wybieram kierunek specjalizacji

Po egzaminie prof. Wóycicki poprosił mnie do siebie i zaczął wypytywać o moje zainteresowania. Odpowiedziałem, że nie są one jeszcze sprecyzowane, ale na pewno wybiorę botanikę. Zaproponował, bym się specjalizował u niego w anatomii i cytologii roślin. Wiedziałem, że sam profesor jest wybitnym specjalistą w tej dziedzinie, a poza tym słyszałem, że pracuje u niego młody człowiek, niesłuchanie miły i niesłuchanie zdolny doc. Władysław Becker. Pewnie też zaimponowało mi to, że sam profesor, nieprzystępny i nazywany Straszny Dziaduniem, taką propozycję wysunął. Odpowiedziałem, że z wdzięcznością tę propozycję przyjmuję.

Rozpoczęły się moje pierwsze akademickie wakacje. Jeśli chodzi o pierwszy rok uniwersytecki, to nie byłem z niego całkowicie zadowolony. Nie udało mi się dostać na niektóre pracownie, które mógłbym wziąć na pierwszym roku, gdybym był lepiej w organizacji studiów zorientowany. Z niektórych przedmiotów, np. z matematyki, nie uzyskałem takiej oceny, jaką mógłbym uzyskać, dostałem zaledwie trójkę, ponieważ nie uczęszczałem na wszystkie wykłady, zajęty pracą w Urzędzie Skarbowym, a także pierwszą moją miłością. Najważniejsze chyba osiągnąłem. Stałem się finansowo w całości samodzielny. Zwróciłem na siebie uwagę prof. Wóycickiego, jednego z najwybitniejszych na naszej sekcji biologicznej, co doprowadziło w latach późniejszych do bardzo poważnych, a dla mnie decydujących konsekwencji.

Pierwsze wakacje mogę bez wahania zaliczyć dziś do najbardziej beztrudnych i szczęśliwych okresów w moim życiu. W lipcu dostałem czwartą korepetycję, ale wszystkie razem nie zajmowały mi więcej niż jedną czwartą dnia. Zarabiałem tyle, że nie martwiłem się już o zapłacenie czesnego w roku następnym, składałem na nie własne pieniądze. Wtedy właśnie rozkwitła w całej pełni nasza dorosła, a jeszcze dziecinna i niewinna miłość z Janką. Spędzaliśmy ze sobą wiele czasu każdego dnia, chodząc na długie spacerunki do Lasów Wilanowskich albo na dziką plażę za Rzeźnem naprzeciw Radości. Nic nie mąciło naszego szczęścia.

Rozpoczywałem mój drugi rok studiów i nareszcie mogłem poświęcić więcej czasu na naukę, a odczuwałem taką potrzebę ze względu na ważne dla mnie ogólne ćwiczenia botaniczne, poświęcone głównie anatomii roślin. Prowadzili je asystenci pod kierunkiem doc. Beckera, który miał lat trochę ponad trzydzieści. Był to jeden z najzdolniejszych, a jednocześnie najszlachetniejszych, najmiłszych i najlepszych ludzi, jakich mi w życiu przyszło spotkać. Jego dorobek naukowy w cytologii roślin był szeroko w świecie znany. Przepowiadano mu wspaniałą przyszłość. Niestety, zmarł na białaczkę w niespełna trzy lata później.

Większość wydziałów Uniwersytetu mieściła się przy Krakowskim Przedmieściu 28. Tam, w dawnym gmachu, powstałej za czasów carskich Szkoły Głównej, będącej w rzeczywistości polskim uniwersytetem, rezydował na Katedrze Botaniki Ogólnej prof. Wóycicki, u którego odrabiałem ćwiczenia z botaniki. Systematyka roślin mieściła się w Alejach Ujazdowskich 4, przy Ogrodzie Botanicznym. Królował tam prof. Bolesław Hryniewiecki, niedościgły gawędziarz. Lubilem jego wykłady, przeplatane dowcipnymi anegdotami i opowiastkami.

Wśród personelu pomocniczego na Systematyce wyróżniał się szczególnie adiunkt dr Stefan Krupko, były żołnierz Legionów, starszy już Pan, mówiący wybitnie kresowym akcentem. Prowadził ćwiczenia oraz wycieczki botaniczne, odznaczał się wielką skrupulatnością i dokładnością, człowiek niezwyklej dobroci, która przynosiła szkodę jego badaniom naukowym. Pracował tam młody, bardzo przystojny doktor, inteligentny i bystry. Różne chodziły o nim wieści. Mówiono, że po za nauką zajmował się zbieraniem dla Ministerstwa Spraw Zagranicznych wia-

domości, nic z nauką wspólnego nie mających, zwłaszcza w czasie wycieczki botanicznej na Kaukaz. Bardzo duże wrażenie robiła na nas piękna, bardzo inteligentna asystentka, Irena Rejment.

Do tego czasu zdążyły się już ułożyć stosunki koleżeńskie i przyjacielskie wewnątrz grup studenckich tego samego roku, ale nigdy nie byliśmy tak zżyci, jak studenci dziś. Na studiach biologicznych, a zwłaszcza na botanice, przeważały kobiety. Nie weszło jeszcze w zwyczaj mówienie sobie po imieniu, zwłaszcza między chłopcami i dziewczętami. Jeśli chłopiec mówił dziewczynie ty, oznaczało to, że są w sobie zakochani. Przez cały czas pięcioletnich studiów nie przeszedłem na ty z żadną z koleżanek. Z najbliższymi kolegami mówiliśmy sobie po pewnym czasie po imieniu, ale dotyczyło to wąskiego grona.

Ale ze Stefanem T., z tego samego roku, żyłem się szczególnie, mimo że starszy był ode mnie o dwa lata. Stefan odznaczał się wielką niezależnością charakteru. Wyrzucono go ze szkoły z wilczym biletem za dysputy religijne z księdzem katechetą. Było to w końcu klasy szóstej. Stefan sam w domu przerobił cały program klasy siódmej i ósmej i zdał maturę jako ekstern.

Przypomniały mi się te jego religijne przejścia pewnego dnia w 1960 r., gdy odwiedziłem go w Ameryce, w Stanie New York. Siadaliśmy właśnie do obiadu w jego pięknej willi, wraz z jego żoną, także Polką, i dwiema dziesięcioletnimi córeczkami. Już brałem łyżkę, ale ją zaraz odłożyłem, bo zauważyłem, że Stefan złożony rękami, skłoniwszy głowę zaczyna odmawiać wraz z rodziną, powtarzając za nim na głos, słowa modlitwy dziękczynnej.

Przyjaźniłem się także z Aleksandrem, warszawiakiem z urodzenia, niesłychanie błyskotliwym i inteligentnym kpiarzem i satyrykiem. Szczególnie pokpiwał z moich przyzwyczajzeń i powiedzeń wyniesionych ze szkoły, ale płaciłem mu pięknym za nadobne, mszcząc się na jego warszawskiej gwarze.

Ani Stefan, ani Olek nie należeli do żadnych organizacji społeczno-politycznych. Wiedzieli, że jestem członkiem Legionu Młodych i trochę sobie z tego podkpiwali. Ale kiedyś sami zaproponowali, że pójdą ze mną na zebranie, bo wygłoszony ma być referat o pańszczyźnie za czasów Polski przedrozbiorowej. Mogę powiedzieć, że z mlekiem matki wyssałem swój stosunek do pańszczyzny, potwierdzony zresztą na lekcjach historii w szkole powszechnej i średniej. Wszystkie podręczniki podawały, że gdyby szlachta zrezygnowała z pańszczyzny, masy chłopskie miałyby szansę doprowadzić do zwycięstwa naszych powstań narodowych.

Słuchając referatu nie wierzyłem własnym uszom. Młody prelegent bronił instytucji pańszczyzny, bo, jak powiadał: „jedna szlachecka szabla więcej była warta w potrzebie, niż dziesięć chłopskich wideł do gnoju”. Na sali zerwał się tumult, ale ku mojemu zdziwieniu i wstydo wi, niewielki. Większość chciała referatu wysłuchać do końca. Grupa protestująca opuściła salę, a wśród niej i my. Dopiero zaczęli obaj dopiekać mi moim Legionem! Milczałem zły, bo nie miałem żadnych argumentów. Zerwałem od tej pory z Legionem Młodych raz na zawsze!

Dochodziły do mnie potem spory, jakie w tej organizacji wybuchały. Część młodzieży poczuła się oszukana i dokonała rozłamu. Większość przyłączyła się do ugrupowań lewicowych, inni poszli w kierunku narodowego faszyzmu. Obracałem się coraz bardziej w kołach młodzieży antyrządowej. Zbierałem antysanacyjne anegdoty, niektóre bardzo dobre. Otóż przed Bożym Narodzeniem rozeszła się wieść, że Prezydent ustanowił nowy, najwyższy order państwowy - Order Gwiazdy Betlejemskiej. Dla kogo? Dla tych, co się pierwsi dorwali do żłobu. Dowcip pasował nie tylko wtedy. Można powiedzieć, że order pasował w 1920 roku dla Legionistów, w 1946 dla tych spod Lenino, a 1980 roku dla tych, co przeskoczyli płot.

Na drugim roku studiów zacząłem brać udział w potańcówkach studenckich. Wynikły stąd zabawne perypetie, bo tańczyć nie umiałem. Zdobyłem się więc na odwagę i zapisałem do szkoły tańca słynnego wówczas mistrza Sobiszewskiego. Wobec braku słuchu muzycznego, wielkich postępów nie uczyniłem, ale mogłem jednak pójść z Janką na mój pierwszy i chyba ostatni za czasów studenckich bal sylwestrowy. Zrobiłem to dla niej, bo koniecznie chciała być na prawdziwym studenckim balu. W czasach późniejszych nie było nikogo, kto by na mnie taką presję wywierał, a sam większej ochoty w tym kierunku nie okazywałem.

Ulubioną moją rozrywką do końca studiów był teatr. Bilety można było zawsze dostać bardzo tanio na ostatnie rzędy najwyższego balkonu, czyli „jaskółkę”, a często zupełnie darmo, gdy miejsca nie były sprzedane. Uwielbiałem Barszczewską, Ćwiklińską, Andrzejewską, Malicką, Eichlerównę, podziwiałem Woszczerowicza, Węgrzyna, Węgierkę, Dymszą, Osterwę, Kurakowicza. Nie było tygodnia, żebym się do teatru nie wybrał. Znacznie rzadziej bywałem w kinach. Do teatru uczęszczała zresztą cała studencka brać, z małymi tylko wyjątkami. Mieliliśmy taki wyjątek na naszym roku. Kiedy pytaliśmy raz, dlaczego nie idzie z nami, odpowiedział, że to za drogo. „Jakże drogo? Przecież mamy i dla ciebie darmowy bilet!” „A szatnia?” - odpowiedział nie przekonany.

Maj 1935 roku był miesiącem niezwykłym. Wiosna przyszła bardzo wcześnie, liście na drzewach rozwinęły się już w końcu kwietnia. Tymczasem w nocy z pierwszego na drugiego spadł bardzo obfity, mokry śnieg. W bezwietrzną pogodę oblepił liście i gałęzie. Swoim ciężarem łamiąc i niszcząc kwiaty, a nawet gałęzie. Aż serce się krajało kiedy szliśmy następnego dnia ulicami Warszawy.

Dnia 12 maja zmarł Józef Piłsudski. Przyjąłem tę śmierć z mieszanymi uczuciami. Był on dla mnie bohaterem narodowym, twórcą Legionów, człowiekiem, który odegrał tak ważną rolę w odzyskaniu niepodległości Polski, a dla mojego pokolenia był to ciągle fakt najwyższej wagi. Nie mogłem jednak pogodzić się z jego późniejszą dyktaturą, z więzieniem w Brześciu posłów opozycyjnych, z rządami jego pułkowników, z konserwatywną polityką społeczną. Przeczuwałem, że z jego śmiercią kończy się jakaś epoka, ale do jego następcy, generała Rydza-Śmigłego jeszcze mniej miałem zaufania.

A tymczasem studia szły swoją drogą. Jeśli chodzi o botanikę, to wyżywałem się zwłaszcza na ćwiczeniach i wycieczkach z zakresu systematyki roślin. Tak zapalczywie się uczyłem, że mogłem rozpoznać znacznie więcej gatunków roślin niż większość studentów. Dr Krupko prosił mnie często o zebranie i przywiezienie na ćwiczenia niektórych świeżych okazów roślin. Mogłem to robić bez kłopotu, bo mieszkalem pod Warszawą i dojeżdżałem codziennie na Uniwersytet. Miałem w związku z tym pewnego razu przykre zdarzenie.

Jest taka roślina - mącznica - nazywająca się po łacinie bardzo pięknie *Arctostaphylos uva ursi*, podobna do borówki brusznicy, o liściach wiecznie zielonych. Nie jest tak pospolita jak borówka, ale wiedziałem, że rośnie tu i ówdzie na piaszczystej glebie w zagajnikach sosnowych między Radością a Międzyzlesiem. Dr Krupko prosił, abym mu przyniósł parę okazów tej rośliny na najbliższy poniedziałek. Powinienem zerwać je w niedzielę, ale zapomniałem o tym.

Wstałem więc w poniedziałek bardzo rano, chyba o czwartej. Było już widno, jak to w połowie maja. O tej porze młode sosenki są mokre od rosy, więc włożyłem na siebie jakieś najgorsze lachy, żeby dobrego ubrania nie zniszczyć. Chodzę po zagajniku, pochylony, wypatruję mojej mącznicy, aż tu przed sobą słyszysz ostry głos „Stój”. Wyprostowuję się i widzę przed sobą policjanta mierzącego do mnie z rewolweru. „Czego tu szukasz?” - woła. Byłem tak zdumiony i

przerażony, że jedyymi słowami, jakie zdążyłem z siebie wyrzucić, były: „*Arctostaphylos uva ursi*.”

Otrzymałem błyskawiczne pchnięcie lufą rewolwerową w pierś. „Odwróć się ! Ręce do góry!” - pada komenda. Po pośpiesznej rewizji znowu uderzenie, tym razem kolbą rewolwerową w plecy. „Naprzód marsz! Ręce trzymaj do góry!” Zrobiłem kilka kroków, odzyskałem wreszcie mowę i próbuję coś powiedzieć, ale nowy cios w plecy i dodane: „Jeszcze jedno słowo, a zastrzelę, jak psa, ty s...synu!” Drżąc ze strachu, ociekając potem, z rękami ciągle trzymanymi do góry, a nie wiedziałem wtedy, że mogłem je założyć na głowę, maszerowałem przed siebie. Na szczęście nie daleko. Doszliśmy na polankę, na której zebrał się sztab policyjny.

I tam się wszystko wyjaśniło. Poprzedniego wieczora pewien młody mieszkaniec Radości wpadł w szal, zastrzelił przodownika policji, który romansował z jego żoną, podobno bardzo zasłużonego, postrzelił jakiegoś księdza i jeszcze dwie osoby, a sam uciekł do lasu. Zgromadzone silne oddziały policji i zaczęło się przeszukiwanie okolicznych lasów. Policjant, który mnie spotkał i usłyszał „*Arctostaphylos uva ursi*” nie miał żadnych wątpliwości, że udało mu się tak łatwo wariata złapać. Na szczęście był na polance miejscowy policjant, który mnie znał, potwierdził, że jestem normalny i puszczono mnie do domu, dodając do asysty innego policjanta, aby mnie jakiś patrol znowu po drodze nie schwytał.

Spóźniłem się na ćwiczenia poranne, ale dr Krupko łatwo mi wybaczył kiedy opowiedziałem, co się mi przydarzyło, a studenci odrabiający ćwiczenia, nazwę mącznicy po łacinie zapamiętali na długie lata.

W gmachu dawnej Szkoły Głównej w Katedrze Botaniki Ogólnej odrabialiśmy ćwiczenia z anatomii roślin pod kierunkiem doc. Skupieńskiego, który po wojnie kierował Katedrą Botaniki na Uniwersytecie Łódzkim. Na codzień botanicy posługują się łacińskimi nazwami roślin, bo te są zawsze jednakowe, podczas gdy nazwy polskie mogą być różne. Tak więc roślina nosząca łacińską nazwę *Vaccinium myrtillus* znana jest w Krakowie pod nazwą czernicy, a w Warszawie pod nazwą czarnej jagody. Ci z nas, którzy przyszli na studia po gimnazjach humanistycznych nie mieli z nazwami łacińskimi trudności, ale biedniejsi byli studenci po klasach matematyczno-przyrodniczych, gdzie łaciny nie uczono.

Oto co zdarzyło się na egzaminie z anatomii roślin u doc. Skupieńskiego. Ustawił w pracowni na stole jedenaście mikroskopów, pod każdym z nich tkankę studiowanej przez nas rośliny. Wzywał pojedynczo, prosił zajrzeć do jednego z mikroskopów i powiedzieć, co tam jest. Mówiło się więc, że jest to *Zea mays*, czyli kukurydza, albo *Aristolochia siphon*, czyli kokornak i opisywało się wystawiany tam przekrój tkanki. Na korytarzu przed drzwiami zorganizowała się już „gięda”. Aha, pierwszy z prawej to *Zea mays*, trzeci z lewej to *Cucurbita pepo* (dynia), a szósty z prawej to *Aristolochia siphon*. Kiedy wszedłem do pracowni, docent pokazuje mi jeden z mikroskopów. Patrzę, ale nie przypominam sobie żadnej studiowanej na ćwiczeniach rośliny, widzę tylko skórkę jakiejś rośliny, czyli *epidermis*. Tak też odpowiadam. Docent odpowiedź przyjmuje. Wychodzę i następnej koleżance, już po mnie wchodzącej, zdążyłem tylko rzucić „Drugi z lewej, *epidermis*”. Tak się złożyło, że i jej docent wskazuje ten sam mikroskop. A ona, łaciny nie znając, a z anatomią roślin też nie najlepiej obeznana, prawie bez spojrzenia w mikroskop obwieszcza z triumfem „*Epidermis officinalis*!” Tak była pewna, że *Epidermis* to nazwa rodzajowa rośliny, a wiele roślin ma nazwę gatunkową - *officinalis*, to znaczy - lekarska. Od tej pory Halinka zyskała sobie przydomek *Epidermis Officinalis*.

W tym roku wyjaśnił się mój stosunek do wojska. Spełniła się przepowiednia cyganki. Na komisję wojskową stawałem w pierwszym roku studiów. Wtedy, lekarz popatrzył na mnie i dał

mi kategorię B, to znaczy odroczenie służby wojskowej o dwanaście miesięcy. Teraz stanąłem znowu przed komisją, która mi dała kategorię C, to znaczy zwolniony ze służby wojskowej, z wyjątkiem pospolitego ruszenia.

Trudno mi było zdecydować, czy mam się z takiego obrotu sprawy cieszyć, czy smuć. Nie tęskniłem do służby wojskowej, bo musztra nawet w Podchorążówce dobrej sławy nie miała. Zwolnienie od służby pozwoliło mi na kontynuowanie studiów. To dobrze. Z drugiej jednak strony cierpiała trochę moja męska ambicja. Mówię więc do lekarza: „Kategoria C? A z jakiego powodu, panie doktorze?” Lekarz był stary, ogromnego wzrostu i miał tubalny głos. Odpowiedział mi: „Z powodu ogólnej chudości wszystkich członków ciała.”

Ważylem już jednak prawie 50 kg, więc oburzyłem się, ale w wojsku oburzenie poborowego się nie liczy. Oprócz mizernej tuszy nie podobały mu się jakieś szelesty w płucach, jakieś zwapnienia po licznych zapaleniach.

Drugie z kolei wakacje akademickie spędziłem trochę inaczej niż pierwsze, bo powoli rozstawaliśmy się z Janką. Wyszła za mąż; widywaliśmy się tylko przelotnie, wymieniając pozdrowienia. Ze względu na sytuację materialną i korepetycje, na których zarabiałem do 100 zł. miesięcznie, nigdzie z Radości nie wyjeżdżałem.

Na początku trzeciego roku studiów dostałem połówkę stypendium państwowego. Pełne stypendium wynosiło 120 zł, bo uważało się, że przynajmniej tyle potrzeba, aby przeżyć. Często dzielono je na połówki wynoszące po 60 zł. Taką połówkę dostałem i ja, i dostawałem ją do końca studiów. Nie wystarczało to na przeżycie, ale korepetycjami dorabiałem przynajmniej tyle samo. W tej sytuacji mogłem nie tylko pokrywać wszystkie swoje wydatki, ale też regularnie zwracać rodzicom to, co wydawali na moje wyżywienie w domu.

Na trzecim roku braliśmy przedmioty pogłębiające botanikę, między innymi filozofię roślin wykładaną przez prof. Bassalika. Zapoznałem się i zaprzyjaźniłem wtedy z dwoma starszymi studentami z mikrobiologii, pracującymi również pod kierunkiem profesora. Byli to studenci Żydzi. Moja przyjaźń z nimi miała cechy demonstracji politycznej. Studentów wszelkich odcieni prawicowych, od Narodowej Demokracji po zachowawcze elementy sanacyjne, cechowało wybitnie antysemickie nastawienie. Jeden z mikrobiologów nazywał się Feiner. Zginął w czasie okupacji, jak większość Żydów. Drugiego nazwiska dziś nie pamiętam; przeżył okupację w Związku Radzieckim. Spotkałem go po wojnie, jako Adama, sekretarza Bieruta. Pomógł mi uratować polskie sady, bo na moją prośbę wyjednał u Bieruta zniesienie podatku od drzew owocowych. Podatek był tak dokuczliwy, że chłopcy zaczęli sady wycinać. Później objął Katedrę Mikrobiologii w SGGW. Nagonka antysemicka 1968 roku zmusiła go do opuszczenia Polski. Wyjechał do Brazylii.

Zacząłem też na trzecim roku właściwą specjalizację z cytologii roślin w Katedrze prof. Wóycickiego w tak zwanej pracowni półdiennej, prowadzonej przez doc. Beckera, bo trwała po pół dnia ale przez cały tydzień.

Siedzieliśmy w jednej dużej sali, zarówno studenci odrabiający pracownię półdzienną, jak i całodzienną. Półdzienna ciągnęła się przez cały trzeci rok studiów, a całodzienna, poświęcona w zasadzie na wykonanie pracy magisterskiej, przez cały rok czwarty i piąty. Wprawdzie były to trzy roczniki, ale stanowiły grupę niewielką, razem zaledwie kilkanaście osób. Wśród tej grupy było tylko dwóch mężczyzn, ja i ks. Szuleta, który na studia przyszedł o rok później, ale szybciej przeszedł przez wstępne pracownie i przyłączył się do naszej grupy.



W tym damskim towarzystwie przebywaliśmy przez trzy lata i zżyliśmy się ze sobą bardzo. Toczyliśmy ze sobą przyjazne, ale zawzięte dysputy naukowe, społeczne, polityczne i religijne. Większość naszych pań wyznawała poglądy raczej konserwatywne, ale znalazły się wśród nich wyjątki: Janina S. i Janina Praska. Janina S. była od nas starsza o dwa czy trzy lata, pochodziła z postępowej, bardzo patriotycznej rodziny, która prawie w całości została wymordowana przez Niemców w czasie drugiej wojny światowej. Jako bardzo dobrego anatoma roślin, zatrudniłem ją w 1951 roku w Instytucie Sadownictwa w Skierniewicach. Po kilkunastu latach przeszła do pracy w Akademii Wychowania Fizycznego w Warszawie.

Janina Praska była wybitnie zdolną studentką. Prof. Wóycicki osobiście zaproponował jej, aby przyszła do niego na specjalizację, bo tak bardzo wyróżniła się na egzaminie. Poznałem ją dawniej, jeszcze przed dwoma laty, przypadkowo na dziedzińcu uniwersyteckim. Dokuczała mi później na temat tego poznania, że nie czekałem, aż zostanie jej przedstawiony, tylko wyciągnąłem do niej rękę energicznie i obwieściłem: „Pieniązek jestem.” Nie przypuszczała wtedy, że wyciągam rękę nie tylko do niej, ale i po nią, bo w niespełna sześć lat później została moją żoną. Przeżyliśmy 57 lat razem, do chwili, w której piszę te słowa.

Toczyliśmy więc w pracowni dyskusje, w których ja byłem czerwonym radykałem, wspomaganym dzielnie przez nie czerwone, ale liberalne obie Janiny. Wodzem większości konserwatywnej był ksiądz, którego wszyscy bardzo lubiliśmy i szanowaliśmy.

U nas na razie wojny nie było, ale przeżywaliśmy ogromnie w październiku 1935 roku, napaść faszystowskich Włoch na bezbronną Etiopię. Niczym nieusprawiedliwiony mord dokonywał się na jedynym niepodległym afrykańskim państwie na oczach całego cywilizowanego świata. W Lidze Narodów ciągnęły się bez końca jałowe na ten temat dyskusje. I znowu „Wieczny Kain Abła wiecznego zabijał”, a nie przyszedł nikt by go bronić.

Wtedy chyba po raz pierwszy zwróciłem na serio uwagę na najbardziej radykalne z ugrupowań lewicowych, na komunistów. Z ruchem socjalistycznym byłem już zapoznany. Czytywałem często „Robotnika”. Jeśli chodzi o komunistów, to działali oni nielegalnie. W miarę coraz ściślejszego zaprzyjaźniania się, Olek P, powiedział mi, że jest komunistą i dał do zrozumienia, że należy do tajnej organizacji. Coraz bardziej zgadzałem się z jego poglądami.

Silniej niż zwykle wybuchały na Uniwersytecie awantury antysemickie. Zamknięto znowu uczelnię na cały miesiąc, co mnie doprowadziło do pasji. Chcieliśmy się uczyć! A władze Uniwersytetu ulegały terrorowi uzbrojonej mniejszości, bojówkom ONR (Obozu Narodowo-Radykalnego). Zamiast je poskromić, zamykały bramy uczelni dla wszystkich studentów.

Polityka przenikała wszystkie organizacje na Uniwersytecie, włączając w to koła naukowe. Na naszym wydziale mieliśmy oczywiście koło przyrodników. Stanowiło ono wraz z kołem polonistów wyjątek, wszystkie inne Koła zostały opanowane przez ONR, a nasze nie. Zarząd składał się z tak zwanej (w języku ONR) „żydo-komuny” to znaczy studentów, którzy albo byli „szabes-gojami”, czyli pacholkami żydowskimi, albo komunistami. W rzeczywistości byli to studenci w dużej większości apolityczni, ale postępowi. Zajmowałem w Zarządzie stanowisko bibliotekarza, znałem więc dobrze innych członków Zarządu. Nie było w nim ani jednego członka Komunistycznej Partii Polski. Łączyła nas wszystkich nienawiść do faszyzmu i do antysemityzmu. To wystarczyło, żeby dać nam przydomek „żydo-komuny”. Mnie osobiście w końcu tego roku opisano w prasie ONR jako „Żydłaka z Falenicy”.

Wiele lat temu przyjęło się, że do żadnego koła naukowego na Uniwersytecie Żydów nie przyjmowano, toteż zorganizowali oni sobie własne koła. Tak więc nasz niezależny od ONR

Zarząd przeszedł w wyborach tylko głosami Polaków. Świadczyło to o tym, że wśród przyrodników przeważała młodzież postępową.

ONR nie mogło znieść, że istnieje takie koło na Uniwersytecie, które nie znajduje się w ich rękach. W listopadzie miały się odbyć kolejne wybory władz. Wystąpili ze swoją listą, ale wkrótce zorientowali się, że nie mają żadnych szans. Na naszej liście byli ludzie poważni, dobrze zapowiadający się studenci. Ich kandydatów natomiast nie widywano na wykładach i na ćwiczeniach, za to często pokazywali się na dziedzińcu, uzbrojeni w okute laski zwane lagami.

Nie mogli jednak dopuścić do przegranej w głosowaniu. Toteż, gdy zrozumieli, że przegrana może być jeszcze gorsza, niż przypuszczali, garstka ich opuściła salę, a za chwilę wróciła z uzbrojoną w laski bojówką, rzucono na salę butlę z gazem łzawiącym. Zaczęliśmy się dusić i w panice wyskakiwać przez drzwi i okna, bo obradowaliśmy na parterze. Mnie się udało wyskoczyć przez okno. Był to wprawdzie skok z wysokiego parteru, ale nic mi się nie stało, tylko, że na nas i tam już czekała bojówka.

Głosowanie zostało zatem unieważnione. Ten sam zarząd koła przyrodników pozostał przy władzy przez jeszcze jeden rok. W roku przyszłym wybory się odbyły i tym razem wygraliśmy. Dopiero jesienią 1939 roku, kiedy studiowałem już w Ameryce, doniesiono mi, że upadła ostatnia reduta. Zarząd koła przyrodników przeszedł w ręce ONR.

Bojówki ONR panowały na Uniwersytecie, ale raz przynajmniej udało mi się zobaczyć, jak sromotnie uciekały przed silniejszym nieprzyjacielem. Poszedłem kiedyś z kolegami na odczyt do młodzieżowej wiejskiej radykalnej organizacji „Wici”. Tymczasem bojówki ONR-owskie postanowiły zebranie rozbić. Wpadło na salę pewnie ze dwudziestu ONR-owców uzbrojonych w laski. Na swoje nieszczęście nie wiedzieli, że poprzedniego dnia wystawiono tu sztukę „Kościuszko pod Raclawicami” i w kącie stało jeszcze kilkanaście osadzonych na sztorc kos. Wiciaże pochwycili za kosy i dalejże na napastników. Ci oniemieli, i oczywiście w nogi. Wiciaże za nimi. Tylko kilku z kosami, ale to wystarczyło. Inni pochwycili jakieś kije i laski, którymi mogli pod osłoną kosynierów razić uciekających, najpierw trzy piętra po schodach, potem na ulicy. Tam zrobiło się widowisko, nawet policjanci trzymali się za brzuchy ze śmiechu.

Olek zapoznał mnie po pierwszym listopadowym zebraniu ze swoim przyjacielem. Wymienił tylko jego imię - Artur. Do czasów wojny nie znałem jego nazwiska ani nie znał go nikt z naszego kręgu. Dopiero po wojnie zetknąłem się z Arturem S., jako działaczem PZPR i skonstatawałem, że jest to nasz „Artur”. Olek przedstawił go nam jako kolegę, który gotów jest poprowadzić „piątkę marksistowską”, czyli szkolenie marksistowskie. Zapytał nas, czy zdajemy sobie sprawę z tego, że takie szkolenie jest nielegalne, musi być zatem utrzymane w największej tajemnicy. Tajemnicy tej nie zaprzysięgaliśmy, ale dotrzymywaliśmy jej. Nasza piątka składała się ze Stefana T., Mieczysława H. - powojennego Ministra Przemysłu Spożywczego, Alfreda D. - powojennego działacza spółdzielczego i państwowego, Władysława M., który po wojnie i wzięciu udziału w bitwie pod Monte Cassino osiedlił się w Anglii, no i ja.

Spotykaliśmy się w Muzeum Zoologicznym Uniwersytetu Warszawskiego, w którym dorywczo pracował Stefan T. Artur był dobrym wykładowcą, ale i z nim mieliśmy spory, głównie na temat Związku Radzieckiego. Starał się usprawiedliwiać wszystko to, co nam się w tym państwie nie podobało. Myśmy nie zawsze chcieli się z nim zgodzić. Mnie osobiście mniej interesowała filozofia marksistowska, a znacznie więcej program społeczny marksizmu. Ale i co do programu miałem pewne zastrzeżenia. Nie podobało mi się to, że komuniści głosili hasło skrócenia tygodnia pracy do 5 czy nawet do 4 dni. Uważałem, że w państwie tak biednym jak nasze

jedynym naszym kapitałem jest praca. Powinniśmy więc pracować nawet więcej, niż pracuje się w innych państwach, aby odrobić zapóźnienia.

Jeśli jakiś pojedynczy czynnik zdecydował, że zainteresowałem się komunizmem, to była nim sprawa bezrobocia. Widziałem zimą długie kolejki mężczyzn ustawiające się już wieczorem przed Magistratem w nadziei, że rano zostaną wzięci do odgarniania śniegu. Ale najbardziej przygnębiający jego obraz miałem we własnej rodzinie. Przyszedłem do mieszkania najstarszego brata, człowieka jak na te czasy wykształconego, bo posiadającego małą maturę i kursy melioracyjne. Było południe, a on leżał na tapczanie, oczy miał zamknięte, niczego nawet nie czytał. „Wszystko - powiedziałem sobie wtedy - dajcie mi wszystkie najgorsze koszmary rewolucji, wszystkich Robespierrow, byle nie to.”

Gazety rządowe pisały, że wprawdzie sytuacja jest ciężka, ale nie najgorsza. Ogromna większość ludzi miała pracę. Bezrobotni nie licili więcej niż 5% ludzi w wieku zdolnym do pracy. Dobrze było pisać tak temu, kto miał pracę. Gdyby nawet liczba bezrobotnych spadła do 1% i tak bym wtedy przeciw systemowi występował, bo przecież w ramach tego 1% są ludzie, prawdziwi ludzie, mający jak ja prawo do normalnego życia, normalnych marzeń. Dopiero gdzieś w latach 1986-1988 zrozumiałem, że niestety bez bezrobocia nie można w żadnym kraju zapewnić poszanowania pracy i właściwej jej wydajności.

Na początku 1936 roku zdarzyło mi się, że z własnej woli porzuciłem najlepiej płatną korepetycję. Latem 1935 roku dostałem korepetycję wyjątkową, płacono mi po 3 zł za godzinę. Uczyłem Andrzeja, młodzieńca siedemnastoletniego, mieszkającego wraz z matką w bardzo bogato urządzonej, wielopokojowym mieszkaniu, przy ul. Czerniakowskiej. Matka była jeszcze młoda, wyjątkowo piękna. Jak się później dowiedziałem, rozwiodła się przed pięciu laty z mężem, bogatym przemysłowcem, pracowała w Ministerstwie Spraw Zagranicznych, a poza tym żyła z innym bogatym przemysłowcem, żonatym mężczyzną.

Kochała syna bardzo, ze łzami w oczach błagała, abym mu pomógł, a ona pieniędzy szczerzyć nie będzie, da mi tyle za godzinę, ile zechcę. Zdobyłem się na odwagę i mówię: trzy złote. Zgodziła się bez jednego słowa.

Andrzej został na drugi rok w szóstej klasie. Był wysoki, przystojny, wykwintnie ubrany, elegancki. Uczyć się nie chciał. Przychodziłem latem do niego w godzinach, kiedy był sam, a matka w pracy. Już po paru tygodniach powiedział mi, że pełni w Warszawie bardzo ważne funkcje, jest prezesem tajnego Klubu Dzieci Rozwiedzionych Rodziców. Minęło jeszcze trochę czasu, a zaproponował poczęstowanie mnie jedną ze swych koleżanek z klubu, któremu przewodził. W sąsiednim pokoju czekały już dwie, pewnie szesnastoletnie panienki, i spore ilości alkoholu.

Powiedziałem mu, że poskarżę się jego matce, że sprowadza podczas jej nieobecności dziewczęta. „Proszę bardzo - odpowiedział - matka dobrze o tym wie, a ja wiem o niej!”

Zaczął się nowy rok szkolny. Walczyłem z Andrzejem, po prostu czytałem mu francuski czy łacinę, bo sam czytać nie chciał. Miałem nadzieję, że mu coś z tego zostanie. Początkowo słuchał. Potem zrobił się tak bezczelny, że kiedy coś mu tłumaczyłem czy czytałem, on zaczynał śpiewać. Rozmawiałem na ten temat z jego matką kilka razy, tłumaczyła mi, że to pewnie chwilowe, że to przejdzie, że muszę być cierpliwy. Ale moja cierpliwość się wyczerpała, przestałem na lekcje przychodzić.

Pierwszego maja 1936 roku po raz pierwszy wziąłem udział w robotniczej warszawskiej manifestacji, która przebiegała pod hasłem zjednoczenia wszystkich sił antyfaszystowskich w Polsce, a więc pod hasłem Frontu Ludowego. Było to spontaniczne. Stałem przed bramą uniwer-

sytecką, wokół której zgromadził się tłum ONR-owców. Gwizdali i wykrzykiwali obraźliwe epitety pod adresem maszerujących. Nas kilku stało obok i nagle, nie umówieni weszliśmy w szeregi młodzieży i razem z nimi śpiewaliśmy „Czerwony Sztandar”. Ogarnęło mnie podniecenie, euforia, jaka zdarza się rzadko. Chwila ta przychodziła wiele razy na myśl, gdy brałem w latach 1951-1980 udział w oficjalnych niejako przymusowych obchodach pierwszomajowych, kiedy personalni liczyli, kto z pracowników nie przybył i mieli mu to za złe, za wystąpienia wrogie Polsce Ludowej.

Wiele lat później w 1971 roku zdarzyło mi się spędzić dzień 1 maja w San Juan, w stolicy Kostaryki. Miałem dzień wolny od wszelkich programów. Około godziny dziesiątej rano wyszedłem na miasto, nie pamiętając, że to dziś właśnie jest robotnicze święto. Nagle zza rogu ulicy ukazał się pochód. Szła przeważnie młodzież. Podnosiła okrzyki domagające się wolności prasy, ziemi dla tych, którzy ją uprawiają, pracy dla wszystkich. Potem śpiewali „Międzynarodówkę”. Pieśń o wyklętych ludziach ziemi zabrzmiała mi tu inaczej, nie tak, jak przez ostatnie dwadzieścia pięć lat, w czasie przymusowych pierwszomajowych galówek w Skierniewicach, a tak właśnie, jak śpiewaliśmy ją w pochodzie na ulicach Warszawy w 1936 r.

W drugim półroczu 1935-36r. zetknąłem się z prof. Edmundem Malinowskim, człowiekiem, który również odegrał ważną rolę w moim życiu. Prof. Malinowski, ur. w 1885 roku, był synem znanego radykalnego działacza chłopskiego, Maksymiliana Malinowskiego, jednego z twórców „Zarania”. Aresztowany przez Rosjan w 1905 r. za działalność patriotyczną, uciekł za granicę, studiował botanikę w Szwajcarii. Wrócił po wojnie i objął katedrę genetyki w Szkole Głównej Gospodarstwa Wiejskiego w Warszawie. Mieszkał w zakładzie doświadczalnym SGGW w Skierniewicach i tam prowadził swe prace badawcze. Uważano go za genetyka światowej sławy. Kiedy już studiowałem w Ameryce w 1940 roku, na wykładach genetyki dla zaawansowanych prof. Fraser na Uniwersytecie Cornella w Ithaca, New York, podał nam listę dwudziestu pięciu najwybitniejszych genetyków świata. Wśród nich wymienił nazwisko Malinowskiego. Byłem wtedy bardzo dumny.

Oprócz pracy w SGGW prof. Malinowski wykładał genetykę na Uniwersytecie Warszawskim. Byłem jednym z czterech czy pięciu studentów, którzy na te wykłady sumiennie przychodzili. Prof. Malinowski należał do bardzo niezwykłych wykładowców, kiedy miał jakiś wykład uroczysty i przygotowywał się, słuchało się go z otwartymi ustami. Mówił wspaniale. Do normalnych wykładów studenckich widać wcale się nie przygotowywał, bo plątał się, mówił niedbale i nieciekawie. Fakt, że tak mało studentów przychodziło na jego wykłady, miał jednak i inny powód. Oto przed paru laty profesor wydał podręcznik z genetyki pod tytułem „Dziedziczność i zmienność”, a był świetnym pisarzem. Jego podręcznik był tak przystępny i tak jasny, a ponadto tak ciekawie napisany, że studenci przychodzili do logicznego wniosku. Po co chodzić na marne wykłady, skoro można się znacznie lepiej przygotować z podręcznika?

Mimo to uczyłem się na wykłady Malinowskiego, chyba żadnego z nich nie opuściłem. Fascynował mnie człowiek, już wtedy powszechnie uważany za dziwaka. Bardzo skromny, niepewny siebie, pełen kompleksów, dawał powody do mnóstwa opowiadanych na jego temat anegdot. Niektóre były prawdziwe. Oto jak zdawała u niego egzamin Janka S. W czasie egzaminu nagle wywołano profesora do telefonu. Wychodząc zamknął drzwi na klucz, bo był bardzo doświadczony. Po rozmowie jednak nie wrócił, bo zapomniał o egzaminowanej studentce i poszedł do domu. Na drugi dzień przychodzi, otwiera kluczem drzwi i zastaje tam Jankę, która nie mogła się

przecież wydostać z zamkniętego pokoju. „Co Pani tu robi?!?” „Zdaję egzamin, panie profesorze!”

Przesłuchałem wykłady, ale nie miałem możliwości zdawania egzaminu u prof. Malinowskiego. Minister Jędrzejewicz co roku wprowadzał na Uniwersytecie nowe oszczędności. Odebrano więc prof. Malinowskiemu wykłady zlecone, za które trzeba było przecież płacić. Postanowiono, że będzie wykładał genetykę prof. Wóycicki w ramach pensum, a więc bezpłatnie. Zmiana zaszła tak szybko, że już w tym roku, w czerwcu miał egzaminować Wóycicki z wykładów, które prowadził Malinowski. Można sobie wyobrazić przerażenie studentów. Poszła delegacja do prof. Wóycickiego. „Z czego będzie Pan profesor nas pytał?” „Jak to z czego? Z podręcznika prof. Malinowskiego.”

Egzamin był pisemny. Wchodzi na salę profesor i pisze na tablicy pięć pytań. Pierwsze cztery pytania nikogo nie przerażyły, bo dotyczyły materiału z podręcznika. Ostatnie pytanie brzmiało: „Co to są ksenie i chimery?” Na sali konsternacja! Jak żywo nie ma o tym w podręczniku Malinowskiego ani słowa. Nikt nic o tym nie słyszał. Sala szumi, ale ja siedzę spokojnie, bo wiem co to są ksenie i chimery, ale nie z podręcznika Malinowskiego.

Studiowałem wprawdzie teoretyczną botanikę, ale już wtedy interesowało mnie ogrodnictwo. Zauważyłem, że jest na Wydziale przedmiot nie obowiązkowy - Encyklopedia Ogrodnictwa, wykładany przez młodego doc. Stanisława Wóycickiego, syna naszego profesora. Potem w SGGW wykładał rośliny ozdobne. Wykłady, których ja słuchałem, były dobre, ale słuchaczy mało, bo nie należały do obowiązkowych. Na nich się dowiedziałem, co to są ksenie i chimery.

Tymczasem studenci protestują, że w podręczniku Malinowskiego problem chimer i ksenii wcale nie jest poruszony. Profesor nie wierzy. Sytuacja staje się ciężka. Koledzy wiedzą, że profesor ma do mnie zaufanie, więc szarpią mnie: „Powiedz profesorowi, że tak jest naprawdę.” Nie było wyjścia. Wstaję i mówię, że ja wiem co to chimery i ksenie, ale dowiedziałem się o tym z wykładów Encyklopedii Ogrodnictwa, bo prof. Malinowski nie omawia ich w swoim podręczniku. Profesor spojrział na mnie i na resztę studentów z wyraźną pogardą, starł z tablicy ksenie i chimery i napisał: „Rozdział siódmy.” Tu znowu krzyk, bo nikt nie pamięta, co jest w którym rozdziale, ale profesor mówi, że jak chcecie się tak podręcznika trzymać, to macie za swoje.

Na czwartym roku studiów kontynuowałem specjalizację z cytologii roślin u prof. Wóycickiego. W pracowni profesor bywał codziennie, z każdym z nas parę słów zamienił, zajrzał do mikroskopu i odpowiadał na nasze pytania i wątpliwości. Jeszcze więcej uwagi poświęcał nam przemiły doc. Becker. Własną małą pracownię miał w sąsiednim pokoju. Spędzał z nami wiele czasu na bezpośrednich rozmowach i konsultacjach, uczył nas techniki mikroskopowej, dyskuutował szczegółowo przebieg prac magisterskich.

Prof. Wóycicki wybrał mi jako temat pracy magisterskiej problem tworzenia się ścian u dużych zarodników w roślinie noszącej dźwięczną łacińską nazwę *Selaginella*. Jest to roślina podzwrotnikowa zbliżona do widłaków. Rozmnaża się przez zarodniki, z tym, że występują u niej tak zwane mikrospory, czyli zarodniki małe, oraz makrospory, czyli zarodniki duże. Z mikrospor wyrastają przedrośla męskie, produkujące plemniki, a z makrospor przedrośla żeńskie, wytwarzające jaja. Zarówno mikrospory jak i makrospory są utworami jednokomórkowymi.

Normalnie każda komórka ma pojedynczą ścianę komórkową. Pojedynczą ścianę ma też mikrospora. Natomiast makrospora ma ścianę komórkową składającą się wyraźnie z czterech warstw - zewnętrznej, wewnętrznej i dwóch pośrednich. Jest regułą, że ściana komórkowa stanowi utwór nieżywy, a jako taka sama rosnąć nie może, a tylko w ścisłym związku z plazmą komórki. Tymczasem makrospora *Selaginelli* okazała się jedynym wyjątkiem w państwie roślin-

nym. Tylko wewnętrzna warstwa ściany miała ścisły związek z plazmą, a trzy pozostałe warstwy rozrastały się, chociaż wcale nie stykały się z plazmą. Nielogiczne to, ale wydawało się być prawdziwe. Taką oto zagadkę dał mi profesor do rozwikłania. Miałem sprawdzić, czy tak jest w rzeczywistości, czy może jest inaczej.

W technice cytologicznej utrwała się najpierw badaną tkankę roślinną, to znaczy zabija się ją przez zanurzenie w odpowiednich trujących płynach, zatapia w parafinie i kroi mikrotomem na bardzo cienkie skrawki. Brałem więc rośliny w różnych stadiach rozwoju, preparowałem, kroilem i oglądałem pod mikroskopem. Opisywane w podręczniku fakty zdawały się nie ulegać wątpliwości. Zewnętrzne warstwy ściany makrospory odstawały od warstw wewnętrznych. Zdawało się nie ulegać wątpliwości, że rozrastały się one samoistnie, bez kontaktu z plazmą.

Dopiero w końcu roku akademickiego, chyba już w czerwcu 1937 roku natrafiłem na właściwy klucz do tajemnicy. Cytologowie najczęściej pracowali wtedy nad materiałem utrwalonym, czyli zabitym, nieżywym. I ja ślęczałem nad skrawkami takiego materiału, ale z ciekawości brałem też pod mikroskop i oglądałem pod małymi powiększeniami żywe makrospory w różnych stadiach ich rozwoju od najmłodszych poczynając.

I wtedy się to właśnie wydarzyło! W bardzo młodych makrosporach wszystkie warstwy ściany komórkowej ściśle do siebie przylegały, a do nich przylegała plazma, a więc tak, jak być powinno. W starszych makrosporach warstwy ściany komórkowej były porozdzielane, plazma nie dotykała całości ściany. Przedstawiały one taki sam obraz, jak w preparatach utrwalonych. Pewnego razu oglądałem młodą, normalną makrosporę. Manipulując przycisnąłem ją mocniej szkiełkiem pokrywkowym, a tu nagle na moich oczach plazma odbiega od ściany komórkowej i kurczy się w mały pęcherzyk, a poszczególne warstwy ściany komórkowej także kurczą się, jedne oddzielają się od drugich.

Eureka! Znalazłem! Znalazłem klucz do zagadki, zacząłem jeszcze i jeszcze powtarzać swoje doświadczenia. Okazało się, że w makrosporach jest wszystko, jak Pan Bóg przykazał, plazma przylega do ściany komórkowej, a jedna warstwa ściany do drugiej. Ale makrospory są niezmiernie delikatne, wrażliwe. Nawet pod wpływem lekkiego mechanicznego nacisku, nie mówiąc już o mordowaniu w utrwalaczach, plazma się kurczy, kurczą się warstwy ścian komórkowych. Powstaje obraz sztuczny, artefaktem zwany, a nie rzeczywisty. Ten sztuczny obraz brano jednak za rzeczywisty i wyciągano z niego wnioski. Nic dziwnego, że wnioski były fałszywe, sprzeczne ze słuszną teorią.

Pokazałem, co się dzieje z żywymi makrosporami pod mikroskopem najpierw Beckero- wi, potem profesorowi. Promieniał. Ja także. Pozostawało mi jeszcze sporo roboty, którą miałem wykonać w przyszłym roku. Część jej przeprowadziłem w czasie wakacji, ale profesor przepędził mnie, tłumacząc, że przecież w czasie wakacji trzeba trochę odpocząć, a nie spędzać każdy dzień w pracowni.

Rok akademicki 1936-37 był tak samo niespokojny, jak lata poprzednie. Zajścia antyżydowskie zakłócały i przerywały studia.

Artur dokształcał naszą piątkę w marksizmie i coraz bardziej przekonywał, że komunizm jest bardziej logiczny w swym działaniu niż socjalizm, że w Związku Radzieckim nie dzieją się takie złe rzeczy, jak się o tym pisze. Nie przekonał mnie jednak. Czystki stalinowskie były zbyt oczywiste, by je uznać za potwarz rzucaną przez przeciwników. Pozostałem przy swoich przekonaniach socjalistycznych.

Kolejne wakacje spędzałem w Radości, ale prawie każdego dnia jeździłem do Warszawy, do pracowni. Tylko przez jeden miesiąc była zamknięta. Wraz z rozpoczęciem nowego roku akademickiego zabrałem się znowu z zapałem do *Selaginelli*. Prof. Wóycicki coraz częściej rozmawiał ze mną na temat mojej przyszłości. Powiedziałem mu, że chciałbym pracować naukowo. Był zadowolony z moich zamiarów i obiecał wystąpić o stypendium w celu wysłania mnie na studia doktoranckie do Grazu w Austrii, bo tam pracował wtedy jeden z najsłynniejszych europejskich cytologów roślin. Trudno opisać, jaka była moja radość. Nie trwała jednak długo. W połowie marca 1938 roku nastąpił słynny „Anschluss”, Hitler zajął Austrię, nie mogło być zatem mowy o wyjeździe do Grazu.

Wielkimi krokami zbliżała się wojna. W Polsce można było zauważyć nawet pewną poprawę sytuacji ekonomicznej. Startowaliśmy z tak niskiego poziomu, że cieszyła nawet niewielka poprawa.

Także i w mojej rodzinie coś się zaczęło zmieniać. Najstarszy brat Stanisław praktykował najpierw zupełnie bezpłatnie przez cały rok w gminie Zagórze koło Radości, ale po tym roku dostał w niej stałą posadę pomocnika pisarza. Posada nisko płatna, ale stała, a wtedy nic się tak nie liczyło, jak stałość pracy. Nie było większej groźby niż bezrobocie. Drugi z kolei brat Antoni ożenił się, udało mu się przy tym znajdować mniej lub bardziej stałe zatrudnienie. Następny z kolei brat Wacław początkowo pracował z ojcem jako stolarz, potem kosztem wyrzeczeń i niespanych nocy otrzymał maturę, a po wojnie ukończył Wydział Architektury Politechniki Warszawskiej. Młodsza od niego Wanda uczyła się w Technikum Rękodzielniczym, specjalizowała się w tkactwie.

Mój młodszy brat skończył właśnie szkołę powszechną. Chciał uczyć się dalej, ale ojciec nie mógł mu zapewnić warunków do nauki. Wiedząc o tym, że Kazik jest zdolny, postanowiłem mu pomóc. Upatrzył sobie Technikum Kolejowe na Chmielnej, ale nie łatwo było się do niego dostać. Powiedziałem mu, że jeśli zda i zostanie przyjęty, to będę płacił za niego chesne ze swoich skromnych zarobków.

Pojechał w czerwcu na egzamin. Po powrocie powiedział, że dobrze mu poszło, ale lista przyjętych zostanie wywieszona w przyszłym tygodniu. W oznaczonym dniu poszedłem, żeby listę zobaczyć, ale nie było na niej Kazika, Żal mi się go zrobiło, ale jednocześnie poczułem ulgę, że nie będę miał finansowego obciążenia. Wróciłem do domu i powiedziałem: „A jednak nie zdałeś.” Kazik nic nie odpowiedział. Na drugi dzień rano zniknął. Wrócił dopiero po południu. Nic nikomu nie mówiąc poszedł do Warszawy pieszo, całe 15 km do szkoły, bo nawet 40 gr. na tramwaj od nikogo nie wziął, aby się dowiedzieć o wynikach egzaminu. Okazało się, że egzamin zdał bardzo dobrze i został przyjęty, a przez omyłkę maszynistka, przepisując listę opuściła jego nazwisko. Tak więc poszedł Kazik do szkoły. Dzięki połówce stypendium i korepetycjom zarabiałem dość, aby mu pomóc. Nie poszło to na marne, bo po wojnie doszedł do stopnia pułkownika w polskim lotnictwie.

Na Uniwersytecie uczęszczałem jeszcze na wykłady, które mi do wysłuchania pozostały, zdawałem egzaminy. Wykańczałem pracę magisterską. Przygotowywałem ją na piśmie w dwóch wersjach, jedną ze wszystkimi szczegółami, jako rozprawę dyplomową, a drugą do druku. Wyszła jeszcze w 1938 roku w aktach Warszawskiego Towarzystwa Naukowego w języku niemieckim. Byłem z niej bardzo dumny, jako ze swej pierwszej, ogłoszonej drukiem, pracy naukowej.

Już w kilka dni po zaanektowaniu Austrii przez Hitlera prof. Wóycicki przyszedł do mnie z nową propozycją, dotyczącą mej przyszłości. Zawdzięczam ją profesorowi genetyki SGGW Edmundowi Malinowskiemu. Szczególną opieką otaczał on Wydział Ogrodniczy, którego był

rzeczywistym twórcą i organizatorem. Ogrodnictwo jeszcze w pierwszych latach po wojnie było w Europie raczej rzemiosłem niż nauką. Nauką stało się w początkach XX wieku w Ameryce. Wiedział o tym doskonale prof. Malinowski i postanowił wysłać do Ameryki młodych, zdolnych ludzi, aby doktoryzowali się w najważniejszych działach ogrodnictwa, a po powrocie do kraju objęli w przyszłości odpowiadające tym działom katedry w SGGW i postawili je na poziomie światowym.

Nie łatwo było w tych czasach w kraju, tak biednym jak Polska, znaleźć stypendia na wyjazd do Ameryki. Prof. Malinowski miał jednak w Ministerstwie Oświaty i innych instytucjach wyjątkowe poważanie. Posiadał dar perswazji, to też potrafił urzeczywistnić swe plany. Jeszcze w latach 20-tych wybrał w SGGW bardzo zdolnego, młodego człowieka, Feliksa Kotowskiego, i wysłał go na trzy lata do Uniwersytetu Cornella w Ithaca w stanie New York. Uniwersytet Cornella miał sławę jednego z najlepszych w dziedzinie rolnictwa w całej Ameryce. Kotowski studiował tam przez trzy lata, uzyskał doktorat, wrócił, objął Katedrę Warzywnictwa, osiadł w Skierniewicach i rozpoczął zarówno nauczanie, jak i prace badawcze na naprawdę wysokim poziomie.

Nie dane mu było pracować długo. W dwa zaledwie lata po powrocie do kraju owad ukłuł go wargę. Nastąpiło zakażenie, a że nie znano jeszcze wtedy antybiotyków, młody profesor zmarł nagle.

Prof. Malinowski nie zrezygnował z raz powziętego planu. Wybrał następnego młodego człowieka, Emila Chroboczka, i w 1930 roku zdobył dla niego stypendium z Funduszu Kultury Narodowej na studia doktoranckie w Ameryce. Fundusz Kultury Narodowej był instytucją rządową, ale dość niezależną, kierowaną przez wielkiego mecenasa nauki Stanisława Michalskiego. FKN miał na celu popieranie kultury i nauki polskiej przez przydzielanie stypendiów i zasiłków na prace naukowe, artystyczne i literackie, zarówno w kraju, jak i zagranicą. Emil Chroboczek pojechał również na Uniwersytet Cornella, uzyskał doktorat, wrócił do kraju 1932 roku, objął Katedrę Warzywnictwa w SGGW i osiadł w Skierniewicach.

Działalność Kotowskiego, choć znaczna, była zbyt krótka, aby mogła mieć większy wpływ na polskie naukowe ogrodnictwo. Prof. Chroboczek był człowiekiem niemiernie wybitnym i zajmował pierwsze miejsce w naukowym warzywnictwie w Polsce aż do 1973 roku, kiedy przeszedł na emeryturę. Kierował Katedrą Warzywnictwa w SGGW. Zorganizował Instytut Warzywnictwa w Skierniewicach.

W 1935 roku prof. Malinowski wybrał znowu zdolnego młodego absolwenta SGGW, mgr Adolfa Szendla i wysłał go do tegoż samego Uniwersytetu Cornella, ale na specjalizację w roślinach ozdobnych. Pozostawała jeszcze jedna gałąź ogrodnictwa, a mianowicie sadownictwo, o którym przyszło myśleć prof. Malinowskiemu. Katedrą Sadownictwa w SGGW kierował podówczas prof. Włodzimierz Gorjaczkowski. Ciekawą miał za sobą historię. Pochodził z rosyjskiej rodziny nasłanej na Polskę przez rząd carski. Gorjaczkowsy stali się jednak patriotami kraju, który przyjechali ujarzmić, a przynajmniej takim patriotą stał się młody Włodzimierz. W 1905 roku brał udział wraz z całą młodzieżą polską w ruchu patriotycznym. Uważał się za Polaka, a nie za Rosjanina, ożenił się z Polką.

Prof. Gorjaczkowski miał w tych czasach około 55 lat. Był to człowiek wyjątkowo w SGGW lubiany i szanowany, zarówno przez swych kolegów, jak i przez studentów. Działal społecznie w organizacjach ogrodniczych. Jeśli jednak chodzi o stronę naukową, to przedstawiał środkowo-europejski kierunek sadownictwa. Wśród jego asystentów nie było nikogo, kto mógłby



po nim przejąć katedrę. Oto dlaczego zajął się tą sprawą prof. Malinowski, z wielką troskliwością i uporem budując nowoczesne polskie naukowe ogrodnictwo.

## Spełniona wróżba cyganki

Dotychczas prof. Malinowski wybierał młodych ludzi spośród absolwentów SGGW, a więc mających praktyczne rolnicze czy ogrodnicze przygotowanie. Teraz powziął inny zamiar. Postanowił znaleźć młodego człowieka o przygotowaniu teoretycznym, aby go wysłać na doktoranturę sadowniczą, znowu na Uniwersytet Cornella, gdzie miałby poza doktoranturą doksztalać się także w sadownictwie praktycznie. Zwrócił się więc do prof. Wóycickiego z zapytaniem, czy nie miałby kandydata, którego mógłby polecić, a prof. Wóycicki wskazał na mnie. Czyżby miała się spełnić wróżba cyganki sprzed dwunastu lat?

Profesor zapytał mnie najpierw, czy przyjąłbym tę propozycję i zmienił swoje zainteresowania z teoretycznej botaniki, z cytologii, na dziedzinę bardziej praktyczną, do jakich należy sadownictwo. Na to pytanie odpowiedziałem bez namysłu entuzjastycznie - tak!

Prawdę mówiąc trudno było mi uwierzyć w swoje szczęście. Zaledwie przed rokiem kilkakrotnie zatrzymywaliśmy się z Janiną Praską przed ogłoszeniem wiszącym w dziekanacie. Uniwersytet w Honolulu, na Wyspach Hawajskich, ogłaszał konkurs na roczne stypendium na studia botaniczne, ale trzeba było mieć w ręku magisterium. Oboje nie mogliśmy oczu oderwać, dyskutowaliśmy je i dziwiliśmy się, że wisiało tak długo. Podobno nikt się z Polski po to stypendium nie zgłosił. A teraz przychodziła podobna oferta, ale już rzeczywista, namacalna, personalnie do mnie skierowana.

Nie trudno mi dziś powiedzieć, co mnie w niej najbardziej pociągało. Na pewno było to pragnienie poznania świata, wyjazdu na daleki, owiany legendą kontynent amerykański. Ważnym powodem mojej radości było to, że wyjazd dawał mi niejako kartę wstępu do kariery naukowej, bo o niej przecież marzyłem od dnia wstąpienia na Uniwersytet. Wiedziałem, jakimi trudnościami dla mnie najeżona jest ta droga w Polsce. Jako najważniejszy cel w życiu widziałem pracę naukową, jako ukoronowanie wszelkich marzeń dojście kiedyś do stanowiska profesora. Tak to powiedziałem jeszcze przed amerykańską propozycją Janinie. Zamiary moje wtedy mogły być tylko przyrównane do porywania się z motyką na słońce. Na Uniwersytecie brakło etatów dla młodych ludzi, brakło pieniędzy na wyposażenie laboratoriów. Na drugi dzień marzenia stały się czymś realnym.

Czułem się bardzo dobrze w roli początkującego adepta teoretycznej botaniki i miałem szczęście, że moja pierwsza praca badawcza, to znaczy magisterska, nad *Selaginellą*, przyniosła interesujące rezultaty, rozwiązała niewielki wprawdzie, ale teoretycznie ważny problem. Jeszcze w latach siedemdziesiątych otrzymałem prośby o odbitki swojej publikacji. Wiosną 1982 roku, kiedy pojechaliśmy z żoną do Uniwersytetu Friedricha Wilhelma w Bonn, by odebrać przyznany mi doktorat honoris causa, profesor tegoż Uniwersytetu pokazał nam swój świeżo wydany podręcznik cytologii, podkreślając, że cytował w nim wyniki mojej pracy nad *Selaginellą*.

Zmiana zainteresowań z teoretycznych na bardziej praktyczne, z nauki teoretycznej na stosowaną, bynajmniej mnie nie zmartwiła. Nie jestem typem człowieka przeznaczonego wyłącznie do prac teoretycznych. Od najwcześniejszej młodości interesowały i bolały mnie problemy społeczne. Brakowało mi czegoś, kiedy siedziałem nad mikroskopem, wpatrując się w makrospory *Selaginelli*. Myśl, że przejdę do pracy, która będzie dawała społeczeństwu korzyści bardziej bezpośrednie, bardziej wymierne, ogromnie mnie ucieszyła. A sadownictwo nie było dla mnie czymś najzupełniej nowym. Przecież i dziadek i ojciec mieli sady w swoich gospodarstwach. Na rok przed propozycją prof. Edmunda Malinowskiego przesłuchałem z własnej i nie

przymuszonej woli nieobowiązujących wykładów doc. Stanisława Wóycickiego z encyklopedii ogrodnictwa, a to było chyba dowodem, że ogrodnictwo mnie interesowało.

Tak więc propozycja doc. Malinowskiego zbiegła się z najśmielszymi marzeniami. Ale na razie była to tylko propozycja. Dopiero miałem się spotkać z prof. Malinowskim, który mnie prawie nie znał. Czy po rozmowie ze mną dojdzie do przekonania, że spełniam warunki, jakich oczekuje. Czy wreszcie powiedzie mu się w staraniach o stypendium z Funduszu Kultury Narodowej?

Z bijącym sercem wchodziłem do gabinetu profesora. Rozmawialiśmy przez długi czas. Prof. Malinowski wypytywał mnie o studia, zainteresowania, rodzinę. Wydawało mi się jednak, że jakoś nie jest zupełnie ze mnie zadowolony, że czegoś jeszcze brakuje mu w moich odpowiedziach. Zdradziła mi te jego niepokoje Janina, która pomagała Janinie S. w wykonywaniu dla profesora preparatów cytologicznych. Otóż nie wzbudzała zaufania profesora moja kondycja fizyczna. „A czy on na pewno jest zdrow? Czy nie ma przypadkiem gruźlicy?” Ważyłem już wtedy pewnie trochę więcej niż 50 kg, nic dziwnego, że zbytniego zaufania nie wzbudzałem.

A jednak profesor zaryzykował. Najpierw przedstawił mnie dwóm profesorom SGGW - wspomnianemu już Gorjaczkowskiemu oraz Michałowi Korczewskiemu, kierownikami Katedry Fizjologii Roślin. Stałem przed prof. Gorjaczkowskim, który ujął mnie uprzejmością, głębokim sercem, serdecznością. Poczulem się z miejsca swobodnie. Prof. Gorjaczkowski cieszył się, że mam jechać do Ameryki, której sam nie znał, ale ocenił jej sadownictwo, znane mu z literatury, bo władał językiem angielskim.

Potem poszedłem do Korczewskiego. Miał opinię najlepiej wykształconego profesora SGGW. Miał wspaniały głos, a mówił tak, że chciałoby się z nim pozostać na długie godziny.

Teraz przyszła kolej na wizytę u Stanisława Michalskiego, dyrektora Funduszu Kultury Narodowej. Przed wojną, w latach trzydziestych, wyjazd do Ameryki nie zdarzał się codziennie. Dać komuś stypendium na studia doktoranckie do Ameryki, stypendium polskie, stypendium kraju jakże nie bogatego, zebrane z podatków, a nie z czego innego, to była sprawa poważna. Nic dziwnego, że dyrektor sam chciał poznać kandydata i wyrobić sobie o nim własne zdanie. Zdawałem sobie sprawę, że od tej rozmowy zależy wszystko. Przyjął mnie starszy Pan, bardzo poważny. Nie mówiliśmy ani o botanice, ani o sadownictwie. Pytał mnie, jakie książki ostatnio czytałem, pytał o poetów i powieściopisarzy, o sztuki teatralne, jakie ostatnio widziałem. Wyszedłem z pewną obawą. Czyżby dyrektor od razu zdecydował tak z pierwszego spojrzenia, że o nauce nie ma co ze mną rozmawiać?

Miałem też innego rodzaju obawy. Wprawdzie nie byłem członkiem żadnej organizacji politycznej, ale na Uniwersytecie wiedziano o moich lewicowych, antyrządowych przekonaniach. W związku ze wspomnianymi wyborami w Kole Przyrodników odpowiednią „reklamę” robili mi studenci ONR-owscy. Na szczęście jednak nie wpłynęło to na ostateczną decyzję. Wiem, że przychodzili w czasie mej nieobecności dwaj policjanci, ale jedynymi osobami, od jakich zasięgnęli informacji o mnie, byli moi rodzice. Po odbiór paszportu stawiłem się u Starosty warszawskiego. Był to Pan, który na powitanie podał mi swoją szeroką dłoń, a na pożegnanie tylko dwa palce, gdy dowiedział się, że pochodzę z tych nieznanych Pieniążków. Ale i on nie zadawał mi żadnych pytań dotyczących moich przekonań politycznych.

Oficjalne zawiadomienie na piśmie o przyznaniu stypendium przez Fundusz Kultury Narodowej zostało wysłane do mnie dopiero 24-go sierpnia, ale dyr. Michalski już w końcu czerwca powiedział mi, że pozytywna decyzja została powzięta. Stypendium zostało przyznane na rok. Wynosiło 8000 zł. to znaczy około 1500 dolarów, płatne w dwóch ratach. Mój wyjazd planowa-

ny był na trzy lata, to znaczy, że co roku miałem prosić o przedłużenie stypendium. Złoty polski był wtedy walutą wymienną, co uczyniłem od razu w Polsce.

Podróż polskim statkiem kosztowała około 1500 zł. Dowiedziałem się jednak, że można uzyskać 50% zniżkę na przejazd, której udziela tylko sam naczelny dyrektor Linii Gdynia - Ameryka, Szujski. Wybrałem się do niego. Zdziwił mnie swoją bezpośredniością i uprzejmością. Bez zwlekania wyraził zgodę.

Tymczasem jednak kończyłem studia. Przepisałem na czysto pracę magisterską i złożyłem ją prof. Wóycickiemu do oceny. Przygotowałem także krótszą jej wersję, która została przetłumaczona na niemiecki i wydrukowana.

Wczesną wiosną, w kwietniu 1938 roku wyjechałem na miesiąc z Warszawy w celach zarobkowych. Mogłem sobie na to pozwolić, bo na Uniwersytecie, praktycznie biorąc, skończyłem już wszystkie zajęcia. Umożliwił mi to Piotr Kolago, specjalista od buraka, który przybył do naszej pracowni, aby zapoznać się z techniką mikroskopową, potrzebną mu w pracy, w Stacji Hodowli Buraka Cukrowego w Śmiłowie koło Sandomierza.

Praca była prosta i dobrze płatna. Buraki cukrowe wykopane zeszłego roku przechowywane były przez zimę w kopcach, a teraz należało sprawdzić, ile procent cukru zawiera każdy z nich. Brało się małą próbkę z każdego korzenia, wycisło z niej sok i w polarymetrze odczytywało się zawartość cukru. Do dalszych prac hodowlanych wysadzało się tylko te buraki, które wykazywały najwyższą cukrowość. Te zaś, które miały zbyt niską zawartość cukru, były odrzucane i przeznaczane na paszę.

Pracowałem w Śmiłowie przez miesiąc. Śmiłów był majątkiem ziemskim posiadającym małe laboratorium. Poza mgr Kolago nie było tam ludzi z wyższym wykształceniem. W laboratorium zatrudniony był młody technik Jan S., a poza nim tylko wiejskie dziewczęta do pomocy. Mnie pomagało bezpośrednio śliczne, pewnie dwudziestoletnie dziewczę, zwane „Czarną Janką” z powodu kruczoczarnych włosów i czarnych, zawsze śmiejących się oczu. Przy tego rodzaju pracy można było rozmawiać, a Janka opowiadała mi chętnie o życiu na sandomierskiej wsi.

Najciekawszym jednak człowiekiem w Śmiłowie był Jan S. Pochodził z Wolnego Miasta Gdańska. Rodzice w domu mówili po niemiecku i uważali się za Niemców. Miał tam jednak stryja, którego poznał dopiero wtedy, gdy miał lat 10. Ojciec nie utrzymywał z bratem stosunków, bo ten uważał się za Polaka i w jego domu rodzina mówiła po polsku. Janek, a raczej wtedy jeszcze Hans, spotkał się z nim przypadkowo. Od stryja dowiedział się, że i on jest czystej krwi Polakiem. Tak to go zafascynowało, że zaczął uczyć się po polsku. Rodzice dowiedzieli się o tym i wzbraniali mu nauki języka narodu, którego się wyparli, po prostu konfiskowali polskie książki. Sytuacja stała się nie do wytrzymania. Młody gdańszczanin uciekł z domu w wieku 14 lat, oczywiście do Polski. Przeżył jakoś, a nawet udało mu się skończyć średnią szkołę rolniczą. Mówił po polsku z pewnym cudzoziemskim akcentem, nienawidził Niemców, zwłaszcza Niemców hitlerowskich. Lubił jednak niemieckie piosenki i czasami pięknie je śpiewał. Pamiętam zwłaszcza sentymentalną piosenkę:

Auf meine Zieharmonika  
Spiel' ich für dich Veronika ...

Po wojnie spotkałem go, był dyrektorem jednego z koszalińskich PGR. Jego syna, dobrze zapowiadającego się pracownika naukowego z Instytutu Warzywnictwa, posłałem na roczny staż do Ameryki w ramach prowadzonej przeze mnie Polsko-Amerykańskiej Wymiany Rolniczej.

W końcu czerwca 1938 roku zdałem egzamin magisterski. Tego samego dnia zdała też egzamin magisterski Janina Praska. Pożegnałem się ze swoim opiekunem, prof. Wóycickim. Parę tygodni spędziłem w domu, a potem pojechałem na półtora miesiąca do Skierniewic. Miałem od tej pory pracować w sadownictwie, a na razie niewiele o nim wiedziałem, dlatego zwróciłem się do prof. Gorjaczkowskiego z prośbą i zapytaniem, czy nie mógłbym w czasie ostatnich wakacji, bo do Ameryki miałem wyjechać we wrześniu, spędzić jakiś czas w Skierniewicach i zapoznać się z sadownictwem.

Skierniewice do czasów rozbiorów były siedzibą prymasów Polski. Istniał tu ich duży majątek ziemski wraz z pałacem z XVII wieku i pięknym trzydziestohektarowym parkiem. W czasie rozbiorów posiadłość przeszła na własność cara. Na zachód od Skierniewic rozciągały się lasy, które zwane dotychczas są Zwierzyńcem. Przyjeżdżał tu czasami na polowanie car, częściej zaś inni dostojnicy dworu. Raz nawet odbył się w skierniewickim pałacu zjazd trzech cesarzy.

Po wojnie majątek wraz z parkiem i pałacem przeszedł na własność państwa polskiego i został oddany Szkole Głównej Gospodarstwa Wiejskiego w Warszawie. Sam majątek miał wtedy już tylko około 200 ha ziemi nie licząc parku. Pałac znajdował się w tak zwanej Osadzie Pałacowej w samym środku miasta. Zdziwiłem się, gdy przyjechałem do Skierniewic, że w Osadzie Pałacowej, w środku miasta, nie więcej niż 30 m od Sejmiку, czyli siedziby władz powiatowych, znajdowała się wielka obora. Codziennie krowy paradowały przez miasto na pastwisko majątkowe, oddalone o przeszło kilometr. Obora ta wraz z inwentarzem dotrwała w tym miejscu do lat pięćdziesiątych

Piękny park w stylu angielskim obfitował w potężne drzewa, głównie wiązy, lipy i topole, ale były też drzewa egzotyczne i w Polsce rzadkie, jak tulipanowiec, gleditschia o rozgałęzionych kolcach, czerwolistne buki i kasztanowiec o różowych kwiatach. Przecinała park z południa na północ niewielka rzeczka Łupia, zwana też Skierniewką. Ze wschodu na zachód przechodziła tędy linia kolejowa z Warszawy na Śląsk. Kolej dzieliła park na dwie nierówne części, część główną od południowego wschodu i mniejszą, zwaną Sabedianami, od północnego zachodu.

Osada Pałacowa wraz z oborą mieściła się w głównej części parku. Na Sabedianach stał niewielki pałacyk myśliwski, pobudowany w połowie ubiegłego wieku przez księcia Boriatyńskiego, zdobywcę Kaukazu, który przywiózł sobie z Gruzji piękną młodą księżniczkę, jak twierdzili jedni, inni upierali się że była tancerką. Na imię jej było Sabediana, bo podobno była mądra jak królowa Saba, a piękna jak bogini Diana. Tu, w Skierniewicach, jak najdalej od rezydującej w Petersburgu małżonki, wybudował jej Książę pałacyk, gdzie spędzała całe swe pozostałe życie, a zmarła w podeszłym wieku. Podobno słynęła z niezwyklej dobroci dla Polaków, którzy tak, jak i jej naród stracili wolność, zawojowani przez Rosję. Oto dlaczego całą część parku i miasta, otaczającą dawny jej pałacyk, lud skierniewicki zwie Sabedianami (lub Sobedianami).

Na Sabedianach królował od 1918 roku prof. Malinowski. Mieszkał w pałacyku i miał w nim swoje pracownie, a na obrzeżu parku kilka hektarów ziemi i kilka szklarenek dla swoich genetycznych doświadczeń. Szklarenki przetrwały wojnę, a już wtedy wyglądały tak staroświecko, że w 1974 roku tu właśnie realizowano sceny do filmu osnutego na tle powieści Żeromskiego „Dzieje Grzechu”.

Najbardziej rozbudowały tu swoje obiekty doświadczalne i laboratoria Katedra Chemii Rolnej Wydziału Rolnego z prof. Marianem Górskim, Katedra Warzywnictwa prof. Chroboczka

i Katedra Sadownictwa prof. Gorjaczkowskiego. Studia ogrodnicze w SGGW były tak rozplanowane, że młodzież pierwsze dwa i pół roku spędzała w Warszawie, a wiosną trzeciego roku przyjeżdżała na stałe do Skierniewic. Zamieszkiwała w bursie w Osadzie Pałacowej. Odbywała najpierw „praktyki” przez cały sezon wegetacyjny, a potem, przez resztę czwartego i przez piąty rok studiów, uczęszczała tu na wykłady i wykonywała prace magisterskie.

Majątek skierniewicki nie miał sadu, ale w 1928 roku wydzielono 20 ha ziemi, na których jesienią prof. Gorjaczkowski zaczął zakładać sad. Pamiętna, niezwykle surowa zima 1928/29 wymroziła większość posadzonych drzewek, ale jesienią 1929 roku zaczęto nowe nasadzenia, zakończone we wczesnych latach trzydziestych. Sad został nazwany Sadem Pomologicznym, bo stanowił głównie kolekcję pomologiczną, czyli kolekcję różnych odmian. Zgromadzono tam ponad 1000 odmian z całego świata, w tym około 800 odmian jabłoni. Jako kierownik Katedry Sadownictwa ogólną opiekę nad sadem sprawował prof. Gorjaczkowski, ale sam mieszkał w Warszawie i często w Skierniewicach nie bywał. Adiunkt Katedry, inż. Piotrowski, mieszkał w Skierniewicach i to on kierował pracami na codzień. Do pomocy miał dwie osoby inż. Marka Gniazdowskiego i inż. Annę Z.

Inż. Gniazdowski pracował na etacie Ministerstwa Rolnictwa, a nie SGGW. Uczelnia była tak biedna, że nie zatrudniała w Katedrze Sadownictwa nikogo poza inż. Piotrowskim, a inż. Gniazdowski zajmował się rejonizacją sadów. Kolekcja odmianowa w Sadzie Pomologicznym stanowiła dla niego bezcenny materiał, z którego mógł wyciągać wnioski odnośnie udawania się poszczególnych odmian drzew owocowych w Polsce. Inż. Z. była niedawną absolwentką SGGW specjalizującą się w sadownictwie. Mimo, że była to osoba bardzo zdolna, nie znaleziono dla niej etatu. Prof. Gorjaczkowski wyszukał jakieś fundusze na prace zlecone. Dzięki temu mogła wraz z inż. Gniazdowskim opracowywać w skierniewickiej Katedrze Sadownictwa kolekcję odmianową Sadu Pomologicznego.

Muszę też wspomnieć jeszcze jedną ważną w skierniewickim sadownictwie osobę, a mianowicie p. Mariana Montaka, ogrodnika. On sad zakładał, on osobiście wszystkie drzewka formował i ciął, on zajmował się sprawami codziennymi prowadzenia sadu.

Studenci III roku Wydziału Ogrodniczego odbywali swe praktyki we wszystkich trzech działach ogrodnictwa: w sadownictwie, warzywnictwie i w roślinach ozdobnych przez cały sezon wegetacyjny pod kierunkiem instruktorów. Moją intencją było przyłączenie się do nich, abym w okresie kilku tygodni wakacyjnych mógł przynajmniej częściowo z sadownictwem się zapoznać.

Przyjechałem do Skierniewic w początku lipca. Zamieszkałem w tak zwanym domu Nowaka, nie w Osadzie, lecz po zachodniej stronie parku, tuż przy torze kolejowym. Była to bursa męska. Dostałem w niej osobny pokój. Po naradzie z prof. Gorjaczkowskim i inż. Gniazdowskim nie zostałem wcielony do grupy praktykantów. Nie interesowałem się przecież tak warzywnictwem czy roślinami ozdobnymi, jak sadownictwem. Przyjąłem pozycję wolnego słuchacza. Pokój dostałem bezpłatnie, za posiłki płaciłem. Cały czas spędzałem w Katedrze sadownictwa i w Sadzie Pomologicznym.

Kiedy przyjechałem do Skierniewic, patrzono na mnie trochę jak na wroga lub na intruza. Jak to? Czy nie można było znaleźć wśród absolwentów SGGW jakiegoś zdolnego młodego człowieka. Jak można na tego rodzaju stypendium, na doktoranckie studia sadownicze posłać człowieka, który pewnie jabłoni od gruszy nie umie rozróżnić, który nie umie ani szczepić, ani oczkować. Przy ówczesnym rzemieślniczym raczej niż naukowym pojmowaniu sadownictwa były to zarzuty poważne.

Inż. Z. powiedziała mi szczerze, co o tym myśli. Jej narzeczony Adolf S. kończył właśnie doktorat w Uniwersytecie Cornella, miał wracać jesienią. No tak, ale on był inżynierem ogrodnikiem, miał prawo jechać. A jakąż to gwiazdą jestem ja, zupełny ignorant w sadownictwie, skoro się na mnie zdecydowano? A już z postawy to raczej za gwiazdeczkę niż gwiazdę mógłbym uchodzić. Tak mnie też do końca mego pobytu w Skierniewicach nazywała przy wszystkich. Uważała, że jeśli komu, to jej by się taki wyjazd należał, ale w tym niesprawiedliwym, rządowym przez mężczyzn świecie, nikt o niej nie pomyślał. Przysłano „gwiazdeczkę”.

Nie tylko w SGGW mnie tak potraktowano. Mając wyjechać za granicę, powinienem się przygotować na to, że będą tam mnie pytali o polską produkcję owoców. Ile mamy w Polsce sadów? Jaka jest proporcja między uprawianymi gatunkami drzew owocowych? Czy jesteśmy w produkcji owoców samowystarczalni? Postanowiłem pójść do Ministerstwa Rolnictwa i zebrać tam trochę danych o polskim sadownictwie. Udałem się do inż. B., który zajmował stanowisko naczelnika Wydziału produkcji ogrodniczej, bardzo dla ogrodnictwa polskiego zasłużony. Kiedy powiedziałem mu, o co chodzi, potraktował mnie gorzej niż źle. Nie dostarczył mi żadnych danych, powiedział, że to nonsens, aby na studia doktoranckie wysłać kogoś, kto nie ma żadnego pojęcia o sadownictwie.

Piszę o tych sprawach, bo stanowią one dobrą ilustrację poglądów, jakie panowały wówczas na temat polskiego sadownictwa. Wspomniałem, że odzwierciedlały one rzemieślnicze raczej niż naukowe sadownictwo europejskie. Uważano, że młody człowiek, który nie umie szczepić ani oczkować drzew, przekreśla się raz na zawsze jako kandydat na adepta nauki sadowniczej.

Moim nauczycielem praktycznego sadownictwa był Marian Montak. Studenci, którzy przychodzili do niego na praktykę, zadzierali nosa do góry, bo już dużo umieli albo wydawało im się, że dużo umieli. We mnie miał p. Montak ucznia, który wprowadził jabłoń od gruszy odróżniał, ale żadnej nowoczesnej odmiany nie rozpoznawał, i rzeczywiście nigdy w życiu nie szczepił drzew ani nie oczkował. Z wielką cierpliwością oprowadzał mnie p. Marian po sadzie, a także odpowiadał na moje nigdy nie kończące się pytania.

Spośród grona naukowego najwięcej czasu spędzałem jednak z inż. Z. Jak wspomniałem już pierwszego dnia powiedziała mi, co myśli o decyzji wysłania mnie do Ameryki i od czasu do czasu przypominała mi to w inteligentny, a złośliwy sposób. Po paru dniach jednak bardzo się ze sobą zaprzyjaźniliśmy. Była nie tylko rzeczywiście bardzo piękna i zgrabna, ale też inteligentna i zdolna. Lubiałem krzyżować z nią szpady w błyskotliwych złośliwościach. Poświęcała mi z własnej woli bardzo wiele czasu. Inż. Gniazdowski poza odmianami niczego nie widział, był więc typowym przedstawicielem starego, europejskiego, rzemieślniczego sadownictwa. Ona natomiast lepiej znała języki obce, więcej czytała, miała znacznie szersze horyzonty.

Dała mi adres swego narzeczonego. Napisałem do niego, bo przecież miałem pojechać we wrześniu do Uniwersytetu Cornella, a on zamierzał wrócić dopiero w grudniu. Cieszyłem się, że będziemy przez parę miesięcy razem, że wprowadzi mnie w świat dla mnie nowy, a dla niego od dawna znany. Odpisał mi wyczerpująco i obiecał wyjechać po mnie do Nowego Jorku.

Ze studentami i praktykantami miałem codzienne kontakty, głównie podczas posiłków w stołówce, czasami na wieczorkach towarzyskich. Prawie trzy czwarte stanowiły dziewczęta, chłopcy nie bardzo wiedzieli, jak mnie traktować. Miałem już stopień magistra, ale wobec nich byłem początkującym ogrodnikiem. Po tygodniu czy dwóch ułożyły się między nami poprawne stosunki koleżeńskie.

Przed trzema zaledwie laty wrócił z Ameryki Emil Chroboczek. Studenci nie mogli nie zauważyć, że wykląda inaczej, że zachowuje się inaczej, niż inni nawet starsi profesorowie. Przedstawiał sobą bowiem już inną, amerykańską szkołę.

Ostatnie miesiące i tygodnie przed wyjazdem wykorzystywałem na język angielski. Do niedawna nie myślałem o tym, że kiedyś przyjdzie mi wyjechać do któregoś z krajów anglosaskich. Dlatego nie przykładałem się specjalnie do nauki angielskiego. Kiedy propozycja wyjazdu do Ameryki stała się realna, zacząłem się uczyć bardzo intensywnie. Jeszcze w maju brałem prywatne lekcje u pewnej starszej pani w Międzyzlesiu. W Skierniewicach uczyła mnie p. Hamalanka. Pochodziła z rodziny amerykańskich reemigrantów, ceniłem bardzo jej lekcje.

W końcu sierpnia wróciłem do Radości, aby zająć się ostatnimi przygotowaniem do odjazdu. W przeddzień wyjazdu odbył się ślub mojej siostry Wandy i skromne, w naszym domu urządzone, wesele. Zaraz po weselu wyjechałem do Gdyni. Nikt mi do Gdyni nie towarzyszył, ale na dworcu w Warszawie zebrała się spora grupa koleżanek i kolegów, która mnie pożegnała.



## Pierwszy rok w Ameryce

Odpływałem z Gdyni 15 września polskim statkiem „Batory”. Była to oczywiście pierwsza moja morska podróż, pierwszy wyjazd za granicę. Wszystkie miejsca na statku były zajęte. Większość pasażerów stanowiła Polonia amerykańska, a reszta składała się głównie z Polaków jadących do Ameryki na krótszy lub dłuższy pobyt.

Na dworcu morskim zebrał się ogromny tłum znajomych, krewnych i przyjaciół. Pożegnaniom i łzom nie było końca. Podniesiono wreszcie pomost. Orkiestra zagrała „Jeszcze Polska nie zginęła”. Papierowe wstążki zrzucone z pokładów i chwytane przez odprowadzających zrywały się jedna po drugiej, aż zerwała się ostatnia. Statek odbijał się od brzegu. Stałem na jednym z pokładów i wychylony za poręcz patrzyłem na przystań. Nikomu nie machałem dłonią ani chusteczką, w tłumie odprowadzających nie miałem nikogo bliskiego. A jednak czułem, że łzy napływają mi do oczu. Nie oparłem się im, zwłaszcza gdy zagrano hymn narodowy. Nieprawdopodobnie staje się rzeczywistością. Przystań morska znikła w oddali, traciłem z oczu ostatni skrawek polskiego wybrzeża. Dopiero teraz zdałem sobie sprawę, że opuszczam Polskę, mój kraj i mój dom, i poczułem się nieswojo.

Tym samym statkiem płynął do Ameryki słynny chór „Dana” wraz ze śpiewaczką Hanką Ordonówną, której piosenki tak bardzo lubiłem. Już pierwszego wieczoru wystąpił w sali koncertowej, śpiewała pani Hanka. Wybrała piosenkę przeznaczoną pewnie dla emigrantów. Piosenka tłumaczyła słuchaczom, że przecież „wszędzie to samo niebo, dla wszystkich ludzi, dla wszystkich miast”. Cóż z tego? Dookoła widziałem zaczerwienione, zażawione oczy, zwłaszcza u osób starszych.

Wzruszenie, które opanowało mnie, gdy wypływaliśmy ustąpiło teraz innym uczuciom. Czułem się trochę tak, jak „Alicja w krainie czarów”. Oszałamiał mnie przepych naszego statku. Nigdy nie bywałem w eleganckich warszawskich restauracjach ani w innych luksusowych lokalach. Tu chodziłem, nie wierząc własnym oczom, po pierwszych dostępnych mi salonach. W czasie posiłków delektowałem się wyszukаныmi potrawami, onieśmielała mnie ugrzeczniona obsługa, a gdy przede mną, schylający się w ukłonie portier, otwierał drzwi, przeżywałem zawstydzenie. Podobała mi się nawet moja maleńka, ale jakże czysta i schludna kabina. Wieczorami chodziłem na seanse filmowe, a nawet na tańce i wieczorki towarzyskie. „Batory” zatrzymał się na jeden dzień w Kopenhadze. Skorzystałem z tego i wziąłem udział w wycieczce zorganizowanej dla chętnych, aby zwiedzić to pierwsze w moim życiu obce miasto. Uderzyła mnie, w porównaniu z Warszawą, wszechobecna czystość, a zwłaszcza zadumałem się nad mieszkańcami dobrze mi znanej ulicy Gęskiej.

Opuściwszy Kopenhagę wypłynęliśmy na Morze Północne, a potem na Ocean Atlantycki. Rozkoszowałem się morską podróżą. Od wczesnego rana biegałem na pokład i spacerowałem godzinami. Pewnego dnia, gdy wcześniej wyszedłem na pokład zauważyłem, że oprócz mnie jest jeszcze jeden mężczyzna. Zdawało mi się, że to dyrektor Michalski z Funduszu Kultury Narodowej. Podobieństwo było znaczne, ale myliłem się. Po przedstawieniu okazało się, że jest to Pan Benesz, brat prezydenta Czechosłowacji, udający się do Ameryki, aby prosić o pomoc dla zagrożonej przez Hitlera ojczyzny.

Przepraszałem skonfundowany, ale starszy Pan zatrzymał mnie i razem podążyliśmy na spacer. Serdecznie zapytał, kim jestem i w jakim celu udaję się do Ameryki. A potem sam, smutnym, cichym głosem opowiadał mi o swojej misji, w którą nie wierzył. Od tej pory spacerowaliśmy po pokładzie prawie codziennie.

Słyszałem i czytałem wiele razy o chorobie morskiej. Zauważyłem, że powaliła ona niektórych pasażerów już od pierwszego dnia, ale ja czułem się dobrze. Dopiero w końcu podróży, dzień czy dwa przed Nowym Jorkiem, dostaliśmy się w zasięg huraganów, które często pustoszyły wschodnie wybrzeża Stanów Zjednoczonych. Chorowali wszyscy pasażerowie i duża część załogi. Wiatr rzucał statkiem, okręt trzeszczał, zdawało się, że za chwilę rozpadnie się na części.

Huragan przeszedł jednak na północ, wymęczeni dojrzeliliśmy brzegi Ameryki. Witła nas Statua Wolności. Na horyzoncie ukazała się niezwykle panorama drapaczy chmur największego miasta Ameryki. Przybijaliśmy do portu w Hoboken, w części wielkiej nowojorskiej metropolii leżącej na terytorium stanu New Jersey.

Wyjechał po mnie Adolf S. wraz z młodą, ponad dwudziestoletnią Amerykanką polskiego pochodzenia, Caroline Domanski. Adolf okazał się mężczyzną średniego wzrostu, o przereźdzonych blond włosach, krępej budowie ciała, o miłym pogodnym usposobieniu, wечно uśmiechnięty, dowcipny, rozmowny. Caroline była osobką raczej malutką, okrągłą, włosy czarne, cera jasna, usposobienie pogodne, wesołe. Przyjechali po mnie do Nowego Jorku autobusem. Ponieważ zajęcia zaczynały się dopiero za kilka dni, więc postanowili pozostać przez dwa dni w Nowym Jorku, abym mógł zwiedzić miasto.

Przystałem oczywiście z ochotą na taką wspaniałą propozycję. Zatrzymaliśmy się w jakimś niedrogim hotelu, a że nadszedł już wieczór poszliśmy zjeść kolację. Już na „Batorym” podawano oprócz polskich także dania amerykańskie, ale tu po raz pierwszy zetknąłem się z kuchnią prawdziwie amerykańską.

Kelnerka podała nam kartę, a jednocześnie postawiła przed każdym z nas szklankę wody z pływającymi kostkami lodu. Wszyscy i wszędzie wypijali mnóstwo takiej wody, a ja dziwiłem się ogromnie, że się nie zaziębają, ale wkrótce śmiałem się ze swych uprzedzeń. Przez wiele tygodni z dezaprobatą patrzyłem na amerykański sposób odżywiania: lody jedli zimą i latem, do mięsa podawano słodkie galaretki, banany czy ananasy, po zjedzeniu befsztyka wypijano szklankę mleka, na śniadania sandwicz z szynką czy jajecznicą zapijano mlekiem, mleko piło się po zjedzeniu sałaty czy ogórków.

Ale kuchnia amerykańska podobała mi się z miejsca. Jadłem wszystko, co mi podawano, bez uprzedzeń. Procentowało mi to bardzo w późniejszych licznych podróżach po świecie. Nie było potrawy, którą by podano w Chinach czy Australii, w Italii czy Brazylii, w Gruzji czy w Islandii, która by mi nie smakowała. Szczególnie podobało mi się w kuchni amerykańskiej to, że spożywano codziennie tak wiele warzyw i owoców. Rzucałem się na owoce cytrusowe i na banany. Wiele warzyw jadłem po raz pierwszy, jak wspaniałe selery naciowe, paprykę, słodką kukurydzę, cukinię, no i cudowną główkową sałatę, którą po wojnie, pod nazwą sałaty kruchej wprowadzono w Polsce.

Tylko chleb amerykański nie zyskał mojego uznania. Nie będzie w tym żadnej przesady, jeśli powiem, że tak niesmacznego chleba jak w Ameryce nie piecze się w żadnym innym kraju na świecie. Sami Amerykanie nazywają to „quilt stuffing”, czyli watę, używaną do wyrobu takich kołder. Jest niesłychanie biały, a tak upieczony, że można go jak watę zgnieść w rękę i bochenek skurczy się do kilku centymetrów. Nie ma żadnego smaku, ale nadaje się na grzanki.

Nowy Jork zrobił na mnie oczywiście kolosalne wrażenie. Zaraz na drugi dzień wjechaliśmy na szczyt najwyższego drapacza chmur - Empire State Building, na sto drugie piętro. Zwiedziliśmy Centrum Rockefellera, jeździliśmy kolejką podziemną. W parku centralnym widzieliśmy wiele drzew połamanych przez huragan, który tak bardzo dał się nam we znaki w czasie

ostatnich dni morskiej podróży. Prasa pisała o wielkich szkodach, które wyrządził na wschodnim wybrzeżu. Wieczorem poszliśmy do kina. Wracaliśmy późno, przez Park Centralny i prawie o tej porze puste ulice. Bolała mnie szyja, bo przez cały dzień nie mogłem się po prostu powstrzymać od ciągłego spoglądania w górę na wysokie domy, z których każdy był dla mnie drapaczem chmur.

Bawiło mnie, że aleje nie miały nazw, ale były ponumerowane, od pierwszej chyba do ósmej. Przecinające je ulice też miały numery zamiast nazw, od pierwszej aż do stokilkadziesiąt-którejś. Potem dopiero kiedy poznałem inne miasta amerykańskie, zacząłem podziwiać logikę i prostotę urbanizacji. Jeśli powiedziano mi, że mam iść ze 125 na 31 ulicę, to od razu orientowałem się gdzie to jest. Gdyby mi powiedziano, że mam iść z ulicy Waszyngtona na Jeffersona, nie miałbym żadnych wskazówek co do kierunku i odległości. Tak samo logiczna jest numeracja domów. Domy numerowane są 1, 2, 3 itd., aż do przecięcia się z aleją, a dalej 101, 102, 103 itd. Po przecięciu następnej alei zaczyna się numeracja: 201, 202, 203 itd. Dzięki temu systemowi, znając adres w nieznanym mieście, dużo łatwiej jest trafić niż w Europie.

Już na „Batorym” zetknąłem się z polonią amerykańską. Zastanawiało i bawiło mnie to jakim mówili językiem. Wrażenia konfrontowałem w czasie rozmów z Caroline, która mieszkała w Ithaca w stanie New York, gdzie mieścił się Uniwersytet Cornella. Jej rodzice urodzili się w Polsce. Ojciec pracował jako blacharz, zarabiał zupełnie dobrze. Państwo Domańscy mieli dwie córki: Caroline i dużo od niej młodszą Jane, obie urodzone w Ameryce. W domu mówiło się po polsku. Caroline mówiła płynnie ale z bardzo wyraźnym obcym akcentem, wtrącając wiele angielskich słów, z tym jednak, że często dodawała im polskie końcówki. Chodziło tu o nazwy, których rodzice nie znali w Polsce w swoim ubogim, chłopskim słownictwie. Caroline mówiła więc: „On kupił piękną karę.” (Car - samochód). „On waciuje (watch - pilnować) w storze.” (store - sklep).

Znalazłem się wśród tłumu, który mówił innym niż ja językiem. Przysłuchiwałem się pilnie, ale rozumiałem niewiele. Lepiej mi szło z czytaniem. Jakie szczęście, że miałem ze sobą jednocześnie przewodnika i tłumacza.

Do odległego o czterysta kilometrów Ithaca pojechaliśmy wygodnym autobusem, kosztował o połowę mniej niż pociąg. Jechaliśmy na zachód przez kraj malowniczy, miejscami nawet górzysty. Wyższe jego połacie pokrywały lasy, ale inne od naszych, głównie liściaste, złożone z dębów, klonów, wiązów oraz gatunków, których z daleka nie mogłem rozpoznać.

Przed wieczorem dobiliśmy na miejsce. Ithaca otrzymała nazwę od wyspy, którą władał Odyseusz, ale nie jest oczywiście wyspą. Leży w środkowej części stanu New York, w rejonie tak zwanych Finger Lakes, czyli Palczastych Jezior. Jest tych jezior chyba więcej niż pięć, każde z nich długie i wąskie, głębokie i zimne, a usytuowane są jak palce u ręki. Ithaca usadowiła się na południowym brzegu jeziora Cayuga, mającego około 60 km długości, a tylko parę kilometrów szerokości. Rozciąga się ono z południa na północ.

Kończył się wrzesień, pogoda była słoneczna i ciepła. New York i Ithaca leżą na 42 stopniu północnej szerokości geograficznej, a Warszawa na 52, czyli o 1100 km dalej na północ. Chociaż Ithaca znajduje się na szerokości geograficznej Neapolu, jej klimat jest bardziej podobny do naszego niż do włoskiego. Ma on jednak swoje osobliwości. Przede wszystkim opady wynoszą 1500 mm na rok, a u nas w Warszawie niewiele ponad 500 mm. Śniegu spada w zimie więcej niż w środkowej Polsce, mrozy niewiele różnią się od naszych. Bywają zimy, kiedy temperatura spada do  $-35^{\circ}\text{C}$ . Natomiast lata są bardziej kontynentalne, znacznie bardziej upalne. Nie

ma mżawek czy drobnych deszczyków, które trapią nas czasem w lipcu. Tu przechodzą deszcze ulewne, a po nich gorąco, czasami parno i duszno.

Adolf przywiózł mnie do Cosmopolitan Club, przy Bryant Avenue, gdzie miałem zamieszkać. Był to dom dla cudzoziemskich studentów. Mieszkałem tam i stołowałem się. Kierował tą placówką niejaki Donald Kerr, bardzo miły i pomocny. Spełniał na Uniwersytecie funkcje oficjalnego doradcy i opiekuna wszystkich cudzoziemskich studentów. W naszym domu mieszkało ich około pięćdziesięciu. Byli to głównie Chińczycy, południowi Amerykanie, Arabowie, Hindusi, z Europejczyków tylko ja. Dostałem piękny pokój. Na dole była stołówka, w której królowało stare małżeństwo Mr. i Mrs. Hall. Ich specjalnością były „Humpty - Dumpty eggs”, to znaczy jajecznicza smażona na tak mocno rozgrzanej patelni, że z dwóch jaj wychodził specjał piętnastocentymetrowej średnicy i dziesięciocentymetrowej wysokości, tak bardzo nabrzmiąły był powietrzem.

Adolf opowiedział mi, jak należy używać tytułów naukowych zarówno na amerykańskich uniwersytetach i jak zarówno w życiu. Otóż oficjalnie stosowaną formą jest zwrot „Panie Doktorze”, a nie „Panie Profesorze”, tak jak u nas. Widać nie tak odległe były czasy, gdy mianowano profesorów bez doktoratów. Dlatego w hierarchii towarzyskiej powiedzieć komuś „Dr Green” znaczy więcej niż „Professor Green”.

Wraz z Adolfem poszedłem na Uniwersytet do kierownika Katedry Sadownictwa dr A.J. Heinicke. Dr Heinicke miał około 50 lat. Kierował Katedrą Sadownictwa, ale Katedra (Department) na amerykańskim uniwersytecie to coś więcej niż w Polsce.

U nas zwykle Katedra zatrudniała jednego profesora, poza tym jednego lub dwóch docentów, paru lub kilku adiunktów i asystentów. Nasze katedry stanowiły małe jednostki, a w Ameryce znacznie większe. Katedra Sadownictwa w Uniwersytecie Cornella była jedną z mniejszych, ale pracowało w niej kilku profesorów. Nie koniecznie najstarszy z nich nią kierował. U Heinicke'go pracował znacznie starszy od niego dr MacDaniels.

Przyjechałem tu, by zdobyć stopień doktora w sadownictwie, ale studia sadownicze z ich rolniczymi dodatkami, np. gleboznawstwem, musiałem zaczynać od zera. Trzeba było dla mnie ułożyć program taki, bym mógł studiować sadownicze ABC, a inne przedmioty kontynuować na poziomie ponad magisterskim. System działania uniwersytetów amerykańskich ułatwiał ułożenie takiego programu.

Amerykanie już dawno doszli do przekonania, że dziewiętnastowieczny system nauczania nie odpowiada obecnym wymaganiom. Obejmuje on trzy stopnie nauczania, a mianowicie podstawową, średnią i wyższą. Szkoła wyższa kształci zarówno fachowców - praktyków, na przykład inżynierów, jak i przyszłych pracowników nauki.

To jest oczywisty bezsens, zrozumiany zarówno w Europie jak i w Ameryce, ale wyjścia z niego znaleziono różne. W Europie młody adept pracy naukowej podejmował pracę asystenta, tak jak w rzemiośle terminator u majstra i kształcił się indywidualnie, u dobrych profesorów do brze, a u miernych - a takich jest wszędzie najwięcej - miernie lub wręcz źle.

W Ameryce zorganizowano na wszystkich uniwersytetach czwarty stopień, a mianowicie szkołę najwyższą, zwaną Graduate School. W rolnictwie i w naukach przyrodniczych studia wyższe trwały cztery lata. Absolwent dostawał stopień B.S. (Bachelor of Science), to znaczy bakalaureat równoważny w rolnictwie naszemu stopniowi inżyniera-rolnika. Większość absolwentów po zdobyciu B.S. szła do pracy zawodowej. Ci zaś, którzy chcieli poświęcić się nauce, szli do Graduate School. Mogli tam w okresie do półtora roku otrzymać stopień magistra (M.Sc.

- Master of Science) albo też studiować dalej przez trzy lata, aby bez magisterium dostać doktorat (Ph.D. - Doctor of Philosophy).

Studia w Graduate School nie miały nic wspólnego z terminowaniem u mistrza. Wybierano najlepszych profesorów z całego Uniwersytetu, aby wykładali dla doktorantów, którzy nazywali się Graduate Students, na poziomie znacznie wyższym, niż dla studentów idących w kierunku B.S. Bardzo dużo czasu poświęcało się seminariom i pracowniom kierowanym również przez wybitnych naukowców.

Ponadto doktorant otrzymywał temat pracy doktorskiej, oprócz promotora miał jeszcze dwóch doradców. Z całą trójką układał plan doświadczeń, dyskutował na bieżąco ich wyniki. System Graduate School podobał mi się niezmiernie. Miałem nadzieję, że uda mi się przekonać kogo trzeba, aby wprowadzić go w Polsce, ale niestety tradycje europejskie są w tym względzie zbyt silne. Nie dały im rady nawet gwałtowne rewolucje polityczne.

Zdecydowano, że pracę doktorską będę wykonywał w dziedzinie przechowalnictwa owoców pod kierunkiem dr R. M. Smocka. Był to człowiek zaledwie o kilka lat starszy ode mnie, ale miał już stanowisko profesora. Fascynująca jest różnica między naszymi i amerykańskimi uniwersytetami, a mianowicie szybkość awansu młodych pracowników naukowych. U nas młody adept nauki po magisterium zostaje asystentem. Pracuje trzy, a nawet dziesięć lat, zanim napisze doktorat, co powoduje awans na adiunkta. Teraz musi znowu pracować kilka lub kilkanaście lat aż może się habilitować na podstawie przygotowanej rozprawy, stanowiącej samodzielną pracę naukową. Teraz dopiero zostaje docentem, a za dalszych kilka lat profesorem nadzwyczajnym. Ma już wtedy najczęściej około pięćdziesięciu lat.

W Ameryce młody człowiek wychodzi z Graduate School z doktoratem w wieku dwudziestu sześciu lub dwudziestu dziewięciu lat. Zostaje tak zwanym instruktorem, czyli naszym adiunktem. Habilitacja jest wynalazkiem niemieckim, w Ameryce nie istnieje. Po dwóch, trzech latach komisja profesorska, po przejrzeniu i ocenie dorobku naukowego, dydaktycznego i popularyzacyjnego adiunkta, nadaje mu bez żadnych rozpraw i egzaminów tytuł „Assistant Professor”. Jest to stopień równoważny naszemu docentowi. W trzy, cztery lata później młody jeszcze człowiek dostaje tytuł „Associate Professor” (profesor nadzwyczajny), a w kilka lat później „Full Professor” (profesor zwyczajny). Tak więc awans zdolnych, młodych ludzi idzie tam szybko. Wcześniej uzyskują oni samodzielność, ale to zachęca ich do pracy zespołowej, która stanowi klucz do postępu w nauce. U nas aż do habilitacji młody człowiek stara się unikać pracy zespołowej, bo przecież rozprawa habilitacyjna tylko teoretycznie może być pracą zespołową. W rzeczywistości musi być pracą indywidualną.

Dr Smock u którego miałem pisać pracę doktorską, miał właśnie tytuł Assistant Professor. Po doktoracie w Stanach wyjechał na rok studiów w Anglii, do Uniwersytetu w Oxfordzie, gdzie u dr Kidda studiował przechowywanie owoców w tak zwanej „chłodni gazowej”. Był to na owe czasy słynny angielski wynalazek. Polegał on na tym, że jabłka składano w gazoszczelnych komorach chłodni w atmosferze 10% tlenu i 11% dwutlenku węgla przetrzymywano w temperaturze +4°C. Smock z biegiem czasu zyskał sławę najwybitniejszego światowego specjalisty w zakresie chłodnictwa jabłek, opracował nowe sposoby ich przechowywania w gazoszczelnych komorach chłodniczych. Swoją typ chłodni nazwał chłodnią kontrolowanej atmosfery (chłodnia KA). Zastąpiła ona stary angielski typ chłodni gazowej.

Zanim mogłem przystąpić do własnej pracy badawczej, musiałem poznać zasady sadownictwa, teoretyczne i praktyczne podstawy produkcji owoców. Na amerykańskich uczelniach nie ma sztywnych programów kursowych. Przy pomocy swego doradcy student wybiera na dany rok

przedmioty z tym, że jedne mogą być bardzo proste i łatwe, inne zaś trudne, wykładane na wysokim poziomie. Każdy przedmiot ma swoją wagę, swój ciężar określony czasem potrzebnym do jego opanowania. Liczy się on w „godzinach kredytu” (hours of credit). Tak więc początkowy kurs sadownictwa miał 2 godziny kredytu, gleboznawstwo 3, ale statystyka matematyczna 4. Doradca musiał dopilnować, aby student wziął na dany semestr nie mniej przedmiotów, niż na 16 godzin kredytu, ale nie więcej niż 20 godzin. Te godziny kredytu nie miały nic wspólnego z ilością godzin wykładów i ćwiczeń w tygodniu.

Ustaliłem więc z dr Smockiem program na pierwszy semestr. Z zainteresowaniem patrzyłem na innych studentów, przeważali wśród nich mężczyźni, kobiety nie stanowiły więcej niż 20%. Przede wszystkim zwróciłem uwagę na ich strój. Uderzała niezmierna pstrokaczna dowolność i jaskrawe kolory. Większość chłopców w dżinsach, a zamiast marynarek kraciaste swetry, kurtki i bluzy, krawatu ani jednego, jakieś kaptury i chustki, włosy krótkie, ostrzyżone na jeża. Ogromna swoboda, rubasność i prostota, a mnie się nawet wydawało, że i prostactwo w zachowaniu. Wszyscy z miejsca, od chwili poznania się, mówili sobie na ty. W ten sposób zwracali się do asystentów i adiunktów, którzy prowadzili ćwiczenia, a nawet zauważyłem - o zgrozo! - że niektórzy mówią per ty do młodszych profesorów. Siedząc w sali wykładowej zakładali nogi na stojące przed nami krzesła i stoły.

Ale jednocześnie panowała powaga i karność tam, gdzie była potrzebna. Zauważyłem już pierwszego dnia, że w Ameryce uczęszczanie na wykłady jest obowiązkowe, chociaż nikt nie sprawdza listy obecności. Jeśli jednak nie na każdym, to przynajmniej na co drugim wykładzie urządzano krótki egzamin, zwany „quizem”, trwał on czasami nie więcej niż trzy minuty. Asystenci rozdawali kartki papieru, na których widniało kilka zdań twierdzących, dotyczących przedmiotu. Jedne zdania były prawdziwe, inne fałszywe. Trzeba było zaznaczyć literą T (true) zdania prawdziwe, a F (false) fałszywe. Tak sprytnie preparowano te quizy, że pokrywały one całość materiału omawianego na poprzednim wykładzie, czy na poprzednich dwóch wykładach. Tak więc nie można było odkładać nauczania się przedmiotu do ostatniego egzaminu. Trzeba się było przygotowywać z dnia na dzień, co oczywiście jest ideałem uczenia się. Studentów, którzy quizów nie pisali, a więc nie uczęszczali na wykłady, skreślano z listy.

## Początek studiów

W pierwszych dniach prawie niczego nie rozumiałem na wykładach. Na pierwszym wykładzie dr Smock powiedział, że następnego dnia o siódmej pojedziemy na wycieczkę. Ja - oczywiście - nie rozumiałem, przyszedłem więc następnego dnia na wykład na ósmą, a tu nikt nie ma. Dopiero woźny objaśnił co się stało. Pierwszy quiz miał opłakany wynik. Oceny stawiano według dwojakiemu systemu: literowego, przy czym A równało się naszej piątce, B - czwórce, C - trójce, D - dwójce, oraz procentowego: jeśli ktoś odpowiedział doskonale na wszystkie pytania, ocena wynosiła 100, a gradacja stosowana była według uznania egzaminującego, a więc odpowiadało trójce mniej więcej 60, czwórce 70 do 85.

Brak dobrej znajomości języka dawał mi się we znaki jeszcze przez co najmniej pół roku, czego efektem były moje oceny.

Od pierwszych dni moich studiów zaopiekował się mną w szczególności jeden z asystentów sadowników, a mianowicie Fred Hough, w moim mniej więcej wieku. Dla porządku i ciekawości czytelnika należy wyjaśnić jaka jest różnica między asystentami w Polsce, a na amerykańskich uczelniach. U nas asystentura znaczy etat, stałe miejsce pracy. W Ameryce asystentami są doktoranci, czyli studenci Graduate School. Najczęściej otrzymują oni coś w rodzaju pół etatu, co im wystarcza na życie, bo każdy z nich chce sam zarobić na siebie w czasie studiów, nawet jeśli ma bogatych rodziców. Za pieniądze, które otrzymuje, musi jednak pracować, pomagać profesorowi w pracy dydaktycznej i badawczej.

Takim asystentem u dr Smocka był wtedy Fred. Przyjechał z innego uniwersytetu ze stopniem B.S., tu chciał otrzymać magisterium. Zwrócił na mnie uwagę, bo słyszał, jak źle mówię po angielsku. Otoczył mnie taką opieką, jakby niczego innego nie miał do roboty tylko troskę o mnie. Dopiero w parę miesięcy później dowiedziałem się, że Fred jest kwakrem, a kwakrzy, chociaż nie chrześcijanie, bo chrztu nie uznają, są tacy jak pierwsi chrześcijanie. Swoje obowiązki względem bliźniego traktują po prostu, ale bardzo na serio. Fred codziennie spędzał ze mną dużo czasu, tłumaczył mi to, czego nie rozumiałem, wprowadzał w sadowniczy świat. Zaprzyjaźniliśmy się bardzo. Fred stał się z czasem największym hodowcą nowych odmian jabłoni i brzoskwiń w Stanach Zjednoczonych. W latach 1957-1970 brał do siebie na stypendia wielu Polaków, moich uczniów. W 1976 roku otrzymał na mój wniosek doktorat honoris causa SGGW w Warszawie.

Dużo pomocy i serdeczności okazywali mi studenci, z którymi uczęszczałem na wykłady. Wyróżniał się wśród nich Paul Starck, z którym przyjaźniłem się aż do czasu jego śmierci w 1988 roku. Był on przez wiele lat jednym z dyrektorów sławnych szkółek (Stark Brothers Nurseries). Ich zasługą było wylansowanie dwóch najpopularniejszych dziś w świecie uprawianych odmian jabłoni - Delicious i Golden Delicious. Paul przysyłał mi do Polski wszystkie nowości odmianowe, jakie pojawiały się w amerykańskim sadownictwie.

Wielką pomocą darzył mnie też Adolf. Kończył właśnie pracę doktorską w ogrodnictwie ozdobnym pod kierunkiem dr Posta. Od razu zauważyłem, że dzięki pogodnemu charakterowi, wesołości, dowcipowi i łatwości nawiązywania kontaktów, Adolfa wszyscy ogromnie lubili. Wszędzie, gdzie się pojawił, był duszą towarzystwa. Jego promotor, dr Post, bardzo go cenił.

Jak już wspominałem Adolf wprowadził mnie do rodziny Domanskich. Mieli swój dom na Quarry Street. Dom Domańskich kręcił się wokół córki - Jane. Miała wtedy lat ze czternaście. Rozumiała wprawdzie po polsku, ale odpowiadała po angielsku. Uczyła się w gimnazjum. Miała

zdolności artystyczne, chodziła więc na prywatne lekcje tańca i śpiewu. Rodzice byli z niej niewypowiedzianie dumni i nie wątpili, że zostanie kiedyś sławną.

Ithaca to miasteczko niewielkie, jej ludność liczyła nie więcej niż 10.000 mieszkańców. Do tego należało około 6000 studentów Uniwersytetu Cornella i około 1000 studentów pół wyższej szkoły Ithaca College. Poza Domanskimi mieszkało tam podobno jeszcze kilka rodzin polskich, ale się z nimi nie zetknąłem. Adolf poznał mnie jednak z kilkunastoma studentami polskiego pochodzenia. On też zorganizował tu Conrad Club, czyli Klub Konrada Korzeniowskiego. Klub przybrał formę jednej z Fraternities, a tu należy się parę słów wyjaśnienia.

Na amerykańskich uniwersytetach nie ma naszych Bratniaków. Nie rozpowszechnił się tu zwyczaj noszenia czapek studenckich. Niektórzy jednak organizowali się w Fraternities (Braterstwa) dla mężczyzn, albo w Sororities (Siostrzeństwa) dla kobiet. Stanowiły one coś w rodzaju naszych korporacji. Ażeby być przyjętym do Fraternity czy Sorority, trzeba było przejść przez skomplikowany, najczęściej zabawny, śmieszny, a czasem niebezpieczny ceremoniał. Każda z tych korporacji miała swój własny dom, w którym mieszkali jej członkowie.

Klub Conrada nie miał swego domu, zbierał się na posiedzenia w pomieszczeniach uniwersyteckich. Adolf bardzo dbał o to, aby na zebraniach Klubu mówiono po polsku, w praktyce jednak nie zawsze było to możliwe. Większość bardzo źle mówiła po polsku. Studenci zamiejscowi mieszkali najczęściej w uniwersyteckich Domach Akademickich, zwanych Dormitoriami.

Po odjeździe Adolfa, na mój wniosek „przeszliśmy w klubie na angielski. Uważałem, że są to przecież Amerykanie, a naszym celem jest utrzymać w nich sentyment dla „Starego Kraju”, a przede wszystkim dawać im o nim rzetelną informację.

Zaraz po przyjeździe do Ithaca zaprenumerowałem wychodzący w Toledo w Ohio, tygodnik „Ameryka-Echo”. Było to pismo bardzo oryginalne i postępowe, bo przeciwstawiało się najskrajniejszej katolickiej reakcji. Wielką rolę w prowadzeniu tygodnika odgrywał redaktor Łukaszewicz. Popierał Polski Kościół Narodowy, a w swoich felietonach pisanych co tydzień o Majku Głupkowiaku, uosobieniu kołtuna-pijaczyny, oraz ks. Florianie Świeczce, opasłym plebanie, wyszydzał najgorsze strony amerykańskiej Polonii.

Łukaszewicz zaprosił mnie w latach późniejszych do współpracy. Od wczesnej wiosny 1940 wypełniałem w „Ameryce-Echu” co tydzień kolumnę rolniczą. Prezentowałem w języku polskim to, co najciekawszego pojawiało się w amerykańskiej prasie rolniczej. Za swoją pracę dostawałem 5 dolarów tygodniowo. Współpracowałem z pismem aż do czasu mego powrotu do kraju w 1946 roku. Niektóre cykle moich artykułów wydawała „Ameryka-Echo” w postaci niewielkich książeczek, a mianowicie „Zasady kultury rolnej”, „Ogród zwycięstwa”, a nawet „Hodowla bydła - elementarz farmera”.

Po powrocie do kraju przestałem pisywać do „Ameryki-Echa”. W 1956 roku redaktorzy tygodnika znowu sobie o mnie przypomnieli. Tym razem otrzymałem kolumnę ogrodniczą. Skończyło się to wraz z upadkiem tygodnika w 1960 roku.

Nigdy nie zapomnę pierwszej jesieni, jaką przeżyłem w Ithaca. Październik odznacza się ciepłym i pogodnym babim latem, które Amerykanie zwą „latem indiańskim”. Drzewa przybierają kolory jesieni bardziej intensywne niż w Polsce. Niektóre gatunki dębów stają się jaskrawoczerwone, amarantowe i szkarłatne, wydają się nierealne, nierzeczywiste. Klony są równie jaskrawe, jasno-żółte, pomarańczowe, złote, różowe i czerwone. Nigdzie na świecie takich kolorów jesieni nie widziałem. Pewnie składa się na to wyjątkowo sprzyjający temu zjawisku klimat, a także skłonne do bogactwa barw gatunki drzew.



Uniwersytet w Ithaca stanowił jeden wielki park, w którym wśród strzyżonych trawników rosły wspaniałe drzewa. Mówiło się o Uniwersytecie - Campus. Zabudowania uniwersyteckie były rozplanowane w znacznej odległości jeden od drugiego. Większość z nich obłożona szarym granitem naśladowała styl neogotycki lub zamki średniowieczne.

Uniwersytet nie miał jeszcze stu lat. Założony przez bogatego przemysłowca-filantropa, Cornella, był uczelnią prywatną. W 1885 roku Kongres amerykański powołał do życia w każdym z 48 stanów, Stanową Wyższą Szkołę Rolniczą (State College of Agriculture). Na wybudowanie każdego z nich przeznaczono państwową ziemię. Obowiązkiem stanowego uniwersytetu było przyjmować na bezpłatne studia, zwłaszcza rolnicze, studentów z danego stanu. Niektóre z tych stanowych szkół zorganizowano jako fakultety przy istniejących uniwersytetach prywatnych. Po latach był to już uniwersytet stanowy, ale niektóre fakultety stanowiły własność prywatną, gdzie nawet studenci ze stanu New York musieli płacić czesne. Studiowałem na fakultecie stanowym, ale jako, że nie byłem rezydentem tego stanu, płaciłem czesne, jak na owe czasy wysokie, 400 dolarów rocznie.

Wchodziłem powoli w życie towarzyskie Uniwersytetu. Każdy z profesorów Katedry Sadownictwa zapraszał mnie do siebie na obiad, poznawał ze swoją rodziną. Szybko się zorientowałem, że jest dobrze widziane, jeśli gość pomoże w zmyciu naczyń po obiedzie. Zapraszany też bywałem na większe przyjęcia do innych profesorów. Nie były to wystawne uczyty. Czasami przychodziło się po obiedzie, dostawało się tylko kawę, ciastka i soki owocowe, czasami lody. Prawie nigdy nie podawano alkoholu, co nie znaczy, że w Ameryce nie piją. W świecie akademickim panowały jednak zwyczaje purytańskie.

Niektóre z tych przyjęć organizowano w sposób doprawdy rozbijający. Pani domu układała harmonogram, co będzie się robiło od 16 do 17, co między 17 a 18, a co na końcu. Na porządku dziennym były zabawy towarzyskie. Oto na plecach jednego z uczestników wieszano karteczkę z nazwiskiem Abraham Lincoln czy Marie Curie (Szkłodowska, oczywiście). Przybrany taką karteczką chodził od jednego gościa do drugiego i zadawał mu pytania. Z odpowiedzi na te pytania musiał wreszcie, później lub wcześniej, odgadnąć, o kogo chodziło.

Na Uniwersytecie urządzano przyjęcia bardziej liczne i mniej wybredne, hołdujące na przykład takim zabawom: oto stoją dwa rzędy uczestników. Pierwszy stojący w rzędzie nakłada sobie na nos zewnętrzną część pudełka od zapalek, a teraz bez pomocy rąk stara się przenieść to pudełko na nos osoby tuż za nim stojącej. Który rząd najszybciej dokona przeniesienia pudełka z udziałem wszystkich w rzędzie ten wygrywa i dostaje nagrodę. Przyglądam się i widzę wysokiego, szczupłego, starszego pana z piękną czupryną białych włosów, który pochylając się stara się przełożyć ze swego nosa pudełko na nos pękatej, niziutkiej, czarnowłosej studentki. „To Skarp” - powiada Adolf. O mało nie padłem zemdłony. Dr Skarp to był światowy autorytet w cytogenetyce. Jego podręcznik studiowaliśmy ze złością, bez mała nabożną, u prof. Wóycickiego.

Adolf zdał ostatnie egzaminy i uzyskał stopień doktorski. W Ameryce było i jest tak: promotor i dwaj doradcy czytają i oceniają rozprawę doktorską, poddają kandydata egzaminowi i to wszystko. Nie ma w Ameryce żadnej publicznej obrony rozprawy doktorskiej, nie zajmuje się nią Rada Wydziału, nie traci na to niepotrzebnie długich godzin, jak u nas. Czy to nie zbyt uproszczenie? Czy daje to gwarancję, że nie przecięśnie się przez to zbyt szerokie ucho igielne nieuk lub ignorant? Takie podejrzania zrodziły się we mnie już chyba w dwa tygodnie po przybyciu do Ithaca. Dostałem nagle gruby list z jakiejś firmy z New Jorku. Dyrektor tej firmy pisał mniej więcej tak:

„Szanowny Panie! Zaczyna Pan swe studia doktoranckie. Ofiarujemy Panu naszą pomoc. Nasza firma w ostatnich pięciu latach zdobyła dla swoich klientów 180 stopni doktorskich i 929 stopni magisterskich. Jeśli Pan dostarczy nam trochę danych, dotyczących Pana rozprawy doktorskiej czy magisterskiej, resztę zrobimy my, za odpowiednią oczywiście opłatą”. Tu następuje podpis, imię i nazwisko oraz dokładny adres firmy.

Porwałem list i biegnę do dr Heinicke. Wyjawiam swoje oburzenie – „To banda oszustów, panie doktorze. Oto ich nazwiska i adresy!”

- „No i co?”

- „Jak to co? Trzeba zawiadomić odpowiednie władze. Za takie sprawy grozi więzienie.”

- „Za co? Przecież oni ci tylko proponują, że za ciebie napiszą rozprawę doktorską. Nie ma takiego prawa, które karałoby za takie propozycje.”

- „Ależ panie doktorze, jeśli takiego prawa nie ma, to trzeba je ustanowić.”

Heinicke przyglądał mi się przez pewien czas. „Młody człowieku, więcej szkody wynika z nadmiaru praw, nadmiaru zakazów i nakazów, niż z ich szczupłości”.

Nie raz przypominałem sobie to jego mądre powiedzenie w czasie długich 45 letnich rządów komunistycznych w Polsce.

Potem wiedliśmy już spokojniejszą rozmowę. „Wiem, że w Ameryce mamy pewnie ze trzy tysiące różnych szkół wyższych. Są wśród nich nawet szkoły fikcyjne, gdzie bogaci ludzie za pieniądze dostają stopnie naukowe. Ale my w kraju wiemy, że są dobre szkoły i złe. Jeśli ktoś dostanie dyplom z naszego Uniwersytetu, nie będzie miał kłopotu z otrzymywaniem pracy. Wiadomo, że Cornell to Cornell. Ale może się zdarzyć, że i w naszym Uniwersytecie jeden na sto czy jeden na tysiąc zdobędzie dyplom taką drogą, pomoże mu taka właśnie firma, o której istnieniu my dobrze wiemy. Ale to mogą być tak nieliczne wyjątki, że się nimi nie zajmujemy. Dlatego uzyskiwanie u nas stopni, awansowanie profesorów jest proste, nie zajmuje nam wiele czasu. Naszą rolą jest rozwijanie nauki przez pracę badawczą. Na nic innego nie chcemy tracić czasu”.

Te słowa Heinicke’go przychodziły mi na myśl w latach 1960-1975, gdy siedziałem godzinami na zebraniach Centralnej Komisji Kwalifikacyjnej, która rozpatrywała i zatwierdzała stopnie doktora habilitowanego, tytuły docenta i profesora. Na sali traciło czas ze trzydziestu najlepszych, najwybitniejszych uczonych naszego kraju. Marnowali cały dzień po to, aby ktoś broń Boże - niegodny - nie dostał stopnia czy tytułu. A przecież godzina czasu stracona przez jednego z tych ludzi była warta daleko więcej, niż ryzyko przyjścia na świat jeszcze jednego nie nadzwyczajnego profesora. Niejednokrotnie wypowiadałem się na temat tej Komisji, nawet pisemnie, że nie jest potrzebna, ale bez skutku.

Adolf po uzyskaniu doktoratu likwidował swoje sprawy i przygotowywał się do odjazdu. Urządzono na jego cześć wiele pożegnalnych przyjęć. Widziało się, że ten człowiek był tu dobrym ambasadorem swego kraju, że go wszyscy lubili i cenili. Odwiozłem go w początku grudnia wraz z Caroline do Nowego Jorku. Biedna Caroline nie ukrywała łez. Było mi jej żal. Adolf odpłynął „Batorym” tak, aby na Święta dobić do domu i do narzeczonej. Byłem mu szczerze wdzięczny za to, że wiele pomógł mi w pierwszych miesiącach mojego tu pobytu.

Już od początku grudnia zaczęły się przygotowania do Świąt Bożego Narodzenia, chociaż Ithaca to małe miasteczko, była jednak ulica handlowa, na której mieściła się większość sklepów. Zawsze intrygował mnie „Woolworth 5 and 10 c Store”, to znaczy sklep Woolwortha, w którym większość towarów można było kupić za pięć czy dziesięć centów. Chociaż w tym czasie dzie-

sięć centów było więcej warte niż w roku 1990 jeden dolar. Sklep ten najbardziej odpowiadał naszemu magazynowi „1001 drobiazgów”, tyle, że imponował większą różnorodnością towarów, a ich kolory były w oczy. Był to sklep samoobsługowy w którym można było przebierać w towarach. Sklepy „Woolwortha” liczyły się w kraju na setki, może na tysiące. Można je było znaleźć w każdym najmniejszym miasteczku, a w większych po kilka lub kilkanaście. Nazywało się to „chain stores” - sklepy łańcuchowe. Już wtedy małe sklepy prywatne stanowiły mniejszość. Handel opanowały wielkokapitalistyczne przedsiębiorstwa.

Święta Bożego Narodzenia to wielkie żniwa dla handlujących. Ulice w miasteczku na parę tygodni przed Świętami przystrojono łańcuchami, gwiazdami wykonywanymi z różnokolorowych żarówek. Wystawy urządzone z przepychem, oświetlone były kolorowo. Ludzi ogarniał szal zakupów, świątecznych kart i prezentów. Przeciętna rodzina wysyłała ich od stu do dwustu. Niektórzy dołączali do karty świątecznej list odbity na powielaczu, gdzie streszczali swe dzieje w minionym roku, kto się urodził, kto zawarł związek małżeński, kto zmarł, kto i gdzie podróżował, jakie sukcesy osiągnął w handlu czy nauce.

Same Święta nie mają w Ameryce takich tradycji, jakie znałem z polskiej wsi. Sam dzień Bożego Narodzenia jest wolny od pracy, w dzień Św. Szczepana ludzie już pracują. Państwo Domańscy zaprosili mnie do siebie na Święta polsko-amerykańskie, ale tego zaproszenia nie przyjąłem. Przyjąłem zaproszenie jednego z młodszych kolegów i pojechałem na farmę jego rodziców.

Była to rodzina kwakerska, dlatego właśnie przyjąłem zaproszenie. We wczesnej młodości otrzymałem wykształcenie religijne. Przestałem wierzyć, ale nie stałem się ateistą. Nigdy się za takiego nie podawałem, bo uważałem, że nie można dowieść, że jest Bóg, ani też, że nie ma Boga. Wojujący ateizm, jaki zobaczyłem później w Związku Radzieckim może przynieść tyle lub więcej zła niż fanatyzm religijny. Uważałem i uważam się za agnostyka. Cała nasza kultura i filozofia oparta jest jednak na chrześcijaństwie. Dlatego religia chrześcijańska bardzo mnie dalej interesowała, a zwłaszcza jej różne odłamy protestanckie, a tych w Ameryce jest takie bogactwo. W Ameryce żadne z wyznań nie stanowi większości i jest to sytuacja niezwykle szczęśliwa, bo żadne nie rości sobie pretensji do religii panującej i dyskryminowania innych wyznań. Chrześcijan jest najwięcej, ale większość stanowią protestanci podzieleni na dziesiątki sekt, solidarni pod jednym względem. Obawiają się katolików.

Od pierwszych dni swego pobytu w Ithaca słuchałem pilnie wszystkiego, co dotyczy różnych wyznań. Wśród sekt protestanckich dominowali metodyści, baptyści, episkopalianie. Uwagę moją przyciągnęły jednak stosunkowo nieliczne sekty, a mianowicie Kwakrzy, Bracia Mennonici, Mormoni i Amisze.

O Kwakrach słyszałem jeszcze w Polsce, o ich dobrych uczynkach, o pomocy materialnej, jakiej udzielali ludziom będącym w potrzebie. Kwakrzy nie uznają chrztu, nie mają kapłanów, ani żadnej hierarchii duchownej, nie budują kościołów. Wierzą w Stary i Nowy Testament. Zbierają się niewielkimi grupami w swoich domach w celu czytania Biblii oraz na dyskusje w sprawach pomocy charytatywnej. Tworzą komitety do prowadzenia takiej działalności i oddają na ten cel znaczny procent swoich dochodów. Są pacyfistami, odmawiają służenia w wojsku, zwalczają wszelkie zaangażowanie swego kraju w wojnę zarówno sprawiedliwą, jak i niesprawiedliwą. Są bezwzględnie uczciwi, właśnie jak pierwsi chrześcijanie. O swojej religii nie mówią z obcymi i nie starają się nikogo nawracać na swoje wyznanie.

Kościół Braci (Church of the Brethren) jest małą sektą typowo chrześcijańską, to znaczy uznającą chrzest i Biblię. Jest to jednak jedno z nielicznych wyznań, które nie ma żadnych do-

gmatów. Jeden z dostojników tej sekty mówił mi kiedyś, że większość wyznawców wierzy w piekło. Ja nie wierzę - dodawał - bo Bóg musiałby być potworem, by karać wiecznością za doczesność. Ale to mi wcale nie przeszkadza, że inni wierzą, byleby żyli po chrześcijańsku. Za takie uchybienia nikogo z kręgu naszego wyznania nie wyrzucamy, ale oszustów i zbrodniarzy nie tolerujemy. U nas nie ma rozgrzeszenia.

Kościół Braci ma w Stanach około ćwierć miliona wyznawców. Nie ma ich w innych krajach, bo nie prowadzą akcji nawracania na swoje wyznanie. Bracia, tak jak Kwakrzy, są pacyfistami, i w jeszcze większym stopniu prowadzą akcje charytatywne na całym świecie. Zbierają na to wśród swych wyznawców ogromne sumy pieniędzy. To właśnie z Braćmi rozpocząłem w 1947 roku, a już na stałe w 1957 r., Polsko-Amerykańską wymianę rolniczą.

Mennonici są sektą podobną do Braci, niewielką, rekrutującą wyznawców głównie spośród farmerów. Są bardziej konserwatywni niż Bracia. Łączy ich z nimi pacyfizm i podobna działalność charytatywna. Poza Stanami Zjednoczonymi mają trochę wyznawców w Kanadzie i w Europie. W latach sześćdziesiątych pomogłem w zorganizowaniu na mniejszą skalę wymiany rolniczej z Mennonitami. Prowadziło je Stowarzyszenie Inżynierów i Techników Rolnictwa.

Sektą niezwykle interesującą, ale znacznie mniej - moim zdaniem - zasługującą na uznanie, są Mormoni. Zwodnicza jest historia powstania sekty. Około roku 1820 przeszła przez Amerykę fala religijnych wstrząsów. Co drugi protestant miał widzenie, czy objawienie, co trzeci chciał założyć nową sektę. Udawało się to tylko niektórym, a jednym z nich był Niemiec z pochodzenia, Josef Schmidt, piszący się później Joseph Smith. Mieszkał w stanie New York. Był wysoki, potężnie zbudowany i wielce przystojny, a za żonę miał babę suchą, jędzę, stąd frustracja.

Pewnego razu przyszedł do niego anioł i objawił mu, że niedaleko stąd pod górą zakopane są święte księgi. Smith odkopał je. Okazało się, że są ciekawe.

Według tych ksiąg, pewien prorok izraelski zbudował w roku 600 p.n.e. statek i wyemigrował do Ameryki. Z jednej części jego potomstwa pochodzą czerwonoskórzy Indianie amerykańscy, potomstwo drugiej części wyginęło. Joseph Smith ogłosił się w 1825 roku prorokiem i zaczął głosić nową wiarę, na którą składają się elementy chrześcijaństwa, judaizmu i islamu. Nowa wiara przyciągała, porywała wyobraźnię większej liczby młodych kobiet niż młodych mężczyzn. Smith zaprowadził przeto wielożeństwo, które przyjął pierwszy uczeń i kontynuator jego dzieła Brigham Young. Wyznawcy nowej wiary nazwali się Mormonomi od ojca tego anioła, który złotymi literami napisał wspomniane księgi. Inną nazwą Mormonów jest Święci Dnia Ostatniego.

Pierwsza kolonia mormońska powstała w stanie Ohio. Po wielu perypetiach Mormoni, prześladowani przez chrześcijan, przenieśli się nad Wielkie Słone Jezioro w Stanie Utah. Tam mają swoją główną świątynię.

Kiedy Stany Zjednoczone objęły stan Utah w końcu XIX-go wieku, rząd federalny zakazał wielożeństwa, zakazał Mormonomi pojmowania nowych żon. Mormoni musieli, acz niechętnie, poddać się temu zakazowi.

Mormoni mają swoich wyznawców nie tylko w Utah, ale i w innych stanach, a także w innych krajach. Są agresywni, starają się zdobyć dla swojego wyznania każdego, kto ich słucha. Ich rodziny są bardzo liczne.

Sektę Amiszów (Amish) można by nazwać sektą z nieprawdziwego zdarzenia. Jej wyznawcy wierzą tylko w Biblię, nie wierzą natomiast w elektryczność, gumę i guziki, jako że to są

twory diabelskie. Dzięki elektryczności mamy kino, a więc filmy pornograficzne. Precz z elektrycznością. Guma umożliwiła wynalezienie samochodu, a samochodem młodzi jeżdżą na „necking”. Słowo to pochodzi od „neck”, co znaczy szyja, bo necking zaczyna się przynajmniej od obejmowania za szyję. Precz zatem z gumą. A guzik, jak wiadomo, kojarzy im się z ozdobami kobiecymi, a więc na przykład z pierścieniami z wielkimi drogimi kamieniami, a to przywołuje na pamięć kuszenie. A więc precz z guzikami.

Proszę sobie jednak uświadomić, jakie to wszystko pociąga za sobą konsekwencje. Wyznawcy tej sekty nie mają w domu elektryczności, a co za tym idzie żadnych urządzeń elektrycznych, jak lodówki, pralki, żelazka, tosterów. W budynkach nie ma żadnych silników, a w oborze elektrycznych dojarek. Amiszom nie wolno chodzić do kina ani do teatru, bo tam aż się jarzy od świateł. Nie mogą mieć samochodu ani traktora, bo przecież ich opony są zrobione z gumy. Nie wolno im się ubierać w sposób zwracający na siebie uwagę, estetyczny. Nie kupują gotowych ubrań, ale w domu na krosnach tkają samodziały. Zamiast guzików mają pętelki do zawiązywania. Kobiety noszą suknie długie do ziemi. Mężczyźni golą się do chwili ożenku, a potem zapuszczają brody.

Pamiętam jeszcze w 1966 roku moi przyjaciele wzięli mnie w Pensylwanii na farmę Amiszów. Już z dala na szerokiej asfaltowanej drodze niezwykle zjawisko - bryczka zaprzężona w dwa konie. To farmer wraca z żoną z miasteczka. Czarny kapelusz, czarny żakiet, szare spodnie, długa broda. Jego żona w czepku domowej roboty i w długiej sukni z samodziału. W domu naftowe lampy. Sprytnie urządzona ubikacja. Oto ze strumyka płynącego wyżej wprowadzone do domu rury, woda płynie pod naturalnym ciśnieniem.

Najstarszy syn blisko domu wykonuje podorywkę przy pomocy pary koni. Na podwórku bawią się dzieci. Pytam swego przyjaciela, czy dzieci Amiszów się nie buntują, nie opuszczają rodziców i nie uciekają w świat. Powiada, że nie. Posyłają dzieci do szkoły tylko przez 3 lub 4 lata, aby nauczyły się czytać Biblię. W Ameryce szkoła jest obowiązkowa do szesnastego roku życia. Kiedy dziecko Amiszów po trzech latach nauki przestaje chodzić do szkoły, na ojca nakładają karę pieniężną, nawet skazują go na kilka dni czy tygodni aresztu. Nic to nie pomaga, więc dają mu spokój.

## Rok 1939

Kończył się rok 1938. Patrząc wstecz na jego przebieg, z osobistego punktu widzenia nie mogłem mieć pretensji do losu. Osiągnąłem to, o czym marzyłem, mogłem rozwijać się naukowo. Po trzech miesiącach nauki na Uniwersytecie Cornella wiedziałem już, że dam sobie radę. Najgorsze kłopoty językowe miałem już za sobą. Nie znaczy to, żebym dobrze opanował język. Nawet po ośmiu latach pobytu w Ameryce pozostało mi na pewno sporo cudzoziemskiego akcentu. Ale rozumiałem co do mnie mówiono i potrafiłem się wysłowić. Studia nie wydawały mi się trudne. Co najważniejsze - zacząłem się pozbywać kompleksu niższości. Okazało się, że potrafię rozumować nie gorzej niż moi amerykańscy koledzy, a w końcu roku zdarzało się, że niektórzy przychodzili do mnie, abym wytłumaczył im pewne rzeczy, które były dla nich niezrozumiałe.

Niepokoiliła mnie światowa sytuacja polityczna, to prawda, ale przyznam, że z oddalenia straciła ona nieco na swej ostrości.

Zaczął się rok 1939. Nauka szła mi coraz lepiej, nie miałem z nią kłopotu. Korespondowałem z krajem, z rodziną, z koleżankami i kolegami. Od wczesnej młodości lubiłem pisać, żywałem się więc w listach, opisując moim przyjaciołom nieznaną kraj i moje wrażenia. Otrzymywałem na swoje listy odpowiedzi.

Ósmego lutego dostałem list najważniejszy, list od Janiny Praskiej. Zawiadamiła mnie, że zdecydowała się przyjechać do mnie i wyjść za mnie za mąż. Zaproponowałem jej małżeństwo jeszcze w czasie wspólnych studiów na Uniwersytecie. Wtedy nie było jednak na to warunków ze względu na mój wyjazd na czas dłuższy, a ona po skończeniu studiów zaczęła uczyć biologię w liceum w Rembertowie. Teraz zdecydowała, że gdy skończy się rok szkolny, przyjedzie. Do tego czasu zaoszczędzi dość pieniędzy na opłatę kosztów podróży. List, w którym zakomunikowała mi swoją decyzję, szedł z Warszawy do Ithaca osiem dni, a przywieziony został drogą morską, okrętem, bo komunikacja lotnicza przez Atlantyk jeszcze nie istniała. Wiele razy wspominałem ten list do końca lat 80-tych, gdy na list z Ameryki przy komunikacji lotniczej czekać było trzeba od 20 do 30 dni. Tak wiele czasu zabierała wędrówka listów przez cenzurę, którą prof. Jan Szczepański nazywał najdoskonalszym środkiem samounicestwienia się, jakie kiedykolwiek wymyśliły niewierzące w swoją przyszłość systemy polityczne. Nie jest to jego zdanie. Wziął je prawie dosłownie z pism Karola Marksa.

Janina chciała po przyjeździe także zapisać się na doktoranturę sadowniczą. Przesłała mi podanie, które złożyłem dr Heinicke. Wkrótce otrzymałem od niego zaświadczenie o przyjęciu jej do Graduate School i natychmiast jej wysłałem, bo było potrzebne do otrzymania wizy amerykańskiej. Namawiałem ją, aby przyjechała tuż po zakończeniu roku szkolnego, zaraz w początku lipca. Odpisała mi jednak, że przyjedzie w końcu sierpnia, bo umówiła się z koleżankami na długą pieszą wycieczkę, obejmującą między innymi przejście całego brzegu polskiego morza od granicy Wolnego Miasta Gdańska aż do granicy Niemiec.

Dziś, kiedy wspominam jej plany, robione na koniec sierpnia 1939 roku, denerwuję się. Przecież nadciągało niebezpieczeństwo wojny. To prawda, że nastroje były różne, ludzie wierzyli i nie wierzyli w wybuch wojny. Trwała wojna napięć i nerwów. Inny z moich przyjaciół napisał mi nawet: „Wszystko jest tak niepewne. Niechby wreszcie zaczęła się już ta wojna, niechby się wreszcie wszystko rozstrzygnęło”. Zginął we wrześniu, nie miał możliwości późniejszego rozmyślenia nad tym, co napisał.

Nadchodziła wiosna. Umówiłem się ze studentem polskiego pochodzenia, Scotty Potaczała, że na Wielkanoc pojedę z nim do jego rodziców, którzy mieszkali w Niagara Falls, zaledwie kilka kilometrów od słynnego wodospadu. Scotty właśnie kupił sobie samochód za całe 20 dolarów. Można sobie wyobrazić, jak taki wehikuł wyglądał, ale jeździł. Scotty, jak wszyscy chłopcy w jego wieku, miał prawo jazdy, więc jeszcze w czasie zimy i ja nauczyłem się prowadzić samochód. Uczył mnie na swoim uroczym Chevrolecie Conny Straub inny student polskiego pochodzenia. Zdałem egzamin, otrzymałem prawo jazdy. Egzamin był łatwy, tylko z przepisów ruchu drogowego, no i z samej praktycznej jazdy.

Rodzice Scotty'ego byli to ludzie prości, raczej biedni. W czasie kryzysu w latach dwudziestych, ojciec przez kilka lat był bezrobotny. Opowiadał o czasach głodu. Pracował, ale nie miał swego domu, mieszkali w wynajętym mieszkaniu. Nigdzie nie przydarzyło mi się nasłuchać tyle pochwał na cześć prezydenta Roosevelta, co właśnie od starego Potaczały. Dzięki zorganizowaniu na ogromną skalę robót publicznych zmniejszył wydajnie bezrobocie, przywrócił wiarę w ludzi.

Podziwiałem Roosevelta od pierwszych tygodni pobytu w Ameryce. Lubiałem słuchać jego przemówień radiowych. Zafascynowany nie mogłem oderwać się od radia. Każdemu, kto go słuchał, wydawało się, że prezydent mówi tylko do niego, a nie do całego narodu.

Na drugi dzień po przyjeździe do Niagara Falls poszliśmy obejrzeć wodospad. Nie jest bardzo wysoki. Jego potęga polega na tym, że na dół spada potężna, szeroka i głęboka rzeka, która stanowi odpływ z zachodnich wielkich jezior Huron, Superior, Michigan i Erie do jeziora Ontario, a dalej jako rzeka Św. Wawrzyńca biegnie do oceanu. Równina, po której płynie rzeka Niagara, urywa się nagle, prostopadle i ogromna masa wód z ogłuszającym hukiem leci w przepaść. Część wody rozbija się w drobną mgłę. W słoneczne dni widać wspaniałą tęczę. Przez rzekę, poniżej wodospadu, wybudowano most, który nazwano właśnie Mostem Tęczowym (Rainbow Bridge).

Most łączy stronę amerykańską, ze stroną kanadyjską. W Ameryce przyjął się zwyczaj, że nowożeńcy w podróż poślubną wybierają się nad Niagarę. I wtedy, tak jak teraz, mnóstwo młodych par spacerowało nad wodospadem. Wszyscy przechodzili przez Most Tęczowy na stronę kanadyjską, bo stamtąd roztaczał się piękniejszy widok na wodospad niż ze strony amerykańskiej. Na granicy nie było trudności. Amerykanie i Kanadyjczycy przekraczali granicę bez wiz i paszportów, wystarczyło pokazać tylko prawo jazdy, zaopatrzone w fotografię właściciela. I ja nie miałem trudności z przejściem przez most. Pokazałem paszport. Nie miałem wizy kanadyjskiej, ale wystarczyło, że widniała tam ważna wiza amerykańska.

Po powrocie z Niagara Falls zastałem czekający na mnie list od dr Władysława Filewicza. Nie znałem go, ale wiele o nim słyszałem, a nawet niedawno, w lutym, Heinicke dał mi do zreferowania na seminarium pracę napisaną przez niego po polsku „Nowe metody w sadach i szkółkach”.

Dr Filewicz pochodził z rodziny inteligenckiej z Nowego Sącza. Skończył studia medyczne, ale nigdy medycyny nie praktykował. Ożenił się z bardzo bogatą panną, która wzięła w posagu kilka dużych majątków między Warszawą a Siedlcami. Zamieszkali w jednym z nich, w Sinołęce, siedem kilometrów na wschód od Kałuszyna przy szosie do Siedlec. W Sinołęce dr Filewicz założył duży, stuhektarowy sad i całe życie zajmował się sadownictwem. Za jeden ze sprzedanych majątków wybudował tam imponującą siedzibę mającą naśladować zachodnio europejskie, francuskie czy angielskie zameczki.

Dr Filewicz był wielką indywidualnością, prawdziwym oryginałem. Nie posadził sadu dla zwiększenia dochodu gospodarstwa, ale dla celów doświadczalnych. Przekształcił go z czasem w prywatną Sadowniczą Stację Doświadczalną. Utrzymywał personel asystencki i techniczny do pomocy w doświadczeniach. W połowie lat trzydziestych na jego Stację zwróciło uwagę Ministerstwo Oświaty i otoczyło ją opieką, przeznaczając na ten cel niewielkie fundusze, które miały dopomóc w prowadzeniu prac badawczych.

Znał dr Filewicz doskonale sadownictwo światowe. Zjeździł całą Europę wzdłuż i wszerz zwiedzając sadownicze stacje doświadczałne, wyższe uczelnie oraz liczne sady prywatne. Był jedynym polskim sadownikiem, który w okresie międzywojennym wybrał się w 1936 r. wraz z synem i jedną z asystryjek w podróż do Związku Radzieckiego. Zwiedził Miczurińsk, sady na Kubaniu i na Ukrainie. Brał udział we wszystkich międzynarodowych kongresach i sympozjach jako jedyny zresztą przedstawiciel polskiego naukowego sadownictwa i wygłaszał tam referaty o wynikach swoich prac badawczych. Wszystkie swoje podróże przedsięwziął na koszt własny.

Filewicz przyjechał do Ameryki po raz pierwszy przed kilku laty, ale zwiedził tylko niewielką jej część. Brak znajomości języka angielskiego stał mu także na przeszkodzie w wyciągnięciu korzyści z pierwszej podróży. Teraz chciał przyjechać do Ameryki wraz ze swą asystentką, Ireną Modlibowską, na prawie trzy miesiące i zwiedzić wszystkie najważniejsze sadownicze stacje doświadczałne w Stanach Zjednoczonych i w Kanadzie. Wiedział, że przebywam tu od września zeszłego roku. Napisał do mnie proponując wspólną podróż. Ja miałbym być tłumaczem, za co dr Filewicz obiecał pokryć większość kosztów mej podróży.

Odpisałem mu i wyraziłem zgodę na wspólną wycieczkę po Ameryce. Cieszyłem się na nią z góry, miała być niezwykle korzystna nie tylko ze względu na poznanie amerykańskiego sadownictwa w różnych rejonach, od Atlantyku po Pacyfik i od Manitoby w Kanadzie na północ po Kalifornię na południu, ale i zwiedzeniu tego olbrzymiego kraju. Filewicz prowadził niezwykle rozległą korespondencję. Jeszcze zimą napisał do wszystkich Katedr Sadownictwa w Uniwersytetach wszystkich stanów, które mieliśmy zwiedzić. Ponieważ znano w świecie jego nazwisko, otrzymał od wszystkich adresatów zaproszenia i obietnicę pomocy. Przyjazd Filewicza zapowiadał na połowę czerwca. Do tego czasu zakończyłem swoje zajęcia na uniwersytecie.

A na Uniwersytecie układało się dla mnie wszystko pomyślnie. Moja angielszczyzna uległa dużej poprawie. Mieszkałem dalej w Cosmopolitan Club. Zawarłem tam wiele przyjaźni. Przy stole siedziałem często obok młodego Tajlandczyka, który nazywał się Sala Dasananda. Studiował tu rolnictwo. Przebywał w Ameryce w sumie blisko 10 lat. Wrócił do swego kraju dopiero po zdobyciu doktoratu i piastował ważne stanowisko w tajlandzkim Ministerstwie Rolnictwa. Dzięki niemu mogłem zwiedzić jego kraj w 1963 r., kiedy jeszcze dostanie wizy przez obywatela kraju socjalistycznego do Tajlandii przedstawiało ogromne trudności.

Pewnego dnia na tablicy ogłoszeń Katedry Sadownictwa zauważyłem afisz, na którym wielkimi literami wypisano hasło: „Apple polishers, arise!” Znaczy to mniej więcej – „podlizywacze wszystkich krajów łączcie się”. Podlizywacz po angielsku to „apple polisher”, czyli ten, kto poleruje jabłko, a więc na przykład uczeń, który dla przypodobania się nauczycielce daje jej tak wypolerowane, że aż błyszczące jabłko.

W tym jednak przypadku afisz wzywał wszystkich studentów sadowników do zorganizowania studenckiego koła. Zapisałem się oczywiście i ja, ale aby zostać przyjętym, trzeba było przejść przez wyrafinowane próby. Mój egzamin był łatwy. Musiałem tak obrać jabłko, aby zdję-



ta z niego i nieprzerwana obierzyna mierzyła pięć metrów. Wykonałem zadanie już za drugim razem, a miałem prawo powtarzać tę czynność trzy razy.

W ciągu roku zorganizowano w Cosmopolitan Club kilka wieczorków tanecznych, w których wziąłem udział. Różniły się one tym od zwykłych studenckich potańcówek, że nie stosowano tu dyskryminacji rasowej. W północnych Stanach nie obowiązywała formalna segregacja rasowa. Dzieci białe i murzyńskie chodziły do tych samych szkół. Istniała jednak bardzo ścisła segregacja towarzyska. Białe rodziny nie zapraszały do siebie rodzin murzyńskich i na odwrót. Na zabawy białych studentów nie przychodzili czarni.

Natomiast w Cosmopolitan Club nie mogło być żadnej segregacji rasowej. Mieszkali tu przecież oprócz białych, studenci chińscy, a także Murzyni z Haiti i z Kuby. Na potańcówki przychodziły również studentki różnych ras, a wtedy biali tańczyli z Murzynkami czy Chinkami. Panowała wtedy moda tańczenia „Cheek-to-cheek”, czyli policzek przy policzku. Pamiętam jak mnie zdumiała jedwabistość skóry na policzku mej murzyńskiej partnerki.

W maju na uniwersytetach obchodzi się „Spring Day” czyli Święto Wiosny. Zajęcia są zawieszane. Studenci urządzą pochód przez Campus. Na czele pochodu jakaś lokomotywa z kolejki wąskotorowej, chyba jeszcze sprzed czasów Kolumba, samochody z końca zeszłego wieku, a za nimi różnokolorowy, pstry, rozśpiewany, wesoły tłum studentów. Śmiechom i żartem nie było końca.

Cała młodzież amerykańska entuzjazmuje się sportem, a zwłaszcza futbolem. Amerykański futbol jest inny od europejskiego. Tam piłki się nie kopie, tylko przerzuca od jednego gracza do drugiego. Na punkcie futbolu młodzież studencka była po prostu zwariowana. Każdy uniwersytet starał się mieć jak najlepszą drużynę. Ponieważ musiała się składać ze studentów, kupowano często dobrze zapowiadających się futbolistów zaraz po ich wyjściu ze szkół średnich. W niektórych uniwersytetach trzymano fikcyjnych studentów, nawet takich, co nie skończyli średniej szkoły.

W związku z tym opowiadano taki dowcip, otóż na jednym z uniwersytetów ćwiczy drużyna futbolowa do decydującej rozgrywki o mistrzostwo USA. Nagle kapitan drużyny wybucha płaczem. Podchodzi do niego trener: - „Co ci jest, Joe? Jesteś kapitanem drużyny, która na pewno jutro zdobędzie mistrzostwo Ameryki. Jesteś studentem medycyny ostatniego roku. Niedawno w głosowaniu powszechnym studentki na wszystkich uniwersytetach niemal jednogłośnie uznały cię za najbardziej przystojnego mężczyznę w Ameryce. Czego ci jeszcze do szczęścia brakuje?”

A Joe między jednym szlochem a drugim wyrzuca z siebie: - „Ach trenerze, gdybym tylko umiał czytać i pisać!”

Uniwersytet Cornella należał wtedy do futbolowej czołówki a zawdzięczał to dwom czy trzem członkom drużyny, Amerykanom polskiego pochodzenia. Na Campusie poczesne miejsce zajmował oczywiście stadion sportowy, który mógł pomieścić ponad trzydzieści tysięcy widzów. Na mecze przychodzili wszyscy studenci, a resztę miejsc wypełniali przyjezdni. Na ważniejsze mecze przyjeżdżali kibice aż z Kalifornii i Florydy.

Tak się jakoś złożyło, że jesienią nie poszedłem na żaden mecz, ale wiosną przyjaciele zaciągnęli mnie na jakąś ważną rozgrywkę. Nasza drużyna wygrywała. Rany boskie, co się wtedy działo! Nigdy nie entuzjazmowałem się sportem, a zwłaszcza sportem tego rodzaju. Nie porwał mnie patriotyzm lokalny. Większość widzów, a zwłaszcza naszych studentów, opętał po prostu szal. Czuję się nieswojo, jak człowiek trzeźwy wśród gromady pijanych. Już nigdy więcej nie poszedłem na mecz futbolowy aż do mego odjazdu do kraju w 1946 r.

W końcu maja zdałem egzamin z francuskiego. Przepisy amerykańskie wymagają, aby doktorant wykazał się znajomością dwóch języków obcych. Wymagania nie są wysokie. Trzeba udowodnić, że się potrafi korzystać z literatury naukowej w danym języku. Egzaminator daje krótki tekst do przetłumaczenia na angielski. Egzaminował mnie profesor fizjologii roślin, dr Knudson. Egzamin był zresztą częścią formalnością, bo na pewno wtedy jeszcze lepiej mówiłem po francusku niż mój egzaminator. Inne przedmioty pokończyłem w początku czerwca, mogłem więc wybrać się w podróż z dr Filewiczem.

Niepokoili mnie oczywiście sytuacja polityczna w Polsce, ale przebywając tak daleko od Ojczyzny bardzo trudno było zdobyć się na właściwą ocenę sytuacji. Wielu amerykańskich dziennikarzy i spikerów radiowych przepowiadało, że wojny nie będzie, bo Polska ugnie się pod naciskiem Hitlera i przyjmie podyktowane jej warunki. Tak przecież zrobiła Czechosłowacja, poddając się bez jednego wystrzału, a przecież jej armia dzięki przemysłowi zbrojeniowemu Skody była lepiej uzbrojona od armii polskiej. Byłem jednak pewien, że naród polski nie podda się Hitlerowi bez walki, a rząd, nawet sanacyjny, też tego nie zrobi, nie leży to w naturze Polaków. Dlatego też czekałem na oficjalną odpowiedź Polski na żądania niemieckie. Miał ją dać Józef Beck, minister Spraw Zagranicznych, w specjalnym przemówieniu do narodu. Pamiętam, jak zebraliśmy się z kolegami w Cosmopolitan Club któregoś dnia w maju, by wysłuchać przemówienia Becka. Odbiór był bardzo dobry. Minister odpowiedział Hitlerowi stanowczym i kategorycznym: NIE. Beck nie cieszył się moim szacunkiem, to prawda, ale wtedy dumny byłem z oświadczenia, gdy tłumaczyłem jego treść moim amerykańskim kolegom. A jednak Polska to nie Czechosłowacja. Nie zdawałem sobie wtedy sprawy z tego, co z polskiego oświadczenia wyniknie i jaką cenę będziemy musieli za nasz opór zapłacić.

Tymczasem korespondowałem z dr Filewiczem. Pytałem go w listach, czy nie obawia się wyjazdu w tych burzliwych czasach. Odpisał tak, jakby nic Polsce nie groziło. „A zresztą - pisał - jak wojna ma wybuchnąć - to wrócimy na czas.”

## Wielka podróż

Spotkaliśmy się w początku czerwca w Nowym Yorku. Dr Filewicz był mężczyzną wysokiego wzrostu, bardzo szczupłym, miał lat 63. Język angielski znał na tyle, że mógł czytać, ale rozmawiać nie potrafił. Przyjechała z nim asystentka, Irena Modlibowska, absolwentka Państwowej Szkoły Ogrodniczej w Poznaniu. Już od kilku lat pracowała w Sinołęce. Uwielbiała swojego szefa, który rzeczywiście mógł imponować rozległymi horyzontami i wiedzą nie tylko sadowniczą. Zajmował się nawet filozofią i tłumaczył na polski dzieła francuskiego filozofa Bergsona.

Z Nowego Jorku pojechaliśmy do Waszyngtonu, a właściwie do Federalnej Rolniczej Stacji Doświadczalnej w Beltsville, w Maryland, leżącej prawie na przedmieściach stolicy. W amerykańskim systemie organizacji nauk rolniczych ogromna większość badań wykonywana jest w stanowych uniwersytetach i stanowych rolniczych stacjach doświadczalnych. Rząd federalny udziela pewnych dotacji stanowym uniwersytetom na badania rolnicze albo utrzymuje tam na swoich etatach niektórych pracowników naukowych. Poza tym jednak rząd federalny posiada w kraju kilka własnych rolniczych stacji doświadczalnych.

Jedna z takich stacji, największa, znajduje się właśnie w Beltsville. Jest tam duży dział sadowniczy, którym kierował wtedy jeden z najwybitniejszych amerykańskich naukowców w dziedzinie sadownictwa - dr Magness, a z którym dr Filewicz korespondował. Dr Magness przyjął nas bardzo gościnnie, w ciągu paru dni zapoznał z działalnością stacji i najważniejszymi problemami, nad którymi pracowano oraz z najciekawszymi ludźmi.

Dr Magness zapoznał nas z bardzo starym już, pewnie osiemdziesięcioletnim dr Waite. Jego nazwisko związane jest z odkryciem faktu, że większość odmian drzew owocowych wymaga zapylenia pyłkiem innych odmian, aby mogły zawiązać się owoce. Jeszcze w końcu XIX wieku wielu sadowników amerykańskich nie zdawało sobie z tego sprawy. Sadzili często bardzo duże kwatery z jednej tylko odmiany, bo rozumowali słusznie, że wtedy zabiegi pielęgnacyjne będą znacznie uproszczone.

Tak samo postąpił pewien farmer w stanie Wirginia. Kiedy urodziła mu się córka, posadził dwadzieścia hektarów sadu gruszowego postanawiając, że to będzie jej posag. Posadził tylko jedną odmianę, a mianowicie Bonkretę Williama. Williams wchodzi bardzo wcześnie w owocowanie i owocuje corocznie, bardzo obficie. Farmer był pewien, że zanim córka dorośnie, zgromadzi w banku na jej koncie mnóstwo pieniędzy z dochodu, jaki przyniesie sad.

Rosła córka, rosły też grusze, tyle tylko, że córka nie przysparzała ojcu kłopotów, a sad gruszowy z niewiadomych powodów wcale nie owocował. Kwitł co roku bardzo obficie, drzewa rozrosły się potężnie, a owoców jak na lekarstwo. Córka doszła już do wieku lat dwudziestu, wkraczała więc w wiek, jak na te czasy, staropanieństwa, a posagu, jak nie było, tak nie było.

Dr Waite był fitopatologiem, specjalistą od chorób drzew owocowych. Farmer przyszedł do przekonania, że jakaś nieznaną, straszną, choroba opanowała jego sad, skoro nie owocuje. A przecież zaledwie pięć mil dalej rósł sobie sad, a w nim Williams owocował co roku, nawet bardziej obficie niż pobliskie rzędy innych odmian grusz. Dr Waite przyjechał i dokładnie obejrzał nieowocujący sad. Zauważył, że w jednym miejscu rosły dwa drzewa innej odmiany, Faworytki. Dostały się one po prostu przez niedopatrzenie. Same Faworytki doskonale owocowały, a wianuszkami wokół nich obficie owocowały Williamsy, im dalej od Faworytek, tym słabiej. Odgadł dr Waite przyczynę nieowocowania sadu. Polecił przeszczepić co piąte drzewo Williama na inną odmianę gruszy. Gdy te szczepy rozwinęły się i zakwitły, cały sad zaowocował bardzo obficie i

co roku przynosił wysokie plony. Od tej pory sadownicy nie zakładali już sadów czy też większych kwater w swoich sadach złożonych z jednej tylko odmiany.

Z Beltsville pojechaliśmy do Uniwersytetu Stanu Pensylwania, znajdującego się w miejscowości College Park. Przyjął tam nas dr Anthony, człowiek już niemłody, zbliżający się do emerytury. Pokazał nam swoje sady doświadczalne. Dr Filewicz zaciekała szczególnie jedna kwatera, w której już od lat bodajże czterdziestu prowadzono doświadczenia z różnymi sposobami utrzymywania gleby w sadzie. Wykazały one, że najlepsze wyniki daje w sadzie murawa, a nie czarny ugór. W całych północno-wschodnich Stanach Zjednoczonych wszystkie handlowe sady utrzymywano w murawie. Kręcił na to głową Filewicz, bo w Polsce, a także w innych krajach europejskich, utrzymywano w sadzie czarny ugór, albo też uprawiano między rzędami drzew różne rośliny warzywne i rolnicze.

Pojechaliśmy potem do Uniwersytetu Stanu Michigan w East Lansing, następnie do uniwersytetów w stanach Ohio, Indiana, Illinois, Iowa, Kolorado i Wyoming. Podróżowaliśmy przeważnie pociągiem. Jeszcze w stanie New York kupiliśmy sobie za sto dolarów na osobę trzymiesięczne bilety turystyczne. Upoważniały nas one do przejazdów koleją na dowolnych trasach w całym kraju w ciągu trzech miesięcy.

W stanie Kolorado zбочyliśmy troszkę z drogi, aby obejrzeć słynny Kanion. Zatrzymaliśmy się też w stanie Utah. Zatrzymaliśmy się w mieście Salt Lake City nad Wielkim Słonym Jeziorom i poszliśmy zobaczyć świątynię Mormonów. Stoi tam piękna kolumna, a na niej pomnik mewy.

Historia Mormonów opowiada o przeżyciach przodków, którzy przybyli tu pod wodzą Brigham Younga. Pierwszej wiosny wysieli przywiezione przez siebie ziarna kukurydzy i innych zbóż. Zboża rosły pięknie, aż spadła na nie z gór gorsza od szarańczy plaga świerszczy. Zżarły wszystko do cna. Zrozpaczeni Mormoni zabijali je kijami, ale to nic nie pomogło. Ponieważ świerszcze nie fruwały, otoczyli poletka głębokimi rowami, ale to nie zatrzymało plagi. Świerszcze nachodziły masami, wpadały do rowu, zapełniały go, a po tym mrowiu następne szeregi szły na pola uprawne. Dreszcz nas przejmował, gdy o tym słuchaliśmy.

Osadnicy popadli w rozpacz. Czekala ich wśród gór głodowa śmierć. Zaczęli się modlić. Bóg ich wysłuchał i sprawił cud. Oto, nie wiadomo skąd, zleciały tysiące mew, które uganiały się po polach od świtu do nocy. W ciągu paru dni nie zostało ani jednego świerszcza. Mewy odleciały. A osadnicy w taki cudowny sposób zostali uratowani od śmierci głodowej. Na pamiątkę tego wydarzenia wystawili mewie pomnik.

Poszliśmy nad Wielkie Słone Jezioro. Doznania były osobliwe: nie pływał na nim żaden statek ani nawet łódka, nie ma w nim ryb, tylko jakieś małe skorupiaki. Nikt się w nim nie kąpie, ze względu na stan zasolenia. Ale turyści mogą przekonać się, że w tym jeziorze utopić się nie można. Po krótkich próbach zanurzenia pobiegłem pod prysznic, aby splukać z siebie słoną, gorzką, palącą wodę.

Pojechaliśmy dalej w kierunku Los Angeles, przebyliśmy więc przez Góry Skaliste, najczęściej wypalone przez słońce. Opodal Fort Collins w stanie Kolorado wjechaliśmy na Pike's Peak, leżący na wysokości 3000 m nad poziomem morza. Piękna, asfaltowa droga wiedzie na sam szczyt pokryty grubą warstwą wiecznego śniegu. Los Angeles było wtedy niewielkim, spokojnym stosunkowo miastem, ale miało już około miliona mieszkańców. Należało oczywiście zobaczyć ocean i wykapać się. Celem naszym nie było jednak Los Angeles tylko Riverside, nie-

wielkie miasteczko oddalone o sto kilometrów na zachód. Mieścił się tam jeden z kampusów uniwersytetu stanu Kalifornia.

Po raz pierwszy w życiu znalazłem się w klimacie podzwrotnikowym. Gorąco było piekielnie, ale pierwsze zetknięcie się botanika z bujną roślinnością południową musiało być oszałamiające. Los Angeles otaczały gaje pomarańczowe. Sadownicza Stacja Doświadczalna przy Uniwersytecie w Riverside zajmowała się głównie badaniami nad owocami cytrusowymi. Pierwszy raz w życiu widziałem pomarańcze na drzewie. Dziwiłem się, że obok dojrzałych już na drzewie cytryn, na innych gałązkach rozwijały się ich zawiązki, tu mniejsze, tam większe, a na jeszcze innych w pełni rozwinięte kwiaty.

Po raz pierwszy oglądałem awokado i granaty, figi i oliwki. Jeden z młodych doktorantów, którzy oprowadzali nas po plantacjach, nagle zerwał z drzewa zielony jeszcze owoc oliwki – „masz, spróbuj”. Machinalnie włożyłem owoc do ust, a w chwilę potem zacząłem pluć na wszystkie strony, ku ucieście mego przewodnika. Owoce były gorzkie i bardzo cierpki, ale nie tylko dlatego, że jeszcze niedojrzały. Nie wiedziałem wtedy, że nawet dojrzałe oliwki zawierają gorzki glukozyd, który trzeba najpierw rozłożyć przy pomocy ługu lub wypłukać gorącą wodą, a dopiero wtedy można użytkować cenny, jadalny olej albo też przyrządzać oliwki stołowe.

Z Los Angeles jechaliśmy przepiękną nadmorską trasą. Biegałem od okna do okna z jednej strony wagonu na drugą, bo trudno było zdecydować, co jest piękniejsze - pustynia czy spalone słońcem góry, a czasami kwitnące oazy zieleni na nawadnianych ziemiach, czy też skalisty, dziki, urwisty brzeg Oceanu Spokojnego.

I San Francisco było wtedy miastem uroczym, spokojnym. Jeszcze obecnie jest ono jednym z najpiękniejszych miast amerykańskich. Zawdzięcza swój wdzięk położeniu na pagórkowatym półwyspie i zatoce, która oddziela go od lądu. Korzystając z weekendu pojechaliśmy zwiedzić jeden ze słynnych parków narodowych - Yosemite National Park, pięknie położony w górach. Stworzono go dla zachowania najstarszych na świecie drzew – sekwoi. Niektóre z nich dochodzą do czterech tysięcy lat. Jedno z nich jest ścięte, a na przekroju oznaczono słoje: te wytworzyły się z czasów Homera, te za Cezara, te za czasów, gdy Wilhelm Zdobywca wylądował w Anglii, a te w czasie, gdy Kopernik „wstrzymał słońce, ruszył ziemię”. W jednym z drzew wyrąbano tunel, przez który może przejechać wielki wóz zaprzężony w dwa konie.

W odległości około dwustu kilometrów na północny wschód od San Francisco leży niewielkie miasto Davis. Nie rosną tu pomarańcze, ale doskonale udają się brzoskwinie, morele, migdały, pistacje, figi, oliwki, grusze i orzechy włoskie. Uprawia się tu i jabłonie, ale stosunkowo niewiele.

Zdążyliśmy ciągle na północ. W stanie Oregon zwiedziliśmy Sadownicze Stacje Doświadczalne w Hood River Valley i w Medford. Króluje tu jabłoń, uprawia się duże ilości grusz, moreli i czereśni. Po raz pierwszy w życiu zobaczyłem sady leszczynowe. Oregon jest jedynym stanem, w którym na skalę handlową uprawia się szlachetną wielkoowocową leszczynę. Uprawia się ją nie w postaci krzewów, lecz niskopiennych drzew.

Z Oregonu droga wiodła na północ do stanu Waszyngton. Zwiedziliśmy Sadowniczą Stację Doświadczalną w Yakima, Uniwersytet w Pullman, a na cztery dni zatrzymaliśmy się w małej miejscowości Wenatchee, gdzie przy drogach witają przybysza wielkie tablice: „Wjeżdżasz do Wenatchee - jabłoniowej stolicy świata”.

Jest to rzeczywiście jeden z najlepszych w świecie rejonów uprawy jabłoni. Gleby tu urodzajne, stepowe, niedawno wzięte pod uprawę dzięki nawodnieniu. Opady wynoszą około 300 mm rocznie, a większość przypada na okres zimy. Zimy bywają mroźne, a temperatura spada do

-35°C. Lato jest bardzo upalne i słoneczne, chmury pokazują się rzadko, a więc idealne warunki dla fotosyntezy.

Na płaskowyżu ciągną się ogromne obszary uprawy pszenicy, którą sieje się co drugi rok. Trzeba poczekać, aż w glebie zbierze się z dwóch lat dostateczna ilość wilgoci. Tam, gdzie ziemia nie jest uprawiana, ciągną się niskie zarośla z wielkich bylic, które tu niesłusznie nazywa się szalwią (sage). Sady wypełniają doliny ogromnej rzeki Kolumbii i jej dopływów. Jednym z dopływów jest rzeka Wenatchee, a miejscowość leży tam, gdzie Wenatchee wpada do Kolumbii. Nie widziałem jeszcze takich sadów, niektóre dawały po 100 ton jabłek z hektara, a w 1976 r. zwiedzałem w tym rejonie sad, który dał sto pięćdziesiąt ton jabłek z hektara.

Tak się zdarzyło, że w tym czasie odbywał się w Wenatchee dwudniowy zjazd północno-zachodniego rejonu Amerykańskiego Towarzystwa Nauk Ogrodniczych. Przewodniczący zjazdu, któremu zostaliśmy przedstawieni, poprosił dr Filewicza o wygłoszenie referatu na temat jego prac nad odpornością na mróz drzew owocowych w Polsce. Uzgodniliśmy, że Filewicz napisze referat po polsku, a ja przetłumaczę go na angielski i odczytam. Stawiano wiele pytań, na które dr Filewicz odpowiadał, a ja tłumaczyłem.

W miejscowej gazecie nazajutrz ukazało się sprawozdanie ze zjazdu. Napisano, że brało w nim udział troje Polaków i że jeden z nich, a mianowicie Dr Szczepan Modlibowska wygłosił referat o sadownictwie polskim. Co za wspaniała synteza nas trojga, bo przecież „Dr” wzięte zostało od dr Filewicza, nazwisko od jego asystentki, a Szczepan to moje imię. A może do tej syntezy przyczyniła się moja angielszczyzna, w której udzielałem wyjaśnienia reporterom?

Teraz rozpoczynaliśmy drogę powrotną na wschód. Znowu przecięliśmy płaskowyż stanu Waszyngton. Zatrzymaliśmy się w Moscow, czyli w Moskwie, w stanie Idaho, gdzie znajdował się uniwersytet stanowy. Dalej jechaliśmy przez Góry Skaliste do stanu Montana, który ma taką powierzchnię, jak przedwojenna Polska, a wtedy niewiele więcej niż milion mieszkańców. Ubożuchna Sadownicza Stacja Doświadczalna w Boseman nie była warta obejrzenia.

W Montanie zбочyliśmy z drogi, aby zwiedzić Yellowstone National Park, najslawniejszy amerykański Park Narodowy.

Nazwa parku pochodzi od rzeki Yellowstone, co znaczy „żółty kamień”. Tworzy ona głęboki kanion, pełny niewielkich wodospadów, wycięty w pomarańczowych żółtych skałach. Spore wrażenie zrobiły na nas dzikie zwierzęta, nie obawiające się człowieka. Najbardziej zepsute przez ludzi były niedźwiedzie. Siadały przy drogach i po prostu żebrały, wyciągając łapy po kanapki z serem czy szynką. Widziałem także jak stara niedźwiedzica uczy żebrać swoje dzieci. Dwa niedźwiedziątka siedziały spokojnie, ale jeden nudził się. Gdy matka obejrzała się, już zaczepiał siedzącego obok grzecznie braciszka, targał go za uszy i kudły. Gdy matka to zauważyła, dała mu porządnego klapsa. Pomagało, ale najwyżej przez pięć minut ukarany siedział potulnie, a potem znowu psocił. Wszędzie wisiały napisy, aby niedźwiedziom nic ręką nie podawać, bo mogą kanapkę wyrwać z ręki wraz ze skórą i mięśniami. Zdarzały się wypadki, że niedźwiedź zranił, a nawet zadał rany śmiertelne.

Niedaleko w zaroślach pasły się losie, ale na nikogo nie zwracały uwagi. Z oddali widzieliśmy duże stado bizonów, sarny i jelenie chodziły między ludźmi, wyjadając im z kieszeni smakołyki, ale tych się nikt nie obawiał. Rano pojechaliśmy zobaczyć potężny gejzer Old Faithful, wybuchający z taką regularnością, że można według niego regulować zegarek. Z zaciekawieniem chodziliśmy też po „Kuchni Diabelskiej”. Jest to obszar kilku hektarów, na którym usytuowane było kilkaset małych, śmierdzących gejzerów. Jeden tylko parował stale, inny bulgotał co parę

minut czy co parę godzin, ale oprócz pary wydobywał się z nich siarkowodór, a może i dwutlenek siarki, co powodowało nieznośny fetor. Nie rosły tu ani drzewa, ani żadne zielne rośliny, bo nie pozwalały na to, wspomniane wyżej, wyziewy związków siarki.

Ponieważ dr Filewicza interesowało przede wszystkim sadownictwo w klimacie północnym, surowym, pojechaliśmy do kanadyjskiej prowincji Manitoba, do Winnipegu. Niedaleko stamtąd, w Morden, znajduje się Sadownicza Stacja Doświadczalna. Pracuje w tak surowych warunkach klimatycznych, że nie udają się tam wielkoowocowe odmiany jabłoni. Owszem, próbowano sadzić tu i ówdzie tak odporne na mróz jabłonie, jak Charłamowska czy Wealthy, ale i one ginęły, zanim weszły w pełnię owocowania.

Stacja w Morden pracowała więc nad wyhodowaniem jeszcze bardziej odpornych na mróz, wielkoowocowych odmian jabłoni oraz krabów, zwanych też rajskimi jabłuszkami. Krabami nazywają się mieszańce między wielkoowocowymi odmianami uprawnymi, a syberyjską jabłonią jagodową. Dyrektor stacji Leslie, przyjął nas nad wyraz gościnnie i obwiał po okolicy. W jednym z nielicznych sadów handlowych farmer miał 5 hektarów sadu produkującego same rajskie jabłuszka. Opowiadał nam, że sad przynosi wysoki dochód. Znaleźliśmy u niego także kilkadziesiąt drzew „nie duszącej ale duszącej wiśni”. Jest to duży krzew czy też małe drzewko pospolite w Stanach Zjednoczonych i w Kanadzie, po łacinie *Prunus pennsylvanica*, a po angielsku „Choking cherry” czyli „dusząca wiśnia”. Charakteryzuje się drobnymi owocami w gronach podobnych do naszej czeremchy, tylko bardziej cierpkich. Znalaziono w niej mutację o owocach tak samo drobnych i mniej duszących i nazwano ją „Non choking choking cherry”, czyli nie duszącej ale duszącej wiśni. Uprawiano ją tu i ówdzie na kompoty.

Poza jabłonią pracowano w Morden nad hodowlą odpornych na mróz amerykańskich śliw, piaskowej wiśni, a nawet moreli i grusz. W tych czasach transport nie był jeszcze tak bardzo rozwinięty, a ludzie nie nawykli do kupowania importowanych owoców w sklepach miejskich. Dlatego istniało zapotrzebowanie społeczne na rajskie jabłuszka, a nawet na nie duszącą duszącą wiśnię. Z biegiem czasu owoce te przestano uprawiać, a ludność kanadyjskich prerii zaopatruje się w kalifornijskie pomarańcze i piękne Deliciousy i McIntoshe z Brytyjskiej Kolumbii w pobliskich sklepach.

Po powrocie do Stanów zatrzymaliśmy się na krótko w Uniwersytecie Stanu South Dakota, w Brookings. Gościł nas tu sławny hodowca nowych odmian drzew owocowych dla rejonów północnych - dr Hansen. Miał już lat ponad 60, zbliżał się do emerytury. Jeździł po całym świecie dla zdobycia roślin odpornych na mróz. Jeszcze przed pierwszą wojną światową podróżował w tym celu po Rosji i Syberii, a i po wojnie był w Związku Radzieckim, znał osobiście Michurina.

Wyhodował i nazwał pewnie ze dwieście nowych odmian drzew owocowych i roślin jagodowych. Jego syn miał prywatną szkółkę, w której te odmiany rozmnażał i sprzedawał z dużym zyskiem. Już wtedy wydawało mi się, że Hansen bezkrytycznie podchodził do swojej pracy hodowlanej, oddawał do praktyki odmiany nawet na tamte czasy niewiele warte. W 20 czy 30 lat później całkowicie o nich zapomniano, nawet w stanie South Dakota.

Znacznie wyżej stały sadownicze prace badawcze na uniwersytecie stanu Wisconsin w Madison oraz na uniwersytecie stanu Minnesota w St. Paul. W tym ostatnim pracował wybitny hodowca Alderman. Jego odmiana jabłoni Haralson podobna do McIntosha, odporna na mróz przez wiele lat była uprawiana w Minnesocie i stanach sąsiednich.

Tymczasem z kraju dochodziły wieści coraz bardziej niepokojące. Filewicz postanowił skrócić swoją podróż. Miał pierwotnie zamiar wracać w połowie września, teraz zamówił bilet

na 24-go sierpnia. Ja i tak nie miałem zamiaru jechać z nim dalej do stanów Massachusetts, Connecticut, Rhode Island, Vermont, New Hampshire i Maine oraz do prowincji kanadyjskich Quebec i Nowa Szkocja, bo moja narzeczona miała przyjechać 22 sierpnia.

Pojechaliśmy razem jeszcze do uniwersytetu stanu Michigan w East Lansing, potem jeszcze raz do Kanady, do Sadowniczej Stacji Doświadczalnej w Vineland, w prowincji Ontario, stamtąd zaś do Sadowniczej Stacji Doświadczalnej w Geneva, w stanie New York, zaledwie 64 km od Ithaca. Na tym skończyła się nasza wspólna podróż.

Dała mi ona bardzo wiele. Poznałem wielu wybitnych sadowników amerykańskich i wyniki ich prac. Duże wrażenie zrobiły na mnie osiągnięcia z zakresu agrotechniki sadowniczej oraz ochrony drzew owocowych przeciwko chorobom i szkodnikom, ale z rezerwą odnosiłem się do bardzo rozbudowanych prac nad hodowlą nowych odmian, zwłaszcza nowych odmian jabłoni. Prawie w każdej zwiedzanej przez nas stacji doświadczalnej prace hodowlane stawiane były na pierwszym miejscu. Wszędzie mówiono nam, że nie minie 20 czy 30 lat, a stare odmiany pójdą w ką, zostaną zastąpione przez nowe. Tymczasem minęło lat 50, a wśród odmian jabłoni królują dalej Delicious i Golden Delicious, tak jak dawniej. Tylko w hodowli nowych odmian brzoskwiń i roślin jagodowych uzyskano ogromny postęp, nowe odmiany wyhodowane w stacjach doświadczalnych całkowicie zastąpiły stare. Poznałem Stany Zjednoczone i południowe prowincje kanadyjskie tak, jak rzadko który mieszkaniec Ameryki. To prawda, że podróżowaliśmy głównie od uniwersytetu do uniwersytetu. Mieliśmy jednak sposobność, by poznać przyrodnicze piękno tego kraju. Nie tylko wymienione Parki Narodowe. Mogliśmy oglądać cały kraj z okien pociągu.

24-go sierpnia przyjechała z Warszawy moja narzeczona. Spotkaliśmy się w Ithaca, a na drugi dzień pojechaliśmy do Nowego Jorku, aby pożegnać dr Filewicza i Modlibowską. Miałem dowieźć im trochę bagażu. „Piłsudski”, na którym przybyła narzeczona odpłynął z nimi w kierunku Gdyni.



## Druga wojna światowa

Nadszedł dzień 1 września. Już wczesnym rankiem usłyszeliśmy przez radio o tym, że Niemcy bez wypowiedzenia wojny napadły na Polskę, że bombardowana jest Warszawa i inne większe miasta, zwłaszcza dworce i lotniska.

A więc - stało się! Wojna! Czy słaba Polska obroni się przed potężną hitlerowską machiną wojenną? Czy nasi sprzymierzeńcy pospieszą na czas z pomocą?

U sędziego jednak - mimo takiego wstrząsu - musieliśmy wraz ze świadkami znaleźć się punktualnie. Wypowiedzieliśmy sakramentalną formułkę: „For better or worse” (Na dobre i złe).

Państwo Domańscy wycofali zaproszenie na obiad. Może byli tak przybici wiadomością o wojnie? A może obawiali się że u nich pozostaniemy? Byliśmy przecież odcięci od kraju i bez pieniędzy. Decyzję o przedłużeniu mi stypendium Funduszu Kultury Narodowej na rok 1939-1940 otrzymałem jeszcze wiosną. Pierwsza rata za nowy rok miała mi być wysłana w ostatnich dniach sierpnia. Dostałem nawet z Polski w pierwszych dniach września list z 29 sierpnia, że pieniądze zostały wysłane. Nigdy jednak do mnie nie dotarły.

Wszyscy nam współczuli - profesorowie, koledzy, właścicielka domu, w którym wynajęliśmy mieszkanie. Przyszła jednak na drugi dzień i zapytała, jak stoją nasze finanse. Czy będziemy mieli z czego płacić komorne? Bo jeśli nie - prosiła - powinniśmy się wyprowadzić w ciągu najbliższych dni, zanim zacznie się rok akademicki, bo ma szansę wynająć mieszkanie komu innemu na cały rok. Jeśli je opuścimy dopiero za miesiąc, może już amatora na nie nieznajdzie. Odpowiedzieliśmy, że wyprowadzimy się za kilka dni.

Już 5 września przyszła konkretna propozycja. Żyła sobie w Ithaca rodzina bardzo nietypowa. Podporą rodu była babcia Smith, wdowa lat około pięćdziesięciu. Pracowała jako prywatna pielęgniarka opiekując się niedołączną staruszką. Miała córkę Joan, bardzo piękną, ale ułomną. Joan skończyła dwadzieścia pięć lat i chodziła do szkoły dla sekretarek, aby zdobyć jakiś zawód. Nie była mężatką, miała nieślubnego syna, uroczego czteroletniego cherubinka, Normana. W skład rodziny wchodził jeszcze Baron, wieczny narzeczony Joan, mężczyzna już dobrze po pięćdziesiątce, malarz pokojowy i nałogowy pijak. Ponieważ Joan chodziła do szkoły, potrzebna była opieka nad Normim. Babcia zaproponowała, abyśmy się do nich sprowadzili, dostaniemy pokój, a za opiekę nad Normim żona dostanie także całodzienne wyżywienie.

Odbyliśmy z żoną szybką naradę. Nie widzieliśmy możliwości studiów dla nas obojga. Żona zdecydowała, że ja będę dalej studiował, a ona poszuka sobie pracy. Wyprowadziliśmy się z Highland Place, a właścicielka domu odetchnęła. Dostaliśmy małe pokoiki u p. Smith. Mr. Kerr, opiekun studentów cudzoziemskich, zaproponował mi posadę pomocnika woźnego w Cosmopolitan Club. Za zamiatanie i sprzątanie, które wykonywałem wieczorem, dostałem pełne utrzymanie. Oświadczyliśmy dr Heinicke, że żona niestety nie może rozpocząć studiów, a ja będę je kontynuował. Uniwersytet zwolnił mnie z czeskiego. Tak więc mieliśmy mieszkanie i wikt, a że nie zarabialiśmy jeszcze ani grosza, by zdobyć gotówkę na bieżące wydatki, to ostatecznie jeszcze nie tragedia.

Wolny czas spędzaliśmy przy radiu, słuchając komunikatów z wojny, która objęła Polskę od zachodu, północy i południa. Czekaliśmy długie, trzy dni, ale wreszcie Anglia i Francja wypowiedziały wojnę Niemcom. Wysłuchana została nasza modlitwa „O wojnę powszechną za wolność ludów prosimy Cię Panie”. Nawet przez głowę nie przeszła nam myśl, że Hitler może zwyciężyć, mając przeciw sobie Anglię i Francję. Z dnia na dzień czekaliśmy na komunikat, że wreszcie alianci zbombardują Berlin, że zrzucą na spadochronach na ziemie polskie najlepsze

swe siły, by wraz z wojskiem polskim przeciwstawić się germańskiemu zalewowi. Nic takiego się nie stało. Polska walczyła sama.

Radio i prasa tutejsza wojnę w Polsce przedstawiała trochę tak, jak wojnę uzbrojonych konkwistadorów hiszpańskich ze stukrotnie ich przewyższającymi zastępami dzikich Indian. Oto zmotoryzowana armia niemiecka przejechała przez polską kawalerię, a lotnictwo hitlerowskie sparaliżowało życie w kraju już pierwszego dnia wojny. Baliśmy się o nasze rodziny. Żona była jedynaczką, zostawiła w Warszawie matkę i ojczyma. Moja rodzina była liczna. Co się z nimi wszystkimi stanie? Kiedy otrzymamy jakieś wieści od tych, co przeżyli?

Dr Smock poradził mi, abym nie przerywając pracy doktorskiej zrobił jednak magisterium, bo przecież nie wiadomo jak się potoczą nasze losy. Tematem pracy doktorskiej były studia nad transpiracją jabłek w chłodni. Miałem już zebraną i opracowaną literaturę. Dr Smock zaproponował, abym to właśnie studium nad literaturą przedstawił jako pracę magisterską. W Polsce podstawą pracy magisterskiej musi być wykonanie własnych doświadczeń. W Ameryce może się ona opierać na opracowaniu literatury problemu.

Planowałem zdanie egzaminu magisterskiego w październiku. Musiałem jednak zdać przedtem egzamin z drugiego języka obcego, z niemieckiego. Moim egzaminatorem miał być nie znany mi dr Hans Platenius, profesor warzywnictwa. Jeszcze Niemiec, czy już Amerykanin? Dowiedziałem się, że urodził się w Niemczech, a gdy był chłopcem, rodzice wyemigrowali do Ameryki. Wszedłem na salkę egzaminacyjną. Dr Platenius dał mi czasopismo niemieckie „Gartenbauwissenschaft” (nauka ogrodnicza) i poprosił o przetłumaczenie początku jednego z artykułów na angielski. Potem zatrzymał się, popatrzył na mnie przez dłuższą chwilę i powiedział: „A teraz jeszcze jedno zdanie, nie musisz go tłumaczyć, ale dobrze je zapamiętaj”. Poszedł do tablicy zajmującej całą ścianę i napisał na niej bardzo dużymi literami: „NOCH IST POLEN NICHT VERLOREN.”

„Jeszcze Polska nie zginęła.” Nie wstydziłem się, że gwałtowne łzy nie pozwoliły mi nic powiedzieć. Dr Platenius ujął moją dłoń w obie swoje ręce i uścisnął ją mocno, bardzo mocno.

Pierwsze pieniądze na osobiste wydatki zarobiłem w Ameryce na znajomości języka rosyjskiego, a była to znajomość prawie żadna. Wiadomo, że w szkołach nas tego języka nie uczono. Jeszcze w gimnazjum kupiłem sobie jednak samouczek rosyjskiego i przewertowałem go, by przynajmniej móc czytać w tym języku. Zaglądałem do niego w czasie studiów uniwersyteckich, ale dość rzadko.

W końcu września przyszedł do mnie botanik dr Lawrence, przyniósł opublikowany po rosyjsku botaniczny klucz do rodzaju *Allium* (cebula) i poprosił, abym go przetłumaczył. Odpowiedziałem, że rosyjskiego nie znam, a on na to, że przecież rosyjski i polski to wszystko jedno, języki słowiańskie, bliskie, a on za przetłumaczenie zapłaci 50 dolarów. A jeśli tak, to co innego. Tłumaczenie klucza jest proste, zawiera on bardzo niewiele wyrazów, które się ciągle powtarzają. Sięgnęliśmy wraz z żoną po samouczek i po słownik i w tydzień skończyliśmy tłumaczenie. Były to pierwsze zarobione pieniądze, a w tym czasie nie były jakie.

Następne pieniądze zarobiłem też w październiku, tym razem jako kaznodzieja. Przeszedł do mnie pastor i zaproponował, abym w jego kościele wygłosił pogadankę o Polsce, którą się teraz wszyscy interesują, a pogadanka jest płatna, dziesięć dolarów.

Moja pogadanka czy też moje kazanie widocznie się podobało, bo zapraszano mnie jeszcze kilka czy kilkanaście razy do innych kościołów w Ithaca i w okolicy przez całą jesień i zimę.

Późną wiosną, gdy Hitler zaatakował zachodnią Europę, społeczeństwo amerykańskie przestało się interesować Polską. Skończyły się moje „kazania”.

W listopadzie dostałem zasiłek z Fundacji Kościuszkowskiej w kwocie 500 dolarów. Wiele to wtedy znaczyło. Stanęliśmy pewniej na nogach. Mogliśmy wtedy kupić konieczne do moich studiów książki, garderobę potrzebną na zimę. Po zdaniu egzaminu i przyjęciu pracy dyplomowej dostałem stopień magistra w zakresie sadownictwa. Długie godziny spędzałem w laboratorium i w chłodni wykonując doświadczenia nad transpiracją jabłek, które to doświadczenia miały stanowić treść mej pracy doktorskiej.

Jeśli chodzi o wykłady i ćwiczenia, to w tym roku brałem już tylko te, które przeznaczone były dla doktorantów. Brało w nich udział niewielu tylko studentów. Moim głównym przedmiotem było sadownictwo, a pierwszym dodatkowym fizjologia roślin. Uważało się jednak, że fizjologia roślin jest najważniejszym przedmiotem teoretycznym, poświęcało się na nią najwięcej czasu, a doktoranta sądziło się po jego postępkach w tym właśnie przedmiocie.

Dwóch profesorów wykladało fizjologię roślin dla zaawansowanych, a mianowicie Knudson i Curtis. Najważniejsze jednak były nie wykłady lecz ćwiczenia. Odbywały się cztery razy w tygodniu po cztery godziny dziennie. Doktoranci pracowali parami, stanowiłem ją z Bilem Childsem, niewysokim trochę starszym ode mnie, pochodzącym ze stanu Zachodnia Wirginia, dobrym kolegą, żywym jak skra, zdolnym. Ćwiczenia prowadził profesor Clark, mający pewnie ze dwa metry wzrostu. Od początku nasza para okazała się najlepsza w pracowni, toteż Clark spędzał z nami wiele czasu na dyskusjach. Doświadczenia musieliśmy opracowywać co kilka tygodni. Takie opracowania miały po 30 do 50 stron maszynopisu.

Późną jesienią zostałem przyjęty do towarzystwa Sigma Xi. Jest to towarzystwo uniwersyteckie, do którego przyjmuje się najlepszych doktorantów. Przynależność do niego jest swego rodzaju odznaczeniem, uznaniem przez profesurę.

Święta spędziliśmy spokojnie, ale daleko nam było do radości. Nie mieliśmy żadnych wiadomości od naszych rodzin. Ostatniego dnia grudnia zmieniła się nagle nasza sytuacja. Staruszka, którą opiekowała się p. Smith, zmarła, pani Smith straciła posadę, wróciła do domu i mogła zająć się Normim. My staliśmy się niepotrzebni, musieliśmy się wyprowadzić tego samego dnia.

Jednak z początkiem nowego roku zaszła poprawa w naszej sytuacji. Ponieważ miałem wysokie oceny ze wszystkich przedmiotów za pierwszy semestr, na drugi semestr dostałem stypendium uniwersyteckie w kwocie czterystu dolarów. Żona w międzyczasie bardzo poprawiła swoją angielszczyznę, głównie dlatego, że przez cały boży dzień musiała rozmawiać z Normim i czytać mu książki dla dzieci. Jeden z profesorów w katedrze ekonomiki rolnej zaproponował jej pracę. Miała objąć stanowisko „Land use agent” czyli referenta użytkowania ziemi. Na maszynach biurowych znała się doskonale, umiała szybko i biegle pisać. Przyjęła tę pracę i utrzymała ją do końca naszego pobytu w Ithaca, to znaczy do maja 1942 r. Płaca nie była wysoka, ale wśród ludzi miłych, kulturalnych i przyjaznych.

Wczesną wiosną dostałem dwie zleczone prace zarobkowe. Dr Heinicke prowadził badania nad fotosyntezą całych dużych, zamkniętych w szklanych klatkach, jabłoni. Trzeba było trzy razy dziennie iść do sadu, pobierać próbki powietrza i oznaczać w nich zawartość dwutlenku węgla. Drugą pracę dał mi młody fizjolog, dr John Shafer, który pracował nad fizjologią bujności mieszkańców kukurydzy. Żona pomagała mi przy obu tych pracach. Łączne nasze zarobki sięgały więc 200 dolarów miesięcznie, a to nie było na owe czasy mało.

Mogliśmy myśleć o wynajęciu samodzielnego mieszkania. Znaleźliśmy je pod nr 312 na College Avenue u staruszki nazwiskiem Freeman. Mieszkanie było umeblowane, składało się z dwóch pokoi i kuchni. Stanowiło mansardę nad pierwszym piętrem. Mieszkaliśmy tam aż do czasu opuszczenia Ithaca.

Staraliśmy się oczywiście żyć jak najoszczędniej, bo przecież trwała wojna, a my nie znaliśmy dnia ani godziny. W pierwszych miesiącach kupowaliśmy chleb w sklepie, gdzie sprzedawano bochenki nie sprzedane wczoraj. Kosztowały pięć centów zamiast jedenastu. Na wydziale drobiarstwa naszego Uniwersytetu sprzedawano jajka - stłuczki, również za pół ceny. W mleko wszyscy doktoranci zaopatrywali się po cenie o połowę niższej niż w sklepie na Wydziale Mleczarstwa. W związku z tym zdarzyła mi się śmieszna historia.

Zużywaliśmy po dwie kwarty mleka dziennie. Kupiłem przeto dwukwartową bańkę i z nią chodziłem po mleko. Zauważyłem, że inni doktoranci przychodzą po dwie kwarty mleka z bańkami mającymi pojemność czterech kwart. Podawali bańkę, prosili o dwie kwarty, a dyżurny student, który mleko rozlewał, nalewał bez mierzenia, nie pełno wprawdzie, ale zawsze około trzech kwart. Wobec tego i ja sprawiłem sobie galonową bańkę. Prosiłem zawsze i płaciłem za dwie kwarty, a dostawałem trzy lub więcej. „Aha - myślę sobie - a co będzie, jeśli poproszę o jedną kwartę? Czy też należy mi ponad trzy kwarty?” Następnego dnia poprosiłem o jedną kwartę. Dyżurny spojrzał na mnie, uśmiechnął się i odmierzył dokładnie jedną kwartę, ani uncji więcej. Zrozumiałem nauczkę. Od tej pory prosiłem zawsze o dwie kwarty, a dostawałem trzy.

Na Wielkanoc, Scotty Potaczała zaproponował nam wyjazd do Niagara Falls do swoich rodziców. Ponieważ żona jeszcze nie widziała wodospadu, przyjęliśmy jego propozycję, chociaż nie bardzo dowierzaaliśmy wehikułowi, który Scotty kupił zeszłego roku za 20 dolarów. Ale dojechaliśmy aż do samego domu, w którym mieszkali Potaczałowie, a tu się samochód po prostu rozpadł. Nie było mowy o tym, aby go naprawić. Nie martwiliśmy się tym zbytnio. Wróciliśmy autostopem.

Na drugi dzień poszliśmy we troje nad wodospad. Obejrzelśmy go od strony amerykańskiej i postanowiliśmy przejść przez most, aby podziwiać go od strony kanadyjskiej. Pamiętałem jednak, że to czas wojny. Zapytałem stojącego z tej strony mostu strażnika amerykańskiego, czy możemy przejść przez most i czy nie będziemy mieli trudności z powrotem wkraczając na terytorium USA. Strażnik wziął nasze paszporty, sprawdził, czy mamy ważne wizy i powiedział, że wszystko jest w porządku, możemy iść.

Poszliśmy tedy i dotarliśmy do strażnika kanadyjskiego, mocno starszego już pana stojącego z drugiej strony mostu, powiedzieliśmy mu, co i jak, kim jesteśmy, że mamy ważne wizy amerykańskie, chcemy tylko popatrzeć na wodospad z tej strony i zaraz wrócić. Strażnik wziął do ręki nasze paszporty i zaczął nam zadawać najróżniejsze pytania, a co, a jak, po co akurat Niagarę chcemy obejrzeć, czy nie ma więcej cudów w świecie, a dlaczego jest nas akurat troje, a czy na pewno nie mamy w Kanadzie żadnych krewnych ani przyjaciół.

Na ogół trudno mnie wyprowadzić z równowagi, ale tym razem miałem tego dosyć. Mówię więc, że jeśli chce nas wpuścić, to będziemy wdzięczni, a jeśli nie, to niech powie od razu, nie zadaje głupich pytań i odda paszporty. Na to on spokojnie odpowiada, że musi takie pytania zadać, bo jesteśmy „enemy alliens” obywatele kraju nieprzyjacielskiego, a jego kraj jest w wojnie z naszym. Zatkalo mnie. „Co Pan przez to rozumie?” „Ano, Polska jest zajęta przez Niemców, jest częścią Niemiec, a my jesteśmy w stanie wojny z Niemcami.”

To zabolalo gorzej niz policzek. Zdenerwowałem się, choć niełatwo wyprowadzić mnie z równowagi: „To Hell with you and your lousy Canada!” (Do diabła z Panem i z Pańską wszawą Kanadą!) „Dawaj Pan paszporty, wracamy!” Tym razem on aż podskoczył, bo słowo „lousy” jest jednym z najbardziej obraźliwych. „Tak? Obraził Pan mój kraj! Będą Państwo deportowani do USA.” Zawołał dwóch młodych strażników z karabinami w ręku, zaprowadził nas do swego biura i długo, długo wypisywał papiery deportacyjne. Wręczył je nam, a następnie zostaliśmy przez strażników z karabinami odprowadzeni przez cały most i oddani w ręce amerykańskiego strażnika. Jeszcze drżałem z oburzenia. Polska częścią Niemiec! My zaś obywatelami wrogiego państwa!

Amerykański strażnik wysłuchał mego opowiadania, był oburzony, bardzo nam współczuł. Spytał, gdzie mam papiery deportacyjne. Odpowiedziałem zgodnie z prawdą, że jeszcze w oczach tamtego strażnika podarłem je ostentacyjnie i wrzuciłem do rzeki. Nawet nie pomyślałem wtedy, co znaczy deportacja, znaczy ona, że nigdy już nie będziemy mogli dostać wizy do kraju, z którego zostaliśmy deportowani. Dlatego sprawa ta nie zakończyła się, miała jeszcze dalszy, pomyślny zresztą przebieg w roku przyszłym. W dniu powrotu kupiłem żonie bilet na autobus do Ithaca, a my dwaj ustawiliśmy się przy ruchliwej drodze i czekaliśmy, aż nas ktoś zabierze. Ponieważ nikt się nie zatrzymywał, rozdzieliliśmy się, słusznie uważając, że pojedynczy autostopowicz ma więcej szansy na zabranie. I rzeczywiście.

Pierwsze wieści od naszych rodzin w Polsce otrzymaliśmy wiosną. Były to karty pocztowe, zawierające niewiele treści, prawdę mówiąc niewiele ponad to, że wszyscy żyją i są zdrowi. Na szczęście nikt z najbliższych nie zginął.

W moim Uniwersytecie skończył się rok akademicki. Ze względu na bardzo dobre wyniki w studiach otrzymałem na następny rok stypendium Strong-Denisena wynoszące tysiąc dolarów. Wraz z pensją żony oraz pracami zleconymi od dr Heinicke i dr Shafera mieliśmy zapewnione dobre warunki materialne. W czasie wakacji nigdzie nie wyjeżdżaliśmy, pracowaliśmy długie godziny.

Z Polski nadchodziły urywkowe tylko, ale coraz gorsze wieści. Terror niemiecki zwiększał się. Wojsko polskie przygotowywało się do walki w Anglii. Część jego przebywała w Palestynie i w Egipcie i walczyła już z Włochami władającymi Libią. Doszła do mnie wieść, że w Kanadzie formują się polskie oddziały. Cóż mam uczynić? Czy kontynuować studia, czy zgłosić się na do polskich oddziałów? Muszę przyznać, że nie pałałem chęcią wstąpienia do wojska, że wolałbym pozostać tu i studiować dalej. Napisałem więc do polskiego Konsulatu prosząc o radę i zgłaszając swoją gotowość wyjazdu do punktu werbunkowego w Kanadzie.

Odpisano mi, żebym pozostał na miejscu. Gdybym był oficerem w rezerwie, to inna sprawa, byłbym bardzo przydatny. Z moją kategorią C nie przedstawiałem zbytnej wartości z wojskowego punktu widzenia. Konsul wyjaśnił, że przecież po wojnie kraj będzie potrzebował dobrze przygotowanych pracowników nauki, gdyż niewielu profesorów pozostających w Polsce wojnę tę przeżyje. Nie uspokoiło to w całości mego sumienia. Wiele razy przychodziło mi na myśl, że moi rodacy walczą i giną, a ja siedzę tu bezpiecznie, w dobrobycie, i nic dla swego kraju nie robię.

## Trzeci rok studiów

Tak więc kontynuowałem studia. Braлиśmy coraz żywszy udział w życiu Uniwersytetu, poznając bardzo ciekawego człowieka dr Liberty Hyde Bailey`a.

Dr Bailey miał pewnie ze 65 lat. Mawiał, że człowiek winien uczyć się przez pierwsze 25 lat swego życia, potem uczyć innych przez drugie 25 lat, czy też pracować, a ostatnie 25 lat zostawić dla swoich przyjemności. Bardzo młodo zasłynął jako wybitny uczony - sadownik, a raczej ogrodnik, pracował jako profesor w Uniwersytecie Cornella do 50-go roku życia. Wtedy, zgodnie ze swoją dewizą, zrezygnował z pracy profesorskiej i poświęcił się wyłącznie przyjemnościom. Zorganizował w Ithaca tak zwane Bailey`s Hortorium, coś w rodzaju arboretum czy ogrodu botanicznego. A poza tym intensywnie pisał książki, wydając mniej więcej jedną na rok. Jego czterotomową Cyclopedia of Horticulture „Encyklopedia Ogrodnicza”, którą mi ofiarował, dotychczas uważam za jedną z najcenniejszych pozycji w swojej bibliotece. Prawie sześć miesięcy co roku spędzał na wyprawach botanicznych, przeważnie w południowo amerykańskich Andach. Brał udział w wysokogórskich wycieczkach jeszcze w wieku lat 80, umarł mając lat 94.

Dr Bailey nie miał żadnych wykładów, ale w każdy czwartek wieczorem przychodził do Willard Straight Hall - studenckiego domu kultury - na godzinę i przy płonącym kominku czytał poezję. Obdarzony był wspaniałym aktorskim głosem. Prawdę mówiąc niewielu miał słuchaczy. Kiedy dowiedzieliśmy się o jego wieczorach, nie opuściliśmy ani jednego. Siadaliśmy blisko, aby lepiej słyszeć. Zdawaliśmy sobie sprawę z tego, że nasza angielszczyzna daleka jest od doskonałości.

Dr Bailey zauważył, że byliśmy najwierniejszymi słuchaczami. Pewnego wieczora zagadnął nas i od tego czasu wiele razy zapraszał nas do siebie. Oprócz „Encyklopedii Ogrodnictwa” obdarował nas wieloma innymi wspaniałymi książkami.

Jesienią tego roku przeżywaliśmy nie lada emocje w związku z wizą mej żony. Przyjeżdżając do Stanów Zjednoczonych dostała tak samo jak ja, wizę studencką, ważną na rok. Po roku po przedstawieniu zaświadczenia, że studiuje, można ją było przedłużyć na dalszy rok, ale żona poszła do pracy, zamiast na studia. Kiedy więc w końcu sierpnia wysłała do Waszyngtonu paszport z prośbą o przedłużenie wizy, odesłano go z powrotem. Wyjaśniono, że wiza studencka nie może być przedłużona.

W parę tygodni potem przyjechała komisja trójosobowa do Ithaca i poproszono nas oboje. Wyjaśniono nam, dlaczego wiza żony nie może być przedłużona. Zapytaliśmy więc, czy nie można by wizy studenckiej zmienić na zwykłą, pobytową. Odpowiedziano, że owszem, takiej zmiany mógłby dokonać każdy konsul amerykański, ale jak wiadomo, w Ameryce nie ma konsulatów amerykańskich, są one tylko za granicą. Prawodawstwo tutejsze nie przewiduje żadnej możliwości dokonania takiej zmiany przez jakikolwiek urząd na terenie kraju.

- To co mam robić - pyta żona.
- Niech Pani wraca do Polski.
- Przecież Pan wie, że nie mogę.
- To będziemy panią deportować.

Przewodniczący Komisji sam w to oczywiście nie wierzył, co mówił, bo deportacja mogłaby się odbyć chyba tylko przy pomocy spadochronu z samolotu, a transatlantyckich samolotów jeszcze wtedy nie znano.

Komisja wróciła do Waszyngtonu, a żona nielegalnie bez ważnej wizy, pozostawała w Ithaca i pracowała na etacie rządu federalnego. Pewnie w dwa miesiące później przyjechała inna komisja, znacznie liczniejsza. Zaproszono nas oboje. Wezwano winną do natychmiastowego opuszczenia Stanów Zjednoczonych i powrotu do Polski. Powtórzyła się ta sama wymiana zdań, jak z pierwszą komisją. Zapadła chwila milczenia, potem przewodniczący komisji wstał i uroczyście poinformował nas, że przypominano sobie prawo, nie pamiętam już z początku XVIII czy XIX wieku, regulujące tego rodzaju przypadki. Jeśli w kraju znajduje się nielegalnie jakiś cudzoziemiec, a nie da się go deportować, to można go oddać, no niezupełnie w niewolę, ale pod nadzór jakiegoś prawnego rezydenta Stanów Zjednoczonych. Rezydowałem tu legalnie, a zatem tę nielegalnie przebywającą osobę można oddać pod mój nadzór.

Przewodniczący podał nam zobowiązanie, które żona miała podpisać. A zobowiązywała się do codziennego meldowania u mnie, nie oddalania się bez mojego pozwolenia, dalej niż pięć mil, nie wydawania więcej niż jednego dolara, a jeśli to za moim pozwoleniem. Wiele tam było innych uprawnień przekazanych mi przez komisję. Na pewno żaden mąż nie miał nad żoną takiej władzy w historii nowożytnej. Czytając podane nam zobowiązania nie mogliśmy powstrzymać się od szybko zdławionego śmiechu. Przewodniczący spojrzał na nas urażony. „Młodzi ludzie - powiedział - zwracam Wam uwagę, że śmiejecie się z praw Stanów Zjednoczonych, które starają się Wam pomóc w trudnej sytuacji.” Przeprosiliśmy i podziękowaliśmy za okazywaną nam przychylność. Rozstaliśmy się na przyjaznej stopie.

Jesienią 1940 r. przybył do Ithaca jeszcze jeden naukowiec z Polski, młody biochemik, docent SGGW, Michał L. Udało mu się uciec z Francji z części pozostającej pod rządami Vichy. Dostał bardzo skromniutkie stypendium z Fundacji Rockefellera i zaczął pracować w Uniwersytecie Cornella. Jako zasiedzieli już znawcy tutejszych stosunków pomagaliśmy mu, w czym mogliśmy. Namówiliśmy go, aby u nas jadł obiady, bo to i taniej, i zdrowiej. Mieliśmy z tego powodu dużo kłopotu, bo nigdy nie przychodził na czas, a my oboje z żoną byliśmy i jesteśmy pewnie przewrażliwieni w sprawach punktualności.

Doc. L. Przebywał w Uniwersytecie Cornella prawie przez rok, a potem dostał dobrą pracę na uniwersytecie stanu Wisconsin w Madison. Po wojnie do Polski nie wrócił, bo przecież wykluczone, aby mógł tam znaleźć dobrze wyposażone laboratorium do swej pracy. Sprowadził do siebie żonę z Polski i syna.

Jeśli chodzi o moją pracę doktorską, to posunęła się naprzód. Uczyłem się coraz więcej dodatkowych przedmiotów, które, jak sądziłem, przydadzą mi się później w pracy sadowniczej. Szczególnie dużo czasu poświęciłem na studiowanie ochrony sadów przed szkodnikami i chorobami. Najwięcej chyba korzystałem ze studiów nad fitopatologią. Katedrą fitopatologii kierował wówczas dr Whetzel. Chętnie chodziłem też na wykłady Millsa, który stworzył podstawy teoretyczne pod praktyczną ochronę sadów przed parchem jabłoniowym. Szybki postęp w powojennym polskim sadownictwie w rejonie grójeckim zaczął się od chwili, gdy sadownicy nasi zrozumieli tak zwaną Tabelę Millsa, określającą stosunki między temperaturą i wilgotnością powietrza, a kiełkowaniem zarodników parcha jabłoniowego.

Pierwszy raz w ciągu wakacji, latem 1941 r., pozwoliliśmy sobie na wzięcie dwutygodniowego urlopu. Pojechaliśmy nad jezioro Lake Placid w północnych rejonach stanu New York. Jezioro leży wśród niewysokich gór otoczonych pięknymi, przeważnie szpilkowymi lasami.

Wróciliśmy w końcu sierpnia pełni sił, bo we wrześniu zaczynał się nowy rok akademicki. Miał to być ostatni rok moich studiów. Wykańczałem swe doświadczenia, w pierwszych mie-

siącach przyszłego roku chciałem przystąpić do pisania pracy doktorskiej tak, aby w maju zdać ostatnie egzaminy i uzyskać stopień doktora.

Na trwałe zakończyły się kłopoty wizowe mej żony. Pojechała więc żona do Niagara Falls, przeszła przez Tęczowy Most, poszła do Konsulatu Amerykańskiego, który się tam znajduje i dostała wizę na pobyt stały uprawniający do pracy, a także do uzyskania amerykańskiego obywatelstwa. Obejrzała przy okazji wodospad ze strony Kanadyjskiej i wróciła do Ithaca.



## Ameryka przystępuje do wojny

W niedzielę dnia 7 grudnia rano nastawiliśmy radio. Wiedzieliśmy już, że załamała się ofensywa niemiecka pod Moskwą, że opór Armii Czerwonej tężeje z każdym dniem. Co nowego powiedzą dzisiejsi komentatorzy o froncie wschodnim?

Tymczasem radio nie zaczęło od wiadomości z Europy. Oto stało się coś potwornego. Japończycy w porcie Pearl Harbor w Honolulu, na Wyspach Hawajskich, zaatakowali dzisiejszej nocy z powietrza wojenną flotę amerykańską i zatopili jej większą część. Wcześniej jeszcze zaatakowali lotnisko i zmiotli z powierzchni ziemi wszystkie amerykańskie samoloty.

Teraz już nie było dla nas żadnej wątpliwości, że to wojna naprawdę światowa, że Hitler zostanie zgnieciony, skoro oprócz Anglii i Związku Radzieckiego będzie miał przeciw sobie Amerykę. Zbyt dobrze poznaliśmy ten kraj, jego potęgę i niezmierzone zasoby, by wątpić choćby przez chwilę, że Ameryka przeważy skalę wojny. Trudno nam było zachować spokój wobec naszych amerykańskich przyjaciół. Oni byli oszołomieni, oburzeni, głęboko zmartwieni. Musieliśmy się dobrze maskować, by nie zauważyli naszej radości. Na razie była to nie wypowiedziana wojna z Japonią, ale już w tydzień później Niemcy i Włochy wypowiedziały wojnę Ameryce.

Święta, jeśli można tak powiedzieć, spędziliśmy radośnie. Były to pierwsze Święta i pierwszy Nowy Rok, kiedy mogliśmy sobie z pełnym przekonaniem powiedzieć, że zbliża się nieuchronnie klęska Niemiec.

Podziwialiśmy Amerykanów, jak na serio przystąpili do przestawienia ekonomiki pokojowej na wojenną. Zaprzestali zupełnie lub prawie zupełnie produkcji urządzeń i maszyn służących wewnętrznemu spożyciu, jak np. samochody osobowe, radia, lodówki i pralki elektryczne. Wprowadzili kartki na benzynę i inne produkty naftowe oraz na niektóre artykuły żywnościowe, jak mięso i masło. Do tego czasu pracowało w Ameryce mało kobiet. Pracowały najczęściej do zamążpójścia, a potem zajmowały się domem i dziećmi. Teraz gwałtownie rozbudowujący się przemysł przechodzący na pracę dwuzmianową, a nawet trójzmiczną, potrzebował ludzi. Entuzjastycznie zostało podjęte hasło - kobiety do pracy.

Wszystko dla zwycięstwa. Dotyczyło to nawet ogrodnictwa. Amerykańskie ogrody przydomowe najczęściej nie miały grządek warzywnych. Przy każdym domu był piękny, wypieszczony trawnik a także drzewa i krzewy ozdobne, byliny, kwiaty jednoroczne. Teraz zaczęto propagować „Victory Gardens”, czyli ogrody zwycięstwa, uprawiać tam warzywa i rośliny jagodowe. Wprawdzie Ameryka produkowała dość żywności, dość mięsa, masła, owoców i warzyw, ale teraz trzeba było produkcję zwiększyć, a spożycie wewnętrzne ograniczyć, aby nadwyżki wysłać aliantom. W ogólnym ferworze i ja wydałem broszurkę „Ogród Zwycięstwa”, wydrukowaną przez pismo „Ameryka-Echo” dla Polonii Amerykańskiej. Treści jej bardziej odpowiadałby tytuł „Ogród Przydomowy”, ale trzeba było trzymać się powszechnie przyjętych założeń.

Amerykanie gwałtownie rozbudowywali swą armię. Wydali ustawę o powszechnym obowiązku wojskowym. Początkowo lekarze wojskowi byli bardzo rygorystyczni i kwalifikowali tylko mężczyzn, którzy byli okazami zdrowia i tężyzny fizycznej. Potem obniżyli te wymagania. Opowiadano anegdotę o młodym człowieku, na którego lekarz spojrzął pobieżnie i powiedział - zdatny.

- Ale panie doktorze - mówi młody człowiek - Pan nie badał moich oczu.

- My je tylko liczymy, to wystarczy - padła odpowiedź.

W pierwszych miesiącach 1942 r. zacząłem rozglądać się za stałą pracą, bo nic nie stało na przeszkodzie, abym mógł zdobyć doktorat w początku maja. Ponieważ częściowe rezul-

taty mojej pracy doktorskiej przedstawiłem ubiegłej jesieni na dorocznym zjeździe Amerykańskiego Towarzystwa Nauk Ogrodniczych, spodziewałem się, że dostanę jakieś oferty. Zawsze na takie zjazdy przyjeżdżali kierownicy katedr Ogrodnictwa z tych uniwersytetów, które miały wolne etaty i przyglądali się młodym ludziom, doktorantom, którzy kończyli swe studia.

W taki sposób dostałem i ja dwie oferty, jedną z uniwersytetu stanu Kalifornia w Davis, a drugą z uniwersytetu stanu Rhode Island, który jeszcze wtedy nosił nazwę Rhode Island State College. Zdecydowałem się przyjąć kalifornijską ofertę, ponieważ pracowałem tam nad sprawami chłodnictwa jabłek sławny dr Pentzer, którego znałem i bardzo ceniłem. W lutym 1942 r. wyszła jednak w Kalifornii ustawa zabraniająca zatrudniania obcokrajowców, a zatem sprawa upadła.

Zdecydowałem się wobec tego przyjąć drugą ofertę. Stan Rhode Island leży nad Atlantykiem między Nowym Jorkiem i Bostonem. Jest to najmniejszy ze wszystkich stanów, ale bardzo bogaty. Stolica stanu, Providence, jest amerykańskim centrum złotnictwa i obróbki szlachetnych kamieni. Rozbudował się też w Rhode Island przemysł okrętowy i tekstylny. Rolnictwo natomiast nie miało zbyt wielkiego znaczenia. Rhode Island był najbardziej zalesionym stanem, bo lasy zajmowały 60% jego powierzchni. Ze względu na to jednak, że stan bogaty, ogrodnictwo zajmowało w nim poczesne miejsce, na pierwszym miejscu ogrodnictwo ozdobne, na drugim sadownictwo.

Uniwersytet stanu Rhode Island mieścił się w małej wiosce Kingston, około 45 km od Providence. Kierownikiem Katedry Ogrodnictwa był sadownik, dr Everett P. Christopher, starszy ode mnie o około dziesięć lat. Doktoryzował się w Uniwersytecie Cornella.

Dr Christopher poznał mnie na wspomnianym jesiennym Zjeździe Amerykańskiego Towarzystwa Nauk Ogrodniczych. Napisał potem do dr Smocka prosząc go o wydanie o mnie poufnej opinii. Widocznie opinia była pozytywna, bo dostałem od niego bezpośrednio list, w którym zapraszał mnie i żonę, abyśmy przyjechali do Kingston podczas przerwy. Jego Katedra pokryje koszty podróży tam i z powrotem.

Zwykle zapraszano kandydata wraz z żoną, chociaż tylko on miał być zatrudniony. Kiedy spytałem, dlaczego tak się robi, odpowiedziano mi znanym przysłowiem: „Your wife can make you or break you”, twoja żona może zrobić z ciebie człowieka albo cię zniszczyć.

Kingston okazał się rzeczywiście niewielką wioską, położoną na równinie, zaledwie 9 km od Oceanu. Uniwersytet był nieduży, miał około trzech tysięcy studentów, ale teraz wielu młodych mężczyzn poszło do wojska. Dr Christopher był bardzo miłym, cichym i skromnym, niewysokiego wzrostu człowiekiem. Po wstępnej rozmowie udaliśmy się do dr Campbella, dziekana Wydziału Rolnego, a potem zostaliśmy z żoną zaproszeni do domu na obiad. Tam poznaliśmy jego żonę oraz dwie córki w wieku dwóch i czterech lat.

Tuż za budynkiem, zwanym Walburn Hall, mieszczącym Katedrę Ogrodnictwa, zwiedziliśmy sad. Był stary, niewielki, pewnie pięciohektarowy. Przeznaczono go do wycięcia, ponieważ na jego terenie miał się rozbudowywać Uniwersytet. Kilka lat temu kupiono jednak gospodarstwo East Farm położone w odległości około 2 km, gdzie dr Christopher posadził sad brzoskwinowy, jabłoniowy i gruszowy. Drzewa miały po 4 czy 5 lat i zaczęły już owocować. Stary budynek zaadoptowano na laboratorium - tu miało być moje miejsce pracy. Otrzymałem stanowisko „Instructor in Pomology”, odpowiadające w Polsce adiunktowi z pensją 2400 dolarów rocznie. Ofertę przyjęliśmy. Uniwersytet nam się podobał, dr Christopher z miejsca ujął nasze serca, a pensja na te czasy była przeciętna. Pracownicy naukowcy na uniwersytetach amerykańskich nie mają ustalonej płacy, każdorazowo jest ona ustalana z prezydentem uniwersytetu. Profesor żąda

jak najwięcej, a prezydent chce dać jak najmniej, nie może jednak dać zbyt mało, bo obawia się, że inny uniwersytet kandydata podkupi. Lepszy, zdolniejszy naukowiec ma wyższe uposażenia niż ich koledzy z takim samym wykształceniem i stażem, bo mają większe możliwości pracy gdzie indziej.

Wróciliśmy do Ithaca. Praca doktorska została pozytywnie oceniona przez dr Smocka. Zdałem egzamin przed trójosobową komisją, składającą się z promotora i dwóch przedstawicieli przedmiotów dodatkowych, fizjologii roślin i hodowli roślin. Dnia 12 maja uzyskałem więc stopień doktora filozofii w zakresie sadownictwa. Dostałem dyplom wypisany złoconymi literami, opatrzony pieczęcią uniwersytecką, mocującą do dyplomu piękną, biało-czerwoną wstęgę.

Kolory wstęgi nie miały nic wspólnego z tym, że byłem Polakiem. Każdy amerykański uniwersytet ma swoje barwy. Tak się złożyło, że Uniwersytet Cornell ma kolory białe i czerwone. A kiedy doktor tego Uniwersytetu ubiera się na jakąś uroczystość w togę akademicką, musi założyć do tego coś w rodzaju peleryny w obowiązujących barwach. W rzadkich okolicznościach i mnie się to zdarzyło.

Tak więc przyszedł czas pożegnania. W ostatnich dniach zapraszani byliśmy na obiady przez naszych profesorów i przyjaciół.

Tacy są Amerykanie, ci w środowisku uniwersyteckim, na wsi, w małych miasteczkach. Śpieszą chętnie z pomocą, nikomu nie dadzą zginąć. Ale największy szacunek mają dla ludzi, którzy potrafią o własnych siłach wy dostać się z nieszczęść czy trudności, którzy nie przyjmują ofiarowywanej im pomocy. Z rozrzewnieniem żegnaliśmy nasz Uniwersytet Cornell, do którego tak bardzo zdążyliśmy się przywiązać.

## Pierwsze dwa lata w Kingston

W drodze do Kingston zatrzymaliśmy się przez dwa dni w New Yorku, aby zrobić zakupy. W Ithaca mieszaaliśmy w mieszkaniu umeblowanym. Gospodyni wyposażyła kuchnię nawet w lodówkę i w naczynia kuchenne. W Kingston od razu znaleźliśmy mieszkanie też z lodówką, ale meble i sprzęt kuchenny musieliśmy kupić sami. Dom był drewniany, jednopiętrowy przy ul. South Road 103. W pierwszym roku wynajęliśmy pierwsze piętro, obejmujące cztery duże pokoje, kuchnię i łazienkę. Komorne wynosiło 50 dolarów miesięcznie, czyli jedną czwartą mojej pensji. W następnym roku, gdy lokatorzy z parteru wyprowadzili się, my zajęliśmy parter o tej samej powierzchni i takim samym rozkładzie mieszkania.

Pani Christopher pomogła nam skompletować stare meble, które bardzo tanio można było nabyć na specjalnych licytacjach. Z tyłu za domem rosły chaszczki, chwasty i krzaki. Właściciel domu powiedział, że jeśli chcę, mogę je wykarczować i założyć „Ogród Zwycięstwa”, bo gleba tam próchnicza, bardzo żyzna. Czuję się tak, jakbym karczował las, ale w parę dni później miejsce pod ogród było gotowe. Za późno już było na wczesne warzywa, ale posadziłem kapustę, brokuły, posiałem słodką kukurydzę, marchew, buraki, cukinię. Oczywiście duszy widziałem już pierwsze zbiory, które na pewno byłyby wspaniałe, gdyby nie woodchucki.

Już pierwszego dnia, gdy się wybrałem z Christopherem na Wschodnią Farmę, zauważyłem, że piękne, spalone zwierzę, długie jak zajac, ale na krótkich nóżkach, przebiegło nam drogę. - Co to takiego? - zapytałem. - To woodchuck - odpowiedział Christopher - muszę dopilnować, żeby nasi robotnicy przejrżeli i zagazowali wszystkie ich nory. Zaprotekowałem oburzony. Jak można niszczyć tak piękne zwierzęta? No, no, nie protestuj. Za parę dni inaczej będziesz myślał, jak ci się woodchucki dobiorą do twego ogrodu.

Na drugi dzień po posadzeniu rozsady moich warzyw wyjrzałem przez okno, czy przez noc nie podrosła. Nie widzę jednak, żeby podrosła, a prawdę mówiąc, nie widzę jej w ogóle. Wybiegam do ogrodu, patrzę, - wszystko zjedzone. Przypomniałem sobie woodchucki. Kupiłem nową rozsadę i posadziłem, a dookoła ogrodu zbudowałem mocny, zdawało mi się, płot z chrustu. Rano wyglądam, a woodchuck siedzi sobie w środku i dojada ostatnią kapustę. Wybiegłem, ale zdążył oczywiście umknąć przez dziurę, którą wykopał pod moim płotem.

Jeszcze kilka razy dosadzałem rozsadę i wzmacniałem płot, bez rezultatu. Pożyczyłem od Christophera sztucer i zastrzeliłem jednego drania. Przyjrzałem mu się dobrze. To gryzoń, najbardziej zbliżony do naszych górskich świstaków. Toczyłem z nimi walkę przez całe lato, zakończyła się chyba remisem. Tyle samo warzyw zjadły woodchucki, co zostało dla nas.

Obok ogródka stała szopa należąca do właściciela domu. Dał mi w użytkowanie jedną jej część, gdzie założyłem wzorem tubylców hodowlę kur. Kupiłem 50 jednodniowych kurcząt, podchowałem je chyba do dwóch miesięcy i zamroziłem na zimę. Zostawiłem 6 kur, aby znosiły jaja. Nie musieliśmy się martwić, że mięsa, które dostawaliśmy na kartki, nie wystarczy. Niedaleko było do Oceanu, a tam dwie osady rybackie - Jerusalem i Galilea. Kupowaliśmy przepyszne, świeże i bardzo tanie ryby, a za rybami przepadaliśmy oboje. Równie tanio można tam było dostać i „owoce morza”: kraby, homary, krewetki, ostrygi i inne małże. Nie musieliśmy się do nich powoli przyzwyczajać, oboje z miejsca uznaliśmy, że są o wiele bardziej różnorodne w smaku i bardziej wykwintne niż mięso zwierząt, tradycyjnie przez człowieka spożywanych.

Specjalnością stanu Rhode Island były małże zwane clams, uznane za specjał nad specjami. Ale też można je było spożywać w bardzo specjalnych warunkach, gdy się zebrało najmniej

50 czy 100 amatorów. Oto sposób ich przyrządzania. Wieczorem, dnia poprzedzającego ucztę, kopało się wielki dół w ziemi i wykładało się go skałami. Na te skały nakładało się sążeń drewna, aby je rano podpalić. Paliły się te szczapy do południa. Teraz wymiatało się węgle i popiół, a na wypalone skały zwałało się samochód ciężarowy świeżych, przywiezionych z morza, morszczyków. Na morszczyki wrzucało się kilka koszy clamów, a poza tym trochę filetów z ryb, owiniętych w papier woskowany, i kolby słodkiej kukurydzy. To wszystko przykrywało się grubą warstwą morszczyków, a z wierzchu plandeką z samochodu ciężarowego.

Clamy, filety z ryb i kukurydza gotowały się w parze, która buchała od rozpalonych skał. Przechodziły wspaniałym zapachem morskich wodorostów. Kiedy wszystko było gotowe, zdejmowano plandekę, wyjmowano specjały. Uczestnicy uczyty siedzieli pod drzewami na drewnianych ławach przy prowizorycznych stołach. Każdy dostawał małą łubiankę clamów i trochę roztopionego masła w szklanym naczyniu. Jadło się bez sztućców. Chwytało się clamy rękami, otwierało muszlę i wyjmowało je palcami. Zanurzało w roztopionym maśle i niosło do ust. Kapało po brodzie roztopione masło, ale kto by zwracał na takie drobiazgi uwagę.

Jak wynika z powyższego opisu, nie można byłoby przyrządzić tylko trochę clamów, tak dla jednej rodziny. Przyrządzało się je na specjalne okazje: dwa razy do roku organizowaliśmy zjazd sadowników ze stanu Rhode Island, był on połączony z „clam bake”, czyli pieczeniem clamów. Dawało to gwarancję, że przyjdą wszyscy, z wyjątkiem obłożnie chorych. Różne kościoły, cierpiące na brak zainteresowania ze strony wiernych, też urządzały pieczenie clamów po nabożeństwie, a wtedy świątynia była przepelniona.

Pracę rozpocząłem z dniem 1 czerwca 1942 r. Nie staraliśmy się o pracę dla żony, ponieważ jesienią spodziewaliśmy się dziecka. Christopher prowadził w ostatnich latach trochę różnych doświadczeń polowych, a mianowicie nad uprawą gleby w plantacji borówki wysokiej, nad przygotowaniem gleby pod sad jabłoniowy, nad wpływem niektórych pestycydów na fotosyntezę liści jabłoni, nad zapobieganiem przedwczesnemu opadaniu jabłek jesienią. Był jednak tak zajęty administracją, że nie miał czasu na pracę badawczą. Nie był zresztą wybitnym badaczem, natomiast miał sławę dobrego dydaktyka. W latach późniejszych napisał wysoko ceniony podręcznik „Ogrodnictwo” oraz monografię o cięciu drzew owocowych.

Jako człowiek skromny przyznał, że wyliczone wyżej prace, prowadzone dotychczas przez Katedrę, nie były oryginalne. Zgodził się, że należało je zakończyć, a dalej dawał mi wolną rękę. Dr Smock jeszcze dwadzieścia lat później pisał, że moje prace nad transpiracją jabłek w chłodni uznawane są za klasyczne. Byłoby więc logiczne, abym prowadził je dalej. Do doświadczeń nad transpiracją jabłek w chłodni potrzebna była chłodnia. Na szczęście zaczęto ją budować na Farmie Wschodniej, teraz pozostały już tylko roboty wykończeniowe.

Latem korzystaliśmy z niedzieli, by zapoznać się z okolicą Kingston. Bardzo często nasi koledzy zabierali nas nad morze. Plaża była wspaniała, piaszczysta, lubiliśmy zapach morza, zapach morszczyków. Wspaniałe, długie, wysokie fale pozwalały na niezwykle przyjemną kąpiel, na wypływanie daleko od brzegu. Z zainteresowaniem penetrowaliśmy brzeg morza w czasie odpływów. Zbieraliśmy kraby, których smak z miejsca polubiliśmy. W pewnym miejscu morze tworzyło mnóstwo drobnych zatoczek zwanych słonymi stawami. Pływaliśmy po nich łódką i wybieraliśmy z dna przegrzebki. Są to małże, które posiadają gruby, silny mięsień zamykający muszlę. Wyrzuca się całe ciało przegrzebka, a zjada się tylko ten mięsień, wielkości ostatniego człona naszego kciuka. Po usmażeniu smakuje trochę tak, jak udko kurczaka, a i wygląda podobnie, bo mięsień da się podzielić na poszczególne włókna. Kto ma trudności w przyzwyczajeniu się do spożycia „owoców morza”, winien zacząć od przegrzebków.

Kingston od strony łądu otoczony był gąszczem zieleni, raczej krzakami spowitymi różnorodnymi pnączami. Znalazłem tam dużo dzikiej winorośli, obficie jesienią owocującej. Jej duże grona miały niebieskie, średniej wielkości jagody. Jesienią doskonale na soki i galaretki. Można je było jeść jako owoce deserowe, ale ich smak był specjalny, ostry, a zapach zwany „lisim”.

W Europie uprawia się tylko jeden gatunek winorośli, zwany winną lub europejską. W Ameryce jest ona uprawiana na ogromną skalę w Kalifornii. Na wschodnim wybrzeżu rośnie dziko kilkanaście gatunków rodzimej amerykańskiej winorośli. Wyhodowano z niej wiele odmian uprawnych, ale większość z nich posiada ten właśnie lisi zapach czy smak. Większość Europejczyków go nie lubi, ale myśmy łatwo się do niego przyzwyczaili.

We wschodnich stanach nie można uprawiać winorośli europejskiej, bo klimat tu zbyt wilgotny, opady wynoszą około 1500 mm rocznie. W takich warunkach winorośl europejska cierpi zbyt wiele od chorób. Natomiast doskonale udają się odmiany gatunków amerykańskich, zwłaszcza Concord, winorośl o dużych, ciemnogrnatowych jagodach. Nie nadaje się na wino, ale uprawiało się ją i dotychczas uprawia w dość dużych ilościach w stanach północno-wschodnich na spożycie deserowe i doskonałe soki. Wśród pnączy, których płatanina nie pozwalała na chodzenie po lesie, najgorszy był Horse Brier (*Smilax rotundifolia*) bo miał ogromne kolce na całej długości pędów. Na obrzeżach lasu, gdzie było więcej słońca, rósł wszędzie „Poison Ivy” to znaczy trujący bluszcz, ale nie miał on nic wspólnego z prawdziwym bluszczem. Był to gatunek sumaka - *Rhus toxicodendron*.

Kiedy my mówimy, że roślina jest trująca, mamy na myśli fakt, że człowiek może się otruć, gdy ją zje surową lub gotowaną. W Ameryce natomiast za roślinę trującą uważa się taką, której dotknięcie jest dla człowieka trujące. Jeśli weźmiemy do ręki liść czy łodygę trującego sumaka, to dopiero za kilka godzin w miejscach dotknięcia pokażą się oparzenia, wyglądające jak kurzajki, które bardzo swędzą i dokuczają. Pozostają przez kilka dni, czasami dłużej. Najgorsze jest to, że chodząc po lesie czy też przedzierając się przez krzaki, człowiek nie wie, czy zetknął się z trującym sumakiem, czy nie. Jeśli wieczorem zacznie się myć, to przeniesie truciznę z palców na resztę ciała. Najbardziej zagrożone są pachwiny i śluzówki.

Bywają ludzie tak wrażliwi na tę truciznę, że pobyt w szpitalu jest konieczny. Matki zawsze obawiają się o małe dzieci, bo starsze znają sumak i trzymają się od niego z daleka. Na szczęście okazałem się na sumak prawie zupełnie odporny.

Latem zbieraliśmy w lesie czarne jagody, zwane tu niebieskimi jagodami (Blueberries). Jest tych rodzimych jagód w Ameryce kilkanaście gatunków. Zdziwiliśmy się niezmiernie, że rosną nie na niskich krzewinkach jak u nas, lecz na wysokich krzewach dochodzących do kilku metrów wysokości. W pobliskich lasach było ich mnóstwo. Kiedy wzięło się czterolitrową butelkę, można było we dwoje nappełnić ją jagodami w godzinę.

W początku XX wieku w stanie New Jersey zaczęto prace nad uszlachetnianiem tej rośliny, której prawidłową nazwą w języku polskim jest borówka wysoka. Krzewy dzikie rodzą jagody niewielkie, trochę większe tylko od naszej czarnej jagody, czyli borówki czernicy. Różni się ona od naszej czernicy tym, że jej sok jest bezbarwny. Dzięki krzyżowaniu różnych gatunków i typów wyhodowano odmiany o owocach wielkości średniego agrestu. Na Farmie Wschodniej mieliśmy plantację najlepszych odmian borówki wysokiej. Rośnie ona tylko na bardzo kwaśnych glebach. Przejąłem opiekę nad doświadczeniem dotyczącym pielęgnowania gleby w takiej plantacji.

We wczesnych latach 60-tych wysłałem do Uniwersytetu stanu New Jersey (Rutgers University) swego młodego asystenta z SGGW, Kazimierza Pliszkę, by zapoznał się dokładnie z uprawą borówki wysokiej. Pozostał na tym Uniwersytecie przez cztery lata, zdobył doktorat. Po powrocie, pracując w SGGW pod kierunkiem prof. Rejmana stał się pionierem borówki wysokiej w Polsce. Jemu zawdzięczamy jej rozpowszechnienie nie tylko w uprawach amatorskich, ale i handlowych.

Po raz pierwszy w życiu zobaczyłem uprawę żurawiny niedaleko Kingston. Rodzima żurawina amerykańska jest wielkoowocowa. Od połowy XIX wieku zaczęto ją w Ameryce uprawiać, a jest to uprawa najbardziej skomplikowana spośród wszystkich upraw ogrodniczych. Żurawina rośnie na torfowiskach. Trzeba takie torfowisko wyrównać tak jak stół i pociąć je rowami na kilku hektarowe pola. Ponad żurawiniskiem potrzebny jest duży zbiornik wody. Kiedy żurawiny kwitną na wionę, przymrozki wiosenne mogą zwarzyć kwiaty. Jeśli radio zapowiada przymrozek, wypuszcza się ze zbiornika wodę i zalewa całe żurawinisko, a rano spuszcza się ją. Taką czynność czasem powtarza się kilkanaście razy. Zalewa się też plantację na zimę. Co kilka dni całe żurawinisko pokrywa się warstwą piasku grubości 3 cm. Bardzo skomplikowana jest walka z chwastami, szkodnikami i chorobami. Żurawiny natomiast wcale nie wymagają nawożenia. Są takie plantacje, które mają już przeszło sto lat, a nigdy nie były nawożone. Kiedy uporaliśmy się w Polsce w latach sześćdziesiątych z najważniejszymi problemami sadownictwa, zajęliśmy się sprawą aklimatyzacji wielkoowocowej żurawiny, ale nie przyniosła ona pozytywnych rezultatów.

Chodząc po lesie jesienią zauważyliśmy, że rośnie tam mnóstwo grzybów. Niektóre gatunki rozpoznaliśmy, bo były to kurki, maślaki, podgrzybki, rydze, grzyby piaskowe, koźlaki szare i czerwone, a nawet borowiki, chociaż te ostatnie wyglądają trochę inaczej niż nasze. Z miejsca zaczęliśmy je zbierać ku przerażeniu Amerykanów. Amerykanie nie zbierają grzybów w lasach, bo uważają, że wszystkie są trujące, a jadalne są tylko uprawne pieczarki. Przepowiadali rychłą naszą i nagłą śmierć, a gdy następnego dnia ze zdumieniem stwierdzali, że jeszcze żyjemy, pytali, skąd wiemy, które grzyby są jadalne, a które trujące.

Odpowiedzieliśmy wówczas, że oboje jesteśmy z wykształcenia botanikami, a zatem mamy opracowaną ściśle naukową metodę: oto idziemy pierwszego dnia do lasu i widzimy tam dziesięć różnych gatunków grzybów. Zbieramy jeden z nich i spożywamy. Albo przeżyjemy, albo nie. Po pięciu dniach mamy już pięć pewnych grzybów, a że jest ich dużo, to inne możemy sobie darować.

Mają swoje przesady. Oto nasz sąsiad, dr Barlow, uprawiał duży ogród, a w nim mnóstwo kapusty. Mówię do niego, że dużo będzie miał roboty z jej kiszeniem na zimę, a on mi na to z oburzeniem, że nigdy zgniłej kapusty nie jada. Rdzenni Amerykanie, ci anglosaskiego pochodzenia, nie jadają produktów naturalnej fermentacji, to znaczy kiszzonej kapusty, kiszonych ogórków, zsiadłego mleka, kwaśnej śmietany. Jeśli my chcemy na Niemca rzucić obelżywe słowo, mówimy - szwab. Amerykanie w takim przypadku powiedzieliby „kraut”, to znaczy kiszona kapusta. Pewnego razu w gorący, letni dzień zaprosiliśmy do siebie na obiad Christopherów wraz z ich córeczkami. Podaliśmy dla próby zsiadłe mleko, a do tego młode ziemniaki ze skwarkami. Oboje rodzice nawet tego nie ruszyli, ale dziewczynki zjadły wszystko z apetytem. Dzieci nie mają uprzedzeń.

Dnia 21 listopada przyszła na świat nasza córka. Daliśmy jej na imię Emilia po babce ze strony matki, a na drugie Kornelia, wspomnienie z Uniwersytetu Cornella. Urodziła się w szpitalu w South Kingston, a po tygodniu ją i matkę przywiozłem do naszego domu. Przeżywalismy

niezapomniane dni, które znają wszyscy rodzice, kiedy przyjdzie na świat ich pierwsze dziecko. Przemawialiśmy do niej imieniem Emi: to zdrobnienie pozostało jej na całe życie.

Zima była znacznie bardziej łagodna w Kingston niż w Ithaca. Powodowała to bliskość oceanu. Temperatura rzadko kiedy spadała do  $-20^{\circ}$  C. Śnieg padał często, ale nie leżał zbyt długo. Mimo bliskości morza lato było nie zbyt wilgotne, a chyba bardziej słoneczne niż w Ithaca.

Wczesną wiosną 1943 r. zaciągnąłem się do ochotniczej służby obserwacyjnej, związanej z masowym szkoleniem pilotów w naszej okolicy. Szkolenie było bardzo przyspieszone, toteż zdarzały się katastrofy. Jeśli pomoc przybyła na czas, udawało się uratować życie pilota. Dlatego potworzono punkty obserwacyjne, w których ochotnicy obserwowali niebo i telefonicznie podawali do odpowiedniego ośrodka, że samolot takiego to typu leci z kierunku północnego w kierunku południowym. Jeśli następny punkt takiego samolotu nie zauważył, znaczyło to, że spadł na tym odcinku. Helikoptery wyruszały, by nieść pomoc. Służbę tę sprawowałem do końca, trzy razy w tygodniu po 4 godziny. Dostałem za nią podziękowanie na piśmie od armii amerykańskiej.

Zgłosiłem się też jako krwiodawca. Na razie sam, a w rok później i moja żona. Ponieważ zemdląca po oddaniu krwi, skreślono ją z listy i nie pozwolono przychodzić więcej.

Wcześniej posadziłem warzywa w swoim „Ogrodzie Zwycięstwa” i lepiej przygotowałem się do ochrony go przed woodchuckami.

Sprzedawano nawet żelazne łapki, które zastawiało się na woodchucki, ale one były sprytniejsze. Zauważyłem jednak, że idąc po trawie zostawiają delikatne ślady i że jeśli zastawiłem łapki na takim świeżym śladzie, woodchuck był mój. Z czasem wyłapałem wszystkie szkodniki z okolicy. Zastawiłem pułapki wokół pola warzywnego na Wschodniej Farmie. Jednej nocy złapało się w nie aż 12 woodchucków. Stałem się nagle słynnym traperem. Miejscowa drużyna harcerska zgłosiła się, abym objaśnił jak zastawiać pułapki na woodchucki. Władze gminne płaciły chłopcom nagrodę w wysokości 15 centów za każdego schwytanego szkodnika.

Woodchuck jest gryzoniem, odżywia się pokarmem roślinnym jak zając, wydawałoby się zatem, że jego mięso musi być cenione i smaczne. Na północy Ameryki panuje jednak do niego takie uprzedzenie, że nikt nie tknie jego mięsa. Natomiast w południowych stanach Murzyni jedzą woodchucki, czasami nawet biali.

Pewnego razu w pułapki zastawione na woodchucki złapały się dwa lisy. Szkoda mi ich było, ale trzeba je było zastrzelić. Kiedyś złapał się nawet skunks. Zasygnalizował mi to okropny smród, bo biedne zwierzę wyrzuciło ładunek z gruczołu. Skunks jest tak pięknym i tak miłym stworzeniem, że za nic bym go nie zabił. Chciałem podejść, otworzyć żelazne łapki i wypuścić go. Ale bałem się, że pryśnie na mnie nowym ładunkiem piżma. Słyszałem o takich przypadkach, mimo mycia i szorowania przez długi czas opryskana osoba nie mogła przebywać w domu, musiała spać na dworze. A nuż przstraszy się i chwyci mnie zębami za rękę? Współczucie dla zwierzęcia przemogło mój strach. Powoli, powoli zbliżyłem się. Skunks się nie ruszał, nie szarpał. Wyciągnąłem ostrożnie ręce i otworzyłem łapki. Zauważyłem, że nóżka nie była złamana, bo razem z nią złapało się w łapce dużo trawy. Powoli pokuśtykał w kierunku zarośli i znikł z moich oczu. Skunksy są bardzo pospolite w północno-wschodnich Stanach. Uzbrojone w potężną broń, ludzi się prawie nie lękają. Siedzieliśmy kiedyś na leśnej polance, gdy na ścieżce obok pojawiła się mama-skunks, a za nią gęsiego troje malutkich skunksiątek. Mama widziała nas, ale ze ścieżki nie zбочyła, chociaż trzeba jej było przejść nie dalej, jak dwa metry od nas. Patrzyliśmy zafascynowani, jak powoli, nie przyspieszając statecznego kroku znikła w krzakach.



Często jadąc samochodem czuliśmy straszny fetor skunksa, widocznie niedaleko stąd został przejechany przez inny samochód.

W Rhode Island mieszkało wielu Amerykanów polskiego pochodzenia. Studiował tu student Puchalski. Zaprzyjaźniliśmy się także ze starszym już małżeństwem: Pan Bill Cepek miał już lat ponad 60, a jego żona około 50. Oboje urodzili się w Polsce. Bill pochodził z czeskiej, ale zupełnie spolonizowanej rodziny na Wołyniu. W 1905 r. w obawie przed aresztowaniem za udział w wystąpieniach rewolucyjnych uciekł z kraju i wyemigrował do Ameryki. Mieszkali w Providence, gdzie mieli niewielką fabryczkę, w której pracowało około 40 osób, kooperującą z wielką firmą Westinghouse.

Poznaliśmy też bardzo ciekawego, a nawet osobliwego Amerykanina polskiego pochodzenia, mieszkającego blisko Kingston. Był to bardzo bogaty lekarz nazwiskiem Laskey. Powiedział nam, że jego jakiś prapradziad nazywał się Łaski, pochodził ze starej, znanej i bardzo zasłużonej hrabiowskiej rodziny Łaskich, przyjechał do Ameryki w początku XIX wieku.

Dr Laskey należał do, można by ją tak nazwać, sekty biodynamistów, ale nie była to sekta religijna. Biodynamiści uważali, że wszystko zło w świecie spowodowane jest przez chemizację rolnictwa, przez nawozy sztuczne oraz chemiczne środki do walki z chwastami, chorobami i szkodnikami. Dr Laskey miał piękną żonę i dwoje małych dzieci. Mieszkali na małej farmie, na której produkowali dla siebie żywność. Nawet chleba nie kupowali, ale piekli z mąki, która pochodziła z pszenicy na tej farmie wyprodukowanej, oczywiście bez żadnych nawozów sztucznych. W ogrodzie rosło kilkadziesiąt drzew owocowych. Aż żał było patrzeć na te robaczywki i parszywki, jakie wisały na jabłoniach, ale dr Laskey innych jabłek nie jadał.

Po wojnie rolnictwo bez chemizacji zdobyło sobie rozgłos w całym świecie. Zarówno w Europie, jak i w Ameryce, zdrową żywność, jak ją nazwano, sprzedawano po znacznie wyższych niż normalnie cenach.

## Ostatnie lata w Ameryce

W listopadzie 1943 roku pojechałem na doroczny zjazd Amerykańskiego Towarzystwa Nauk Ogrodniczych do Cleveland. Wygłosiłem tam referat na temat prac badawczych, które prowadziłem w Rhode Island. Wróciłem w dniu, w którym huragan nawiedził północno-wschodnie wybrzeże Stanów Zjednoczonych. Huragany takie nie są w tym rejonie rzadkością, ale ten był wyjątkowo silny. Na wybrzeżu zniszczył wiele budynków, fala zalała znaczną część Providence, a w całym stanie zerwana została sieć elektryczna, telefoniczna i telegraficzna. Nie mieliśmy prądu przez cały tydzień. Temperatura na dworze była bliska zera, a my w domu zostaliśmy bez ogrzewania. Z tyłu za domem rozpałałem ognisko i tam gotowaliśmy strawę. Wszystkie bety zwaliliśmy na jedno łóżko i tak szcękając z zimna trwaliśmy w obawie o zdrowie córki. Słońce zachodziło wcześniej, ale nie mieliśmy ani świec, ani lampy. Całe szczęście, że zdobyłem pudełko zapalek, bo inaczej nie mógłbym ogniska za domem zapalać. Ale i zło ma swój koniec.

W Ameryce nikt nie obchodził imienin, tylko urodziny. Piecze się wtedy wielki tort i wstawia tyle świeczek, ile lat kończy solenizant. Świeczki należy zdmuchnąć za jednym zamachem, ile by ich nie było. Na ogromnym torcie dla Emi, na którego zjedzenie zaprosiliśmy dwie jej koleżanki w podobnym wieku wraz z rodzicami, tkwiła jedna świeczka. Pokazywaliśmy wszyscy, jak się to robi, wreszcie zrozumiała o co chodzi i świeczkę przy ogromnym aplauzie zdmuchnęła.

Moja praca badawcza rozwijała się interesująco. W 1943 r. dostałem asystentkę, Leonę McElroy, która właśnie ukończyła uniwersytet. Była sumienna i dokładna. Wiele pomogła mi w moich badaniach. W pierwszych dwóch latach wykańczałem niektóre doświadczenia rozpoczęte wcześniej przez Christophera. Jednocześnie prowadziłem studia nad transpiracją jabłek w chłodni, kontynuując ciąg doświadczeń stanowiących treść mojej pracy doktorskiej.

W czasie tych właśnie doświadczeń przypadkowo zauważyłem, że wystawienie jabłek zaraz po zbiorze na krótkotrwałe działanie wysokich stężeń dwutlenku węgla zapobiega występowaniu groźnej przechowalniczej chorobie, zwanej oparzelizną powierzchniową. W ostatnich trzech latach swego pobytu w Kingston, większość czasu poświęciłem badaniom nad tym problemem. Opracowałem nowy sposób zapobiegania oparzeliznie powierzchniowej, ale nie wszedł on do praktyki. Okazało się bowiem, że krótkotrwałe traktowanie jabłek wysokimi stężeniami dwutlenku węgla zapobiega wprawdzie oparzeliznie powierzchniowej, ale wywołuje inną chorobę - zbrunatnienie przygniezdne.

Doświadczenia te nie poszły jednak na marne. W czasie ich prowadzenia zauważyłem, że jabłka traktowane przez krótki okres czasu wysokimi stężeniami dwutlenku węgla nie przejrzejwią tak szybko, jak owoce nie traktowane dwutlenkiem węgla. Opublikowałem te rezultaty, ale i one na razie na nic się nie przydały, ponieważ odmiany nad którymi pracowałem, cierpiały na zbrunatnienie przygniezdne.

Dopiero w 30 lat później, w latach siedemdziesiątych, dr Cousey w stanie Waszyngton zastosował moją metodę do odmiany Golden Delicious, na której nie występuje ta choroba. Użył w swoich doświadczeniach zdwojenie okresu czasu, przez który można przechowywać tę bardzo ważną i cenną odmianę. Metoda krótkotrwałego traktowania jabłek wysokimi stężeniami dwutlenku węgla, odpowiednio do potrzeb zmodyfikowana, znalazła swoje miejsce w chłodnictwie owoców.

Zaczął się rok 1944. Mieszkało nam się dostatnio i pracowało przyjemnie. Zawdzięczaliśmy to wyjątkowej tolerancji społeczeństwa amerykańskiego, wśród którego się znajdowaliśmy. Ale należy pamiętać, że było to społeczeństwo akademickie.

Wiosną tego roku poznałem dr Davisa, jednego z profesorów na Wydziale Humanistycznym, specjalizującego się w logopedii. Zwrócił uwagę na to, że i ja mam poważną wadę mowy, a mianowicie seplenie. Prawdę mówiąc, to od wczesnego dzieciństwa miałem z mową trudności. Aż do siódmego roku życia nie mogłem wymówić litery „r”. Zamiast „r” mówiłem „ł”. Pamiętam, że pierwsze słowo z literą „r”, które prawidłowo wymówiłem, było „prasować”. Sepleniłem, dość wyraźnie. Dr Davis poprosił, abym do niego przyszedł. Wy tłumaczył mi, że seplenie polega na wysuwaniu poza zęby końca języka, gdy się wymawia „s”, „c”, „z”. Tymczasem należy przy wymawianiu tych spółgłosek trzymać język z tyłu, za zębami. Poćwiczyliśmy godzinę, drugiego dnia godzinę i wystarczyło. Taka prosta sprawa, a nikt mi tego przez dwadzieścia osiem lat życia nie powiedział. Ucieszyła mnie ta poprawa wymowy, bo natura nie obdarzyła mnie donośnym dźwiękiem. Zdarzają mi się dość często przejęzyczenia, a poza tym mam głos taki, jakby męczyła mnie chryпка. Mimo to, po moim wystąpieniu telewizyjnym w latach siedemdziesiątych, dostałem list od pewnej nieznannej mi pani. Z zachwytem pisała, że podobało się jej moje wystąpienie, a zwłaszcza brzmienie głosu. Gdybym był krukiem z bajki La Fontaine'a i trzymał w dziobie ser, na pewno bym go wypuścił z wraźnia.

Latem jeździliśmy nad morze już razem z Emi, bo jak wszystkie dzieci lubiła się chlapać w płytkiej wodzie przy brzegu. Z tyłu za domem zbudowałem niewielki domek dla niej, jej koleżanek i dla lalek, ponad metr wysoki.

Latem 1945 roku nadeszły wieści i normalne listy z kraju. Tak się szczęśliwie złożyło, że nikt nie zginął z naszych najbliższych. Można już było posyłać paczki z ubraniami i z żywnością, toteż słailiśmy je prawie przez rok, do dnia naszego wyjazdu. Z dniem 1 czerwca 1945 r. otrzymałem stanowisko Assistant Professor, równoważne naszemu stanowisku docenta. To, że w Stanach nie robi się habilitacji jest jednym z powodów, dla których nauka amerykańska tak dobrze się rozwija. W naszym systemie młody człowiek w najbardziej twórczym okresie swego życia unika prac zespołowych, bo pracę habilitacyjną musi napisać sam. Potem nabywa przyzwyczajęń, stroni od prac zespołowych. Podstawą nowoczesnej nauki są prace zespołowe. Celują w nich Amerykanie, ponieważ ich nauka, jak w żadnym innym kraju, wolna jest od biurokracji, wolna od niemieckiego średniowiecznego niemalże wynalazku, jakim jest habilitacja. Wiele lat walczyłem o jej zniesienie w Polsce, ale niestety, bez skutku.

Moja promocja odbyła się bardzo prosto. Zebrała się trójosobowa komisja pod przewodnictwem dziekana i po przeanalizowaniu mojego trzyletniego dorobku badawczego podjęła decyzję. Równocześnie podniesiono moje pobory, które wynosiły 2800 dolarów rocznie, do wysokości 3500 dolarów. Wezwał mnie do siebie Prezydent Uniwersytetu, pogratulował awansu i wyraził nadzieję, że zostanę w Ameryce, a on postara się, by stworzono mi w Rhode Island znacznie lepsze warunki pracy laboratoryjnej. Podziękowałem za jego łaskawość, ale odpowiedziałem, że moim obowiązkiem jest powrót do Polski.

Zeszło prawie rok, zanim mogliśmy powrócić. Nie byłem sam, miałem żonę i córkę. Regularnej komunikacji morskiej z Polską jeszcze nie było. „Piłsudski” został zatopiony, a „Batory” przewoził jeszcze jednostki armii angielskiej. Pierwszym statkiem, jaki odpłynął po wojnie z New Yorku do Gdyni, była duńska „Falstria”, statek towarowo-osobowy zabierający około 60 pasażerów. Tym pierwszym rejsem „Falstria” w kwietniu 1946 r. wróciliśmy do kraju. Z żoną nie dyskutowaliśmy problemu powrotu, tak zdawało się nam to rzeczą naturalną. Po prostu pamięta-

liśmy, że przyjechaliśmy tu po to, aby zdobyć wykształcenie i wrócić. Ale teraz staliśmy przed prawdziwą, ostateczną decyzją. Mieliśmy wrócić do innej Polski niż ta, którą opuściliśmy przed wojną. Była to Polska straszliwie przez wojnę zniszczona, była to Polska komunistyczna i to było dla nas wielką niewiadomą.

Wojenna polska emigracja zwoływała się i organizowała. W stanie New York, w górach Adirondack, w polskim pensjonacie należącym do jednego z sanacyjnych pułkowników, zwołano zjazd polskich naukowców, którzy się w czasie wojny znaleźli w Ameryce. Pojechaliśmy. Obecnych było blisko 70 osób. Celem zjazdu było wyjaśnienie zebranym nonsens powrotu do Polski. Był to dla mnie bardzo smutny dzień.

Muszę przyznać, że i my baliśmy się powrotu. Między innymi chodziło o stan mego zdrowia, który nie był nadzwyczajny. Zapadałem znacznie częściej niż inni na grypę, na zapalenie płuc, po przeziębieniu miewałem stany niewytłumaczalnych osłabień. Pojechałem więc do Leahy Clinic, słynnej kliniki w Bostonie i poprosiłem o dokładne zbadanie. Opowiedziałem, że mam zamiar wrócić do Polski, więc proszę o opinię, czy wytrzymam ciężkie warunki, jakie zostaną w zniszczonym przez wojnę kraju.

Badało mnie kilku lekarzy specjalistów, robili różne testy, na zakończenie usłyszałem, że mam początki astmy, rozedmę płuc, a w dodatku zwapnienia w płucach po zaleczonej gruźlicy czy zapaleniu płuc. Serce mam jednak zdrowe. Jeśli będę się szanował i nie przepracowywał, to przeżyję trudne warunki w kraju – takie orzeczenie dostałem na piśmie.

Nie chodziło mi tylko o zdrowie. Przede wszystkim w Ameryce wzrosły moje obawy przed komunizmem. Nie mieliśmy pełnego obrazu zbrodni Stalina z drugiej połowy lat 30-tych, ale wiedziałem o nich więcej niż wiedziano w Polsce. Z drugiej zaś strony amerykański kapitalizm, wśród którego żyłem, chociaż miał złe strony, nie wydał mi się tak straszny, jak nauczał nas Artur. Na odwrót. Widziałem, że sprzyja postępowi ekonomicznemu.

Wszyscy Polacy przy spotkaniach robili wszystko, by nas odwieść od decyzji powrotu do kraju. Opowiadali o jednym Polaku, co do kraju z Anglii powrócił i przysłał przyjaciółom telegram. „Dojechałem szczęśliwie. Dobrze mi tak.” Przestrzegali, że reżim komunistyczny zmusi mnie do jawnego opowiedzenia się za nim. Jeśli odmówię, stracę możliwości szerszej działalności dla podniesienia polskiego sadownictwa, a może wyląduję w więzieniu.

Zdawałem sobie sprawę z tego, do czego wracam. Jeśli się powie A, trzeba powiedzieć B. Albo pozostanę w Ameryce, będę miał czyste sumienie, bo nie będę musiał iść na żadne kompromisy ze swoimi przekonaniem, albo wrócę, a wtedy prawdopodobnie przyjdzie mi pójść na niejeden kompromis. Zdecydowałem się na to ostatnie.

Najbardziej dziwili się nam Amerykanie, słusznie dumni są ze swego kraju. Najchętniej słuchają opowieści o Europejczykach, którzy po ujrzeniu Statuy Wolności i wyjściu na ląd klękają i dziękują Bogu za możliwość oglądania ziemi amerykańskiej. Prawie każdy dowiedziawszy się, kim jestem, zadawał mi pytanie: „Aren't you happy to be here?” (Czy nie czujesz się szczęśliwy, że jesteś tutaj?) Nikt nie rozumiał, jak możemy z własnej woli porzucać ten szczęśliwy kraj. Przecież w Europie są miliony takich, którzy by wiele dali za to, by mogli do Ameryki wyemigrować i zacząć tu życie od nowa. A my nie musielibyśmy zaczynać. Zdobyłem już przecież dobre imię w swoim dziale nauki, doszedłem do stanowiska profesora uniwersytetu. Co za sens wracać, do starej rozbitej w puch Europy, w dodatku do komunistycznego państwa. A już najbardziej użalano się nad żoną i dzieckiem. „że jemu się chce, to jego sprawa, ale żeby biedną kobietę i niewinne dziecko na taki los narażać, no, no...”

Kiedy mnie pytano wprost o motywy powrotu, mówiłem coś o obowiązku, o honorze, o różnych innych przyczynach, ale czułem, że właściwie nie potrafię tego wyrazić słowami. Sformułowanie stanu duchowego, jaki wtedy przeżywałem przyszło o wiele później, dopiero w 1970 r., kiedy Skierniewice obchodziły dwudziestopięciolecie wyzwolenia. Na akademii, oprócz przemówień, śpiewów i deklamacji, na zakończenie zabrał głos stary nauczyciel, którego dobrze znałem, bo uczył moje dzieci. Opowiadał o ostatnich miesiącach wojny. Ludność żydowska Skierniewic została już całkowicie zlikwidowana, wysłana do Oświęcimia lub Trebinki. Uratowała się jedna ośmioletnia dziewczynka, którą ktoś ukrył, a potem przygarnął jako własne dziecko. Opiekunowie byli na tyle nieostrożni, że posłali ją do szkoły. Była blondynką, nikt nie podejrzewał, że jest Żydówką.

Ktoś jednak doniósł. Przyszło dwóch żandarmów, starszych już panów po pięćdziesiątce, bo młodzi poszli na front. Wszyscy z domu zdążyli uciec, tylko dziewczynka pozostawiona sama sobie w ostatniej chwili wdrapała się na stromy dach szopy. Żandarmi zaczęli ją zachęcać, by zeszła, obiecywali cukierki. Dziecko wiedziało jednak, o co chodzi. Jeden z żandarmów sapiąc wdrapał się na dach, złapał dziewczynkę za kark i zrzucił na ziemię. Wzięli ją obaj między siebie, wyłamując jej ręce, i powiedli do lasu za miastem. Tam ją zastrzelili.

- A ja mieszkałem obok i patrzyłem - mówił stary nauczyciel - na to wszystko przez okno. Dziecko chodziło do mojej klasy, wiedziałem, że było sierotą, i czułem się tak, jakbym zastępował jej ojca. Patrzyłem i nie uczyniłem nic, aby ją obronić. To prawda, że nic nie mogłbym zrobić. Gdybym się wtrącił, zastrzelili by i mnie. Nigdy nie było w tym mojej winy, że jej nie ocaliłem. Ale jeszcze teraz, po tylu latach budzę się nieraz zlanym potem i nie mogę usnąć. Ja nic w jej obronie nie uczyniłem, nic, nic, nic...

Wyszedłem wstrząśnięty nie tylko historią, którą opowiadał nauczyciel, ale przede wszystkim, że odtworzył on dokładnie stan mojej duszy w czasie pobytu w Ameryce. Moja ojczyzna umierała, a ja stałem w oknie. Tam w kraju działy się rzeczy straszne. A ja nie cierpiałem głodu, nikt nie czyhał na moje życie, mogłem się uczyć, studiować, założyć rodzinę. Czy to była moja wina, że nie wyskoczyłem przez to okno? Czy nie mogłem w jakiś sposób pomóc? Nie budziłem się wprawdzie nocami z poczuciem winy, ale głęboko, gdzieś pod sercem tkwiło irracjonalne uczucie. Uświadomiłem sobie, że dopiero po wojnie mogłem to okno przeskoczyć, coś dla kraju uczynić. Czułem, że gdybym za oknem pozostał, nie mogłbym nigdy spojrzeć sobie w twarz.

A byłem pewien, że będę mógł wiele dla polskiego sadownictwa zrobić. Byłem do tego dobrze przygotowany, pracując nad nim przez osiem lat w kraju, gdzie jego poziom był w świecie najwyższy. Jeśli w Polsce byli dobrzy sadownicy, to przecież przez ostatnie sześć lat nie mogli naukowo pracować, a kto nie idzie naprzód, ten się cofa. Jednym słowem moja obecność w kraju była bardzo potrzebna.

Nie byłem w Ameryce sam. Miałem żonę i dziecko. Decyzja powrotu musiała być powzięta wspólnie. Znałem wiele przypadków, w których mąż wyrażał chęć powrotu, a żona najczęściej - nie. Kobiety zawsze bardziej boją się nieznanego. Trudno się im dziwić. To przecież na nie głównie spadają trudy życia codziennego w biednym, zniszczonym kraju, na nie i na dzieci. Nie kryję się z tym wcale, że gdyby żona nie wyraziła chęci na powrót, byłbym bardzo niešťczęśliwy, ale zgodziłbym się z jej decyzją pozostania w Ameryce.

Przez cały rok przygotowywaliśmy się do powrotu. Napisałem do prof. Malinowskiego i prof. Chroboczka, że zdobyłem doktorat i na Uniwersytecie Rhode Island zajmuję stanowisko Assistant Professor. Pragnę wrócić jak najspieszniej, ale muszę czekać na transport. Po wymianie

listów okazało się, że obaj profesorowie przeżyli wojnę w Skierniewicach. Zginął natomiast w czasie Powstania Warszawskiego prof. Gorjaczkowski, kierownik Katedry Sadownictwa SGGW. Czekają więc na mnie, abym wrócił i objął Katedrę Sadownictwa. Pisali w swoich listach o zburzeniu Warszawy i całkowitym zniszczeniu prawie wszystkich wyższych uczelni. Ocalał gmach SGGW na Rakowieckiej, ale pusty, urzędowało tam Gestapo.

Pamiętałem, że Katedra Sadownictwa SGGW nawet przed wojną nie miała laboratorium. Zaczęłem więc kupować różne przyrządy, przeważnie używane, bo taniej kosztowały. Miałem już zgromadzoną dużą bibliotekę naukową, ale zacząłem nabywać więcej książek i czasopism naukowych. W antykwariacie udało mi się kupić 158 tomów „Experimental Station Record”. Od pierwszego tomu, który wyszedł w 1867 r., aż do ostatniego. Jest to czasopismo, zawierające streszczenia wszystkich prac doświadczalnych, jakie zostały wykonane w rolniczych amerykańskich stacjach doświadczalnych od pierwszego roku ich powstania. Żadna inna biblioteka w Polsce nie ma tego kompletu.

Przygotowałem własnoręcznie, dwadzieścia dużych, drewnianych skrzyń do zapakowania głównie książek i czasopism, a także osobistych rzeczy. Nie zabieraliśmy oczywiście mebli. Wzięliśmy tylko dwa rowery i lodówkę Westinghousa oraz dość dużo żywności, na skutek anonсів w prasie amerykańskiej, że w Europie brakuje jedzenia, a to które można kupić, ubogie jest w białko. Wzięliśmy mnóstwo puszek mleka w proszku, a także sproszkowanych suszonych ryb.

Skomunikowałem się z Konsulatem Polskim w Nowym Jorku. Ministerstwo Oświaty z Warszawy, zawiadomione przez prof. Malinowskiego, przysłało nam bilety na podróż.

Opuszczaliśmy więc Amerykę. Wszyscy nasi przyjaciele, którzy dotąd nie mogli zrozumieć zasadności naszego postanowienia, nagle spowaźnieli, nabrali do nas szacunku, a jednocześnie pragnęli okazać jak najwięcej serca i pomocy. W ostatnich miesiącach nie mogliśmy podołać zaproszeniom na pożegnalne obiady. Pisała o nas prasa, a nawet udzielaliśmy wywiadów.

## Podróż do Polski

Kiedy przyjechaliśmy do portu w Nowym Jorku zobaczyliśmy „Falstrię”, stała przy nabrzeżu obok „Normandie”, największego statku pasażerskiego na świecie.

- Wygląda na to, że w kajaku chcesz mnie przez Atlantyk przewieźć - stwierdziła żona.

Ale „Falstria” okazała się statkiem bardzo przytulnym. Dostaliśmy kabinę dość obszerną, w której z łatwością pomieściliśmy się z prawie czteroletnią już wówczas córeczką Wszystkie miejsca pasażerskie były zajęte. Oprócz nas na statku było jeszcze czterech Polaków wracających z Ameryki z misji handlowych. Resztę pasażerów stanowili oficerowie marynarki duńskiej, wypuszczeni z niewoli japońskiej. Wracali po latach nieobecności, każdy z mnóstwem prezentów dla swoich żon i dzieci. Każdy w kabinie miał lalki.

Wszyscy mówili po angielsku. Emi nie miała więc kłopotu w porozumiewaniu się. Coraz to znikająca nam z oczu, zazwyczaj znajdowałem ją w kajucie jakiegoś oficera. Dawno nie widzieli dzieci, więc zalecali się do niej i wdzięczyli, zapraszali do swoich kabin jako eksperta, by spytać, czy kupili ładne lalki dla swoich dziewczynek. Emi na razie chwaliła wszystkie, ale potem stała się wybredna. Trzeba było widzieć nieszczęśliwe miny oficerów, którym powiedziała, że ich lalki są brzydkie.

Pogodę mieliśmy dobrą, dużo słońca, morze było spokojne, jak na tę porę roku. Mieliśmy jednak prawie codzienne ćwiczenia z pasami ratunkowymi i wsiadaniem do łodzi ratunkowych, zwłaszcza gdy zbliżyliśmy się do Europy. Morze nie było jeszcze bezpieczne, tu i ówdzie można było natrafić na miny. Dopłynęliśmy jednak szczęśliwie do Kopenhagi w Wielką Sobotę i zatrzymaliśmy się tam przez dwa dni. Duńczycy wysiedli, przybyło natomiast jeszcze kilku Polaków. Korzystając z pięknej pogody zwiedziliśmy miasto i okolice.

Wreszcie odpłynęliśmy w stronę Gdyni. Z bijącymi sercami wpatrywaliśmy się w wyłaniające się z mgły nabrzeża polskiego portu. Przypominał mi się urywek poematu Marii Konopnickiej „Pan Balcer w Brazylii”, z jego zakończenia gdy Balcer wracał do kraju:

Idziem do Ciebie, Ziemi, Matko nasza,  
Coś z pierwotnej zrodziła nas gliny,  
Idziem do Ciebie, rzesza Twoja ptasza,  
Powracające do gniazd Twoich syny.

Nie mogłem sobie przypomnieć pięknego, patetycznego wiersza Lechonia drukowanego w „Tygodniku Polskim” przed dwoma laty. Mówił o powrocie.

Tak wyglądał powrót emigrantów do kraju po skończonej wojnie, na których czekał na brzegu tłum rodaków, świętych męczenników. Na razie nasze ciężkie bagaże zostawiliśmy w składnicy portowej, zabierając tylko podręczne. Po przejściu przez kontrolę paszportową zauważyłem ojca i siostrę Janinę. Zdawało mi się, że przez te osiem lat zmałał, co było, oczywiście, złudzeniem. Ojciec był tylko bardzo chudy, wymizerniały i znać było na nim przeżycia wojenne. Wzruszenie ścisnęło mi gardło.

Był 23 kwietnia. Samochód ciężarowy z SGGW ze Skierniewic, miał przyjechać dopiero pojutrze. Pojechaliśmy więc wszyscy do Gdańska, gdzie od dziesięciu miesięcy pracował jako księgowy w rzeźni miejskiej mój najstarszy brat, Stanisław. Tu dopiero na własne oczy zobaczyłem ogrom zniszczeń wojennych. Zatopione w porcie okręty, kompletnie zburzona gdańska sta-

rówka, śródmieście, wypalone lub leżące w gruzach domy w Gdyni. Z zainteresowaniem patrzyłem na ludzi.

Powitanie z bratem było spontaniczne, a pierwsze wrażenia sprowadziły się właśnie do tego, że dzieci się nie rozumiały, doszło do płaczu. Wy tłumaczyłem, że Leszek po angielsku nie rozumie, a Emi po polsku. Przecież sama słyszy, że z dziadkiem, z ciocią, ze stryjkiem i stryjenką mówimy po polsku. Ty nie rozumiesz po polsku, ale nie martw się, wkrótce się nauczysz. Pierwszy problem zażegnałem, uspokoili się, bawiąc się wesoło: każde z nich szczebiotało coś po swojemu.

Na drugi dzień o świcie, wszyscy pięcioro, załadowaliśmy się wraz z całym dobytkiem na ciężarówkę, która dojechała ze Skierniewic. Jechaliśmy wolno, drogi były zniszczone, pełne wybojów. Obawiałem się o nasze bagaże, eksponaty, przybory do laboratorium, a także o lodówkę.

Nie to jednak najbardziej zaprzętało mój umysł. Po drodze mijaliśmy popalone, zbombardowane miasteczka i wsie. Na polach wychudzone konie ciągnęły pługi i brony. Mijały nas w drodze transporty wojskowe, polskie i radzieckie. Krajobraz Ojczyzny był przytłaczający. Późnym wieczorem zajechaliśmy do Skierniewic. Miasteczko nie uległo wielkiemu zniszczeniu. Bombardowania i pożary zniszczyły może jedną piątą budynków, ale stojący tuż przy stacji kolejowej rozbity niemiecki czołg, robił wrażenie. Przyjął nas prof. Chroboczek, który pełnił obowiązki przedstawiciela rektora SGGW w Skierniewicach. Chwilowo dano nam mieszkanie tuż przy głównej uliczce przechodzącej przez Osadę Pałacową, było bez łazienki i gorącej wody. Zostaliśmy przez Profesora zaproszeni na kolację, co w takiej chwili bardzo sobie ceniliśmy.

Dopiero na drugi dzień rozejrzeliśmy się po Osadzie. Pałac oraz budynki nie były zniszczone, z wyjątkiem jednej z oficyn, w którą trafiła bomba. Obejrzeliśmy oficynę południową i wyraziliśmy chęć urządzenia sobie w niej mieszkania. Szkoła nie wyraziła sprzeciwu, tyle że nie miała pieniędzy na remont i przeróbki. Zapłacono mi jednak nominalną cenę za przyrządy laboratoryjne, a to wystarczyło na remont oraz prowizoryczne centralne ogrzewanie wraz z urządzeniem zapewniającym bieżącą wodę gorącą. Remont trwał jednak długo. Do nowego mieszkania wprowadziliśmy się dopiero we wrześniu. Teraz urządzaliśmy się w mieszkaniu tymczasowym.

Najwyższy czas na powitanie i zobaczenie rodzin. Większość mojej rodziny mieszkała w Radości koło Warszawy, a matka i ojczym mej żony w Częstochowie, dokąd uciekli po Powstaniu Warszawskim, wyrwawszy się z transportu.

Po drodze do Radości przejeżdżaliśmy przez Warszawę. Widok zniszczonego miasta wywarł na mnie przerażające wrażenie. To przecież było moje miasto, miasto mojej młodości. Najstraszniejszy widok przedstawiało getto. Poszedłem na Gęsią, na Zamenhoffa, na Dziką i na Nalewki, a więc tam, gdzie rozciągał się rejon mojego Urzędu Skarbowego. Nie pozostało ani jednego domu. Dopiero po pewnym czasie przywrócono w Warszawie tramwaje.

Kontakty służbowe rozpocząłem od wizyty w Ministerstwie Oświaty przy ul. Szucha 25. Przedstawiłem się ministrowi Wycechowi i podziękowałem mu za pomoc w załatwieniu transportu morskiego z Nowego Jorku do Gdyni. Pytał, jakie są nastroje wśród pozostających jeszcze w Ameryce polskich pracowników naukowych, jak wielu z nich wróci do kraju? Nie mogłem mu dać pocieszającej odpowiedzi.

Następnie udałem się do SGGW na Rakowiecką i zostałem przedstawiony rektorowi, prof. Marianowi Górskiemu. Zostałem przyjęty na uczelnię z dniem 1 maja jako kierownik Katedry Sadownictwa, w końcu roku dostałem nominację na profesora nadzwyczajnego.



Nie podejmowałem wykładów w kończącym się właśnie roku akademickim, a jedynie urządziłem w Skierniewicach Katedrę Sadownictwa. Miałem dwoje asystentów, mgr Aleksandra Rejmana o rok ode mnie młodszego oraz mgr Marię Unruh-Czebotariew.

Nasz sad pomologiczny przedstawiał się mizernie. W czasie bardzo surowej zimy 1939/1940 połowa drzew wymarła. Posadzono na ich miejsce nowe, ale dopiero zaczynały wchodzić w okres owocowania. Nie było w kraju opryskiwaczy ani środków chemicznych do ochrony drzew przed chorobami i szkodnikami. Sad był niby ogrodzony, ale siatka w wielu miejscach poprzecinana. W czasie dojrzewania owoców przedostawało się do sadu mnóstwo ludzi, mnożyły się kradzieże. Marian Montak, ogrodnik sadu, którego doskonale pamiętałem sprzed wojny, nie mógł dać sobie rady, bo amatorzy cudzych owoców nie rzadko byli uzbrojeni.

W maju wypłacono mi pierwszą pensję profesorską. Nie zdawałem sobie sprawy z tego, że jest tak niewielka i niewystarczająca. Nie mogłem nawet zapłacić za rozsądę do mojego ogródka. Indagowany przeze mnie prof. Chroboczek powiedział, że wkrótce przywyknę, a rachunek za warzywa podarł i wrzucił do kosza. Tak otrzymałem rozsądę bezpłatnie. Żyło się nie z pensji, ale z przeróżnych przydziałów żywnościowych i ubraniowych. W pierwszych miesiącach nie orientowałem się, jak można zapewnić rodzinie wegetację, ale na szczęście pozostało mi trochę dolarów w gotówce. Posiadanie ich było nielegalne, a tym bardziej sprzedaż, ale rychło zrozumiałem, że nikt się do zakazów nie stosował.

Już pierwszego dnia zauważyłem, że w parku mieszkają żołnierze radzieccy. Nie było ich wielu, pewnie z dziesięciu, nie zajęli jednak żadnego budynku, żadnej kwatery. Mieszkali w wybudowanej przez siebie ziemiance. Zdumiało mnie to niepomnie. Przecież tam, w Ameryce, Polacy twierdzili, że kraj nasz znajduje się pod okupacją radziecką. Więc tak zachowuje się okupant? Chodziłem wiele razy obok ziemianki. Widziałem, jak gotowali sobie strawę. Była ona nędzna w porównaniu z odżywianiem się mieszkańców naszego miasta. Wkrótce dowiedziałem się, że żołnierze otrzymali niestłuchane surowe rozkazy, aby obchodzili się z Polakami jak najlepiej, niczego im nie zabierali i nie mieszały się do ich życia. Dokąd się nie upili, co zdarzało się częściej niż wśród Polaków, było w porządku.

Żona nie poszła do pracy, ponieważ w październiku spodziewaliśmy się przyjścia na świat drugiego dziecka. Zajmowała się Emi, a jako pomoc domowa przyszła do nas p. Józefa Grabicka, bezdzietna, sześćdziesięcioletnia wdowa. W domu rozmawialiśmy po angielsku. Bardzo chcieliśmy, aby córka go nie zapomniała.

Emi już po miesiącu mówiła z dziećmi po polsku, natomiast w domu nigdy nie przyszło do jej małej główki, by odezwać się po polsku.

Zdawaliśmy sobie sprawę, że jesteśmy pilnie obserwowani przez otoczenie, że wzbudzamy powszechną ciekawość. Oto przyjechał profesor, który ma 32 lata. Niestłuchane! Jego rówieśnicy dopiero zaczynali asystenturę. W wydziwianiu nie brano pod uwagę argumentu, że przez sześć lat wojny nie mogli się uczyć. Dlaczego przyjechał? Jakże miał ku temu powody? Jeden z moich dawnych przyjaciół przywitał mnie serdecznie:

- Po coś durniu wrócił? Nie widzisz, że za rok lub dwa zacznie się trzecia wojna światowa?

Środowisko SGGW było raczej zachowawcze, klerykalne. Studenci, przyjeżdżający do Skierniewic na praktykę, zaczynali swoje zajęcia od odśpiewania „kiedy ranne wstają zorze”. Większość inteligencji była przeciw rewolucji komunistycznej. Nie był to oczywiście opór aktywny, ale pasywna, emigracja wewnętrzna. Dobry przykład takiej postawy podał mi mój starszy brat, który, jako znany przedwojenny socjalista, dostał zadanie zorganizowania cywilnej administracji w małym, dopiero co wyzwolonym miasteczku. Własnoręcznie wypisał i porozwieszał na

mieście wezwanie do ludności, aby stawiała się na zebraniu. Przyszło kilkanaście osób, wcale nie tych na kogo liczył, było nawet kilku typów podejrzanych. Spośród nich trzeba było organizować władze, milicję.

Nie uszło uwagi mego środowiska, że nie chodzimy do kościoła, nie solidaryzujemy się z kołami klerykalnymi. W parę tygodni po naszym przyjeździe do Skierniewic przyszedł do mnie sekretarz miejscowej PPR, przedwojenny komunista Starzecki, kolejarz. Rozmawialiśmy o różnych sprawach, pytał mnie o Amerykę, o moje plany pracy. Odpowiedziałem, że przecież z faktu mojego powrotu wynika, że chcę pomóc w odbudowie kraju na swoim odcinku. Powiedziałem też, że jako student miałem przekonania lewicowe i to, że teraz mam nadzieję, iż jakoś znajdę swoje miejsce w kraju, który przybrał nowe oblicze polityczne. Zapytał mnie, czy nie wstąpiłbym do PPR.

Prawdę mówiąc przewidywałem to jeszcze przed powrotem do kraju. Spodziewałem się, że gdy wyjdą na jaw moje sympatie socjalistyczne zainteresują się mną. Jestem jednak indywidualistą i mam zawsze duże opory przeciwko wiązaniu się z ugrupowaniem o daleko idącej dyscyplinie. Poza tym nie podobało mi się, że PPR jest bezkrytycznie proradzieckie. Odpowiedziałem, że bardziej odpowiada mi PPS (każdemu według pracy) niż PPR (każdemu według potrzeb), ale i do PPS nie wstąpię, bo chcę się zajmować nauką i nauczaniem, a nie polityką.

Przekonywał mnie, że w chwilach przełomowych jednostka sama nie wiele zdziała, że trzeba się łączyć w zwarte grupy, ale niewiele wskórał. Rozstaliśmy się we wzajemnym poszanowaniu własnych zapatrywań. Starzecki był rzeczywiście człowiekiem porządnym. Po 1949 r., gdy zaczął się w Polsce stalinizm, odsunięto go od wszystkich godności i stanowisk. Rehabilitowano go dopiero po 1956 r.

Już w ciągu pierwszych paru miesięcy zorientowałem się w sytuacji politycznej. Trwała jeszcze wojna domowa, prowadzona przez wojsko i Bezpiekę z grupami przeciwników reżymu komunistycznego, zwanych przez czynniki oficjalne „bandami”. Grupy te składały się najczęściej z byłych członków Armii Krajowej, którzy nie mogli wrócić do normalnego życia. Groziło im za aktywny udział w AK więzienie i śmierć, a w najlepszym razie wywiezienie na Sybir. Bezpieką i wojskiem kierowali „doradcy” radzieccy, przedstawiciele NKWD, którzy zarówno w wojsku jak i w Bezpiece stanowili właściwe kierownictwo. Dopiero Gomułka w 1956 r. „podziękował” im za doradztwo i odprawił do domu.

Próbowałem niejednokrotnie ustalić mój stosunek do tego, co się w Polsce działo. Zdałem sobie sprawę z tego, że Ameryka i Anglia sprzedały nas Stalinowi, czy też pozostawiły nas okolicznościom. Cóż zatem mieli robić Polacy? Zbrojny opór nie miał żadnych widoków powodzenia. Nie miał sensu. Zawsze dochodziłem więc do przekonania, że trzeba żyć w takich warunkach jakie mamy, trzeba wszystkie siły skoncentrować na odbudowie kraju i czekać, co przyszłość przyniesie. Innego rozsądnego wyjścia nikt nie mógł zaproponować.

## **Ziemie stare i odzyskane**

Starając się orientować w ogólnej sytuacji politycznej, nie traciłem z oczu mojego głównego obowiązku, to jest zajęcia się polskim sadownictwem. Musiałem je przede wszystkim poznać. W tym celu wiosną i lato 1946 r. poświęciłem głównie na objazd kraju. Zapoznałem się najpierw z najważniejszym polskim rejonem sadowniczym w grójeckim. Następnie pojechałem do Krakowa. Tamtejszy sadownik, prof. Ziobrowski obwiał mnie po rejonie bocheńskim, nowosądeckim i limanowskim. Stamtąd wybrałem się na Ziemie Odzyskane. We Wrocławiu na uniwersytecie zajmował się sadownictwem doc. F. Goc. Z jego pomocą zwiedziłem wrocławskie i jeleniogórskie. Sam już pojechałem do Zielonej Góry, bo słyszałem o tamtejszych winnicach. Miejscowe władze pomogły mi je obejrzeć. Można było je sobie darować. Nie przedstawiały większej wartości. Razem z prof. Chroboczkim pojechaliśmy do Szczecina. Prezydent tego miasta, prof. Zaremba, dał nam do dyspozycji wojskowy samochód, obejrzelśmy rejon pyrzycki. Pojechałem też do Olsztyna, na Mazury i Warmię. Niezapomniana była wycieczka do Malborka. Zamek, choć częściowo zniszczony, dał mi pojęcie o potędze Zakonu Krzyżackiego. Na zakończenie sadowniczego rekonesansu pojechałem jeszcze do dr Ślaskiego na Uniwersytet Poznański, do dr Białoboka w Kórniku i dr Zaliwskiego w Górnej Niwie, koło Puław, należącej do Państwowego Instytutu Naukowego Gospodarstwa Wiejskiego.

Smętny widok przedstawiały tak zwane Ziemie Odzyskane, czego nie dokonała wojna, rozgrabili szabrownicy. Było to nowe dla mnie słowo, ale w Polsce znane od roku. Nazwani byli tak ludzie, którzy wyprawiali się pojedynczo lub grupami na Ziemie Odzyskane i rabowali porzucone mienie poniemieckie. Nie uważali, że czynią źle, sądzili zapewne, że postępują patriotycznie, mszczą się na Niemcach, a przecież było za co się mścić. Na szaber udawały się nie tylko męty społeczne, ale również ludzie, skądinąd by się zdawało, porządni.

Jeździłem po Ziemiach Odzyskanych, głównie w czerwcu i w lipcu. Pól uprawnych nie widziało się wiele, natomiast jeszcze teraz mam przed oczyma morze chwastów, dojrzewających i rozsiewających nasiona ostów. Wydawało mi się, że nie zdołamy doprowadzić tych ziem do kultury rolniczej.

Moje wędrówki po Polsce dały mi pewną orientację w sytuacji kadrowej w sadownictwie. Nie przedstawiała się ona dobrze przed wojną, jakże było się można spodziewać, że będzie lepsza obecnie? Przed wojną były dwa ośrodki nauki sadowniczej w Polsce: prof. Włodzimierza Gorjaczakowskiego w Warszawie oraz prof. Józefa Brzezińskiego na Uniwersytecie Jagiellońskim w Krakowie. Brzeziński był człowiekiem jeszcze starej daty, zajmującym się nie tylko sadownictwem, ale i warzywnictwem, człowiekiem zdolnym i energicznym, ale wychowanym na wzorach zachodnio-europejskiego rzemieślniczego raczej niż naukowego sadownictwa. Zmarł w czasie wojny.

Zaraz po wojnie starano się odbudować szkolnictwo - potrzebni byli ludzie wykształceni. Oprócz warszawskiej SGGW powstały nowe wydziały rolnicze na uniwersytetach w Krakowie, Wrocławiu, Lublinie i Poznaniu, potem przekształcone w Wyższe Szkoły Rolnicze. W Cieszynie istniała szkoła półwyższa, przemianowana na wyższą uczelnię zwaną Wyższą Szkołą Gospodarstwa Wiejskiego. W Łodzi zorganizowano uczelnię o tej samej nazwie. W każdej z tych uczelni próbowano organizować Wydziały Ogrodnicze. Sadownictwo w Krakowie wykładał prof. Ziobrowski, we Wrocławiu doc. Goc, w Cieszynie dr Wanic, w Poznaniu dr Ślaski, w Łodzi dr Zaliwski. Dr Ślaski zorganizował świetnie prosperujące szkoły prywatne w okolicach Krakowa. Przez długie lata uprawiał działalność publicystyczną, pisząc dobre artykuły o szkółkarstwie.

Zdolnym człowiekiem był też dr Zaliwski, uczeń Gorjaczkowskiego, starszy ode mnie około dziesięciu lat. Znał języki obce, był bardzo odcytany. Zaraz po skończeniu SGGW poszedł wykładać sadownictwo w półwyższej Szkole Ogrodniczej w Poznaniu, pisał książki będące streszczeniem sadowniczej literatury fachowej. Potem przeszedł do PINGW, gdzie założył Sadowniczą Stację Doświadczalną w Górnej Niwie i kierował nią.

Prof. Ziobrowski pracował w Krakowie. Miał wtedy około pięćdziesięciu lat. Człowiek zdolny, niesłychanie miły, przez wszystkich lubiany, dowcipny, towarzyski. Miał za sobą szkołę prof. Brzezińskiego. Z tej samej szkoły wyszedł też doc. Goc, trochę starszy od Ziobrowskiego, ale mniej mający możliwości. Dr Wanic w Cieszynie, trochę starszy ode mnie, był człowiekiem bardzo porządnym i szanowanym. Warto wspomnieć o dr Stefanie Białoboku, dyrektorze późniejszego Zakładu, a wreszcie Instytutu Dendrologii PAN w Kórniku. Zajmował się w czasie wojny i tuż po wojnie sadownictwem, ale wkrótce zainteresował się dendrologią. W Poznaniu obok Śląskiego pracował jeszcze dr Wierszyłowski, mający około 36 lat. Absolwent SGGW, znający języki obce, bardzo odcytany. Zajął miejsce Śląskiego po jego odejściu z Poznania.

Charakterystyka moich kolegów może się wydać zbyt surowa. Obawiam się, abym nie został na jej podstawie uznany za pyszałka, który nikogo poza sobą nie uznaje. Taka jednak była nasza sytuacja kadrowa. Dlatego, jeszcze przed wojną, prof. Malinowski wysłał mnie do Ameryki. W Polsce nikt naprawdę nowoczesnego naukowego sadownictwa nie reprezentował. A przecież sytuacja nie tylko się w czasie wojny nie poprawiła, ale znacznie pogorszyła. Świat przez te sześć czy siedem lat poszedł znacznie dalej i w nauce sadowniczej.

Siedemnastego października przyszedł na świat nasz syn. Nadaliśmy mu imiona Norman Jan, na pamiątkę Normana, którym żona opiekowała się w Ithaca, a do którego i ja się serdecznie przywiązałem. Dziecko przyszło na świat w miejscowym skierniewickim szpitalu, w warunkach jakże dalekich od amerykańskich.

Rozpocząłem w SGGW swe pierwsze wykłady. Przygotowanie do nich nie było łatwe. Polskie sadownictwo poznałem dopiero od pół roku. Spędziłem wiele czasu na jeździe po sadoch chłopskich, zwłaszcza w grójeckim, i rozmowach ze starymi, doświadczonymi sadownikami. Zнали mnie już trochę. Intrygowałem ich, bo przecież przyjechałem z Ameryki, ale byłem zbyt młody, by wzbudzać od razu pełne zaufanie, zwłaszcza że mówiłem takie rzeczy, w które trudno im było uwierzyć. Pamiętam pierwszą pogadankę, którą wygłosiłem do nich jeszcze w maju.

O czymże mogłem mówić? Przecież nie mogłem ich nauczać, jak prowadzić sady, bo dopiero miesiąc na polskie sady patrzyłem. Mówiłem im wobec tego, jak wygląda produkcja owoców w Stanach Zjednoczonych. W pewnej chwili, mówiąc o zbiorze owoców, powiedziałem, że w Ameryce jeden robotnik zbiera przeciętnie 1000 kg jabłek w ciągu jednego dnia. W sali tu i ówdzie rozległ się stłumiony śmiech. Na przodzie siedział stary sadownik, pogładził siwe, piękne wąsy i zapytał: Ile, panie profesorze, ile? Proszę sobie wyobrazić, jak się czułem. Zacerwieniony odpowiedziałem: - tysiąc kilogramów. A ile wynosi u nas przeciętny zbiór? - Od 200 do 300 kg, a w przedwojennej książce prof. Jankowskiego podana jest cyfra 150 kg.

Powiedziałem tylko, że pewnego razu ja sam zebrałem 900 kg, a do wielkoludów ani siłaczy nie należę. Dziś ci sami sadownicy zbierają po 1000 i 1500 kg jabłek dziennie ze swoich sadów, a ich dzieci pewnie nie wierzą, że dawniej zbierało się po 200 kg.

Zauważyłem na wykładach, że studenci słuchają mnie z uwagą. Staralem się nie mówić: „U nas w Ameryce”. Staralem się podawać nowe rozwiązania, nowe podejścia do sadownictwa

nie powołując się wcale na Amerykę. Przekonywałem tylko słuchaczy, że są one logiczne i słuszne.

Dużo pisałem w polskiej prasie ogrodniczej. Zacząłem przysyłać do niej swe artykuły jeszcze przed swoim powrotem do kraju, a teraz pisałem regularnie. Pisanie sprawia mi wielką przyjemność, zwłaszcza gdy wychodzi na przeciw zainteresowaniu. A że w próżnię nie wpadło, miałem tego dowody w postaci listów od czytelników, którzy się ze mną zgadzali albo też gwałtownie przeciw moim poglądom protestowali. Dwa były wtedy pisma ogrodnicze w kraju: „Przeгляд Ogrodniczy” Związku Ogrodniczego w Krakowie oraz „Hasło Rolniczo-Ogrodnicze”, miesięcznik prywatnie wydawany przez przedsiębiorczego instruktora ogrodniczego, Antoniego Gładysza.

W czasie pierwszej zimy poznałem bardzo czynną działaczkę polityczną, mgr Anielę Makarewicz. Przed wojną skończyła Wydział Ogrodniczy SGGW. Jej mąż zginął w czasie wojny, ona wraz z córką przeżyła w Związku Radzieckim. Pracowała teraz w Związku Samopomocy Chłopskiej nad zagadnieniem upowszechniania wiedzy rolniczej, a potem w Ministerstwie Rolnictwa nad organizacją nauki rolniczej. Wiedziałem, że jest członkiem PPR. Zjednała mnie rewolucyjnym entuzjazmem. Wciągnęła do pracy w Samopomocy Chłopskiej. Przydzieliła mi kilka etatów, na których mogłem zatrudnić w kilku uczelniach rolniczych dziesięciu kończących studia młodych ludzi, których wdrażałem do pracy w upowszechnianiu wiedzy rolniczej i sadowniczej. Z tej grupy wyłonił się wybitny fitopatolog, prof. Zbigniew Borecki, oraz działacz i organizator ogrodniczy mgr Jerzy Kryca. Nakładem „Samopomocy Chłopskiej” wyszła wtedy moja broszurka o stosowaniu herbicydów w Ameryce, chyba pierwsza publikacja o herbicydach w piśmiennictwie polskim.

## Początki współpracy z Ameryką

W czasie zimy 1946/1947 dowiedziałem się, że działa w Polsce misja Kościoła Braci, z którą to sektą poznałem się jeszcze w Ithaca. Oczywiście nie była to misja przysłana do zjedynienia dla ich wiary Polaków. Bracia nie są agresywni jak Mormoni i nie mają apostołskich zapędów. Ich misja w Polsce niosła pomoc przesiedleńcom zza Buga w osiedleniu się na Ziemiach Odzyskanych, a także na Warmii i Mazurach. Ośrodek założyli w Ostródzie. Sprowadzili ze Stanów Zjednoczonych, ze Szwecji i z Danii zacielone, rasowe jałówki, konie, świnie i drób, ziarno siewne i narzędzia rolnicze. Na ich działalność przychylnie patrzyło Ministerstwo Rolnictwa.

Będąc w Ministerstwie przypadkowo spotkałem się z kierownikiem misji Kościoła Braci, Thurl Metzger. Pomagałem mu trochę w przewyciężeniu trudności językowych. Opowiadał mi, że Kościół Braci prowadzi w kilku krajach europejskich: w Niemczech Zachodnich, w Grecji, Italii, Belgii i Holandii inną akcję. Zapraszali chłopców i dziewczęta w wieku 11-15 lat do Ameryki i umieszczali ich przy rodzinach swoich wyznawców na rok lub dwa. Była to młodzież z rodzin najbiedniejszych, niedożywiona, często sieroty. W Ameryce wzmacniali się fizycznie, dzięki dobremu odżywianiu, uczyli się języka, chodzili do szkoły, a potem wracali do swoich krajów.

Wtedy wpadła mi taka myśl do głowy. A może Bracia wzięliby polską młodzież wprawdzie trochę starszą, na przykład, na początek dziesięciu studentów z ostatnich lat SGGW. Pojechaliby na farmy, pracowaliby przez rok, a w ten sposób zapoznaliby się z najbardziej nowoczesnym rolnictwem. Thurl powiedział, że pomyśli, skonsultuje się z przełożonymi. Poszedłem z tą myślą do rektora SGGW, do ministra oświaty. Obaj patrzyli na mnie, jakbym miał trochę źle w głowie, bo kierunek polityki polskiej, narzucony przez Związek Radziecki, był wrogi Ameryce, ale potem zgodzili się. Metzger uzyskał także zgodę swoich władz zwierzchnich.

Wybraliśmy więc w SGGW dziesięciu studentów i jedną studentkę. Jesienią 1947 r. płynęli „Batorym” do Ameryki. Ministerstwo Oświaty opłaciło przejazd w obie strony. Bracia odebrali ich i porozdzielali po jednym na farmę. Byli wśród tych studentów późniejszy rektor SGGW prof. Jasiorowski, późniejsi profesorowie Jakubczyk i Moskał, sekretarz naukowy Instytutu Sadownictwa - prof. Soczek. Stażyści mieli pracować w Ameryce przez jeden rok. W następnym roku zaczęła się zimna wojna, wrócili po dziesięciu miesiącach, bo odwołani przez rząd polski. Jeden „wybrał wolność” i ożenił się z o wiele starszą od siebie bogatą wdową. W 1956 r. udało mu się uzyskać z kolei wolność od żony i wrócił na stałe do kraju. Ale na tym nie skończyły się rolnicze staże amerykańskie, które organizowałem z pomocą Kościoła Braci. Ich dalsza historia miała być napisana w latach 1957-1983.

W ciągu pierwszych czterech lat po wojnie reżym komunistyczny w Polsce poza krwawym tłumieniem „band” i wspomnianym, ale jeszcze ograniczonym, bezprawiu Bezpieki, nie pokazywał swego oblicza. Zezwalał na utrzymywanie się wielopartyjnego systemu politycznego. Działały przecież PPS i PSL i Stronnictwo Pracy, chociaż faktycznie rządziła PPR. Przyjechał z Anglii Mikołajczyk, został nawet wicepremierem. Stopniowo jednak ograniczano działalność innych stronnictw. Aresztowano co roku coraz to więcej ludzi, którzy po wojnie wrócili z zachodu i oskarżano ich o szpiegostwo.

Nie ma rzeczy czarnych i zupełnie białych. Miał też komunizm pewne dodatnie cechy. Jedną z nich było popieranie rozwoju nauki w sposób, o którym dotychczas nikt w Polsce nie marzył. Każde z ministerstw zajęło się rozbudową szkolnictwa i badań naukowych w zakresie

swego resortu. Dotyczyło to i Ministerstwa Rolnictwa, gdzie działała Makarewiczowa. Potrafiła ona wykorzystać starych, przedwojennych specjalistów. Jednym z nich był inż. Woyno, przedwojenny kierownik inspektoratu doświadczalnictwa rolniczego, człowiek bardzo poważny i bardzo mądry.

Poznaliśmy się u Makarowiczowej. Woyno widząc, że o doświadczalnictwie sadowniczym wiem wiele, postanowił mi pomóc. Znowu przydzielili mi kilka etatów, na których mógłbym w swojej Katedrze zatrudnić wszystkich obiecujących, kończących studia ogrodnicze młodych ludzi i wdrażyć ich do pracy badawczej. Zorganizował Komisję Doświadczalnictwa Sadowniczego, do której powołano wszystkich wykładowców sadownictwa na wyższych uczelniach oraz sadowników specjalistów z PINGW, a mnie na przewodniczącego Komisji. Mieliśmy wspólnie opracować jednolity plan polskiego doświadczalnictwa sadowniczego, a Ministerstwo oddało do naszej dyspozycji fundusze, które pomogłyby wprowadzić ten plan w życie.

Wiosną 1947 r. zwołałem Komisję. Pech chciał, że tego dnia dostałem chrypki, że prawie straciłem głos. W piśmie zapraszającym prosiłem, aby każdy z członków Komisji przygotował swoje propozycje. Prosiłem o przedstawienie ich, a sam postanowiłem zabrać głos na końcu. Zaproponowałem:

- Opracowanie metody wdrożenia drzew niskopiennych zamiast wysokopiennych.
- Opracowanie systemu pielęgnowania gleby w sadzie niskopiennym z możliwością wprowadzenia przynajmniej częściowego trwałego zadarniania.
- Opracowanie metod nowoczesnej ochrony sadów przed chorobami i szkodnikami.
- Doprowadzenie sadów jabłoniowych do corocznego owocowania.
- Wyselekcjonowanie najlepszych odmian drzew owocowych i znaczne zmniejszenie liczby odmian zalecanych do powszechnej uprawy.

Po długiej dyskusji mój program został przyjęty w całości. Wydaje mi się, że członkowie Komisji zostali przeze mnie raczej przekonani niż zmuszeni do zgody na moje postulaty. Dowodem tego była bardzo ścisła współpraca, która z miejsca zaowocowała. Ponieważ problem fizjologii owoców w czasie posprzętnego dojrzewania był w Polsce zupełnie nie znany, zorganizowałem w Skierniewicach jesienią 1947 r. miesięczne seminarium dla zgłębienia zagadnienia. Uczestnicy mieli prowadzić szereg ćwiczeń dotyczących pomiarów transpiracji i oddychania jabłek oraz rozpoznania chorób fizjologicznych owoców w przechowalni i chłodni. Posłałem pismo do swych Kolegów, ale napisałem, że zapraszam ich asystentów. Gdyby zaś oni sami przyjechali, byłiby mile widziani. Zjawili się wszyscy, na czym mi bardzo zależało i co mnie przyjemnie zdziwiło. Pracowałem cały czas wraz z nimi, aby móc się podzielić wiedzą, jaką zdobyłem w Ameryce, i aby nikt nie odczuł żadnego dystansu.

Do połowych prac doświadczalnych miałem dwudziestohektarowy sad pomologiczny w Skierniewicach, a także dwa duże sady SGGW w Sinołęce i w Nowej Wsi. Tamte sady były jednak daleko, dojazd do nich zabierał dużo czasu. Potrzebne było mi jeszcze jedno duże gospodarstwo w bezpośredniej bliskości Skierniewic, abym mógł w nim założyć duży sad doświadczalny. W odległości 5 km od Skierniewic znajdowało się gospodarstwo państwowe - Dąbrowice. Jego obszar wynosił ponad 140 ha. Nie było to wiele. Zwróciłem się więc z prośbą do SGGW i bez żadnych trudności, uczelnia gospodarstwo przyjęła. W roku następnym zacząłem zakładać pierwsze sady dla realizowania programu uchwalonego przez omawianą wyżej Komisję Sadowniczą zorganizowaną w Ministerstwie Rolnictwa. Dąbrowice stały się w przyszłości Centralnym Sadem Doświadczalnym Instytutu Sadownictwa.

Rozpocząłem także akcję publicystyczną. Niezmiennie - jako najistotniejsze moim zdaniem - wysuwałem trzy postulaty:

- przejście z drzew wysokopiennych na niskopiennie. Nigdzie w świecie, z wyjątkiem paru najbardziej zacofanych rejonów w środkowej Europie, nie sadzono już drzew wysokopiennych. Nie sadzono ich nigdy, nawet w przeszłości, ani w dawnej Rosji, ani w Stanach Zjednoczonych.
- Zredukowanie ilości odmian uprawianych w kraju i wybranie niewielu, ale najcenniejszych, do szerokiego rozpowszechniania. Ogromną bolączką naszych sadów było to, że w każdym z nich uprawiano wiele odmian. Wskutek tego nawet w dużych sadach nie można było zebrać większej ilości jednolitych owoców tej samej odmiany co jest podstawą handlu.
- Racjonalna ochrona sadów przed chorobami i szkodnikami. Choroby i szkodniki niszczyły więcej niż połowę plonu.

Stosunkowo najlepiej przedstawiała się sprawa odmian. Ministerstwo Rolnictwa jeszcze przed wojną powołało tak zwaną Komisję Pomologiczną, coś w rodzaju Sejmu Sadowniczego. W jego skład wchodziło ponad sto osób, oprócz pracowników naukowych także po kilka osób z każdego województwa. Tak więc i teraz zwołało Ministerstwo Rolnictwa Komisję Pomologiczną. Przewodniczącym znowu wybrano mnie. Przyjmując wybór powiedziałem, że rzeczywiście nie mogło być lepszego kandydata na przewodniczącego. Jestem jedynym sadownikiem na sali, który się na polskich odmianach nie zna, bo pracuje w Polsce za krótko. Moja ignorancja w sprawach odmian będzie więc absolutną gwarancją bezstronności. Jedno tylko chciałbym osiągnąć - musimy bardzo ograniczyć liczbę zalecanych do szerokiego upowszechniania odmian, które będą miały prawo być rozmnażane w szkółkach.

Obrady prowadziłem zgodnie z przyjętym założeniem ograniczenia liczebności odmian. Aż tu nagle wstał dr T. i zaproponował, żeby do tej listy dodać jeszcze 26 odmian jabłoni dla warunków podgórskich. Uzasadniłem niewłaściwość wniosku, ale poddałem go pod głosowanie. Wniosek przepadł. Wówczas dr Tomkiewicz, wysoki, z białą brodą prawie do pasa, wskoczył na krzesło i dramatycznym gestem wskazując moją mizerną osobę, krzyknął rozdzierającym głosem:

- Ten tygrys gubi polskie sadownictwo.

Gromki śmiech zabrzmiał na sali.

Dr Tomkiewicz był bardzo oryginalną osobistością. Jeszcze przed wojną wykładał w Cieszynie sadownictwo. Teraz był na emeryturze, miał swój duży, prywatny sad koło Jasła. Pojechałem do niego jesienią 1948 r. Sad w murawie, między drzewami pasą się krowy. Na drzewach ani jednego jabłka.

- Ach panie profesorze, czemu Pan w zeszłym roku do mnie nie przyjechał? Na każdym drzewie gałęzie łamały się od ciężaru owoców!

Cóż mu miałem powiedzieć? Tylko to, że takie drzewa, które owocują tak obficie w jednym roku, a wcale w drugim, warte są tego, żeby je wyciąć i wrzucić w ogień. Sad Tomkiewicza byłby przykładem zacofania nawet na czasy sprzed pierwszej wojny światowej, a cóż dopiero teraz.

Najtrudniejszą była sprawa wysokości pni drzew owocowych. Zeszło mi prawie dwadzieścia pięć lat, by się z nią uporać, i zamiast wysokopiennych, wprowadzić drzewa niskopiennie. Spotykałem się tu ze zdecydowanym oporem wszystkich sadowników-praktyków, a nawet z oporem pewnej części konserwatywnych pracowników naukowych. Tymczasem sadownicy mówili tak: nie możemy sadzić drzew niskopiennych, bo zjedzą je zające. Drzewa wysokopiennie ochro-



nimy przed gryzoniami owijając ich pnie słomą. Poza tym, jak będziemy glebę pod koronami drzew niskopiennych uprawiać? Pod korony drzew wysokopiennych wejdzie z narzędziami uprawowymi koń, pod korony drzew niskopiennych nie wejdzie. Trzeba by tam glebę ręcznie przekopywać, a to czynność zbyt pracochłonna.

Żadnej z tych trudności nie dyskutują dzisiejsi, nowocześni sadownicy. Grodzą sady siatką dla ochrony przed zającami. Pod koronami drzew niskopiennych ziemi nie przekopują. Najczęściej utrzymują tam glebę w czarnym ugorze herbicydami.

## Polityczne decyzje

Stalin uznał jednak, że czas na to, by skończyć w Polsce okres przejściowy i wprowadzić radziecki system komunistyczny. Dnia 15 grudnia 1948 r. dokonano „zjednoczenia” PPR i PPS, a raczej wchłonięcia PPS przez PPR. Pozostawiono wprawdzie satelitarne Stronnictwo Demokratyczne i Zjednoczone Stronnictwo Ludowe, ale nie miały one wiele do powiedzenia. Ogłoszono program współdzielenia rolnictwa, zaczął się prawdziwy terror, okres, który został nazwany okresem stalinizmu. Była to nawet nie dyktatura partii, ale dyktatura pierwszego sekretarza partii i jego kliki, a nazywano ją dyktaturą proletariatu.

Głoszono hasło, że w miarę budowy społeczeństwa socjalistycznego walka klasowa zamiast zanikać przybiera na ostrości, wobec czego konieczne jest zdwojenie czujności. Tak działo się i w innych państwach demokracji ludowych. Przeciwników politycznych skazywano na śmierć. Wielu innych zwłaszcza w wojsku, gdzie szczególnie srożyli się „doradcy” radzieccy, a poza wojskiem także tych co po wojnie wrócili z Zachodu, stracono. Jeszcze więcej było takich, których aresztowano, terroryzowano i trzymano w więzieniach.

W takiej to atmosferze, w końcu 1951 r. postanowiłem wstąpić do partii. Powody mojej decyzji były różnorakie. Nie wygasły jeszcze we mnie lewicowe poglądy, w części pozostały mi do dziś. Nie miały one nic wspólnego ze stalinizmem. Zdawało mi się wtedy, że jeśli więcej takich jak ja wstąpiłoby do partii, to moglibyśmy zmienić jej kierunek. Widziałem, że ludzie będący poza partią, nie mają żadnego wpływu na to, co się w Polsce dzieje. A ja chciałem mieć wpływ, przede wszystkim na rozwój naszego sadownictwa. Muszę też przyznać, że w tym okresie terroru, ostrzeżony przez przyjazne mi osoby, trochę się bałem. Nie wróciłem po to, aby pójść do więzienia. Wróciłem, bo chciałem w umiłowanej dziedzinie zrobić jak najwięcej. Stało się dla mnie jasne, że bez wstąpienia do partii, jej władze nie pozwolą mi na szerszą działalność w organizacji sadownictwa.

Długo pozostawałem w szeregach kandydatów, bo dopiero w roku 1952 zostałem przyjęty na członka podstawowej organizacji partyjnej w SGGW. Przeszedłem niewielką ilością głosów, bo niektórzy gorliwcy wypominali mi nie tylko imperializm amerykański, ale nawet klerikalizm lat młodości, moje trzy lata w sutannie. Najbardziej zaś nie podobał się prawdziwym komunistom mój udział w różnych dyskusjach i utarczkach, bo starałem się bronić prawa jednostki do jej samodzielności.

W 1949 r. rektor SGGW w Warszawie powierzył mi swoje przedstawicielstwo Zakładów SGGW w Skierniewicach. Miałem w związku z tym wiele zatargów z miastem i z powiatem. Chodziło tu zwykle o posiadłości SGGW na terenie miasta. Gdy tylko miasto coś chciało budować, zwracało oczy na nasze grunty, bo to było najłatwiej, a ja odmawiałem. Jeśli naciski były zbyt silne, potrafiłem znaleźć obronę w Ministerstwie Oświaty czy też w Wydziale Nauki i Oświaty K.C. Nie znaczy to, że odmawiałem zawsze. W pewnych przypadkach uznawałem, że interesy miasta były tak ważne, że trzeba było ustąpić. Zgodziłem się na oddanie kilku hektarów gruntów przylegających do małego, starego szpitala, aby wybudowano na nich nowy szpital, kilka razy większy.

Nie ustępowałem tam, gdy byłem przekonany, że jakiś projektowany obiekt mógł być wybudowany w innym miejscu.

We wczesnych latach 50-tych popadłem w najbardziej niebezpieczny konflikt z Komitetem Powiatowym. Komitet mieścił się w jakimś starym, nie nadającym się do tego celu budynku.

Przyznano kredyty, aby wybudować, jak na te czasy, okazałą siedzibę. Postanowiono postawić ten budynek w Osadzie Pałacowej na południowej stronie półek doświadczalnych Katedry Warzywnictwa, niedaleko dobrze urządzonej szklarni doświadczalnych. Zaciemniałoby to szklarnie, zniszczyłoby dobrze pracujący warsztat naukowy. Zostałem wezwany na posiedzenie komisji, która się tą sprawą zajmowała. Powiedziałem, że tak nie można, bo budynek przecież zaciemni szklarnie. Proponowałem, aby został on wystawiony około 50 m na zachód, na skraju parku, ale w miejscu akurat drzew pozbawionych. Drzew nie trzeba będzie wycinać, a i miejsce będzie o wiele ładniejsze, otoczone z trzech stron drzewami. Rej w tej komisji wodził niejaki R., szef powiatowych władz bezpieczeństwa, typ bardzo ujemny. Nie ukrywał tego, że chce zrobić na złość kierownikowi Katedry Warzywnictwa, którego uważał za reakcjonistę. Moje argumenty, że przecież nie wolno niszczyć warsztatu pracy naukowej tylko dlatego, żeby komuś zrobić na złość, na nic się nie zdały. Komisja zatwierdziła lokalizację przy moim votum separatum. Zwrócono się z apelem do społeczeństwa, aby pod hasłem „Całe miasto buduje Dom Partii”, zgłaszało się na ochotnika do kopania wykopów pod fundamenty. Zobowiązano mnie, abym do tej pracy prowadził także studentów.

Powiedziałem, że studentów nie przyprowadzę, a od decyzji Komisji odwołam się do władz wyższych. Pojechałem do Ministerstwa Oświaty. Przyjechał naczelnik K., człowiek bojaźliwy, który na wszystkie projekty Komitetu się zgodził. Udałem się wtedy do dr P., kierownika Wydziału Nauki i Oświaty KC. W mieście zrobiło się głośno o tym, że odwołuję się od decyzji miejscowej komisji. Stosując politykę faktów dokonanych, zajęto teren i zaczęto robić wykopy przy pomocy gromadzenia spędzonych w tym celu „ochotników”. Miasto się gorączkowało, podobno zaczęto przyjmować zakłady, kto wygra w tym zatargu.

Tymczasem na miejsce przyjechał Mijał, który był wtedy jednym z sekretarzy KC. Poproszono Komisję, poszliśmy w teren. Sekretarz KC zapytał po prostu, czy teren, który proponuje prof. Pieniążek nie jest pod budynek odpowiedni? Nawet R. stracił na swej buńczuczności, bo przecież dziecko widziało, że teren który proponowałem, jest o wiele lepszy od tego, na który zdecydowała się Komisja. Powiedział wreszcie: „No tak, zawiniliśmy, ale już teraz nie możemy się cofnąć. Na mieście zakładają się kto wygra, Pieniążek czy partia, a do tego, żeby partia przegrała, nie możemy pozwolić.”

Sekretarz pomyślał trochę, pokiwał głową i powiedział, że gdybyśmy postawili tu budynek komitetu powiatowego, przez głupotę, zaślepienie i złośliwość członków Komisji zniszczyli warsztat naukowy, wtedy doprowadzilibyśmy do przegranej partii. Wykopy trzeba zasypać, a budynek postawić o 50 m dalej. To będzie wielka wygrana, a nie przegrana, gdy społeczeństwo przekona się, że partia potrafi się wycofać z błędów, popełnionych przez swoich członków, a winnych ukarać.

Budynek Komitetu stanął w proponowanym przeze mnie miejscu. Zmieniono władze partyjne w mieście i w powiecie. Osobiście najbardziej ucieszyłem się z zabrania ze Skierniewic R. Był czas, kiedy w Skierniewicach grasował bandyta i zboczeniec. Napadał także nasze studentki. W nocy włamał się do mieszkania jednej z asystentek, zgwałcił ją i obrabował. Gdy poszedłem z tym do R., zareagował tylko sprośnym dowcipem. Dopiero w rok później, gdy zboczeniec popełnił parę morderstw, między innymi zabił milicjanta, schwytano mordercę i skazano na śmierć.

## Rolnictwo polskie 1946-1956

W latach 50-tych, w niektórych pegeerach istniały sady założone przez poprzednich właścicieli czy dyrektorów. W Ministerstwie PGR wydziałem ogrodniczym kierował mgr K. Z jego inicjatywy założono w PGR-ach w początku lat pięćdziesiątych kilkanaście dużych, około stu hektarowych sadów. W moich wykładach mówiłem studentom o wyższości wielkotowarowej produkcji owoców nad drobnotowarową. Dodawałem jednak, aby nie szli sprawdzać słuszności moich słów do sadów pegeerowskich. Tam mogliby dojść do wręcz przeciwnego wniosku.

Sady pegeerowskie przedstawiały obraz najwyższego zaniedbania, bo stanowiły najczęściej tylko część gospodarstwa rolnego. Komitety powiatowe PZPR, a nawet Powiatowe Urzędy Bezpieczeństwa, czuwały nad każdym PGR-em, aby na czas zasiano i zebrano zboże i inne płody rolne. Czasem kazano kosić za wcześnie, byle pochwalić się przed władzami, że oto oni pierwsi zaczęli żniwa. Za niewykonanie siewów i zbiorów na czas dyrektor pegeeru mógł nie tylko z miejsca stracić posadę, ale nawet pójść do więzienia. Za to, że ze stu hektarowego sadu nie zebrano żadnego plonu, nic mu nigdy nie groziło.

W tym czasie prawie 80% ziemi należało do gospodarstw indywidualnych. Opracowano plan ich spółdzielnienia, tak jak zrobiono w Związku Radzieckim. Takie same plany spółdzielnienia rolnictwa opracowano jednocześnie w Polsce, w NRD, w Czechosłowacji, na Węgrzech, w Bułgarii i w Rumunii. Przyzwyczajeni do dawnej samodzielności, chłopcy polscy nie poszli do spółdzielczości produkcyjnej z własnej woli. Trzeba ich było do tego zmusić. Musiało to zdziwić Hilarego Minca, jednego z głównych ideologów i ekonomistów PPR, który to napisał w nr 22 Nowych Dróg w 1948 r. w artykule „Bieżące działania Partii w zakresie politycznym i społecznym”, „...Przypuszczamy, że w 1949 r. i w latach następnych chętnych do organizowania spółdzielni (produkcyjnych) będzie znacznie więcej, niż będzie można tych spółdzielni, wychodząc z bazy maszynowej i finansowej, organizować. Dlatego wypadnie prawdopodobnie tych chętnych szeregować, ustawiać ich, że tak powiem, w kolejce, a tylko najlepiej przygotowanych do tworzenia spółdzielni produkcyjnych przyjmować.”

Zastosowano przymus fizyczny i ekonomiczny. Przymus ekonomiczny polegał na tym, że indywidualne gospodarstwa obłożono podatkami i przestano zaopatrywać je w środki produkcji. W takich państwach jak NRD, Czechosłowacja, Węgry, Bułgaria i Rumunia środki przymusu, zwłaszcza fizyczne, polegające na zastraszeniu, więzieniu itp. były stosowane na znacznie większą skalę niż w Polsce. Przyniosły oczekiwane efekty. W ciągu kilku lat całość gospodarki indywidualnej uległa tam spółdzielni. Spowodowało to zwłaszcza w pierwszych latach skutki ujemne, przede wszystkim spadek produkcji rolnej z hektara, spadek produkcji zwierzęcej, a nawet dosłowny głód.

W Polsce postanowiono w 1949 r. złączyć gospodarstwa indywidualne w Spółdzielnie Produkcyjne. Polska nie była jednak krajem, w którym można byłoby zastosować tak brutalny przymus fizyczny. Dlatego też organizowanie spółdzielczości rolnej natrafiło u nas na znacznie większe trudności niż się spodziewano.

Terroru fizycznego nie stosowano jako metody powszechnej, jego przypadki były nieliczne. Najbardziej jaskrawe jego przejawy wystąpiły w Gryficach w woj. szczecińskim Tuż przed Październikiem wywołały one silny odzew nawet w prasie komunistycznej. Sprawcy terroru zostali ukarani. Więcej takich przypadków nie było. Polegano głównie na nacisku ekonomicznym i na propagandzie. Zorganizowano nagonkę na bogatszych gospodarzy nazywając ich „kułakami”.

Okładano ich wysokimi podatkami, ich dzieci nie przyjmowano do średnich i wyższych szkół. Organizowano spółdzielnie produkcyjne nawet tam, gdzie tylko kilka rodzin, często nie najgospodarniejszych wyraziło na to zgodę. Dawano im ziemię, dotacje i przywileje, które wiele państwo kosztowały.

Zdarzało się, że zastraszeni rolnicy wstępowali do spółdzielni, ale utrzymywali się z pracy gdzie indziej, a na wspólnym nie pracowali. Zasiać, to i zasiał, ale nawet zebrać nie było komu. Organizowano więc pomoc z miasta, z różnych miejskich organizacji partyjnych, z fabryk i instytucji. Taka pomoc najczęściej była zupełnie bezowocna. Tylko w prasie pisało się o niej szumne artykuły jako o przykładach działania sojuszu robotniczo-chłopskiego; mówiło o tej pomocy radio. Pracą propagandową i organizacyjną zajmowali się ludzie niewiele warci. Pamiętam przy jakiejś okazji swoją wizytę w specjalnej szkole, jaką założono dla szkolenia przewodniczących spółdzielni produkcyjnych w Ursynowie koło Wilanowa. Do szkoły tej należało kilkadziesiąt ha ziemi, na której uprawiano normalne rośliny rolnicze. Przyjechaliśmy tam z grupą profesorów-rolników, by moralnie podeprzeć szkolących się przewodniczących spółdzielni produkcyjnych. Był koniec czerwca. Wyszliśmy w pole. Rosło coś takiego, co „znawcy” - rolnicy określili jako żyto, ale botanik uznałby raczej za interesujące zbiorowisko chwastów. Zwróciłem na to uwagę dyrektorowi szkoły, a on się jeszcze obraził. „Ja nie jestem rolnik - powiada - tylko polityk. Naszym zadaniem jest tu wyrabiać wysoką świadomość polityczno-społeczną przewodniczących spółdzielni produkcyjnych, a nie szkolić ich rolniczo.” Chłopi nie mieli zaufania do organizatorów spółdzielczości, bo metody ich pracy opierały się najczęściej na fałszu, na nieprawdzie, na przekonywaniu, że „białe jest czarne, a czarne jest białe”.

Przytaczając poniższy przykład pragnę zwrócić uwagę na to, co działo się w sadownictwie. Uwagę moją zwrócił artykuł w „Trybunie Ludu”. Ponieważ hołdowano wtedy modzie, że „miasto pomaga wsi”, LOT przyjął opiekę nad jedną ze spółdzielni produkcyjnych w grójeckiem. Była to spółdzielnia sadownicza, która - jak się dalej przekonamy - w prymitywny sposób starała się ochronić drzewa owocowe przed chorobami i szkodnikami. A więc LOT w imię sojuszu robotniczo-chłopskiego przysłał samolot i opryskał sady spółdzielni. Zgromadzeni w sadzie członkowie spółdzielni i ich rodziny podziwiali cud techniki i wygłaszali płomienne przemówienia, dziękując miastu za pomoc. Tak pisała gazeta. Tak się złożyło, że tego wieczoru poszedłem do kina i w dodatku filmowym zobaczyłem rzecz całą. Nad bezlistnym jeszcze sadem, było to dopiero przedwiośnie, latał niziutko samolot, zaledwie kilka metrów nad wierzchołkami drzew i rozpryskiwał ciecz owadobójczą.

Wyszedłem z kina wstrząśnięty. Oto na moich oczach dzieje się w polskim sadownictwie coś przełomowego, a ja, dyrektor działającego już od lat Instytutu Sadownictwa, nic o tym nie wiem. Nie zawiadomił mnie o swej akcji ani LOT, ani Ministerstwo Rolnictwa, ani ta sadownicza spółdzielnia produkcyjna.

Opryskiwanie sadów z powietrza nie było mi obce. W 1945 r. latem wraz z dr Howardem, profesorem fitopatologii z Uniwersytetu Rhode Island, latałem parę razy helikopterem w stanie Connecticut w USA i opryskiwałem sady środkami owadobójczymi. Opryskiwanie z powietrza z założenia nie może być dokładne, ale chodziło tu o zwalczanie gąsienic pożerających liście. Gdyby tylko co drugi czy co trzeci liść został opryskany, to i tak zabieg wywarłby pożądany skutek. Po zjedzeniu jednego czy dwóch nie opryskanych liści gąsienica natrafiłaby wreszcie na liść opryskany i skończyłaby swój nędzny żywot.

Tu tymczasem chodziło o opryskiwanie zwane zimowym lub wczesnowiosennym, gdzie stosuje się karbolinę do niszczenia jaj mszyc i innych owadów, oraz do zabijania larw miseczn-

ka śliwowego. Opryskiwanie zimowe jest tylko wtedy skuteczne, jeśli jest obfite, jeśli ciecz tak opływa gałęzie, że wnika do wszystkich zagłębień i pęknięć kory, w których kryją się szkodniki. Zgodnie z moim rozumowaniem opryskiwanie sadu karboliną z powietrza nie mogło być skuteczne, bo użyta ilość karboliny jest w takich przypadkach zbyt mała, po prostu znikoma. Jej drobne kropelki osiadają wprawdzie tu i ówdzie na gałązkach, ale mowy być nie może o tym, by ciecz spływała po konarach, by wypełniła spęknięcia kory. Na drugi dzień wraz z pracownikami Instytutu, specjalistami od ochrony sadów, pojechałem samochodem do spółdzielni produkcyjnej porozmawiać z sadownikami na temat opryskiwania z samolotu. Nie byli to nowicjusze. Na sadach się znali. Wiedzieli, jak należy stosować opryskiwanie zimowe karboliną. Śmiali się, kiedy opowiadali, jak samolot latał nad sadem, a ekipa filmowa została na ziemi. Stali między rzędami drzew w sadzie.

- A nie bali się, że samolot popryska ich karboliną?

- Gdzie tam! Był duży wiatr i te niewielkie ilości karboliny, których nawet dojrzeć w powietrzu nie było można, znosił na bok, na pola.

A dodatkowo ogarnęła ich wściekłość, że spędzono ich wszystkich wraz z rodzinami i przez dwie godziny mówiono o cudach techniki, o sojuszu robotniczo-rolniczym, o pomocy dla wsi, przekonywano, że to, co w ich pojęciu było czarne, jest białe.

Poszliśmy do sadu. Popatrzyłem przez lupę na gałązki. Larwy misecznika śliwowego raźnie biegały sobie we wszystkie strony. Ściąłem kilka gałązek z jajami mszyc. Umieszczone w laboratorium wylęgły się co do jednego, nic im opryskiwanie nie zaszkodziło.

Cóż mogłem zrobić? Napisałem pełen oburzenia artykuł - do „Trybuny Ludu”. Opisałem rzecz całą i wyraziłem opinię, że ci, co opryskiwali sad karboliną z samolotu sabotują socjalizm, ponieważ sadownicza spółdzielczość produkcyjna, chyba zna się na rzeczy.

Nie zawahałem się ani przez chwilę, czy „Trybuna Ludu” wydrukuje mój artykuł? I wydrukowali. Był to okres, w którym zbierało się na odwilż. Ale tymczasem nastąpiła burza. Generalny dyrektor LOT-u, zresztą generał, przyjechał wściekły do redakcji żądając mej głowy. Na dowód swoich zasług w podążaniu za Krajem Rad przyniósł stary radziecki plakat, pokazujący samolot latający nad sadami właśnie w okresie bezlistnym, a więc pewnie opryskujący je karboliną.

Cóż miałem na swoją obronę? Bo teraz już należało mi się bronić. Tylko niezaprzeczalny fakt, że opryskiwanie sadu karboliną w grójeckiej spółdzielni nie zniszczyło szkodników.

W dwadzieścia lat później spotkałem w sanatorium starego już człowieka, emeryta, który w owych czasach był redaktorem „Trybuny Ludu” i wydrukował mój artykuł. Opowiadał, ile miał z tego powodu kłopotów i w ilu instancjach musiał się tłumaczyć. Mimo to nie zmuszono redaktora do wydrukowania artykułu generała, w którym zarzucał mi negowanie radzieckich doświadczeń.

Mimo wszelkich wysiłków rządu i propagandy nigdy ilość ziemi w Polsce, objęta spółdzielniami produkcyjnymi, nie osiągnęła 10% obszaru ziemi uprawnej. Ogromna większość spółdzielni rozpadła się po październiku 1956 r. Pozostało ich niewiele, niektóre jako tako sobie radziły tylko dlatego, że były przez Państwo wysoce uprzywilejowane. Prawie nie płaciły podatków, otrzymywały dotacje lub bezprocentowe pożyczki, miały pierwszeństwo w zakupie maszyn i narzędzi rolniczych.

## Biologia miczurinowska

W końcu lat czterdziestych wybuchła sprawa tak zwanej nowej biologii, zwanej też biologią miczurinowską, twórczym darwinizmem lub genetyką miczurinowską. Miczurin był sadownikiem-samoukiem. Urodził się w 1855 r. pracował w Kozłowie, który potem na jego cześć przemianowano na Miczurińsk. Znaczną większość swoich prac wykonał przed 1900 r., kiedy nie zrodziła się jeszcze nauka o dziedziczności i zmienności, nazwana później genetyką. Miczurin był rzeczywiście genialnym obserwatorem. Miał wyjątkowy dar obserwacji i wysuwania z nich wniosków. Niektóre jego spostrzeżenia zostały potwierdzone przez naukę również i na zachodzie Europy, ale dopiero w latach sześćdziesiątych bieżącego stulecia.

Oczywiście nie wszystkie teorie Miczurina zostały nawet przez późniejsze badania uznane. Jedną z takich teorii, która okazała się później niesłuszna, była teoria zachowania cech nabytych drzew owocowych przy ich rozmnażaniu wegetatywnym. Oto najprostsza ilustracja tej teorii. Zaszczepił Miczurin w koronie odmiany odpornej na mróz zraz wzięty z młodej siewki. Uważał, że po kilku latach siewka ta nabywa odporności na mróz i rozmnażał ją przez szczepienie, czyli w sposób wegetatywny, jako nową, odporną na mróz odmianę.

Miczurin zyskał sobie w okresie międzywojennym ogromną, zasłużoną sławę. Lenin, jeszcze w czasie trwania rewolucji, zatroszczył się o warsztat pracy dla niego. W późniejszych latach stworzono mu wielką stację doświadczalną. Powązał go wielce i opiekował się nim największy radziecki biolog pierwszej połowy dwudziestego wieku, akademik Vawiłow. Mimo trudnych wtedy warunków podróżywania, urządzali do niego pielgrzymki sadownicy europejscy i amerykańscy, jak dr Hansen z South Dakota.

Miczurin zmarł w 1936 r. w wieku osiemdziesięciu lat. Jego pracami zainteresował się młody ukraiński hodowca roślin i fizjolog, Trofim D. Łysenko. Jego nazwisko stało się głośnie z powodu jarowizacji, nad którą pracował. Jarowizacja polega na zabiegach, które pozwalają na wiosenny wysiew ozimych odmian zbóż. Jeszcze w czasie wojny Łysenko wystąpił z nową teorią, że dziedziczenie cech nabytych jest możliwe i że można je ukierunkować. Można by zilustrować tę teorię na następującym najprostszym przykładzie: oto bierzemy pszenicę i przez kilka pokoleń uprawiamy ją w tak idealnych warunkach, że wydaje bardzo wysokie plony. Wysoka plenność jest teraz jej cechą nabytą w wyniku wysokiej agrotechniki. Cecha ta staje się, a przynajmniej może się stać cechą dziedziczną. Pszenica będzie dawała wysokie plony, nawet w zwykłych warunkach.

Łysenko powoływał się na Miczurina, twierdząc, że to on stworzył taką teorię, ale Miczurin mówił o dziedziczeniu cech nabytych przy rozmnażaniu przez *szczepienia*, a nie *przez nasiona*. Łysenko nazwał swoją teorię biologią miczurinowską, twórczym darwinizmem lub genetyką miczurinowską. Z kolei przeciwko teorii Łysenki wystąpiła większość biologów radzieckich, ale Łysenko miał duży dar przekonywania, bowiem przekonał samego Stalina i jego otoczenie. Spowodował wtrącenie Vawiłowa do więzienia. Zorganizował w 1948 r. sesję Wszechzwiązkowej Akademii Nauk Rolniczych i autorytatywnie oświadczył, że jego teorię popiera Komitet Centralny Partii. Tylko kilku genetyków radzieckich miało odwagę jeszcze na tej sesji odrzucić ją. Większość, pod naciskiem Łysenki i jego protektorów wyklęła niejako genetykę dotychczasową, którą nazwano genetyką formalną, burżuazyjną, i przeszła, chcąc nie chcąc, do obozu Łysenki, albo przynajmniej głośno przeciw teorii nie śmiała protestować.

Biologię łysenkowską zaczęto także propagować w innych krajach socjalistycznych, a między innymi i w Polsce. Pierwszymi jej głosicielami byli: prof. D., biolog. Jego poglądy w

dziejnie biologii były nieco oryginalne nawet w okresie międzywojennym, bo opowiadał się za dziewiętnastowieczną teorią Lamarcka o możliwości dziedziczenia cech nabytych, przez ogół biologów świata nie uznawaną.

Aby zaznajomić polskich biologów i rolników z biologią Łysenkowską, dr P., dyrektor Instytutu Ekologii PAN, postanowił zorganizować wyprawę do źródła. Duża grupa miała wyjechać do Związku Radzieckiego. Wybrano w tym celu 21 osób, w tym i mnie, ale widocznie władze bezpieczeństwa miały zastrzeżenia co do wieloletniego pobytu w Ameryce. Paszportu nie dostałem do ostatniego dnia, ale P. opory przełamał. Wyjechaliśmy w początku września 1950 r. i przebywaliśmy w Związku Radzieckim sześć tygodni. Odbyliśmy ogromną podróż. Zwiedziliśmy Moskwę, Mieczysław, Stalingrad, Krasnograd, Krasnodar, Tbilisi, Batumi i Kostramę. Niezwykła była to podróż. Pojechaliśmy oczywiście pociągiem. W Brześciu sfotografowano wszystkich po kolei, odebrano nam paszporty i wręczono inne wypisane w alfabecie rosyjskim, z wykonanymi w Brześciu fotografiami. Pociąg ruszył w kierunku Moskwy, zatrzymując się na stacjach. Pierwszą bodajże była Bereza Kartuska. Miejscowe kobiety sprzedawały jabłka. Gdy jedna z nich spostrzegła naszą grupę i usłyszała, że mówimy po polsku, zapytała „Panie, kiedy tu będzie znowu Polska?”

Na dworcu w Moskwie powitał nas osobiście Łysenko. Byliśmy jego gośćmi jako Prezydenta Wszechzwiązkowej Akademii Nauk Rolniczych. Zamieszkaliśmy w hotelu „Nacjonal”, jednym z nielicznych w Moskwie, na Placu Czerwonym, przy ulicy Gorkiego.

Łysenko był człowiekiem niewysokiego wzrostu, ze spadającą na czoło siwiejącą czupryną, przykrywającą czasem jego ogromne, pałające oczy fanatyka. Mówił głosem ochrypłym, ale zatrzymującym uwagę, był dość niezwykły. Przyznaję, że pozostałem pod jego urokiem. Pracownik nauki może odnosić się nieufnie do interpretacji faktów przez innego pracownika, ale w jedno nie wątpi - w fakty. Jeśli mu inny pokazuje coś, co znalazł - nie myśli w to wątpić. Oto Łysenko pokazywał nam kłosa pszenicy, w których znajdowały się ziarna żyta. Mówił, że kłosa takie znalazł w łanie pszenicznym. Powiadał, że jest to dowód na przekształcenie się jednego gatunku w drugi. Uwierzyłem. Rosyjska gościnność polegała na urządzaniu codziennych, ciągłych się od północy uczt, obfitujących we wszystkiego rodzaju mięsa, ryby i kawior, a przede wszystkim alkohol. Wina poza Gruzją nie podawano, dopiero w latach sześćdziesiątych weszło ono w użycie w podciągającym się do poziomu europejskiego towarzystwie. Teraz dawano tylko wódkę. Polacy w czasie okupacji pić się nauczyli, ale gdzie tam im było do Rosjan!

Wjeżdżając na terytorium Związku Radzieckiego nie mogłem nie zauważyć, zwłaszcza po przekroczeniu dawnej polskiej granicy, jak niski i zaniedbany był stan rolnictwa. Nie skoszone zboża były nad wyraz marne, pola zachwaszczone, a orka przeprowadzona niedbale. Mijane po drodze miasta i miasteczka wydawały się mocno zniszczone przez wojnę, a w małej tylko części odbudowane. Dzielnice, które nie ucierpiały w czasie wojny też zaniedbane i przede wszystkim brudne. Teraz się widziało, dlaczego Kongresówka w Polsce była tak nieporządna i brudna w porównaniu z innymi zaborami, nawet ze znacznie biedniejszą południową Galicją.

Brudna i biedna była też Moskwa. Aż przykro było patrzeć na tłumy ludzi biednie ubranych, nawet obdartych i brudnych. Leżeli na dworcach kolejowych na podłogach, widocznie godzinami czekając na nieprawdopodobnie zapchane pociągi. Uderzało nas to, że kobiety wykonywały bardzo ciężkie prace. Przy przebudowie ulic rozbijały asfalt i beton pneumatycznymi młotami. Widzieliśmy je z ciężkimi kilofami w rękę na torach kolejowych.



Miasto wydało się nam miastem bez sklepów i bez restauracji. Otwarto jednak „Uniwersmag” (uniwersalnyj magazin), z którego miasto było niezmiernie dumne. Poszliśmy zobaczyć, kupić jakieś prezenty, ale zakupy w Uniwersmagu, jak jeszcze przez wiele lat w podobnych sklepach, były „Chażdżenie pa mukam” (drogą przez mękę). Zaplanowano je fatalnie, a zapchane były ludźmi niesamowicie. Zaopatrywali się w nich nie tylko moskwiczanie, ale i przyjezdni z prowincji, gdzie w ogóle nic kupić nie było można.

W Moskwie spędziliśmy tydzień. Pokazano nam wszystko to, co w mieście najcenniejsze i najciekawsze. Zaczęło się oczywiście od Mauzoleum Lenina, do którego stała zawsze kilometrów kolejka. Nas wpuszczono bez kolejki. Potem Muzeum Lenina. Najciekawszy był oczywiście Kreml ze wspaniałymi bogatymi cerkwiami. Każdą cerkiew na Kremlu zamieniono w Muzeum. W śródmieściu też jest wiele cerkwi. Niektóre zburzono wprawdzie przy przebudowie ulic. Duża większość jednak pozostała. Nie widziałem cerkwi czynnej, chociaż takie podobno były. Większość cerkwi była zaniedbana, drzwi i okna zabite deskami. Jedną z najpiękniejszych, cerkiew Bazyla Błazennego na Placu Czerwonym obok Kremla, zamieniono nawet na Muzeum Ateizmu.

Większą jednak część czasu w Moskwie wypełniał program naukowy. Zwiedziliśmy Timiriazewkę, czyli Akademię Rolniczą im. Timiriazewa, odpowiednik naszej SGGW w Warszawie. Poznałem tam bardzo miłego i kulturalnego prof. Kolesnikowa, kierownika katedry Sadownictwa. Przynajmniej 10 lat starszy ode mnie, pochodził z rodziny inteligenckiej. Powiedział mi, później, że jego żona skończyła przyklasztorną szkołę średnią.

Ile razy spotkaliśmy się z grupą profesorów i innych uczonych radzieckich, zauważyliśmy, że z żadnym z nich nie można było porozmawiać na osobności. Każdy zaraz wzywał do tej rozmowy jakiegoś kolegę. Bał się, żeby go nie posądzono, że na osobności zdradza nam jakieś sekrety, że wymieni jakieś krytyczne słowo pod adresem radzieckiego systemu politycznego. A było to w kraju, gdzie śpiewano:

Ja takoj drugiej strany nie znaju,  
gdzie tak wolno dyszit czelowiek.

Nasi radzieccy koledzy byli poza tym bardzo serdeczni i mili. Kiedy prosiliśmy ich o przysłanie odbitek swoich prac, obiecywali, że przyślą. Nie przysłali i na pisane do nich listy nie odpowiadali. Z Moskwy pojechaliśmy do Miczurińska. Mieliliśmy do dyspozycji wagon sypialny. Ani w Miczurińsku, ani w innych miastach, poza Moskwą i Tbilisi, nie nocowaliśmy w hotelach, lecz w naszym wagonie sypialnym na dworcach kolejowych. Widocznie nie było tam hoteli, które mogliby nam pokazać. W Miczurińsku poszliśmy pod pomnik Miczurina, zwiedziliśmy Wyższą Szkołę Ogrodniczą, Instytut Sadownictwa i Centralne Laboratorium Genetyczne im. Miczurina. Zobaczyłem tam pierwszy, wielki, bardzo piękny, pięćset hektarowy sad doświadczalny, należący do Instytutu Sadownictwa, którego dyrektorem był prof. Biełochonów. Sad był naprawdę bardzo piękny, drzewa może dziewięcioletnie, niskopienne, niczym nie uszkodzone, jedno w drugie tak, jakby były w fabryce odlane z jednej formy.

Wszystkie odmiany hodowli Miczurina, odporne na mróz i na choroby, ale niskiej jakości, dojrzewają jesienią. Widzieliśmy zebrane owoce i ułożone w wysokie pryzmy między drzewami. Pytaliśmy, dlaczego tak owoce w sadzie pozostawiono, a nie wstawiono ich do przechowalni. Czy Instytut nie ma przechowalni? Odpowiedziano, że Instytut przechowalni nie ma, bo

po co mu taki kłopot. Zaraz po zbiorze sprzedaje wszystkie jabłka państwowej instytucji handlowej, to najwygodniej. Jeśli im zgniją, to ich kłopot, nie mój.

Poza Timiriazewką, sad i sadownicze placówki naukowe w Miczurinsku były jedynymi jakie w czasie tej wyprawy widziałem. Byłem jedynym sadownikiem w naszej grupie, resztę stanowili rolnicy, więc nic dziwnego, że zwiedzaliśmy głównie obiekty rolnicze. Jeśli chodzi o naukowe placówki sadownicze, to zajmowały się one głównie hodowlą nowych odmian, za które hodowcy dostawali bardzo wysokie premie. Większość z tych odmian przedstawiała bardzo małą wartość w porównaniu z odmianami amerykańskimi, tych zaś nikt za czasów Stalina nie ważył się propagować.

Z Miczurińska pojechaliśmy jeszcze daleko na północ do Kostromy, aby obejrzeć jakieś wspaniałe krowy. Na targu w Kostromie sprzedawano coś, co nazywano „czarną jarzębiną”. Była to aronia, bardzo na mróz wytrzymała. Sprzedawczyni zachwalała ją jako „jako nasz siewiernyj winograd”.

Stamtąd do Stalingradu, jeszcze po wojnie po strasznych zniszczeniach nie odbudowanego. Piękna przejażdżka po Wołdze, ogromnie tu szerokiej. Kilka dni na stepach kubańskich, wspaniałych czarnoziemnych glebach. Zebrano już pszenicę. Leżała w ogromnych przyzmacach na ziemi przy stacjach kolejowych, niczym nie przykryta, czekała na transport. A co będzie, jak przyjdzie deszcze? Deszcze o tej porze nie padają - odpowiadano nam, ale bez przekonania.

Zwiedziliśmy przykładowe sowchozy i kołchozy, potem MTS - Maszynno-Traktornaja Stacja. Taka stacja obsługiwała kilka czy kilkanaście kołchozów w promieniu kilkudziesięciu kilometrów. Sowchozy miały swoje maszyny rolnicze, a kołchozy nie. W czasie wieczornej dyskusji zapytałem, czy nie lepiej byłoby porozdzielać maszyny pomiędzy poszczególne kołchozy i skasować Maszynno-Traktornyje Stacje. Dostałem za to kopnięcie w kostkę, tym razem od L., która już zwiedzała parę razy Związek Radziecki i znała podstawy jego polityki rolnej. Nasz przewodnik popatrzył na mnie ze zdumieniem w oczach i powiedział, że to takie jasne. Partia i rząd nie mogą oddać maszyn do poszczególnych kołchozów, bo przecież muszą regulować ich dopływ w skali całego państwa. W końcu lat pięćdziesiątych oddano jednak i u nich maszyny kołchozom.

Najciekawszą dla mnie z przyrodniczego, ale także i historycznego punktu widzenia, była wycieczka do Gruzji, do Tbilisi i Batumi. Do Tbilisi przejeżdżało się przez Kaukaz. W Batumi niemalże podzwrotnikowa roślinność. Po raz pierwszy w życiu zobaczyłem plantacje herbaty. Ponad tydzień spędziliśmy wśród Gruzinów, którzy zostali jak i my podbici przez Rosję. Mieli starą kulturę, starszą niż rosyjska. Zachowali swój alfabet, swoje narodowe zwyczaje. Wieczorne uczyty były jeszcze bardziej wystawne niż w Moskwie, trwały jeszcze dłużej, ale podawano głównie wino, a nie wódkę.

Wróciliśmy do Moskwy w końcu października, gdzie spędziliśmy znowu kilka dni, sporo czasu z Łysenką. Nie towarzyszył on nam we wszystkich naszych rozjazdach po ZSRR. Do Miczurińska z nami pojechał. W Moskwie i za pierwszym i za drugim razem prawie ciągle był z nami i przekonywał nas o słuszności swej teorii. Roztaczał przed nami świetlaną przyszłość swego kraju, a zwłaszcza przyszłość rolnictwa. Nie mogłem oderwać się od jego oczu, a reszty chyba dokonywał jego chrapliwy, niesamowity głos. Uwierzyłem mu. Wróciłem ze Związku Radzieckiego przekonany o słuszności jego teorii i stałem się jednym z najbardziej czynnych propagatorów łysenkizmu, niesłusznie zwanego miczurinizmem w Polsce. Następnie kilka lat oddałem mu swe pióro. Napisałem wiele dziesiątków artykułów w zawodowej prasie ogrodniczej, w prasie

rolniczej i ogólnej. Napisałem kilka broszur. Wygłaszałem wiele wykładów, zapraszany przez różne instytucje, dla reedukacji nauczycieli biologów. Aż pękło to wszystko jak bańka mydlana. Leningradzcy biolodzy wykazali, że teoria Łysenki nie polegała na faktach, lecz na świadomych lub nieświadomych oszustwach.

Jeśli ktoś obecnie, czy po mojej śmierci, chciałby analizować mój żywot, mogę mu sam podpowiedzieć, że moje opowiadanie się za genetyką łysenkowską stanowi najciemniejszą jego kartę. Przytaczałem już powody, dla których dałem się Łysence przekonać. Przyznaję jednak, że nie były to powody wystarczające. Powinienem więcej kierować się rozumem niż entuzjazmem. I znowu powiedzieć muszę, że genetykę łysenkowską głosiłem nie ze strachu, że stanie się ze mną coś złego, ale z przekonania, a to jeszcze gorzej o mnie świadczy.

Trzeba podkreślić, że nasze władze nie prześladowały dotkliwie tych naukowców, którzy nie opowiadali się za oficjalnie uznawanymi teoriami, ale nie pozwalano im prowadzić wykładów. Stało się to już w pierwszych latach po wojnie. Najbliższym mi przykładem takiego postępowania był w SGGW ekonomista rolny, prof. Żabko-Potopowicz. Będąc profesorem tej uczelni prowadził jedynie prace badawcze, ale nie wykladał.

Wkrótce po naszym powrocie z ZSRR zabroniono w uczelniach wyższych i szkołach średnich wykładów normalnej genetyki. Wprowadzono na jej miejsce genetykę łysenkowską. Nie pozwolono na Uniwersytecie Warszawskim wykładać prof. Gajewskiemu. Zajął się on tylko i wyłącznie pracą badawczą. Wyrósł na jednego z najwybitniejszych genetyków światowych. Odebrano wykłady prof. Malinowskiemu, pozwolono mu jednak pozostać przy pracy badawczej. Wykłady genetyki po nim w SGGW przejęła mgr Makarewicz, mianowana zastępcą profesora i kierownikiem Katedry genetyki. Do prof. Malinowskiego odnosiła się zawsze przychylnie, bardzo go szanowała.

Tak więc nie musiałem się obawiać, że zostanę usunięty z SGGW, jeśli nie opowiem się za Łysenką. Powtarzam, że nie opowiedziałem się za nim pod przymusem. Zdaję sobie sprawę, że przyjęcie łysenkizmu przeze mnie można by uznać za mniej ciemną kartę w moim życiu, gdybym z czystym sumieniem mógł powiedzieć: „Zrobiłem to pod przymusem, pod presją czy też ze strachu.”

Nie mogę jednak z zupełną pewnością powiedzieć, że gdzieś tam w nieświadomości uczucie zagrożenia nie grało jakiejś roli. Przecież Bezpieka bacznie patrzyła na moją przeszłość amerykańską, która nie była dla niej czysta. Może wiedziała o moim proteście, który wysłałem do radia w sprawie aresztowania gen. Okulickiego z grupą towarzyszących mu osób. Bezpieka na pewno nie była zachwycona tym, że wysłałem do Ameryki na roczny staż studentów z SGGW w 1947 r., a z wielką podejrzliwością śledziła utrzymywanie stałych kontaktów z moimi amerykańskimi kolegami. Skwapliwie notowała fakty, że mimo przynależności do Partii ciągle wypowiadałem poglądy zupełnie do jej ideologii nie pasujące.

## Instytut Sadownictwa

Nieustannie prowadziłem pracę pedagogiczną i naukową. Wychowałem już parę roczników sadowników. Miałem już pięć, zamiast dwóch etatów asystentów w Katedrze Sadownictwa. Dzięki dotacjom z Ministerstwa Rolnictwa mogłem w katedrze zatrzymywać dodatkowo najlepszych studentów i wdrażać ich do prac badawczych. Założyłem w Dąbrowicach 45 ha sadu doświadczalnego, zgodnie z ustalonym przez Komisję Sadowniczą planem. W rok później taki sam sad powstał w Przybrodzie koło Poznania, założony przez dr Ślaskiego, a potem przez wiele lat prowadzony przez dzielną p. Galińską, pod kierunkiem prof. Wierszyłłowskiego.

W latach 1950-1951 przeprowadzona została reorganizacja doświadczalnictwa rolniczego. Wielce zasłużony w okresie międzywojennym Państwowy Instytut Naukowy Gospodarstwa Wiejskiego (PINGW) w Puławach rozrósł się niepomiernie, ponieważ dano mu ponad setkę dużych majątków ziemskich upaństwowionych w 1945 r. Instytut urósł do wielkości takiego molocha, że trudno było nim administrować. Postanowiono na jego miejsce powołać więcej instytutów o węższym zasięgu. Kilka instytutów utworzono już w 1950 r. W tymże roku zapadła też decyzja, że powołany zostanie Instytut Sadownictwa.

Dostałem zadanie zorganizowania tego Instytutu. Miał on powstać w Skierniewicach, a za podstawę miała mu służyć Katedra Sadownictwa SGGW. Już wtedy zamierzano przejąć dla SGGW tak zwane majątki wilanowskie i przenieść uczelnię z Rakowieckiej i ze Skierniewic do Ursynowa. W międzyczasie Instytut musiał pobudować swoją siedzibę, ponieważ pałac i zabudowania SGGW w Osadzie Pałacowej miały przypaść w udziale przyszłemu Instytutowi Wzrostnictwa.

Instytut Sadownictwa powołany został do życia 23 stycznia 1951 r., w niespełna 5 lat po moim powrocie do kraju. Zostałem mianowany jego dyrektorem, a jako zastępcę do spraw administracyjnych dobrałem sobie mgr Stefana Parynowa, dyrektora dotychczasowego Ogrodniczego Zakładu Doświadczalnego PINGW w Świerkłańcu koło Tarnowskich Gór.

PINGW miał cztery sadownicze i ogrodnicze zakłady doświadczalne, a mianowicie w Osinach koło Główna w woj. Łódzkim, w Świerkłańcu, w Trzebnicy koło Miechowa i w Górnej Niwie koło Puław. Mogłem je wszystkie przejąć, ale uznałem, że tylko Górna Niwa kierowana przez dr Zalińskiego oraz Świerklaniec mają jakąś wartość dla badań sadowniczych. Osiny i Trzebnica takiej wartości nie posiadały, zostały więc oddane Państwowym Gospodarstwom Rolnym.

SGGW również nabrała w ostatnich latach zbyt wiele majątków rolnych. Pozbyła się chętnie Sinołęki. Nowej Wsi i Dąbrowic, które w 1951 r. oddała Instytutowi Sadownictwa. Kiedy Katedra Sadownictwa przeniosła się w 1955 r. do Ursynowa, Instytutowi przekazano również Sad pomologiczny w Skierniewicach. W ciągu kilku następnych lat Instytut przejął jeszcze kilka majątków z PGR, a mianowicie Brzezną koło Nowego Sącza, Lipową koło Opatowa, Dworek koło Koszalina, Miłobądz koło Tczewa i Prusy w odległości 18 km od Skierniewic. W 1966 r. doszła do tego Albigowa koło Łañcuta, a w 1972 r. Wróblowice koło Wrocławia. Były to wszystko gospodarstwa rolne bez sadów, ale z czasem posadziliśmy tam duże sady doświadczalne.

W czasie sadowniczych prac badawczych pierwsze bardzo obiecujące wyniki zacząłem otrzymywać z doświadczeń nad chemicznym przerzedzaniem zawiązków jabłoni w celu doprowadzenia ich do corocznego owocowania. Najlepsze wyniki dały odmiany Landsberska i Boiken,

które normalnie owocują co drugi rok. Pamiętam, jak jeden ze starych sadowników, patrząc na rezultaty naszych doświadczeń, powiedział: ‘ A mnie się wydawało, że owocowanie co drugi rok dane jest przez Boga. Po roku owocowania drzewo musi odpocząć. Tymczasem okazuje się, że można je zmusić do owocowania co roku’.

Latem 1951 r. zostały przyznane po raz pierwszy nagrody Państwowe za wybitne osiągnięcia naukowe. Przebywałem wtedy na urlopie w sanatorium w Szczawnie Zdroju i nagle usłyszałem przez radio swoje nazwisko. Okazało się, że otrzymałem Nagrodę Państwową drugiego stopnia za swoją pracę naukową w polskim sadownictwie. Nagrody przyznano w lipcu, ale wypłacono późną jesienią, nie pamiętam, jaka to była suma. Odebrałem pieniądze i na razie trzymałem je w domu, a na drugi czy trzeci dzień ogłoszono wymianę pieniędzy. Wymiana miała ugodzić w tych, co w sposób może mało uczciwy, nielegalny, nagromadzili znaczną ilość gotówki. Ludziom posiadającym gotówkę wypłacono w nowych banknotach tylko trzecią część jej wartości. Po kilku dniach jednak skorygowano tę zasadę i laureatom nagród państwowych wypłacono wszystko.

## Polska Akademia Nauk

W 1952 r. utworzono Polską Akademię Nauk. W Krakowie działała od 1871 roku Polska Akademia Umiejętności. Gromadziła początkowo uczonych nauk humanistycznych, matematycznych, fizycznych i chemicznych. Dopiero w ostatnich latach przed wojną zaczęto przyjmować do niej przedstawicieli nauk rolniczych i technicznych, ale w dalszym ciągu humanistyka miała bardzo dużą przewagę. Polska Akademia Umiejętności pretendowała do obejmowania swym członkostwem cały kraj, ale nie było tak w rzeczywistości. W Warszawie istniało Warszawskie Towarzystwo Naukowe, które miało podobne cele i zadania.

Postanowiono więc stworzyć Polską Akademię Nauk w miejsce zarówno Polskiej Akademii Umiejętności jak i Warszawskiego Towarzystwa Naukowego. Miała to być instytucja do dwóch poprzednich niepodobna. Wzorowała się na Akademii Nauk Związku Radzieckiego. Była autonomicznym samorządnym stowarzyszeniem najwybitniejszych uczonych, którzy spomiędzy siebie wybierają w tajnym głosowaniu Prezydium. Również w tajnym głosowaniu członkowie mieli wybierać nowych członków.

W pewnym jednak stopniu Akademia miała być także czymś w rodzaju Ministerstwa Nauki. Utworzono z biegiem czasu kilkadziesiąt instytutów i zakładów, które jej podlegały. Instytuty i zakłady Akademii miały za zadanie zajmować się głównie badaniami podstawowymi. Akademia tworzyła Komitety i Komisje, których zadaniem była koordynacja badań naukowych w danych dziedzinach oraz wspieranie pewnych badań poza Akademią przy pomocy dotacji finansowych. Akademia reprezentowała całą naukę polską.

Pierwszy skład PAN został powołany przez rząd w liczbie 150 osób. Przy powoływaniu tego składu powodowano się w dużej mierze względami politycznymi pomijając niektórych wybitnych uczonych będących członkami Warszawskiego Towarzystwa Naukowego, a zwłaszcza Polskiej Akademii Umiejętności. Innych wybitnych uczonych powołano wprawdzie do PAN, ale nadano im członkostwo tytularne, nie dające żadnych praw. Na takiego członka tytularnego powołano prof. Malinowskiego. Dopiero w 1956 r. zniesiono kategorię członków tytularnych, zaliczono ich do członków rzeczywistych. Nie ulega też wątpliwości, że do pierwszego składu Akademii powołano też pewną liczbę członków o niewielkich walorach naukowych, ale bardzo czynnych politycznie.

Również i ja zostałem powołany w skład Polskiej Akademii Nauk jako członek korespondent w 1951 r. Na pewno niektórzy uważali, że wszedłem w jej skład właśnie ze względu na to, że byłem członkiem PZPR. Na moje usprawiedliwienie powiem tylko to, że byłem chyba jedynym wtedy polskim naukowcem albo przynajmniej jednym z bardzo nielicznych, którzy nie mieli z powodu wojny sześciolatniej przerwy w naukowym życiorysie. Nie cofnąłem się naukowo w czasie sześciu lat wojny, lecz rozwijałem się. Nie moja to zasługa, ale tak się złożyło, że miałem lepsze przygotowanie do pracy naukowej niż wielu nie tylko moich rówieśników, ale i starszych kolegów.

Pracowałem nadal zarówno w SGGW, jak i w Instytucie Sadownictwa. Napisałem w 1954 r. akademicki podręcznik *Sadownictwo*. Rozdział o hodowli nowych odmian roślin sadowniczych opracowałem zgodnie z teoriami genetyki Łysenkowskiej. Drugie wydanie podręcznika wyszło w 1958 r., kiedy już zaczęło się chwiać moje przekonanie o słuszności teorii genetycznych Łysenki. Napisałem też w drugim wydaniu, że „teorii tej nie uważamy za udowodnioną”. W trzecim wydaniu podręcznika z 1961 r. powtórzyłem to zdanie, a w dalszych wydaniach już wca-

le „genetyki miczurinowskiej” nie wspominałem. Mówiąc o wielkich hodowcach-sadownikach z należąca oczywiście rewerencją wymieniałem Miczurina.

Instytut rozwijał się. Tworzyliśmy nowe zakłady terenowe. Przyjmowaliśmy co roku w Skierniewicach nowych młodych pracowników naukowych. Wyrastali w trudnych warunkach, ponieważ nie mieli jeszcze dla nich odpowiedniego laboratorium, pracowali w wielkiej ciasnocie w pomieszczeniach Katedry Sadownictwa w starym Pałacu. Młoda kadra wyrastała też w całkowitej izolacji od zewnętrznego świata od zagranicy. Powodem tej izolacji była nie tylko zimna wojna, żelazna kurtyna, którą Stalin chciał nas oddzielić od wielkich wpływów Zachodu.

Brak kontaktów z zachodnią Europą tłumaczyła zimna wojna. Ale dlaczego nasza młoda czy średnia kadra nie mogła kontaktować się ze swoimi kolegami w ZSRR, w Czechosłowacji i na Węgrzech? Da się to wytłumaczyć chyba chorobliwą fobią Stalina, który bał się, że przeciwnicy komunizmu w jednym z naszych krajów zaczną się zmałwiać z przeciwnikami komunizmu w innych krajach będących w sferze wpływów radzieckich.

W Instytucie miałem jeszcze jeden, tym razem ostatni zatarg z Komitetem powiatowym. Dano mi kierownika Działu Kadr, jak to było w zwyczaju - człowieka nie z tego świata. Miał lat chyba 35, ukończone 4 klasy szkoły podstawowej, a dotychczas pracował w powiatowym Urzędzie Bezpieczeństwa w nadzorze aresztowanych, mówiono też, że do ich bicia. Ponieważ mieliśmy w Instytucie jeszcze wtedy bardzo małą grupę członków Partii, głównie spośród personelu administracyjnego, został on na życzenie Komitetu Powiatowego sekretarzem naszej organizacji partyjnej.

Nie minął miesiąc, a nasz towarzysz sekretarz zaczął nam ustawiać plan badań naukowych, bo przeczytał w partyjnej gazecie, że organizacja partyjna ma za zadanie **kierować** pracą swej instytucji. Tłumaczyłem mu wiele razy, że przecież nie zna się na tym i nie może wypowiadać tu swoich sądów, które brzmiały po prostu absurdalnie. Jego inteligencja była jednak tak niska, że się obraził i powiedział mi, że skończyły się te czasy, kiedy panowie profesorowie wyzyskiwali biedny proletariatus, a jego przedstawicielom zarzucali ignorancję. Skarzyłem się kilka razy sekretarzowi komitetu powiatowego, ale ten nie widział nic złego w jego postępowaniu. Pewnego dnia nie wytrzymałem i wyrzuciłem go z pracy. Zrobił się oczywiście wielki szum, jakże to? Dyrektor wyrzuca kierownika kadr i sekretarza organizacji partyjnej w jednej osobie? W takich przypadkach najczęściej wylatywał dyrektor! Przyjechali jednak na moją prośbę pracownicy z Wydziału Nauki i Oświaty K.C., aby sprawę rozpatrzyć. Wystarczyło im kilka minut rozmowy z towarzyszem sekretarzem, aby zorientować się, kto to jest. Podtrzymali moją decyzję i wymogli na komitecie powiatowym by dał na kierownika działu kadr inną osobę. Przesłano nam najpierw Ostrzycką, bardzo porządną osobę. Po kilku jednak miesiącach odeszła od nas, nie pamiętam z jakiego powodu, a na jej miejsce przyszedł przemiły, inteligentny, ze średnim wykształceniem, Jan Słomczyński. Pracował przez 20 lat. Ceniony i lubiany przez wszystkich pracowników Instytutu. Zmarł nagle na wylew krwi do mózgu w 1975 r.

Mieliśmy gotowe plany głównego budynku Instytutu już w 1952 r. ale nie dostaliśmy kredytów na rozpoczęcie jego budowy. Odmówiono nam ich także w 1953 r. Byłem już bliski desperacji, bo pracowników przybywało, stłoczenie w pomieszczeniach Katedry Sadownictwa, która mieściła się w pałacu było niesłychane. W końcu zatwierdzono rozpoczęcie budowy Instytutu w 1954 r. Gmach usytuowano na brzegu Sadu Pomologicznego przy ul. Szerokiej, przemianowanej w 1961 r. na Dziesięciolecie Instytutu, a później na ul. Pomologiczną. Został wykonany i oddany do użytku w początku 1956 r.

## Takie różne sprawy

W 1953 r. zmarł nagle Stalin. Dnia 12 marca 1956 r. zmarł w Moskwie Bolesław Bierut, który udał się tam na czele polskiej delegacji na XX Zjazd KPZR. Nie znałem go osobiście, ale przez niego udało mi się w 1951 r. czy w 1952 r. ocalić polskie sady przed podatkiem, który mógł je doprowadzić do ruiny. Otóż Ministerstwo Finansów wprowadziło specjalny podatek od sadów. Kto miał 20 drzew, nie płacił nic. Kto miał 22 drzewa nie płacił od dwóch nadliczbowych, ale od wszystkich 22 i to duże podatki. Miał to być jeszcze jeden środek do walki z kułakami, do zmuszania ich do wstępowania do Spółdzielnie Produkcyjnych. Chłopi zaczęli wycinać sady. Sytuacja mogła przybrać groźne rozmiary. Zaczęłam jeździć po kraju i fotografować wycięte drzewa. Nazbierałem tych fotografii nie mało. Chciałem z nimi dotrzeć do Bieruta. Pomogło mi w tym dwóch ludzi. Jednym z nich był Andrzej Koter z Dąbrowicy koło Justkowa, kilkanaście km od Lublina. Koter był jednym z najświetlejszych sadowników w Polsce. W czasie pierwszej wojny światowej u niego schronił się młody Bierut przed aresztowaniem. Pamiętał o tym cały czas i Koter miał do niego dostęp. Drugim człowiekiem, który mi pomógł, był wspomniany już dr Adam D., asystent prof. Bassalika w ostatnich latach przed wojną na Uniwersytecie Warszawskim, mikrobiolog, a wtedy osobisty sekretarz Bieruta w Belwederze. Z Adamem D. przyjaźniłem się w latach 1937-1938. Koter powiedział o całej sprawie Bierutowi, a ten polecił żebym się zgłosił do jego osobistego Sekretarza. Poszedłem, ucieszyłem się widząc, że to mój dobry znajomy i nawet przyjaciel sprzed wojny. Przekazałem fotografię wycinanych drzew. Adam po kilku dniach zadzwonił, abym do niego przyszedł. Powiedział mi, że Bierut zrozumiał, o co chodzi i w jego obecności zatelefonował do Ministra Finansów. Oświadczył mu, że podatek od sadów trzeba zmienić, a ostateczną jego wersję winien uzgodnić ze mną.

Pojechałem do Ministerstwa, przyjął mnie jeden z wiceministrów. I jemu również wyjaśniłem o co chodzi. Poprosił, abym przyjechał jutro, Ministerstwo przygotowuje nowe propozycje. Już były lepsze, ale jeszcze złe, a wiedziałem od D., że Bierut wydał polecenie, aby ostateczna wersja podatku była ze mną uzgodniona. Powiedziałem, że moim zdaniem nowe propozycje też nie są do przyjęcia. Przyjeżdżałem jeszcze kilka razy i ciągle mówiłem - nie! Aż wreszcie wiceminister w złości podarł wszystkie swe propozycje i Ministerstwo zniosło podatek od drzew owocowych. Ocalały więc na szczęście nasze sady, zaprzestano ich wycinania, a na odwrót, zaczęto zwiększać nowe nasadzenia.

W latach późniejszych wprowadzono podatek od sadów, ale od sadów naprawdę dużych takich które miały ponad 6 ha powierzchni. Ich właściciele nie powitali tego z entuzjazmem, bo kto cieszy się z płacenia podatków? Ale były to już czasy, gdy nauczyliśmy sadowników dobrej i opłacalnej produkcji owoców. Jest rzeczą jasną, że ten, kto ma duże dochody, winien płacić podatki. Tak jest wszędzie. Nowe podatki wcale nie za wysokie, nie zahamowały już dalszego rozwoju sadownictwa.

Nasze Ministerstwo Finansów przez długie lata, a zwłaszcza w pierwszych latach po wojnie, pracowało jakby na zasadzie kontrybucji wojennych. Formę kontrybucji wojennych miały podatki zwłaszcza te, które nakładano na prywatną inicjatywę. Nie polegały one na żadnych zasadach. Stosowano tak zwane „domiary” wyznaczane zupełnie dowolnie. Jeśli Komitet Powiatowy, czy Komitet Wojewódzki chciał kogoś zniszczyć, to niszczone go odpowiednio wysokim domiarem. W ten sposób zniszczono rzemiosło, którego nie dało się już później odbudować,



zniszczono prywatne młyny i cegielnie. Tego rodzaju system podatkowy przyczynił się ogromnie do wzrostu łapownictwa. Domiary zależały od władzy lokalnej, którą nie trudno było przekupić.

Po upadku kultu jednostki w ZSRR stanęła na wokandzie sprawa genetyki Łysenkowskiej. Leningradzcy botanicy przystąpili do ataku, udowadniając Łysence fałszowanie faktów. Do takiego fałszerstwa należały ziarna żyta w kłosie pszenicy, które nam Łysenko pokazywał. Łysenko w ostatnich latach jakby postradał zmysły. Zaczął odkrywać nowe „fakty”, a mianowicie przekształcenie się sosny w świerk czy leszczyny w grab. Tego już było za wiele. Król okazał się nagi.

Zrozumiałem to wreszcie i ja ku swojemu największemu wstydu. Ale większość tych, którzy w Polsce głosili genetykę Łysenkowską, trzymała się mocno. Pewnego dnia Trybuna Ludu zwołała zebranie osób zainteresowanych, naukowców, którzy mogą coś mieć na ten temat do powiedzenia. Wzięli w nim udział prof. P., prof. M, prof. Gajewski, ja, prof. Z, dr Makarewicz, prof. Listowski i młody prof. Filutowicz, pracujący nad hodowlą nowych odmian buraka cukrowego w Instytucie Hodowli i Aklimatyzacji Roślin w Bydgoszczy.

Filutowicz, uczestnik naszej wyprawy do ZSRR w 1952 r. który w pierwszym okresie przyjął poglądy Łysenki, najwcześniej je porzucił. On i Gajewski wystąpili więc, demaskując teorię Łysenki jako antynaukowe, błędne, cytując argumenty leningradzkich botaników. Zabrałem głos i ja. Powiedziałem, że ci z nas, którzy przyjęli genetykę Łysenkowską, powinni po męsku przyznać się do błędu. Ja się do niego w pełni przyznaję. Stoi teraz przed nami trudne, ale ważne zadanie. Musimy jak najszybciej spowodować przywrócenie na uczelniach wykładów właściwej genetyki, a ponadto podjąć akcję publicystyczną wyjaśniającą sprawę.

Inni milczeli. Powoli jednak wszyscy odwołali swe błędy z wyjątkiem prof. L. Chyba do końca życia pozostała ona przy dawnych lamarckistowskich teoriach tak nieszczęśliwie przez Łysenkę odgrzebanych.

W Związku Radzieckim teorie Łysenki umarły naturalną śmiercią, a on sam zwolniony z funkcji prezesa Wszechzwiązkowej Akademii Nauk Rolniczych. Nie wyciągano w stosunku do niego żadnych konsekwencji, nie wtrącono do więzienia, tak jak to on robił w dniach swej wielkiej władzy. Postanowiono pozostawić mu stację doświadczalną, na której pracował, by udowodnić słuszność swoich twierdzeń naukowych. Zmarł w 1976 r. Żelazna kurtyna, która oddzielała nas od zachodu rdzewiała. Pokazywały się w niej szpary i pęknięcia, ale nie poddała się łatwo. Została stworzona przez Stalina, ale trzeba przyznać, że do jej szczelności przyczyniała się i druga strona. Oto przykład ze strony amerykańskiej.

Wspomniałem już przyjaciela, Frederika Hough'a, kwakra, który bardzo mi pomógł w czasie mego pierwszego roku na Uniwersytecie Cornella. Fred w międzyczasie otrzymał już doktorat, przyszło mu na świat czworo dzieci. Pojechał na dwa lata do Liberii, do Afryki, gdzie pracował nad hodowlą nowych odmian miejscowych, tropikalnych owoców. Równocześnie uczył na tamtejszym Uniwersytecie. Fred nigdy nie miał w sobie żadnej wrogości ani nienawiści do Związku Radzieckiego i innych państw socjalistycznych, a na odwrót, odnosił się do nich przyjaźnie. Czytał w swojej prasie o Miczurinie i o jego metodach hodowli. Kończąc swoją pracę w Liberii postanowił przybyć z całą rodziną do Europy na 6 miesięcy i zwiedzić co się da.

Napisał do mnie, że chciałby przyjechać do Polski na 3 tygodnie, abym mu wyjaśnił te sprawy, których w pracach Miczurina nie rozumie. Było to w 1953 r., kiedy można już było zauważyć pierwsze jeszcze bardzo nieśmiało przebłęski odwilży. Otrzymałszy taki list pokręciłem głową, potem poszedłem do Wydziału Nauki i Oświaty K.C. Przeczytali i zapytali: ‘A może on szpieg?’. Może i tak, ale chyba nie, bo porządny był człowiek, gdy go znałem, a poza tym -

Kwadr. A nawet, gdyby w międzyczasie stał się szpiegiem, to po co miałby przyjechać akurat do mnie? Czy chciałby wykraść mi sekret, jak trawa rośnie w moich sadach? Powiedziano, żebym się zgłosił za tydzień. Była już pozytywna decyzja.

Fred miał przyjechać w październiku. Przeszedł jednak listopad, grudzień, styczeń i luty, a Freda jak nie ma tak nie ma, ani też żadnej od niego wieści. Dopiero w marcu dostałem Takie list od nieznanego mi Fina - prof. Toivo Rautavaara. Prof. Rautavaara pisze tak: „przyjechał do mnie Fred Hough i prosił, abym Panu przesłał ten oto jego list.”

A Fred w załączonym liście „Wybacz, że przez ponad pół roku nie miałeś ode mnie znaku życia. W Belgradzie nie zgłosiłem się nawet do polskiej Ambasady o wizę. Przecież w moim paszporcie jest dawna klauzula ‘Nieważny na wyjazd do ZSRR, Chińskiej Republiki Ludowej, Polski, Rumunii, Bułgarii, Węgier, Czechosłowacji i NRD.’ Poszedłem do Amerykańskiej Ambasady, pokazałem Twój list, że mam zaproszenie, poprosiłem o usunięcie tej klauzuli, ale mi odmówiono. Pojechałem więc do Rzymu z tą samą prośbą, a potem do Paryża. Wszędzie odmowa.”

„Kiedy zgłosiłem się do ambasady amerykańskiej w Londynie wiedziano już, że starałem się o to w Rzymie i w Paryżu. Powiedziano mi, że naleganie na wyjazd do Polski wydaje im się co najmniej podejrzane. Dla mojego własnego dobra powinienem ze swojego zamiaru zrezygnować. Musiałem się do tej rady zastosować. Nie pisałem do Ciebie z państw zachodnich Europy, bo nie wiedziałem, kto będzie mój list po drodze czytał. Stąd list wysyłam, bo Finlandia, to państwo neutralne, ale na wszelki przypadek prosiłem Toivo, aby mój list wysłał w swojej kopercie. Nie chciałem wysyłać go w mojej.”

## **Pierwszy raz na zachodzie Europy**

W zimnej wojnie miało się już jednak ku wiosnie, nadchodziła odwilż. W Holandii organizowano XV międzynarodowy Kongres Ogrodniczy. Poprzedni Kongres odbył się w Londynie w 1951 r., ale trudno było mi wtedy marzyć o tym, abym mógł wziąć w nim udział. Tym razem polska delegacja na Kongres składała się aż z sześciu osób, w tym prof. Chroboczek, dr Oszkinis - kwiaciarz z Wyższej Szkoły Rolniczej w Poznaniu, prof. Wóycicki - kwiaciarz z SGGW, dr Paszkowska - warzywniczka od prof. Chroboczka i dr Zdanowski, dyrektor Centralnego Zjednoczenia Nasiennictwa Ogrodniczego i Szkółkarstwa, oraz ja. Ponieważ była to moja pierwsza wyprawa na zachód Europy, poprosiłem, aby Ministerstwo Rolnictwa umożliwiło mi po zakończeniu Kongresu wyjazd na 10 dni do Belgii i na miesiąc do Anglii. Ministerstwo dało zgodę.

Była to wyprawa pełna emocji. Nasz przyjazd stanowił wielką sensację. Oglądano nas ze wszystkich stron, ktoś chciał się upewnić, czy dostaliśmy od naszego rządu garnitury specjalne na ten wyjazd, a po powrocie mieliśmy je zwrócić. Udało mi się jednak rozładować tę pełną nieufności atmosferę. Wyjeżdżaliśmy na wycieczkę sadowniczą po kraju autobusem, profesor holenderski pyta: „Kto ma czerwony bilet, proszę ze mną do tego autobusu.” Nikt się nie rusza. Okazało się, że wszyscy mieliśmy bilety na ten autobus, ale rude czy pomarańczowe, nie czerwone. Mówię więc jak tylko mogę najgłośniej. „Gdybym ja na ten bilet powiedział, że jest czerwony, to byłoby to zrozumiałe, wzięwszy pod uwagę kraj, z którego przyjechałem. Ale Pan?” Ogólny wybuch śmiechu rozładował sytuację. Natomiast to, że mówiłem po angielsku lepiej od tego Holendra, spowodowało ogólne zdziwienie.

Lody zostały przełamane. Poznałem wielu profesorów z zachodniej Europy. Na Kongres przyjechało sporo Amerykanów, moich przyjaciół i znajomych, a ci demonstrowali hałaśliwie swoją ze mną zażyłość. To także stropiło na początku naukowców europejskich, a potem popchnęło ich ku mnie. Dotychczas Międzynarodowe Kongresy Ogrodnicze organizowane były przez Komitety powoływane ad hoc. Teraz zaczęła kiełkować myśl, by zorganizować na wzór innych dyscyplin Międzynarodowe Towarzystwo Nauk Ogrodniczych, które będzie miało za zadanie między innymi organizowanie kongresów międzynarodowych. Ponieważ brałem żywy udział w różnych dyskusjach w czasie Kongresu, powołano mnie, jako jedyne go przedstawiciela państw socjalistycznych, w skład niewielkiej grupy, która miałaby się zastanowić nad tą propozycją. Przewodniczył grupie wybitny holenderski fizjolog roślin, prof. Wellensiek, przewodniczący obecnego Kongresu.

Przy okazji Kongresu zwiedziłem najlepsze holenderskie rejony sadownicze. Holenderska produkcja owoców stała na bardzo wysokim poziomie. Myśląc o naszym sadownictwie mogłem tylko smutnie pokiwać głową. Sadownicy tutejsi przechodzili coraz bardziej na uprawę drzew karłowatych szczepionych na angielskiej wegetatywnej podkładce M9. W łagodnym holenderskim klimacie morskim drzewa na niej nigdy nie wymarły i dawały corocznie wysokie plony. Zazdrość brała najbardziej, gdy się patrzyło na wysoką mechanizację rolnictwa i sadownictwa. Widać było, że inwestują w rolnictwo, a nie w przemysł. U nas tymczasem inwestowaliśmy w przemysł, zwłaszcza zbrojeniowy, a że nie mieliśmy żadnych pożyczek, robiliśmy to zawsze kosztem rolnictwa, zarówno przez późniejsze lata, w których jedyną siłą pozostawały mięśnie czterech milionów rodzin chłopskich i trzech milionów koni. Zemściło się to na nas w poważnym kryzysie rolniczym w latach osiemdziesiątych.

Z Holandii pojechałem w końcu sierpnia do Anglii, gdzie wbrew panującej opinii spotkała mnie przyjemna niespodzianka. Przez cały miesiąc swego tam pobytu od Londynu po północ-

na Szkocję niebo było prawie cały czas pogodne, a deszcz padał chyba tylko raz i to bardzo krótko.

Ciekaw też byłem samych Anglików. Wyobrażałem ich sobie jako ludzi wyniosłych i dumnych, z którymi trudno nawiązać kontakt, oraz błędziło mi po głowie powiedzenie zawsze oświadczać obcemu, że mój dom - mój zamek”. Pewne wątpliwości nasunęli mi obecni na Kongresie dwaj Anglicy. Kiedy dowiedzieli się, że jadę do Anglii, wymogli na mnie przyrzeczenie, że zamieszkać w ich domu przynajmniej, na czas jednego weekendu. A przecież byli to ludzie, którzy mnie nigdy w życiu przedtem nie widzieli, ani też o mnie nie słyszeli.

Pojechałem najpierw do słynnego Angielskiego Instytutu Sadowniczego w East Malling w południowo-wschodniej Anglii, nazywanej koszykiem owocowym kraju. Większość angielskich sadów skupia się w tym rejonie. Angielska produkcja owoców nie jest jednak wysoka, bo klimat nie sprzyja jej zbyt. Większość owoców sprowadza się zza granicy.

Instytut Sadownictwa w East Malling był wtedy jednym z najlepszych sadowniczych instytutów świata, prawdziwą Mekką sadowniczą wszystkich narodów. Założony został w 1913 r. przez dr Hattona słynnego z wyselekcjonowania cennych podkładek wegetatywnych pod jabłonie. Zmarł w czasie wojny.

Jego miejsce zajął dr F. Tubbs, który wiele lat przedtem pracował na Cejlonie i nabył form bycia angielskich urzędników czy oficerów kolonialnych. Przyjął mnie bardzo oficjalnie. Kiedy zapytałem go, czy wzięłyby do swego Instytutu na rok naszego stypendystę, gdybyśmy stypendium uzyskali, odpowiedział szorstko, że nie. East Malling nie jest dla krajów komunistycznych. Powstał na znak, że audyencja skończona.

Świat jednak zmienia się w sposób najmniej oczekiwany. Ten sam Instytut w East Malling pod kierunkiem tegoż samego dyrektora Tubbsa przyjął w latach późniejszych na roczne staże kilkunastu pracowników naszego skierniewickiego instytutu i katedr sadownictwa z uczelni polskich. Między mną a dr Tubbsem zapanowała naprawdę szczerą przyjaźń, a ironia losu chciała, że przez cztery lata byłem do pewnego stopnia jego zwierzchnikiem. Piastowałem bowiem stanowisko Prezesa Międzynarodowego Towarzystwa Nauk Ogrodniczych, w którym dr Tubbs był przewodniczącym sekcji sadowniczej. Dr Tubbs zresztą ogromnie był zasłużony w rozwoju Instytutu w East Malling.

Pierwszy weekend spędziłem rzeczywiście w domu angielskiej rodziny, u dr Erika Hoare'a w Silsoe pod Londynem. Dla Erika Anglia była za mała. Wyemigrował wkrótce potem do Australii i zorganizował tam wielką rolniczo-sadowniczą stację doświadczalną w Griffith. Kiedy odwiedziłem go tam w osiem lat później, słyszałem jak o nim mówiono. „Biedny Erik jest inwalidą. Nie może chodzić. On biega.”

Drugi weekend spędziłem w domu F.A. Roacha. Mieszkał i pracował niedaleko Bristolu, w południowo-zachodniej Anglii, potem przeniósł się do East Malling. Miał wybitne zdolności do wykorzystania wyników najnowszych badań naukowych do praktyki sadowniczej. W Long Ashton koło Bristolu znajdował się inny, również dobrze pracujący Instytut Sadownictwa.

Pojechałem też na północ, do Szkocji. Utrzymywałem od kilku lat stosunki ze Szkockim Instytutem Ogrodniczym w Mylnefield, koło Dundee. Szkocja leży na północy, trudno tam rozwinąć na większą skalę uprawę jabłoni. Doskonale udają się jednak rośliny jagodowe, zwłaszcza maliny i truskawki. Rejon malinowy w okolicach Dundee był i chyba teraz jeszcze jest najbardziej skoncentrowanym rejonem produkcji malin w świecie. Nasz najstarszy rejon wokół Płońska jest większy, ale plony w Szkocji były znacznie wyższe. W 1949 r. dostałem ze Szkocji

pierwsze w Polsce truskawki wolne od wirusów. Anglicy i Amerykanie w czasie wojny dopracowali metody otrzymywania rozsady truskawek wolnych od wirusów, ale jest to metoda żmudna i podraża produkcję. Nowa rozsada daje rośliny znacznie wyżej plonujące, należy tylko strzec ją przed mszycami, które przenoszą na nie wirusy z chorych roślin z okolicznych plantacji.

Otrzymałem z Dundee wolne od wirusów truskawki odmiany Talisman, a z Niemiec Zachodnich dostałem odmianę Senga Sengana. Posadziliśmy je w Skierniewicach. Ze zdumieniem przekonaliśmy się, że przez trzy lata owocowania nie uległy zawirusowaniu. Czyżby nie było u nas mszyc przenoszących wirusy truskawek? Nasi entomolodzy zbadali tę sprawę. Tak, mszyce mieliśmy, ale inny gatunek, który nie potrafił przenosić wirusów, a angielskim mszycom jest u nas za zimno, marzną tu i giną.

To nasze odkrycie położyło podwaliny pod polskie mocarstwo truskawkowe. O ile polska produkcja truskawek wynosiła w 1951 r. 8.000 ton, w 1965 doszła do 150.000 ton, a w 1987 do 334.000 ton. Dało to nam drugie miejsce w świecie w produkcji truskawek, zaraz po Stanach Zjednoczonych. Główną uprawianą u nas odmianą truskawki w pierwszych latach po wojnie była rodzima Purpuratka czyli Murzynka. Gdy zaczęliśmy wprowadzać Sengę Senganę dającą plony trzy, a nawet czterokrotnie wyższe, niektórzy instruktorzy w terenie protestowali, że zaśmiecamy im uprawy. Dziś nikt z producentów nawet nie wie, jak Purpuratka wygląda.

Truskawka w Polsce ogromnie się przyjęła, daje wysokie plony, a uprawa jest prosta. Nie musimy co roku poddawać ją żmudnym, kosztownym zabiegom odwirusowywania. Ponadto polska truskawka stała się cennym artykułem eksportowym, powodującym rozwój przemysłu przetwórczego i budowę zamrażalni.

Byłem bardzo rad, że przyjechałem do Anglii. Nauczyłem się niezmiernie dużo.

Bardzo cenne było dla mnie nawiązanie bezpośrednich kontaktów z uczonymi brytyjskimi, którzy w odróżnieniu od dr Tubbsa odnieśli się do mnie z miejsca bardzo serdecznie i przychylnie. Pozwoliło mi to później na wysłanie do Anglii wielu naszych młodych pracowników naukowych na krótsze i dłuższe staże.

W Londynie odwiedziłem brata jednego z moich kolegów z SGGW, który walczył w Polskiej Armii i pozostał w Anglii. Pracował w restauracji, pozostał kawalerem. Polacy w Anglii byli oczywiście bardzo uprzedzeni do „reżymu warszawskiego”, dalej uznawali „Rząd Londyński”. Młody człowiek zaraz na wstępie powiedział mi, że go Polska nie obchodzi, za Polską nie tęsknię, bo mu się tu żyje dostatnio i przyjemnie. Pochodzi z przedmieść Krakowa.

Powiedziałem mu, że w Krakowie byłem tuż przed wyjazdem do Holandii, odwiedziłem tam w Woli Justowskiej żonę i syna dr Filewicza. Na wspomnienie Woli Justowskiej mój rozmówca nagle oblał się rumieńcem i zerwał się z miejsca: - „Tak? Pan był w Woli Justowskiej? A tam na skrzyżowaniu dróg stał taki dom pokryty blachą? Stoi tam jeszcze? A obok krzyż przy drodze, ogrodzony małym płotkiem, pod który młodzież wieczorami w maju przychodziła śpiewać pieśni do Matki Bożej? I teraz przychodzi? Panie, Pan mówi, że wpadł Pan tylko na godzinę, ale ja Pana nie wypuszczę. Pójdziemy zaraz do najdroższej, najlepszej restauracji! Ale, co ja tu mówię? Tam tyle ludzi, tylu Anglików. Nie, zostaniemy tu, ja tu coś sam zrobię, mam lodówkę pełną, mam wino, whisky...”

W powrotnej drodze z Anglii zatrzymałem się na dziesięć dni w Belgii. Oglądałem również bardzo piękne sady, ale chyba nie tak piękne, jak w Holandii. W miasteczku Hoeilart pod Brukselą pokazano mi szklarnie, w których uprawiało się winorośl. Było tych szklarni, niedużych zresztą i nienowoczesnych, aż 30.000. Można już było zauważyć początki integracji europejskiej.

Przywożono coraz więcej winogron z Italii, z Korsyki, z Hiszpanii, nawet z Tunisu. Coraz trudniej było z nimi konkurować.

## Pierwsze sadownicze spotkanie Wschód-Zachód

Po powrocie z podróży na zachód Europy przyszła mi do głowy odważna, jak na te czasy myśl. Oto dobiegają końca prace przy budowie Instytutu Sadownictwa w Skierniewicach. Czy nie udałoby się wiosną przyszłego roku z okazji otwarcia nowego budynku zorganizować pierwsze po wojnie międzynarodowe sadownicze spotkanie wschód-zachód?

Poszedłem z tą myślą do Ministerstwa Rolnictwa, a tam spotkała się ona z przychylnością i zgodą ministra. Postanowiliśmy spotkanie zorganizować w połowie maja 1956 r. i zaprosić około 15 naukowców sadowników ze Wschodu i tyłu z Zachodu. Program przewidywał wyjazd z gośćmi na dziesięciodniową wycieczkę po Polsce, by pokazać im nasze najlepsze rejony sadownicze. Potem przez trzy dni trwałaby konferencja, na której zarówno goście, jak i my wygłaszalibyśmy referaty.

Wysłaliśmy więc zaproszenia: trzy do Anglii, dwa do Francji, jedno do Belgii, jedno do Holandii, jedno do Danii, jedno do Szwecji, jedno do Finlandii, cztery do Związku Radzieckiego, jedno do Rumunii, jedno do Bułgarii, dwa na Węgry, trzy do Czechosłowacji, jedno do NRD. Czekając na odpowiedź, pilnie przygotowywaliśmy zjazd.

Ustalono, że na spotkaniu sadowników przedstawię swój dziesięcioletni dorobek. Najważniejszym dorobkiem byli ludzie, młoda kadra naukowa. Wyróżniającym się współpracownikiem był dr Aleksander Rejman, którego w Katedrze Sadownictwa zastałem - hodowca nowych odmian, doskonały wychowawca. Marię Unruh też zastałem w Katedrze Sadownictwa, gdy wróciłem do kraju, obecnie była dyrektorem Dąbrowic. Spośród moich najwybitniejszych wychowanków wymienić muszę Zygmunta Soczka, Zbigniewa Boreckiego i Ryszarda Łęskiego. Z innych uczelni przyszli Stanisław Zagaja, Zbigniew Gertych, Leszek Jankiewicz oraz Maciej Ceglowski.

Nadszedł wreszcie oczekiwany dzień. Z Anglii przyjechali prof. L. Luckwill z Long Ashton, Bristol, oraz dr C. Cadman ze Szkockiego Instytutu Ogrodnictwa i wspomniany Fred Roach. Dr Tubbs nie przysłał nikogo z East Malling. Z Francji zjawili się dr J. Souty, dyrektor Instytutu Sadowniczego z Pont-de-la-Maye, blisko Bordeaux, oraz prof. R. Ulrich z Sorbony. Belgię przedstawiał prof. A. Lecrenier, rektor Instytutu Agronomicznego w Gembloux, Holandię - A. Groot, prezes Związku Ogrodniczego, Danię - dr L. Dullum, dyrektor Instytutu Sadowniczego w Blangstegaard, Odense, Szwecję - prof. F. Wilsson, dyrektor Ogrodniczej Stacji Doświadczalnej w Alnarp, Akarp i Finlandię - dr Rautavaara z Ministerstwa Rolnictwa. Związek Radziecki wysłał prof. Kolesnikowa z Akademii Rolniczej im. Timiriazewa w Moskwie, prof. K. Żuczkowa z Wyższej Szkoły Rolniczej w Leningradzie, prof. Z. Mietlickiego z Instytutu Sadownictwa w Biurilewie pod Moskwą i prof. M. Spiwakowskiego z Wyższej Szkoły Rolniczej w Sewastopolu. Rumunię reprezentował dr Palocsay, Bułgarię prof. Stoiczkow, Węgry prof. Tamassy i dr K. Porpacy, Czechosłowację doc. M. Vavra, inż. J. Soucek i inż. M. Prehyba, a NRD prof. G. Friedrich.

Pierwszą trudnością była bariera językowa, bowiem tylko niewielu przedstawicieli państw socjalistycznych znało języki zachodnie. Tłumaczami, siłą faktu, zostaliśmy oboje z żoną. Młodzi organizatorzy spotkania z Instytutu czy też wyższych uczelni rolniczych bardzo słabo znali języki obce. Niedociągnięcia, jak to w Polsce bywa, staraliśmy się nadrobić naszą polską gościnnością dwojąc się i trojąc. Zapakowaliśmy gości w stary, rozklekotany autobus i pojechaliśmy w Polskę. Gościom towarzyszyło około dwudziestu Polaków, zarówno z Instytutu jak i z uczelni wyższych. Odwiedziliśmy Dąbrowice koło Skierniewic, Nową Wieś koło Grójca i dwa

czy trzy sadownicze gospodarstwa w tym rejonie, Górna Niwę koło Puław, państwowy sad w Józefowie koło Opola Lubelskiego. Zwiedziliśmy piękny Sandomierz, obowiązkowo Kraków. Pojechaliśmy do Nowego Sącza i do Brzeznej, gdzie Gertych zorganizował przepiękne występy tańców i pieśni góralskich.

Wybraliśmy się nawet na spływ Dunajcem. Pogoda była słoneczna, chociaż chłodna. W czasie spływu pogoda zmieniła się gwałtownie. Wiał wiatr, woda z góry, woda z dołu, zimno. Gdy przybiliśmy do Krościenka, ratowałem zziębniętych gości alkoholem. Wtedy to właśnie moi wychowankowie uwiecznili ten fakt na fotografii, ponieważ wódki nigdy nie piłem. Lekarstwo pomogło. Mimo, że wszyscy byli przemoknięci i zmarznięci, nikt się nie zaziębił!

W ciągu dziesięciu dni wspólnej podróży języki się rozwiązywały, każdy przypominał sobie obce słówka z młodzieńczych czasów nauki języków, to czego się kiedyś uczył. Zawiązały się przyjaźnie trwające nieraz całe lata. Pewnego dnia jechaliśmy długo po stromych drogach, wyśpiewywaliśmy wszystkie pieśni rosyjskie, angielskie i polskie. Zmęczeni ludzie pozasypiali. Rozczulający był widok prof. Żuczkowa śpiącego na ramieniu prof. Luckwill'a. Luckwill jeszcze młody, bardzo wysoki, szczupły, noszący się z godnością i angielską flegmą, siedział sztywno, aby nie przebudzić Żuczkowa. A Żuczkwowi już dobrze po sześćdziesiątce, z białą brodą i białą gęstą czupryną, z zaokrąglonym brzuszkiem, oparł głowę o ramię angielskiego kolegi i spał snem spokojnego dziecięcia.

Po powrocie do Skierniewic zaczęła się trzydniowa konferencja naukowa. Każdy z gości mówił albo o swojej pracy badawczej, albo o najważniejszych pracach badawczych wykonywanych w swoim kraju. Z wszystkich tych wystąpień wyróżniało się przemówienie prof. Ulricha poprzedzone słowami o niezniszczalnej przyjaźni między narodami Francji i Polski.

Było też jedno komiczne zdarzenie na naszej wycieczce. Oto Belg, bardzo gorliwy katolik, przyjechał mocno przekonany, że wszystkie kościoły w Polsce zostały zamienione na obory dla kóz. Gdziekolwiek zatrzymywaliśmy się w miasteczku, a widoczne były wieże kościoła, Belg znikał. Znajdowałem go zawsze na końcu, choć czasem przysparzał nam kłopotu. Tajemnicę jego odkryli Francuzi. Potem na głos krzyczeli po francusku, gdy mijaliśmy kościół: „Patrz, patrz, patrz! TAM właśnie całe stado kóz zapędzono do kościoła.” Widocznie się zawstydził i przestał sprawdzać.

Symposium skierniewickie w 1956 r. przyniosło wiele korzyści przede wszystkim nam, a także całemu sadownictwu europejskiemu. Nawiązaliśmy kontakty, dzięki którym nasi koledzy duńscy, radzieccy, angielscy, francuscy i holenderscy wzięli w najbliższych latach do siebie kilkunastu młodych ludzi z naszego Instytutu na półroczne i roczne staże. Przeczuwając to, nasi ludzie wzięli się na serio za naukę języków. Prof. Luckwill w „Nature”, najważniejszym angielskim czasopiśmie naukowym, ogłosił artykuł „Rozwój naukowego sadownictwa w Polsce”, aż żenująco dla Polski i osobiście dla mnie pochlebny. Od tej pory między przedstawicielami Wschodu i Zachodu, którzy się w Skierniewicach spotkali, zaczęła się wymiana publikacji, informacji i materiału roślinnego.



## Przez uchylone drzwi

Wracając do kraju miałem nadzieję, że będę mógł przyczynić się do podniesienia nauki i produkcji sadowniczej. Minęło dziesięć lat mej pracy w Polsce. Mogłem spojrzeć wstecz i dokonać podsumowania.

Nie ulega wątpliwości, że wyrobiłem sobie stanowisko lidera polskiego naukowego sadownictwa. Zorganizowany przeze mnie Instytut Sadownictwa rozwijał się dobrze. Miał coraz to większy wpływ na Katedry Sadownictwa w wyższych uczelniach rolniczych, które starały się rozwijać swe prace badawcze w kierunku wytyczanym przez Instytut. Odgrywałem też rolę wiodącą w rozwoju praktycznego sadownictwa. Propagowałem przejście z drzew wysokopiennych na niskopiennie, co wprawdzie powoli, ale znajdowało coraz większe zrozumienie u sadowników. Ogromny nacisk kładłem na prawidłową ochronę roślin sadowniczych przed chorobami i szkodnikami. Propagowałem bardziej nowoczesne sposoby przechowywania owoców. Wszystko to w dość szybkim tempie było przez sadowników przyjmowane.

Zdawałem sobie jednak sprawę z tego, że poziom polskiej nauki sadowniczej jest bardzo niski. Gdybym przez te dziesięć lat poświęcił się całkowicie nauczaniu i szkoleniu młodych pracowników naukowych, to na pewno miałbym do tego czasu lepsze rezultaty. Nie było jednak rzeczą możliwą poświęcić się tylko i wyłącznie nauczaniu. Miałem tak wiele innych zajęć gospodarczych, społecznych i pisarskich, że nie mogłem dawać swoim uczniom więcej, niż to zrobiłem.

Moją nadzieją było, że wraz z otwarciem na świat będę mógł przynajmniej kilkunastu swoich uczniów posłać na dłuższy staż naukowy do krajów, gdzie nauka stoi wysoko, aby tam otoczono ich bardziej troskliwą opieką niż ta, którą mogłem im sam zapewnić. Pierwszą próbę w tym kierunku podjąłem już w 1947 r., kiedy to dzięki Kościołowi Braci posłałem dziesięciu studentów ostatniego roku studiów SGGW na roczny staż praktyczny do Ameryki. Tamta akcja została jednak przerwana.

Teraz był czas, aby wrócić do przerwanej współpracy z zagranicą. Wykorzystałem przede wszystkim Międzynarodową Konferencję, którą z okazji otwarcia gmachu głównego Instytutu Sadownictwa zorganizowałem w maju 1956 roku. W jej wyniku dr Jacques Souty wziął na rok do Instytutu Sadowniczego w Bordeaux mgr Wacława Dziecioła, dr Luckwill na osiem miesięcy do Long Ashton w Anglii zabrał mgr Władysława Kłossowskiego, prof. Nilsson na pół roku do Alnarp w Szwecji przyjął mgr Wojciecha Oleksiaka. British Council dała w początku 1957 r. roczne stypendium do East Malling dr Zbigniewowi Boreckiemu.

Największe nadzieje ze względu na duże tam znajomości wiązałem z Ameryką. Jeszcze w połowie 1956 r. napisałem list do Thurla Metzgera z Kościoła Braci, dzięki któremu udało mi się wcześniej posłać do Ameryki, bo w 1947 r., dziesięciu studentów z SGGW. Metzger odpisał mi, że nie zajmuje się teraz sprawami współpracy międzynarodowej, więc przekazał mój list dr Haroldowi Row. Ten zaś obiecał przyjechać do Polski specjalnie na rozmowę ze mną. Przyjechał rzeczywiście w listopadzie.

Dr Row był człowiekiem o kilka lat ode mnie młodszym. W Kościele Braci był pastorem, piastował też w nim inne wysokie stanowisko. Zajmował się sprawami międzynarodowymi, głównie sprawą pokoju między narodami. Swoją filozofię w tej sprawie streścił w ten sposób, że gdyby co roku dwa, trzy miliony Amerykanów pojechało na rok do Związku Radzieckiego, a tyleż milionów obywateli Związku Radzieckiego na rok do Ameryki, to kosztowałyby to mniej

niż obecne zbrojenia, a zimna wojna dawno by poszła w zapomnienie. Zdawał sobie sprawę z tego, że jest to niemożliwe. Uważał jednak, że każda grudka, którą będzie mógł dorzucić do zasypania przepaści między Wschodem i Zachodem, przyczyni się w drobny chociażby sposób do sprawy utrzymania pokoju. Oprócz wielkiej roli, jaką odegrał dr Row w rozwoju polsko-amerykańskiej wymiany rolniczej, prowadził on też ożywioną działalność w nawiązaniu łączności między Kościołem prawosławnym w ZSRR i Kościołami protestanckimi w Ameryce i w Europie. Akcja ta nie spotkała się z formalnym zakazem władz radzieckich. Dr Row często odwiedzał Związek Radziecki na oficjalne zaproszenie duchownych prawosławnych w Moskwie.

Na zaproszenie dr Rowa do Polski otrzymałem zgodę Ochaba, który po rezygnacji ze stanowiska pierwszego sekretarza KC PZPR, objął na krótki czas stanowisko ministra rolnictwa. Przedstawiłem mu zapatrywania Kościoła Braci na ogólną akcję Ameryki w stosunku do wzajemnego poznania młodzieży europejskiej i amerykańskiej, co miało to przyczynić do utrwalenia przyjaźni i pokoju między narodami.

Z kolei Haroldowi Row powiedziałem, że nie wierzę osobiście w filantropię. Jeśli jedna strona świadczy stale i jednostronnie na rzecz drugiej, to zamiast wdzięczności może wywołać uczucie poniżenia. Zaproponowałem wymianę: co roku strona polska wyśle do Ameryki na roczny staż młodych ludzi, już nie studentów, lecz asystentów w wieku 25-35 lat, którzy będą w Ameryce pracowali, a za swoją pracę otrzymają normalną zapłatę. Co roku przyjeżdżać też będzie do Polski grupa młodych Amerykanów na rok lub dłużej, którzy również będą u nas pracowali i będą opłacani tak, jak Polacy tę samą pracę wykonujący.

Zdawałem sobie sprawę z tego, że Polska nie jest tak atrakcyjna dla Amerykanów, jak Ameryka dla Polaków. Nie będzie to więc wymiana liczbowo równa. Ale najważniejsze, żeby to była prawdziwa wymiana, a nie filantropijna, jednostronna pomoc amerykańskiej organizacji.

Haroldowi Row, kiedy przyjechał późną jesienią 1956 r. przedstawiłem dziewięcioro młodych ludzi, którzy dziesięć lat temu pojechali do Ameryki w ramach akcji zapoczątkowanej przeze mnie z panem Metzgerem. Sześciu spośród nich miało już doktoraty zapowiadali się jako obiecujący pracownicy naukowcy. A potem przedstawiłem mu swoją propozycję wymiany. Był zachwycony. Bardzo dobrze mnie zrozumiał. Przemawiało to także do jego doświadczenia odnośnie niektórych akcji filantropijnych.

Zeszło jeszcze prawie rok zanim pierwsza grupa Polaków mogła do Ameryki wyjechać. Tym razem miała się składać z ośmiu osób, pięciorga sadowników: inż. Maciej Cegłowski, inż. Tadeusz Wojniakiewicz, mgr Eligiusz Gajewski, mgr Edward Lange z Instytutu Sadownictwa oraz mgr Barbara Pawłowska z SGGW. Poza tym trzy osoby z Zakładu Warzywnictwa IUNG od prof. Chroboczka ze Skierniewic: mgr Jerzy Skierkowski, mgr Janusz Stępkowski i mgr Mieczysław Mańczak.

W polskich warunkach ścisłej kontroli wszystkiego przez władze polityczne, nie było miejsca na żadną inicjatywę prywatną w rodzaju tej, którą podjąłem. To prawda, że Ochab dał mi zezwolenie na rozmowy i doprowadzenie do wymiany, ale całość sprawy miała być realizowana przez urzędników, a ci się po prostu bali. Przecież do niedawna przedstawiano Amerykę jako symbol wszelkiego zła i nieprawości, a tu przychodzi ktoś i chce do niej ludzi na naukę posyłać.

Całe szczęście, że znalazłem protektora i mecenasa wymiany w osobie Pauliny Nowickiej, wicedyrektora gabinetu ministra rolnictwa do spraw współpracy z zagranicą. Nowicka, oczywiście z mocnymi „plecami”, wiedziała na co sobie może pozwolić. Długo tłumaczyłem jej

o co mi chodzi, ale ją przekonałem. Od tego czasu stała się wielkim admiratorem i obrońcą wymiany. Wiele razy próbowano przeszkodzić wymianie, ale Nowicka zawsze zdołała ją obronić.

I w Ameryce Harold Row nie miał łatwej drogi w zatwierdzeniu wymiany. Sypały się na niego oskarżenia, że idzie na pasku komunistów, a do Ameryki chce szpiegów wpuścić. Po przezwyciężeniu oporów w Kościele Braci musiał wydobyć zgodę z Departamentu Stanu, co również nie okazało się łatwe. Kiedy wreszcie wszystkie oficjalne przeszkody zostały przełamane, trzeba było jeszcze znaleźć osiem rodzin farmerskich, które by zgodziły się na przyjęcie Polaków. Wszystko to wreszcie zostało załatwione.

Nasza ośmioosobowa grupa dostała od polskich władz zezwolenia i paszporty na wyjazd, ale każde z nich musiało zapłacić z własnej kieszeni za bilet na „Batorym”. Był to zatem wyjazd całkowicie prywatny, żadna instytucja państwowa nie chciała z nim mieć nic wspólnego. Całe szczęście, że „Batory” kursował już wtedy między Gdynią i Montrealem. Wypłynęli we wrześniu 1957 r. i szczęśliwie dotarli do Montrealu. Czekał tam na nich John Eberly, dyrektor wymiany ze strony amerykańskiej. Zabrał ich autokarem do małej miejscowości New Windsor w stanie Maryland, niedaleko Waszyngtonu, tam bowiem znajdowały się agendy akcji charytatywnych Kościoła Braci. Przebywali tam przez kilka dni, a on organizował im spotkania z młodzieżą i rodzinami amerykańskimi. Na koniec wysłał każdego na inną farmę. Poszli na głęboką wodę, znając język angielski bardzo słabo, ale byli pełni dobrej woli i chęci do pracy. Wszyscy bez wyjątku wywarli jak najlepsze wrażenie, wszyscy zyskali sobie przyjaciół.

I ja również skorzystałem z uchylonych drzwi, by poznać sadowniczy świat. Bez jego znajomości byłoby mi trudno we właściwy sposób kierować polską produkcją owoców. Nawiązywałem coraz to nowe kontakty zagraniczne, aby wykorzystać je dla wysyłania młodych ludzi na dłuższe lub krótsze staże naukowe i praktyczne. W ciągu kilku lat poznałem sadownictwo czechosłowackie, węgierskie, bułgarskie, rumuńskie, wschodnioniemieckie, fińskie, francuskie, szwedzkie, duńskie, szwajcarskie i włoskie.

Dzięki nawiązanym znajomościom mogłem wysłać na Zachód wielu polskich młodych pracowników naukowych na dłuższe staże naukowe i praktyczne. W latach 1957-1983 wysłałem w tych celach do Stanów Zjednoczonych na okresy czasu od jednego roku do czterech lat ponad ośmiuset młodych ludzi, a do państw zachodniej Europy prawie 40.

## Wyprawa do Chin

Najłatwiej było utrzymywać kontakty naukowe z państwami socjalistycznymi. Pomiedzy Polską a innymi krajami naszego obozu podpisywano corocznie umowy o współpracy, przewidujące między innymi bezdewizową wymianę pracowników nauki. Taka wymiana rozpoczęła się również z Chinami. Złożyłem w końcu 1956 r. w Polskiej Akademii Nauk podanie z prośbą o umożliwienie mi wyjazdu do Chin dla zapoznania się z tamtejszym sadownictwem, a zwłaszcza dla zdobycia materiału roślinnego, gatunków i odmian, które mogłyby służyć nam w pracach nad wyhodowaniem nowych, lepszych niż dotychczasowe odmian.

O chińskim sadownictwie miałem już pewne wyobrażenie. W ostatnich dniach listopada 1956 r. przyjechał do Polski chiński profesor sadownictwa z Nankinu, dr Tseng Mien. Przyjechał bez zapowiedzi. Po prostu zatelefonowano do mnie z Ministerstwa Szkolnictwa Wyższego, że przybył do Warszawy. Proszono, abym się nim zajął i umożliwił mu zapoznanie się z polskim sadownictwem. Stał przede mną człowiek malutki, szczupłutki, którego wieku nie mógłbym określić, ale dowiedziałem się później, że był o 15 lat starszy ode mnie. Próbowałem zacząć z nim rozmowę po angielsku, francusku i rosyjsku, ale bez powodzenia. Mówię mu wobec tego, że zadzwonię do Chińskiej Ambasady, aby dano nam tłumacza. Na te słowa Tseng odzyskał mowę. Okazało się, że dwadzieścia pięć lat temu przez dwa lata studiował we Francji. Wiele zapomniał ale i tak po francusku mówił jeszcze niezłe, rozumiał też trochę po angielsku.

Zabrałem go więc do Skierniewic, gdzie pozostawał przez miesiąc. Nie chciał wiele podróżować po Polsce, bo nie znosił zimna, a grudzień dawał się we znaki. Dużo czasu spędzał w bibliotece, wiele czasu u mnie w domu, gdzie się stołował. Zaprzyjaźniliśmy się bardzo. Był to naukowiec o ugruntowanej wiedzy i warsztacie badawczym, zwolennik starego reżymu. Opowiedział mi dłaczego tak się przestraszył, gdy mu zaproponowałem, że weźmiemy dla niego tłumacza z ambasady. Nie chciał mieć nic wspólnego z tym „Nid des serpents”, z tym „gniazdem żmij”. Nie lubił komunizmu, ale był chińskim patriotą. Spędziłem z nim wiele czasu i wiele nauczyłem się o Chinach i chińskim sadownictwie. Rozpłakał się przy pożegnaniu, gdy go w Warszawie odprowadziłem w wigilię Bożego Narodzenia na pociąg, który odjeżdżał do Chin.

Propozycja mego wyjazdu do Chin na okres prawie 3 miesięcy, wysunięta przez Polską Akademię Nauk, została przyjęta przez stronę chińską która zaprosiła mnie jako „cłan-tia”, to znaczy eksperta, doradcę do spraw sadowniczych. Nie posiadałem się z radości. Jakże mogłem marzyć kilka lub kilkanaście lat temu o tym, że będzie mi dane pojechać na czas dłuższy do kraju tak ogromnego i ciekawego zarazem. Podróż swą zaplanowałem na późne lato i jesień 1957 r. Tymczasem prowadziłem korespondencję z wielu dziesiątkami przyjaciół w zachodniej Europie i w Ameryce. Wszyscy byli moją podróżą podnieceni. Zazdrościli mi, bo od wielu lat ani jeden specjalista sadownik z zachodniego świata nie miał możliwości zobaczenia Chin. Teraz wszyscy zarzucali mnie prośbami i zamówieniami, dotyczącymi głównie materiału roślinnego.

Kiedy studiowałem w Cornell University bardzo zaprzyjaźniliśmy się z pewnym doktorem Chińczykiem, Tsuin Shen, i jego żoną Pei-lan. Tseng powiedział mi, że Shen pracuje w Pekinie i że tam go pewnie spotkam.

W połowie sierpnia odleciałem do Moskwy. Nie podróżowano jeszcze odrzutowcami, a jedynie małymi samolotami, które miały częste lądowania. Podróż do Pekinu zabrała mi więc trzy dni z noclegami w Moskwie i w Irkucku.

W Pekinie wylądowałem w piękne słoneczne i upalne popołudnie, a pierwszymi osobami, które po wyjściu z samolotu zauważyłem byli Tsuin Shen i jego żona. Byłem gościem Chińskiej Akademii Nauk i chińskiego Ministerstwa Rolnictwa. Umieszczono mnie w hotelu „Pekin”, na głównej ulicy Mien-an-tie, blisko cesarskiego Pałacu Zimowego. Przebywałem w Pekinie kilka dni. Zwiedziłem miasto, a przede wszystkim Rolniczy Uniwersytet w Pekinie, gdzie Shen był dziekanem Wydziału Ogrodniczego.

Ułożyliśmy program mego pobytu. Jeśli chodzi o moje prośby, to pragnąłem zapoznać się z chińskim sadownictwem, głównie w rejonach klimatu umiarkowanego, ale chciałem zahaczyć także o rejony podzwrotnikowe, poznać możliwie najwięcej gatunków i odmian drzew i krzewów owocowych, zebrać nasiona i zrazy.

Strona chińska prosiła mnie, abym zapoznał się z praktycznym sadownictwem oraz z siecią sadowniczych stacji doświadczalnych, a na zakończenie przygotował coś w rodzaju ekspertyzy. Miałem w niej wyłuszczyć swoje poglądy na kierunki praktycznej produkcji owoców, a szczególnie na organizację doświadczalnictwa sadowniczego.

Przyjechałem do Chin w ostatniej prawie, sprzyjającej chwili. Był to okres polityki Stu Kwiatów. Mao-tse-tung rzucił hasło: „Niech rozkwita sto kwiatów, niech sto szkół myśli walczy o lepsze.” Jak najlepsze stosunki panowały w socjalistycznej rodzinie narodów. Związek Radziecki pomagał w odbudowie ze zniszczeń wielkiego państwa chińskiego, pomagał zwłaszcza w jego uprzemysłowieniu, ale je od siebie uzależniał. Były to jednak ostatnie lata, jeśli nie miesiące, przyjaźni chińsko-radzieckiej. Stosunki przyjaźni między tymi państwami miały się wkrótce zmienić w otwartą wrogość. Przyjeżdżało też do Chin sporo naukowców i specjalistów z innych państw socjalistycznych, między innymi z Polski. Przyjmowano ich bardzo serdecznie, czego doświadczałem na każdym kroku i każdego dnia.

Muszę przyznać, że Chiny zachwyciły mnie od pierwszego dnia. Kraj biedny i nie uprzywilejowany, to prawda. Przejechałem pewnego dnia samochodem w południowej prowincji Kwantung przeszło 400 km, a po drodze minęły mnie tylko dwa inne samochody i trzy pojazdy konne. Droga była zatłoczona, ale wszystko niesiono na plecach, na drążkach bambusowych i tak właśnie odbywał się transport.

W tym najbiedniejszym kraju nie było wcale nędzy. Nikt nie umierał z głodu. Cała produkcja rolna oddawana była państwu, a każdy obywatel dostawał na miesiąc 14 funtów ryżu, czy innych produktów zbożowych. Cała ludność nosiła mundury, spodnie i zapięte pod szyję bluzy, najczęściej granatowe, czasami szare. Widziało się wiele połatanych, ale nigdy obdartych, nigdzie brudnych. Czystości moglibyśmy Chińczykom pozazdrościć. Pozazdrościć by można także higienicznego trybu życia, bowiem z powodu ameb i innych pasożytów w stawach, rzekach i różnych zbiornikach wodnych, nie ma mowy o piciu nie przegotowanej wody. Dlatego pije się tam tak dużo herbaty, oczywiście zielonej bez cukru. Gdziekolwiek się zjawialiśmy, natychmiast stawiano przed nami bardzo gorącą herbatę. Dolewano, gdy wypiliśmy. A gdy nie zdążyliśmy wypić, a herbata stygła, wylewano ją, a dolewano wrzącej. Zdarzało nam się odwiedzać chłopskie rodziny, gdzie w domu brakło herbaty, dawano nam wtedy kubki zwykłego wrzątku. Zgodnie z dawnym chińskim obyczajem należało go pić z głośnym siorbaniem, żeby pokazać gospodarzowi, że woda czy herbata jest naprawdę gotowana, wrząca, gorąca, a więc bezpieczna.

Shen pochodził z rodziny mieszczańskiej, a jego żona z arystokratycznej, była nawet kuzynką pani Czang-Kai-szek. Pytałem Shena o jego poglądy. Nie był komunistą. Z Ameryki nie chciał jednak pojechać na Taiwan, wrócił do Chin Ludowych. Nie wierzył, by Chiny mogły mieć

jakąkolwiek przyszłość pod rządami Kuomintangu. Wierzył natomiast w przyszłość Chin Ludowych, chociaż bardzo cierpiał z powodu „błędów i wypaczeń” rewolucji.

Prześladowano go za jego przeszłość amerykańską. Przywiózł ze sobą przyrządy laboratoryjne, to mu je potłuczono, bo pochodziły ze znieprawdzonej Ameryki. Prześladowano go za liberalne poglądy. Gdy organizowano spółdzielczość produkcyjną na wsi, wysłano go na rok na jedną z najbiedniejszych wsi, którą musiał drogą łagodnej perswazji doprowadzić do uspołdzielczenia. Tak mało było w Chinach naukowców, a marnowano ich siły, tak jak w jego przypadku, na prace, które mógłby wykonać kto inny.

Nie dziwiłem się też, że Shenowi nie podobały się zebrania polityczne w wyższych uczelniach. U nas też zdarzało się że zebranie trwało cały wieczór, nawet do bardzo późnej nocy. Ale w Chinach takie zebranie mogło trwać nawet i dwa tygodnie, nawet po kilkanaście godzin dziennie. Brali w nim udział obowiązkowo nie tylko członkowie Partii, ale wszyscy profesorowie i wszyscy studenci. Zebrania miały na celu reedukację zatwardziałych grzeszników, do których czasami zaliczano Shena. Musiał składać samokrytykę przez dwie lub trzy godziny, a potem przez wiele godzin ustosunkowywali się do niej słuchacze. Dochodzili do wniosku, że samokrytyka była nie właściwa, niedostateczna. Musiał ją przygotować od nowa i tak mogło się to powtarzać kilka razy. Ale jako typowy Chińczyk nie tracił cierpliwości.

Jego grzechy były czasami przekomiczne. Mieli dwóch synów urodzonych w USA. Najstarszemu nadali pospolite w Ameryce imię Stanley. Tak też nazywali po powrocie do Chin. Podszuchał ktoś z sąsiadów i doniósł, że oto Shenowie bluźnierczo mówią na swojego syna „Stalin”. Długo się musiał Shen tłumaczyć i zmienić w końcu imię syna na czysto chińskie.

Zarówno w Pekinie, jak i w innych miastach, starano się zapoznać mnie ze starą kulturą chińską. Zwiedzałem muzea i świątynie, w Pekinie przede wszystkim Pałac Zimowy i Pałac Letni, Świątynię Nieba i grobowce Mingów. Wiele razy chodziłem do teatru. Wystawiano opery chińskie, stare sztuki, bardzo różne, w zależności od prowincji. W operze pekińskiej obowiązywała zasada, że mężczyźni grają wszystkie role, zarówno męskie jak i kobiece, co powoduje noszenie masek lub malowanie twarzy, gdzie kolory oznaczają cechy charakteru. W jednej z południowych prowincji jednak wszystkie role grane były przez kobiety. W pobliżu Szanghaju, oglądałem sztukę, gdzie mężczyźni grali role mężczyzn, a kobiety role kobiet.

Program mego pobytu w Chinach obejmował trzy wielkie podróże, z których każda zajęła ponad trzy tygodnie czasu. Pierwsza podróż, w którą pojechał ze mną Shen, wiodła na północ. Zwiedziliśmy mandżurskie prowincje Liaoning, Kirin i Heilung-kiang. Prowincja Liaoning ma klimat łagodny, można go porównać z węgierskim. Jest to najlepszy rejon produkcji jabłek, toteż gwałtownie ją tam rozwijano. Na 11 milionów jabłoni w Liaoning tylko 5 milionów miało więcej niż 5 lat. Reszta nie wstąpiła jeszcze w okres owocowania. Do połowy XIX wieku Chiny nie znały naszych wielkoowocowych jabłek. Uprawiano tam głównie jabłoni śliwolistną, rodzącą małe, rajskie jabłuszka. Jeszcze w 1957 r. stanowiły one połowę chińskiej produkcji jabłek. Teraz już sadzono tylko odmiany wielkoowocowe, prawie wyłącznie amerykańskie - Ralls, Delicious, Jonathan itd.

Uprawiano też orientalne grusze, pochodzące z miejscowych gatunków, słodkie, soczyste, ale o twardym, kamienistym miąższu. Chińczycy nie lubią naszych rozpluwających się w ustach „masłówek”. Nie uprawiali naszych wiśni, czereśni ani owoców jagodowych. Najpiękniejsze sady widziałem na półwyspie Liaotung, na którego cyplu leży miasto Port Artur zwane w

języku chińskim Talien. Łagodny klimat półwyspu sprzyja uprawie brzoskwiń. Rodzą one owoce duże, żółtomięsiste, o miąższu gąbczastym, słodkim, smacznym. Nadają się głównie na kompoty.

Kresem naszej wędrówki na północ był Harbin. Leży w szerokości geograficznej Neapolu, ale klimat ma skrajnie kontynentalny. Lata tak upalne, że można by uprawiać ryż, zimy bardzo surowe, mrozy dochodzące prawie co roku do 40°. Nawet Antonówki uprawiać nie można, bo wymarzną. Nieliczne sady jabłoniowe, jakie widziałem, złożone były z drobnoowocowych krabów, mieszańców między naszymi odmianami wielkoowocowymi i syberyjską jabłonią jagodową.

W zdumienie wprawiał mnie fakt, że w okolicach Harbina uprawia się brzoskwinie. Z rzadka co prawda i tylko w ogrodach przydomowych, z siewu, a nie ze szczepienia, ale i tego nigdy bym nie oczekiwał. Przywiozłem trochę nasion ze sobą, wyprodukowałem siewki, które przeżyły w Skierniewicach w styczniu 1963 roku temperaturę -38°C. Miałem nadzieję, że na skutek krzyżowania uda się z nich wyhodować odmiany odporne na nasze surowe zimy. Niestety, okazało się, że będzie to praca, która zajmie kilkadziesiąt lat.

Przyjechaliśmy do Harbina po bardzo ulewnych deszczach, a leży on nad dużą rzeką Sungari. Ujęta w wysokie wały nie zalała miasta. W innych rejonach wystąpiła jednak z brzegów. Jadąc pociągiem widziałem zmobilizowanych podobno ponad pół miliona ludzi do sypania nowych wałów. Jedyne urządzenie do transportowania ziemi były koszyczki wiklinowe. Trudno mi było oderwać oczy od tego widoku. Na małej przestrzeni rozmieszczono dziesiątki tysięcy ludzi. Nikt z nich nie przystawał, nie próżnował, nie czekał, ale też nie spieszył się. Nie widać było nadzoru. Wszyscy byli w ruchu, nosili ziemię i wysypywali ją w przeznaczonych na to miejscach.

Po powrocie do Pekinu zamieszkałem w tym samym hotelu na parę dni wypoczynku. Rozkoszowałem się chińską kuchnią. Nie darmo powiadają, że marzeniem sybaryty jest mieć chińskiego kucharza, japońską żonę i europejski dom. Tak polubiłem zieloną herbatę, że po powrocie namówiłem na nią żonę i do tej pory pijemy ją w domu raz lub dwa razy dziennie, oczywiście bez cukru. Lubimy zwłaszcza herbatę jaśminową, z kwiatami jaśminu, ale innego niż nasz polski jaśmin (*Philadelphus*). Do aromatyzacji swej herbaty Chińczycy używają pączki kwiatowe prawdziwego, podzwrotnikowego jaśminu (*Jasminum*).

Próbowałem „jaskółczych gniazd” i „tysiącletnich jaj”. Tak zwane jaskółcze gniazda budowane są ze śliny małych ptaków, podobnych do jaskółek, która zastyga w coś w rodzaju żelatyny. Jadłem przyrządzoną z nich zupę, nic specjalnego. Jest to rzecz bardzo droga i rzadko podawana. Normalną natomiast cenę mają tysiącletnie jaja. W rzeczywistości mają one najczęściej pół roku lub rok. Są to jaja kurze konserwowane tak jak się u nas to robi w szkle wodnym czy w wapnie. W Chinach konserwuje się je w mieszaninie wapna, gliny i otrąb ryżowych. W jajach przechowywanych w tej mieszaninie białko staje się czarne, szkliste, a jaja smakują tak, jak normalne gotowane.

Sława kuchni chińskiej pochodzi ze sposobów przyrządzania mięs, zwłaszcza mięsa z drobiu i ryb z warzywami i ryżem. Wspaniałe są też „owoce morza”, różne kraby i małże, czarne, brodawkowate strzykwy, meduzy i glony morskie. Najsmaczniejsza jest kuchnia na południu Chin, w Kantonie, gdzie zjada się nawet psy i koty. Mieszkańcy Pekinu żartują sobie z południowców, że jedzą wszystko, co jest w morzu, z wyjątkiem łodzi podwodnych: wszystko, co w powietrzu, z wyjątkiem odrzutowców, wszystko co na lądzie, z wyjątkiem lokomotyw.

W podróż na zachód pojechałem z prof. Te-tsun Yu, mniej więcej w moim wieku. Przed wojną studiował przez trzy lata botanikę w Edynburgu, mówił dobrze po angielsku. Był dyrekto-

rem Ogrodu Botanicznego Chińskiej Akademii Nauk w Pekinie, ale specjalizował się w sadownictwie. W ostatnich kilku latach poprowadził dwie wyprawy botaniczne do Tybetu. Już obecnie było wiadomo, że w przyszłym roku przyjedzie na miesiąc do Polski. Z natury uczynny i niezwykłe uprzejmy, starał się zrobić wszystko, aby moja podróż była zarówno przyjemna, jak i pożyteczna.

Polecieliśmy małym samolotem pocztowym z Pekinu do Sian w prowincji Szensi, z krótkim postojem w Tetsuanie, stolicy prowincji Szansi. Samolot był bardzo mały, mieścił tylko trzech pasażerów, leciał bardzo nisko. Prowincje Szansi i Szensi to słynne chińskie krainy lessowe, kolebka chińskiej cywilizacji. Całkowicie bezleśne i zniszczone przez erozję, pocięte głębokimi, stromymi wąwozami i urwiskami, w większości nie nadają się pod uprawy rolnicze. Patrząc na nie z góry wyobrażałem sobie, że tak może wyglądać krajobraz księżycowy, ale gdy go rzeczywiście ujrzałem w telewizji, jednak był inny.

W Sian zatrzymaliśmy się na kilka dni. Zwiedziłem piękne sady jabłoniowe i gruszkowe, ale więcej uwagi poświęciłem persymonie i jujubie. Oba te drzewa owocowe pochodzą z Chin i są u nas zupełnie nieznane. Rosną w klimacie, w którym mrozy zimowe nie przekraczają 15°. Jeszcze wtedy jujuba zajmowała pierwsze miejsce pod względem ilości drzew owocowych w Chinach, a persymona pierwsze miejsce w ilości produkowanych owoców, ponieważ jest bardziej płodna niż jujuba.

Jujuba jest drzewem niewysokim, jak nasza śliwa, liście ma pierzaste jak akacja (*Robinia*), a owoce pod względem wielkości i kształtu przypominają węgierki. Miąższ mają mączysty, białawozielonkawy, słodkawy, mało smaczny, natomiast bardzo pożywny. Dojrzewają we wrześniu, spożywa się je świeże, suszone lub kandyzowane.

Persymona jest drzewem dużo większym, o liściach przypominających liście grusz. Rodzi owoce wielkości i kształtu pomidorów, tylko bardziej spłaszczone, barwy od czerwonej do pomarańczowej, również przypominającej pomidory. Owoce zrywa się z czterema grubymi mięsistymi działkami kielicha. W pełnej dojrzałości są słodkie, smaczne ale nietrwałe. Spożywa się je w stanie świeżym, część suszy lub kandyzuje. Większość odmian persymony przetrzymuje się na drzewie po opadnięciu liści, aż do silniejszych mrozów. Przepiękny jest widok kilometrami ciągnących się sadów persymonowych, gdy bardzo obfity ich plon złoci się w jesiennym słońcu na bezlistnych już drzewach.

Sian była stolicą Chin przed dwoma tysiącami lat. Teraz jest wielkim, paromilionowym miastem. Częściowo zachowały się jego zbudowane z lessu mury obronne.

Z Sian pojechaliśmy koleją do Lanczou, stolicy prowincji Kansu. Jest to również kraina lessowa. Lanczou leży w dolinie Żółtej Rzeki. Ponad doliną wznoszą się do wysokości 1500 m nad poziom morza lessowe góry. Opady wynoszą tu od 400 do 500 mm rocznie i przychodzą głównie latem. Lessowe góry, a właściwie płaskowyż, są również zniszczone przez erozję i mało rolniczo użytkowane. Tu i ówdzie widzi się nędzne proso i grykę. Lanczou i jego okolice znane są jednak ze ściółki kamiennej, która pokrywa tu ponad 100.000 ha ziemi.

Ściółka kamienna jest to rzecz wprost niewiarygodna. Oto trzeba naznosić drobnych kamyczków z łóżysk rzecznych, czasami z odległości kilkudziesięciu kilometrów, i przykryć nimi ziemię warstwą około 10 cm grubości. Utworzona w ten sposób ściółka kamienna chroni glebę przed utratą wilgoci przez parowanie. Ale nie tylko to. Pochłaniając promienie słoneczne stwarza specjalny mikroklimat tuż nad powierzchnią ziemi, sprzyjający rozwojowi roślin. Dzięki ściółce



kamiennej na nie nawadnianej glebie wysokie plony dają arbuzy, kapusta chińska, rzodkiew, różne inne warzywa, morele i rośliny rolnicze.

Można sobie jednak wyobrazić, ile pracy ręcznej kosztuje założenie ściółki kamiennej i jej utrzymanie. Co roku trzeba ją odgarnąć na podłużne wały, aby można było między nimi posiać lub posadzić rośliny. Potem zaś należy z powrotem kamyki równo rozłożyć. Po dwudziestu latach trzeba kamienie wyrzucić i przynieść nowe, bo stare zmatowiały od ziarenek lessu i już nie pochłaniają tak wiele energii słonecznej.

Osobliwością jest wyspa na Żółtej Rzece, nazwana Wyspą Harmonijnej Szczęśliwości. Jedyne sposoby lokomocji stanowiły tratwy złożone z nadmuchanych powietrzem dwunastu skór baranich. Siedziałem w kucki i trzymałem się bambusowej kratki, a przewoźnik długą tyką prowadził tratwę po wartkich i naprawdę żółtych od lessu falach. Wyspa powstała dwieście lat temu po wielkiej powodzi i wszystko miało tam po dwieście lat - grusze, persymony i winorośl. Grusze dawały w latach urodzaju po dwie tony owoców, a dwustuletnie winorośle formowane w puchary o średnicy 10 m po półtonie winogron.

Zdumiewało, że całą wyspę, chociaż nawadnianą obficie, regularnie i bez trudu, pokrywała ściółka kamienna. Uprawiano tam także warzywa, głównie chińską kapustę, rzodkiew i cebulę, zbierając trzy plony w ciągu roku, a ściółka kamienna stosowana jest nie dla ochrony ziemi przed parowaniem, lecz dla wytworzenia specjalnego mikroklimatu, o którym wspomniałem. Trzy razy w roku trzeba tu było odgarniać kamyki, aby posadzić warzywa.

Na nawadnianych glebach w dolinie Żółtej Rzeki podziwiałem sady morelowe, bo prowincja Kansu jest najlepszym rejonem uprawy moreli w Chinach. Niedaleko Lanczou zwiedziłem rezerwat z pozostałościami dawnych lasów, a w nich dzikie morele.

W rezerwacie ostał się stary klasztor buddyjski, stanowiący rozrzucone tu i ówdzie pustelnicze domki. Odwiedziliśmy jednego z mnichów. Na ścianie jego izdebki wisiał portret Mao-tse-tunga. Staruszek nieokreślonego wieku zbierał i suszył zioła. Przy pomocy tłumacza podjąłem z nim rozmowę właśnie o florze miejscowego rezerwatu. Okazało się, że miał o niej bardzo rozległe wiadomości. Na koniec zaczął mnie wypytywać o mój kraj i o rodzinę. Gdy odchodziłem, wyszukał w głębiach swych schowków jakieś specjalne ziele i dał mi mówiąc, że zapewni mi ono szczęście rodzinne.

W powrotnej drodze zatrzymaliśmy się w Wukung, między Lanczou i Sian, gdzie znajdował się uniwersytet rolniczy oraz kilka rolniczych instytutów, zajmujących się problemami rejonów północno-zachodnich. Tak jak w innych miejscowościach poproszono mnie o wykład na tematy sadownictwa amerykańskiego i europejskiego. Równie długo toczyła się dyskusja. Wzbudzałem zainteresowanie faktem, że znałem sadownictwo nie tylko w krajach socjalistycznych, ale także w Europie Zachodniej i Ameryce.

Trudno było spodziewać się w Chinach licznego grona naukowców dobrze przygotowanych do pracy badawczej w sadownictwie. Można było ich z łatwością policzyć na palcach jednej ręki. Po zwycięstwie rewolucji otworzono bardzo wiele szkół i rolniczych stacji doświadczalnych, często sadowniczych. Zatrudniono w nich wielu młodych, entuzjastycznych, ale słabo przygotowanych pracowników.

Zaczęli od rejestrowania bogactwa roślinności tego wielkiego kraju. Młodzi ludzie rozbiegli się więc po kraju, wyszukiwali różne odmiany, gromadzili je na polach doświadczalnych i porównywali ze sobą. Na podstawie tych porównań wybierali najlepsze odmiany i zalecali je do powszechnej uprawy. Była to tytaniczna po prostu praca. Nikt nigdy nie poważał się jej dotąd zapoczątkować, bo kraj od wielu dziesiątków lat był opanowany przez bandy. Teraz wreszcie

zwinne dziewczątka, nie mówiąc już o mężczyznach, bez bojaźni przemierzały najbardziej odległe od miast tereny. Nocowali po zagubionych wśród gór wsiach i osiedlach, a ze swych wypraw znosili coraz cenniejsze okazy jak na przykład tak zwaną brzoskwinę zimową, którą odkryto w górach Cing-ling na południe od Sian. Dojrzewa ona w listopadzie, ale jest jeszcze twarda. Złożona w piwnicy nabiera smaku i do spożycia nadaje się dopiero w lutym. Jest to jednak brzoskwinia klimatu południowego, nie znosząca mrozów większych niż 15-20°.

I znowu powrót do Pekinu na parę dni, a następnie wyjazd na południe w towarzystwie prof. Tsenga. Krótko zatrzymaliśmy się w Szanghaju, na trochę w Hangezou, paręset kilometrów dalej na południe. Hangezou uchodzi za najpiękniejsze miasto w Chinach. Zawdzięcza to naturze i ludziom. Leży w klimacie wilgotnym, w dolinie otoczonej pięknie zalesionymi górami, co w Chinach, gdzie większość lasów dawno wycięto, należy do rzadkości.

Prawie tysiąc lat temu gubernatorem prowincji Czekiang, której stolicą jest Hangezou, był pewien poeta. Nadał on miastu dzisiejszy obraz. Na rozszerzonym dnie kotliny utworzył przepiękne, płytkie jezioro Sihu (jezioro zachodnie), poprzecinane przez obsadzone przepięknymi drzewami groble. Na jeziorze zbudowano kilka niewielkich wysepek z małymi stawami i budowlami przypominającymi świątynie. Groble przebito kanałami, a nad nimi zbudowano istniejące dotychczas kamienne mosty, każdy inny, każdy noszący inne, poetycznie brzmiące imię. Wokół jeziora poeta - gubernator rozplanował miasto. Do dziś Hangezou cytowane jest w podręcznikach architektury krajobrazu jako szczyt klasycznego piękna.

W okolicy miasta zwiedziłem kilka starych świątyń buddyjskich pełnych rzeźb, przedstawiających dobre i złe moce. Przyjeżdżały tu tysiące turystów. Przychodzili także i wierni, przeważnie stare kobiety, które zapalały świeczki a raczej patyczki z sandałowego drewna roztańczające przyjemną woń.

Z Hangezou pojechałem na własną prośbę około 800 km na południowy wschód do doliny Hwagyen, która od setek lat znana jest z uprawy owoców cytrusowych, głównie mandarynek. Ojczyznę owoców cytrusowych, zwłaszcza mandarynek, są właśnie południowo-wschodnie Chiny. Jechaliśmy Land Roverem, angielskim samochodem terenowym, przez teren trudny i dziki. Przez rzeki i płytkie brody przeprawialiśmy się promami. Wreszcie dotarliśmy do doliny Hwagyen, wypełnionej sadami mandarynkowymi, rosnącymi na wałach wśród pól ryżowych. Tu zwiedziliśmy wieś, w której na 19,5 ha ziemi mieszkało 158 rodzin i utrzymywało się z mandarynek i ryżu.

Z Nankinu pociągiem pojechaliśmy do Kantonu. Była już późna jesień. Wśród zieleni trzciny cukrowej i bananowych plantacji dziwne wrażenie robiły sady gruszkowe i brzoskwinio-we, które już potraciły liście. Tu jeszcze lato, jeszcze bardzo ciepło, a mnie się wydawało, że tutejsze brzoskwinie i grusze, niepomne na kipiącą zieleń, zrzuciły liście jakby na znak solidarności ze swymi siostrzycami tam, na północy, gdzie w powietrzu czuło się już nadchodzącą zimą.

Prowincja Kwantung, poza Kalifornią, była pierwszym rejonem podzwrotnikowym, który w życiu widziałem. Dlatego też z największą ciekawością oglądałem plantacje bananów, ananasów i różnych gatunków owoców cytrusowych, a przede wszystkim pompele, która dochodziła do ciężaru 2 kg. Ciekawiły mnie też owoce pomniejszego znaczenia - papaja, karambola i różne gatunki anony.

W Kantonie odbywała się doroczna międzynarodowa wystawa towarów eksportowanych przez Chiny. Owoce i produkty rolne odgrywały tu dużą rolę. Uwagę moją zwróciły szczególnie

rośliny uprawiane w wodzie, w stawach i płytkich rzekach, jak lotos (*Nelumbo nucifera*). Jego nasiona, zwane, orzeszkami, zyskały sobie największą sławę. To było podobno pożywienie mieszkańców krainy Lotofagów, do której w swojej podróży zawinął Odyseusz. Większe praktyczne znaczenie mają wypełnione skrobią kłocza lotosu.

Podróż z Kantonu do Pekinu trwała dwa dni. Zaczęła się prawdziwie jesienna pora. Z pustyni Gobi wiały wiatry niosące z sobą drobny, dokuczliwy pył. Wielu ludzi spotykało się w muślinowych maskach. Bardzo nasilały się moje astmatyczne dolegliwości.

Obejrzałem przepiękną wystawę chryzantem w parku Sun Jat-sena. Uprawa chryzantem to pradawna chińska sztuka. Chińczycy mają wiele bardzo oryginalnych odmian. Niektóre egzemplarze szczepią na bylicy (*Artemisia*) i hodują niezmiernie rozgałęzione i formowane w sztuczne kształty około dwóch lat, zanim doprowadzą je do zakwitnięcia. Tak formowane rośliny miały po parę tysięcy kwiatów.

Po powrocie trafiłem w Pekinie na obchody ludowego święta. Chcąc je obejrzeć i coś o nim usłyszeć zabrałem na miasto tłumaczkę. Na placach i w parkach tańczyła młodzież, głównie przedwojenne europejskie tańce, walce i tanga. Moja przewodniczka zdradzała widoczną chęć tańca, więc zatańczyłem z nią walca. Dziewczyna rozglądając się na boki, zapytała ścisłym głosem, czy potrafię tańczyć rock and rolla i czy mógłbym jej pokazać, jak się to robi. Niestety, musiałem ją rozczarować, rock and rolla nie umiałem tańczyć.

Pobyty mój dobiegał końca, miałem ostatnie dwa wykłady, potem złożyłem na piśmie sprawozdanie z podróży i zostawiłem zalecenia, o które mnie proszono. Przekonałem się później, że niektóre z nich wcielono w życie. W Hsing Cheng w południowej Mandżurii powołano Instytut Sadownictwa dla rejonów klimatu umiarkowanego. Następnie zostałem przyjęty przez prezesa Chińskiej Akademii Nauk - Kuo-Mo-žo. W długiej rozmowie zapytałem, dlaczego Chiny, mając tak mało dobrze przygotowanych do pracy badawczej uczonych, marnują ich czas, posyłając do prac politycznych i organizacyjnych nic nie mających wspólnego z nauką? Dlaczego utrzymywana jest tak wysoka temperatura wrzenia rewolucji?

Młody człowieku - powiedział mi prezes - w historii Chin nie liczyliśmy czasu od narodzenia Chrystusa, ale od początku do końca każdej dynastii. Tak to się zwykle działo. Oto żył cesarz, krwawy tyran, aż powstał młody bohater z ludu i zabił tyrana, a wtedy raj zapanował na ziemi. Młody bohater, bożyszcze ludu, obwołany został cesarzem. Płynęły lata. Młody cesarz starzał się, a jego rządy nie były już takie, jak za czasów młodości. Jego syn, a już na pewno wnuk, przewyższał swą krwiożerczością tyrana, którego zabił dziad. I znowu znalazł się młody bohater, który go zamordował i stał się założycielem nowej dynastii.

Pewnie już zauważyłeś, że nasze społeczeństwo odrodziło się przez rewolucję. Staliśmy się krajem najbardziej uczciwym, etycznym w świecie. Obawiamy się jednak, aby za lat 10 czy 20 nie wróciły stare wady i przywary. Oto dlaczego pragniemy utrzymać w kraju przez długi czas wysoką temperaturę rewolucyjnego wrzenia, aby nowa etyka weszła nam w krew, na zawsze.

Zdumiałem się nad tym, co usłyszałem. W powietrzu czuło się koniec okresu Stu Kwiatów, czuło się nadchodzącą rewolucję kulturalną. Wszystko to szło od starego człowieka, od Mao Tse-tunga. Czyżby idee te doszły już do prezesa Academia Sinica? Pewnie nie zdawał sobie sprawy z tego, że żadna ideologia nie może zmienić natury człowieka. Nie zmieniła się w Chinach ideologia, a stare przywary natury ludzkiej tłumione przez czas jakiś, wróciły po następnych parunastu latach.

Postanowiłem wrócić z Chin, pociągiem, koleją transsyberyjską. Podróż z Pekinu do Moskwy trwała osiem dni. Była to już druga połowa listopada. Na Syberii panowała zima, w Irkucku

mrozy dochodziły do 20°. Po drodze widziałem północną Mandżurię, podziwiałem Bajkał, a potem równinę syberyjską. Było to naprawdę wielkie przeżycie

Wkrótce po moim powrocie z Chin rozpoczęła się tam „Rewolucja Kulturalna”. Chiny prawie zupełnie zerwały stosunki polityczne ze Związkiem Radzieckim. Z Polską wprawdzie stosunków nie zerwały, ale bardzo je ograniczyły. „Rewolucja Kulturalna” zaczęła wygasać dopiero w początku lat siedemdziesiątych. Chińska Akademia Nauk zaczęła ostrożne próby nawiązania zerwanych kontaktów z naszą Akademią. W 1973 r. postanowiono, że pojedę pierwszy zbadać na miejscu stan rzeczy. Aby była to podróż jak najmniej oficjalną, zaproponowano mi bym pojechał z żoną, z tym, że ona pokryje koszty swojego wyjazdu.

Pojechaliśmy na miesiąc, podróżowaliśmy od Harbinu na północy po Nankin na południu. Byliśmy bardzo dobrze przyjęci i nie wmuszano w nas antyradzieckiej propagandy. Z prof. Shenem nie pozwolono nam się spotkać. Dowiedzieliśmy się, że w czasie „Rewolucji Kulturalnej” bardzo ucierpiał, ale już jest z powrotem w Pekinie. Jeszcze dwa razy odwiedziłem Chiny. W 1984 r. spędziłem tam sześć tygodni, głównie w prowincjach południowych zapoznając się z uprawą owoców subtropikalnych. Towarzyszem mojej podróży był Shen. Ostatnim razem odwiedziłem Chiny w końcu 1986 r., tym razem na dwa tygodnie.

## Do Ameryki po dwunastu latach

Minęło już wiele lat od powrotu z Ameryki, ale kontaktów nie zerwałem, nawet w najgorszych czasach stalinizmu. Utrzymywałem z kolegami i znajomymi obszerną korespondencję, której fotokopie podobno - jak opowiadał mi jeden funkcjonariusz pilnie gromadzono w skier-niewickim Urzędzie Bezpieczeństwa. Nawet nie marzyłem w tych czasach, że znowu tam pojedę i zapoznam się z postępem, jaki uczyniła nauka i produkcja sadownicza.

Nadchodziły jednak czasy, kiedy można już było o tym myśleć. Po dojściu do władzy Gomułki nawiązano kontakt z potężną Fundacją Rockefellera. Dyrektorem Wydziału Rolniczego Fundacji był dr J.G. Harrar, profesor fitopatologii na Uniwersytecie stanu Minnesota. Poznałem go na zjeździe w latach wojny, a teraz dowiedziałem się, że wraz z kilku osobami z Fundacji przyjeżdża do Polski na zaproszenie wiceminister E. Krassowskiej, aby omówić pomoc w kształceni naszych naukowców.

Zwiedził kilka uczelni rolniczych i Instytut. Jedną z pierwszych była wizyta w Skierniewicach, gdzie oczywiście zaprosiłem go na obiad, a także prof. Malinowskiego i prof. Chroboczka.

Jego przyjazd wypadł jesienią 1957 r. tuż po moim powrocie z Chin. Wypytywał mnie szczegółowo o Chiny i powiedział, że muszę oczywiście przyjechać jak najprędzej do USA z wykładami na temat tego, co w tym kraju widziałem. Ameryka od lat nie miała żadnych kontaktów z Chinami i bardzo się ich rolnictwem interesowała.

Fundacja Rockefellera zawarła z naszym Ministerstwem Szkolnictwa Wyższego porozumienie w sprawie działalności w Polsce, która miała przybrać dwie formy. Fundacja miała przydzielać starszym polskim naukowcom tak zwane Travel Grants, to znaczy pokrywać koszty ich trzymiesięcznych naukowych podróży do USA. Poza tym miała dawać roczne lub dłuższe stypendia młodym pracownikom naukowym na studia w Ameryce.

Była to akcja bardzo pożyteczna. Obejmowała głównie rolnictwo, nauki przyrodnicze i medyczne. Prawie wszyscy najwybitniejsi profesorowie rolnictwa mogli dzięki niej zwiedzić Amerykę. Ze Skierniewic oprócz mnie otrzymali Travel Grants także Malinowski i Chroboczek. Na stypendia z Fundacji wyjechało do Ameryki kilkudziesięciu młodych ludzi, a z naszego Instytutu Wiąckowski, Łęski i Jankiewicz, od Chroboczka - Skąpski i Doruchowski, od Malinowskiego - Chmielewski.

Niestety, akcja Fundacji Rockefellera trwała w Polsce zaledwie trzy czy cztery lata. Została przerwana przez stronę polską. Fundacja prowadzi podobną działalność w wielu innych państwach. Ustaliła pewne reguły, do których wszystkie kraje stosują się, na przykład: Fundacja, a nie rząd danego kraju, decyduje, komu ma być przydzielone stypendium lub Travel Grant. Fundacja przysyła więc okresowo swoich ludzi na rozmowy i na ich podstawie wydaje decyzje.

Polska strona początkowo zgodziła się na te warunki. Potem jednak zastrzegła sobie decyzję w sprawie doboru kandydatów. Przeważały tu zatem względy polityczne, a nie wzgląd na dobro polskiej nauki. Fundacja nie zgodziła się na przyjęcie tego warunku i wycofała się z Polski.

W 1958 r. jako jeden z pierwszych dostałem z Fundacji trzymiesięczny Travel Grant dla siebie i dla żony. Postanowiliśmy pojechać do Ameryki w sierpniu, na cały jesienny okres dojrzewania i zbioru owoców, kiedy można najlepiej zapoznać się ze stanem sadownictwa i ocenić postęp, jaki uczyniono od czasu naszego wyjazdu do kraju.

Ważnym motywem naszej podróży do Ameryki była także chęć zaprezentowania polskiego sadownictwa, z którego mieliśmy prawo być dumni.

Instytut, który zorganizowałem w Skierniewicach, miał już sporą grupę młodych, zdolnych pracowników naukowych, takich jak Jankiewicz, Borecki, Łęski, Zagaja, Wiackowski i Soczek. Wykorzystałem sytuację, jaka została stworzona przez zimną wojnę i uczyniłem Instytut ważnym pośrednikiem w wymianie informacji i materiału roślinnego między wschodem i zachodem. Nieprzerwanie od 1946 r. sprowadzałem z Ameryki i z zachodniej Europy nowe odmiany roślin sadowniczych. Po rozmnożeniu przysyłałem je do ZSRR, Rumunii, Bułgarii, Węgier, Czechosłowacji i NRD, a obecnie także do Chin, bo sadownicy w tych państwach nie mieli w Ameryce przyjaciół, sam też przysyłałem do Ameryki i zachodniej Europy interesujący materiał roślinny ze środkowej i wschodniej Europy oraz z Chin.

Bardzo to podniosło nasz prestiż w światowym sadownictwie. Gdy jechałem w 1957 r. do Chin, amerykańscy hodowcy genetycznych odmian jabłoni odpornych na parcha, prosili mnie, abym im przywiózł próbki liści z parchem jabłoni z Chin. Uprzednio przesłałem im już takie próbki z różnych rejonów wschodniej Europy. Chodziło im o to, aby zbadać, czy w tych niedostępnych dla nich rejonach świata nie występują przypadkiem rasy parcha, na które ich nowe odmiany nie są genetycznie odporne. Na szczęście ani w próbkach wschodnioeuropejskich, ani chińskich, jakie im dostarczyłem, takich nowych ras parcha nie znaleziono.

Pracownicy Fundacji działający w Indiach na pograniczu z Chinami dowiedzieli się o nowej dobrej odmianie prosa, jaką wyhodowano w Tybecie. Ponieważ stosunki polityczne między Chinami a Indiami były złe, nie udało się im tej odmiany bezpośrednio z Chin sprowadzić. Na prośbę Harrara napisałem do Chin, próbkę tybetańskiego prosa otrzymałem przez Shena, przesłałem ją Harrarowi do New Yorku, on z New Yorku do Indii na pogranicze Tybetu.

O naszej działalności w tej dziedzinie robiło się już głośno w sadowniczym świecie. W kwietniu 1958 r. odbył się Międzynarodowy Kongres Ogrodniczy w Nicei, na który pojechaliśmy wraz z żoną, ja na koszt Ministerstwa Rolnictwa, żona na koszt własny. Wzbudziłem ogromne zainteresowanie opowiadając o wyprawie do Chin. Napisałem też wiele artykułów w prasie amerykańskiej, angielskiej, francuskiej, szwajcarskiej i niemieckiej na temat jej przebiegu. Otrzymywałem też w związku z tym wiele listów z całego zachodniego świata z prośbami o informacje lub o materiał roślinny.

Po raz pierwszy wybieraliśmy się z żoną w długą amerykańską podróż. Córka miała 16 lat, syn 12.

Poleciliśmy samolotem, jeszcze turbośmigłowcem, bo odrzutowce dopiero wchodziły w użycie. Lot z Hamburga do New Yorku trwał 13 godzin. Zatrzymaliśmy się najpierw w New Yorku w siedzibie Fundacji, gdzie ułożyliśmy program podróży. Jeździliśmy głównie pociągami i autobusami, mniej samolotami. Odwiedziliśmy przede wszystkim Cornell University w Ithaca, N.Y., University of Rhode Island w Kingston, uniwersytety i stacje doświadczalne w stanach Connecticut, Michigan, Ohio, Indiana, Illinois, Minnesota, Waszyngton, Oregon, Kalifornia, Kolorado, Missouri, Floryda, Waszyngton D.C., Maryland, West Wirginia, Pennsylvania i New Jersey.

Zmieniła się Ameryka przez te dwanaście lat. Wzbogaciła się, rozbudowała. Ogromnie rozrosły się przedmieścia złożone z jednorodzinnych domków. Rozbudowano drogi, zwłaszcza tak zwane „freeways” czyli autostrady, wiele z nich było płatnych. Panowały na drogach ogrom-

ne samochody, przezwane „ferry boats” (promy), bo benzyna kosztowała tanio, nikt o jej oszczędności nie myślał. Podniosły się zarobki, ale i inflacja.

W szesnastu uniwersytetach poproszono mnie o wygłoszenie wykładu o sadownictwie w państwach socjalistycznych, między innymi w Polsce. Głównie jednak interesowano się tym, co widziałem w Chinach i w ZSRR. Na szczęście miałem dość przezroczy, aby ilustrować swoje wykłady, toteż wzbudzały one wielkie zainteresowanie, a jednocześnie podziw. Oto pojawił się w tym najpotężniejszym państwie młody człowiek z „państwa-satelity”, jak o nas mówili, który widział to, o czym oni tylko mogli marzyć. Poza tym znał kierunki nowoczesnego światowego sadownictwa, mówił dobrze ich językiem. Dla większości słuchaczy, którzy mnie nie znali, było to coś niebywałego. Dawali mi to odczuć.

W wielu przypadkach dyskutowaliśmy niesławne lata zimnej wojny. Muszę tu przytoczyć nieprawdopodobną wprost historię J.S. i jego krzaku agrestu.

J.S. był trochę starszy niż ja, miał już doktorat, kiedy ja byłem doktorantem. Pracował w katedrze fizjologii roślin Cornell University, jako Assistant Professor (docent). Był żonaty. Ponieważ zwróciłem na siebie uwagę wynikami pracy w Pracowni Fizjologii Roślin dla zaawansowanych, prof. Curtis polecił mnie dr S., który szukał pomocnika do swoich doświadczeń. Przez dwa lata zatem dr S. dawał mi płatne prace zlecone, zżyliśmy się bardzo. Dr S. interesował się obcymi językami, znał trochę rosyjski. Próbowałem go uczyć po polsku, podarowałem mu nawet słownik polsko-angielski.

Utrzymywaliśmy korespondencję po naszym powrocie do Polski. Kiedy jednak zaczęła się zimna wojna, dr przestał odpowiadać na moje listy. Przestałem pisać i ja. Niespodziewanie dostałem od niego w 1957 r. list takiej mniej więcej treści:

Szanowny Panie!

Mam w ogrodzie krzew agrestu, który co roku kwitnie, ale nie owocuje. Radziłem się swoich znajomych, profesorów sadownictwa, ale żaden z nich nie mógł mi wyjaśnić, dlaczego tak jest.

Czytałem niedawno Pana artykuł w amerykańskim miesięczniku „American Fruit Grower” o zapyłaniu drzew i krzewów owocowych. Widocznie jest Pan specjalistą w tej dziedzinie, może będzie mi Pan mógł coś doradzić.

Jeśli nie umie Pan po angielsku, może Pan do mnie napisać po polsku. Kiedy pracowałem w Cornell University w czasie wojny, poznałem tam doktoranta Polaka, który nauczył mnie parę słów po polsku, a nawet podarował mi słownik polsko-angielski. Przy jego pomocy postaram się list przetłumaczyć.

Łączę wyrazy szacunku i poważania  
J.S.

Przeczytaliśmy z żoną list i spojrzeliśmy po sobie. Kpi, czy o drogę pyta? Wydawało mi się jednak, że wiem, o co chodzi. Siadłem więc i odpisałem:

Wielce Szanowny Panie Profesorze!

Skoro tak wielu wybitnych amerykańskich uczonych badało Pana krzak agrestu i żaden z nich nie mógł odgadnąć przyczyny jego nieowocowania, to jak Pan może spodziewać się, że odgadnę tę przyczynę ja, skromny pracownik naukowy z małego, niebogatego kraju gdzieś tam w środkowej Europie, nie widząc nawet pacjenta?

Być może, że Pana agrest tęskni za płcią przeciwną. Niech Pan spróbuje obok posadzić inną odmianę tego gatunku do zapylenia jego kwiatów. Być może, że wtedy Pana agrest zaowocuje.

Namyślałem się, czy pisać do Pana po polsku czy po angielsku. Bo cóż za dziwny zbieg okoliczności! W tym samym czasie co Pan - i ja byłem w Cornell University. Współpracowałem z niejakim dr J.S. wraz z żoną uczyliśmy go trochę po polsku, a na pożegnanie zostawiliśmy mu słownik polsko-angielski. Ale to oczywiście nie był Pan, bo przecież by Pan nas nie zapomniał.

Z wyrazami wysokiego poważania,

Szczepan Pieniążek.

Po kilku tygodniach otrzymuję od dr S. list: „Ależ to ja, twój przyjaciel, J.S. W poprzednim liście nie przypomniałem naszych wspólnie spędzonych lat w trosce o Ciebie. Bałem się, że jak Wasze władze bezpieczeństwa dowiedzą się, że miałeś przyjaciół w Ameryce, to możesz mieć od nich wiele przykrości.”

Odwiedziliśmy w ich domu z ogrodem w Logansport w stanie Indiana. Nie znaleźliśmy tam żadnego agrestu. Agrest był pretekstem, aby do nas napisać i dowiedzieć się, czy my naprawdę żyjemy. Jego ostrożność była wynikiem ery McCarthy'ego, senatora, który rozpętał w Ameryce nagonkę antykomunistyczną. Niektórzy inni profesorowie mówili mi, że byli wzywani przez Prezydentów swoich Uniwersytetów, aby wytłumaczyć się dlaczego korespondują z kimś w kraju komunistycznym. Większość nie dała się zastraszyć i odpowiadała, że to ich sprawa, z której nie mają zamiaru się tłumaczyć. Niektórzy jednak dali się zastraszyć i przerwali ze mną korespondencję.



## Polsko-Amerykańska wymiana rolnicza

Mój wyjazd do Ameryki zmienił gruntownie prowadzoną przeze mnie Polsko-Amerykańską Wymianę Rolniczą, o której wznowieniu już wspomniałem. W 1947 r. posłałem dziesięcioro studentów z ostatniego roku SGGW na staże praktyczne na farmy do USA. Zimna wojna przerwała moje stosunki z Kościołem Braci. Wznowiłem je wiosną 1957 r. wysyłając do USA na roczny staż praktyczny ośmioro młodych pracowników naukowych, sadowników i warzywników, a jesienią 1957 r. dziesięcioro pracowników naukowych z różnych dziedzin rolnictwa, również na farmy amerykańskie.

Przebywając jesienią 1958 r. na uniwersytetach amerykańskich na koszt Fundacji Rockefellera dowiedziałem się, że profesorowie mają z wielu źródeł dodatkowe pieniądze (granty) na wykonanie prac badawczych. Do pomocy w tych badaniach przyjmują różne osoby, często starszych studentów amerykańskich albo cudzoziemskich. Pytałem czy nie przyjęliby naszych młodych pracowników naukowych przysyłanych w drodze wymiany z Kościołem Braci. Nie wszędzie jeszcze zostały przełamane obawy i uprzedzenia do krajów socjalistycznych, nawet Polski. Obawy te jednak odpadały w przypadku naszych stażystów, ponieważ Wymianę firmowała taka szacowna instytucja, jak Kościół Braci i ponieważ została zatwierdzona przez State Department (Amerykańskie Ministerstwo Spraw Zagranicznych). Odpowiadano więc, że owszem przyjmą chętnie Polaków, o ile przyjadą osoby z wysokimi kwalifikacjami i z dostateczną znajomością języka angielskiego.

Po powrocie zacząłem przygotowywać następną grupę młodych ludzi, których miałem wysłać w 1959 r. na rok do Ameryki w ramach wymiany z Kościołem Braci. Grupa ta liczyła 18 osób, z tego tylko dwie pojechało do pracy fizycznej na farmach, a szesnaście do pracy naukowej na uniwersytetach.

Od tej pory większość naszych stażystów wyjeżdżała na uniwersytety. Dla pierwszych stażystów znalazłem miejsca w laboratoriach przez osobiste kontakty. Potem już sprawa szła automatycznie. Oto jakiś dobry stażysta przebywał na dobrym uniwersytecie. Zanim wrócił do domu, już jego profesor pisał do mnie, aby przysłać następcę. Bywało, że profesor z innego wydziału dowiadywał się od swego kolegi o polskiej wymianie. Pisał więc, ażeby i dla niego znalazł odpowiedniego kandydata.

Polsko-Amerykańska Wymiana Rolnicza wyrosła w Polsce na poważną instytucję. Nazywano ją żartobliwie „Fundacją Skierniewicką”. W końcowych latach 50-tych w latach 60-tych i mniej więcej do połowy lat 70-tych była ona **jedyną** instytucją dzięki której młodzi polscy pracownicy naukowcy z dziedzin rolniczych mogli wyjeżdżać na tak długie staże naukowe do Stanów Zjednoczonych. Dopiero w końcowych latach 70-tych, a zwłaszcza 80-tych, pojawiły się rozliczne inne możliwości. Wymiana zajmowała mi wiele czasu, bo przecież nie miałem żadnego biura do jej prowadzenia. W 1956 r. zatrudniłem jako sekretarkę Marię Merczyńską, która znała język angielski. Prowadziła korespondencję. Udzielała lekcji i prowadziła kursy angielskiego dla tych, którzy mieli na staż wyjechać. W 1978 r., gdy przeszła na emeryturę, jej miejsce zajęła Irena Siemińska-Bergeron, a w 1982 r. Maria Augustyniak.

Zbieranie kandydatów na wymianę odbywało się w następujący sposób. W listopadzie rozsyłałem pismo okólne do rektorów wszystkich Akademii Rolniczych, do dyrektorów Instytutów Rolniczych podlegających Ministerstwu Rolnictwa i do spółdzielczości ogrodniczej. Prosiłem w nim o zgłaszanie kandydatów. W lutym lub w marcu zbierałem zgłoszone osoby, by sprawdzić ich znajomość języka angielskiego i ustalałem listę kandydatów.

W ciągu pierwszych dziesięciu lat wybierałem 18-20 kandydatów. Mieli oni rok czasu na przygotowanie się. W międzyczasie Kościół Braci przy mojej pomocy wyszukiwał dla nich miejsca na staż w sposób poprzednio podany. Po niektórych kandydatów uniwersytety zgłaszały się same. Amerykański dyrektor Wymiany drukował małą broszurkę z fotografiami kandydatów i ich krótkimi życiorysami. Wysyłał je do większości uniwersytetów i czekał na odzew. W pierwszych latach nie było kłopotów, dla każdego ze stażystów znajdowało się miejsce bez trudu.

W końcu lat 60-tych zaczęły się na uniwersytetach amerykańskich ciężkie czasy. Zmniejszono im dotacje. Z powodu rosnącego bezrobocia wśród absolwentów wyższych uczelni nawet na pomocnicze prace zlecone zaczęto brać więcej rodowitych Amerykanów, mniej cudzoziemców. Nadszedł czas, że nie można już było znaleźć miejsca dla wszystkich stażystów, bo profesorowie nie mieli pieniędzy. Zmieniłem więc taktykę. Wysyłałem dłuższą listę kandydatów z tym, że nie wszyscy dostawali się na staż, ale zgłaszający się po nich profesorowie mieli więcej specjalności, mogli łatwiej dobrać sobie takich, o których im chodziło. W latach 1979-1981 broszurka wysyłana na uniwersytety zawierała 32 nazwiska nowych kandydatów, oraz 32 nazwiska kandydatów z lat poprzednich, którzy dotychczas miejsca na staż nie znaleźli. Co roku z tej grupy od 20 do 25 młodych ludzi znajdowało miejsca stażu na uniwersytetach.

Poza tą grupą pracowników wyjeżdżających na staż naukowy wysyłałiśmy coraz więcej ludzi na staż praktyczny, głównie na farmy sadownicze, w mniejszej mierze warzywnicze i rolnicze oraz do szklarni produkujących kwiaty. W latach 1980-1981 co roku wyjeżdżało na farmy około od 15 do 25 ludzi. Wyjeżdżali tam pracownicy sadowniczych państwowych gospodarstw rolnych, spółdzielczości ogrodniczej, a także Instytutu Sadownictwa i Instytutu Warzywnictwa. Przekonałem się, że taki roczny staż praktyczny w sadownictwie amerykańskim jest bardzo pożyteczny także i dla młodych pracowników Instytutu, zwłaszcza pracowników terenowych Zakładów Doświadczalnych. Dyrektorami wszystkich 13-tu Zakładów terenowych Instytutu Sadownictwa byli już w 1981 r. ludzie, którzy przeszli roczny staż amerykański. Przyczyniło się to do tego, że Zakłady pracowały dobrze, że dobrze spełniały swoją rolę w upowszechnianiu wiedzy sadowniczej. W 1983 r. na około 300 pracowników naukowych Instytutu i jego zakładów terenowych mieliśmy 150 takich, którzy przeszli przez staż amerykański. To był główny powód, dla którego Instytut Sadownictwa wybijał się swą pracą wśród innych instytutów rolniczych.

W pierwszych parunastu latach wymiany nasi stażyści wyjeżdżali wszyscy razem w jednej grupie. Udawali się do Ameryki „Batorym” w marcu lub w kwietniu. „Batory” przebywał do Montrealu. Odbierał ich stamtąd John Eberly, pierwszy dyrektor Wymiany, potem jego następca Paul Kinsel. Jechali autokarem do New Windsor w stanie Maryland niedaleko Waszyngtonu. Przebywali tam kilka dni w celu aklimatyzacji. Odwiedzali całą grupą polską ambasadę w stolicy. Byli zapraszani pojedynczo na obiady do amerykańskich rodzin. Następnie Eberly rozsyłał ich do miejsc pracy. Wracali razem także „Batorym”.

Potem została uruchomiona lotnicza komunikacja między Polską i USA. Wyjeżdżali najczęściej wiosną, ale wielu wyjeżdżało w innych porach roku, kiedy było zapotrzebowanie. W 1970 r. dyrektorem Wymiany ze strony Kościoła Braci został H. Lamar Gible, stale urzędujący w głównym ośrodku organizacyjnym Kościoła w Elgin, Illinois, około 100 km na zachód od Chicago. W 1973 r. zmarł dr Harold Row, główny organizator Wymiany w Kościele Braci.

Większość polskich stażystów pracowała w USA przez 1 rok i wracała do kraju. Niektórzy studiowali dłużej. Dziesięciu spośród nich spędziło w USA od 3 do 4 lat i wróciło z uzyskanymi tam doktoratami - S. Zagaja, Z. Maciejewska, A. Burkowicz, Z. Szafranek, M. Borys, C.

Zmarlicki, K. Pliszka, L. Spiss, Z. Suski, M. Kęпка. Niektórzy przedłużali swój pobyt tylko o kilka miesięcy.

Nasza wymiana była czymś bardzo osobistym. Nie istniała żadna podpisana między nami umowa. Była to z naszej strony Wymiana całkowicie prywatna, nikt inny poza mną nie decydował o doborze kandydatów. Działalem zawsze, jak to pisałem, „z upoważnienia Ministerstwa Rolnictwa”, bo takie ustne upoważnienie dał mi kiedyś Edward Ochab. Różne nawet wysoko postawione osoby bardzo kręciły głowami z niedowierzaniem na takie „cudo” w państwie socjalistycznym, w „planowanej” gospodarce i nauce. Zwoływano wiele spotkań i konferencji na ten temat, bo zarzucano mi, że sprzedaję amerykańskiemu imperializmowi „białych Murzynów”. A może nawet urabia się ich tam na szpiegów? A kto wie, czy nie dostają po 1000 dolarów od CIA za jednego? Na szczęście jednak potrafiłem na takich konferencjach mieć rozsądnych, mądrych, a dostatecznie wpływowych sprzymierzeńców, przy pomocy których udawało się zawsze ocalić wymianę od rozbicia.

Wymiana przyniosła wiele dobrego. Spośród byłych stażystów mieliśmy trzech wiceministrów Rolnictwa (Kacała, Mazurkiewicz i Śliwiński), dwóch rektorów Akademii Rolniczych (Wojtaszek, Jasiowski), wielu prorektorów i dziekanów, trzech dyrektorów i kilku wicedyrektorów instytutów rolniczych, wielu wybitnych profesorów i działaczy.

Gdzie drwa rąbią, tam lecą i wióry. Mieliśmy też i odpady, ale niewiele. Władze bezpieczeństwa zawsze wyrażały obawę, czy też aby wysłani do Ameryki stażyści nie odmówią powrotu. Owszem zdarzały się takie przypadki, ale tylko 9 na ponad 800 stażystów do 1984 r.

Mój stosunek do tych, którzy pojechali na roczny staż, a zdecydowali się w Ameryce pozostać, był i jest negatywny. Uważam, że „drenaż najlepszych mózgów” jest dla Polski szkodliwy. Najczęściej się zdarzało, że zdolni młodzi i energiczni ludzie, aby „wybrać wolność”, korzystali z dość masowych wycieczek Orbisu do państw zachodnich. Opuszczali grupy wycieczkowe, oświadczaali, że byli w Polsce z powodów politycznych prześladowani, wobec czego traktowano ich z miejsca jako uchodźców i dawano zezwolenie na stały pobyt nawet w Ameryce. Niektórzy z tych ludzi byli rzeczywiście prześladowani, ale nie wszyscy. Większość chciała po prostu emigrować z kraju ze względów ekonomicznych. Oficjalna emigracja z Polski była bardzo trudna, paszportów w tym celu łatwo nie dawano, a poza tym bardzo trudno było uzyskać wizę, zwłaszcza amerykańską. A jeśli ktoś oświadczył, że jest uchodźcą, wizę na stały pobyt natychmiast otrzymywał.

Chociaż mój stosunek do tak wyjeżdżających młodych ludzi był negatywny, to uważam, że jest to sprawa ich sumienia. Nikt nie powinien im tego zabraniać. Miałem tylko żal do stażystów, którzy nie wracali, bo narażali wymianę na niebezpieczeństwo. Władze, które i tak krzywo na nią patrzyły, mogą ją przerwać. Zamiast zgłaszać się do mnie na staż mogli przecież skorzystać z wycieczek Orbisu, a nie z mojej akcji. Na szczęście takich, spośród naszych stażystów, którzy odmawiali powrotu ze staży, było niewiele, wobec czego nie stali się zagrożeniem wymiany.

Dlatego nie zmieniłem swojej linii postępowania. Także i w latach następnych prosiłem pana Gibble o przysyłanie zaproszeń dla żon i mężów, a w dwóch czy trzech przypadkach interweniowałem, gdy odmawiano wydania paszportów. Wiedziałem, jakie to musi być dla młodego małżeństwa przeżycie, gdy żona po 11 miesiącach rozłąki przyjedzie do męża, gdy jeszcze raz przeżyją miodowy miesiąc, podróżując po kraju, którego ona nie miałaby okazji zobaczyć.

Oto historia jednego z młodych ludzi z naszego Instytutu w Skierniewicach, Piotra S. Wysłałem go do Uniwersytetu stanu Michigan na rok. Zanim czas się skończył, jego profesor

pisze do mnie, że ogromnie jest z Piotra zadowolony i chciałby zatrzymać go jeszcze na rok. Odpisuję, że nie mam nic przeciwko temu, jeśli się Piotr zgodzi. Piotr w zakłopotaniu odpowiada, że owszem, ogromnie chciałby zostać jeszcze na jedno lato, ale obiecał narzeczonej, że w lipcu wróci i wezmą ślub. Odpisałem - niech Pan zaprosi narzeczoną, ja dla niej postaram się o zaproszenie z Kościoła Braci, pobierzecie się w Michigan, spędzicie tam miodowy miesiąc, ona potem wróci, bo w pracy dają tylko miesiąc urlopu. Pan wróci później. Tak zrobili, bardzo a bardzo szczęśliwi.

Wśród naszych stażystów przeważali mężczyźni. Nie mam statystyki, ilu było żonatych i ile mężatek. Wydaje mi się, że około 25% stanowili kawalerowie i panny. Większość stażystów było w wieku od 25 do 33 lat, a więc jeszcze w wieku, w którym młodzi ludzie zawiązują związki małżeńskie. Tak się złożyło, że ani jeden stażysta w stanie kawalerskim nie ożenił się w czasie swego pobytu w USA z Amerykanką.

Jeśli jednak chodzi o panny, to spora ich liczba, pewnie ze szesnaście wyszło za mąż za Amerykanów. Były przypadki, że młoda panna wychodziła za mąż tylko dlatego, aby zostać w Ameryce, co prowadziło do rozwodu, ale nie zdarzało się to często. Najczęściej były to pary szczęśliwe. W większości przypadków była to po prostu miłość. Trzeba przyznać, że żadna z tych stażystek nie została w Ameryce nielegalnie. Wróciły na pewien czas, same lub z mężami, wyrobiły sobie paszport emigracyjny i wyjechały bez przeszkód.

Z powodu Wymiany stałem się mimowolną przyczyną dwóch niezwykłych międzynarodowych małżeństw mieszanych. W 1967 r. wyjechała w ramach Wymiany do Uniwersytetu stanu Michigan mgr Barbara M. Wyszła za mąż za Antoniego P., Murzyna z Haiti. Gdy Antoni zdobył doktorat, wyjechali do Kostaryki, gdzie otrzymał pracę w Instytucie Rolniczym. Odwiedziłem ich w 1971 r. Małżeństwo się rozpadło, ale nie rozwiodło, bo oboje byli praktykującymi katolikami. Antoni przywiózł żonę wraz z dwojgiem dzieci do Polski. Zostawił im pieniądze na samochód i kupił dom. Sam pojechał do Republiki Dominikańskiej, gdzie objął stanowisko dyrektora Instytutu Rolniczego, zamieszkał z jakąś Murzynką. Czasami odwiedzał ich w Polsce, raz Barbara z dziećmi pojechała do niego na trzy miesiące do Dominikany. Dzieci, Zosia i Piotruś, chodziły do szkoły, gdzie zwracały uwagę swoim wyglądem.

Drugie małżeństwo mieszane zawarte zostało w Skierniewicach. Bogusław Ź. z Instytutu Sadownictwa wyjechał do stanu Waszyngton w 1970 r. Poznał tam Japonkę Hitomi, która przyjechała do USA na studia matematyczne. Zakochali się. Po stażu on wrócił do Polski, ona do rodziny w Japonii. Po paru miesiącach Hitomi przyjechała do Skierniewic, spędziła z nim trzy miesiące i wróciła do Japonii. Po dalszych paru miesiącach przyjechała na stałe do Skierniewic, przeszła na katolicyzm i wyszła za niego za mąż. Przyjęliśmy ją na etat w Instytucie, gdzie pracowała przy małym komputerze.

W 1976 r. zaszła w ciążę i wyjechała do matki, aby tam urodzić dziecko. Po kilku miesiącach i Bogusław pojechał do Japonii, gdzie przebywał prawie półtora roku, więcej niż rok po urodzeniu się syna. Dali mu dwa imiona: Juliusz Liczi. Pierwsze imię polskie, drugie japońskie. Aby nie być ciężarem dla rodziny żony, Bogusław przyjął jedyną pracę, jaką mógł zdobyć - nauczyciela języka angielskiego. Wrócili w 1979 r. z małym ślicznym chłopczykiem. Jego rysy były trochę niezwykłe, ale poza tym wyglądał jak przeciętny stuprocentowy mały Polak. Mając trzy lata mówił trzema językami - po polsku, japońsku i po angielsku. W parę lat później Hitomi wyjechała do Japonii i urodziła drugiego syna. Znowu wróciła do Skierniewic. W początkach

stanu wojennego cała rodzina wyjechała do Japonii z zamiarem pozostania tam na stałe. Wrócili jednak po kilku latach. Bogusław nie mógł się przystosować do życia w Japonii.

Posyłając stażystów do Ameryki płaciliśmy za nich koszty przejazdu do miejsca pracy i z powrotem. Jeśli chodzi o dewizy, to dostawali oni po jednej diecie. Na miejscu pracy otrzymywali wynagrodzenie. Profesor płacił im tyle, ile miał na ten cel pieniędzy, a wahało się to w granicach od 5000 do 14000 dolarów na rok. Wiele zależało od przygotowania stażysty. Stażysta z doktoratem zarabiał najczęściej więcej niż z magisterium.

Często spotykałem się z zarzutem, że nasi stażyści są wyzyskiwani, że są zbyt nisko opłacani. Na to zawsze odpowiadałem, że nie wierzę w filantropię. Każda rzecz idzie dobrze, jeśli korzystają z niej dwie strony. Amerykański profesor korzysta, bo płaci taniej niż swojemu, dostaje najczęściej człowieka bardziej niż przeciętnie zdolnego, niezdolnych ludzi przecież nie wysyłałiśmy. Poza tym nasz stażysta, nie mając na miejscu rodziny, pracuje niemalże dzień i noc. Ale tenże amerykański profesor musi się też namęczyć ze stażystą, który zbyt dobrze języka nie zna, z którym trzeba spędzić więcej czasu, aby mu różne rzeczy tłumaczyć. Dla nas Wymiana jest korzystna, bo stażysta uczy się ważnego w nauce języka, pracuje w dobrze wyposażonym laboratorium, uczy się nowoczesnych metod pracy badawczej, zawiązuje międzynarodowe kontakty i przyjaźnie.

A jeśli chodzi o pieniądze, to nawet te najniższe płacone wynagrodzenia były o wiele wyższe od tych, jakie otrzymywali w Polsce. Każdy ze stażystów mógł w ciągu roku zaoszczędzić od 3000 do 8000 dolarów. W pierwszych latach prawie każdy wracał z samochodem. Potem raczej wpłacali na samochód, który zakupywali w Polsce.

Różni są ludzie na świecie. Byli wśród stażystów tacy, którzy - jakby się wydawało - wyjechali tylko po to, aby zarobić i zaoszczędzić dolary. Postępowali prawie tak, jak bohater sztuki Mrożka „Emigranci”, którzy, by więcej zaoszczędzić żywili się puszkami z żywnością produkowaną dla psów. Był jeden taki, który pożyczał pieniądze od Murzynów i nie oddawał, sprzedawał im tanie radzieckie zegarki za wysokie sumy. Jeden ze stażystów, bezpartyjny, namawiał robotników na farmie do strajku o podwyżkę zarobków, więc go z pracy natychmiast wyrzucono.

Były to jednak bardzo nieliczne wyjątki. Większość stażystów zachowywała się z godnością, starali się być dobrymi ambasadorami swojej ojczyzny. Prawie wszyscy usłuchali mojej rady i przed powrotem urządzali wycieczkę po Stanach Zjednoczonych, bo nie wiadomo czy kiedyś tu wrócą. Zbigniew Pindel, rocznik wymiany 1960, pojechał nawet na własny koszt na Hawaje. Kupił kamerę filmową. Poza przezroczami przywiózł piękne kolorowe filmy, co mu się jako specjalista od roślin ozdobnych bardzo przydawało w pracy dydaktycznej. Gerard Bąkowski, z Instytutu Sadownictwa, nie kupił samochodu, ale przywiózł najnowsze wydanie Wielkiej Encyklopedii Brytyjskiej za prawie 1000 dolarów.

Polsko-Amerykańska Wymiana Rolnicza stała się poważną instytucją. W końcowych latach siedemdziesiątych zacząłem myśleć o tym, aby nie skończyła się wraz z moją śmiercią czy też moim przejściem na emeryturę. Dlatego od 1976 roku zacząłem wprowadzać w jej arkana prof. Stanisława Zagaję, zastępcę dyrektora Instytutu Sadownictwa. Miałem nadzieję, że przejmie on po mnie Instytut, chciałem aby przejął po mnie wymianę. Dlatego w 1976 r. oddałem mu jej połowę, a mianowicie tych stażystów, którzy wyjeżdżali na farmy. Było ich prawie tyle samo co tych, którzy wyjeżdżali na uniwersytety, a których zatrzymałem do swojej dyspozycji. Pomagała mu w pracy Anna Goliszewska.

Najwięcej powodów do dumy dawało mi zawsze to, że udało mi się zorganizować właśnie obustronną wymianę, a nie jednostronne wysyłanie polskich stażystów do Ameryki. Do roku

1984 przyjęliśmy w sumie 96 Amerykanów, w tym 69 mężczyzn i 27 kobiet. Można powiedzieć, że w Wymianie na każdych 8 Polaków przypadał 1 Amerykanin, ale nie byłoby to słuszne. Polacy jeździli najczęściej na 1 rok, a Amerykanie przybywali do nas przynajmniej na 2 lata, a więc co roku mieliśmy w Polsce od 8 do 10 amerykańskich stażystów.

Co przyciągało ich do Polski? Przecież nie przyjeżdżali do Polski aby zarobić, ani też po to, by się nauczyć języka używanego w stosunkach międzynarodowych. Najczęstszym motywem był motyw religijny, przyświecający Kościołowi Braci. Jako pacyfiści chcieli zasypać przepaść dzielącą świat komunistyczny od kapitalistycznego. Byli to zatem idealisci, którzy pragnęli oddać idei, która im przyświecała, dwa lata swojego życia. Poza tym niektórych z nich wiodła ciekawość. Jaki jest ten świat komunistyczny? Ich rówieśnicy wiele podróżowali, ale tylko po Zachodzie. Oni chcieli być inni. Może chcieli też zaimponować swoim przyjaciółom, że pojechali tam, dokąd rzadko się jeździ. Wśród stażystów amerykańskich przeważali członkowie Kościoła Braci, ale przynajmniej jedną trzecią stanowili członkowie innych wyznań - kwaków, mennonitów, chrześcijańskich uczonych, katolików, baptystów, metodystów, a dwóch podawało w swojej ankiecie, że są ateistami. Nigdy nie przyjechał do nas w ramach wymiany żaden członek sekty mormonów.

Kościół Braci płacił za stażystów koszty przejazdu do Polski i z powrotem, a w Polsce miałem za zadanie znaleźć im takie płatne zajęcie, by mogli się na nim utrzymać. Mniej więcej połowę, która miała przygotowanie humanistyczne, rozmieszczałem w Studiach Języków Obcych Akademii Rolniczych, gdzie uczyli naszych studentów języka angielskiego. Wyjednywałem im w tym celu stypendia z Ministerstwa Nauki, Szkolnictwa Wyższego. Innych, którzy mieli wykształcenie rolnicze lub przyrodnicze, kierowałem do naukowo-badawczych Instytutów Rolniczych, gdzie otrzymali uposażenie stażowe. I w jednym i w drugim przypadku niektórzy z nich dorabiali trochę lekcjami języka angielskiego albo tłumaczeniami. W żadnym jednak razie nie wzbogacali się w Polsce.

Pośród tych 96 amerykańskich stażystów mniej więcej cztery piąte przyjechało dzięki Kościołowi Braci. Pozostali dołączyli się do wymiany niejako „na przyczepkę”. Oto ktoś z młodych Amerykanów dowiadywał się o wymianie. Pisał więc do mnie, czy może przyjechać na własną rękę, sam płacąc koszty podróży, nie kontaktując się z Kościołem Braci. Odpisywałem, żeby przyjeżdżał. W ten sposób wzięło udział w wymianie 7 Amerykanów i Amerykanek polskiego pochodzenia, przeważnie z trzeciego już pokolenia, w tym jedna Rebecca Gola, która ukończyła polonistykę w stanie Massachussetts. Przebywając w Polsce przez rok bardzo poprawiła swoją polszczyznę. Wróciła, żeby uczyć polskiego w jednej ze szkół średnich, a potem przez jakiś czas pracowała w Fundacji Kościuszkowskiej. Nasi stażyści wyjeżdżali do Ameryki zwykle z dość znaczną znajomością angielskiego. Amerykanie przyjeżdżali najczęściej nie znając wcale naszego języka. Byli oni jednak na ogół młodszy od naszych stażystów, w wieku między 20 i 24 lata, toteż uczyli się szybko. Po pół roku zwykle rozumieli, co się do nich mówi, po roku mówili już sami. Były między nimi, jak należałoby się tego spodziewać, duże różnice. Jedni uczyli się szybciej i lepiej, inni wolniej i gorzej. Troje z nich przebywało w Polsce ponad 4 lata i tak opanowali język, że trudno byłoby odgadnąć w nich cudzoziemców.

Niektórzy z nich po prostu zakochali się w Polsce i pozostawali znacznie dłużej. Jedną z Amerykanek, Laura Harrison, po skończeniu matematyki w USA wyjechała w 1969 r. do RFN, gdzie przebywała przez rok. Zainteresowała się Polską. Przyjechała do nas w 1970 r. Zatrudniłem ją w Instytucie Sadownictwa w Skierniewicach. Właśnie wtedy dostałem w Międzynarodo-

wym Towarzystwie Nauk Ogrodniczych zadanie zorganizowania XIX Międzynarodowego Kongresu Ogrodniczego w 1974 r. w Warszawie.

Laura ogromnie, ale to ogromnie mi pomogła. Prowadziła część korespondencji, uczyła naszych pracowników angielskiego, a potem zredagowała 5 tomów zawierających wygłoszone na Kongresie referaty. Niełatwa to była praca przerabiać bułgarsko-angielski, czesko-angielski, czy polsko-angielski na angielski. Nic dziwnego, że na wszystkich tomach wydawnictw kongresowych widnieje jej nazwisko jako jednego z redaktorów.

W kilka miesięcy po Kongresie, gdy wykończyła swoje prace redakcyjne, Laura wróciła do Stanów. Zapisła się na Uniwersytet Cornell w Ithaca, N.Y.

W 1977 r., gdy obchodziliśmy dwudziestolecie wymiany, przyjechała do Polski wraz z grupą działaczy Kościoła Braci. Pozostała znowu przez rok w Polsce. Pracowała w Instytucie w Skierniewicach upowszechniając wiedzę. Gdy oprowadzała wycieczki sadowników z całej Polski, nie wszyscy domyślali się, że to cudzoziemka. W 1978 r. wróciła do USA. Znowu miała trudności z pracą. W 1980 r. wyszła za mąż i urodziła dwoje wspaniałych dzieci. W 1987 r. przyjechała z 6-letnią córeczką do Instytutu. Uczyla przez miesiąc angielskiego na szybkim kursie dla kandydatów na wymianę. Córeczka Hania była w tej nauce jej asystentką.

W Polsce skojarzyło się wiele małżeństw polsko-amerykańskich. Zaczęło się od Katherine Pierson.

W 1957 r. w pierwszej grupie po dziesięcioletniej przerwie pojechał do USA Eligiusz Gajewski, dyrektor terenowego Zakładu Instytutu Sadownictwa w Nowej Wsi koło Grójca. Do stał się na farmę sadowniczą Leona Piersona w Ionia, Michigan. Leon miał córkę, Katherine, która drugi rok studiowała socjologię wsi. Bardzo zainteresowała się Polską. Napisała do mnie pytając, czy mógłbym pomóc jej w studiowaniu socjologii w Warszawie, bo tyle o niej w Ameryce słyszała. Obiecałem pomoc.

Zatrudniłem Kasię, bo tak ją nazywaliśmy w Skierniewicach. Jesienią miała iść na studia socjologiczne. Pracowała razem ze Sławkiem G., studentem polonistyki, którego jej przydzieliłem, aby ją uczył polskiego. Wynikła stąd miłość. Kasia jesienią studiowała na Uniwersytecie Warszawskim socjologię, Sławek polonistykę. Latem przyjechali Kasi rodzice. Zwiedzali Polskę we czworo. Nadszedł czas rozstania. Och, jak rzewnie Kasia płakała.

Sławka nie zapomniała. Po roku wróciła do Polski na socjologię, Sławek skończył polonistykę. Pobrali się w Urzędzie Stanu Cywilnego w Skierniewicach, gdzie zgodnie z przyjętą formułą Kasia przyrzekła wychowywać przyszłe swe dzieci w duchu socjalistycznym.

Okolo 1962 r. przyjechał niezwykle przystojny, wysoki Denny Wise. Był bardzo szczupły, a nawet w ostatnich tygodniach stracił na wadze kilka kilogramów. Posłałem go do Instytutu Fizjologii i Żywnienia Zwierząt PAN w Jabłonie. Już po kilku dniach mam telefon. Denny w szpitalu. Stwierdzono otwartą gruźlicę, pluje krwią. Powiedział, że pluł krwią już w Ameryce, ale lekarz wyjaśnił, że jakaś żyłka pękła mu w gardle. Widocznie amerykańscy lekarze zapomnieli, jak wygląda gruźlica.

Pojechałem do otwockiego szpitala, gdzie Denny'ego umieszczono. Lekarz mówił, że stan jest bardzo ciężki, gruźlica bardzo zaawansowana. Trzeba będzie pewnie zrobić operację, usuwając zniszczoną część płuc, leczyć antybiotykami przez rok. Pytam Denny'ego, czy zaufa polskim lekarzom, czy chce, by go odesłać do Ameryki w ręce chicagowskich lekarzy. Denny na to, że chce tu pozostać. Pochodzi z biednej rodziny, matka wdowa, na szpital w Ameryce pieniędzy nie ma.

Pozostał Denny w Otwocku. Całe szczęście, że doskonale reagował na antybiotyki. Nie trzeba go było operować. Wyleczył się całkowicie w ciągu zaledwie 7 miesięcy. Tyle tylko, że zakochał się w młodej lekarce. Po wyzdrowieniu pozostał jeszcze w Polsce przez rok, pobrali się i wyjechali. Widziałem go kilka lat później w Chicago w najlepszym zdrowiu.

Dellia W. była „przyszywaną” stażystką Braci. Sama pochodziła z rodziny Mennonitów. Napisała do mnie w 1972 r. że chciałby do nas przyjechać na dwa lata. Zaprosiłem. Przyjechała w 1973 r. Najpierw, aż do Kongresu, przebywała w Skierniewicach i w Warszawie, a po Kongresie, jesienią 1974 r. umieściłem ją w Instytucie Zootechniki w Krakowie. Zamiast dwóch prześiedziała tam cztery lata. W 1978 r. pojechała autostopem do Nepalu, tam zachorowała na zakaźną żółtaczkę. Po wyzdrowieniu wybrała się do Australii, gdzie drogą korespondencji znalazłem dla niej pracę przy zrywaniu owoców i pasieniu owiec. Wróciła do Polski w 1979 r. i wyszła za mąż za leśnika. W 1980 r. przeniosła się z mężem do Krynicy, gdzie dostał pracę i gdzie dotąd przebywają.

Robert Z. miał wykształcenie techniczne. Umieściłem go w Zakładzie Instytutu Budownictwa, Mechanizacji i Elektryfikacji Rolnictwa w Kłodzku koło Grodziska Mazowieckiego. Spędził tam także cztery lata. Ożenił się z piękną Aliną. Wyjechali do Ameryki, ale Alina w żaden sposób nie mogła przyzwyczać się do swej przybranej ojczyzny. Tam przyszła na świat ich córka. Kiedy spotkaliśmy się z nimi w Ithaca, N.Y., latem 1980 r., zdumieliśmy się, że dziewczynka już prawie trzyletnia, a prawie nie mówi po angielsku. Mieszkali na odludnej farmie, a tata i mama mówili ze sobą po polsku. Alina mało się po angielsku nauczyła. Powiedziała, że w Ameryce nie zostanie. Mąż zakochany po uszy w pięknej żonie oświadczył, że przyjedzie z nią na stałe do Polski.

Jesień 1980 r. obfitowała w Polsce w niezwykle wydarzenia, strajki i demonstracje. Groziła interwencja z zewnątrz. Jakież było moje zdumienie w styczniu 1981 r., gdy przyjechali do Skierniewic państwo Z. Okazało się, że wrócili z Ameryki jeszcze w listopadzie. Kupili dom z dużym ogrodem w Józefowie przy Wale Miedzeszyńskim. On pojechał na kilka miesięcy do USA, aby sprzedać dom i zlikwidować wszystkie inne interesy. Ona pojechała do niego w sierpniu, a we wrześniu wrócili razem na stałe. On miał nadzieję, że pracę gdzieś dostanie.

Mało nie doszło do tragedii z jednym z amerykańskich stażystów Adrianem van der M. Adrian pochodził z bardzo bogatej rodziny holenderskiej od lat mieszkającej w Ameryce, gdzie jego ojciec był dyrektorem przedsiębiorstwa okrętowego. Adrian miał pięcioro rodzeństwa. Kiedy rodzice mieszkali przed laty w Unii Południowej Afryki, ich dzieci na coś tam ciężko zachorowały, a lekarze nie umieli ich wyleczyć. Zgłosiła się członkini sekty Christian Scientists (Chrześcijańskich Uczonych), która modłami, a raczej ćwiczeniami woli doprowadziła do uzdrowienia dzieci.

Pod wpływem tego faktu Pani van der M. wraz z trojgiem dzieci, włączając w to Adriana, wstąpiła do sekty, a Pan van der M. wraz z pozostałym trojgiem pozostał przy dotychczasowej religii protestanckiej. Oboje jednak byli czynnymi pacyfistami. Nie chcieli płacić zbyt wysokich podatków, bo szły one, między innymi, na wojnę z Wietnamem. Wydawali więc pieniądze w ten sposób, by mogły być zwolnione od podatku. Pani van L. jeździła co dwa lata do Grecji i przywoziła 6 chłopców-sierot w wieku 14-15 lat do Ameryki. Mieszkali u niej w domu. Chodzili do szkoły. Po dwóch latach odwoziła ich do Grecji, zostawiała dość pieniędzy, by mogli przeżyć do pełnoletności i skończyć jakieś szkoły. Na ich miejsce brała sześciu nowych.



Adrian ukończył Uniwersytet w USA. Jako pacyfista dołączył się do wymiany prowadzonej przez Kościół Braci i przyjechał do Polski w 1963 r. z zamiarem dwuletniego pobytu. Umieściłem go w Akademii Rolniczo-Technicznej w Olsztynie, gdzie uczył studentów języka angielskiego. Mniej więcej w rok po jego przyjeździe blisko 12-tej w nocy zbudził mnie telefon z Olsztyna. Adrian zapadł na cukrzycę i po prostu zemdlął na ulicy. Wzięto go do szpitala i chciano mu dać zastrzyk z insuliny, ale Adrian się nie zgodził, bo jego sekta nie uznaje lekarzy ani lekarstw. Uważa, że choroba nie ma przyczyn fizycznych czy biologicznych, jest tylko stanem ducha. Można ją przełamać jedynie siłą woli. Skorzystano z tego, że Adrian tracił przytomność i dano mu zastrzyk wbrew jego woli, ale zatelefonowano do mnie. Natychmiast wezwałem telegraficznie matkę Adriana.

Przyjechała nazajutrz, pojechaliśmy do Olsztyna. Była to wyjątkowo mądra kobieta. Zrozumiała, że w tym wypadku, albo jej syn będzie korzystał z dobrodziejstw medycyny, albo umrze w przeciągu kilku dni. Namówiła go do stałego przyjmowania zastrzyków.

Adrian nie dokończył swego dwuletniego stażu w Polsce. Zakochał się w Polce, ale bez wzajemności. Wrócił do Ameryki. Pracował w różnych pacyfistycznych organizacjach społecznych, organizował czynne akcje przeciwko wojnie w Wietnamie. Utrzymywał z nami kontakt przez długie lata. O ile mi wiadomo, jeszcze w 1980 r. nie był żonaty. Odwiedzał Polskę kilka razy, bardzo był do naszego kraju przywiązany, nauczył się dobrze mówić, a nawet pisać po polsku.

Wśród amerykańskich stażystów przeważali kawalerowie i panny. Przyjechały też dwa małżeństwa i dwie pary narzeczeńskie, które się w Polsce pobrały. O jednej warto wspomnieć. Dale B. przyjechał w 1967 r. Miał wykształcenie przyrodnicze, więc umieściłem go w Instytucie Weterynarii w Puławach. Był to chłopiec wyjątkowo zdolny, inteligentny, ogromnie miły i uczynny, toteż go wszyscy z miejsca polubili. Po roku przyjechała jego narzeczona - Judy B. Pobrali się w Puławach 24 czerwca.

Przyjaciele Dale'a z Instytutu urządzili młodej parze ucztę weselną na dziedzińcu starego zamku w Janowcu, po drugiej stronie Wisły. Był to w tym czasie jedyny prywatny w Polsce zamek. Pewien inżynier kupił przed wojną zamek w Janowcu, a raczej jego ruiny, w których odbudował dla siebie mieszkanie. Uczta rozpoczęła się o godz. 23-ciej. Na spotkanie młodej parze wyszedł stary, przysłowiowo siwy jak gołąb właściciel zamku wraz ze staruszką żoną i przywitali nowożeńców po staropolsku - chlebem i solą. Panna młoda rozplakała się ze wzruszenia, bo cała uczta była dla niej i jej męża całkowicie w tajemnicy przygotowaną niespodzianką. Stoły ustawiono na dziedzińcu zamczyska, a łuczywo było jedynym źródłem światła. Polska Kronika Filmowa uwieczniła niezwykły ślub i niezwykłą ucztę.

Biberowie zapamiętali ją na całe życie. Nikt z ich kolegów i koleżanek nie miał takiego wesela. Biber po powrocie do Ameryki poszedł na medycynę. Wkrótce stał się dobrze zarabiającym lekarzem. W 1979 r. ufundował z własnych funduszy roczne stypendium dla jednego z byłych kolegów w Instytucie Weterynarii z Puław do wykorzystania na Uniwersytecie Cornella w Ithaca, New York.

Ogromna większość stażystów amerykańskich bardzo Polskę polubiła. Jedna ze stażystek powiedziała mi. „Polska jest biedna w porównaniu z Ameryką, jest - co tu ukrywać - brudna. Ale jest też bardziej czysta niż Ameryka. U nas w każdym kiosku z gazetami wystawia się pornograficzne pisma, w kinie jest wiele filmów ‘For mature adults only’ (tylko dla dojrzałych dorosłych) to znaczy pornograficznych. Już lepiej się po zmroku nie pokazywać, bo można stracić zdrowie lub nawet życie. U was tego wszystkiego nie ma.” Wielokrotnie Amerykanie, nasi byli stażyści,

gdy pokazywały się artykuły szkalujące Polskę, ślali do amerykańskich pism listy protestacyjne, których fragmenty drukowano.

Był też jeden wyjątek wśród amerykańskich stażystów - Fred D. W 1979 r. napisał do mnie Lamar Gible, że ma kandydata na staż w Polsce, ale kandydata o dość niezwykłej specjalizacji. To absolwent teatrologii, który interesuje się teatrem w Polsce i chciałby do nas przyjechać na 2 lata. Zgodziłem się go przyjąć. Umieściłem go w Ogrodzie Botanicznym Polskiej Akademii Nauk w Powsinie na przedmieściu Warszawy. Miał tam za zadanie uczyć języka angielskiego pracowników Ogrodu i poprawiać angielszczyznę ich prac naukowych przeznaczonych do druku. Dr Bogusław Molski, dyrektor Ogrodu, obiecał skontaktować go z Wyższą Szkołą Teatralną, aby mógł zbierać materiały do swojej pracy doktorskiej o polskim teatrze.

Molski serdecznie zaopiekował się swym gościem, bo z jego Ogrodu sporo młodych naukowców wyjeżdżało na staż do Ameryki w ramach naszej Wymiany. Nie przeciążał go pracą, starał się, by jego zarobki były dość wysokie, a w tym celu przekraczał niektóre przepisy, dopisywał godziny dawanych lekcji.

Fred opuścił Polskę po roku bez zawiadomienia mnie o tym fakcie. Zabrał ze sobą manuskrypt na 550 stronach o polskim teatrze. Do pisma „The Messenger”, wydawanego przez Kościół Braci, napisał paszkwil na Ogród Botaniczny, na Molskiego, na Polsko-Amerykańską Wymianę i na mnie. Napisał, że Molski to oszust, bo wbrew prawu płacił mu więcej niż mu się należało, że Polsko-Amerykańska Wymiana powinna być przerwana, bo pomaga komunistycznemu krajowi. Lamar Gible i kilku innych działaczy Kościoła Braci prosiło Freda, aby wycofał swój list, gdyż może on Wymianie zaszkodzić. Fredowi widocznie o to właśnie chodziło. Nie wycofał listu, żądał jego opublikowania. Zgodnie z amerykańskimi zwyczajami prasowymi „The Messenger” wydrukował list Dinkela w końcu 1980 r. Nie miał on jednak żadnych złych następstw. Czytelnicy pewnie wzruszyli tylko ramionami po przeczytaniu listu. Polska była wtedy w Ameryce na ustach wszystkich i miała dobrą opinię z powodu wielkich zmian społeczno-politycznych zapoczątkowanych w Gdańsku i Szczecinie w sierpniu tego roku, a zmierzających ku demokratyzacji.

Zazdrozczono nam w niektórych krajach demokracji ludowej Wymiany z Ameryką. Ponieważ i Kościół Braci interesował się rozszerzeniem Wymiany na inne kraje socjalistyczne, pomogłem do włączenia do programu Wymiany Bułgarii i Czechosłowacji. Niestety, wymiana z żadnym z tych krajów nie trwała długo. Przerwała się po 2-3 latach, z różnych zresztą, głównie politycznych powodów.

## Dookoła Sadowniczego Świata

W 1962 roku żona zauważyła w angielskim naukowym czasopiśmie „Nature” niewielkie ogłoszenie Australijskiej Akademii Nauk. Ponieważ Australia jest kontynentem izolowanym, leżącym z daleka od głównych szlaków komunikacyjnych, dla nauki australijskiej Rząd stwarza dobre warunki rozwoju, buduje dla niej dobrze wyposażone laboratoria. Ma ona jednak za mało kontaktów z nauką światową. Dlatego Australijska Akademia Nauk postanowiła pomóc w rozszerzeniu tych kontaktów. Dostała na ten cel fundusze od bogatego przemysłowca Sir Ellertona Beckera. Akademia będzie zapraszała na okresy dwu miesięczne wybitnych uczonych zagranicznych, aby nie tylko poznali kontynent, ale i podzielili się wiedzą z zakresu swych specjalności. Apelowali wobec tego do uczonych całego świata o zgłaszanie gotowości współpracy i przyjazdu. Początkowo nie przywiązywałem do tego specjalnego znaczenia, a szczerze mówiąc, nie spodziewałem się, by moja kandydatura została wzięta pod uwagę, ale wreszcie zdecydowałem się i napisałem. Ku mojemu wielkiemu zdumieniu otrzymałem wkrótce pismo Australijskiej Akademii Nauk, przyznające mi odpowiednie stypendium na przyjazd do Australii z cyklem wykładów o nauce i produkcji sadowniczej w socjalistycznych państwach Europy i w Chinach. Co więcej, moja podróż po Australii miała być inauguracją wspomnianego wyżej programu Akademii, jednym słowem miałem być pierwszym naukowcem, który do Australii przyjedzie, a mojej podróży będzie towarzyszyć reklama.

Ponieważ stypendium było dość wysokie, postanowiłem zrealizować dawno ukryty w marzeniach zamiar podróży dookoła świata. Wyjechałem ze Skierniewic w bardzo surową zimę 18 stycznia 1963 roku kiedy to temperatura spadła jednej nocy do  $-38^{\circ}\text{C}$ . Spodziewaliśmy się, że w sadach wystąpią duże uszkodzenia mrozowe. Tak było rzeczywiście. Straciliśmy wtedy około 27% naszego drzewostanu sadowniczego. Po drodze zatrzymałem się na trzy dni w Austrii i na cztery dni w RFN, gdzie miałem umówione wykłady. Z RFN poleciałem na sześć dni do Stanów Zjednoczonych. Odwiedziłem siedzibę Kościoła Braci w New Windsor, Maryland i prof. Millikana w Columbia, Missouri. Pogoda w północnych i środkowych stanach była chłodna, ale nie krańcowo zimna.

28 lutego wyleciałem z Los Angeles do Honolulu na Wyspach Hawajskich, lądując tam nocą podczas silnej burzy. Na lotnisku pani Brunk przywitała mnie pocałunkiem w oba policzki i zarzuceniem wieńca lei na szyję, aby tradycji hawajskiej stało się zadość. Wieniec zrobiony jest z długo nie więdnących biało-kremowych kwiatów o kształcie powoju zerwanych z *Plumeria alba*, popularnego tu krzewu. Zamieszkałem u państwa Brunk. Pan Brunk był dyrektorem szkoły średniej. Ich syn przez rok pracował jako stażysta w Sinołęce w ramach Polsko-Amerykańskiej Wymiany Rolniczej.

Na Uniwersytecie Hawajskim przebywali wtedy dr Harold Tuckey, który właśnie przeszedł na emeryturę i na kilka miesięcy przyjechał na wypoczynek. Miałem więc przyjaciół, którzy towarzyszyli mi przy zwiedzaniu wyspy Oahu. Zapoznałem się z uprawą ananasów, która doszła tu do perfekcji. Chociaż ananas z natury swej dojrzewa tylko w trzech letnich miesiącach, przy pomocy etylenu zmuszano tu plantacje do wydawania dojrzałych owoców przez wszystkie miesiące w roku, aby przetwórcia mogła pracować przez cały rok, a nie tylko sezonowo.

Za oknem mojego pokoju w domu Brunków rosło owocujące drzewo chlebowe. Tu właśnie usłyszałem po raz pierwszy romantyczną jego historię związaną ze statkiem „Bounty”. Oto marynarze angielscy, którzy się z tym drzewem zapoznali w XVIII wieku na Tahiti, po powrocie do Anglii opowiadali o nim cuda. Na Tahiti miał panować raj na ziemi, bo na drzewach rosły

bochenki gotowego, wypieczonego chleba, na który nie trzeba było w pocie czoła pracować. Anglicy wysłali w 1787 roku dzielnego kapitana Bligh'a na statku „Bounty”, aby przywiózł je z Tahiti na ich kolonie na wyspach w Archipelagu Antylskim.

Kapitan dotarł bez trudu na Tahiti. Przebywał tam jednak trochę za długo, cały rok. Załadowali wreszcie tysiąc drzew chlebowych posadzonych w koszykach z ziemią i podnieśli kotwicę. Marynarzom zrobiło się żal odpływać, bo mieszkańcy wysp byli tak przyjaźni, młode Tahitanki tak piękne. Ale cóż - rozkaz kapitana.

W klimacie tropikalnym trzeba pić dużo wody. Zabrano też jej na pokład bardzo duże ilości, ale wkrótce okazało się, że za mało, bo jeszcze więcej wody potrzebowały sadzonki chlebowych drzew. Kapitan tak z każdym dniem ograniczał racje wody przydzielane marynarzom, że niektórzy z nich postradali zmysły. Kapitan był człowiekiem wyjątkowo okrutnym. Protestujących karał chłostą lub śmiercią. Wybuchł wreszcie bunt na którego czele stanął oficer Christian Fletcher. Opanowano statek, wyrzucono za burtę wszystkie drzewa chlebowca. Statek wrócił na Tahiti, natomiast kapitan z grupą wiernych mu marynarzy szalupą odpłynął w nieznaną.

Zbuntowani marynarze nie zostali długo na Tahiti. Wiedzieli, że za bunt na statku w angielskiej marynarce czeka ich kara śmierci poprzedzona wymyślnymi torturami. Każdy wziął więc młodą Tahitankę i osiedlili się na bezludnej, małej wyspie Pitcairn. Potem porąbali, spalili statek. Dali w ten sposób początek nowej rasie, podobno bardzo pięknej.

Drzewo chlebowe rodzi owoce kuliste, dochodzące do 5 kg. Nieprawdą jest, że smakują jak chleb, nieprawda, że można je jeść bez upieczenia czy gotowania. Przyrządza się z nich potrawę poi, która przypomina w smaku ziemniaki.

Z wysp Hawajskich poleciałem na Fidżi, a po dwóch dniach, 8 marca, do Nowej Zelandii, gdzie zabawiłem osiem dni. Zaprzyjaźniłem się tam bardzo z dr Torchie Atkinsonem, kierownikiem działu sadowniczego Instytutu w Auckland. Większość czasu spędziłem na Wyspie Północnej, która ma idealny klimat do rozwoju produkcji owoców. W północnych rejonach wyspy uprawia się owoce cytrusowe, a także dwa subtropikalne dotąd nie znane mi owoce. Jest to *Actinidia deliciosa* zwana wtedy chińskim agrestem, a w latach 70-tych nazwana kiwi, oraz *Cyphomandra betacea* czyli pomidor drzewiasty. Nowa Zelandia była krajem, który pierwszy zaczął uprawę tych owoców na skalę handlową. Kiwi pochodzi z Chin, ale nigdy tam nie było uprawiane, rosło dziko. Cyfomandra pochodzi z Ameryki Południowej i też przedtem nigdzie uprawiana nie była. Kiwi w latach osiemdziesiątych zrobiła prawdziwą światową karierę. Zaczęto je uprawiać na dużą skalę zwłaszcza w krajach nad Morzem Śródziemnym. W południowych rejonach wspomnianej wyspy Północnej uprawiano na dużą skalę owoce klimatu umiarkowanego. Plon jabłek dochodził tam do 150 t/ha.

Dnia 16 marca poleciałem do Sydney, stąd do Canberra, która jest stolicą, gdzie mieściła się Australijska Akademia Nauk. W rozmowie z Prezesem Akademii prof. Cherry nie oparłem się pokusie, by zapytać dlaczego właśnie mnie, a nie kogoś naprawdę wybitnego z Ameryki, Anglii czy z Francji wybrano dla zainaugurowania tak ważnego programu Akademii. Prezes wytłumaczył mi powody, którymi się kierowano. Australia, leżąca na uboczu, ale blisko przeludnionej Azji, śmiertelnie obawia się konfliktu światowego, wobec którego czuje się dość bezradna. Zaproszono mnie dlatego, że jestem przedstawicielem Wschodu, ale wychowankiem Zachodu. Jestem kimś, po kim się spodziewają, że znając nie tylko ich język, ale i mentalność Zachodu, będę im potrafił zinterpretować wszelkie poczynania na Wschodzie.

Aby nadać jak największy rozgłos mojemu pobytowi w Australii, wynajęto firmę Eric White Associates zajmującą się szeroko reklamą. Firma poprzedziła mój przyjazd reklamą w prasie, radio, i telewizji, zorganizowała moją podróż, zwiedzanie ośrodków naukowych, kulturalnych i turystycznych, zaaranżowała wykłady, dyskusje i konsultacje. Na zakończenie przekazała mi album złożony z wycinków prasowych.

Przebywałem w Australii przez dwa miesiące. Zwiedziłem stany: Południową Australię, Tasmanię, Wiktorię, Nową Południową Walię i Queensland. Poznałem dobrze tamtejsze sadownictwo, a przynajmniej pobieżnie przyrodę kraju, tak odmienną od naszej. Spodziewałem się zastać miliony królików, a nie widziałem ani jednego, bo wyniszczono je przez wprowadzenie choroby wirusowej - miksomatozy. Widziałem natomiast wiele dzikich kangurów, których nie spodziewałem się zobaczyć.

Mięso kangura nie jest jadalne, bo ma nieprzyjemny zapach, z wyjątkiem ogona, z którego przyrządza się zupę. Ani jedno zwierzę australijskie nie jest przystosowane do chowu, a zatem do produkcji mięsa, mleka czy jaj. Ani jedna roślina z tego kontynentu nie weszła nigdzie do uprawy. Jednym tylko wyjątkiem jest makadamia. Jest to drzewo należące do rodziny *Proteaceae* - *Macadamia ternifolia*. Rodzi bardzo twarde, ale wyjątkowo smaczne, podobno najsmaczniejsze w świecie orzechy. W 1979 r. kilogram orzechów makadamii kosztował w Ameryce 18 dolarów.

Sami Australijczycy na dowód bezużyteczności swej flory, a zwłaszcza fauny, przytaczają ptaka - kukaburę. Jest to coś w rodzaju wielkiego zimorodka, obdarzonego zdolnością do śmiechu. Śmieje się na całe gardło, a pierwotni, czarni mieszkańcy Australii opowiadają historię, która wyjaśnia przyczynę tego śmiechu. Oto wielki czarny, nieszkodliwy zresztą wąż wylazł z ukrycia, a że było bardzo gorąco, otworzył paszczę i ciężko oddychał. Przyleciał mały ptaszek dżiri-dżiri. Był bardzo ciekawy, więc zajrzał do paszczy węża, wszedł nawet do środka. Wąż zamknął paszczę i już po ptaszku. Po pewnym czasie znowu ją otworzył, a wtedy dżiri-dżiri wyfrunął sobie spokojnie. Tak to rozśmieszyło kukaburę, że śmieje się do tej pory.

Oto jaki przepis na przyrządzanie kukabury podają Australijczycy: „Obedrzej go z pierza, wypatrosz, wrzuc go do garnka z dość dużym kamieniem. I gotuj, gotuj długo, aż kamień stanie się miękki. Wyrzuc wtedy kukaburę, bo i tak jest za twarde, a zjedz kamień, jeśli coś zjeść musisz.”

Niezwykła, przepiękna jest flora australijska. Dominują eukaliptusy, które nie zrzucają na zimę liści, ale są gatunki, które zrzucają na wiosnę korę ze swoich pni. Drewno niektórych eukaliptusów jest tak twarde, że nie pływa po wodzie, ale w niej tonie. Kwitną białą, różową lub czerwono, przez cały rok, toteż pszczoły w miejscowych pasiekach dają w ciągu roku do 200 kg miodu z ula. Liczbą gatunków konkurują z eukaliptusami akacje, które u nas czasami uprawiane są w szklarniach jako rośliny ozdobne i sprzedawane pod niesłuszną nazwą mimozy.

Kiedy jechałem do Australii, botanicy prosili mnie, bym im przywiózł fotografię niezmiernych pól zajętych przez opuncję. Opuncja jest rośliną amerykańską rosnącą tam od południowych Stanów Zjednoczonych do Argentyny. Uprawiana jest i u nas jako doniczkowa roślina ozdobna uzbrowiona w ostre kolce.

Te właśnie kolce podobały się pewnemu Australijczykowi, gdy zwiedzał Amerykę w połowie zeszłego wieku. Miał wielkie farmy w stanie Queensland, na których hodował tysiące sztuk bydła na mięso. Ponieważ bydło często się rozbiegało, wpadł na pomysł sprowadzenia z Ameryki opuncji i posadzenia jej w postaci żywopłotu wzdłuż granic swoich farm. Bydło nie mogłoby przedzierać się przez tak kolczastą zagrodę.

Opuncji bardzo podobała się Australia. Zajęła stanowiska wzdłuż granic farm, a że łatwo rozmnaża się z nasion, zaczęła zarastać też szybko i całe obszary ogrodzonych pastwisk. Do 1925 roku opuncja zajęła w Australii 30.000.000 ha czasami bardzo dobrych ziem, a co roku zajmowała dalszych 500.000 ha. Obszar zajęty przez opuncję był całkowicie dla rolnictwa i pasterstwa stracony. Nie mógł wejść na te tereny ani człowiek, ani bydło. Tylko jadowite węże czuły się tam doskonale. Podręczniki biologii szeroko opisywały historię opuncji w Australii jako klęskę ekologiczną spowodowaną przez niebaczone wprowadzenie w środowisko nowej rośliny bez jej wrogów naturalnych. Żadne środki mechaniczne, agrotechniczne ani chemiczne nie były w stanie przekłętego chwastu wyniszczyć, ani nawet zahamować jego zwycięskiego pochodzenia.

Wybawienie przyszło z przypadkowego odkrycia pewnego botanika, który zauważył w 1924 r. w Argentynie krzak opuncji, a raczej jej nędzne resztki pożerane od wewnątrz przez gąsienicę motyla o dźwięcznej nazwie *Cactoblastis cactorum*. Przywiózł jajeczka motyla do Australii, złożył je na opuncję. Gąsieniczki po wylęgnięciu wgryzły się w opuncję. Owad zaczął się rozmnażać z ogromną szybkością, bo miał niesamowite ilości pożywienia. Sytuacja szybko została opanowana. Opuncja już nie zajmowała nowych terenów. Została z czasem kompletnie wyniszczona. Wróciło do rolnictwa 30 milionów ha ziemi. Jest to jeden z najbardziej spektakularnych przypadków powodzenia w walce biologicznej z chwastami, jaki znamy.

W 1936 roku w miejscowości Boonarga, 320 km na zachód od Brisbane, stolicy stanu Queensland, postawiono owadowi *Cactoblastis* pomnik. Postawiono tam, gdzie po raz pierwszy wypuszczono go na pola opuncji. Pomnik poświęca się najczęściej królom, wodzom, bohaterom, artystom i pisarzom. W Boonarga zbudowano jedyny w świecie pomnik na cześć owada. Jest to coś w rodzaju Wiejskiego Domu Kultury, na którym widnieje wielki napis – „Cactoblastis Memorial Hall”, to znaczy „Dom Pamięci Cactoblastis”. Odbywają się w nim zebrania, szkolenia i potańcówki. Odwiedziłem ten dom i sfotografowałem go za czasów mojej następnej bytności w Australii, w czasie Kongresu Ogrodniczego w 1978 roku.

Miałem w Australii kilka wywiadów w radio i w telewizji. Tuż przed wyjazdem dano mi 15 minut czasu w ogólno-australijskim programie radiowym pod nazwą „Guest of Honor of Australia” (gość Honorowy Australii). W programie tym najczęściej przemawiają wybitni politycy cudzoziemscy, którzy ten kraj odwiedzają. Ze względu na wagę programu, który było mi dane zapoczątkować, poproszono i mnie o tak długie wystąpienie. Zaczęłem od tego, że cieszę się z rozwoju kontaktów między Wschodem i Zachodem. Jeśli ktoś mówi o potrzebie pokoju, to chyba my, Polacy, mówimy najszczerzej, bo żaden inny naród, prócz narodu żydowskiego, tak wiele z powodu wojny nie ucierpiał. Dalej mówiłem już głównie na temat rozwoju nauk rolniczych w Polsce, oraz roli, jaką Polska, leżąca między Wschodem i Zachodem, odgrywa w nawiązaniu między nimi współpracy.

Z Australii poleciałem do Indonezji. Spędziłem tam 6 dni, głównie w ogrodzie Botanicznym w Bogor, około 80 km od Dżakarty, skąd robiłem wycieczki. Były to pierwsze prawdziwe tropiki, które poznawałem. Studiowałem owoce tropikalne i ich uprawę. Po raz pierwszy zetknąłem się też z uprawą takich roślin, jak pieprz czarny (*Piper nigra*), muszkatowiec (*Myristica fragrans*), drzewo cynamonowe (*Cinamomum zeylanicum*), kawa i kakao.

W tropikach nie można było dotychczas uprawiać jabłoni, bo brak pory chłodnej stał na przeszkodzie w przelamaniu stanu spoczynku, w który zapada drzewo w końcu lata. Dopiero w 1978 r., gdy po raz drugi odwiedziłem Indonezję, zwiedziłem w okolicy Surabaji rejon, w którym rosło i owocowało 2 miliony jabłoni. A więc była to handlowa uprawa, a nie amatorska. Jabłonie

dawały plony 2 razy w ciągu roku. Po zbiorze owoców zrywano z drzewa ręcznie wszystkie liście. Zabieg ten przełamywał stan spoczynku drzewa. Po miesiącu rozwijały się nowe liście i kwiaty. Po 4-5 miesiącach owoce dojrzewały. Znowu zrywano z nich liście. Widziałem 20-hektarowy sad, w którym zbierano owoce przez 12 miesięcy w ciągu roku, prawie w każdym miesiącu tylko samo. Trzeba było jednak opryskiwać drzewa 45-50 razy w ciągu roku przeciwko chorobom i szkodnikom. W końcowych latach 80-tych Indonezja była już samowystarczalna w produkcji jabłek, a nawet część ich eksportowała.

Za pośrednictwem dr Harrara, Prezesa Fundacji Rockefellera, miałem zaproszenie na tydzień do Instytutu tej Fundacji w Los Baños na Filipinach. Fundacja zapewnia pokrycie moich kosztów. Mimo jednak półrocznych starań nie dostałem wizy na Filipiny. Wobec tego z Indonezji pojechałem na 2 tygodnie do Japonii. Wylądowałem w Tokio 22-go maja.

Znowu niezmiernie oryginalny, inny świat. Moją bazą wypadkową był Instytut Sadownictwa w Hiratsuka, około 60 km na południe od Tokio. Przejechałem wzdłuż prawie całą wyspę Honsiu, na której leży Tokio. Zapoznałem się z uprawą jabłoni i grusz, brzoskwiń i persymony, mandarynek i niespłika japońskiego.

W Kyoto przez kilka dni mieszkałem w domu prof. Tsukomoto, znanego nam od dawna profesora kwaciarstwa. Pokazał mi słynne klasyczne ogrody dawnej cesarskiej stolicy. Najbardziej oryginalny był „Ogród piasku i skał” wokół jednego z klasztorów. Wysoki mur otaczał niewielki dziedziniec 20 x 10 m, wysypany bardzo drobno tłuczonym jasnym granitem. Na dziedzińcu ustawiono pięć grup skał pokrytych porostami i mchem. Miały one przypominać wyspy na morzu otaczającego je piasku. Zagrabiony koncentrycznymi kołami wokół nich piasek naśladował morskie fale. Więcej nic. Siadywali tu mnisi i rozmyślali o nicości tego świata, albo o tajemnicach stworzenia.

Brałem udział w ucztach, a raczej przyjęciach siedząc na podłodze na niskich poduszkach. Usługiwały gejsze, panie do towarzystwa, a kiedy mój japoński towarzysz powiedział jednej z nich, że przyjechałem z Polski, złożyła ręce i powiedziała: „Po-lan, Szo-pen”.

Z Japonii 4-go czerwca wyleciałem do Bangkoku. Był to okres, w którym wstęp do tego kraju obywatelom krajów komunistycznych był absolutnie zakazany. Jeśli znajdowali się w transycie na lotnisku, to na ten czas przetrzymywano ich w ustępie. Mimo to dostałem wizę do Tajlandii, chociaż z wielkimi trudnościami i to dopiero w Tokio. Pomógł mi w tym przyjaciel z czasów studiów w Cornell University, dr Sala Dasananda, który był teraz w Tajlandii wielkim dygnitarzem w Ministerstwie Rolnictwa, dyrektorem Departamentu Ryżu. Ryż to potęga Tajlandii.

Sala odebrał mnie z lotniska, umieścił w niedrogim, ale bardzo przyzwoitym hotelu. Spędziłem trzy dni w Bangkoku i jego okolicach. Sala dał mi do dyspozycji samochód wraz z kierowcą oraz jako tłumaczkę młodą i bardzo piękną przewodniczkę, swoją sekretarkę dobrze mówiącą po angielsku. Zwiedziłem oryginalne świątynie buddyjskie w Bangkoku pokryte ceramicznymi, kolorowymi płytkami pełne swoistych rzeźb.

Najwięcej jednak czasu poświęciłem na studiowanie tutejszych, prawdziwie tropikalnych owoców. Pierwszy raz w życiu jadłem owoc drzewa bochenkowego (*Artocarpus heterophyllus*), bliskiego krewniaka drzewa chlebowego. Drzewo to rodzi największe owoce świata, dochodzące podobno do 35 kg, chociaż ja sam nigdy większych niż 20-kilogramowych nie widziałem, bo w Indonezji o tej porze nie dojrzewał.

Durian (*Durio zibethinus*) jest bardzo wysokim drzewem. Rodzi duże, do 5 kg dochodzące owoce pokryte zdrewniałą skorupą złożoną z tępych, twardych kolców. Spadający z wysoka

owoc może łatwo zabić człowieka. Po rozkrojeniu widać w owocu pięć gniazd kremowego koloru miąższu, a w każdym z gniazd ukrywa się jadalne po upieczeniu nasienie wielkości kasztana.

Durian jest najbardziej kontrowersyjnym owocem świata. Wśród krajowców jedni tak go lubią, że gotowi byłiby dla jego zdobycia popełnić morderstwo, a inni za nic go nie tkną. W 1978 roku byłem jeszcze raz w Tajlandii. Pojechałem na północ do starej stolicy kraju Chiang-Mai. Butelka Coca-cola kosztowała tam 2 amerykańskie centy, pokój w hotelu 5 dolarów, a za duży owoc duriana kupiony dla sfotografowania go zapłaciłem też 5 dolarów.

Miąższ duriana jest wyjątkowo smaczny. Coś jak najlepszy ser śmietankowy z roztartą brzoskwinia, smakiem najlepszego budyniu i ananasa. Ale kontrowersje budzi zapach. Jedni mówią, że przypomina zapach padliny dobrze rozłożonej w tropikalnym słońcu, inni, że wydech rury kanalizacyjnej, że zgniłą cebulę. Człowieka, który niedawno jadł durian, nie wpuszczano się do hotelu, do pociągu i na statek, do autobusu i do samolotu, a nie trzeba go było pytać, czy ten owoc spożywał.

Kupiłem dużego duriana i pytam moją przewodniczkę, czy lubi ten owoc. „O - nie!” - odpowiedziała i na wszelki przypadek odsunęła się ode mnie jak tylko mogła najdalej. Podobno zdarzają się tu rozwody, jeśli on lubi duriana, a ona nie, albo na odwrót. Przyjechałem do Ministerstwa i na otwartym, powietrzu, z daleka od przewodniczki przekroiłem owoc. Zachwyił mnie, po prostu zachwyił jego smak, niemożliwy do opisanie. No, a zapach... Trzeba przyznać, że nieprzyjemny, ale chyba przesadzają ci, co mówią o jego okropności. Może jednak za dużo duriana zjadłem, aż mi się zaczęło odbijać. A wtedy i ja o mało nie mdlałem od jego woni, a cóż dopiero ludzie obok mnie. Moja piękna przewodniczka po prostu ulotniła się.

Z Bangkoku 6-go czerwca wieczorem poleciałem jeszcze na 4 dni do Indii. Była to pora najbardziej upalna, najtrudniejsza do przebycia dla człowieka do takiego klimatu nie przyzwyczajonego, a dla mnie najcięższy okres podróży. Pojechałem nocnym pociągiem, nieklimatyzowanym, żeby było taniej, do Saharanpur, około 400 km od New Delhi. Temperatura nawet nocą przewyższała 40°C. Dojechałem ledwie żywy, a tu na mnie nikt nie czekał, bo pociąg spóźnił się o 4 godziny. Tragarzowi powiedziałem, aby mnie zaprowadził do hotelu. Przechodząc przez śpiące na placu chore, pokryte strupami postacie zaprowadził mnie do jakiegoś kojca bez drzwi z bambusowymi plecionkami, na których spały inne osoby. To hotel małego miasteczka. Tragarz po angielsku nie rozumie. W rozpaczy kazałem mu wrócić na dworzec. Tam na szczęście wyjechano po mnie z miejscowej Sadowniczej Stacji Doświadczalnej. Przesiedziałem przez godzinę w beczce z wodą, zjadłem śniadanie i musiałem pójść na obiecany wykład.

I w Indiach studiowałem owoce tropikalne, bo doszedłem do przekonania, że powinienem je poznać, aby w ten sposób wyrobić sobie pojęcie o całości światowej produkcji owoców. Potem porwała mnie po prostu ich egzotyka, ich różnorodność. W ciągu tych, oraz innych podróży przedsięwziętych wraz z żoną staraliśmy się poświęcić im jak najwięcej czasu. Owocem tych studiów była nasza późniejsza książka „Owoce Krain Dalekich”.

Z Indii wywiozłem jak najbardziej przykre wrażenie. Nie zmieniło się ono po dwóch późniejszych, miesięcznych podróżach po tym kraju. Dwie następne podróże miały miejsce w styczniu, w okresie klimatycznie najbardziej przyjemnym. Zwiedziłem wtedy kraj od Kalkuty na północy po Madras i Bangalore na południu. Nie cierpiałem już z powodu upału, jak w 1963 roku. Ale wrażenie beznadziejności pozostało to samo. Ogromnie szybki przyrost ludności bez prawdopodobieństwa jego zahamowania, chyba, że przez coroczną śmierć głodową milionów



najbardziejniejszych. Zebranina nie pozwalająca przybyszowi na spokojny spacer po mieście. Marzenia każdego naukowca, by wyemigrować na stałe.

Pożegnałem Indie z westchnieniem ulgi 10-go czerwca a 12-go czerwca wylądowałem na Okęciu. Moja podróż dookoła sadowniczego świata trwała 105 dni, z czego na sam przelot z Warszawy do Warszawy na trasie 78.000 km przypadło tylko 3 dni i 7 godzin.

Pewnego dnia, kiedy przebywałem w Honolulu, przyszła mi do głowy myśl, by po powrocie do kraju napisać książkę o swoich sadowniczych podróżach. Chciałem zacząć oczywiście od podróży dookoła świata w 1963 r. Następne rozdziały należało poświęcić zwiedzaniu Ameryki w 1939 r. wraz z Filewiczem i Modlibowską, a potem, wraz z żoną w 1958 r. Dalej poszłyby rozdziały o wyprawie do Chin, na zakończenie zaś o zwiedzaniu krajów europejskich wraz ze Związkiem Radzieckim. Państwowe Wydawnictwo Rolnicze i Leśne (PWRiL) zgodziło się taką książkę opublikować.

Napisałem ją w ciągu kilku miesięcy. Dałem jej tytuł „Dookoła Sadowniczego Świata”. Najwięcej miejsca poświęciłem w niej oczywiście sadownictwu krajów, które zwiedzałem. Do tego się jednak nie ograniczyłem. Pisałem o przyrodzie, zwłaszcza przyrodzie poznawanych krajów subtropikalnych i tropikalnych, o ludziach, których spotykałem, o przygodach, które mi się zdarzały, a także ogólnych wrażeniach, które z podróży wyniosłem

PWRiL wydrukowała książkę w 1965 r. Spotkała się ona z przychylnym przyjęciem, nie tylko wśród sadowników. Została też przetłumaczona na język czeski, węgierski i bułgarski. Moi przyjaciele w Związku Radzieckim chcieli ją przetłumaczyć i wydać w języku rosyjskim, ale nie otrzymali zezwolenia. Zbyt pochlebnie pisałem w niej o sadownictwie w krajach kapitalistycznych.

Przetłumaczyli dopiero następną moją książkę „Gdy Zakwitną Jabłonie” którą opublikowałem w PWRiL w r. 1975. Była to książka o sadownictwie światowym, popularna, dla tych wszystkich, którzy się owocami interesują, nie zaś dla sadowników-producentów. Została ziliczoną przez miesięcznik „Nowe Książki” do dziesięciu książek roku, jedyna książka z tego zakresu. Reszta to literatura piękna - tom poezji Herberta, książka Wańkowicza, a także „Rozważenia o Rzeczpospolitej” Jana Szczepańskiego. Rosjanie przetłumaczyli „Gdy Zakwitną Jabłonie” i wydali książkę w dużym nakładzie, nawet i tam nastały już inne czasy. Czytelnicy, w tym i pracownicy naukowcy, powitali ją z wielkim zainteresowaniem, bo była to pierwsza w ich języku publikacja mówiąca o rozwoju nieznanego im sadownictwa w państwach kapitalistycznych. Czytało ją też wielu sadowników amatorów. Przez wiele lat potem otrzymywałem na ten temat listy nawet z najdalszych rejonów ZSRR.

## Fundusz PL-480 i Fundusz Marii Skłodowskiej-Curie

Kiedy skończyła się zimna wojna i zaczęliśmy nawiązywać stosunki z Zachodem, najwięcej wagi przykładaliśmy z natury rzeczy do stosunków z państwem najpotężniejszym i najbardziej rozwiniętym - ze Stanami Zjednoczonymi Ameryki Północnej. Na pewno nie z miłości do nas, ale w celu przeciwważenia wpływom radzieckim Ameryka wyszła na przeciw naszym dążeniom i przysłała z pomocą, zarówno gospodarczą jak i naukową.

Jeśli chodzi o pomoc gospodarczą, to Kongres amerykański uchwalił ustawę zwaną PL-480 (Public Law 480), na mocy której sprzedawał wielu państwom swoje nadwyżki zbożowe za ich narodową walutę. W 1958 roku ustawą tą objęto także i Polskę. Sprzedawano nam duże ilości zboża i innych produktów żywnościowych i paszowych za złotówki, które zostały zdeponowane w banku Handlowym w Warszawie na koncie Ambasady Amerykańskiej. Pieniądze te były zużywane na wydatki Ambasady, a także na finansowanie polskich badań z zakresu rolnictwa i medycyny zamawianych przez stronę amerykańską.

Miało to wielkie znaczenie dla polskiej nauki rolniczej. Tematy prac badawczych opiewające na okres pięcioletni były zgłaszane przez polskie wyższe uczelnie oraz instytuty rolnicze i leśne. Każdym tematem kierował jeden z pracowników naukowych, profesor, docent lub adiunkt, a do pomocy miał paru młodszych pracowników Pracownicy polskich instytucji naukowych dostawali dodatkowo 50%, a potem tylko 25% pensji, niektórzy pracownicy również tej wysokości dodatki, a poza tym przyjmowano nowe osoby z zewnątrz. Składano z pracy szczegółowe półroczne sprawozdania w języku angielskim. Sprawozdania te były recenzowane przez konsultantów amerykańskich. Przyjmowano tylko takie tematy, które interesowały zarówno stronę polską jak i amerykańską.

Korzyści dla strony polskiej były duże. Uczelnia czy instytut otrzymywał dodatkowe środki finansowe na wydatki rzeczowe, na zatrudnienie dodatkowych pracowników. Kierownicy tematów zmuszeni byli do zajęcia się językiem angielskim, do pisania sprawozdań. Nawiązywali bezpośrednio kontakty z uczonymi amerykańskimi, z konsultantami. Przynajmniej raz w czasie trwania tematu przyjeżdżał do Polski konsultant do bezpośrednich rozmów i narad. Kierownik tematu miał zapewnioną jedną miesięczną podróż do Ameryki dla konsultacji i zwiedzenia ośrodków naukowych, oraz jedną tego rodzaju podróż do zachodniej Europy.

Fundusze PL-480 były duże, ale nie niewyczerpalne. Wiadomo już było, że skończą się w końcu lat 70-tych. Ludzie światli, rozumni i odważni, zdawali sobie sprawę ze znaczenia kontaktów nauki polskiej z nauką amerykańską. Doceniał je zwłaszcza każdorazowy Minister Rolnictwa - Mieczysław Jagielski, Józef Okuniewski, Kazimierz Barcikowski, a także Edward Gierek, kiedy został w 1970 r. Pierwszym Sekretarzem KC PZPR. W 1973 r. pojechał do USA i zawarł tam cały szereg umów i porozumień. Jednym z tych porozumień było postanowienie o utworzeniu wspólnego Funduszu Marii Skłodowskiej-Curie dla polsko-amerykańskiej współpracy naukowej.

Dotychczasowa akcja PL-480 polegała na jednostronnym finansowaniu przez Amerykę badań rolniczych i lekarskich prowadzonych w Polsce. Teraz stworzono wspólny fundusz, w 50% z wkładu amerykańskiego i w 50% z wkładu polskiego, do finansowania polskich prac badawczych w rolnictwie, medycynie i w naukach technicznych. Na razie na wkład strony amerykańskiej miała iść pozostałość funduszu PL-480, czyli tak zwany „złotówek zbożowych”. Miało ich wystarczyć do 1981 r. włącznie.

Pieniądze z PL-480 nie mogły niestety być przeznaczone na zakup aparatury laboratoryjnej za dewizy. To samo dotyczyło odczynników chemicznych. Zdarzało się jednak często, że konsultanci przysyłali kierownikom tematów pewne ilości odczynników chemicznych bezpłatnie, co oczywiście miało dla nas kapitalne znaczenie.

Amerykanie mają także swoją biurokrację. W związku z prowadzeniem spraw PL-480 w Polsce zasugerowali nam powołanie Zespołu Koordynacyjnego PL-480. Zespół taki został powołany przy Wydziale V PAN, pod opieką Sekretarza Wydziału prof. dr Anatola Listowskiego. Kierownikiem Zespołu został mgr Jan Krasicki.

Ciekawa i zasłużona była to postać dla polskiego powojennego rolnictwa. Pochodził z hrabiowskiej rodziny, z tej samej co bajkopisarz Ignacy. Przodkowie za udział w powstaniach utracili majątki. Już jego ojciec zajmował się tylko dzierżawami. On sam przed wojną skończył SGGW i też administrował prywatnymi majątkami. Wojnę spędził w obozie niemieckim. Nie został na Zachodzie, wrócił do kraju. Włączył się od początku do pracy nad organizacją nauki rolniczej, najpierw w Ministerstwie Rolnictwa, a potem w Wydziale Nauk Rolniczych i Leśnych (Wydziale V) PAN. Przez cały czas pracowała wraz z nim jego żona, chyba nie arystokratycznego pochodzenia, ale znająca lepiej niż on języki obce, także z wyższym wykształceniem rolniczym. W Wydziale V Krasicki miał stanowisko kierownika Biura.

Kiedy przyszło do organizowania Zespołu Koordynacyjnego PL-480, Krasicki stanął na jego czele, a jego żona, lepiej władająca angielskim, stała się jego prawą ręką. Zespół działał przy PAN, ponieważ obsługiwał kilka resortów, a mianowicie Ministerstwo Rolnictwa, Ministerstwo Nauki, Szkolnictwa Wyższego i Techniki, Ministerstwo Leśnictwa, PAN oraz Ministerstwo przemysłu Rolnego i Skupu.

Kiedy zostałem Sekretarzem Wydziału V PAN w 1966 r., przejąłem opiekę nad Zespołem Koordynacyjnym. Po odejściu ze stanowiska Sekretarza Wydziału na moje miejsce przyszedł prof. Bohdan Dobrzański. Nie lubił Krasickiego i nie umiał ułożyć z nim współpracy. Ponieważ sam znał słabo język angielski, nie przejął ode mnie opieki nad Zespołem. Minister Rolnictwa widząc, że Zespół nie znajduje zrozumienia w PAN, doprowadził do jego przeniesienia do Ministerstwa, a mnie mianował swoim pełnomocnikiem do spraw PL-480. Krasiccy w międzyczasie przeszli na emeryturę. Kierownikiem Zespołu został mgr Benjamin Kramski, człowiek jeszcze młody, z bardzo dobrą angielszczyzną. Ponieważ kierował także w Ministerstwie sprawami UNDP (United Nations Development Program), oboje Krasiccy w praktyce prowadzili dalej cały Zespół. Całe szczęście, że Kramski był bardzo mądrym i kulturalnym człowiekiem, więc współpraca między nim i Krasickimi układała się bardzo dobrze. Krasiccy, którzy pracowali w organizacji nauki rolniczej od 1945 roku, byli prawdziwą encyklopedią naukowego rolnictwa. Znali wszystkich i wszystkie prace, toteż ich rola w PL-480 była bardzo pożyteczna.

Wydawać by się mogło, że znaczenie PL-480 dla nauki polskiej było tak oczywiste, że nikt nie będzie w tej działalności przeszkadzał. Ale nie. Znajdowali się tacy, którzy twierdzili, że dla Amerykanów PL-480 było okazją do penetracji, szpiegostwa gospodarczego, a co najważniejsze, do utwierdzenia swych wpływów w polskiej nauce rolniczej. Taki pogląd nie był całkowicie pozbawiony słuszności. To jasne, że Amerykanie gotowi byli wydawać znaczne sumy po to, aby związać naszą naukę ze swoją. Dla nas jednak takie powiązania były bardzo korzystne, bo nauka amerykańska stała w świecie najwyżej, znacznie wyżej niż radziecka, a nawet wyżej niż zachodnioeuropejska. W Ameryce mogliśmy się najwięcej nauczyć, a w ten sposób szybciej podnosić poziom naszego rolnictwa.

To jednak kłuło w oczy nasze organy bezpieczeństwa, a także wielu ludzi w ważnych urzędach. Na prowincji zdarzało się, że miejscowe władze bezpieczeństwa próbowały zastraszyć pracowników nauki, zniechęcić ich do zgłaszania nowych tematów. Nachodziły ich w sprawie przyjazdu konsultantów amerykańskich, wzywały kierowników tematów na rozmowy po powrocie z podróży do Ameryki. Niektórzy dali się zastraszyć, ale niewielu. Wiadomo, że po przejęciu władzy przez Gomułkę ustała jaskrawa samowola władz bezpieczeństwa. Nikogo w zasadzie nie aresztowano bezprawnie. Pamięć jednak niedawnych czasów jeszcze trwała tu i ówdzie i straszyla. Polska zaczęła wносить swój wkład w badania od 1978 roku.

Zespół PL-480 został w Ministerstwie Rolnictwa nazwany Zespołem d/s Funduszu Marii Skłodowskiej-Curie. Funkcjonował tak, jak dawniej. Formy jego pracy zostały przyjęte też przez przemysł. W 1979 r. Krasicki na mój wniosek został udekorowany Krzyżem Kawalerskim Polonia Restituta. Jeszcze w Akademii występowałem dla niego o to odznaczenie, ale zawsze otrzymałem odmowę. Jakże to? Przecież hrabia! Teraz udało mi się wniosek przeforsować. Krasicki był już bardzo słaby, chorowity, zmarł w kilka lat potem. Miło mi było, że udało się w ostatnich latach jego pracy pokazać, że zasługiwała na wysoką ocenę.

Z akcji PL-480 korzystał również, a może nawet w procentowo wyższej mierze, Instytut Sadownictwa. Mieliśmy wielu dobrych naukowców, z dobrą znajomością angielskiego, a zastraszenia się nie baliśmy. Kierownikami tematów PL-480 byli w Instytucie oprócz mnie także: Zagaja, Suski, Borecki, Niemczyk, Łęski, Jankiewicz, Plich, Rudnicki, Grochowska, Soczek, Mika, Antoszewski, Szczygieł, Bera, Zawadzka, Basak, Wiąckowski i Borecka.

Po ogłoszeniu w 1981 roku stanu wojennego Ameryka nie podpisała przedłużenia umowy o Funduszu Marii Skłodowskiej-Curie. Mimo to amerykańskie Ministerstwo Rolnictwa nie przerwało współpracy z Polską. Umowy, na wcześniej podpisane tematy, kontynuowano, a nawet przedłużano na 3-5 lat po ich zakończeniu. Były one finansowane jednostronnie, już tylko przez stronę amerykańską.

## Upadek Gomułki

Przyjście do władzy Gomułki w 1956 r. zostało, jak już wspomniałem, przyjęte przez naród z entuzjazmem. Położył on koniec polskiemu stalinizmowi, skrajnemu podporządkowaniu się Związkowi Radzieckiemu. Przywrócił względną przynajmniej praworządność. Nikt już nie obawiał się, że zostanie nocą wywleczony z łóżka, osadzony w więzieniu, i trzymany tam bez sądu, nawet poddany fizycznym i psychicznym torturom. Chłopi przestali się bać kolektywizacji. Została lekko podniesiona żelazna kurtyna, otwarły się nieco granice państwa. Kościół zyskał trochę więcej swobody. Wypuszczono z więzienia na wolność kardynała Wyszyńskiego. Pozostała w Polsce dalej „dyktatura proletariatu”, a w rzeczy samej „dyktatura Pierwszego Sekretarza Partii”, ale nie była to dyktatura do pewnego stopnia akceptowana przez naród. Akceptacja wyrażała się w głosowaniu do Sejmu i Rad Narodowych. Głosujący nie wchodzili za kurtynę, chociaż nikt by ich za to nie osadził w więzieniu. Zastraszeni nie tak dawnymi czasami stalinowskimi posłusznie wrzucali do urny kartki bez skreśleń, czasem nawet pokazywali je pilnującym urny osobom. Kandydaci uzyskiwali w wyborach 98 lub 99% głosów. Udział w wyborach był powszechny, bo jeśli ktoś nie przyszedł głosować, jechali po niego ludzie z bezpieczeństwa i drogą „perswazji” doprowadzali do urny.

W miarę upływu czasu popularność Gomułki malała. Szybko wycofywał się w pierwszych liberalnych reform Października. Wracał do dogmatycznych, sztywnych form radzieckiego komunizmu. Stawał się typowym autokratą, nie znosił najmniejszej krytyki, beszał za byle co nawet swoich najbliższych współpracowników. Nawet najłżejszą krytykę swego postępowania uznawał za rewizjonizm. Sytuacja ekonomiczna stawała się coraz cięższa. Z opozycją przeciwko Gomułce wystąpił gen. Moczar rzucając hasła antysemityczne, mając nadzieję, że zajmie jego miejsce. Zyskał zwolenników, ponieważ Żydzi piastowali wiele ważnych stanowisk w partii i w Biurze Politycznym, w Komitecie Centralnym i w wojewódzkich władzach partyjnych, a także w wysokich urzędach administracji państwowych. Hasła antysemityczne chwyciły. Przejął je Gomułka i jego najbliżsi zwolennicy. Moczar nie osiągnął celu, ale antysemityzm stał się oficjalną polityką partii. Pousuwano wielu Żydów z wysokich stanowisk partyjnych i państwowych oskarżając ich o „syjonizm”. Wielu usunięto słusznie, bo nie mieli właściwych kwalifikacji, ale wielu niesłusznie, tylko dlatego, że byli Żydami.

W społeczeństwie zaczął się w połowie lat 60-tych ferment. W Partii podnosili głowę zwolennicy reform, „polskiej drogi do socjalizmu”, do „polskiego października”, do nadziei, które rozkwitły w końcu 1956 r. Ożywili się pisarze, filozofowie, twórcy. Wczesną wiosną 1968 r. Dejmek wystawił w Warszawie „Dziady”. Studenci podchwycili ich akcenty antyrosyjskie i urządzili demonstrację. Dziady zdjęto z afisza. Filozofowie-marksieści z Uniwersytetu Warszawskiego, Schaff i Kołakowski, obaj pochodzenia żydowskiego, zaczęli w swych wykładach głosić poglądy, które uznano za reformistyczne. W marcu zaczęły się rozruchy, strajki studenckie w Warszawie, w Krakowie, w paru innych miastach. Studenci okupowali gmachy uczelni, a z okien wywieszali wielkie transparenty „Prasa kłamie”.

Zacząły się tarcia w Komitecie Centralnym. Jednocześnie jednak potężniało wrzenie wśród studentów wyższych uczelni. Na wielu uczelniach urządzano strajki okupacyjne. Studenci mieli poparcie większości profesorów, w tym również i partyjnych. Milicja wspomagana przez ZOMO, złamała opór studentów. Wielu pobito, wielu aresztowano, wielu wyrzucono lub przynajmniej próbowano wyrzucić z uczelni. Z Wydziału Ogrodniczego SGGW próbowano wyrzucić jednego z najaktywniejszych w tej akcji, Gabriela Janowskiego, późniejszego senatora i lidera

Solidarności Wiejskiej. Chroniłem go jak mogłem, co zresztą przyczyniło się wkrótce do usunięcia mnie z SGGW.

W kołach inteligencji zawrzało. W Akademii Nauk ktoś rzucił hasło napisania listu do Premiera Cyrankiewicza. List ten utrzymany był w bardzo spokojnym i kulturalnym tonie. Wyrażał głębokie zaniepokojenie z powodu użycia przemocy fizycznej wobec studentów, z powodu pojawiania się haseł antysemickich z powodu kłamliwego przedstawiania sytuacji w środkach masowego przekazu. Autorzy listu prosili Premiera, aby był łaskaw przyjąć ich przedstawicieli i sprawy te z nimi przedyskutować. Kiedy dowiedziałem się o tym liście, dotarłem do jego inicjatorów i złożyłem pod nim swój podpis. Zdawałem sobie sprawę z tego, czym ryzykuję, ale w pełni odpowiedzialności krok ten uczyniłem. Sam kiedyś jako student byłem przez policję bity, nie mogłem być obojętny wobec faktu, że teraz studentów bije nasza milicja. Sam jako student walczyłem przeciwko antysemityzmowi. Nie mogłem nie zabrać głosu teraz, gdy odżyły jego akcenty. Podpisów zebrano wśród członków Akademii blisko 80. Podpisali między innymi Prezes Groszkowski, były Prezes Kotarbiński, Sekretarz Naukowy Nowacki.

Cyrankiewicz oddał list Gomułce, a ten zapalał strasznym gniewem. Przed paru miesiącami zwróciła się do niego z podobnym listem grupa około 70 intelektualistów znanych opozycjonistów - uczonych, pisarzy, artystów. Pismo to opublikowała prasa i radio zagraniczne. Nasz list trzymaliśmy w ścisłej tajemnicy przed zagranicą. Poszedł on tylko do Cyrankiewicza, nie wyostał się za granicę, ale nie stanowiło to różnicy.

Gromy spadły szczególnie na członków partii, którzy list podpisali. Wzywano nas po kolei na rozmowy. Wezwał mnie Profesor Andrzej Werblan, odpowiedzialny za Akademię Sekretarz KC oraz Minister Rolnictwa Mieczysław Jagielski. Najbardziej w tej rozmowie łagodny i kulturalny był Werblan. Jagielski w porozumieniu z Ministrem Szkolnictwa Wyższego wydał polecenia, bym natychmiast zrezygnował z pracy w SGGW, bo przecież po tym, co zrobiłem, nie mogę mieć kontaktów ze studentami. Wezwał mnie do siebie rektor tej uczelni, Kleszczycki, na którego ręce rezygnację złożyłem.

W Akademii odbyło się posiedzenie Prezydium. Przemawiał na nim jedynie prof. Kotarbiński. Nigdy nie zapomnę jego wystąpienia. Człowiek stary, już na emeryturze, mały szczupły, bardzo błady. Powiedział, że zawsze wygłasza swoje przemówienia, ale teraz ze względu na jego wagę musi je odczytać. Powiedział, że protestuje przeciwko temu, co się dzieje, a przede wszystkim przeciwko prześladowaniu ludzi za winy nie popełnione, za fakt urodzenia się z takich a nie innych rodziców. Na sali panowała taka cisza, że można by posłyszeć przelatującą przysłowiową muchę. Nikt po nim głosu nie zabierał. Nie patrzyliśmy sobie w oczy, jeden na drugiego. Oczy mieliśmy wbite w ziemię. Byliśmy zdruzgotani. Wstydziliśmy się za to, że w swojej bezsilności nie uczyniliśmy nic, aby zamianifestować wobec byłego Prezesa, że jesteśmy z nim.

W dzień później odbyło się posiedzenie Sekretariatu Naukowego Akademii. Sekretarz, prof. Nowacki nie wziął w nim udziału z powodu „choroby”. Przewodniczył Prezes, prof. Groszkowski. Sekretariat podjął słynną, nie przynoszącą nam zaszczytu, uchwałę przeciwko syjonistom, którą opublikowano w prasie.

Wszystko to działo się w marcu. Zaczęły się czystki. Pozwalniano z pracy niektórych profesorów, zwłaszcza Żydów, zmuszano ich do wyjazdu na stałe za granicę, przy czym odbierano polskie obywatelstwo. Wyjechał Kołakowski, ale nie wyjechał Schaff. Po kilku latach wrócił do wykładów na Uniwersytecie Warszawskim. Opuścił Polskę z SGGW prof. Drozdowicz, mikrobiolog, były sekretarz osobisty Bieruta. Wyjechał, bo nagle jego dwóch synów, którzy nawet

nie zdawali sobie sprawy z tego, że są Żydami, zaczęto w szkole szykanować, prześladować. Dzwoniono do drzwi, wymyślano. Opuściło Polskę parędziesiąt tysięcy Żydów.

Rok 1968 stał się dla mnie powodem mego największego osobistego rozczarowania. Do tego czasu nie spotykałem się w osobistym życiu z podłością. Sprawiało mi zawsze rzeczywistą przyjemność, gdy mogłem coś dobrego dla innych uczynić. Miałem bardzo dużą grupę swoich uczniów, którym gotów bym nieba przychylić, a z ich strony spotykała mnie wdzięczność i przyjaźń.

Moim najbardziej ulubionym i faworyzowanym uczniem był Ryszard Ł., zresztą bardzo uzdolniony. Zdobyłem dla niego roczne stypendium Fundacji Rockefellera do Ameryki, wysyłałem często za granicę, powierzyłem mu kierownictwo największego w Instytucie zakładu, jakim był Zakład Ochrony Sadów. Może nie w pełni, ale zdawałem sobie sprawę z ujemnych stron jego charakteru. Był przesadnie ambitny, próżny i żądny władzy. Uważałem, że w Instytucie nie powinno być „aparaczyków”, to znaczy stałych, prawie etatowych sekretarzy organizacji partyjnych i przewodniczących związkowej rady zakładowej. Uważałem, że to są funkcje społeczne, które jak urząd Dziekana w Uczelni każdy po kolei winien sprawować, ale najlepiej tylko przez jedną kadencję. Jeśli ktoś przez kilka kadencji będzie Sekretarzem POP lub przewodniczącym Rady Zakładowej, to oderwie się od nauki, a to nie dobrze. Wszyscy się z tym w Instytucie godzili, ale nie Ł. Kiedy był Sekretarzem organizacji partyjnej PZPR, chciał również być przewodniczącym Rady Zakładowej ale przepadł w wyborach. Przyjaciołom powiedział, że było to wynikiem powszechnej przyjaźni, jaką go koleżanki i koledzy otaczają. Oto jedna z nich miała mu powiedzieć: „Rysiu, nie głosowałam na Ciebie, bo masz tyle pracy, było mi Ciebie szkoda”.

W ostatnich dwóch latach Ł. zaczął wyraźnie występować przeciwko mnie, a było to głównie za sprawą jego żony. W Instytucie pracowało wiele małżeństw. Nasuwało to sporo kłopotliwych sytuacji, wobec czego postanowiliśmy na Kolegium, by żona z mężem nie pracowała w jednym zakładzie czy laboratorium. Wszyscy się na to zgodzili, prócz Ł.. Ł. powiedziała, że zarządzenie jest słuszne, ale nie może jej, i jej męża dotyczyć, bo oni są tak wyjątkowi, że ich wspólna praca nikomu nie przeszkadza. Mino to przenieśliśmy ją do Zakładu Roślin Jagodowych. Nie musiała zmieniać swojej specjalizacji. Pracowała jak dawniej nad szkodnikami roślin jagodowych, ale w zakładzie kierowanym przed dr Smolarza, a nie przez jej męża. Powzięła o to do mnie śmiertelną urazę.

W marcu 1968 r. zaczęło się polowanie na skalpy. W wielu instytucjach oskarżano dyrektorów o rewizjonizm. Oskarżycielami byli najczęściej ci, co chcieli zająć stanowiska oskarżonych. Wiedząc, że znajduję się na indeksie z powodu podpisania protestu do Premiera, Ł. zdecydował, że nadeszła dla niego pora, aby mnie ze stanowiska dyrektora Instytutu zepchnąć i pewnie zając moje miejsce.

Rozpoczął szeroką kampanię przeciwko mnie, chodząc do wysoko postawionych osób i rozpowiadając, że jestem rewizjonistą, fałszywym członkiem Partii, a w Instytucie gnębię młodych pracowników naukowych, nie pozwalam się im rozwijać. W naszej organizacji partyjnej było kilka osób, których zwano stalinistami. Z tego kółka poszedł do Ministerstwa Rolnictwa anonim.

Anonimy na dyrektora zaczynają od posądzenia go o złodziejstwo. Autor anonimu przeciwko mnie, podpisany „Polak patriota” też tak się zaczynał:

„Ob. Stefan Parynow, członek partii i pierwszy wicedyrektor, budował Instytut i to z korzyścią dla siebie i prof. Pieniązka, bo jemu również postawił domek za państwowe pieniądze.”

Dalej było o rzekomych złodziejstwach i pijaństwach ówczesnego wicedyrektora Niwickiego, głównego księgowego Dołbińskiego, inspektora Wałowskiego, inspektora Dworaka, kierownika działu kadr Słomczyńskiego i paru innych. Także o niesprawiedliwym przydzielaniu premii i marnowaniu dobra państwowego.

Potem atak kierowany był już bardziej zdecydowanie. Mówi się w nim o tym, że niektórzy pracownicy Instytutu opowiadali, pewnie nie bez racji, że „Instytut Sadownictwa to placówka szpiegowska”. O naszej współpracy z amerykańskimi placówkami naukowymi w ramach Funduszu PL-480 czytamy w anonimie: „Wyszło ciekawe doświadczenie; jeden z docentów poszedł do Profesora, aby pozwolił wykorzystać je u nas, ale ob. Pieniążek - członek partii, dobry patriota, ale amerykański, nie pozwolił.” Ponieważ w modzie był atak na syjonizm, więc o mojej żonie: „Pani Pieniążkowa jest żydowskiego pochodzenia, odwiedziła rodzinę w Izraelu, była tam przez pół roku - ciekawe, czy pensję też przez cały czas pobierała.”

Panował zwyczaj przez całe lata, że anonimy traktowano jako oficjalne dokumenty. Ministerstwo na jego podstawie przysłało do Instytutu komisję, która badała skrupulatnie każdy zarzut. Prawdę mówiąc, badano głównie zarzuty natury gospodarczej i finansowej.

Może też sprawdzano, czy Instytut jest placówką szpiegowską i czy jestem patriotą amerykańskim, ale zajmowało się tym Bezpieczeństwo, a nie przysłana Komisja ministerialna.

Ponieważ Ł. prowadził w Instytucie wichrzycielską robotę, zwróciłem się z prośbą do Ministra Jagielskiego, by przeniósł go do innej pracy. Na razie tego nie zrobił. W parę miesięcy potem, Ł. przesłał do Ministra propozycję, aby wyłączyć pewne sprawy z Instytutów Sadownictwa i Warzywnictwa i utworzyć z nich dla niego odrębny Instytut. To otworzyło oczy Ministrowi Jagielskiemu, który dotychczas Ł. popierał. Przeniósł go do innego Instytutu na Śląsku.

Nie mściłem się na jego zwolennikach. D. pracował nadal w Instytucie. Posłałem go w latach 70-tych na dwa lata do Maroka. Ponieważ musieliśmy przeprowadzić weryfikację kadr, oboje J. przenieśli do pracy w naszym Zakładzie Doświadczalnym Prusy w powiecie skierniewickim. Opierali się, ale w końcu przenieśli się do Prus. Obrazili się jednak na mnie i po roku zrezygnowali w ogóle z pracy w Instytucie; przeszli do jednej ze Stacji Hodowli Roślin.

Już jednak po dwóch latach J. przyjechała do mnie z prośbą, aby ich z powrotem przyjąć do Instytutu, do Prus. Przekonali się, że w Instytucie nie jest źle. Buntowano mnie, aby ich nie przyjmować, skoro sami z pracy zrezygnowali. Nie usłuchałem tych podszeptów. Przyjąłem ich z powrotem do Prus. Pracowali teraz znacznie lepiej niż kiedyś, nie wdając się w żadne intrygi, aż do przejścia na emeryturę.

W kraju po wydarzeniach marcowych uspokoiło się, ale tylko na powierzchni. Partia silną ręką zapanowała nad sytuacją. Usunięto z kierownictwa zarówno politycznego jak i państwowego ludzi, którzy występowali z krytyką panujących w państwie stosunków. W dalszym jednak ciągu ekonomika kraju rozwijała się słabo, rosło niezadowolenie. O ile w 1968 r. ograniczało się ono głównie do inteligencji, to w latach następnych zaczęło ono ogarniać klasę robotniczą. Inteligencji chodziło o to, by wywalczyć więcej swobód demokratycznych. W klasie robotniczej występowało przede wszystkim niezadowolenie z powodu nie dość szybko podnoszącej się stopy życiowej. Dopiero w późniejszych latach doszły do tego żądania polityczne.

Do wybuchu doszło w grudniu 1970 r., przede wszystkim w Gdańsku. Wiedli w nim prym robotnicy stoczni. Zaatakowano Komitet Wojewódzki. Rozruchy zostały opanowane przez milicję, siły Bezpieczeństwa, ORMO i wojsko. Padły trupy, wielu raniono. Ponieważ rozruchy rozszerzyły się na Gdynię, Szczecin i inne miasta, w Komitecie Centralnym zdecydowano się



odwołać ze stanowisk Gomułę, Cyrankiewicza i najbliższych ich współpracowników. Pierwszym Sekretarzem został Edward Gierek, premierem Piotr Jaroszewicz.

## Dziesięciolecie Gierka

Edward Gierek objął stanowisko 1-go Sekretarza KC PZPR w grudniu 1970 r., kiedy usunięty został Gomułka na skutek krwawo stłumionych wystąpień robotniczych w Gdańsku i w innych miastach. Gierek zdobył sobie sympatię mas robotniczych, gdy przyjechał do Gdańska i przemówienie do robotników zakończył słynnym pytaniem „Pomożecie?” Uzyskał na to entuzjastyczne przyrzeczenie: „Pomożemy!”

Prowadził politykę znacznie bardziej liberalną niż jego poprzednik, znacznie bardziej otwartą na zachód. Otrzymywał duże pożyczki z państw zachodnich, głównie z Zachodnich Niemiec, Francji i Anglii. W czasie jego dziesięciolecia dość szybko podnosiła się stopa życiowa ludności, zwłaszcza dzięki pożyczkom zagranicznym. Pożyczki miały być w zasadzie zużywane na inwestycje podnoszące produkcję, służącą między innymi na ich spłatę. Niestety pożyczone pieniądze często źle były lokowane, w pewnej części przejadane, a reszta przeznaczana na inwestycje mało opłacalne, nie wytwarzające produktów eksportowych. Długi wzrastały z każdym rokiem, a po latach dziesięciu doszły do takiej sumy, od której nawet odsetek nie byliśmy w stanie spłacać. To jednak okazało się dopiero po dziesięciu latach. W pierwszych latach wydawało się, że polityka Gierka przyniosła pożądane owoce.

Nie zetknąłem się osobiście ani z Bierutem ani z Gomułką. Gierka natomiast poznałem w 1973 roku, potem spotkałem się z nim jeszcze kilka razy. W 1973 roku za sugestią Ministerstwa Rolnictwa zaprosiłem go do Instytutu Sadownictwa w Skierniewicach. Chodziło mi o to, by przedstawić mu sprawy sadownictwa, sprawy Instytutu i dla nich go pozyskać. Zrobił na mnie bardzo korzystne wrażenie. W następnych latach spotykałem się z nim jako członek ścisłego Prezydium PAN, w sprawach Ogrodu Botanicznego, a wreszcie na gruncie niejako towarzyskim w Ogrodzie Botanicznym PAN. W maju, jedna niedziela poświęcona była tzw. „czynom partyjnym”, czyli pracy członków partii nad porządkowaniem miasta. Członkowie Biura Politycznego mieszkający w Warszawie, członkowie Komitetu Centralnego postanowili, w ramach „czynu”, przepracować pół dnia w Ogrodzie Botanicznym PAN. W Ogrodzie jako przewodniczący jego Rady Naukowej pełniłem przy takich okazjach rolę gospodarza.

Gierek sadił zwykle jakieś drzewko dla zdjęć telewizyjnych, ale dużo pracować nie mógł z powodu kłopotów z kręgosłupem. Szliśmy wtedy w kilka osób do jednego z pomieszczeń. Piliśmy po małym kieliszku wina i rozmawialiśmy.

Pamiętam taki właśnie ostatni „czyn” z 18-tego maja 1980 r. W kraju słyhać było coraz to głośniejsze pomruki niezadowolenia i niepokoju. Skorzystałem z okazji, aby mu o tym jeszcze raz powiedzieć. On tylko machnął ręką. Powiedział, że to tylko nieszkodliwe krytyczne głosy jakichś paru intelektualistów. „Ale cała klasa robotnicza - mówił - stoi za nami jak jeden mąż, porwana naszym programem ‘aby Polska rosła w siłę, a nam żyło się dostatniej’”. Tak mówił zaledwie na trzy miesiące przed zrywem niezadowolenia wielkoprzemysłowej klasy robotniczej, które przybrało postać „Solidarności”. Oto co może zrobić „dwór” wokół dyktatora. „Dworzanie” przez dziesięć lat powtarzali Gierkowi, że jest wspaniały, genialny, nieomylny. Przekonywali go, że jest uwielbiany przez naród, a zwłaszcza przez całą klasę robotniczą, podczas gdy ta warstwa narodu, właśnie klasa robotnicza miała dosyć jego i całego systemu politycznego, którego był symbolem.

W latach 70-tych moje nazwisko stało w się w Polsce dość znane, ponieważ skutki mojej działalności nad podniesieniem produkcji owoców były aż nadto widoczne w kioskach i na pół-

kach sklepowych, w stale zwiększającym się eksporcie owoców, zwłaszcza jagodowych. Poza tym zwracała uwagę moja szeroka działalność publicystyczna. Reprezentuję dziedzinę, którą interesują się nie tylko producenci owoców, ale i miliony amatorów i działkowiczów. Już w pierwszych latach swoich rządów zwrócił na mnie uwagę Gierek. Pewnie od niego pochodziła sugestia by mnie wybrać na członka Komitetu Centralnego, ale tej propozycji nie przyjąłem.

Jesienią 1974 r. Gierek zaproponował, bym został posłem na Sejm w wyborach w 1975 r. Dowiedziałem się o tym wcześniej. Wybory musiały mieć jednak pozory wyborów demokratycznych. Kandydatów na posłów miał formalnie zgłaszać Front Jedności Narodowej, w rzeczywistości decydował Komitet Wojewódzki PZPR, któremu zgodnie z zasadą „centralizmu demokratycznego”, dawał wytyczne KC PZPR. Oficjalnie dowiedziałem się, że mam być kandydatem „mandatowym”, to znaczy umieszczonym na jednym z pierwszych trzech miejsc listy zawierającej pięciu kandydatów. Oprócz Gertycha w 1957 r. w Nowym Sączu, nie zdarzyło się, by kiedykolwiek został wybrany posłem kandydat „niemandatowy”.

Pewnego dnia zadzwonił do mnie w Skierniewicach pierwszy sekretarz KW PZPR Bryk i oznajmił uroczyście, że komitet wojewódzki postanowił zgłosić mnie jako kandydata na posła. Ponieważ o tym zamiarze wiedziałem wcześniej, miałem czas całą sprawę przemyśleć. Postanowiłem odmówić. Prawdziwym powodem tego postanowienia była całkowicie moja utrata wiary w komunizm, nawet w polską, łagodną jego formę. Czuję, że pewnych rzeczy nie mógłbym już robić, np. głosować w Sejmie na komendę. Jednak nie chciałem tego powiedzieć wprost i nie mogłem po prostu wystąpić z partii. Obawiałem się, że straciłbym przez to możliwości pozytywnej działalności, dalszego prowadzenia Polsko-Amerykańskiej Wymiany Rolniczej.

## Sadownictwo polskie w latach 1946-1980

Sadownictwo powojenne wywodziło się oczywiście z sadownictwa przedwojennego, które przypominam sobie z czasów mej wczesnej młodości. Mój ojciec, a nawet dziadek, miał sad, więc jadaliliśmy w domu owoce przynajmniej do zimy. Ale moi rówieśnicy na naszej wsi i na wsiach okolicznych owoce widywali rzadko i tylko w sezonie, od lipca do października. Jabłko było owocem, jeśli nie zakazanym, to pożądanym. Wiejska kawalerka, a także gromadki młodych chłopców, robiła nocne wypadki do dworskich i księżych sadów, lub sadów zamożniejszych gospodarzy. Sad na wsi łączył się z zamożnością. Na ogół tylko bardziej przedsiębiorczy, inteligentni i zamożni chłopcy zakładali sady naśladując zajmujących się produkcją owoców właścicieli ziemskich.

W około domostw wiejskich rosło czasami trochę drzew owocowych. Rosły też bardzo powszechnie na polach i miedzach dzikie grusze - ulęgałki. Jesienią każda wiejska rodzina zjadała mnóstwo ulęgałek, a także suszyła ich pokaźne ilości na zimę.

Wielkość produkcji owoców ocenia się wielkością spożycia na jednego mieszkańca kraju. Racjonalne żywienie wymaga, by przeciętne roczne spożycie owoców wynosiło 70-80 kg. Jest to jednak możliwe do osiągnięcia tylko w krajach, w których około połowy spożywanych owoców stanowią owoce cytrusowe i banany. W ostatnich latach przed wojną produkcja owoców w Polsce była następująca: 1934 - 264.000 ton, 1935 - 314.000 ton, 1936 - 345.000 ton, 1937 - 692.000 tony. Ludność Polski liczyła wtedy około 35 milionów, to znaczy, że przeciętne spożycie owoców na jednego mieszkańca wynosiło mniej niż 10 kg rocznie z wyjątkiem 1937 roku, kiedy wyjątkowo wysoki urodzaj podwoił możliwości spożycia.

Polska była krajem biednym, wobec czego nie było można liczyć na to, że import owoców podniesie spożycie. Owszem, importowano pewne ilości owoców, ale były one dostępne dla znikomego procentu mieszkańców kraju. W 1938 roku import owoców wynosił 51.000 ton, w tym 23.000 tony pomarańczy i mandarynek, 12.000 ton cytryn, 5.000 ton winogron, 6,500 ton suszonych śliwek, 1.900 ton świeżych śliwek i 1.000 ton jabłek.

Krajowa produkcja była niska wcale nie dlatego, że nie sprzyjały jej warunki przyrodnicze kraju. Stała ona na niskim poziomie, ponieważ brak było wśród chłopów nawet najprostszych wiadomości koniecznych do racjonalnej na te czasy uprawy roślin sadowniczych. W niektórych gospodarstwach obszarniczych zaczęto wprowadzić zakładać większe sady, ale i najlepsze z nich nie porównywały się z sadami w Europie zachodniej.

Jednym z najlepszych sadów był na pewno sad dr Władysława Filewicza w Sinołęce, niedaleko Siedlec, pokrywający przeszło 100 ha ziemi. W latach najwyższego urodzaju dawał do 500 ton owoców, w latach nieurodzaju o połowę mniej. Wszystkie nawet stosunkowo drobne sady w Polsce dzierżawili Żydzi z pobliskich miasteczek. Kupowali wiosną cały plon, pilnowali go, zbierali i sprzedawali owoce, zagarniając większość zysku. Filewicz także wydzierżawiał corocznie swój sad. Nie znalazł się jednak ani jeden kupiec w pobliskim Węgrowie czy Siedlcach ani nawet w Warszawie, który by mógł zdobyć się na to, by podjąć się tak wielkiego przedsięwzięcia. Dopiero w Gdyni zawiązało się konsorcjum kupieckie, które sad wydzierżawiło. Po wojnie, gdy Sinołęka stanowiła jeden z zakładów Instytutu Sadownictwa, z niewiele większego obszaru zbierała corocznie około 2000 ton jabłek. Najstarsi jej mieszkańcy wspominali z uśmiechem dawne czasy. Sinołęka nikomu po wojnie sadów nie wydzierżawiała. Sama zbierała owoce,

przechowywała je we własnej chłodni na miejscu, sprzedawała je nie tylko do Siedlec i Warszawy, ale też do Leningradu i Londynu.

Chłopskie sadownictwo było przed wojną jeszcze bardziej prymitywne. Najczęściej stanowiło część tak zwanej dwupiętrowej gospodarki. Między rzędami drzew uprawiano rośliny rolnicze, aby tym sposobem podnieść dochód z każdego hektara ziemi. W rezultacie dochód ten zmniejszano, bo drzewa owocowe nie mogły dobrze plonować wśród zbóż, a zboża nie rosły normalnie w cieniu drzew. Aby umożliwić konną uprawę gleby w sadzie, uprawiano drzewa wysokopienne daleko jedno od drugiego rosnące.

Nasi profesorowie sadownictwa kształcili się w krajach zachodniej Europy. Stamtąd sprowadzali odmiany drzew owocowych, które nie dawały dobrych wyników w polskich warunkach przyrodniczych. Większość z nich nie wytrzymała surowych zim, które zdarzają się w Polsce mniej więcej raz na dziesięć lat. W czasie bardzo surowych zim 1918 roku, 1929 roku i 1940 roku za każdym razem wymarzała połowa naszego drzewostanu sadowniczego.

Pierwsza zima drugiej wojny światowej była zatem zimą kłęski. Straciliśmy połowę naszych sadów. Lata wojny nie sprzyjały szybkiej odbudowie sadownictwa. Nic dziwnego, że przedstawiało ono przysłowiowy obraz nędzy i rozpaczy, gdy spojrzałem na nie po powrocie do kraju w 1946 roku. Cała moja działalność nastawiona była na to, aby je możliwie najszybciej podnieść. Kształciłem studentów w SGGW. Prowadziłem ożywioną działalność publiczną i piarską. Zorganizowałem Instytut Sadownictwa i przy pomocy coraz to większej gromadki swych uczniów kładłem podwaliny pod polskie sadownictwo naukowe. Instytut miał nie tylko za zadanie rozwijanie badań prowadzących do zwiększenia produkcji owoców. Przynajmniej połowę czasu pracownicy Instytutu i jego Zakładów Terenowych poświęcali na upowszechnianie nowoczesnych metod produkcji owoców. Produkcja owoców zaczęła się podnosić.

Pierwsze lata po wojnie nie sprzyjały zbyt szybkiej rozbudowie sadownictwa. Były to lata stalinizmu, w których polityka Państwa nastawiała się na doprowadzenie do kolektywizacji rolnictwa. Wiadomo, że w tak rozumianej polityce biedni stanowili sól ziemi, średniak - element podejrzany, a chłop zamożny, czyli kułak, był wrogiem klasowym. Nasze sadownictwo musiało być siłą rzeczy sadownictwem chłopskim, a chłop - sadownik najczęściej był bardziej zamożny niż chłop - rolnik. Dlatego sadownictwo w pierwszych latach po wojnie nie tylko nie otrzymywało pomocy państwa, ale cierpiało różne formy dyskryminacji.

Przed wojną zalecano „sad przy każdej chacie”. Ja zaś uważałem, że przy każdej chacie winien być mały sad przydomowy, przeznaczony na zaopatrzenie rodziny w owoce. Natomiast sady towarowe czy handlowe zalecałem zakładać tylko w niektórych gospodarstwach, które powinny się w sadownictwie specjalizować. W takich przypadkach może należałoby nawet cały obszar drzewami owocowymi obsadzać i zrezygnować całkowicie z chowu bydła i trzody.

## Batalia o zające

W walce o nowoczesne sadownictwo napotkałem na drodze przeszkodę typowo i specyficzną polską, która była niepojęta zarówno dla mych przyjaciół z Ameryki, państw Europy zachodniej, jak i Związku Radzieckiego. Wywodziła się ona jeszcze z feudalnych relikwów naszej przeszłości. Przeszkodą tą były zające.

Wiadomo, że zającom bardzo smakuje kora młodych drzew owocowych, zwłaszcza jabłoni. Latem nie wyrządzają one w sadach szkody, bo mają mnóstwo innej karmy. W czasie zimy, gdy spadną obfite śniegi i nie mogą dostać się do ozimin, schodzą się do sadów i ogryzają korę z młodych drzewek. Drzewko w ten sposób uszkodzone najczęściej ginie. Można je, teoretycznie rzecz biorąc, ocalić od śmierci przez tak zwane szczepienie mostowe przywracające krążenie soków między jego koroną i systemem korzeniowym, ale jest to zabieg bardzo trudny do wykonania. Dlatego wykorzystywany jest rzadko.

Obawa przed uszkodzeniem drzewek przez zające przez długie lata była jednym z najważniejszych powodów, dla których sadownicy bali się wprowadzania drzew niskopiennych, nie mówiąc już o karłowatych. Trzymano się drzew wysokopiennych, ponieważ wysokie ich pnie można było łatwiej zabezpieczyć przez owinięcie na zimę słomą. Ale sadzenie drzew wysokopiennych nie pozwalało na rozwój nowoczesnego, intensywnego sadownictwa.

W takich krajach, jak Ameryka i w ZSRR, zając w praktyce traktowany jest w sadzie jak szkodnik, którego w każdej porze roku można niszczyć wszystkimi dostępnymi środkami. Można go zabijać z broni palnej, szczuć psami i truć. W Polsce chronią zająca od wieków rozporządzenia i prawa, ostatnio zaś ustawa łowiecka z 1959 roku. Ustawa ta, jak i poprzednie, została uchwalona pod naciskiem małej, ale potężnej, samolubnej grupy myśliwych. Zadaniem ustawy jest ochrona zwierzyny. Jako przyrodnik byłbym chyba ostatnim człowiekiem w Polsce, któryby nawoływał do wyniszczenia zająca, nieodłącznego, wdzięcznego składnika naszej przyrody. Chodzi mi tylko o zmniejszenie pogłowia zającego w niewielkich, skoncentrowanych rejonach sadowniczych i o możliwość likwidowania go w sadach ogrodzonych siatką. Gdyby te postulaty zostały spełnione, to zając nie byłby przecież wyniszczony. Jego populacja nie zostałaby zmniejszona w kraju nawet o jeden procent.

Państwo ma nie tylko prawo, ale i obowiązek chronić żywą przyrodę, chronić zwierzynę łowną. Za szkody przez nie wyrządzone musi jednak wziąć na siebie odpowiedzialność. Ustawa przewiduje przeto odszkodowania za szkody wyrządzone przez niektóre chronione zwierzęta np. przez dziki i jelenie. Nie przewiduje jednak żadnych odszkodowań za szkody wyrządzone w sadach przez zające. Dlaczego? Czy może być na to pytanie inna odpowiedź jak tylko ta, że szkody spowodowane przez zające są wielokrotnie wyższe niż szkody wyrządzone przez dziki i jelenie?

Oto wyjątek z listu, który dostałem od jednego z sadowników w 1966 roku. „Posadziłem 1000 drzew, ogrodziłem siatką, przyszły zasy, zające szły ze wszystkich stron. Kładłem siano, szczułem psami, pilnowałem, odrzucałem śnieg na odcinku 1 km, zatykałem dziury w płocie sąsiada, ale zając spadał jak z nieba, co kilka dni nocą dostawał się nowy. Za każdym razem niszczyły mi 30-40 drzewek. Obecnie przepadło już 900. Pozostałe 100 ratuję przed ostateczną zagładą. Na założenie sadu wziąłem z banku pożyczkę. Skąd wziąć pieniądze na jej spłatę? Chciałem sad ubezpieczyć, PZU odrzuciło. Dlaczego mimo alarmów już w grudniu nie pozwala się na odstrzał zającego w ogrodzonym sadzie? Dlaczego są pod ochroną, a nie zalicza się ich do szkodników?” W 1965 roku, gdy spadły obfite śniegi, zające przedostały się do naszego Central-

nego Sadu Doświadczalnego w Dąbrowicach. Zaczęły ogryzać drzewka. Nie chodziło tu o ich nominalną wartość. Sadziliśmy tu przecież okazy unikalne z wielkim trudem sprowadzane z zagranicy do zbadania i ewentualnego rozmnażania. Zwróciłem się więc do Ministra Rolnictwa z prośbą o zezwolenie na odstrzał zajęcy w ogrodzonym sadzie doświadczalnym. Zgodnie jednak z ustawą Minister Rolnictwa nie miał prawa wydać takiego zezwolenia. Zajęcie należały nie do niego, lecz do Ministerstwa Leśnictwa.

Ministerstwo Rolnictwa zwróciło się więc do Ministerstwa Leśnictwa o takie zezwolenie, ale otrzymało odpowiedź odmowną podpisaną przez naczelnika Samodzielnego Wydziału Leśnictwa W. Lipkę. Naczelnik Lipka nie zezwala na odstrzał zajęcy w okresie ochronnym, poleca natomiast: „zastosowanie np. sposobu wypędzenia zajęcy na białej stopie z terenów osiatkowanych przy częściowym zdjęciu ogrodzenia na odpowiednich odcinkach”.

Wściekłem się po otrzymaniu takiej odpowiedzi i rozpocząłem długą, ale wreszcie uwieńczoną powodzeniem walkę z myśliwymi. Napisałem do Ministra Leśnictwa, aby sam przyjechał do Dąbrowic i pomógł w rozgrodzeniu sadu i wypędzeniu zajęcy „na białej stopie”, bo nasi robotnicy tego robić nie będą. Zajęcie wyrządzają największe szkody, gdy na dworze jest 20° mrozu i silny wiatr tworzy zasy, przez które przeskakują ponad płotem do sadu. Odpowiedzią było pogardliwe milczenie.

Myśliwi mogli sobie na pogardliwe milczenie pozwolić. Łowiectwo jest „sportem” droгим i ekskluzywnym, o ile zabijanie dla przyjemności można zaliczyć do sportu. Przed wojną polował dziedzic, fabrykant, dyrektor i minister. Nie było już teraz dziedziców, fabrykantów, ale ich miejsce zajął sekretarz partii, minister i inni przedstawiciele nomenklatury, a wzorując się na nich całe szeregi pomniejszych prokuratorów, naczelników, a nawet ważniejszych profesorów wyższych uczelni. Nowi prominenci zrzeszeni w bractwie św. Huberta z właściwym tupetem i arogancją władzy bronili swoich przywilejów. Poczynali sobie jednak tak obcesowo, że społeczeństwo zaczęło na to reagować.

Oto co napisał do mnie szkółkarz i sadownik Pan Popłonikowski spod Sieradza o strażnikach łowieckich.

„Miejscowy strażnik otrzymał polecenie zlikwidowania mego luzem chodzącego psa. W tym zagrożeniu kupiłem kaganiec - zgubił. Założyłem pożyczony, potargał i ten. Który zresztą pies na wsi chodzi w kagańcu?

Po obiedzie poszedłem do sadu. Pies w pół godziny potem popędził za mną, a widząc dwóch ludzi, skierował się do nich, myśląc, że i ja tam jestem. Był to strażnik z kolegą. Padł strzał, pies zaskowyczał. Dowlókl się do pierwszego rzędu drzew i tam skonał. Wyrok wykonano.

Piszę teraz sucho i beznamiętnie, ale wtedy było inaczej, bo nie mogłem znieść widoku 10-letniej córeczki, która ze szlochom rzuciła się na psa, podrzucanego konwulsyjnymi, przedśmiertnymi drgawkami.

W rok później miejscowy strażnik w towarzystwie myśliwego, wpływowej osoby z Łodzi, zabił tym razem małego szczeniaka. Pośmiertnie mierzony miał 22 cm wysokości. I ten pokojowczyk wydał mu się groźnym drapieżnikiem zwierzyny łownej. Zastrzelił go, gdy właśnie uciekał na nasze podwórko w obecności mojej żony i syna.”

Pojawiły się również w prasie artykuły pisarzy, np. Jarosława Iwaszkiewicza, o tym, jak to strażnicy łowieccy wyrrywają z objęć dzieci psy i koty i kładą je trupem, bo są to zwierzęta „bezpieczne” które niszczą zwierzynę łowną. Szeroko opisywano przypadek, w którym taki strażnik zastrzelił chłopca, który bronił swojego kundla.

Na moim niemalże podwórku, bo w powiecie skierniewickim, zdarzył się taki wypadek. Sekretarzem Komitetu Powiatowego PZPR był p. M. porządny człowiek z awansu społecznego, dawny robotnik. Ale „noblesse oblige”. Jakże tak ważna osobliwość jak Sekretarz może nie być myśliwym? Wstąpił do Koła Łowieckiego. Na jednym z polowań zastrzelił skierniewickiego instruktora ogrodniczego, który za parę miesięcy miał jechać na roczny staż sadowniczy do Ameryki w ramach prowadzonej przeze mnie wymiany. Jak to się stało, czy Sekretarz był pijany czy nie, tego nie wiem. Sprawę oczywiście zatuszowano, do prasy się wiadomość nie dostała. Sekretarz odszedł ze swego stanowiska, ale został dyrektorem jakiejś instytucji w Skierniewicach.

Do pewnej wsi woj. białostockiego przyjechali myśliwi na polowanie. Gleba była nie zamrznięta. Była rozmokła, wobec czego deptając ją niszczyli oziminę. Zebrali się chłopci, a najstarszy z nich zwrócił się z pokorną prośbą, aby panowie odłożyli polowanie. Ale myśliwi nie pozwolili sobie przerwać zabawy. Widząc to chłopci przybrali groźną postawę. Myśliwi wezwali na pomoc milicjanta. Rozsierdziło to chłopów jeszcze bardziej, chwycili za sztachety i kołki i przegonili myśliwych wraz z przedstawicielem władzy. Trupów nie było, ale niejednemu trochę się dostało.

Wynikł z tego proces o opór władzy. Chłopci dostali surowe wyroki w Sądzie Powiatowym. Apelowali, ale Sąd Okręgowy wyroki zatwierdził. Wdał się w to Sąd Najwyższy, wyrok Sądu Okręgowego skasował. Uznał, że „w danym przypadku chodziło o konieczność obrony własnego dobra przed bezprawnym zamachem. Sąd Najwyższy nie podzielił poglądu prawnego obu niższych instancji, że wspomniany funkcjonariusz MO - jeden z bezprawnie działających - powinien w tym przypadku korzystać ze wzmożonej ochrony prawnej” - tak pisało o tym procesie „Życie Warszawy”. Sąd Najwyższy przyznał jednak, że niektórzy chłopci poczynali sobie zbyt krewko. Utrzymał kary więzienia, ale zmniejszył je do symbolicznych, wszystkie z zawieszeniem. Przypadek ten opisała też „Trybuna Ludu” i wszystkie najpoczytniejsze dzienniki krajowe.

W grudniu 1966 roku znany dziennikarz Stanisław Grzelecki zareagował ostro w „Życiu Warszawy” na widowisko telewizyjne przedstawiające rozkosze polowania.

„Pojedziemy na łów, na łów, towarzyszu mój! Będziemy przebiegali pola i knieje wśród szczekania psów, grzmotów strzałów, w radosnym uniesieniu swobody i zabijania. A później przyjdzie owa nie mniej radosna chwila, kiedy płonie ognisko, cmokają kusząco korki wyciągane z butelek, a strzelcy z trzykrotnym wiwatem, zbrojni łyżkami, biegną i bodą naczynie, miedź grzmi, dym bucha, bigos jak kamfora ginie.”

„Kiedyś myślistwo było koniecznością: człowiek zabijał zwierzęta, aby zdobyć pożywienie i odzież; później stało się pańską rozrywką. Dziś jest już tylko procederem, choć wiele w nim pozostało z pańskiej rozrywki.”

„Myślistwo nie jest sportem, nie może nim być wobec braku czynnika współzawodnictwa (zwierzyna, rażona z odległości, jest przecież bezbronna). Sami myśliwi nie twierdzą nigdy, że uprawiają sport. Ale odzegnują się od procederu. Jeśli więc myślistwo nie jest sportem, nie jest procederem, nie jest - w naszych warunkach - pańską rozrywką, to czymże jest? Przypuszczam, że jest usankcjonowaną prawem i tradycją okazją do bezpiecznego i gospodarczo korzystnego dawania ujęcia tendencjom agresywnym, drzemającym w ludziach.”

Prowadziłem i ja bardzo szeroką kampanię prasową przeciwko myśliwym, w obronie sadowników. Publikowałem swoje artykuły nie tylko w prasie rolniczej i ogrodniczej, ale również w dziennikach, tygodnikach i miesięcznikach ogólnych. Pisałem listy i memoriały do Ministerstwa Rolnictwa i Wydziału Rolnictwa KC PZPR.



Wobec tego, że i w sadach zakładów terenowych Instytutu zajęce robiły szkody, wydałem wbrew obowiązującej ustawie polecenie dyrektorom tych zakładów, aby zabijali zajęce, które przedostały się do sadów, wszelkimi dostępnymi im sposobami. Oświadczyłem, że odpowiedzialność za wydanie takiego polecenia biorę na siebie.

W Brzeznej w listopadzie 1966 roku zajęce wpadły do sadu. Pracownicy przy pomocy psów zlikwidowali 5 zajęcy. Wdał się w to prokurator powiatowy z Nowego Sącza, prezes miejscowego koła myśliwskiego. Nie miał odwagi wystąpić przeciwko dyrektorowi Zakładu, ale polecił milicji wezwać na przesłuchanie 20 pracowników. Posunięto się nawet do przesłuchania ich dzieci, uczniów szkoły podstawowej. Sterroryzowani robotnicy powiedzieli, że już więcej nie będą w ten sposób bronić sadu przed zajęciami.

Napisałem wtedy do Trybuny Ludu artykuł pt. „Święta krowa w zajęczej skórcie”, który został w całości wydrukowany 15-go stycznia 1967 roku. Pisałem w nim:

„Ze zdumieniem czytaliśmy doniesienie agencyjne z ostatnich miesięcy z Indii, mówiące o krwawych rozruchach z powodu rzekomego zagrożenia świętych krów. Ale i my w Polsce mamy święte krowy i małą, ale potężną grupę fanatycznych ich obrońców. Świętą krową w Polsce jest zajęca, którego bronią szkodliwe dla gospodarki narodowej prawa narzucone przez samolubną grupę myśliwych, pilnie strzegących swych klanowych interesów.”

Opisałem w artykule, jak to Ministerstwo Leśnictwa nie pozwoliło nam na odstrzał zajęcy w ogrodzonym sadzie w Dąbrowicach, ale polecało częściowe rozgrodzenie sadu i wypędzenie ich „na białej stopie”. Opisałem poczynania nowosądeckiego prokuratora dochodzące aż do działalności szkolnej. Wyraziłem żal i zdumienie wobec faktów, że na wszelkie wystąpienia do władz administracyjnych i politycznych odpowiada mi kpina myśliwych, a milczenie adresatów. Zakończyłem stwierdzeniem, że „Najwyższy czas przystąpić do nowelizacji ustawy o zwierzynie łownej.” Koliduje ona z interesem gospodarki narodowej, z poczuciem sprawiedliwości społecznej i powinna być jak najszybciej zmieniona.

Artykuł wywołał prawdziwą burzę, ponieważ ukazał się w oficjalnym organie Partii. Redakcja „Trybuny Ludu” pisała 5-go lutego, że dostała na ten temat „stos listów”. Jeden z czytelników, Marian M., napisał, że „Profesor Pieniążek gwałci ustawę sejmową”. Ogromna większość listów poparła jednak moje stanowisko.

Nie mógł dalej zachować milczenia Mieczysław Jagielski, Minister Rolnictwa, sam oczywiście - namiętny myśliwy. Zwołał konferencję, na której znalazłem się oko w oko z przywództwem myśliwych. Wzięli też udział w konferencji przedstawiciele Ministerstwa Rolnictwa, Ministerstwa Leśnictwa, Komisji Planowania przy Radzie Ministrów, Generalnej Prokuratury, Centralnego Związku Kółek Rolniczych, Centrali Spółdzielni Ogrodniczych i Państwowej Rady Ochrony Przyrody.

Myśliwi zrezygnowali z tonu kpiącej wyższości i bezkarności, bo ogólnokrajowa dyskusja prasowa obróciła się wyraźnie przeciwko nim. Popierano powszechnie moje stanowisko w sprawie zajęcy. Poza tym wybitni dziennikarze, pisarze i humaniści atakowali ostro myśliwych za ich feudalne obrządki, za niehumanitarne podejście do swojego procederu.

W tej sytuacji myśliwi już się bardzo nie upierali. Nawet przedstawiciel Prokuratury Generalnej potępił działalność nowosądeckiego prokuratora, który - jego zdaniem, powinien pamiętać, że pracownicy Brzeznej postąpili słusznie broniąc mienia przed zniszczeniem, chociaż nominalnie przekroczyli prawo. Uchwalono, że zostanie wydane wspólne rozporządzenie Ministra Rolnictwa i Leśnictwa zezwalające na odstrzał zajęcy w ogrodzonych sadach przez cały rok. W rejonach sadowniczych, gdzie jest wiele sadów nieogrodzonych, zabroniono zakładania hodowli

zajęcy, zalecano polowania co roku, a nie co dwa lata, zezwalając na polowanie w kotłach, aby zmniejszyć tam populację szaraków.

Tak więc batalia o zajęce została wygrana, nie w pełni wszakże, ale wygrana. Sadownicy nie zyskali prawa niszczenia zajęcy we wszelki możliwy sposób w sadach ogrodzonych. Można je tylko likwidować przez odstrzał. Najważniejsze było jednak moralne zwycięstwo nad myśliwymi. W praktyce wielu sadowników nie czeka, aż myśliwi przyjdą i dokonają odstrzału. Likwidują w sadach osiatkowanych zajęce przy pomocy psów czy w inny dostępny sposób. Nie słyszałem, aby jakiś prokurator pociągał ich za to do odpowiedzialności.

Na początku kampanii, gdy myśliwi nie spodziewali się przegranej, umieścili w piśmie „Łowiec Polski” wierszyk pełen pewności siebie.

Siedziałem spokojnie  
I byle co jadłem,  
Raz drzewko ogryzłem  
i zaraz podpadłem.

Wnet temat zajęczy  
Poruszył Profesor,  
Choć ściśle rzecz biorąc  
Nie jego to resort.

Po owych wywodach  
Padł na nas strach blady  
Bo stwierdził Profesor  
Że my - albo sady.

A w ostatniej strofke:

I zajęc je zjada  
Dla sadów bez szkody  
A gdy chcą go skrzywdzić -  
Zwieje - bo ma chody.

Nie pomogły jednak „chody” wobec zmobilizowanej opinii społecznej. Jan Sztaudyngier, autor znanych fraszek, napisał też fraszkę o szaraku.

Zając przejrzał się w strudze  
I rzekł: - Daję słowo,  
Nie jestem już szarakiem,  
Ale „świętą krową”.

Batalia o zajęce zmobilizowała sadowników i zwarła ich szeregi wokół Instytutu. Popie-rali moje wystąpienia na zebraniach, pisali listy do Ministerstwa, do prasy. Zwycięstwo w zaję-czej sprawie podniosło w oczach sadowników prestiż Instytutu. Zyskali jeszcze jeden dowód, że Instytut nie waha się wystąpić w ich obronie w walce nawet przeciwko potężnemu i ustosunkowanemu przeciwnikowi.

Wraz ze wzrostem zamożności dobrych sadowników zaczęło się w kraju pojawiać coraz więcej niskopiennych, intensywnych sadów. Takie sady w większości przypadków grodzono siatką, co oczywiście zapewniało im podstawową ochronę przed zającami. To prawda, że i w latach późniejszych nawet w sadach ogrodzonych zdarzały się tu i ówdzie duże szkody spowodowane przez zające. Były to jednak najczęściej skutki niedbalstwa i bez troski. Sadownik, który naprawdę dbał o swój sad, potrafił go przed takimi stratami zabezpieczyć.

## Grono najbliższych współpracowników

Produkcja owoców z przeciętnej rocznej 350.000 ton w latach 1946-1950 wzrosła do 1.220.000 ton w latach 1966-1970, a więc wzrost przeszło trzykrotny. Świadczyło to o tym, że sadownictwo polskie, mimo wielu niesprzyjających warunków, rozwijało się dobrze. Zawdzięczaliśmy to w głównej mierze wielkiemu zrywowi całego społeczeństwa, które chciało odbudować kraj po klęsce wojennej. Sadownicy stanęli do tej pracy w pierwszych szeregach. Nie działali po omacku, ponieważ mogli się już oprzeć na twardym fundamencie nauki sadowniczej, której ośrodek powstał w Skierniewicach, najpierw w Zakładzie Sadownictwa SGGW, potem w Instytucie Sadownictwa.

Przed wojną działał Polski Związek Ogrodniczy, niezależna spółdzielczość i inne organizacje. Po wojnie Polski Związek Ogrodniczy został rozwiązany, a samodzielność spółdzielczości ogrodniczej mocno ograniczona. W tej sytuacji sadownicy, pozbawieni swej społecznej reprezentacji, garnęli się coraz bardziej do Skierniewic oczekując od nas pomocy nie tylko fachowej. Mieli nadzieję, że będziemy bronić całości ich interesów.

Miałem szczęście, że wracając z Ameryki zastałem w Zakładzie Sadownictwa SGGW dwoje wspaniałych ludzi, a mianowicie Aleksandra Rejmana i Marię Unruh. Rejman urodził się w 1914 roku w Czarnej koło Łańcuta. Był asystentem prof. Gorjaczkowskiego. Szybko doktoryzował się pod moim kierunkiem. W pierwszych latach pracował zarówno w SGGW jak i w Instytucie Sadownictwa, potem objął Katedrę Sadownictwa SGGW, a ja zostałem w Instytucie. Miał wyjątkowy talent do wykładów i wychowywania młodych ludzi, którzy go uwielbiali. Zajmował się hodowlą nowych odmian. Wyhodował cenne odmiany jabłoni (Alwa, Witos), moreli i brzoskwiń.

Maria Unruh, wywodząca się z holenderskich mennonitów, miała szczególne zdolności do upowszechniania wiedzy. Jako temat swojej pracy doktorskiej wzięła metody upowszechniania wiedzy sadowniczej. Z SGGW przeniosła się z czasem do Instytutu Sadownictwa i pracowała w nim do przejścia na emeryturę.

Sadownicy wiedzieli dobrze, że Instytut utrzymuje ścisłe kontakty naukowe z całym światem. Wiedzieli, że poglądy na rozwój produkcji owoców, które głosiliśmy, odzwierciedlają najbardziej nowoczesne nurty światowego sadownictwa. Dlatego ufali nam bez wahań. Wiedzieli, że jeśli pracownik Instytutu poda im jakąś radę, to do rady tej opłaci się stosować. Zdarzało się często, że służba rolna nawoływała do działań i zabiegów w imię celów politycznych nie zawsze zbieżnych z dobrem rolnika. Sadownicy byli pewni, że takich rad nie udzielają im pracownicy Instytutu.

Prof. R. Manteuffel, ekonomista z SGGW, opisał kiedyś w „Życiu Warszawy” taką historię. Oto jeden z pracowników Instytutu Sadownictwa (Borecki) jechał swoim samochodem na zebranie sadownicze do Grójca, na którym miał wygłosić referat o godz. 16-tej. Samochód popsuł się w drodze. Reperacja zajęła 3 godziny czasu. Dobrnął do Grójca na godz. 19-tą, aby przeprosić organizatorów, był bowiem pewien, że sadownicy rozeszli się do domów. Tymczasem sala była nabita, wszyscy czekali. Przypadek ten, podany przez osobę postronną, dobrze ilustruje zaufanie, jakim sadownicy obdarzali Instytut. Nie trzeba ich było przekonywać do nowych zabiegów. Zdarzało się, że zaczynali je stosować już wtedy, gdy my nie byliśmy jeszcze ich pewni.

Największą korzyścią, jaką przynosił polskiemu sadownictwu Instytut, było kształcenie młodych pracowników naukowych, którzy wyrastali na wybitnych specjalistów w swoich dzie-

dzinach. Instytut rozpoczął swoją działalność w 1951 roku z kilkunastoma młodymi ludźmi tuż po studiach. Żaden z nich nie miał nawet doktoratu. W 1970 roku mieliśmy już w Instytucie w Skierniewicach 129 pracowników naukowych, w tym 6 profesorów, 9 docentów (doktorów habilitowanych), 35 doktorów i 79 magistrów. W zakładach terenowych Instytutu pracowało 72 pracowników naukowych, w tym trzech ze stopniem doktora, a reszta ze stopniem magistra lub inżyniera. Łącznie Instytut zatrudniał 201 pracowników naukowych.

Wśród tej wielkiej rzeszy byli oczywiście młodszy i starsi, bardziej lub mniej wybitni. Poza prof. Rejmanem i dr Unruh wymienię jeszcze trzynastu sadowników, czworo pszczelarzy i dwóch kwiciarzy, którzy odegrali największą rolę w Instytucie i zyskali sobie zasłużone uznanie producentów sadowników, pszczelarzy i kwiciarzy.

Zygmunt Soczek był jednym z moich pierwszych studentów w SGGW. Urodził się w 1924 roku w Piotrkowie Trybunalskim. Brał udział w akcjach AK. Wierzący i praktykujący katolik. Miał duży dar wykładowcy i pisarza - popularyzatora. W 1947 roku wysłałem go na rok na farmerską praktykę do USA, a w 1959 roku na roczny staż naukowy do Rutgers University w New Brunswick, N.J., USA. Specjalizował się w agrotechnice sadowniczej, zwłaszcza w fizjologii owocowania. W 1970 roku był już docentem, kierował Zakładem Agrotechniki. W 1972 roku został na mój wniosek mianowany Sekretarzem Naukowym Instytutu. W okresie „Solidarności” w różnych głosowaniach uzyskiwał bardzo duże ilości głosów. Świadczyło to o tym, że cieszył się powszechnym szacunkiem i poważaniem wśród kolegów. Zasługiwał na to, bo był to człowiek prawy, prostolinijny.

Zbigniew Borecki, urodzony w Warszawie w 1929 roku był również jednym z moich najstarszych studentów w SGGW. Jeszcze jako studenta w Katedrze Fitopatologii, zatrudniłem go w upowszechnianiu wiedzy rolniczej na jednym z etatów przydzielonych przez Makarewiczową. Przez pierwsze lata po skończeniu studiów pracował w SGGW, a w 1955 roku przeniósł się do Instytutu Sadownictwa. Powierzyłem mu kierownictwo Pracowni Fitopatologii Sadowniczej, które sprawował do 1973 roku. Szybko zdobywał stopnie naukowe, w 1970 roku był już profesorem nadzwyczajnym.

Prof. Boreckiego bez wahania zaliczam do najwybitniejszych polskich uczonych. Jego badania nad parchem jabłoniowym należą do najlepszych w świecie. Prof. Borecki był nie tylko wybitnym badaczem, ale niezwykle utalentowanym wykładowcą, organizatorem zespołów naukowych i popularyzatorem wiedzy. Sadownicy uwielbiali go. Stał się dla nich wyrocznią w sprawach ochrony sadów. To o jego spóźnieniu się na wykład w Grójcu, z powodu zepsucia się samochodu, pisał prof. Manteuffel w „Życiu Warszawy”. W późniejszych latach 70-tych odszedł do pracy w SGGW, gdzie miał większe pole do działania w dydaktyce.

Wybitnym moim współpracownikiem w latach 1951-1968 był Ryszard Łęski. Pochodził z kieleckiego. Urodził się w 1925 roku w Zagnańsku, był moim studentem w SGGW. Człowiek bardzo zdolny, bardzo dobry badacz, chociaż nieco chaotyczny, doskonały organizator i popularyzator, dusza towarzystwa, śpiewak i tancerz, radykał społeczny. Przyszedł do pracy w Instytucie już w 1952 roku. Powierzyłem mu kierownictwo Zakładu Ochrony Sadów. Pracował nad zwalczaniem szkodników. Był moim ulubieńcem, najbardziej ze wszystkich faworyzowanym. W 1958 roku wyjednałem dla niego stypendium Fundacji Rockefellera na roczny staż naukowy do USA. Odszedł z Instytutu w 1968 roku.

Stanisław Zagaja urodził się w 1925 roku w woj. tarnowskim. Ukończył rolnictwo ze specjalizacją sadowniczą na Uniwersytecie Jagiellońskim, po czym poszedł do pracy w Zakładzie Dendrologii w Kórniku. W 1953 roku przeniósł się do Instytutu Sadownictwa. Powierzyłem

mu stanowisko dyrektora naszego Zakładu Doświadczalnego w Świerkłańcu. W 1957 roku mój dawny przyjaciel z Cornell University, a wtedy już wybitny hodowca nowych odmian w Rutgers University, New Brunswick, NJ, USA, dr L.F. Hough przyjął Zagaję na roczny staż. Staż został przedłużony do 3 lat i zakończył się doktoratem. Zagaja wrócił do Skierniewic. Powierzyłem mu kierownictwo Zakładu Hodowli, Szkółkarstwa i Odmianoznawstwa.

W 1965 roku prof. Zagaja wyjechał do Turcji za pośrednictwem FAO, gdzie zaczął pracować w Izmirze w Międzynarodowym Instytucie Badania Zasobów Rolniczych Bliskiego Wschodu w dziale sadowniczym. Dyrektorem Instytutu był prof. Kuckuck z Hannoveru, RFN. W rok później prof. Kuckuck przeszedł na emeryturę, a wtedy dyrektorem Instytutu mianowano prof. Zagaję. Świadczy to o międzynarodowym uznaniu, na które sobie zasłużył.

Po dwu i półletnim pobycie w Turcji prof. Zagaja wrócił do Skierniewic. Od 1970 roku był zastępcą dyrektora Instytutu do spraw naukowych, moim najbliższym współpracownikiem. Zdobył sobie duży autorytet zarówno w świecie naukowym jak i wśród sadowników, ponieważ doskonale znał praktykę sadowniczą. Wyhodował serię karłowych, odpornych na mróz podkładek pod jabłonie. Po moim przejściu na emeryturę prof. Zagaja został dyrektorem Instytutu do końca 1990 roku, kiedy sam z kolei przeszedł na emeryturę.

Leszek Jankiewicz urodził się w 1925 roku w Piotrkowie Trybunalskim. Ukończył Uniwersytet Poznański ze specjalizacją w sadownictwie. Po krótkiej pracy w Zakładzie Dendrologii w Kórniku przyszedł do pracy w Instytucie Sadownictwa. Powierzyłem mu kierownictwo Zakładu Fizjologii Roślin Sadowniczych. W 1958 roku wyjednałem mu stypendium Fundacji Rockefellera na roczny staż naukowy w Cornell University, Ithaca, N.Y., USA. Szybko awansował, w 1970 roku był już profesorem nadzwyczajnym. Dał się poznać zwłaszcza w pracach badawczych nad substancjami wzrostowymi w drzewach owocowych oraz ich rolą we wzroście, rozwoju i owocowaniu. W 1974 roku przeszedł do Instytutu Warzywnictwa na stanowisko kierownika Zakładu Biologii Warzyw. Była to pomoc dla Instytutu Warzywnictwa, którego dyrektorem został właśnie mianowany prof. Gertych. Instytut Warzywnictwa miał znacznie mniej wybitnych naukowców, dlatego o tę pomoc prosił.

Zbigniew Suski urodził się w Warszawie w 1931 roku. Poznałem go jako studenta Wydziału Ogrodniczego SGGW. Specjalizował się w entomologii. W 1960 roku wysłałem go na roczny staż naukowy do Cornell University. Staż przeciągnął się do trzech lat i został uwieńczony doktoratem. Po powrocie powierzyłem Suskiemu kierownictwo Pracowni Entomologii, a po odejściu Łęskiego w 1969 roku całości Zakładu Ochrony Sadów.

Wspomniałem już Władysława Kłossowskiego. To ten, który przesiedział rok w więzieniu w czasach stalinowskich, ponieważ wziął na siebie „winę” matki, która ukryła w doniczce kwiatowej złote monety. Po wyjściu z więzienia został wyrzucony z SGGW. Przyjąłem go do pracy w 1953 roku, zdobyłem dla niego dodatkowe pieniądze z Funduszu Popierania Twórczości Naukowej i Artystycznej. W Instytucie zdobył stopień doktora i doktora habilitowanego, potem tytuł profesora nadzwyczajnego.

Kłossowski urodzony w 1919 roku był z wykształcenia rolnikiem, specjalizował się w nawożeniu. Pełnił w Instytucie funkcję kierownika Pracowni Uprawy i Nawożenia w Zakładzie Agrotechniki Sadowniczej. Położył ogromne zasługi w badaniach nad stanem odżywiania mineralnego roślin sadowniczych w Polsce. Miałem z nim trochę kłopotów, bo był bardzo nerwowy i popadał w konflikty, ale to wcale nie zmniejszyło jego ogromnych zasług. Ze względu na rodzin-

nych odszedł w 1975 roku z naszego Instytutu i przeszedł do Zakładu Doświadczalnego Instytutu Warzywnictwa w Regulach pod Warszawą, gdzie mieszkała jego matka.

Zdzisław Cianciara urodził się pod Częstochową w 1927 roku. Skończył Wydział Ogrodniczy SGGW, a do pracy w Instytucie przyszedł w 1956 roku. Przez pewien czas kierował Zakładem Doświadczalnym naszego Instytutu w Dworku. Stamtąd posłałem go w 1969 roku na roczny staż praktyczny do sadów amerykańskich. Po powrocie przeszedł do Skierniewic i zajął się mechanizacją sadownictwa. Powierzyłem mu kierownictwo Zakładu Mechanizacji Sadownictwa. Zdziałał na tym polu bardzo wiele. Doprowadził do powstania przy Instytucie Zakładu Mechanizacji Ogrodnictwa mającego do dyspozycji małą fabryczkę zatrudniającą stu potem nawet dwustu pracowników. Zakład wyprodukował wiele maszyn, narzędzi i urządzeń niezmiernie dla sadownictwa przydatnych, jak podnośnik widłowy do sadów, sekatory z przedłużoną rękojeścią, belki do opryskiwacza roślin jagodowych, a w końcowych latach 70-tych kombajn do zbioru porzeczek.

Cianciara był tak zajęty bieżącą pracą, że nie miał wiele czasu na zdobywanie stopni naukowych. Dopiero w latach 80-tych habilitował się, następnie doszedł do tytułu profesora. Jego zrozumienie praktycznego sadownictwa było zupełnie wyjątkowe. Sadownicy po prostu nosili go na rękach. W Instytucie cieszył się wyjątkowym szacunkiem dla prawości charakteru, ogromnej pracowitości i oddania się bez reszty pracy dla dobra Instytutu i dobra polskiego sadownictwa. W końcowych latach 80-tych, już jako zastępca dyrektora Instytutu, musiał niestety ze względu na zły stan zdrowia przejść na emeryturę.

Kazimierz Smolarz, urodzony w 1927 roku na podlubelskiej wsi, studiował ogrodnictwo najpierw w Państwowej Szkole Ogrodniczej w Poznaniu, potem na Wydziale Ogrodniczym w SGGW. Do Instytutu przyszedł w 1960 roku. Mianowałem go kierownikiem Zakładu Roślin Jagodowych. Na półroczny staż naukowy posłałem go najpierw do Szwecji, a na trzymiesięczne staże do Anglii i do USA. Z biegiem lat wyrósł Smolarz na wybitnego znawcę uprawy roślin jagodowych. Miał wyjątkowy zmysł spostrzegawczy, zmysł praktyczny. Praca tak go porywała, że nie mogłem go namówić do habilitacji. Ale to wszystko nic wobec niezaprzeczalnych zasług, jakie położył nad rozbudową produkcji owoców jagodowych w Polsce, wobec przywiązania do Instytutu i pełnej poświęcenia pracy dla polskiego sadownictwa.

Kazimierz Szczepański urodził się w 1918 roku, ukończył Wydział Rolny SGGW. W czasie wojny brał udział w partyzancie. Nabawił się wtedy gruźlicy. Leczone go po wojnie zbyt wysokimi dawkami streptomycyny, co z czasem spowodowało odklejenie się siatkówki w obu oczach. Pracował w SGGW jako asystent w katedrze Statystyki Matematycznej, ale stopniowo zaczął tracić wzrok. Przyjąłem go do Instytutu dla zorganizowania Pracowni Metodyki Doświadczalnictwa Sadowniczego. Odklejenie siatkówki doprowadziło wkrótce do zupełnej utraty wzroku. Nauczył się jednak biegłego pisania na maszynie wszystkimi palcami. Zatrudniłem dla niego laborantkę-lektorę, która czytała literaturę, potem zdolnego asystenta. Szybko wyrobił sobie niesamowitą pamięć. Pamiętam jego doktorat. Na tablicy miał długie szeregi cyfr. Stojąc do niej tyłem recytował je tak, jakby je czytał.

Całe szczęście, że zajmował się statystyką matematyczną, nie musiał prowadzić analiz chemicznych, ani doświadczeń polowych. Zdobył więc doktorat, habilitował się, doszedł do tytułu profesora nadzwyczajnego i zwyczajnego. Stał się autorytetem w metodyce doświadczeń sadowniczych. W 1988 roku przeszedł na emeryturę.

Edward Lange (ur. w 1929 roku) zwrócił na siebie moją uwagę wybitnymi zdolnościami jako student Wydziału Ogrodniczego SGGW. Jeszcze przed zakończeniem studiów wysłałem go

w 1957 roku na roczną praktykę do USA w pierwszej grupie ogrodniczej w ramach wznowionej po 10-cioletniej przerwie współpracy z Kościołem Braci. Pracował tam na farmie. Po powrocie zatrudniłem go w Instytucie w organizującej się Pracowni Przechowalnictwa Owoców, której w niedługim czasie został kierownikiem. W latach późniejszych pojechał na pół roku do Anglii do Laboratorium chłodnictwa owoców, które wkrótce weszło w skład Sadowniczej Stacji Doświadczalnej w East Malling.

Po powrocie zdobył doktorat, z czasem habilitował się. Już po moim przejściu na emeryturę prof. Zagaja posłał go na rok do Laboratorium Chłodnictwa Owoców na Uniwersytecie Stanu Michigan w East Lansing, Michigan. Edward Lange położył ogromne zasługi w rozbudowie chłodnictwa jabłek w Polsce, w tym chłodni kontrolnych atmosfer. Po przejściu na emeryturę prof. Zagaji, doc. Lange został w 1991 roku dyrektorem Instytutu.

Augustyn Mika (ur. 1935 roku na Podkarpaciu). Po skończeniu Wydziału Ogrodniczego SGGW zaczął pracować w Instytucie w Skierniewicach w Zakładzie Agrotechniki. Wysłałem go na dwa lata na staż do Anglii, do East Malling. Pracował tam nad cięciem i formowaniem drzew owocowych.

Zachował swe zainteresowanie po powrocie. Wyrósł na wybitnego specjalistę w swojej dziedzinie. Współpracował w terenie z najlepszymi sadownikami. W ich sadach zakładał wiele swoich doświadczeń, dostosowując metody formowania i cięcia do różnych odmian uszlachetnianych na różnych podkładkach, zwłaszcza podkładkach skarłających. Stał się w tych sprawach wyrocznią dla najlepszych sadowników praktyków. W 1981 roku powierzyłem mu kierownictwo Zakładu Agrotechniki. Bardzo wiele i dobrze pisał w popularnej prasie ogrodniczej. Napisał też książkę o cięciu i formowaniu drzew owocowych, która została przetłumaczona i wydana w języku litewskim.

Alojzy Czynczyk, ur. w 1933 roku przyszedł do Instytutu po ukończeniu studiów w SGGW. Wysłałem go na dwa lata do Anglii, do East Malling. Pracował tam nad szkółkarstwem. Pozostał przy tej specjalności po powrocie do Skierniewic, z czasem został kierownikiem Zakładu Szkółkarstwa i Oceny Odmian. Miał wybitny zmysł praktyczny dzięki czemu zyskał wśród szkółkarzy i sadowników w terenie duży autorytet.

Wymieniłem tylko 15 najstarszych i najbliższych mi współpracowników z Instytutu, a przecież takich, którzy na to zasługiwali, było dużo więcej. Niektórych wspomnę tylko z nazwiska, a więc Edmund Niemczyk - biologiczne metody walki ze szkodnikami, Barbara Zawadzka - wirusologia sadownicza, Jan Cimanowski, Anna Bielenin, Halina Nowacka - fitopatologia, Piotr Sobiczewski - bakteriologia, Edward Żurawicz - hodowla odmian truskawek, Stefan Rejman - metodologia doświadczeń sadowniczego, Piotr Zaprzalek - ekonomika, Maria Grochowska - fizjologia roślin, Andrzej Holewiński - upowszechnianie wiedzy. Wszyscy pracowali w Skierniewicach. Skierniewice jednak to przecież nie cały Instytut. Mieliśmy zakłady terenowe, które odgrywały ważną rolę w upowszechnianiu wiedzy sadowniczej. Właśnie w naszych zakładach terenowych wprowadzaliśmy nowe zabiegi, nowe odmiany. Sadownicy oglądali je, poznawali ich wartość i wprowadzali w swoich sadach.

Jeśli chodzi o zakłady terenowe Instytutu, to żaden z nich nie spełnił swojej roli tak dobrze, jak Sinołęka, a było to zasługą jej dyrektora Stanisława Macieja Cegłowskiego. Urodził się Cegłowski w Warszawie w 1913 roku. Skończył przed wojną średnią szkołę ogrodniczą i zaczął pracować w woj. warszawskim jako instruktor ogrodnictwa. Losy wojny rzuciły go na Litwę, gdzie administrował dużymi gospodarstwami rolnymi. Gdy skończyła się wojna, wrócił do War-



szawy. Już w 1945 roku SGGW, której oddano Sinołękę, powierzyła mu administrację tego majątku. Jako kierownik Katedry Sadownictwa SGGW miałem naukową pieczę nad Sinołęką. Założyłem tam pierwsze doświadczenia w 1947 roku. W 1951 r. Sinołęka została przekazana Instytutowi Sadownictwa.

Już z pierwszej rozmowy wiosną 1946 roku zorientowałem się, że Cegłowski jest człowiekiem niezwykle utalentowanym. Nie miał wyższego wykształcenia, ale swoją wiedzą i horyzontami myślowymi przewyższał wielu inżynierów i magistrów. W latach 50-tych działała ustawa, na podstawie której można było nadać wybitnym praktykom po zdaniu przez nich egzaminu, dyplomy inżynierskie. Taki właśnie dyplom otrzymał z moich rąk i na podstawie zdanego u mnie egzaminu Cegłowski.

Kierował Cegłowski Sinołęką do czasu przejścia na emeryturę w 1989 roku. Wszystko, czego się dotknął, przynosiło wspaniałe rezultaty. Gdy zajął się hodowlą świni Gołębskiej, jego chlewnia zdobyła pierwsze miejsce w kraju. Gdy wziął się za chów bydła mlecznego, obora sinołęcka zyskała pierwsze miejsce w woj. warszawskim, drugie w Polsce.

Ale Cegłowski był przede wszystkim sadownikiem. Był to ideał ogniwa pośredniego między nauką i praktyką. Nowe osiągnięcia nauki sadowniczej natychmiast stosował na dużych przestrzeniach sinołęckiego sadu, skąd przejmowali je sadownicy praktycy. Pokierował krajową akcją przeszczepiania odmian starych na nowe i dostarczył do tych przeszczepień setki tysięcy zrazów. Pierwszy wprowadził na kilkudziesięciu hektarach murawę w sadzie, przerzedzanie chemiczne zawiązków jabłoni, nowy sposób obniżania koron starych drzew jabłoni nazwany systemem Cegłowskiego. Na dużą skalę pierwszy zaczął przeprowadzać ręczne przerzedzanie zawiązków, zbiór jabłek do blaszanych zbieraczy amerykańskich. Pierwszy zapoczątkował akcję przebudowy starych budynków gospodarczych na przechowalnie i chłodnie, zorganizował eksport jabłek do ZSRR i na zachód Europy, rozwinął produkcję owoców jagodowych. To są główne, ale nie jedyne jego osiągnięcia.

Powiedziałem mu w 1957 roku, że mam zamiar wysłać do Ameryki na roczny staż kilku młodych pracowników Instytutu. „A mnie Pan Profesor nie wyśle?” Prawdę mówiąc - nie miałem tego zamiaru, bo przecież mnie chodziło o młodych ludzi. Cegłowski miał już 44 lata i był dyrektorem dużego zakładu doświadczalnego. Ale z miejsca podchwyciłem jego chęć. Pojechał w pierwszej pionierskiej grupie. Odbył staż w Wenatchee, w stanie Waszyngton nad Pacyfikiem, w słynnych szkółkach i sadach Van Well'a. Opanował język, poznał dogłębnie sadownictwo amerykańskie. Van Well mówił mi potem wiele razy, że pewnie sam się od Stanleya (Stanisława) więcej nauczył, niż ten od niego.

Staż amerykański otworzył oczy Cegłowskiego na główne nurty nowoczesnego światowego sadownictwa. W późniejszych podróżach do państw zachodniej Europy jego naukowy światopogląd sadowniczy podlegał coraz to głębszemu ugruntowaniu. Nic dziwnego, że Cegłowski zasłynął też jako popularyzator nie tylko w mowie, ale i w piśmie. Poza licznymi artykułami w prasie ogrodniczej napisał kilka bardzo cennych książek.

Do Sinołęki jeździłem często i przyznam, że zawsze z takiej podróży wiele pożytecznego wynosiłem. Wiele się u Maćka, bo tak go zwaliśmy, nauczyłem. Każdą swoją myśl najpierw z nim dyskutowałem, zanim ją w czyn wprowadziłem.

Człowiekiem, który mógł rywalizować z Cegłowskim na polu upowszechniania nauki sadowniczej wśród sadowników, był Zbigniew Gertych. Urodził się w 1922 roku w Poznaniu. Studia rolnicze ze specjalizacją w sadownictwie ukończył na Uniwersytecie Jagiellońskim, po czym podjął pracę w Zakładzie Dendrologii w Kórniku. Do Instytutu Sadownictwa przyszedł w

1953 roku. Organizowałem wtedy Zakład Doświadczalny w Brzeznej koło Nowego Sącza. Kierownictwo zakładu powierzyłem Gertychowi.

Mój wybór był trafny. Gertych okazał się człowiekiem niezwykle uzdolnionym. Bardzo inteligentny i szybki, w lot chwycił każdą, nawet trudną i nową dla niego myśl. Posiadał wyjątkowy talent zjednywania sobie ludzi. Ujmował ich z miejsca sposobem bycia, niezwykle uprzejmością, gotowością do świadczenia usług i niesienia pomocy, zasypywaniem komplementami.

Ten sposób bycia, połączony z łatwością przekonywania, sprawiły, że w pracy organizacyjnej szedł od sukcesu do sukcesu. Mógł pracować dzień i noc. Już w pierwszych miesiącach zjednał sobie nowosądeckich sadowników, bo gotów był pieszko, w deszcz, śnieg i mróz, docierać do zapadłych wiosek i pomagać im swoją radą i pomocą. Nie tylko zresztą w sprawach zawodowych. Gotów był załatwiać im sprawy z sadownictwem nie związane, w których trzeba było interweniować u wysokich urzędników w powiecie i województwie. A tych urzędników wszystkich znał, był z nimi na „Ty”. Sadownictwo nowosądeckie pod przewodnictwem takiego człowieka zaczęło się bardzo szybko rozwijać.

Nie ograniczał Gertych swojej działalności do sadownictwa. Był jednym z głównych organizatorów tak zwanego Eksperymentu Nowosądeckiego, polegającego na lokalnej decentralizacji, na wyzwoleniu inicjatywy, na większej roli samorządu.

Gdy przyszedł do władzy Gomułka, pierwsze wybory do Sejmu zarządził w marcu 1957 roku. W okręgu nowosądeckim było pięciu kandydatów na posłów, ale tylko trzech miało być wybranych. Gomułka zaapelował do narodu, aby głosowano bez skreśleń, to znaczy wrzucano czyste kartki. Jeśli wrzucono taką kartkę bez skreśleń, znaczyło to, że przechodziło trzech pierwszych kandydatów.

Tak stało się wszędzie, z wyjątkiem Nowego Sącza, bo tam na trzecim miejscu był niejaki Antoniszczak, a na czwartym Gertych. Antoniszczak nie cieszył się miem wśród wyborców. Gertych też był członkiem Partii, ale chłopci chcieli jego. Ułożyli nawet wierszyk:

Jeśli chcesz stracić ostatniego prosiaka  
Głosuj na Antoniszczaka.

Tyłu głosujących skreśliło Antoniszczaka, że nie uzyskał większości głosów. Gertych w tym głosowaniu też większości nie uzyskał. Wybrano tylko dwóch posłów zamiast trzech, a wybory na tego trzeciego trzeba było powtórzyć. Sprawa nabrała rozgłosu na cały kraj, bo Nowy Sącz był jedynym okręgiem, gdzie powtarzano wybory, gdzie nie usłuchano Gomułki. Żartowano, że w następnych wyborach stał się w Nowym Sączu autorytet Gomułki z autorytetem Instytutu Sadownictwa. Powtórzono wybory dla rozstrzygnięcia między Gertychem a Antoniszczakiem. Przegrał Antoniszczak a posłem, dużą większością głosów, został wybrany Gertych.

Po wyborach rozwinął jeszcze szerszą działalność. Zaczął jednak odchodzić od nowosądeckiego sadownictwa. Zachowując kierownictwo Brzeznej przeniósł się z mieszkaniem do Nowego Sącza. Samą Brzeznią bardzo rozbudował. Wystawił tam piękny budynek laboratoryjny. Na terenie Zakładu powstała nowoczesna siedmioklasowa szkoła. Gertych został wybrany posłem na Sejm także i na drugą kadencję. W międzyczasie doktoryzował się i habilitował, z czasem otrzymał tytuł profesora nadzwyczajnego i zwyczajnego.

W 1963 roku Zbigniew Gertych zrezygnował z pracy w Brzeznej. Przeprowadził się do Warszawy, został zastępcą Sekretarza Wydziału Nauk Rolniczych i Leśnych PAN. Od sadownic-

twą odszedł. Przez kilka lat był dyrektorem Instytutu Warzywnictwa w Skierniewicach. Został wtedy wybrany członkiem korespondentem PAN. Przez dwie kadencje był Sekretarzem Wydziału Nauk Rolniczych i Leśnych. Z nauki przeszedł całkowicie do polityki. Był znowu posłem na Sejm przez dwie kadencje, wicemarszałkiem Sejmu, wiceprezesem Rady Ministrów, potem do 1990 r. Ambasadorem Polski w Anglii.

Na końcu wymienię jeszcze jednego z moich najbliższych współpracowników spoza Skierniewic. Jest to Eberhard Makosz, urodzony w 1932 roku w Liczynie koło Opola. Na studia wyższe jako syn „kułaka” nie został przyjęty. Przyszedł do pracy w Instytucie, najpierw w Świerklańcu, potem przenieśliśmy go do Dąbrowic koło Skierniewic. Zwrócił na siebie moją uwagę swoją pracowitością, sumiennością i gospodarnością. Doskonale kierował Brzezną. Odszedł potem do kierowania komórką zajmującą się głównie upowszechnianiem zdobyczy nauk sadowniczych, stworzoną dla niego w Nowym Sączu przez Centralę Spółdzielni Ogrodniczych. Rozwinął wspaniałą działalność w drugiej połowie lat 80-tych. Każdy polski obywatel mógł wtedy dostać paszport zagraniczny i na zagraniczną podróż nie potrzebował ubiegać się o żadne zezwolenie. Makosz zaczął wtedy organizować grupowe i indywidualne wyjazdy prywatnych właścicieli sadowników i ich synów, najczęściej na 7-10 dni, czasem na kilka miesięcy, do Holandii, RFN i włoskiego Tyrolu, do najlepszych rejonów sadowniczych.

Ja nie mogłem wysyłać prywatnych sadowników w ramach wymiany z Kościołem Braci do Ameryki, ani w inny sposób do zachodniej Europy, bo nie pozwalały na to wtedy władze państwowe. Makosz zapraszał też wybitnych sadowników z zachodniej Europy na wykłady do sadowników prywatnych. Była to rzeczywiście wspaniała akcja.

Prof. Adam Szczygieł był bezwzględnie jednym z najwybitniejszych pracowników Instytutu. Po ukończeniu Akademii Rolniczej w Poznaniu przyszedł do pracy w Zakładzie Instytutu w Brzeźnie. Posłałem go w drodze wymiany z Kościołem Braci na Uniwersytet Cornell w Ithaca, N.Y. Pozostał tam dwa lata specjalizując się w wirusologii, a zwłaszcza w nematologii. Po powrocie zrobił doktorat, habilitował się, został profesorem. Zajął się sprawą truskawek, uwolnieniem ich rozsady od nicieni i roztocza truskawkowego. Zarówno nicienie jak i roztocz bardzo obniżały plon truskawek. Szczygieł rozwiązał ten problem. Zaczął produkować rozsadę truskawek wolną od nicieni i roztocza w postaci elity i zaopatrywać w nią cały kraj, wszystkie szkółki produkujące rozsadę.

W czasie gdy Makosz kierował Brzezną, Szczygieł był jego zastępcą do spraw naukowych. Po odejściu Makosza, Szczygieł przyjął stanowisko dyrektora Zakładu. Sprawił, że w Brzeźnie praca naukowa stała najwyższą spośród wszystkich zakładów Instytutu. Nie zaniedbał też własnej pracy badawczej nad nicieniami. Zaliczał się do najlepszych nematologów w Europie.

Wśród pszczelarzy pracujących w Instytucie Sadownictwa na pierwszym miejscu wymienić trzeba małżeństwo Demianowiczów. Prof. Antoni Demianowicz, urodzony w 1897 roku w Kiszyniowie, pochodził z dawno spolonizowanej rodziny ormiańskiej. Był to pionier i twórca polskiego naukowego pszczelnictwa, intelektualista wysokiej klasy, człowiek uroczy. Zapytany co robił w wieku od 20 do 30 lat, odpowiedział, że kochał się i pisał wiersze. W Lublinie kierował Zakładem Pszczelnictwa. Kiedy przyszedł do Skierniewic, zrzekł się tej funkcji. Zdrowie mu nie dopisywało, męczyła go astma, o zaszczyty i stanowiska nie dbał, a zajęć administracyjnych nie znosił. Do przejścia na emeryturę w 1966 roku nadawał jednak ton pracy naukowej Zakładu, którego kierownictwo przejął prof. Bornus.

Jego żona, prof. Zofia Demianowicz, urodzona w 1905 roku w Jeziornej, osóbką malutką, nie sięgająca mężowi do ramion, odznaczała się ogromną aktywnością. Pracowała nad jednogatunkowymi miodami, to znaczy miodami pochodzącymi z nektaru jednego tylko gatunku rośliny. Działała w organizacjach międzynarodowych. W latach późniejszych uskarżała się na chorobę serca, co nie przeszkadzało jej w podjęciu kilkumiesięcznej wyprawy statkiem handlowym na Międzynarodowy Kongres Pszczelarzy do Argentyny. W 1966 roku opuściła Instytut. Przeniosła się do Akademii Rolniczej w Lublinie, gdzie pracowała do przejścia na emeryturę.

Prof. Leon Bornus urodził się w 1912 roku. Kiedy poznałem go w Lublinie w 1951 roku, przyznam się, że patrzyłem na niego bez większej admiracji. Co robił w Zakładzie Pszczelnictwa, w zakładzie przyrodniczym, absolwent Wydziału Prawnego Katolickiego Uniwersytetu w Lublinie? Szybko jednak nabrałem do niego szacunku, na który całkowicie zasłużył. To prawda, że zaczął od wykształcenia humanistycznego. Szybko jednak na drodze samokształcenia opanował przyrodnicze podstawy pszczelnictwa. Odznaczał się wybitną inteligencją, kulturą osobistą i łatwością pojęcia z ludźmi. Jako kierownik Zakładu Pszczelnictwa, a potem wicedyrektor do spraw pszczelnictwa i dyrektor Oddziału Pszczelnictwa w Puławach, przejawiał wybitny talent organizacyjny.

Prof. Bolesław Jabłoński urodził się w 1928 roku w Grabinie koło Włocławka. Skończył studia w Wyższej Szkole Rolniczej w Lublinie w 1956 roku i w tym roku zaczął pracować w naszym Instytucie. Jego specjalizacją była botanika pszczelnicza, zapylenie roślin.

Pszczelnictwo przeszło w skład Instytutu od jego początku. Natomiast dział roślin ozdobnych zaczęliśmy organizować dopiero w 1975 roku. W 1983 roku miał on już prawie 50 pracowników naukowych. Wymienię tu trzech najwybitniejszych.

Najlepszym z nich był dla mnie Kazimierz Mynett (ur. w 1931 roku). Pracował w Instytucie Hodowli i Aklimatyzacji Roślin (IHAR) w Radzikowie koło Błonia. Trudno o człowieka bardziej kulturalnego i przyjemniejszego w kontaktach z ludźmi niż on. Bardzo dobrze pisał i wspaniale wykladał. Był najlepszym kwiaciarzem i najlepszym roślinnikiem w całym swoim dziale. Wysłałem go na rok naukowego stażu do Ameryki, do Uniwersytetu stanu Wisconsin w Madison i do wielkiej firmy de Graafa w stanie Oregon, która ma zasługę wprowadzenia nowoczesnych odmian lilii do szerokiej uprawy.

Kiedy trzeba było powołać wicedyrektora do spraw roślin ozdobnych, nie wziąłem na to stanowisko dr Mynetta. Był zbyt dobry, zbyt miękki, a zresztą nie miał koniecznego w tym celu stopnia doktora habilitowanego. Stopień ten uzyskał zresztą wkrótce, a potem naukowy tytuł profesora. Za najlepszego znawcę roślin ozdobnych uważany był przez ogół specjalistów w tej dziedzinie. Zajmował się hodowlą odmian tulipanów i karłowych dali, w której to dziedzinie miał duże osiągnięcia.

Na wicedyrektora do spraw roślin ozdobnych powołałem Ryszarda Rudnickiego (ur. w 1940 roku). Rudnicki skończył Uniwersytet Łódzki specjalizując się w biochemii. Bezpośrednio potem przyszedł do pracy w Instytucie i tu w bardzo szybkim tempie zdobył wszystkie stopnie naukowe, został profesorem. Bardzo zdolny i dobry organizator. Gdy tworzyłem dział roślin ozdobnych namówiłem go, by zorganizował w nim zakład fizjologii roślin ozdobnych. Miał już za sobą rok stażu naukowego w fizjologii roślin na Uniwersytecie Stanu Michigan w East Lansing, Mich.

Rudnicki zgodził się przyjąć stanowisko wicedyrektora do spraw roślin ozdobnych i zabrał się do pracy bardzo energicznie. Zorganizował ośrodek badawczy roślin ozdobnych w

Skierniewicach, za parkiem miejskim w dzielnicy zwanej Sabadianami. Nie zaniechał jednak swojej własnej pracy badawczej. Zorganizował i bardzo rozwinął badania nad przechowywaniem pąków kwiatowych i rozwijaniem ich po okresie długiego przechowania w chłodni. Szczególnie dotyczyło to goździków, których pąki ścięte we wrześniu w odpowiednim stadium rozwoju można było przechować w chłodni przez pół roku, do marca, następnie we właściwie dobranych roztworach środków chemicznych rozwinąć je w pełnowartościowe kwiaty. Rudnicki stał się w tej dziedzinie światowym autorytetem. Zapraszano go do najlepszych ośrodków badawczych w USA, w Izraelu, w zachodniej Europie. Już po moim przejściu na emeryturę zrezygnował ze stanowiska wicedyrektora, aby się oddać wyłącznie pracy badawczej.

Leszek Orlikowski ukończył Wydział Ogrodniczy w Akademii Rolniczej w Lublinie. Specjalizował się w fitopatologii. Po przejściu do Instytutu w Skierniewicach odbył roczny staż naukowy w Ameryce w ramach wymiany z Kościołem Braci. Po powrocie zorganizował dobrze działającą Pracownię Fitopatologii Roślin Ozdobnych. Duże zasługi położył w opracowaniu metod ochrony goździków przed chorobami w szklarni. Miał talent organizacyjny. Po zrezygnowaniu Ryszarda Rudnickiego ze stanowiska wicedyrektora Instytutu do spraw kwaciarstwa prof. Zagaja powołał na to stanowisko Leszka Orlikowskiego.

## Trudności we współpracy

Ciekawą postacią jeszcze w okresie przedwojennym był redaktor A.G., człowiek trochę ode mnie starszy. Pracował w rejonie tarnowskim jako instruktor ogrodniczy. Bardzo aktywny i przedsiębiorczy, założył miesięcznik - *Hasło Rolniczo-Ogrodnicze*. Było to pismo dobrze prowadzone, nastawione na dwupiętrowe sadownictwo ożenione z rolnictwem. Również przed wojną napisał i wydał książkę „*Urządzenie i pielęgnowanie sadu*”. Miała ona pięć wydań przed 1939 rokiem.

W czasie wojny dostał się A. G. do obozu w Oświęcimiu. Po wyjściu napisał książkę „*Powrót z piekła hitlerowskiego*” i zaczął z powrotem wydawać „*Hasło*”. Już w 1946 roku nakładem „*Hasła*” wyszło 6-te wydanie „*Urządzenia i pielęgnowania sadu*”. Ruchliwość i przedsiębiorczość tego człowieka była zadziwiająca. W powojennym okresie wszystko zostało upaństwowione, a on w dalszym ciągu wydawał prywatnie „*Hasło*”, wydawał swoje książki. „*Hasło*” było dobrym i żywym pismem, bo pisali do niego autorzy z całej Polski, ze wszystkich wyższych uczelni, ja także. Pisali też i dobrzy praktycy. W 1950 roku „*Hasło*” zostało jednak zamknięte z powodów politycznych.

Gdy skończył się stalinizm, a zwłaszcza gdy przyszedł do władzy Gomułka, zacząłem starania, by A.G. umożliwić wydawanie „*Hasła*”. Do tych starań dołączył się Gertych jako poseł na Sejm. Wspólne nasze wysiłki zostały uwieńczone powodzeniem. „*Hasło*” zaczęto wydawać pod firmą krakowskiego Towarzystwa Ogrodniczego, ale w rzeczy samej pozostało dalej prywatnym pismem A.G. Nic nie miałem przeciwko temu, bo pismo było dobre i bardzo pożyteczne. Było to jedyne pismo nie rozprowadzane przez RUCH, ale miało wielu prenumeratorów pozyskiwanych przez różnego rodzaju agentów redaktora.

W miarę jednak upływu czasu pismo zaczęło się pogarszać. Powoli dochodziło do mej wiadomości, że A.G. udawało się utrzymywać swoje prywatne przedsiębiorstwa wydawnicze dzięki hojnie rozdawanym łapówkom. Na to potrzebne mu były pieniądze, duże pieniądze. Aby więcej zarobić, A.G. zaczął wypełniać „*Hasło*” w coraz większym stopniu swoimi własnymi artykułami, pod różnymi zresztą pseudonimami. A że pisał zarówno o sadownictwie, warzywnictwie jak i kwiaciarstwie, to nie mogły to być dobre artykuły. Niektóre były po prostu kompromitujące. Raz napisał np. że Japonia ma pierwsze miejsce w światowej produkcji wiśni. Wiadomo, że w Japonii wiśnie na owoce prawie wcale się nie uprawia. Słyszał o Japonii jako o kraju „kwitnącej wiśni”, ale nie wiedział, że japońskie kwitnące wiśnie to drzewa ozdobne, wcale nie wydające owoców.

Wybrałem się kiedyś do niego, do Tarnowa, na poważną rozmowę i powiedziałem mu, że tak dalej pisma i działalności wydawniczej prowadzić nie można. On mi na to odparł, że jego pismo jest najlepsze, inne wychodzą z kilkutygodniowym opóźnieniem, a „*Hasło*” zawsze na czas. Tak samo dobrze, bez opóźnień, funkcjonują i inne jego wydawnictwa. Aby tak być mogło, muszą się znaleźć pieniądze na łapówki. Kto nie smaruje, ten nie jedzie. Musi sam dużo pisać, dużo zarabiać, musi pisać nie tylko artykuły, ale i nowe wydania swojej książki. Ponieważ od lat nie zajmował się praktyką sadowniczą, jego książki były coraz to gorsze, na coraz to niższym poziomie. Mimo to miał dalej sięgające ambicje. Postanowił zdobyć stopień doktora.

Zwrócił się z tą propozycją do mnie. Odmówiłem, bo przecież ten człowiek nie miał żadnej styczności z jakąkolwiek pracą badawczą. Powiedziałem mu, że nie mogę pozostawać obo-

jętny na jego sposób prowadzenia „Hasła”, na jego działalność wydawniczą. Ponieważ niczego w piśmie i w swej działalności nie zmienił, w latach 70-tych odebrano mu „Hasło”.

Najdziwniejszym z moich nieprzyjaciół był dr M.K., osoba całkowicie mi nie znana, z którym nigdy się nie spotkałem i z którym nigdy nie zamieniłem w rozmowie jednego słowa. Był to prawnik z wykształcenia, ode mnie dużo starszy, po wojnie jako emeryt mieszkający w Opolu. Przed wojną miał przedstawicielstwo Standard Oil Company w Polsce, był człowiekiem bardzo zamożnym. Główny jego business polegał na sprzedaży różnych produktów naftowych, wśród których drobną pozycję zajmowała emulsja oleju mineralnego stosowanego w owym czasie w opryskiwaniach zimowych w sadzie przeciwko niektórym szkodnikom.

Kiedy opublikowałem w 1954 roku pierwsze wydanie mego podręcznika „Sadownictwo”, otrzymałem od niego list z pretensją, że nie wymieniłem wśród środków ochrony sadów emulsji oleju mineralnego. Odpisałem, że emulsję tę dobrze znam, bo miałem z nią do czynienia w Ameryce. Nie wymieniłem jej jednak, bo w Polsce nie jest ani wyrabiana ani importowana, a zamiast niej z dobrym skutkiem używana jest karbolina lub nitrokrezol. Nie zgodził się z tym tłumaczeniem K. i wypisał mi ostrą reprimendę za to, że pomijam tak ważny i dobry środek, czyli wykazuję swoją całkowitą ignorancję sadownictwa światowego.

Zdziwiłem się trochę tą tak surową jego wypowiedzią. Znacznie później powiedziano mi, że w Opolu próbował występować jako adwokat, ale odebrano mu to prawo uznając go za nie w pełni poczytalnego.

K. nie zadowolił się moją odpowiedzią na jego list. Rozpoczął przeciwko mnie kampanię, a była to kampania na bardzo szeroką skalę. Pisał obszerne paszkwile i rozsyłał je po całym kraju. Poszły one do wszystkich pism rolniczych, do wielu pism codziennych, do rektorów wszystkich Wyższych Szkół Rolniczych, do wielu profesorów rolników, do członków Polskiej Akademii Nauk, do Wojewódzkich Rad Narodowych, do Komitetu Centralnego PZPR, i do Ministerstwa Rolnictwa.

Najlepszym przykładem takiego paszkwilu był memoriał przesłany do Ministerstwa Rolnictwa wiosną 1968 roku, zawierający 16 bitych stron maszynopisu. Nosił on tytuł „Instytut Sadownictwa widziany z obu stron”. K. starał się udowodnić, że jestem biologiem, a nie sadownikiem, że na sadownictwie się nie znam i doprowadziłem je wciągu tych 22 powojennych lat do upadku. Fałszując dane wzięte z Rocznika Statystycznego powiadał, że produkcja owoców w porównaniu z 1946 rokiem nie tylko nie wzrosła, ale zmniejszyła się. Pisał, że „ogół sadowników praktyków uważa, że pieniądze wydane na Instytut wyrzucane są w błoto, bo Instytut Sadownictwa według nich jest nie tylko niepożyteczną ale szkodliwą instytucją”.

Cały memoriał był stekiem kłamstw, za które mógłby być K. pociągnięty do odpowiedzialności. Ten paszkwil świadczył o czymś więcej. Oto pisał na pierwszej stronie swego artykułu: „Nie podaje Sz. Autor (to znaczy ja w swoim artykule o działalności Instytutu) nadzwyczajnych wydatków w 1966 roku innej natury niż w latach poprzednich np. na pogrzeb **powieszonego** jednego z najzdolniejszych pracowników Oleksiaka (**powieszonego** w IS).”

Wojciech Oleksiak był naprawdę jednym z najzdolniejszych moich uczniów. Specjalizował się w uprawie truskawek. Mianowałem go kierownikiem Zakładu Roślin Jagodowych. Pod moim kierunkiem zrobił doktorat. Jako jednego z pierwszych wysłałem go na półroczny staż zagraniczny, najpierw do Szwecji, potem do Anglii. Wspaniale rozwijał swoją działalność naukową i organizacyjną. Był przystojny, towarzyski, wesoły. Dziwiło tylko to, że się nie żenił, że nawet nie miał stałych powiązań z kobietami. Nagle w 1965 roku przyszedł do mnie, bo bardzo się przyjaźniłszy, ze zwierzeniami. Powiedział mi, że nie wierzy w swoją pracę, uważa, że źle

ją wykonuje, więc chyba lepiej będzie, jeśli kierownictwo Zakładu oddam komu innemu. Powiedział też, że przechodzi stany depresji, z której zdaje sobie sprawę i od roku jest pod opieką lekarza - psychiatry w Warszawie. Podał mi jego nazwisko i adres i zezwolił, bym do niego pojechał i porozmawiał.

Rozmowa z Oleksiakiem bardzo mnie zaniepokoiła. Pojechałem do Warszawy na spotkanie z lekarzem. Powiedziałem mu, że dla Oleksiaka zrobimy wszystko. Jeśli trzeba, damy mu długi urlop. Jeśli trzeba wyślemy go jeszcze raz za granicę. Lekarz mi na to odrzekł, że nic z tych rzeczy nie jest mu potrzebne. On swojego pacjenta już dobrze poznał. Nie należy mu zmieniać trybu pracy, zabierać go z dotychczasowego środowiska, które jest mu bardzo przyjazne. Wtrąciłem, że jednemu z kolegów powiedział, że się chyba powiesi. Lekarz roześmiał się. - „Jeśli tak powiedział, to najlepsza gwarancja, że tego nie zrobi.”

Wróciłem do domu uspokojony, a dokładnie w miesiąc później Oleksiak powiesił się w łazience swego mieszkania. Był to dla mnie szok niesamowity, szok dla wszystkich jego przyjaciół w Instytucie. Przyznam, że na pogrzebie płakaliśmy wszyscy, nawet mężczyźni.

Czyż nie trzeba być zwyrodnialcem, by mówić o „Oleksiaku **powieszonym** w Instytucie Sadownictwa?” Koszt pogrzebu pokryła oczywiście jego rodzina, a nie Instytut.

Memoriał K. do Ministerstwa Rolnictwa w 1968 roku był jego ostatnim z przynajmniej setki jego paszkwili wysyłanych na mnie do wyliczonych poprzednio osób i instytucji.



## Sadownicze dziwactwa

Sadownictwo jest dziedziną, na której się wszyscy znają, bo poświęcają się jej nie tylko zawodowi producenci owoców, ale także i amatorzy. To bardzo dobrze. To właśnie powód, dla którego za najszczęśliwszy moment w moim życiu uważam zbieg okoliczności, który zdecydował o tym, że wybrałem ten zawód. Ileż szczęścia daje przeświadczenie, że zajmuję się czymś, co nie jest obojętne dla większości mieszkańców kraju, że mogę przyczynić się do posunięcia naprzód produkcji owoców, która jest nie tylko pożyteczna, ale też piękna i fascynująca.

Nic w tym dziwnego, że wielu ludzi rozmyślając nad uprawą drzew owocowych, stara się wypracować nowe sposoby ich pielęgnowania, tworzyć nowe teorie objaśniające ich reakcje na bodźce zewnętrzne. Niektóre z tych zabiegów i teorii są interesujące i zbieżne z tym, do czego doszła nauka, inne zaś naiwne i dziwaczne, najczęściej nieszkodliwe, ale bywa też, że mogą przynieść więcej szkody niż pożytku.

W pierwszych latach po powrocie do kraju doszło do mojej wiadomości nazwisko ks. P., proboszcza w jednej w parafii na Woli. Sam pisał, ale więcej pisano o nim w dziennikach warszawskich, zwłaszcza w „Ekspresie Wieczornym”. Donoszono o cudach, jakie wyczyniał w ogrodzie plebanii, o wspaniałym urodzaju śliwek i jabłek na drzewach w specjalny sposób przez niego pielęgnowanych. On sam zwrócił się wreszcie do Ministerstwa Rolnictwa o pomoc finansową na prowadzenie na Woli doświadczeń.

Ministerstwo przekazało mi jego pismo z prośbą o opinię. Wsiadłem wobec tego w tramwaj i pojechałem na Wolę. Przyjął mnie niezmiernie miły mężczyzna średniej tuszy, w średnim wieku, bardzo rozmowny i kulturalny. Powiedział mi, że jego odkrycie polega na wykazaniu, że prądy słabego napięcia bardzo przyspieszają wzrost i podnoszą plon drzew owocowych.

Wyszliśmy do ogrodu. Ksiądz pokazał mi pięknie wyrosniętą śliwę. Ocenilem ją na 12 lat, a okazało się, że ma dopiero 7. Plon zapowiadał się istotnie wysoki. Widziałem druty doprowadzające do niej prąd. To on miał być przyczyną tak szybkiego wzrostu i obfitego owocowania. Kręciłem głową. „A jak ksiądz tę śliwkę posadził?” „Ano - wykopaliśmy dół na 120 cm głęboko i na 2 m średnicy i zapełniliśmy go na przemian warstwami kompostu i dobrej ziemi ogrodowej.” Miałem wytłumaczenie. Nic dziwnego, że śliwa w takich warunkach rosła bardzo szybko, a kiedy wreszcie zaczęła owocować, zaowocowała obficie.

Pokazywał mi ksiądz inne swoje drzewa i krzewy, wszystkie bardzo pieczołowicie pielęgnowane. Mówił o bliżej nieokreślonych prądach podziemnych, związanych z podziemnymi żyłami wodnymi, które mają wpływ nie tylko na wzrost i owocowanie roślin, ale i na zdrowie ludzi. Przy pomocy różdżki można je wykrywać, nigdy ponad nimi nie należy ustawiać łóżka, a jeśli łóżko, gdzie się śpi, musi nad takimi prądami być ustawione, to trzeba je od spodu miedzianym drutem ubezpieczyć. Mówił o tym, jak to niebieskie jagody winne powodują, że młode panny mają piękne rumieńce, a te które spożywają winne grona o żółtych i zielonych jagodach, są blade i anemiczne.

Na drugi czy trzeci dzień jechałem tramwajem i zobaczyłem u sąsiadki czytającej „Ekspres” duży artykuł, mówiący, że Ks. Podbielski z prof. Pieniążkiem będzie zakładał na Woli stację doświadczalną. Nie był księżulek zbyt skromny i od reklamy nie stronił. Na tym się jednak mój kontakt z sympatycznym księdzem zakończył. Nie przychodził już do Ministerstwa po dotację na założenie stacji doświadczalnej. Wytłumaczyłem mu delikatnie, że nie ma podstaw naukowych, by przypuszczać, że prąd elektryczny może zwiększyć plony roślin uprawnych.

W latach 50-tych moją uwagę zwrócił w „Przekroju” bogato ilustrowany na całą stronę artykuł zatytułowany „Drzewa Trójpienne”, a podpisany: prof. dr inż. E. Z. Prof. Z. wykładał na Politechnice w Gliwicach, ale jego hobby stanowiło sadownictwo. Wiedział, że wichura łamie czasami drzewa owocowe w pełni owocowania. Zaproponował wobec tego sadzenie drzew trójpiennych. Sadziło się trzy młode drzewka w szczytach trójkąta równobocznego o długości boku około 70-80 cm. Drzewka te należało pochylić ku sobie i zaszczepić tak, aby tworzyły jedną koronę, ale wspartą na trzech pniach, na trójnogu. Żadna wichura nie mogłaby takiego drzewka złamać. Poza tym drzewo mając trzy niezależne systemy korzeniowe, rosłoby i owocowało znacznie lepiej, niż normalne drzewo jednopienne.

Znowu pokręciłem głową na takie dziwactwo. Jak nieodpowiedzialna musi być redakcja poważnego tygodnika, mającego blisko pół miliona nakładu, aby drukować takie artykuły, nie prosząc nikogo o ich zaopiniowanie. Nie na tym jednak koniec. Oto do Ministerstwa Rolnictwa przychodzi od prof. Z. pismo z prośbą o dotację na założenie w Gliwicach Stacji Doświadczalnej dla badania drzew trójpiennych. Ministerstwo zwróciło się do mnie o stanowisko w tej sprawie.

Zwołałem posiedzenie komisji, na którą poprosiłem prof. Ziobrowskiego z Krakowa, Wierszyłowskiego z Poznania i jeszcze 3 czy 4 osoby. Zaproszony prof. Z. nie przyjechał, ale przysłał swego asystenta. Przysłał też obszerny, na parudziesięciu stronach opracowanie prof. B. z tej samej Politechniki, który daje dowody matematyczne na to, że taki trójnóg jest trudniejszy do złamania niż pień pojedynczy. Asystent prof. Z. kierował jednak dyskusję na inne tory. Tłumaczył, że drzewo trójpienne, mające trzy systemy korzeniowe, będzie dawało plony wyższe niż drzewo o jednym pniu. Na to trzeba badań, na to potrzebna jest dotacja.

Zaproponowałem, żeby parosobowa komisja pojechała do Gliwic, obejrzała sad złożony z drzew trójpiennych i wyrobiła sobie o nim własne zdanie. Asystent bardzo się zmieszał i powiedział, że wyjazd jest niecelowy, teraz jest listopad, owoców na drzewach nie ma. „To nic - chcielibyśmy jednak koniecznie drzewa obejrzeć, zanim podejmiemy jakąkolwiek decyzję.”

I tu wybuchła bomba. Asystent, niezwykle speszony i zdenerwowany musiał powiedzieć prawdę. Oto przed kilku tygodniami przeszła przez Gliwice dość silna wichura, która połamała wszystkie drzewa trójnogu, ale złamała każde drzewo tuż ponad trójnogiem, gdzie trzy drzewa były zaszczepione razem i gdzie zaczynała się korona. Było to oczywiście do przewidzenia. Drzewo jednopienne jest elastyczne, jego korona chwieje się w podmuchach wiatru to w jedną, to w drugą stronę, ale się nie łamie. Natomiast drzewo trójpienne nie jest elastyczne. Jest sztywne. Nic dziwnego, że korona się odłamała zwłaszcza, że bezpośrednio ponad sztywnym trójnogiem znajdowało się miejsce najsłabsze, miejsce szczepienia. Tak zakończyła się sprawa drzew trójpiennych.

W końcu lat 60-tych zostałem zamieszany w sprawę, która była dla mnie bardzo przykra. Chodziło tu o mgr Władysława C., człowieka też pewnie zbliżonego do mnie wiekiem. C. był w Krakowie i na Podkarpaciu instruktorem ochrony roślin, potem kierownikiem Wojewódzkiej Stacji Ochrony Roślin, ale zajmował się głównie ochroną sadów. Odznaczał się wyjątkowym umiłowaniem zawodu i apostołskimi skłonnościami. Całą duszę wkładał w upowszechnianie wiedzy. Pieszko schodził wszystkie wioski sadownicze. Nic dziwnego, iż zyskał sobie szacunek i poważanie podkarpackich chłopów. Miał wyjątkowy zmysł obserwacyjny. Niektóre jego obserwacje, jak np. to, że parch jabłoniowy może też w postaci grzybni przetrzymać na pędach w pąkach, wyprzedziły obserwacje naukowców.

Miał jednak C. skłonności do wiary w cudowności, do poglądów nienaukowych. Wierzył np., że plon rośliny zależy od fazy księżyca, w jakiej zostały wysiane. W latach późniejszych stał się apostołem „Pulsopylu”, czyli taniej i prostej wytwornicy aerozoli do rozpraszania pestycydów. Zalecał go zarówno do ochrony drzew owocowych przed owadami jak i przed chorobami, przede wszystkim przed parchem jabłoniowym.

Stosowanie wytwornic aerozoli w ochronie roślin znane było już w świecie od kilkudziesięciu lat. Nie jestem specjalistą w tej dziedzinie, ale nasi specjaliści - prof. Kochman z SGGW, prof. Zalewski z Poznania i prof. Borecki z naszego Instytutu - zgodnie stwierdzili, że przy pomocy wtedy dostępnych fungicydów, Pulsopyl jest do ochrony sadów przed chorobami całkowicie nieprzydatny. Mgr C. miał jednak wśród chłopów Podkarpacia wielu gorących zwolenników. Łatwo było ich do kupna wytwornicy aerozoli namówić, bo kosztowała tanio, a pracowała bardzo szybko. Można było sad przy jej pomocy przejść pięć lub dziesięć razy szybciej, niż przy pomocy motorowego opryskiwacza.

Myśmy też próbowali stosować Pulsopyl. Przeprowadziliśmy szereg z nim doświadczeń zwłaszcza w Brzeznej, to znaczy w rejonie, w którym C. miał najwięcej zwolenników. Dały one wyniki negatywne. Po kilku latach nawet najbardziej zaprzyjaźnieni z C. sadownicy wycofali się ze stosowania Pulsopylu, przeszli na standardowe opryskiwacze. Ponieważ C. do końca trwał przy Pulsopylu, Ministerstwo zwolniło go ze stanowiska kierownika Stacji Ochrony Roślin w Krakowie, uważając, zresztą nie bez słuszności, że swoim uporem przyczynił się do powstania dużych szkód w produkcji roślinnej. Napisał wtedy do mnie, w 1972 r., list otwarty, oskarżając pracowników Instytutu o nieuczciwe wobec niego postępowanie, o fałszowanie wyników jego prac, o złą wolę. Mnie również oskarżył o złą wolę, o prześladowanie go, o nastawienie przeciw niemu Ministra Rolnictwa. W liście tym, utrzymanym w tonie kulturalnym, przebiegał żal człowieka, który uważa się za niesłusznie pokrzywdzonego, który wierzy w słuszność swojej sprawy. Dlatego też bardzo było mi go żal, bo intencje miał czyste. Że sprawa, którą apostołował, była niesłuszna, nie ulega wątpliwości. Najlepszym i jedynym sprawdzeniem teorii jest praktyka. Wytwornice aerozoli były próbowane w wielu państwach w ochronie roślin rolniczych i sadowniczych, ale próby te wszędzie wykazały ich nieprzydatność w sadownictwie. Nigdzie się ich w świecie w tych celach nie stosuje. Dziś nie wielu już sadowników je pamięta, nawet na Podkarpaciu.

W latach 60-tych i 70-tych przeciwstawiłem się nawoływaniom do wielkotowarowej uprawy leszczyny w Polsce. Jeszcze w latach 50-tych namawiał do niej ogrodnik - amator z Piaszeczna pod Warszawą, Małyszko. Ponieważ nie zgadzałem się z jego na tę sprawę poglądami, wypisywał przeciwko mnie bardzo ostre artykuły w „Przeglądzie Ogrodniczym”, zwłaszcza atakując mnie w 1956 r. za to, że w swoim czasie popierałem tak zwaną genetykę miczurinowską. Artykuł jego dano mi do przeczytania w rękopisie z zapytaniem, czy powinien zostać wydrukowany. Odpowiedziałem, że tak. Miał rację krytykując mnie za genetykę miczurinowską, chociaż sam nie miał wykształcenia, biologiem nie był, a chciał tylko zemścić się na mnie za to, że nie popieram jego przekonań w sprawie opłacalności uprawy wielkoowocowej leszczyny w Polsce.

W latach 60-tych i 70-tych propagatorem leszczyny stał się prof. Franciszek Goc. Był to ogrodnik krakowski, habilitowany jeszcze przed wojną. Po wojnie wykładał aż do przejścia na emeryturę sadownictwo we Wrocławiu. Będąc na emeryturze, osiadł w Krakowie i w swoim ogródku dalej się leszczyną zajmował. Był to człowiek bardzo porządny, kulturalny, ale eksperymentator starego, przedwojennego typu. Napisał książeczkę o uprawie leszczyny. Pisał o leszczynie często w pismach fachowych, także i ogólnych. Nawet Trybuna Ludu wydrukowała jego

artykuł, w którym twierdził, że uprawa leszczyny wielkoowocowej jest w Polsce możliwa i opłacalna, że może się nawet w pewnym stopniu przyczynić do rozwiązania problemu deficytu białka.

W pewnym okresie czasu propagowaniem leszczyny zajmował się mocno przemysł cukierniczy. Wiadomo, że orzechy laskowe są bardzo cennym surowcem w przemyśle cukierniczym, do czekolad, tortów i innych ciast. Bardzo mało produkowało się w Polsce orzechów laskowych, tylko w nasadzeniach amatorskich. Sprowadzało się je w znacznych ilościach co roku, głównie z Turcji, która ma pierwsze miejsce w światowej produkcji tych owoców. Byłoby oczywiście dobrze rozwinąć produkcję krajową, zaoszczędzić na dewizach. Dlatego przemysł cukierniczy zaczął wśród rolników akcję kontraktowania plantacji leszczyny, głównie w rejonach południowo-wschodnich kraju. Założone plantacje wyginęły po kilkunastu latach, bo rolnicy nie wiedzieli, jak się z roślinami obchodzić, nie wiedzieli przede wszystkim, jak je chronić przed chorobami i szkodnikami. Przemysł prosił Instytut o poparcie jego akcji, ale my odmówiliśmy, tłumacząc, że wielkotowarowa uprawa leszczyny wielkoowocowej w Polsce jest nieopłacalna.

Prof. Goc ciągle klarował, że leszczyna jest przystosowana do naszego klimatu, a najlepszym tego dowodem jest fakt, że od tysięcy lat rośnie w naszych lasach i nigdy tam nie przemarza. Odpowiedziałem na to, że nie przemarzają jej pędy, a nam o owoce, nie o pędy chodzi. Leszczyna kwitnie bardzo wcześnie, już w końcu lutego i w marcu. Jeśli temperatura spadnie w tym czasie do kilku stopni poniżej 0°, to kwiaty przemarzną i leszczyna nie owocuje. Aby nie być gołosłownym poleciłem założyć 2 ha plantację leszczyny w naszym Zakładzie w Lipowej koło Opatowa Kieleckiego, a następnie trochę mniejszą w Albigowej koło Łańcuta. Owszem, owocowały one, ale chociaż rosły w doskonałych warunkach, przeciętne jej plony nie przewyższały 1 tony z hektara. Opłacalność jej nie porównywała się zatem z opłacalnością jabłoni czy truskawek.

Kiedy pisałem o leszczynie, zawsze przytaczałem rozmowę, jaką na jej temat przeprowadziłem w Grecji, w Tessalonikach wiosną 1965 r. Wiedziałem, że Grecja produkuje znaczne ilości laskowych orzechów. Poprosiłem, żeby mnie zawieziono do jednej jej plantacji. „Leszczyna? Tu, w Tessalonikach? Nie, u nas udaje się uprawa pistacji, migdałów, nawet oliwek, ale nie leszczyny. Dla leszczyny tu za zimno. Wybierz się Pan na półwysep Peloponeski, do Sparty. Tam zobaczy Pan handlową uprawę leszczyny obok gajów pomarańczowych. Tam sprzyja jej klimat.”

I w Turcji również uprawia się leszczynę w rejonach ciepłych, gdzie zaczynają się rejony uprawy owoców cytrusowych. Nawet nasi południowi sąsiedzi nie uprawiają leszczyny na skalę wielkotowarową. Nie ma handlowych jej plantacji nie tylko w Czechosłowacji, na Węgrzech i w Rumunii, ale nawet w Bułgarii. Zaczyna się ona dopiero w południowej Jugosławii, a mianowicie w Macedonii i to na małą skalę. Być może, że kiedyś ktoś wyhoduje późno kwitnące odmiany leszczyny przystosowane do naszego klimatu. Obecnie jednak leszczyna jest cennym krzewem głównie do uprawy amatorskiej, ale nie mogłem z czystym sumieniem doradzać komuś założenia plantacji, z której musiałby żyć. Dlatego musiałem przeciwstawić się marzycielom takim jak prof. Goc, którzy nie rozumieli twardych wymagań rzeczywistości.

W drugiej połowie lat 80-tych wzmożło się zainteresowanie uprawą leszczyny. Doświadczenia i obserwacje w Lipowej i w Albigowej wykazały, które jej odmiany są w Polsce najbardziej uwagi godne. Opracowaliśmy też skuteczne sposoby ochrony leszczyny przed chorobami i szkodnikami. Było widoczne, że dochodzimy do granicy obszaru sadów jabłoniowych, jakie mogą być bardzo opłacalne. Dlatego o uprawie leszczyny zaczęli myśleć nie rolnicy, ale dobrzy,

bogaci sadownicy, których stać było na ryzyko. Trudno mi powiedzieć (rok 1996) jaki wpływ na opłacalność uprawy leszczyny może mieć powrót do ekonomiki opartej o prawa wolnego rynku. Wydaje mi się, że importowane orzechy laskowe obniżą ceny uzyskiwane za orzechy produkowane w kraju, a zatem i opłacalność uprawy leszczyny stanie pod znakiem zapytania.

## Cytryna skierniewicka

Mieszkańcy krajów północnych marzą o południowych krainach, południowym słońcu, południowych owocach. Symbolem tych owoców stała się cytryna. „Znasz-li ten kraj, gdzie cytryna dojrzewa?” - pisał wielki poeta niemiecki Goethe. Amerykanie rozwinęli na dużą skalę produkcję owoców cytrusowych w Kalifornii i na Florydzie w początku 20-go wieku i bardzo rozreklamowali ich własności odżywcze, zwłaszcza wysoką zawartość witaminy C.

Przekonanie o wysokich własnościach odżywczych owoców cytrusowych utwierdziło się również i w Polsce w dawnych, przedwojennych czasach. Owocom tym, zwłaszcza cytrynie przypisywano lecznicze, niemalże cudowne właściwości. Ze względu jednak na trudne położenie ekonomiczne kraju importowano ją w czasach powojennych w niewielkich tylko ilościach i sprzedawano po wysokich cenach.

Polacy po wojnie podróżowali więcej niż przed wojną, ale marzyć nie mogli o tak masowej turystyce zagranicznej, jaka była dostępna dla obywateli państw kapitalistycznych. Tylko nieliczne jednostki mogły podziwiać kwitnące i owocujące cytryny w południowych Włoszech, w Grecji i w innych państwach o zbliżonym klimacie. W bardzo dziwny i nieoczekiwany dla mnie sposób przyszło mi setkom tysięcy, nawet milionom rodaków pokazać kwitnące i owocujące cytryny u siebie w domu.

Wiadomo, że jeszcze w czasach przedwojennych wiele pań wysiewało w doniczkach nasiona z zakupionych cytryn. Miały nadzieję, że wyrosną im siewki, które po kilku latach zakwitną i zaowocują. Żadna z pań z nasion niestety tego się pewnie nie doczekała, bo siewki drzew owocowych przechodzą przez długi okres młodociany zanim uzyskają zdolność kwitnienia i owocowania. Okres ten dla siewki rosnącej na oknie cytryny może trwać od 15 do 30 lat, a tak długo czekać nie mogły nawet z natury cierpliwe kobiety.

Pierwszy raz widziałem bardzo młode, ale owocujące już cytryny uprawiane w doniczkach w Chinach w 1957 r. nawet w prowincjach północnych, ale nie zwróciłem na nie większej uwagi. W 1968 roku dostałem list od dr Gudziaka z Winnipegu, stolicy jednej z najzimniejszych prowincji w Kanadzie - Manitoby. Prosił o przysłanie mu mojej świeżo wydanej książki „Dookoła Sadowniczego Świata”. Książkę wysłałem, a dr Gudziak przysłał mi w zamian cztery ukorzonione sadzonki cytryny - *Citrus limon var. ponderosa*, której prawidłową polską nazwą jest ponderoza. Rodzi ona duże owoce, czasami ważące ponad 1 kg, o żółtej, dość grubej skórce, sporej ilości nasion w miąższu, smaku kwaśnym, niewiele różniącego się od cytryn, które się w sklepie kupuje.

Sadzonki nadeszły w końcu grudnia. Posadziłem je do doniczek i postawiłem na parapacie okna w moim gabinecie w Instytucie. Zdziwiło mnie to, że zakwitły już w następnym roku. Kwiaty wprawdzie nie zawiązały owoców, ale były bardzo duże, roztaczały wokół silny i bardzo przyjemny zapach. W 1970 roku zawiązały po jednym owocu. Owoce ważyły ponad 500 g. Zainteresowali się cytryną nasi pracownicy i odwiedzające mnie osoby przyjezdne. Wszyscy po raz pierwszy w życiu zobaczyli nie tylko kwitnącą ale i owocującą cytrynę, nie musząc po to wyjeżdżać do południowych Włoch.

Dr Gudziak pisał, że ponderoza bardzo łatwo rozmnaża się wegetatywnie przez sadzonki zielne, tak łatwo jak pelargonie. Rozmnożyłem w ten sposób kilkanaście sztuk dla przyjaciół i znajomych. Dowiedziała się o tym telewizja i zrobiła jej niesamowitą reklamę. Kwitnące i owocujące cytryny w Polsce! Nieprawdopodobne!

Posypała się ogromna ilość listów i zamówień. Oddałem moje cytryny do szklarni naszego Zakładu Roślin Ozdobnych w „złotą rączkę” ogrodnika Mariana Ludwickiego, który zaczął ją rozmnażać w szklarniowej mnożarce znacznie szybciej, niż mogłem to robić domowym sposobem. Wśród błagań o ukorzenioną sadzonkę niektóre były naprawdę wzruszające. Oto lotnik, inwalida. Posłaliśmy mu doniczkę z kwitnącą już cytryną przez umyślnego posłańca do Suwałk. Napisał, że ze wzruszenia skropił swój list łzami. Nie spodziewał się, że jeszcze raz w życiu przyjdzie mu upajać się zapachem cytrynowego kwiatu, który pamięta z czasów swej młodości, z przejścia przez Iran i Palestynę do Tobruku.

W ciągu kilku lat ponderoza, którą zwano powszechnie cytryną skierniewicką, bo przyszła ze Skierniewic, rozeszła się po całym kraju. Zaczęły ją rozmnażać na sprzedaż szklarnie państwowe i prywatne. Stała się powszechnie uprawianą rośliną doniczkową. Napisałem o jej uprawie niewielką książeczkę, która miała w Polsce trzy wydania. Została też przetłumaczona na język rosyjski i bułgarski.

Bardzo ważne jest w doniczkowej uprawie cytryny, jeszcze ważniejsze w uprawie mandarynki, by im zapewnić w czasie zimy około 2-3 miesięcy okresu spoczynku w temperaturze od 5 do 10° C. Rośliny, którym taki spoczynek zapewniono, pięknie rosną, kwitną i owocują. Cytryny trzymane przez zimę w temperaturze pokojowej, tracą wiele liści, czasem nawet zamierają.

Sam uśmiełem się, kiedy dowiedziałem się w 1990 r., że „Polska eksportuje cytryny do Emiratów Arabskich”. To wcale nie jest żart. Jest w Łodzi gospodarstwo ogrodnicze braci Janusza i Andrzeja Żaków. Mają szklarnie, w których produkują głównie kwiaty, niewiele warzyw. Zaczęli rozmnażać cytrynę skierniewicką na sprzedaż jako ukorzenionej sadzonki. Stopniowo cytryna zajęła prawie całe ich szklarnie. Swojej firmie nadali nazwę „Virtrocitrus”. W 1989 roku wyprodukowali około 250.000 ukorzenionych sadzonek cytryny, głównie ponderozy. Z tego 60.000 poszło na eksport do Czechosłowacji, mniejsze ilości do NRD i na Węgry. Resztę sprzedano w kraju.

Bracia Żakowie wystawili kwitnące i owocujące cytryny na wystawie w Berlinie Zachodnim. Zobaczył je kupiec z Emiratów Arabskich. Powiedział, że w swoim kraju widział nie jeden sad cytrynowy, ale cytryn kwitnących i owocujących w doniczkach na oknie w mieszkaniu nie widział. Zakupił u braci Żaków 14.000 doniczek.

I jeszcze jeden sposób zużytkowania cytryny skierniewickiej, którego się nie spodziewałem. Wprowadzając do doniczkowej uprawy cytrynę w Polsce patrzyłem na nią jako na roślinę ozdobną, egzotyczną. Sama roślina ma piękne, błyszczące liście. Oto co pisał o niej Słowacki, gdy podróżował po Grecji.

„I sad, gdzie czarna liśćmi cytryna  
Odstrzela słońce blaskiem zwierciadlanym”

Poza tym cytryna kwitnie kilka razy do roku, jej kwiaty są duże do 5 cm średnicy i mocno, przyjemnie pachną. Ileż podniecenia daje obserwacja rozwoju pierwszego jej owocu. Ponderoza zwykle zaczyna kwitnąć w pierwszym lub drugim roku po rozmnożeniu przez sadzonki, ale jej pierwsze kwiaty są niepełne, tylko męskie bez słupka. Dopiero w następnym roku tworzą się kwiaty pełne i zawiązują się owoce. Zawiązków jest kilka lub kilkanaście ale większość ich opada, zostaje najczęściej tylko jeden rozwijający się w dojrzały owoc. Owoce jest jak wspomniałem duży. Polski rekord wynosi 1080 g, ale w przeciętnych warunkach mieszkaniowych od 400 do 600 g. W miarę dojrzewania, zwykle w późnych miesiącach jesiennych, przybiera piękną żółtą

barwę. Można go zdjąć z rośliny, użyć do herbaty czy do sałatek owocowo-warzywnych. Nie myślałem jednak, by cytryna skierniewicka stanowiła kiedyś artykuł antyimportowy.

A jednak. Oto w 1986 r. inż. Czesław Walczak z Małej Wsi koło Wieliczki obsadził swoją niewielką szklarnię swoją cytryną z wyraźnym zamiarem produkcji jej owoców na sprzedaż. Telewizja zrobiła mu reklamę. Walczak twierdził, że szklarniowa uprawa cytryny jest opłacalna. Daje ogromną oszczędność drogiego opału, bo zimą nie wymaga temperatury wyższej niż 0° C. Za przykładem Walczaka poszło więcej szklarni zarówno prywatnych jak i państwowych, głównie ze względu na oszczędność energii. Import cytryn do Polski był wtedy niewielki, ceny ich wysokie, opłacalne. Podobno w 1990 r. cytryna w szklarniach zajmowała już obszar 3 ha, a produkcja się opłacała, chociaż import znacznie się zwiększył, a ceny owoców obniżyły. Wątpię jednak, by opłacalność szklarniowej uprawy cytryny w Polsce utrzymała się na dłuższe lata.

Nieprawdopodobny sukces ponderozy zachęcił mnie do rozejrzenia się za innymi południowymi roślinami owocowymi, które miałyby szansę wejść na szerszą skalę do doniczkowej uprawy mieszkaniowej w Polsce. Chciałem przede wszystkim rozszerzyć w tym celu asortyment roślin cytrusowych. Sprowadziłem w 1986r. z USA inną botaniczną *var. Meyeri* czyli cytrynę Meyera. Rozmnaża się ona przez sadzonki zielne tak łatwo jak ponderoza, w mieszkaniu rośnie dobrze, rodzi owoce luksusowe, bardzo smaczne, kwaśne o bardzo cienkiej zupełnie gładkiej skórce. Z Japonii sprowadziłem nieznaną mi odmianę mandarynkę również bardzo łatwo rozmnażającą się przez sadzonki zielne. Nie ma ona tak dużego popytu jak ponderoza, bo kwitnie tylko raz w roku, a jej owoce w naszych warunkach są mało smaczne. Nie próbowałem wprowadzić pomarańczy, bo nie rozmnaża się ona łatwo przez sadzonki zielne, nie znosi też wysokiej temperatury w mieszkaniach w czasie zimy.

Z lepszym przyjęciem spotkał się karłowaty granat. Zobaczyłem go na rynku we Florencji i kupiłem dwie duże doniczki. Okazuje się, że może być wdzięczną doniczkową rośliną ozdobną. Tworzy bardzo niewielkie drzewko, raczej krzaczek. Bardzo łatwo rozmnaża się przez sadzonki zielne. Zaczyna kwitnąć już tego samego roku po rozmnożeniu. Zawija owoce, jeden, dwa lub kilka. Późną jesienią przybierają one piękny, czerwony kolor. Są jadalne ale kwaśne.

Z dobrym przyjęciem spotkała się też wprowadzona przeze mnie do uprawy doniczkowej kawa. Wszyscy lubimy kawę, ale mało kto widział ją kwitnącą i owocującą. Rozmnażać kawę trzeba przez nasiona, ale siewki zaczynają w mieszkaniu kwitnąć już w czwartym roku swego życia. Pierwszą siewkę wyhodowałem z nasienia przywiezionego z Indonezji w 1963r. Siewka zaowocowała w czwartym roku, ale wkrótce wyrosła w drzewko zbyt duże, by je można było trzymać na oknie.

W 1971 roku przywiozłem z Brazylii 20 różnych odmian kawy. Wysiałem je w Skierniewicach. Okazało się, że różniły się one bardzo pod względem siły wzrostu. Wybrałem z nich dwie odmiany karłowe i zacząłem je rozmnażać. Rozeszły się one po Polsce w dziesiątkach tysięcy sztuk. Nigdy jednak cytryna Meyera, mandarynka, granat ani kawa nie przyjęły się tak bardzo jak cytryna skierniewicka.

Prawdę mówiąc nie powinienem w swoim życiu zajmować się doniczkową uprawą roślin ozdobnych, nawet jeśli to były rośliny owocowe. Powinni zająć się nimi specjaliści od roślin ozdobnych, albo botanicy w ścisłym tego słowa znaczeniu, a nie sadownik. Tak się jednak złożyło, że nikt z tych ludzi doniczkową uprawą cytryny, granata czy kawy się nie interesował, a ja widziałem możliwości jakie mają one dla miłośników roślin egzotycznych. Wypełniłem pustkę która istniała.



Nie ma takiej pustki w Czechosłowacji, gdzie trzech wysoko wykwalifikowanych naukowców poświęca się prawie wyłącznie pracy badawczej nad doniczkową uprawą roślin cytrusowych w mieszkaniu.

Uprawa tych roślin stoi tam na znacznie wyższym poziomie niż w Polsce. Wychodzi w Czechosłowacji pięknie, kolorowo ilustrowany dwumiesięcznik „Citrusař”. Co roku jesienią amatorzy uprawy roślin cytrusowych organizują Sympozjum.

Żeby jednak nie popaść w kompleks niższości, przytoczę krótką informację podaną w „Citrusařa” na str. 127 z 1989 r.

„Polskie cytryny pokazały się w Litomierzycach na wystawie ‘Zahrada Cech’, gdzie ich sprzedano 60.000. Były w sprzedaży i cytryny ze Spółdzielni Produkcyjnej Velky Osek, wyższej jakości, większe i po znacznie niższej cenie. Np. cytryna Villafranca 50-60cm wysokości za 30 koron. Zwiedzających bardziej pociągały cytrusy z Polski, mniejsze, bez oznaczonej odmiany, ale w pięknym opakowaniu w cenie 50 koron. Nasze ogrodnicze gospodarstwa (i pracownie meystemowe) winno to pobudzić do myślenia.”

Te piękne opakowania, to kartoniki z okienkiem przez które widać roślinę. Przywiozłem je kiedyś na wzór z Florydy. Bracia Żakowie, którzy cytryny w Litomierzycach sprzedali w takich właśnie kartonikach, sami je eksportowali. Tak pracowała firma prywatna w porównaniu z czeską spółdzielnią.

## Ogród Botaniczny Polskiej Akademii Nauk

Warszawa miała swój Ogród Botaniczny, który dobrze poznałem studiując na Uniwersytecie botanikę. Ogród należał do Uniwersytetu. Miał starą, piękną tradycję, powstał w początku XIX-go wieku. Warszawa uwielbiała swój Ogród Botaniczny. Śpiewano o nim piosenki. Jeszcze dziś brzmią mi w uszach sentymentalne słowa jednej z nich w wykonaniu Mieczysława Fogga:

„Gdy w Ogródzie Botanicznym  
Rozkwitną bzy  
A w nastroju idyllicznym  
Me serce drży.”

Niestety jednak Ogród Botaniczny był bardzo mały. Miał zaledwie 4 ha powierzchni. To naprawdę niewiele na miasto stołeczne, którego liczba mieszkańców dochodziła do półtora miliona.

Dlatego botanicy warszawscy już w czasie wojny zaczęli tworzyć plany zbudowania po jej zakończeniu nowego, znacznie większego Ogrodu. Przewodniczył im prof. Roman Kobendza, kierownik Katedry Dendrologii w SGGW. Wybrał na ten cel teren obejmujący około 240 ha w Powsinie, na obrzeżach Warszawy. Teren był doskonale dobrany, niezabudowany, obejmujący zarówno nisko położone mady w dolinie Wisły, jak i wysoką skarpę, głównie zaś ziemie położone za skarpią.

Prof. Kobendza zmarł w 1955 r. Już w pierwszych latach po zakończeniu wojny botanicy doprowadzili do zatwierdzenia planów Ogrodu w planach rozbudowy Warszawy. Na razie nie było wiadomo, skąd przyjdą na ten cel fundusze, ale w planach rozbudowy Warszawy zarezerwowano dla niego obszar 240 ha, na którym nie będą wydawane zezwolenia pod żadną inną zabudowę.

Kiedy w 1951 r. powołano Polską Akademię Nauk, stało się rzeczą naturalną, że podejmie się ona wielkiego dzieła. Powstał w tym celu komitet, którego i ja byłem członkiem. Pod przewodnictwem prof. Gajewskiego komitet opracował dość szczegółowe plany Ogrodu. Zaczęły się starania o pieniądze, ale pieniędzy nie można było zdobyć, bo chodziło tu o sumy niebagatelne. W takim przypadku decyzja należała do najwyższych władz politycznych a więc do Władysława Gomułki. Ten jednak nawet słyszeć nie chciał o czymś tak niepotrzebnym, jak wielki Ogród Botaniczny. Sprawa więc trwała w zawieszeniu.

W 1966 roku zostałem Sekretarzem Wydziału Nauk Rolniczych i Leśnych PAN (Wydział V). Ponieważ sprawa Ogrodu bardzo leżała mi na sercu zwróciłem się do Wydziału Nauk Biologicznych z prośbą, aby przekazał ją Wydziałowi V, na co uzyskałem zgodę. Postanowiłem realizację Ogrodu przeprowadzić etapami. Wydział V miał w Poznaniu Zakład Fizjologii Roślin. Zorganizowałem przy nim w 1970 r. Pracownię Zasobów Genowych Roślin Rolniczych. Miał to być zaczątek Ogrodu Botanicznego. Ważnym zadaniem Ogrodu według przygotowanych planów było gromadzenie dzikich gatunków roślin, z których powstały rolnicze rośliny uprawne. Pracownię Zasobów Genowych postanowiłem ulokować nie w Poznaniu, a w Skierniewicach przy małej komórce poznańskiego Zakładu prowadzonej przez emerytowanego prof. Malinowskiego.

Na kierownika Pracowni powołałem dr Bogusława Molskiego, adiunkta w Katedrze Botaniki SGGW. Był to człowiek, którego dobrze znałem. Wysłałem go na roczny staż do USA w

ramach Wymiany z Kościołem Braci. Po powrocie wyjechał do Nigerii, gdzie przez trzy lata nauczał botaniki na jednym z tamtejszych Uniwersytetów. Miał więc dobre do swej pracy przygotowanie.

Kiedy przyszedł do władzy Edward Gierk, kiedy ekonomiczne położenie kraju znacznie się polepszyło, wyczułem, że można już było mówić otwarcie o Ogrodzie Botanicznym PAN. Należało zacząć od władz politycznych. Dotarłem do Józefa Tejchmy, Ministra Kultury i członka Biura Politycznego, który dał się z miejsca przekonać, a następnie zjechał do tej sprawy Premiera Piotra Jaroszewicza i Edwarda Gierka. Dowiedziawszy się o tym złożyłem wniosek w imieniu Wydziału V do Prezydium PAN o powołanie Ogrodu Botanicznego PAN w Warszawie. Prezydium wniosek uchwaliło i przesłało do Prezydium Rządu, tylko bowiem Rada Ministrów mogła powołać do życia Instytut i taką samodzielną jednostkę, jaką miał być Ogród Botaniczny. Rada Ministrów decyzją z dnia 3-go maja 1974 r. Ogród powołała lokalizując go w Powsinie, na terenie Wielkiej Warszawy wybranym przez prof. Kobendzę i zatwierdzonym później przez władze Polskiej Akademii Nauk.

Nie można było od razu zagospodarować całości 240 ha. Ogród przejął w ciągu kilku lat teren o powierzchni 40 ha, który był własnością państwową, tzn. Funduszu Ziemi. Reszta należała do kilkudziesięciu prywatnych właścicieli. Należało ją po wysokich cenach rynkowych wykupić. Na razie więc dr Molski ograniczył się do 40 ha i w krótkim czasie je zagospodarował. Na szczęście na tym terenie było kilka budynków, w tym jeden dość duży budynek mieszkalny. Mieszkańców wykwaterowano, miasto dało im mieszkania zastępcze. Budynek zwano Fangorówką, bo należał do słynnego malarza Fangora, który wyemigrował po wojnie do USA. Można już było przenieść ze Skierniewic do Powsina Pracownię Zasobów Genowych.

Dr Molski, który wkrótce habilitował się, a wreszcie uzyskał stopień profesora, okazał się fantastycznym organizatorem. W ciągu kilku lat ściągnął najpierw szereg baraków, w których umieścił pracownie i pracowników, potem pobudował dwie duże szklarnie i duży, główny budynek administracyjny i pracowniany przy szklarniach oraz obszerne warsztaty i budynki gospodarcze. Wszystko to działo się w czasach, gdy łatwo było zdobyć pieniądze na inwestycje, ale największą trudność przedstawiało uchwycenie „mocy przerobowych”, to znaczy przedsiębiorstw budowlanych, które by się łaskawie podjęły budowy. Zdarzało się, także w Akademii, że takich właśnie mocy nie można było zdobyć latami i przepadały fundusze inwestycyjne na budowę przyznane.

Dr Molski nawet nie próbował zabiegać o moce przerobowe. Zorganizował „grupę remontową”, składającą się z kilkudziesięciu ludzi, która oprócz remontów zajmowała się budowaniem nowych obiektów. W Warszawie nie można było dostać robotników do takiej pracy. Dr Molski tym się nie przejmował. Kupił samochód ciężarowy, który codziennie dowoził ludzi, tzw. robotniko-chłopów, ze wsi koło Garwolina.

Szybko zwiększała się liczba pracowników Ogrodu, w tym pracowników naukowych. Byli to przeważnie ludzie bardzo młodzi, tuż po studiach. W przedziwny sposób dyrektor Ogrodu zdobywał dla nich dobre wyposażenie laboratoryjne nie czekając, aż będzie je można importować przez Akademię. Trudno uwierzyć, że np. uzyskiwał dewizy z kwarantanny panter, antylop czy tygrysów. Skomunikował się ze Związkiem Ogrodów Zoologicznych w Holandii przez warszawski Ogród Zoologiczny. Związek sprowadzał egzotyczne zwierzęta do Ogrodów Zoologicznych w Europie. Zanim mogły one pójść do przeznaczonych dla nich Ogrodów, musiały przejść przez kwarantannę, aby upewnić się, że nie mają żadnej zaraźliwej choroby. Kwarantanna musiała być ulokowana z daleka od Ogrodu Zoologicznego. Takim miejscem był nasz Ogród

Botaniczny. Za zorganizowanie i przeprowadzenie kwarantanny europejski Związek Ogrodów Zoologicznych nie mógł po prostu płacić naszemu Ogrodowi Botanicznemu, bo dewizy zgodnie z biurokratycznymi zarządzeniami musiały być przekazywane skarbowi państwa. Zamiast gotówki Związek przysyłał naszemu Ogrodowi potrzebną aparaturę laboratoryjną.

Jako ten, który wreszcie doprowadził do powołania Ogrodu byłem mu bardzo bliski, śledziłem uważnie jego rozwój. Od początku jego powstania przewodniczyłem Radzie Naukowej Ogrodu, a więc miałem niejako oficjalny tytuł występowania w jego sprawach. Często wraz z dyrektorem Ogrodu zabiegałem o pomoc u czynników politycznych i administracyjnych, u Premiera, u różnych ministrów i Prezydenta miasta Warszawy, zwłaszcza od 1984 roku, kiedy przeszedłem na emeryturę i zamieszkałem w Warszawie. Z przewodnictwa Rady zrezygnowałem w 1989 r., ze względu na wiek i stan zdrowia.

Rada Naukowa Ogrodu niejednokrotnie dawała w swoich uchwałach dowody uznania i podziwu dla dyrektora Molskiego. Zmarł nagle i zupełnie niespodziewanie po krótkiej, nieokreślonej chorobie w marcu 1988r, w wieku lat 53, a więc w okresie swej największej aktywności. Był to wielki cios dla Ogrodu. Należało pomyśleć o jego następcy. Akademia stała na stanowisku, że na dyrektora Ogrodu, który był poważną instytucją, powinno się wziąć kogoś, kto ma przynajmniej stopień doktora habilitowanego. Z zewnątrz nie zgłosił się żaden kandydat z takimi kwalifikacjami. Wśród personelu naukowego Ogrodu było kilku ze stopniem doktora, nawet bliskich habilitacji. Rada Naukowa Ogrodu zaproponowała powierzyć kierownictwo dotychczasowemu zastępcy dyrektora dr Jerzemu Puchalskiemu.

Ogród Botaniczny istniał już od 1974 r., ale tereny w Powsinie zostały przejęte w latach 1975-1976. Dr Molski przejął wtedy i zagospodarował obszar 40 ha, mając nadzieję obszar ten stopniowo powiększać z upływem lat. Przyszły jednak ciężkie czasy i nie udało mu się terenu powiększyć. Obszar 40 ha nie był mały. Można było na nim rozwinąć kilka kierunków przewidzianych w pierwotnych planach. Ogród Botaniczny PAN miał duże powiązanie z rolnictwem. Już w pierwszych latach zgromadzono w nim bardzo bogatą kolekcję odmian żyta. Duży nacisk położono na rośliny ogrodnicze. Rozbudowano kolekcję roślin lekarskich, ozdobnych, warzywnych i sadowniczych. Ze względu na to, że wielu warszawiaków interesuje się ogrodami działkowymi, zaprojektowano kilka wzorców ogrodów działkowych różnych wielkości i różnych specjalizacji. Jeśli chodzi o rośliny dzikie, to duży nacisk położono na kolekcję ginących lub przynajmniej coraz rzadziej spotykanych gatunków roślin krajowych. W szklarniach w związku z kolekcją roślin z klimatu tropikalnego i subtropikalnego Ogród miał dużą zasługę w spopularyzowaniu w Polsce doniczkowej uprawy cytryny, mandarynki, karłowego granata i kawy, które to rośliny przywozłem ze Skierniewic.

Do 1990 r. Ogród nie zdołał zapoczątkować Arboretum zaplanowanego na terenie należącego do państwa lasu, który wyrósł na przedwojennych polach golfowych. I bez tego jednak można już było Ogród otworzyć dla publiczności, przynajmniej częściowo. Nastąpiło to w 1990 roku. Udostępniono go zwiedzającym w wiosenne, letnie i jesienne miesiące w soboty i niedziele. W następnych latach, kiedy zostanie uruchomiona normalna miejska komunikacja autobusowa do bram Ogrodu, będzie można go udostępnić dla zwiedzających każdego dnia w tygodniu.

## We władzach Akademii Nauk

W skład pierwszego składu Polskiej Akademii Nauk wszedłem w 1951 roku na podstawie nominacji. W 1964 roku zostałem wybrany przez Zgromadzenie Ogólne członkiem rzeczywistym Akademii, a w 1960 r. członkiem jej Prezydium. Do Prezydium wchodziłem przez szereg kolejnych kadencji do końca 1986 r. W 1966 roku drogą nominacji zostałem Sekretarzem Wydziału V-go, to znaczy Wydziału Nauk Rolniczych i Leśnych. Tym samym wszedłem do władz Akademii. Sekretarze wtedy nie byli wybierani lecz mianowani.

Nie ubiegałem się o stanowisko Sekretarza. Uważałem, że dwie powinności, a mianowicie kierownika Katedry Sadownictwa SGGW i dyrektora Instytutu Sadownictwa, całkowicie mi wystarczają. Moje ambicje nie szły dalej.

Pierwszym Sekretarzem Wydziału V PAN był prof. Mieczysław Czaja, zootechnik z Krakowa. Był to człowiek bardzo energiczny, ściśle związany z praktyką, prosty w obejściu, bardzo wśród naukowców rolników popularny. W 1958 r. zmarł nagle na serce w czasie polowania. Usiadł ze strzelbą na pieńku i już z niego nie wstał. Powołano wtedy na jego miejsce prof. A.L., specjalistę z uprawy roślin rolniczych, również z Krakowa.

Był to człowiek naprawdę niezwykle. Syn polskiego generała z Armii Rosyjskiej, wybitnie inteligentny. Po wojnie wstąpił do Partii twierdząc, że socjalizm jest jedynym systemem mającym możliwość zaprowadzenia sprawiedliwości społecznej. Był raczej myślicielem niż eksperymentatorem. Zdarzało się, że ktoś mu tłumaczył jakąś zawiłą sprawę administracyjną, a A.L. na to po kilkunastu minutach słuchania „Ten wczorajszy solista był jednak nadzwyczajny”. Myślał o koncercie a nie o sprawach, które mu tłumaczono. W czasach genetyki miczurinowskiej, którą przyjął niewiele się o nią troszcząc, odegrał bardzo pożyteczną rolę. Ratował niejednokrotnie ludzi, którzy się jej przeciwstawiali, od prześladowań i zwolnień z pracy. Sam narażał się wielokrotnie. Inni wpływowi członkowie Partii jak prof. Petruszewicz i dr Paszkowska zawsze ratowali go przed tego rodzaju atakami.

Prof. Listowski kierował Katedrą Uprawy Roślin w Wyższej Szkole Rolniczej w Krakowie. Po śmierci prof. Czaji, kiedy został Sekretarzem Wydziału V PAN, otrzymał taką samą katedrę na SGGW i przeniósł się na stałe do Warszawy. Bardzo go ceniono i lubiano w rolniczych kołach naukowych, ponieważ nie miał przerostów ambicji, nikogo nie gnębił, a na odwrót, starał się każdemu pomagać. Najważniejsze było to, że nikomu w pracy nie przeszkadzał, nie dręczył biurokacją, bo sam jej nie znosił, a przepracowywać się nie lubił, chętnie znaczną część swoich obowiązków, swojej władzy zlecał współpracownikom.

Jesienią 1968 r. miały się odbyć wybory do władz Polskiej Akademii Nauk. Zaproponowano, by Listowski został Wiceprezesem PAN, wobec tego kto inny obejmie kierownictwo Wydziału V.

Akademia była jedyną instytucją w Polsce, którą można by nazwać demokratyczną, jedyną, w której odbywały się wolne wybory członków i władz, to znaczy Prezesa, Wiceprezesów i członków Prezydium. Natomiast Sekretarz Naukowy oraz Sekretarze Wydziałów byli mianowani. Wśród członków Akademii było wielu, jeśli nie większość takich, którzy byli bardzo krytycznie ustosunkowani do systemu komunistycznego, głośno o tym mówili na Zgromadzeniach Ogólnych. W teorii, gdyby chcieli, mogliby do władz wybrać nawet najbardziej skrajnych przeciwników komunizmu. W rzeczywistości jednak głosowali na członków partii, albo na osoby nastawione ugodowo. Uważali, że gdyby wybrali Prezesem ekstremistę, władze państwowe prze-

znaczyłyby znacznie mniej funduszy nie tylko na Akademię ale nawet na całą polską naukę. Takie były czasy.

Komisja-Matka przedstawiała do głosowania tylko jedną listę. Aby jednak mogła ona uzyskać zgodę większości członków, wysuwano kandydatów kompromisowych, którzy mogliby liczyć na poparcie większości. Prezesami byli w pierwszych latach bezpartyjni. Prof. Dembowski, prof. Kotarbiński i prof. Groszkowski, potem kolejno dwóch członków partii - prof. Trzebiatowski i prof. Nowacki. Głosowano tajnie, na sali nie było nikogo poza członkami PAN. Nikt więc nie patrzył na to, kogo głosujący skreślali. Aby został wybrany prezes, musiał otrzymać dwie trzecie głosów. Do wyboru członków PAN i członków Prezydium potrzebna była zwykła większość głosów. Do 1980 r. nie zdarzyło się, by któryś z zaproponowanych członków Prezydium nie został wybrany. Żaden jednak nie uzyskiwał 100% głosów. Jeśli się skreśliło kogoś z kandydatów na członków Prezydium, można było na jego miejsce wstawić inne nazwisko. Przy wyborach na nowych członków PAN też przechodzili kandydaci z zaproponowanej jednej listy, ale zdarzyło się raz za czasów Gierka, że jeden z kandydatów ze Śląska nie uzyskał większości głosów i przepadł w wyborach.

W skład Prezydium wchodził w tajnym głosowaniu Prezes i czterech wiceprezesów, kilkunastu członków również wybranych w tajnym głosowaniu, a także z urzędu Sekretarz Generalny oraz Sekretarze Wydziału nie z wyboru lecz z mianowania. Na zebraniach Prezydium był zawsze obecny, bez prawa udziału w głosowaniu, sekretarz organizacji partyjnej w Akademii, a od czasu ogłoszenia stanu wojennego także generał, przedstawiciel wojska. Przy Prezydium działał Zespół Partyjny z członków Prezydium. Zbierał się w lokalu Komitetu Centralnego przed każdym posiedzeniem Prezydium dla ustalenia wspólnej linii postępowania. Przed każdym Zgromadzeniem Ogólnym PAN w tym samym celu odbywało się zebranie członków PAN, którzy byli członkami PZPR.

W grudniu 1965 r. prof. A.L. został wybrany Wiceprezesem PAN bardzo dużą większością głosów. Nie wiedziałem, kto przyjdzie na jego miejsce w Wydziale V i mało mnie to obchodziło, aż tu nagle zostałem wezwany przez Sekretarza Generalnego, który mi oświadczył, że istnieje zamiar, aby mnie na to stanowisko powołać. W pierwszej chwili odparłem że się nie zgadzam, bo rzeczywiście nie miałem żadnych ambicji w kierunku zajmowania wyższych stanowisk w Akademii. Powiedziałem, że mam przecież na głowie duży Instytut i Katedrę Sadownictwa SGGW, nie mam zatem czasu na jeszcze jedno dodatkowe zajęcie. Wezwał mnie wtedy do siebie Minister Rolnictwa Mieczysław Jagielski i także zaczął nalegać bym przyjął stanowisko Sekretarza Wydziału V. Nie obawiał się, że ucierpi Instytut. Powiedział, że mam w nim wielu zdolnych ludzi, którzy mogą przejąć na siebie znaczną część moich obowiązków. Po dłuższym namyśle uległem.

Sekretarz każdego wydziału PAN miał po dwóch zastępców, którzy niekoniecznie musieli być członkami Akademii. Powołałem więc na swoich zastępców prof. Gertycha oraz prof. Janusza Hamana z Wyższej Szkoły Rolniczej w Lublinie.

Prof. Haman urodzony w 1923 r. miał wykształcenie rolnicze i politechniczne, był kierownikiem Katedry Mechanizacji. Katedrę rozbudował w Instytut Techniki Rolniczej zatrudniający kilkudziesięciu pracowników. Był to człowiek bardzo wybitny, energiczny, przedsiębiorczy, bezpartyjny, członek korespondent PAN. Zgodził się przenieść z Lublina do Warszawy.

Ministerstwo Zdrowia zorganizowało zaraz po wojnie specjalną lecznicę, z której mogli korzystać tylko najwyżsi urzędnicy państwowi i ich rodziny. W Ministerstwach uprawnienia do

korzystania z Lecznicy posiadali Ministrowie, podsekretarze stanu, dyrektorzy i wicedyrektorzy departamentów. W Akademii Nauk - prezes, wiceprezesi, sekretarz naukowy, sekretarze wydziałów i ich zastępcy. Dano też prawo korzystania z Lecznicy rządowej i to dożywotnio laureatom nagród państwowych i ich rodzinom. Przywilej ten miałem zatem od 1951 r., kiedy to otrzymałem nagrodę państwową, a więc 15 lat przed mianowaniem na stanowisko Sekretarza Wydziału V PAN. Od 1975 r. przywilej korzystania z Lecznicy otrzymali też wszyscy profesorowie wyższych uczelni pracujący w Warszawie.

Korzystanie z Lecznicy było bardzo ważnym przywilejem. Wiadomo, że bezpłatna opieka lekarska wraz z bezpłatnym szpitalnictwem rozrastała się po wojnie wszcz, a nareszcie objęła również i ludność rolniczą. Nie towarzyszyła temu rozbudowa bazy materialnej. Pacjenci musieli stać w długich kolejkach do lekarza. Wśród lekarzy szerzyło się łapownictwo. Szpitale były przepełnione, łóżka stały na korytarzach, na wolne miejsce trzeba było długo czekać. Na jednego lekarza przypadało tylu pacjentów, że nie mieli czasu na ich dokładne zbadanie. Najgorsza była obsługa szpitalna, ordynarne i leniwe salowe, które trzeba było stale opłacać.

Tymczasem Lecznica rządowa mieszcząca się na rogu ul. Emilii Plater i Hożej, miała zapewnione dobre warunki, porównywalne z warunkami na zachodzie Europy. Nie czekało się w długich kolejkach do lekarza. Lekarze nie byli przeciążeni, mieli czas, by pacjenta zbadać, nie spieszyli się. Apteka w Lecznicy miała nieco szerszy wybór leków, zwłaszcza tych które sprowadzano z zagranicy. Lecznica miała nie tylko ambulatorium, ale i własny szpitalik. Leżało się tam w pokojach dwu- lub trzyosobowych, a nawet jednoosobowych. Zapewniano bardzo dobrą opiekę, bez luksusów ale smaczne i zdrowe wyżywienie.

Dowiedziałem się później, że w tym bezklasowym społeczeństwie obowiązywał i wśród uprawnionych do korzystania z Lecznicy podział. Ministrowie, wiceministrowie i ich odpowiednicy mieli swój dział „W” czyli wydzielony. Kiedy zostałem wiceprezesem Akademii, przeniesiono mnie do działu „W”, również na rogu Hożej i Emilii Plater. Pracował tam osobny zespół lekarzy, na których wcale się nie czekało w kolejkach, bo pacjentów było tu znacznie mniej. W szpitaliku mieli najczęściej pokoje jednoosobowe. Poza tym nie było większych różnic między działem wydzielonym i ogólnym.

Obowiązki Sekretarza Wydziału V PAN sprawowałem przez dwie kolejne kadencje, to znaczy 1966-1968 i 1969-1971. W czasie pierwszej kadencji na zastępców dobrałem sobie prof. Gertycha i prof. Hamana. Na drugą kadencję pozostali ci sami, ale doszedł trzeci, prof. Zbigniew Żebrowski, zootechnik z SGGW. Współpraca między nami układała się bardzo dobrze. Prawdę mówiąc nie za wiele czasu poświęcałem Akademii w ciągu dwóch pierwszych lat, bo przecież miałem na swojej głowie także Katedrę Sadownictwa SGGW i Instytut Sadownictwa. W 1968 roku, kiedy zwolniono mnie z pracy w SGGW, miałem więcej czasu. Dalej jednak dużo wolnej ręki pozostawiałem swoim zastępcom.

Ustalił się zwyczaj, że Sekretarze Wydziałów Prezes i Wiceprezesi piastowali swe stanowiska nie dłużej niż przez dwie trzyletnie kadencje. W 1972 r. Sekretarzem Wydziału V PAN mianowano prof. Bohdana Dobrzańskiego, który na swoich zastępców wziął prof. Antoniego Rutkowskiego i prof. Franciszka Witczaka obu z SGGW. Dobrze się złożyło, bo miałem już zbyt wiele pracy, zwłaszcza, że w 1970 wybrano mnie Prezesem Międzynarodowego Towarzystwa Nauk Ogrodniczych. Moim zadaniem było przygotowanie na 1974 rok Międzynarodowego Kongresu Ogrodniczego. Miał to być kulminacyjny punkt w moim życiu zawodowym i naukowym. Musiałem przygotowaniu Kongresu poświęcić wiele czasu.

Po trzyletniej przerwie wróciłem do władz Akademii w końcu 1974r. W grudniu tego roku wybrano mnie Wiceprezesem. Była to dla mnie duża niespodzianka. Stanowisko Prezesa w kadencji 1975-1977 sprawował prof. Trzebiatowski, wiceprezesów prof. Jan Szczepański, prof. Witold Nowacki, prof. Marian Mięśowicz i ja.

Przyznam się, że ten wybór zrobił mi przyjemność. Przede wszystkim był to wybór, a nie mianowanie jak na Sekretarza Wydziału. Wprawdzie do głosowania proponowano tylko jedną listę, ale jak wspominałem, głosowanie było tajne i można było skreślać. prof. Trzebiatowskiego skreśliło ponad 60 osób, ponad 25% obecnych. Mnie skreśliło tylko kilkunastu głosujących, nawet mniej niż wybitnych profesorów bezpartyjnych.

Dostałem gabinet na 26-piętrze i jak wszyscy z uśmiechem mi wypominali- najpiękniejszą sekretarkę, Barbarę Szorc. Była to rzeczywiście prześliczna dziewczyna, po prostu modelowa. Swoje sekretarskie obowiązki spełniała doskonale. Niesłychanie obrotna, uczynna i sprytna, potrafiła załatwić bilety teatralne choćby tylko z kilkogodzinnym wyprzedzeniem. Łączyła rozmowy międzymiastowe niemal błyskawicznie. Interesantów zawsze umawiała mi na odpowiedni czas, a i sama załatwiała dla mnie i dla nich szereg spraw zdawałoby się nie do załatwienia. Piękne oczy, odważne zagrania, a przy tym dziewczęcy humor robiły swoje. Razem z żoną przyjaźniliśmy się z nią również po moim odejściu z władz Akademii. Wyszła za mąż w 1989 r. za wojskowego, bardzo miłego lekarza. W czerwcu 1991 r. urodziła syna, którego nazywaliśmy naszym wnuczkim.

W ścisłym Prezydium Akademii dano mi przewodnictwo Rady Towarzystw Naukowych. W czasie mojej kadencji opracowaliśmy Raport o stanie Towarzystw. Staraliśmy się wywalczyć odrębną ustawę o Towarzystwach Naukowych. Dotychczas opierały się one o ogólną ustawę o stowarzyszeniach. Nie udało się nam jednak osiągnąć tego celu. Jako namiastkę doprowadziliśmy do Uchwały Rady Państwa o Towarzystwach Naukowych. Uchwała nie miała mocy ustawy, niemniej jednak podniosła prestiż Towarzystw. Było to ważne zwłaszcza dla Towarzystw regionalnych, które znajdowały się pod opieką władz wojewódzkich.

W 1977 r. zostałem wybrany Wiceprezesem na drugą kadencję na lata 1978-1980, przy jeszcze mniejszej liczbie skreśleń niż przy wyborach na poprzednią kadencję. Zawdzięczałem to coraz większej popularności w kraju. Bardzo wzrosła produkcja owoców, zwłaszcza jabłek, a przypisywano to mojej działalności. Zdarzało się często, że kiedy siedziałem w jakiejś poczekalni, czekająca obok kobieta zwracała się do mnie z uwagą: „Pan bardzo przypomina mi sławnego profesora Pieniążka.” Przytaczałem wtedy powiedzenie Zagłoby: „Kiepsko, kto się swego klejnotu (nazwiska) wstydzi.” Dodawałem jednak, że z nazywaniem kogoś sławnym lepiej poczekać, aż umrze. Przecież przed śmiercią może tyle głupstw popełnić, że zmaże to wszystko, co za życia dobrego zrobił.

W wyborach 1977 r. Prezesem został prof. Witold Nowacki, a wiceprezesami poza mną prof. Jan Szczepański, prof. Andrzej Trautman i prof. Jerzy Litwiniszyn. Miałem w tej kadencji te same obowiązki co w zeszłej, a nawet trochę więcej, bo prof. Szczepański został członkiem Rady Państwa i w Akademii mało się udzielał.

Stanowisko Wiceprezesa PAN odpowiadało stanowisku Podsekretarza Stanu. Przysługiwał mi paszport dyplomatyczny, mojej żonie również. Mieliśmy w związku z tym nie lada przygodę w 1975r. Wybraliśmy się do Kumasi w Ghanie na Międzynarodowe Sympozjum na temat ogrodnictwa w Afryce. Za mój pobyt zapłaciło Międzynarodowe Towarzystwo Ogrodnicze, za żony pobyt i koszty podróży zapłaciliśmy sami.



Po zakończeniu Sympozjum jeszcze przez tydzień po tym kraju podróżowaliśmy. Zapoznaliśmy się z miejscowymi owocami, np. z owocami nieoczekiwanej szczęśliwości (serendipity berry - *Dioscoreophyllum cumminsii*), który jest parę tysięcy razy słodszy od cukru. Podziwialiśmy „cudowny owoc” (*Synsepalum dulcificum*), który na kilka godzin zmienia reakcję gruczołów smakowych na przyjmowane pokarmy. Po jego zjedzeniu cytryna smakuje jak najśłodsza pomarańcza, a skwaśniałe „piwo” z soku palmy olejowej jak małmazja na Olimpie. Właściwość swą zawdzięcza cudowny owoc glikoproteinie, której nadano nazwę mirakuliny. Najciekawszą rzeczą, jaką w Maroku zobaczyłem, były kozy skaczące po drzewach jak wiewiórki.

Było to w półpustynnych rejonach blisko Agadir, na południowym zachodzie kraju. Roślinność bardzo skąpa, rosło tam jednak drzewo *Argania sideroxylon*, karłowe, pokręcone we wszystkie możliwe kształty. O kozach się mówi, że zjadły cesarstwo ottomańskie, bo zamieniły w pustynię zamieszkałe kiedyś obszary. W rejonach o niewielkich opadach, a więc skąpej roślinności, mogą wyniszczyć roślinność doszczętnie. Nie miały tu wyboru. Mogły żywić się albo kamieniami albo arganią. Nic dziwnego, że wybierały to drugie. Wskakiwały na pierwszy, najniższy konar, a z niego na wyższe, wyjadając liście i owoce arganii. Zrobiłem zdjęcie jednego drzewa, w którego koronie zerowało 18 kóz.

W okresie pracy w Akademii dostałem szereg zaszczytnych wyróżnień zagranicznych. Zostałem wybrany członkiem zagranicznym Akademii Nauk Rolniczych Bułgarii, członkiem zagranicznym Akademii Nauk Rolniczych NRD i członkiem zagranicznym Akademii Nauk Rolniczych Związku Radzieckiego. Nie byłem na tyle naiwny i zarozumiały, by dojść do przekonania o swej wartości. Wiadomo, że w państwach socjalistycznych należało do dobrego tonu wybierać na członków zagranicznych Akademii uczonych z bratnich krajów, którzy w swoim kraju zyskali uznanie i którzy drogą nominacji lub wyboru piastowali odpowiednio wysokie stanowiska w nauce.

Trzeba przyznać, że wybór na członka zagranicznego takiej Akademii, jak choćby Akademii Nauk Rolniczych ZSRR ceniono sobie wysoko, nie tylko u nas, ale i na zachodzie Europy.

Szczerze mówiąc największą przyjemność sprawił mi wybór do Akademii Rolniczej Francji. Wybór ten nie nastąpił dlatego, że sprawowałem w Polsce jakieś funkcje - to powód pierwszy. Drugi powód był czysto sentymentalny. Język francuski był pierwszym językiem obcym, jakiego się w życiu zacząłem uczyć. Miałem wtedy 12 lat. Pamiętam, że dla chłopca ze wsi było to prawdziwe przeżycie. Pamiętam pierwszy podręcznik do nauki języka francuskiego, nazwisko nauczycielki - Sylwestrowiczowej w szkole powszechnej w Mrozach. Kiedy uczyłem się tego języka już w gimnazjum w Siedlcach, dostałem jako nagrodę za dobre wyniki szkolne słownik - encyklopedię Larousse'a w 1930 r. z napisem złożonymi literami. Język francuski bardzo polubiłem i opanowałem go w gimnazjum na tyle, że mówiłem i pisałem nim zupełnie swobodnie.

We Francji jest nie jedna, lecz kilka Akademii. Jedną z najstarszych powołaną do życia jeszcze przez Ludwika XV-go jest Akademia Rolnicza. Ma ona stałą liczbę członków krajowych i zagranicznych. Nowi członkowie wybierani są na miejsce członków zmarłych. W 1976 r. zostałem wybrany zagranicznym członkiem korespondentem na miejsce zmarłego Izraelczyka prof. Anona. W 1979 r. zostałem awansowany na zagranicznego członka Akademii.

Przy tej okazji wspomnieć muszę o jeszcze jednym, raczej niezwykłym odznaczeniu. W styczniu 1977 r. otrzymałem list od dyrektora Institut Agricole et Horticole (Instytut Rolniczy i Ogrodniczy) z Genech w północno-wschodniej Francji, Jean Defontaines. Pisał do mnie, że jeden z jego profesorów odwiedził nasz Instytut i bardzo mu się u nas podobało. Instytut w Genech

chciałby z nami nawiązać bliższą współpracę. Jeśli nie mam nic przeciwko temu, to przyjedzie do mnie na dzień lub dwa za dwa tygodnie celem omówienia tej sprawy. Wyraziłem zgodę. Przyjechał starszy Pan, może troszkę młodszy ode mnie. Zaprosiłem go na kolację do domu. Po kolacji usiedliśmy, rozmawialiśmy. W pewnej chwili moja żona pyta go, czy ma dzieci? „Nie - proszę pani - jestem księdzem katolickim”. Zdziwiliśmy się niepomiernie. Potem dowiedzieliśmy się, że ks. Defontaines, wybitny rolnik z wykształcenia, był także wybitnym działaczem i organizatorem. Zorganizował swój Instytut, który był ciągiem szkół rolniczych i ogrodniczych od niższych, przez średnie aż do wyższych. Uczyło się w nim blisko 1500 młodych dziewcząt i chłopców. Genech leży blisko Lille. Mieszka tam wielu Polaków, sporo Polaków było też wśród uczniów i nauczycieli Instytutu. Stąd też zainteresowanie Defontaines'a Polską.

Zapytał mnie, w jaki sposób mógłby jego Instytut z naszym nawiązać współpracę. Zaproponowałem wymianę bezdewizową. Defontaines przyjął moją propozycję. W ciągu następnych 4 lat co roku grupa 50 młodych studentów i nauczycieli z Genech przyjeżdżała na 8 dni do Polski, głównie w celach turystycznych. My pokrywaliśmy koszty ich pobytu w Polsce z wpłat tych Polaków, którzy jechali na taki sam okres czasu do Francji i byli tam utrzymywani przez stronę francuską. Nasze grupy składały się głównie z pracowników Instytutu Sadownictwa i Warzywnictwa, ale oprócz tego braliśmy sadowników z PGR i instruktorów ze spółdzielczości ogrodniczej i z innych instytucji. Celem wyjazdu Polaków było zwiedzanie sadów i instytutów naukowych, ale po drodze oglądano Paryż i inne miejscowości ciekawe z turystycznego punktu widzenia.

Wymiana stała się dużym sukcesem. Pisano i mówiono o niej jako o dobrym przykładzie przyjaznego rozwoju stosunków polsko-francuskich. W 1981 r. jeden z profesorów Instytutu w Genech, Chauffaut, napisał do mnie z prośbą o dane biograficzne, ponieważ chce wystąpić o odznaczenie mnie orderem „Grand Officier” (Wyższego Oficera) Międzynarodowego Towarzystwa z siedzibą we Francji - Encouragement Public. To coś takiego jak Towarzystwo Uznania Powszechnego. Miałem być pierwszym Polakiem, który to odznaczenie otrzyma. Tym samym orderem postanowiono odznaczyć także ks. Defontaines'a za jego wkład w rozwój stosunków naukowych i kulturalnych polsko - francuskich. Najprzyjemniejszym szczegółem tego odznaczenia było to, że zostało nam ono wręczone nie w Paryżu ani w Genech, ale 12 lipca 1981 r. w Instytucie Sadownictwa i Kwaciarnictwa w Skierniewicach. Zostaliśmy obaj udekorowani lśniącymi od złota (tylko z koloru...) dużego formatu gwiazdzistymi orderami w nieco odpustowym stylu, ale nie o kształt i kolor orderu tu chodziło. Cieszyło mnie to, że również ze strony francuskiej przykładano tak dużą wagę do rozwoju przyjaznych francusko - polskich stosunków.

Uznania doczekałem się również i od moich amerykańskich kolegów. W 1973 r. zostałem wybrany „Fellow”, to znaczy Członkiem Honorowym Amerykańskiego Towarzystwa Nauk Ogrodniczych.

## Międzynarodowe Towarzystwo Nauk Ogrodniczych

Wspomniałem już o pierwszym w swoim życiu Międzynarodowym Kongresie Ogrodniczym, w którym uczestniczyłem. Był to XIV-ty już z kolei Kongres. Odbył się w 1954 roku w Scheveningen, w Holandii. Pierwszy Kongres zebrał się 100 lat przedtem, w 1864 roku w Brukseli. Kongresy były organizowane nieregularnie, zwoływane przez tworzone ad hoc komitety. W ostatnich latach przed wojną odbywały się one mniej lub więcej regularnie, co kilka lat, najczęściej w Europie, chociaż jeden miał miejsce w Ameryce, w Chicago, w 1983 roku.

Również i Kongres w Scheveningen został zorganizowany przez Komitet utworzony w tym celu na poprzednim Kongresie, w Londynie w 1952 roku. W niektórych dyscyplinach nauki działały już międzynarodowe towarzystwa, których zadaniem było między innymi organizowanie międzynarodowych Kongresów. Taka myśl została rzucona w Scheveningen pod adresem nauk ogrodniczych. Spotkała się w tym celu grupa uczonych z Holandii, Francji, Belgii i Anglii. Ponieważ moja obecność w Kongresie została zauważona, zaproszono do tej grupy i mnie.

Uchwalono, że następny Kongres odbędzie się w Nicei, we Francji, wiosną 1958 roku, a przez ten czas będą odbywały się konsultacje i wymiana poglądów na temat powołania do życia międzynarodowego towarzystwa ogrodniczego. Na Kongresie w Nicei zebrała się znowu grupa przyszłych organizatorów towarzystwa. Wiele wniósł do niej dr H.B. Tukey, kierownik Katedry Ogrodnictwa na Uniwersytecie stanu Michigan, w East Lansing. Znałem go dobrze, bo za moich amerykańskich czasów pracował w Nowojorskiej Rolniczej Stacji Doświadczalnej w Geneva, N.Y. Kierował działem sadowniczym. Wybitnie zdolny, badacz i organizator, typ męża stanu.

Pod jego wpływem przyspieszono prace organizacyjne. W 1959 roku w Paryżu miała się odbyć wiosną Międzynarodowa Wystawa Kwiatów - Florales Internationales. Zaproszono na nią grupę inicjatorów towarzystwa z 11 państw. Zaproszono i mnie jako jedyne przedstawiciela naukowego ogrodnictwa państw socjalistycznych. Podpisaliśmy uroczysty akt powołania towarzystwa, które przyjęło nazwę zaproponowaną przez Tukey'a - Międzynarodowego Towarzystwa Nauk Ogrodniczych (International Society for Horticultural Science). Jego prezesem wybrano prof. Adolfa Lecrenier, kierownika Katedry Sadownictwa Wyższej Szkoły Rolniczej w Gembloux, w Belgii, który otrzymał zadanie zwołania XVI-ego Międzynarodowego Kongresu Ogrodniczego w Brukseli w 1962 roku. Wiceprezesem został dr Tukey z tym, że miał on przygotować XVII-ty Kongres w 1966 roku w Stanach Zjednoczonych.

Holandię ustalono jako siedzibę MTNO. Sekretarzem Generalnym - Skarbnikiem obrano dr G. de Bakker, młodego dyrektora upowszechnienia wiedzy w holenderskim Ministerstwie Rolnictwa. Stąd właśnie Ministerstwo dało bezpłatnie pomieszczenie na biura Towarzystwa i przez całe lata następne pokrywało koszty przesyłek pocztowych, co stanowiło dla MTNO dużą pomoc finansową. Dr Bakker, z którym się bardzo zaprzyjaźniłem, sprawował obowiązki Sekretarza do 1982 roku.

Członkami MTNO były poszczególne państwa, które płaciły roczne składki od 100 do 3000 dolarów. Byli też członkowie indywidualni, a także afiliowani - różne instytucje naukowe i zawodowe. W ciągu kilku lat doprowadziłem do tego, że wszystkie kraje socjalistyczne, w tym i ZSRR, przystąpiły do MTNO. Zyskałem sobie przez to w kręgach Towarzystwa znaczny mir jako propagator współpracy Wschód - Zachód. Na Kongresie w Brukseli, na którym wystąpiłem z referatem na temat swoich prac w Polsce nad sposobami uprawy gleby w sadzie, zostałem na wniosek Tukey'a wybrany Przewodniczącym Sekcji Sadowniczej wchodząc w ten sposób w skład Komitetu Wykonawczego MTNO.

Już w Brukseli Komitet Wykonawczy radził nad tym, jakby można Międzynarodowe Kongresy uczynić bardziej międzynarodowymi. W dotychczasowych Kongresach ogromną większość stanowili uczestnicy państw zachodnich. Bardzo niewielu przyjeżdżało przedstawiciele państw trzeciego świata i państw socjalistycznych. Jeśli chodzi o trzeci świat, to powodem ich nieobecności była zwyczajna bieda. Rządy tych krajów nie miały pieniędzy na delegowanie swoich uczonych na międzynarodowe imprezy. W przypadku państw socjalistycznych chodziło o ograniczenia dewizowe. Gdyby Kongres odbywał się w którymś z krajów socjalistycznych, szersze uczestnictwo innych krajów socjalistycznych byłoby zapewnione. Na Kongres w zachodniej Europie wysyłano z krajów socjalistycznych po kilku lub, w przypadku ZSRR kilkunastu delegatów. Zarówno w Scheveningen, w Nicei jak i w Brukseli uczestnicy z krajów socjalistycznych stanowili nie więcej niż 10 % uczestników.

Tukey zwrócił się do mnie z zapytaniem, czy nie można by jeden z najbliższych Kongresów Ogrodniczych zorganizować w Polsce. Odpowiedziałem, że muszę porozmawiać z odpowiednimi władzami w Warszawie, po czym dam odpowiedź. Zwróciłem się z tą propozycją do Sekretarza Naukowego Polskiej Akademii Nauk, a Sekretarz skierował zapytanie do Ministerstwa Spraw Zagranicznych. Przyszła odpowiedź pozytywna. Upoważniono mnie do zaproszenia Międzynarodowego Kongresu Ogrodniczego do Polski na rok 1974.

W czasie Kongresu Ogrodniczego w 1966 r. w College Park, Maryland, USA, na posiedzeniu Komitetu Wykonawczego MTNO przedstawiłem zaproszenie w imieniu polskiego rządu. Oprócz Polski zgłosili też zaproszenie przedstawiciele FRN i krajów skandynawskich. Niewielu wierzyło, że któreś z krajów socjalistycznych podejmie się zorganizowania Kongresu, więc przygotowano inne zaproszenia. Wobec mojego wniosku natychmiast wycofali się Niemcy i Duńczycy i poparli myśl Kongresu w Polsce. Komitet przyjął zatem jednomyślnie moje zaproszenie. Prezesem MTNO został wybrany dr Spiegel-Roy z Izraela, który miał organizować Kongres najbliższy, to znaczy w 1970 roku, a mnie wybrano wiceprezesem Towarzystwa.

W 1967 roku wybuchła wojna izraelsko - egipska, w wyniku której Izrael zajął obszerne terytoria egipskie - Synaj i Gazę, jordańskie - Samarię i wschodnią część Jerozolimy, oraz syryjskie - wzgórza Golan. Państwa socjalistyczne zerwały z Izraelem stosunki dyplomatyczne. Tymczasem nadchodził rok 1970, w którym miał się odbyć Międzynarodowy Kongres Ogrodniczy w Tel Aviv. Miałem być na tym Kongresie wybrany Prezesem MTNO. Jeśli nasze zaproszenie na rok 1974 miało być utrzymane, musiałem wziąć w Kongresie izraelskim udział.

Polska Akademia Nauk i Ministerstwo Spraw Zagranicznych podtrzymały zaproszenie Kongresu do Polski na rok 1974, a zatem dostałem zezwolenie na wyjazd do Izraela. Wizę dostałem w konsulacie austriackim, który reprezentował interesy Izraela w Polsce. Kongres odbył się w połowie marca, na wiosnę, a więc w najpiękniejszej porze roku w każdym kraju, a zwłaszcza w kraju, gdzie lato jest gorące, prawie bezdeszczowe, a bez nawodnienia wszystko wysycha na pieprz. Półpustynne rejony Galilei pokryły się kobiercami przepięknych wszystkich odcieni różu i czerwieni anemonu. Anemon (*Anemone coronaria*), krewniak naszych zawilców, jest jednym z najpiękniejszych kwiatów na świecie. To o niej powiedział Chrystus „Nigdy Salomon w najwyższej swojej chwale nie był tak wspaniały jak ten kwiat.” W Ewangelii powiedziano wprawdzie, że to była lilia, ale jest to błąd w tłumaczeniu. W Izraelu lilie nigdy nie rosły, a z rodzimych kwiatów żaden inny anemonom nie dorównuje.

Kongres w Izraelu zgromadził stosunkowo niewielką liczbę zagranicznych uczestników, około 600. Z państw socjalistycznych przyjechałem tylko ja i dwóch Rumunów, bo Rumunia

ostentacyjnie od czasu przyścia Ceausescu do władzy zawsze starała się zaznaczyć, że prowadzi politykę zagraniczną niezależną od Związku Radzieckiego. Na posiedzeniu Komitetu Wykonawczego zostałem jednogłośnie wybrany Prezesem MTNO.

Po zakończeniu Kongresu pozostałem jeszcze kilka dni w Izraelu. Zwiedziłem tę część Jerozolimy, której w 1965 roku obejrzeć nie mogłem, bo znajdowała się w rękach arabskich. Pojechałem na Górę Oliwną, Golgotę, przeszedłem przez Via Dolorosa, zwiedziłem Kościół Grobu Chrystusa, do którego prowadzą tak niskie drzwi, że trzeba się dobrze schylić, aby wejść przez nie do środka. W czasach tureckich tolerowano inne religie, ale je poniżano. Przez normalne drzwi wjeżdżał często na osle Turek i pozwalał się zwierzęciu wypróżnić. Dlatego przy przebudowie tak niskie drzwi wstawiono, żeby jeździec na osle nie mógł przez nie wjechać.

Wobec zerwania przez Polskę stosunków dyplomatycznych z Izraelem oficjalny stosunek władz tego państwa do nas był wrogi, ale ludność, w tak znacznej części wywodząca się z Polski, była bardzo przyjazna. Okazywali mi to na każdym kroku ludzie, których wcale nie znałem. Na wieczory, obiady, kolacje mogłem przyjąć tylko część zaproszeń. W piśmie codziennym wychodzącym w języku polskim „Kurier-Nowiny” ukazywało się wiele ogłoszeń matrymonialnych. Jedno zwróciło moją szczególną uwagę. Oto młody mężczyzna poszukiwał towarzyszkę życia. Jako jedyny warunek postawił: „wyłącznie z inteligencji polskiej”.

Lata 1970-1974 wykorzystałem na przygotowanie Kongresu. Miał się on odbyć w Warszawie, w Pałacu Kultury i Nauki. Najważniejszym problemem, który przed nami stanął, był problem językowy. Ustalał się już zwyczaj, że wszystkie Kongresy międzynarodowe obradowały wyłącznie w języku angielskim. Tylko na uroczyste otwarcie i przemówienia na nich wygłaszane zapewniano symultaniczne tłumaczenie. W regulaminie MTNO wyraźnie napisano, że obowiązują w Towarzystwie dwa języki, angielski i francuski.

Postanowiliśmy, że i u nas tylko w dniu otwarcia przemówienia powitalne i cztery referaty główne będą równoległe tłumaczone na 4 języki: polski, rosyjski, francuski i angielski. Główna praca Kongresu odbywała się w sekcjach. Jednocześnie obradowało 9 różnych sekcji. Każde posiedzenie sekcji zaczynało się 30-minutowym referatem wstępnym. Referent wytypowany i zaproszony był przez Komitet Organizacyjny Kongresu. Po referacie wstępnym następowały 10-minutowe doniesienia zgłaszane z własnej inicjatywy przez poszczególnych uczestników.

Napisaliśmy w naszych zawiadomieniach, że referaty i doniesienia na sekcje mogą być wygłaszane w dowolnym języku na ryzyko wygłaszającego. Radziliśmy jednak, by wygłaszać je w języku angielskim, ponieważ język ten jest zrozumiały dla największej liczby uczestników. Jeśli ktoś zdecyduje się jednak wygłaszać referat czy doniesienie w innym języku, to prosimy, aby przywiózł ze sobą około 100 egzemplarzy pełnego tłumaczenia referatu na język angielski do rozdania słuchaczom. Jeśli nie może sam zrobić tłumaczenia, to my je zrobimy i powielimy w odpowiednich ilościach.

Towarzystwo Ogrodnicze FRN zwróciło się do nas oficjalnie w takiej sprawie. Otóż Kongres ma się odbyć w środkowej Europie, gdzie język niemiecki jest w kołach naukowych powszechnie znany. Czy nie byłoby wskazane, aby ich członkowie wygłaszali swoje referaty po niemiecku. Odpowiedziałem, że oczywiście chętnie się na to zgodzimy. Wyłożyłem im jednak poprzedni swój pogląd na sprawy językowe. Na pewno więcej uczestników będzie rozumiało po angielsku niż po niemiecku. Należy więc rozważyć, czy nie lepiej byłoby wygłosić referaty po angielsku, ale dla tych, co znają niemiecki, a nie znają angielskiego, przywieźć powielony oryginalny tekst po niemiecku. Sugestię tę skwapliwie podchwycili. Wszyscy Niemcy z FRN wygłaszali referaty po angielsku, ale mieli teksty po niemiecku dla tych którzy znali niemiecki lepiej

niż angielski. Jeśli chodzi o Rosjan, to mniej więcej połowa z nich odczytywała referaty po angielsku. Połowa mówiła po rosyjsku, ale ich referaty w tłumaczeniu angielskim zostały słuchaczom dostarczone.

Spodziewaliśmy się, że w naszym Kongresie weźmie udział bardzo duża liczba uczestników z państw socjalistycznych. Oczekiwania te się sprawdziły. Mieliśmy 1847 uczestników, z tego 730 z Polski, 61 z ZSRR, 27 z Rumunii, 49 z Bułgarii, 55 z Węgier, 57 z Jugosławii, 52 z Czechosłowacji, 40 z NRD, 504 z Europy zachodniej, 25 z Australii, 138 z USA, 20 z Kanady, 79 z Ameryki Południowej, Afryki i Azji. Był to więc pierwszy Międzynarodowy Kongres Ogrodniczy, w którym wzięło udział więcej uczestników z państw socjalistycznych niż z państw zachodnich, pierwsze, prawdziwe wielkie spotkanie Wschód - Zachód w ogrodnictwie.

Najważniejsze na każdym Kongresie są może nie tak referaty, jak kontakty osobiste, rozmowy uczestników z różnych krajów w przerwach między obradami, na posiłkach, na wycieczkach. Ponieważ zachodziła obawa, że większość uczestników z państw socjalistycznych nie będzie znała angielskiego, chodziło o to, jak pomóc im w kontaktach z uczestnikami Kongresu z państw zachodnich.

Liczyłem tu na naszych młodych ludzi. Na szczęście do tego roku miałem już w Polsce blisko 200 młodych sadowników, warzywników i kwiaciarzy z obu Instytutów, z wyższych uczelni, ze spółdzielczości ogrodniczej i z PGR, którzy przeszli w prowadzonej przeze mnie Wymianie przez roczny lub dłuższy staż w Ameryce. Powierzyłem im zadanie pośredniczenia w tych kontaktach. Gdyby nie ci ludzie, nigdy bym nie odważył się na zaproszenie Kongresu do Polski.

Kościół Braci był więc instytucją, która dzięki Wymianie umożliwiła mi organizację Kongresu. Dużą pomoc dali mi też amerykańscy stażyści, którzy w ramach Wymiany przebywali w Polsce. Największą rolę odegrała tu Laura Harrison, o której już wspominałem.

Nadszedł wreszcie wielki dzień Kongresu, pierwszego Międzynarodowego Kongresu Nauk Ogrodniczych zorganizowanego w kraju słowiańskim. Cieszyliśmy się, że wzięło w nim udział tak wielu uczestników z państw socjalistycznych, ale sprawiali nam oni dużo kłopotu. Prawie do końca nie wiedzieliśmy ilu ich przyjedzie i kto przyjedzie. W rezultacie przyjechało więcej osób, niż się zgłosiło, często też nie ci, co się zgłosili. Wiadomo, jakie mieliśmy w tym czasie trudności z hotelami. Takich niezapowiedzianych „spadochroniarzy”, jak ich nazywaliśmy, trzeba było jakoś rozlokować.

Inne trudności mieliśmy z uczestnikami z państw zachodnich. Organizacją techniczną Kongresu zajmował się Orbis, a robił to bardzo źle. Uczestnicy, którzy przyjechali do hotelu Forum, musieli po kilka godzin czekać po to, aby wymienić pieniądze. Oni przyjechali już o 6-tej czy 7-mej rano, a urzędniczka - kasjerka przychodziła o 9-tej, tylko jedna, obcych języków nie znająca. Niektórzy mogli wymienić pieniądze dopiero o godz. 14-tej, stojąc do tego czasu w kolejce.

Otwarcie Kongresu odbyło się bardzo uroczyście w Sali Kongresowej, gdzie bez trudu zmieścili się wszyscy uczestnicy, wraz z gośćmi ponad 2000 osób. Zagrano hymn państwowy, potem chór odśpiewał „Gaudeamus”. Za stołem prezydialnym zasiadł Komitet Organizacyjny Kongresu, ja i trzech moich zastępców: prof. Chroboczek z Instytutu Warzywnictwa, prof. Rejman jako przedstawiciel nauki sadowniczej z SGGW, prof. Zielonko z SGGW jako Prezes Stowarzyszenia Inżynierów i Techników Rolnictwa, oraz prof. Zagaja. Zasiadli Sekretarze Kongresu prof. Gertych i doc. Halina Woyke. Gościem Honorowym w Prezydium był Minister Rolnictwa

Kazimierz Barcikowski. MTNO było reprezentowane za stołem prezydiąlnym przez Wiceprezesa dr F.W. Walkera z Australii, oraz przez Sekretarza Generalnego - Skarbnika dr G. de Bakker.

Dokonałem formalnego otwarcia Kongresu i przywitałem uczestników. Następnie w imieniu Ministerstwa Rolnictwa przemówienie powitalne wygłosił Minister Rolnictwa. W imieniu MTNO przemówienie powitalne wygłosili dr de Bakker, dr F.W. Walker z Australii, prof. A. Lecrenier z Belgii, prof. J. Carew z USA i prof. F. Fritz z FRN.

Piękną niespodziankę sprawiło nam krakowskie Towarzystwo Ogrodnicze. Jego Prezes, mgr J. Wiechowski, wręczył mi, jako Prezesowi MTNO, berło będące kopią berła używanego przez przewodniczącego cechu ogrodników krakowskich. Cech ten powstał jeszcze za czasów Kazimierza Wielkiego. Berło zostało подарowane Międzynarodowemu Towarzystwu Nauk Ogrodniczych. Każdy Prezes Towarzystwa otwiera od tej pory oficjalne posiedzenia Rady, Generalnego Zgromadzenia oraz Kongresu, stukając trzy razy berłem. Po formalnym otwarciu Kongresu wygłoszono 4 referaty ogólne. Prof. N.S. Stiepanow z Mieczysławowa mówił o gatunkach i odmianach roślin sadowniczych w ZSRR i ich znaczeniu w hodowli nowych odmian, prof. C. Stushnoff z Minnesoty, USA, o odporności drzew na mróz, prof. Z. Hejnowicz z Wrocławia o przekazywaniu genetycznej informacji w procesie dyferencjacji komórek, a prof. R.R.W. Folley z Anglii o ekonomice ogrodniczej. Wszystkie te przemówienia i referaty były równolegle tłumaczone na 4 języki.

Po przerwie czekała nas część artystyczna, która wypadła wspaniale. Na rok przed Kongresem nawiązałem kontakt z Panią M. Zimińską-Sygietyńską, która po śmierci męża została dyrektorem Zespołu Pieśni i Tańca „Mazowsze”. Kobieta czarująca, na pewno starsza o kilka lat ode mnie, bardzo oryginalna. Odwiedziłem ją w Karolinie. Poczęstowała mnie odrobiną koniaku z jajkiem i mlekiem, musiałem stwierdzić, że mi smakuje. Prosiłem ją, aby dała koncert w dzień rozpoczęcia Kongresu. Wyszły pewne trudności, bo Mazowsze miało akurat wtedy przebywać za granicą, ale w końcu wszystko zostało pomyślnie załatwione.

Mazowsze przygotowało program specjalny. Ludzie, którzy ten zespół oglądali już przedtem, mówili, że na naszej uroczystości dał wspaniały pokaz. Zawsze się w takich chwilach mówi gospodarzom komplementy, ale wydaje mi się, że tym razem były to komplementy szczerze. Mazowsze zachwyciło cudzoziemców. Po przedstawieniu, gdy na scenie całowaliśmy się z Panią Sygietyńską, oklaskom naprawdę nie było końca, musiałem je uciszyć. Przez wiele późniejszych lat cudzoziemscy uczestnicy wspominali ten koncert, gdy się z nimi spotykałem. Specjalnie mówili o Mazowszu na następnym Kongresie, w Sydney, w Australii, gdzie w części artystycznej zaprezentowano koncert wykonany na zaledwie średnim poziomie przez uczniów miejscowej szkoły muzycznej.

Istnieje zwyczaj, że MTNO powołuje raz na 4 lata dwóch członków honorowych. Na Kongresie w Sydney w 1978 roku za zasługi na polu współpracy Wschód - Zachód w ogrodnictwie zostałem wybrany dożywotnim członkiem honorowym Towarzystwa.

## Solidarność i Stan Wojenny

W początku sierpnia 1980 wyjechaliśmy z żoną na 6 tygodni do USA w sprawach Funduszu Marii Skłodowskiej Curie. Żona brała udział w finansowanych przez Fundusz badaniach nad odpornością drzew owocowych na mróz prowadzonych przez Akademię Rolniczą w Poznaniu. Celem jej wyjazdu było zapoznanie się z podobnymi pracami w Ameryce, konsultacje i przedstawienie wyników własnych prac. Celem mojego wyjazdu, jako pełnomocnika Ministra Rolnictwa do koordynacji prac finansowanych przez Fundusz, były konferencje z amerykańskimi konsultantami tych prac.

Wkrótce po przyjeździe do USA zaczęły dochodzić do nas wieści o niepokojach i strajkach w wielkich zakładach pracy w Polsce. Prasa donosiła, że niepokoje i strajki, które w pierwszym okresie czasu oficjalnie w polskiej prasie nazywane „przerwami w pracy” przybierały na sile gwałtownie, z każdym dniem. Zaczęliśmy zastanawiać się, czy nie wrócić do kraju przed czasem, ale doszło do punktu kulminacyjnego zanim podjęliśmy jakąś decyzję. Na skutek strajku okupacyjnego w stoczni gdańskiej przyjechała tam delegacja rządowa pod przewodnictwem wicepremiera Jagielskiego. Nie doszło do przelewu krwi. Jagielski w imieniu rządu podpisał słynne gdańskie porozumienia. Zgodził się spełnić nie tylko ekonomiczne żądania stoczniowców, podwyżkę płac, ale też żądania polityczne. Zgodził się na zalegalizowanie niezależnych od partii i od rządu związków zawodowych. Była to rzecz niesłychana w stalinowskim systemie socjalistycznym, w którym wszystko, absolutnie wszystko musiało zależeć od partii. Związki przybrały nazwę „Solidarność”, na ich czele stanął Lech Wałęsa, młody elektryk wyrzucony niedawno z pracy w stoczni.

Wydarzenia sierpniowe wywołały rewolucję pałacową w partii. Zdjęto Gierka ze stanowiska Pierwszego Sekretarza Komitetu Centralnego, wyrzucono go z partii. To samo spotkało premiera Jaroszewicza. Po kilkumiesięcznym okresie przejściowym Pierwszym Sekretarzem Partii, a także premierem, został dotychczasowy minister Spraw Wojskowych, gen. Wojciech Jaruzelski.

W kraju dalej wrzało. Rozpadły się dotychczasowe związki zawodowe, prawie wszyscy dotychczasowi ich członkowie wstąpili do Solidarności, która liczyła w końcu 1981 roku blisko 10 milionów członków. I u nas w Instytucie pracownicy skupili się wokół Solidarności, a na jej czele stanął prof. Roman Antoszewski. Zwołałem zebranie wszystkich pracowników Instytutu, by zdecydować czy mamy wszyscy wstąpić do Solidarności, czy też mają być dwa związki. Zaproponowałem, byśmy mieli tylko jeden związek, a jaki zdecyduje głosowanie. Propozycja została w jawnym głosowaniu przyjęta jednomyślnie. Zaproponowałem wtedy, by w tajnym głosowaniu wypowiedzieć się, czy to ma być Solidarność czy dawny związek. Ogromna większość głosowała za Solidarnością. Dawny związek przestał istnieć. Do Solidarności wstąpiło około 98% pracowników, w tym większość członków partii. Wstąpiłem również ja, ponieważ miałem nadzieję, że Solidarność doprowadzi w sposób stopniowy do likwidacji w Polsce socjalizmu w radzieckim wydaniu.

Partia nie poddawała się łatwo. Nie zamierzała dotrzymywać podpisanych przez Rząd zobowiązań. Solidarność organizowała strajki, a także coś, co nie było znane w żadnym innym kraju, a mianowicie „pogotowie strajkowe”. Wywieszano biało-czerwone chorągwie i przygotowywano się do strajku albo nim grożono. Cały kraj był w stanie wrzenia.



Potęgował się kryzys ekonomiczny. Brakowało w sklepach żywności, brakowało produktów przemysłowych. Solidarność twierdziła, że strona rządowa celowo zaostrza kryzys i ukrywa towary, by skierować przeciwko niezależnemu związkowi niezadowolone społeczeństwo. Mnożyły się nadużycia dokonywane przez milicję i siły bezpieczeństwa, ale bez zabójstw. Z drugiej zaś strony Solidarność mając za sobą większość społeczeństwa, występowała coraz śmieiej przeciw rządowi i partii. Społeczeństwo przestało się bać. Solidarność coraz wyraźniej dążyła do obalenia systemu socjalistycznego w Polsce.

Zaniepokoiło to bardzo naszych sąsiadów Związek Radziecki, NRD i Czechosłowację. Polskiej „zarazy” lękała się zwłaszcza Czechosłowacja, gdzie reżim stalinowski był szczególnie twardy. Niepokoił się Breżniew w ZSRR. Telewizja i prasa tych państw była pełna słów potępienia dla Solidarności, a także dla partii, która ją w Polsce tolerowała. Późną jesienią 1981 r. Solidarność wydała słynną odezwę do ludzi pracy w Europie wschodniej wzywającą do organizowania niezależnych związków zawodowych. Sąsiedzi przeszli do gróźb. Nie zastraszyło to Solidarności. Były w niej siły umiarkowane, którym przewodził Wałęsa, ale przybywało ekstremistów, z którymi Wałęsa przegrywał albo wbrew przekonaniu szedł im na rękę. Nawet on, gdy go spytano, co zrobić gdy wejdą czołgi radzieckie, nie brał tego poważnie, odpowiadał z humorem, że wyjdzie je powitać z kwiatami. Mnóstwo zakładów pracy i instytucji strajkowało lub ogłaszało pogotowie strajkowe. W naszym Instytucie wprawdzie nie strajkowano ani razu, ale ciągle powiewały chorągwie dla poparcia innych strajków i akcji. Zanosilo się na strajk generalny, na wybuch antykomunistycznej rewolucji. Zapowiedziano na 17-go grudnia w Warszawie wielką manifestację uliczną, która miała do niej doprowadzić.

Jeśli chodzi o mój stosunek do tego, co się w kraju działo, to od dawna już przyszedłem do przekonania, że nasz system polityczny oparty na dyktaturze I-go Sekretarza i zgromadzonej wokół niego kliki jest dla Polski nieszczęściem. Bałem się jednak, że zgodnie z „doktryną Breżniewa” Związek Radziecki nie pozwoli nam wrócić do demokracji zachodniej. Miałem nadzieję, że przez wzmocnienie skrzydła liberalnego w partii da się nasz system stopniowo zbliżyć przynajmniej do „socjalizmu z ludzką twarzą”. Udawało się nam to przecież w znacznym stopniu. Wiadomo, że w latach 70-tych stosunki w Polsce były o całe nieco lepsze niż w Czechosłowacji, NRD czy Węgrzech, nie mówiąc już o Związku Radzieckim.

Jak wspominałem ruch Solidarności powitałem z wielką radością i nadzieją. Zaimponował mi Wałęsa. W miarę jednak rozwoju sytuacji zacząłem tracić do niego serce. Dalej byłem jego entuzjastą, ale przestraszyłem się ekstremistów. Wtedy uważałem, że Wałęsa był zbyt naiwny, że nie zdawał sobie sprawy z niebezpieczeństw. Był to człowiek bardzo ambitny, jak przekonaliśmy się o tym w 1990 r. Nie chciał wypuścić z rąk kierownictwa Solidarności, wobec czego szedł ekstremistom na rękę. Ekstremiści zaczęli brać górę. W osiem lat później w 1989 r. Wałęsa przyznał otwarcie, że Solidarność stawiała sobie w 1981 r. cele całkowicie nierealne.

W czasie największego rozkwitu Solidarności w 1981 r., zdarzało się w niektórych zakładach i instytucjach, że pracownicy, jeśli nie „wywozili dyrektorów na taczkach”, to przynajmniej w inny sposób zmuszali ich do rezygnacji.

Jeśli chodzi o mnie, to nie miałem z naszą Solidarnością żadnych kłopotów, byłem zresztą jej członkiem. Dobre stosunki naszej dyrekcji z komórką Solidarności nie podobały się miejskiemu związkowi Solidarności, który w swojej gazecie nazwał naszą instytucyjną komórkę „be-tonem”, bo żadnej rewolucji w Instytucie nie przeprowadzał.

Zdarzył się jednak swego rodzaju odprysk ogólnej krajowej rewolucji. Wywołał ją prof. Kazimierz S. To bardzo długa i smutna historia. Prof. S. pracował w Zakładzie Agrotechniki,

którego kierownikiem był znacznie od niego starszy prof. Kłossowski. Obaj byli bardzo nerwowi i nie znosili się wzajemnie. W swoim czasie wysłałem prof. S. na rok na staż na Uniwersytecie Rutgers w USA. W 1972 czy 1973 r. wysłałem go znowu na cztery lata do Meksyku, by zapoczątkował pierwsze w tym kraju przygotowanie doktorantów w dziedzinie sadownictwa. Po powrocie, ponieważ Kłossowski ze względu na starą matkę musiał zamieszkać Regulach pod Warszawą i mniej się w Instytucie udzielał, mianowałem prof. Kazimierza S. kierownikiem Zakładu Agrotechniki.

Moje stosunki z nim były bardzo dobre. Wiadomo było jednak, że za dwa lata pójde na emeryturę, a moim zastępcą będzie najprawdopodobniej mój dotychczasowy zastępca prof. Zagaja, którego prof. K.S. nie znosił. On sam chciał być moim następcą. Zaczął przychodzić do mnie i mgliście tłumaczył, że trzeba na odpowiedzialne stanowiska wysuwać właściwych, uczciwych ludzi. Nie precyzował swoich sugestii, a żądał odpowiedzi na piśmie. Takiej nie dałem, bo na prawdę nie wiedziałem o co mu chodzi.

Napisał wtedy do mnie list „otwarty”, że nic się w Instytucie nie zmienia, że się nowych „właściwych” ludzi nie wysuwa na odpowiednie stanowiska. Wszystko było, jak powiedziałem mgliste, bez większego sensu. Ten list przepisał w kilkudziesięciu egzemplarzach, porozlepił w Instytucie, poza tym w różnych instytucjach na mieście. Wywołało to zrozumiałą sensację. Poza tym przez krewnego dał wywiad, który został opublikowany w „Prawie i Życiu”. Był to paszkwil na Instytut wysuwający też przeciwko mnie mało sprecyzowane zarzuty. Jego wystąpienie nie było związane z naszą komórką Solidarności, chociaż był jak wszyscy, członkiem Solidarności. Od dawna był też członkiem partii i do końca nim pozostał.

Jego „list otwarty” wywołał zrozumiałe oburzenie pracowników Instytutu zwłaszcza z powodu rozlepienia go na mieście. Na zebraniu kolegium Instytutu, w którego skład wchodziłi wszyscy kierownicy Zakładów, wysunięty został wniosek, by prof. K. S. zwolnić ze stanowiska kierownika Zakładu Agrotechniki. Zarządziłem głosowanie tajne, w którym wszyscy wniosek poparli, poparł więc i kierownik instytutowej komórki Solidarności, który wchodził w skład kolegium. Na kierownika Zakładu Agrotechniki powołałem prof. Mikę. Na tym się skandal nie skończył. Prof. K. S. zaskarżył do sądu prof. Zagaję i prof. Szczepańskiego o rzekome niesłuszne zarzucanie mu plagiatu przez publikację pod własnym nazwiskiem pracy prof. Kłossowskiego. Jego adwokatem był słynny mecenas O., krewny czy spowinowacony z jego rodziną. Proces w Skierniewicach wywołał nową sensację. Po paru rozprawach wstępnych prof. K.S. procesu zaniechał, oskarżenie wycofał. Widocznie mecenas O. tak mu doradził po zapoznaniu się ze szczegółami sprawy.

Ja wkrótce przeszedłem na emeryturę. Prof. K.S. pozostał w Instytucie bo profesora usunąć nie można. Często przebywał na półrocznych i rocznych zwolnieniach lekarskich.

Tymczasem w kraju wypadki toczyły się wartko. Jak wspominałem wcześniej, Solidarność przygotowywała się do wielkiej manifestacji ulicznej, która miała się odbyć 17-go grudnia. Jaruzelski uprzedził ją. Dnia 13-go grudnia ogłosił stan wojenny. Wałęsę i prawie dziesięć tysięcy liderów Solidarności w całym kraju aresztowano i internowano. Z miejsca przestały działać telefony i poczta, przestała wychodzić prasa, przerwano komunikację lotniczą i kolejową, miejscową i zagraniczną. Rozwiązano Solidarność. Zawieszono działalność wszystkich stowarzyszeń, nawet Polskiej Akademii Nauk. Zamknięto wszystkie szkoły. Na ulicach pojawiło się wojsko.

Na ogłoszenie stanu wojennego w 1981r. zareagowała natychmiast zagranica, oczywiście Ameryka i zachodnia Europa. Nie pozrywano stosunków dyplomatycznych, ale zastosowano

sankcje ekonomiczne. Były bardzo dotkliwe i ciągnęły się prawie przez 8 lat. Wprowadzono kartki na mięso, przejściowo na cukier, nawet na alkohol. Powstały też trudności w zaopatrywaniu się w artykuły przemysłowe. Pralki, lodówki, telewizory aż do 1990 r. można było kupić często tylko płacąc wysokie łapówki.

Życie zaczęło powracać do jakiej-takiej normy w pierwszych miesiącach 1982r. Przywrócono łączność telefoniczną, lotniczą, kolejową, uruchomiono pocztę, otwarto szkoły, wznowiła działalność prasa oprócz solidarnościowej. Zezwolono na działalność związków i stowarzyszeń z wyjątkiem Solidarności i kilku stowarzyszeń, które w latach 1980-1981 uniezależniły się od partii.

Moje prawdziwe zdumienie wywołał fakt, że w takich warunkach Friedrich Wilhelm Universität w Bonn przyznał mnie i prof. Ryszardowi Manteufflowi, wybitnemu ekonomistce rolnemu, doktoraty honoris causa wiosną 1982 r. Pojechałam na tą uroczystość z prof. Manteufflem w maju. Odnoszono się do nas tak, jakby w Polsce nic się nie stało, żadnego z nas nie obwiniając o stan wojenny.

Musiałem wygłosić 15-20 minutowe przemówienie. Słabo mówię po niemiecku, za co przeprosiłem i wygłosiłem swoje przemówienie po angielsku. Jego tematem była rola naukowców w Polsce oddzielonej żelazną kurtyną od zachodu. Kurtynę tę można było przebić, jeśli się bardzo chciało, o czym świadczy zorganizowana przeze mnie wymiana z Church of the Brethren w USA. Mówiłem jak staraliśmy się pośredniczyć między Wschodem i Zachodem. Historia prasa, które sprowadziłem z Tybetu do Skierniewic przez Pekin dla Fundacji Rockefellera w New Yorku, a ta przesłała je do swej stacji w Indiach na granicy z Tybetem, wywołała ogólną wesołość. Miałem wrażenie, że moje wystąpienie się podobało. To po nim podszedł do mnie jeden z profesorów, cytolog. Pokazał mi stosunkowo nowe wydanie swego podręcznika, w którym wspomina moją pracę nad Selaginellą z 1938 r.

Stan wojenny odwołano po czterech latach, ale pewna liczba więźniów pozostawała w więzieniach, dokonywano też nowych aresztowań politycznych. Ostatni więźniowie polityczni uzyskali wolność dopiero w początku 1987 r. Stało się to pod naciskiem KBWE -Komisji Bezpieczeństwa Wewnętrznego w Europie, do której przystąpiła nie tylko Polska, ale nawet Związek Radziecki.

Jeśli chodzi o bezpieczeństwo i jego panoszenie się, to głośna się stała zwłaszcza sprawa ks. Popiełuszki, który na Żoliborzu w Warszawie bardzo mocno występował przeciwko komunizmowi. Został porwany przez Piotrowskiego, zajmującego w MSW wysokie stanowisko, zamordowany i utopiony w Wiśle. Sprawa wyszła na jaw. Urządzono pokazowy proces z dostępem dla prasy zagranicznej. Piotrowskiego skazano na 25 lat więzienia, dwóch jego współpracowników dostało krótsze wyroki.

W latach późniejszych miało miejsce jeszcze kilka morderstw opozycjonistów, których sprawców nie wykryto, ale podejrzewano, że byli to pracownicy Bezpieczeństwa. Każda instytucja, w tym i Instytut, dostała z Bezpieczeństwa „opiekuna”, który ją śledził. Ludzi, których wypuszczono po internowaniu, prawie bez wyjątku z pracy wyrzucono. Trudno im było o inną pracę państwową. Pewną nauczycielkę w Skierniewicach po zwolnieniu z internowania zatrudnił w Instytucie jako laborantkę. Jakoś nasz „opiekun” się tego nie dopatrywał, a gdy się spostrzegł natychmiast przybiegł do mnie, by ją zwolnić. Odmówiłem. Powiedziałem, że mój starszy brat przed wojną został z pracy wyrzucony z „wilczym biletem”. To powód, dla którego „wilczych biletów” nie uznaję i nie uznaję. Jakoś mi to uszło.

Jaruzelski szedł dalej na drodze tzw. Liberalizacji. Powołał Radę Społeczno-Gospodarczą złożoną z przedstawicieli wielkich zakładów i ludzi postronnych, wśród nich wielu bezpartyjnych, aby opiniowała projekty ustaw proponowanych przez Sejm. Byłem jej członkiem w pierwszej kadencji jako przedstawiciel Rady Towarzystw Naukowych. Odmówiłem propozycji wejścia do drugiej kadencji, bo Sejm nie brał pod uwagę naszych opinii. Nie zgłosiłem też akcesu do Patriotycznego Ruchu Odrodzenia Narodowego (PRON), utworzonego w 1982 r. Uważałem, że to twór sztuczny. W 1985 r. Sekretarz KC PZPR Czyrek zaproponował mi w imieniu Jaruzelskiego, bym kandydował w wyborach do Sejmu z tak zwanej listy krajowej, z której nikogo do tej pory nie skreślano. Odmówiłem tłumacząc, że przecież 10 lat temu też nie przyjąłem propozycji kandydowania do Sejmu, bo politykiem nigdy nie byłem i nie będę.

Ciekawe, jak ludzie przyzwyczaili się do głosowania do Sejmu. Jeszcze w latach 70-tych głosowało zawsze ponad 95% uprawnionych. Po prostu bano się, że po tych, co sami nie przyszli, przyjadą ludzie z Bezpieczeństwa. Nikt nie wchodził za kurtynę, by skreślać, też z obawy przed czujnym okiem tych ludzi. Po 1980 r. nie było się czego obawiać, a mimo to niewielu wchodziło za kurtynę i niewiele było skreśleń. Jeśli było na liście pięciu kandydatów na trzy miejsca, to przechodziło trzech pierwszych czyli „mandatowych”, a dwóch pozostałych – „niemandatowych” przepadało. Tak było nawet w głosowaniu w 1985 r.

Po śmierci Breżniewa i po przyjściu do władzy Gorbaczowa w ZSRR, Jaruzelski powołał Radę Konsultacyjną przy Przewodniczącym Rady Państwa, w której skład wchodziło wielu członków Solidarności jak i otwartych opozycjonistów. Solidarność była dalej nielegalna, ale jej członków od 1986 r. nie aresztowano i nie więziono. Nie miała prasy legalnej, ale rozwinęła szeroko druk czasopism, a zwłaszcza książek jako tak zwany „drugi obieg”. Jaruzelski zbierał często Radę Konsultacyjną i dyskutował z nią sytuację polityczną. Powołał prof. Ewę Łętowską, bezpartyjną, na nowo utworzony Urząd Rzecznika Praw Obywatelskich, która odważnie zwalczała bezprawie. Doprowadził do utworzenia Trybunału Stanu i Trybunału Konstytucyjnego, który miał bronić przestrzegania Konstytucji. Mówiło się wtedy, że Konstytucji nie trzeba zmieniać, bo stara jest dobra, wcale nie używana.

Sytuacja ekonomiczna kraju pogarszała się jednak z roku na rok. Najbardziej, jak wspominałem, cierpiała nauka, wielu pracowników naukowych emigrowało. W tym czasie wszyscy obywatele mogli dostać paszporty zagraniczne. Trzymali je w domu, na wyjazd nie musieli otrzymywać zezwoleń, byle mieli wizę do innego kraju i pieniądze na kupno biletu.

## Emerytura

Dnia 27-ego grudnia 1983 r. miałem ukończyć 70-ty rok życia, a to był wiek, w którym profesorowie przechodzą na emeryturę. Czasami ale bardzo rzadko zdarza się, że prosi się ich o pracę przez rok czy dwa dłużej, prosił mnie o to Minister Rolnictwa Zięba, ale grzecznie odmówiłem. Nie było takiej potrzeby. Mój dotychczasowy zastępca prof. Zagaja był doskonale przygotowany, by objąć po mnie stanowisko dyrektora Instytutu. Minister nie nalegał. Na emeryturę przeszedłem z dniem 1-ego stycznia 1984 r.

Oficjalnie pożegnano mnie tuż przed Bożym Narodzeniem. Przyjechał do Skierniewic Minister Rolnictwa, prezes Centrali Spółdzielni Ogrodniczych, przedstawiciele wielu innych instytucji centralnych związanych z sadownictwem oraz władze województwa skierniewickiego. Zaproszono też najlepszych sadowników. Żegnałem się z Instytutem z prawdziwym wzruszeniem. To było przecież dzieło mojego życia, ponad 37 lat pracy. Patrzałem wstecz na moją decyzję powrotu do kraju w 1946 r. Nie żałowałem jej. Widziałem jak wzruszeni byli pracownicy Instytutu. Większość z nich stanowili moi uczniowie. Otwarłem im okno na świat. Miasto Skierniewice, z którego władzami toczyłem wieloletnie boje o tereny SGGW, potem o niezależność Instytutu, na pożegnanie nadało mi pierwsze swoje honorowe obywatelstwo.

Sadownicy i kwiaciarze polscy też zrobili mi wielką przyjemność. Po wstępnych dyskusjach utworzyli w 1984 r. Towarzystwo Przyjaciół Instytutu Sadownictwa i Kwiaciarstwa. Członkowie Towarzystwa płacili wysokie, dobrowolne składki na finansową pomoc Instytutowi. Na nagrody za prace badawcze cenne dla praktyki sadowniczej i kwaciarskiej, jak i na cenne wtedy zapomogi dla zagospodarowania się nowo przyjmowanych pracowników. Na publikacje przeznaczone dla sadowników i kwaciarzy, jak i na inne tego rodzaju cele. Pomoc ta była dla Instytutu bardzo potrzebna w tym okresie kryzysu ekonomicznego.

Przechodząc na emeryturę postanowiłem wyprowadzić się do Warszawy i nie przyjmować pół etatu, chociaż żał mi było ze Skierniewicami się rozstawać. Chciałem jednak zostawić mojemu następcy wolną rękę w kierowaniu Instytutem. Znałem wiele przypadków, w których stary dyrektor czy kierownik katedry zostawał na miejscu. Wtrącał się do kierowania placówką. Pracownicy, którym się nie podobał nowy dyrektor, a tacy są zawsze, przychodzili do starego na skargi na niego. Mogłoby zdarzać się to i w moim przypadku. Bywało, że mówili mi ludzie postronni: „Ale przecież Zagaja będzie kontynuował pana politykę.” Odpowiadałem: „Mam nadzieję, że nie!” Przecież każdy powinien kierować instytucją według własnego najlepszego rozeznania.

Na emeryturze z Instytutem oczywiście nie zerwałem. Wszedłem do jego Rady Naukowej. Przyjeżdżałem na jeden dzień mniej więcej raz na miesiąc. Na prośbę prof. Molskiego przyjąłem na dwa lata jedną czwartą etatu w ogrodzie Botanicznym PAN. Przeniosłem tam część cytryn, mandarynek, kawy, granatów i innych owocowych roślin tropikalnych i subtropikalnych, których doniczkową uprawę w Polsce popularyzowałem. Dzielnie pomagała mi w tym Kasia Goller, botaniczka po Uniwersytecie Warszawskim. Byłem w Ministerstwie Rolnictwa przewodniczącym Rady Naukowo-Technicznej. Służyłem radami Centrali Spółdzielni Ogrodniczych. Pisałem i nie nudziłem się. Byłem chyba tak samo zapracowany, jak przed przejściem na emeryturę.

W wyjątkowo dobrym czasie przeszedłem na emeryturę. Rozwój produkcji owoców dochodził do szczytu, zbierałem plony swojej pracy. Na tle bardzo ciężkiego kryzysu ekonomicznego w Polsce jedną z nielicznych jasnych plam był wspaniały rozwój produkcji sadowniczej.

Patrzałem na ten rozwój z ogromnym zadowoleniem, bo przecież, odrzuciwszy na bok fałszywą skromność, muszę przyznać, że się do niego w jakimś stopniu przyczyniłem. Rozbudowałem Instytut i jego zakłady terenowe, na przykładzie których sadownicy uczyli się nowoczesnej produkcji. Ogromną rolę odgrywała tu zorganizowana przeze mnie Polsko-Amerykańska Wymiana Rolnicza. Dzięki niej na roczny staż wysłałem do Ameryki blisko 300 młodych sadowników. Ponad 150 pracowało po powrocie w Instytucie i jego zakładach terenowych, reszta w Akademiach Rolniczych, spółdzielczości ogrodniczej, w sadach PGR-owskich, w instruktazie ogrodniczym itp. Niektórzy po odpracowaniu dwóch lat przeszli do prowadzenia własnych sadów. Od nich uczyli się inni. Wykształciło się w ten sposób przynajmniej kilkuset wybitnych pracowników prywatnych, których sady w niczym nie ustępowały sadom w zachodniej Europie, w porównywalnych oczywiście warunkach klimatycznych i glebowych.

Powstała w ostatnich latach duża liczba sadów, przewyższających obszar 10 ha, często wyposażonych w chłodnie kontrolowanych atmosfer. W początku czerwca 1991 r. sprzedawano w Warszawie McIntosha przetrzymanego do tego czasu w chłodni. Nie zmieniły się sposoby utrzymywania gleby w sadach. Zmieniał się zestaw odmian, które sadownicy sadzili. Konsumenci zmęczeni się już McIntoshem, więc nie sadzono go już wiele w nowo zakładanych sadach. Znacznie bardziej interesowali się konsumenci odmianą Lobo, ale największą popularność zyskiwała odmiana Idared, która się wspaniale przechowywała, nawet do lipca. Owoce jej są jaskrawoczerwone, piękne, twarde, odporne na mechaniczne uszkodzenia. Najlepiej ze wszystkich odmian nadają się na eksport. Najchętniej brali je Rosjanie, ale nawet Czesi, Niemcy i Finowie, chociaż nie były smaczne. Zmęczeni się też konsumenci odmianą Close. Coraz więcej sadzono drzew smacznych odmian amerykańskich - Vista Bella i Jersey Mac, dojrzewających później, bo w drugiej połowie sierpnia. Z odmian dojrzewających w pierwszej połowie września coraz większą popularność zyskiwała odmiana Delikates, odporna na mróz, bardzo smaczna, wyhodowana w Poznaniu przez Maćkowiaka.

Do końca lat siedemdziesiątych nie przykładałem większej wagi do prac nad hodowlą nowych odmian. Uważałem, że więcej możemy zrobić dla produkcji owoców sprowadzając najlepsze odmiany zagraniczne, a nasze ciągle jeszcze szczupłe siły poświęcać na rozwiązywanie pilniejszych potrzeb. Sytuacja światowa ulegała jednak zmianom. Coraz więcej wyhodowanych za granicą odmian czy znalezionych wartościowych mutacji starych odmian, patentowano. Przyszła czas, by w Polsce zająć się hodowlą w większej niż dotychczas mierze.

Więszego znaczenia nabierały w świecie odmiany genetycznie odporne na parch jabłoniowy. Dotychczas sprowadzaliśmy je z Ameryki. Dawał mi je dr Fred Hough, który ją wyhodował, bez obowiązku wykupienia patentu. W Polsce zajął się ich hodowlą prof. Rejman, specjalizujący się w hodowli. Hodował nie tylko nowe odmiany jabłoni. Miał na swoim koncie także wyhodowanie bardzo wartościowych, odpornych na mróz i na przymrozki odmian moreli. W Instytucie Edward Żurawicz wyhodował w Skierniewicach cenną odmianę truskawek Dukat, w Sinołęce Niezborala równie cenną, ale wcześniejszą odmianę Kama, a w Brzeznej Danek odmianę malin dającą jesienny plon wcześniejszy i wyższy niż odmiany amerykańskie.

Coraz większe wzięcie zyskiwała popularyzowana przez Kazimierza Pliszkę z SGGW w Warszawie amerykańska borówka wysoka. W początkowych latach 90-tych sadzono ją powszechnie nie tylko w ogródkach amatorskich. Zaczęto też zakładać duże jej plantacje handlowe. Kazimierz Smolarz w Instytucie Sadownictwa w Skierniewicach z równym powodzeniem wpro-

wadzał do uprawy jeżynę bezkolcową. Nie udało się natomiast wprowadzenie przez Instytut do uprawy w środkowo-północnej Polsce wielko-owocowej żurawiny amerykańskiej.

Jeśli chodzi o agrotechnikę jabłoni, to powiększała się stale liczba drzew wysadzanych na obszarze 1 ha. Sadzono coraz więcej jabłoni uszlachetnionych nie tylko na półkarłowej podkładce M26, ale też na wstawkach lub podkładkach karłowych B9, P2, P22, rzadziej na M9. Krzewiński w zakładzie terenowym Instytutu w Prusach pierwszy na dużą skalę rozpoczął rozmnażanie w trocinach tych podkładek wegetatywnych, które trudno się mnożą w sposób dotychczas stosowany.

Produkcja sadownicza w Polsce nie miała sobie podobnej w innych państwach socjalistycznych. Były oczywiście w niej wahania między kolejnymi latami, ale powodowane były tylko warunkami klimatycznymi. Nawet w Niemczech Zachodnich wahania w produkcji jabłek pomiędzy poszczególnymi latami były większe niż w Polsce. Wyjątkowo sprzyjające dla sadownictwa warunki klimatyczne przyniósł rok 1982, dzięki czemu zbiór owoców był rekordowy, wyniósł 2.873 tys. ton. Zebrano 2.125 tys. ton jabłek, 105 tys. ton gruszek, 138 tys. ton śliwek, 43 tys. ton wiśni, 28 tys. ton czereśni i 19 tys. ton innych owoców z drzew. Jeśli chodzi o owoce jagodowe to 211 tys. ton wyniósł zbiór truskawek, 30 tys. ton zbiór malin, 138 tys. ton zbiór porzeczek i 36 tys. ton zbiór agrestu. Od tej pory mieliśmy najlepsze miejsce w świecie w produkcji porzeczki, drugie - truskawek (po USA), drugie malin (po ZSRR) i 7-me lub 8-me jabłek (po ZSRR, USA, Włoszech, Francji, Chinach, RFN, czasami po Turcji).

W czasie kryzysu ekonomicznego brakowało w sklepach wszystkiego, wyrobów przemysłowych i żywności, ale jednego nigdy nie zabrakło na półkach sklepowych - owoców. Owoce stały się ważnym produktem eksportowym. Bardzo rozbudowano zamrażanie warzyw i owoców, ale głównie owoców jagodowych. Zamrożone i przetworzone owoce jagodowe bez trudu eksportowano głównie do państw zachodnich za dewizy, truskawki nawet do Stanów Zjednoczonych. Do państw zachodnich eksportowano też zamrożone wiśnie.

Jeśli chodzi o państwa kapitalistyczne, to eksportowano niewielkie ilości jabłek deserowych do Finlandii i Szwecji, czasem do Anglii. Do państw Wspólnego Rynku ich nie eksportowano, bo miały one nadprodukcję swoich. Brały tylko pewne ilości jabłek poślednich wyborów przeznaczonych na sok. Eksportowano natomiast duże ilości jabłek deserowych do państw socjalistycznych, do NRD, Czechosłowacji, a zwłaszcza do Związku Radzieckiego. W 1982 r. zbiór jabłek był jednak tak duży, że aż 800 tys. ton trzeba było przeznaczyć na alkohol.

W całym świecie, głównie w USA, bardzo wzrosła w tych czasach konsumpcja soku jabłkowego. Nie wystarczało soku produkowanego w kraju, importowano duże ilości jego koncentratu z Argentyny i z Europy. Bardzo szybko rozbudowano więc i w Polsce wytwórnię koncentratu soku jabłkowego. Wyjątkowo dobrze złożyły się warunki klimatyczne dla sadownictwa także i w roku 1986, kiedy zebrano 2.756 tys. ton owoców, w tym 1.920 tys. ton jabłek. Ani jedna tona jabłek nie poszła już na wyrób alkoholu, ale Polska zyskała pierwsze miejsce w światowej produkcji i światowym eksporcie koncentratu soku jabłkowego.

Wspaniały rozwój produkcji owoców, również dobrą produkcję warzyw i kwiatów, zawdzięczała Polska nie tylko rozwojowi nauki ogrodniczej i szerokim kontaktom z nauką i produkcją ogrodniczą w Stanach Zjednoczonych. Dużą rolę odgrywał fakt, że w ogrodnictwie, wprawdzie z dużymi trudnościami, udało się nam utrzymać wolny rynek. Ceny owoców, warzyw i kwiatów nie były wyznaczane przez państwo, ale przez podaż i popyt. Tymczasem w innych krajach socjalistycznych państwo wyznaczało ceny. Jabłka kosztowały tyle samo w maju, co we wrześniu. W Polsce rozwinęła się normalna konkurencja. Kto produkował więcej i taniej dobre-

go owocu z hektara, ten zarabiał. To był powód, dla którego sadownicy tak szybko i tak chętnie przyjmowali zalecenia nauki.

W roku 1983 premier Jaruzelski zwołał dwudniową naradę dyrektorów wielkich zakładów państwowych i naukowców. Tematem narady było: co zrobić, aby nauka stała się siłą napędową gospodarki narodowej. Narada zgromadziła paręset osób, odbywała się w siedzibie Prezydium Rady Ministrów. Ciągnęła się ospale, nudnie. Kolejni mówcy, głównie dyrektorzy wielkich, państwowych zakładów pracy, wyciągali z kieszeni przygotowane wcześniej sążniste przemówienia i czytali, jak to w każdym z ich zakładów praca idzie wspaniale, jak wysoka jest jej efektywność itd., itp. Nikt nie zapytał - panie ministrze, jeżeli jest tak dobrze, to dlaczego jest tak źle?

Drugiego dnia nie wytrzymałem i poprosiłem o głos. Napisanego przemówienia oczywiście nie miałem. Powiedziałem, że jeżeli chodzi o moją dziedzinę gospodarki narodowej, o produkcję owoców, nie trzeba zrobić nic. Dosłownie nic. Przekonują o tym pełne półki sklepowe i duży eksport owoców. Nasze zalecenia przechwytywane są z miejsca przez sadowników, bo im się opłaca stosować opracowane przez naukę metody nowoczesnej produkcji. Czy dlatego, że są to sadownicy prywatni? Nie tylko. Stosują je również kierownicy sadów PGR-owskich. Większość sadów w PGR-ach nie jest wcale gorsza od dobrych sadów prywatnych.

Powodem tego jest konkurencja i jeszcze raz konkurencja. Jeden sadownik prywatny musi konkurować z drugim, sad PGR-owski z sadami prywatnymi. Mamy już pewien nadmiar owoców, może się zdarzyć, że ten, kto wyprodukuje owoce gorsze, nie tylko musi je sprzedać po niższej cenie, ale w ogóle ich nie sprzedaje, nie znajdzie na nie nabywcy.

Mówiłem dalej, że w ciągu ostatnich 20 lat brałem udział w takich naradach jak dzisiaj nie jeden raz. Żadna z nich nie miała pożądanego skutku i nie będzie ich miała i dzisiaj, jeśli nie doprowadzimy do konkurencji między wyrobami poszczególnych zakładów państwowych.

Sala się bardzo ożywiła. Wszyscy już wtedy rozumieli, że nie może być postępu bez konkurencji, ale kapitalistyczne pojęcie „konkurencja” było od lat wyklęte i nikt się nie odważył tego słowa publicznie wymówić. Powiedziałem więc to, co wszyscy myśleli, a mogłem powiedzieć, bo mieliśmy w sadownictwie wolny rynek. Nic dziwnego, że brawa przerywały me przemówienie kilkakrotnie. Bożena Kastory z „Życia Warszawy” napisała w sprawozdaniu z narady, że „przemówienie prof. Pieniążka wywołało burzę oklasków”, a wydrukowano, że „przemówienie prof. Pieniążka wywołało burzę”. Wykreślono też z jej sprawozdania to, co mówiłem o wolnym rynku, o konkurencji. Jeszcze parę lat musiało upłynąć, zanim i poza ogrodnictwem można było mówić o konkurencji swobodnie.



## Fundacja Na Rzecz Rozwoju Polskiego Rolnictwa

Jak już wspomniałem, sankcje ekonomiczne Stanów Zjednoczonych i państw zachodniej Europy, spowodowały dotkliwy kryzys we wszystkich dziedzinach gospodarki narodowej w Polsce, najcięższy w rolnictwie. Rolnictwo nasze za czasów Gierka było oparte w znacznej mierze na imporcie kukurydzy i innych pasz. Własnych mieliśmy za mało dla produkcji dostatecznej ilości mięsa, a zwłaszcza świń i drobiu. Import ustał, kraj odczuwał brak żywności, zwłaszcza mięsa.

Zaniepokoiło to amerykańską Fundację Rockefellera, która w skali światowej zajmuje się sprawami wyżywienia. Już wczesną wiosną 1982 r. przyjechał z jej ramienia do naszego Ministerstwa Rolnictwa dr Norman Borlaug, laureat Pokojowej Nagrody Nobla za „zieloną rewolucję”. Przedstawił Ministrowi Rolnictwa propozycję Fundacji Rockefellera przyjazdu do Polski kiluosobowej misji dla rozpatrzenia się w sytuacji rolnictwa i zaproponowania środków zaradczych. Ministerstwo wyraziło zgodę.

Misja pod przewodnictwem dr Borlauga przyjechała w sierpniu tegoż roku. Spędziła w Polsce dwa tygodnie. Podróżowała po kraju w towarzystwie kilku polskich specjalistów. Najbardziej aktywnymi członkami misji byli oprócz Borlauga, dr J.P. Penn, ekonomista, dr Leo E. Irish, rolnik i dr William S. Moody, ekonomista.

Po powrocie do USA członkowie misji, jak już wspomniałem, opracowali pod przewodnictwem dr Borlauga obszerny raport charakteryzujący stan polskiej produkcji i nauki rolniczej. Organizację nauki ocenili krytycznie, za pozytywny wyjątek uznali Instytut Sadownictwa i Kwiaciarnictwa. Raport misji Rockefellera oceniono w naszym ministerstwie pozytywnie. Tak samo odniesiono się do proponowanych środków zaradczych. Nie było jednak finansowej możliwości ich realizowania w socjalistycznej ekonomice wobec braku gospodarki rynkowej i wobec skrajnie nieudolnej pracy państwowego przemysłu.

Fundacja Rockefellera wspólnie z siostrzaną Fundacją Braci Rockefeller nie poprzestała na wysłaniu wspomnianej misji. Największe zainteresowanie sytuacją żywnościową w Polsce i największą chęć pomocy wykazywał zbliżony do mnie wiekiem, znany potentat finansowy David Rockefeller, do niedawna prezes Fundacji Braci Rockefeller. Po naradzie z dr Borlaugiem i innymi członkami misji z sierpnia 1982 r. zaproponował utworzenie w Polsce Fundacji na Rzecz Rozwoju Polskiego Rolnictwa (Foundation for the Development of Polish Agriculture) w skrócie FDPA.

Jego przedstawiciele, zwłaszcza dr J.P. Penn, zaczęli przedstawiać propozycje Ministrowi Rolnictwa. Sprawa była trudna. W Polsce i w żadnym innym kraju socjalistycznym, nie istniały prywatne Fundacje, nie było ustawy o takich fundacjach. A wielka szkoda. Pierwszy z myślą o fundacji wystąpił Kościół. Miał możliwość otrzymania na ten cel kilku miliardów dolarów z państw zachodniej Europy, głównie z kościoła katolickiego i wyznań protestanckich w RFN. Rząd a raczej partia na to się nie zgodziła obawiając się dużego wzmocnienia potęgi Kościoła w Polsce, która i tak rosła z każdym rokiem. Tak więc, z powodów politycznych, straciliśmy duże możliwości pomocy ekonomicznej. Dopiero w 1987 r. zatwierdzono kościelną Fundację Zaopatrzenia Wsi w wodę, ale zapal i chęć pomożenia nam w państwach zachodniej Europy już przeszły i kościół dostał stamtąd zaledwie małą część obiecywanych dawniej sum.

Strona amerykańska miała o wiele większe trudności w zorganizowaniu FDPA, ponieważ miała to być Fundacja bardzo swoista. Na ogół przyjmuje się, że każda fundacja jest instytucją charytatywną. Ktoś daje pieniądze, które idą na zbożne cele. Na założenie FDPA sumę 50 tysięcy

dolarów dała Fundacja Rockefellera, Fundacja Braci Rockefeller i Fundacja Forda. To było wszystko. Dalej FDPA miała sama zarabiać na sobie i dalszą swoją działalność.

Pierwszym przedsięwzięciem FDPA był projekt szynkowy. FDPA pożyczyła z banku austriackiego pieniądze, zakupiła za nie na zachodzie Europy i w Ameryce koncentraty, bogatych w białko pasz dla nierogacizny i rozprowadziła je wśród prywatnych producentów świń, którzy takich pasz nie mieli. Dzięki temu wyprodukowali oni więcej nierogacizny. Świnie poszły na ubój, szynki na eksport do Ameryki, reszta mięsa została w Polsce. Pieniądze uzyskane ze sprzedaży szynki zużyto na spłatę zaciągniętej w Austrii pożyczki, ale pozostawał przy tym pewien zysk dla FDPA na jej dalszą działalność, zakup pasz na rok przyszły i inne cele. W statucie FDPA wyraźnie napisano, że jest to instytucja wyższej użyteczności i żadna część jej zysku nie może być odprowadzana za granicę.

Jak już powiedziałem, FDPA miała być fundacją różną od wszystkich innych. Stawiała przed sobą głównie cele gospodarcze, pomoc rolnikom indywidualnym, na którą miała sama zarobić, jak to ilustruje projekt szynkowy. Dochodziła do tego jeszcze inna ważna sprawa. FDPA miała być instytucją całkowicie niezależną od polskich władz. Na jej czele miała stać Rada złożona tylko w 40% z Polaków, a w 60% z cudzoziemców. Rada miała trzech współprzewodniczących, z których tylko jeden mógł być Polakiem. Prezesem Fundacji miał być cudzoziemiec. Ani członkowie Rady, ani jej przewodniczący nie musieli być zatwierdzeni przez polskie władze.

Nic dziwnego, że pertraktacje z Ministerstwem Rolnictwa trwały bardzo długo. FDPA została zatwierdzona dopiero w grudniu 1987 r. a jej uroczystą, oficjalną inaugurację ustalono na miesiąc luty 1988 r. Fundacja Rockefellera i Fundacja Braci Rockefeller mianowały współprzewodniczących Rady, pierwszego Prezesa, członków oraz Dyrektora Wykonawczego Fundacji, potem mieliby oni być powoływani przez samo odnawiającą się Radę. Dr Borlaug zgodził się być pierwszym przewodniczącym Rady, na współprzewodniczących postanowiono powołać mnie i byłego Ministra Rolnictwa RFN Josepha Ertla. O propozycji dotyczącej mojej osoby dowiedziałem się w początku stycznia 1988 r. od dr Irisha. Przez całe te lata współpracowałem z Amerykanami prowadzącymi pertraktacje w sprawie zarejestrowania FDPA, pomagałem im w miarę swoich możliwości, ale o tym, że zostanę współprzewodniczącym z dr Borlaugiem, nawet nie myślałem.

Inauguracja Fundacji była rzeczywiście bardzo uroczysta, odbyła się na Zamku Królewskim w obecności Jaruzelskiego dnia 28-go lutego 1988r. Jaruzelski poza tym przyjął Rockefellera, cudzoziemskich gości i polskich członków Rady na kawie w Belwederze.

Pierwszym Dyrektorem wykonawczym FDPA w Warszawie był Amerykanin polskiego pochodzenia. Nie sprawdził się on w swojej działalności w ciągu pierwszych kilku miesięcy. Latem przyszedł na jego miejsce Gregory Vaut, Amerykanin nic wspólnego nie mający z Polską, ale o dużym doświadczeniu w pracy w kilku krajach, zawsze związanej z rolnictwem. Piastował stanowisko Dyrektora Wykonawczego do czerwca 1991r. Zrezygnował wtedy ze względów rodzinnych. Gregory Vaut okazał się dobrym Dyrektorem Wykonawczym. Potrafił współpracować zarówno z Polakami jak i cudzoziemcami. Za jego czasów zaszły w Polsce ogromne zmiany, zarówno polityczne jak i ekonomiczne. Wróciła demokracja, wróciła gospodarka rynkowa. Zmiany zaszły w drugiej połowie 1989 r. i pierwszej połowie 1990r. Całe szczęście, że Gregory Vaut miał czas przez rok poznać Polskę, zanim się zmiany dokonały. Dalej prowadził import pasz dla nierogacizny, ale była to już tylko mała część działalności FDPA w Polsce. Otrzymała

licencję na import i eksport. Eksportowała pomidory i inne warzywa do Austrii, mleko w proszku i kazeinę do Francji.

Zarówno w Ameryce jak i państwach Wspólnego Rynku FDPA została uznana za bezstronnego eksperta w sprawach polskiego rolnictwa. Państwa Wspólnego Rynku ofiarowały Polsce w 1990 r. znaczną ilość pestycydów. Ministerstwo Rolnictwa zleciło Fundacji rozprawdzenie dużej ich części przez doskonale zorganizowane jej ośrodki sprzedaży. Ośrodki te stały się przykładem dobrego marketingu. Na ich przykładzie mogli się uczyć marketingu ludzie pracujący w innych punktach sprzedaży. Niemieckie, szwajcarskie i francuskie firmy przekazywały za pośrednictwem FDPA polskim rolnikom indywidualnym nowe i stare maszyny i urządzenia rolnicze.

FDPA wchodziła w joint ventures w ważnych dla rolnictwa spółkach. Przykładem dla mnie osobiście bardzo interesującym było zorganizowanie w 1990 r. spółki HortPress, która przejęła publikacje periodyków ogrodniczych „Owoce Warzywa Kwiaty”, „Sad Nowoczesny” i „Ogrodnictwo”, a także rolniczego czasopisma „Agrochemia”. Czasopisma te były publikowane przez Państwowe Wydawnictwo Rolnicze i Leśne wraz z wielu innymi czasopismami rolniczymi.

Bardzo ożywioną akcję rozwijała FDPA na polu upowszechniania wiedzy rolniczej i szkolenia rolniczego. Organizowała wiele parodniowych szkoleń dla różnych specjalizacji rolniczych, sprowadzając przy pomocy zagranicznych firm cudzoziemskich wykładowców. Wysyłała do państw zachodniej Europy grupy prywatnych rolników, aby przypatrzeli się nowoczesnym metodom gospodarowania. Do Stanów Zjednoczonych wysłano kilku młodych ludzi na dłuższy staż praktyczny. Dawniej nie można było wysyłać np. w mojej wymianie z Ameryką, synów rolników indywidualnych pracujących w gospodarstwach prywatnych. Można było wysyłać tylko tych, którzy byli zatrudnieni w instytucjach państwowych lub spółdzielczych.

W czerwcu 1991 r. odbyło się doroczne posiedzenie Rady FDPA. Dokonano w statucie Fundacji pewnych zmian. Wzmocniono pozycję tak zwanej Board, która jest wyłoniona z Rady i ma za zadanie nadzorowanie bieżącej pracy Fundacji. Nazwano ją Zarządem Fundacji. Jest ona rzeczywiście sprężysta. Kieruje nią prof. Antoni Rutkowski. Przeszedł w 1990 r. na emeryturę i mógł więcej czasu poświęcić Fundacji. Wobec zbliżającego się terminu odejścia G. Vauta ze stanowiska Dyrektora Wykonawczego Fundacji wybrano nowego dyrektora. Był nim Anglik Ronald G. McGreery. Miał duże doświadczenie w pracy za granicą, wydawał się być dobrym następcą Gregory Vauta. Moim zdaniem byłoby lepiej, gdyby na miejsce Vauta wybrano Amerykanina. Fundacja była przecież pomysłem amerykańskim, w Polsce przywykło się ją nazywać, zresztą niesłusznie, Fundacją Rockefellera. W Ameryce utworzono organizację o nazwie American Trust for Agriculture in Poland, która miała za zadanie tworzenie dla FDPA swoistego „lobby”, zabiegała też dla niej o pieniądze. Prezesem FDPA był nadal Amerykanin - William M. Dietel. Uważano jednak, że państwa zachodnio-europejskie winny odgrywać w pracach Rady coraz to większą rolę.

Jeśli chodzi o mnie, to od czasu inauguracji Fundacji brałem czynny udział w jej pracach, służąc radą i pomocą zarówno jej Prezesowi w USA jak i Dyrektorowi Wykonawczemu w Warszawie. Na pierwszym zebraniu Rady w 1988 r. drogą losowania podzielono jej członków na trzy grupy. Pierwsza miała członków Rady przez rok, druga przez dwa lata, a trzecia przez trzy lata. Co trzy lata drogą wyborów miała się więc odnawiać jedna trzecia członków z tym, że ci, którzy kończyli swoją kadencję, mogli być wybrani na następne trzy lata. Wyciągnąłem los na jednoroczną kadencję, ale w 1989 zostałem wybrany na następną, trzyletnią kadencję jako członek

Rady i jej współprzewodniczący. Z końcem 1992 r. ze względu na wiek i stan zdrowia zrezygnowałem z wyboru na oba te stanowiska na dalsze trzy lata.

## Do Okrągłego Stołu

Jak wspomniałem uprzednio, Jaruzelski w latach 1986-1987 przejawiał coraz silniejsze tendencje liberalne. Dochodził do przekonania, że mijają czasy, w których jednopartyjność może być utrzymana, nadchodzą zaś czasy na pluralizm, na wielopartyjność. Zaczął zdązać w tym kierunku w 1987 r., w którym wypuszczono na wolność resztę więźniów politycznych. Rysowała się możliwość kończenia się systemu politycznego, który trwał w Polsce od pierwszych lat powojennych, a więc przez około 40-ci lat. Wprowadzony został przez Armię Czerwoną i NKWD wbrew woli większości społeczeństwa. Mówię o tym systemie w swoim pamiętniku jako systemie komunistycznym, o stalinizmie, o socjalizmie lub o socjalizmie w radzieckim wydaniu, bo trudno go dokładnie zdefiniować. Nie ulega wątpliwości, że z wyjątkiem lat 1949-1954 nie był to stalinizm, komunizm czy socjalizm w dosłownym radzieckim wydaniu. Świadczy o tym choćby zachowanie większości prywatnego rolnictwa, duża swoboda rozwoju kościoła katolickiego, a w latach późniejszych także szerokie kontakty z zachodem, jakie były nie do pomyślenia w ZSRR, NRD czy Czechosłowacji. Mimo to nawet i „polski” socjalizm miał cechy radzieckiego komunizmu czy stalinizmu, przede wszystkim zaś rządy jednej partii, którą nazywano Partią w odróżnieniu od stronnictw - ludowego i demokratycznego.

W końcu lat 80-tych za utrzymaniem tego systemu były w Polsce jeszcze bardzo poważne siły, składające się głównie z ludzi, którzy czerpali z niego bezpośrednie korzyści. Za jego utrzymaniem stała większość sił bezpieczeństwa. Za utrzymaniem systemu była przede wszystkim administracja, zarówno państwowa jak i polityczna.

Jeśli chodzi o szeregowych członków partii, to ogromna ich większość wcale nie była komunistami. Wstąpili do partii z różnych powodów, zgodnie z amerykańskim powiedzeniem: „if you cannot fight them - join them” (jeśli nie możesz ich zwalczyć, przyłącz się do nich). Przeważały w kraju nastroje antykomunistyczne i stale wzrastały. Skupiały się wokół polskiego kościoła katolickiego, który stanowił jedyną zorganizowaną opozycję. Potęgą kościoła wzrosła niepomniernie, gdy w 1979 r. papieżem został wybrany pierwszy od kilkuset lat nie Włoch, lecz - ku światowemu zdumieniu - Polak, kardynał Wojtyła, naprawdę potężna indywidualność, humanista, poliglota. Polskiemu kościołowi katolickiemu przewodził po śmierci Wyszyńskiego kardynał Glemp, wielkiej klasy dyplomata i polityk. Prowadził politykę ostrożną i ugodową z rządem socjalistycznym, nie szedł na jego otwarte zwalczanie. Wiadomo było wprawdzie, że za Glempe stał papież, za papieżem Bóg, ale też wszyscy wiedzieli, że za Bugiem stały zmasowane pancerne dywizje radzieckie.

Bardzo duży wpływ na społeczeństwo polskie wywierały zagraniczne rozgłośnie radiowe, a zwłaszcza Wolna Europa i Głos Ameryki. Podkopywały stale i skutecznie system socjalistyczny w Polsce. Pracowali w nich polscy emigranci. Kiedy w Polsce wrócił system demokratyczny, tylko nieliczni emigranci wrócili do kraju. Większość pozostała na zachodzie, bo tam żyje się dostatniej i wygodniej.

Polscy opozycjoniści nie byli już prześladowani. Wałęsa wyrastał w świecie na symbol bojownika o demokrację. Otrzymał Pokojową Nagrodę Nobla. Bojkot reżymu Jaruzelskiego ze strony zachodu z czasem zelżał. Odwiedzali Polskę wybitni politycy państw zachodnich, w tym wiceprezydent Stanów Zjednoczonych Bush, premier Wielkiej Brytanii Margaret Thatcher, Minister Spraw Zagranicznych Włoch Andreotti i wielu innych. Wszyscy po widzeniu się z Jaruzelskim i za jego zgodą jeździli do Gdańska, by złożyć wizytę Wałęsie.

Największy wpływ na sytuację w Polsce miało to, co się działo w Związku Radzieckim. Już w końcu lat 70-tych zarówno w ZSRR, jak i w tak zwanych krajach demokracji ludowej stało się coraz bardziej oczywiste, że ekonomika marksistowska prowadzi do ruiny, że kraje te coraz bardziej pozostają w tyle za krajami kapitalistycznymi. Pierwszy w Związku Radzieckim zdał sobie z tego sprawę Gorbaczow, gdy w 1985 r. objął stanowisko Sekretarza Generalnego Komunistycznej Partii Związku Radzieckiego.

Ogłosił „Pierestrojkę” i „Glasnost”, przebudowę systemu i otwartość, zerwanie z dotychczasowym „białe jest czarne, czarne jest białe”. Postępował stopniowo i bardzo ostrożnie, co mu niektórzy brali za poddawanie się konserwie partii, bezpieczeństwu i kołom wojskowym, które były za utrzymaniem starego systemu komunistycznego. Wycofał wojska interweniujące od kilku lat w Afganistanie. Doprowadził do skreślenia z konstytucji artykułu mówiącego, że partia jest jedyną, wiodącą siłą narodu. Doprowadził do wolności słowa w prasie, radiu i telewizji, do pierwszych wolnych wyborów do parlamentu.

Spółeczeństwo radzieckie skwapliwie skorzystało z demokratyzacji życia społecznego. Okazało się, że elita, inteligencja radziecka, jest demokratyczna, że dąży do wprowadzenia demokracji zachodnio-europejskiej. Obok pozytywnych stron pierestrojki, ukazały się też jej strony negatywne. Wybuchły konflikty narodowościowe. Trzy republiki nadbałtyckie ogłosiły swą niezależność, decyzję wystąpienia ze Związku Radzieckiego. Za nimi poszła Gruzja, Mołdawia, Rosja, natomiast Ukraina, Białoruś i inne republiki ogłosiły swą niezależność, ale decydowały się na pozostanie w znacznie luźniejszym Związku Radzieckim, którego nazwę zmieniono na Związek Samodzielnych Republiki Radzieckich. Zaczęły się walki między Azerbejdżanem i Armenią, oraz w wielu republikach, w których istniały duże enklawy mniejszości narodowych. W całym kraju zaczęły się strajki. Przyszedł całkowity krach ekonomiczny, zwłaszcza brak żywności. Mówiło się o rozpadzie Związku Radzieckiego.

Bułgaria, Rumunia, a zwłaszcza NRD i Czechosłowacja były przeciwko reformom, które w ZSRR przeprowadzał Gorbaczow. Jasne już wtedy było, że gdyby w którymś z państw Demokracji Ludowej rozpoczęto reformy idące jeszcze głębiej, Gorbaczow mógłby je poprzeć. To mogło skłonić Jaruzelskiego do powzięcia myśli o Okrągłym Stole, przy którym siedliby przedstawiciele partii z przedstawicielami opozycji i doprowadzili do pluralizmu.

Dość długo prowadzono rozmowy z Wałęsą i innymi przedstawicielami opozycji na temat składu „wysoko układających się stron” przy bardzo czynnej i pozytywnej pomocy kościoła. Wreszcie skład Okrągłego Stołu został ustalony. Jaruzelski nie brał w nim udziału. Obrady trwały trzy miesiące od 6-go lutego do 5-ego kwietnia 1989 r. Zostały zakończone ugodą. Ustalono, że wybory do Sejmu zostaną przeprowadzone w czerwcu br. i będą częściowo wolne. PZPR miała otrzymać w Sejmie 38% miejsc, Zjednoczone Stronnictwo Ludowe i Stronnictwo Demokratyczne razem 22% miejsc, a opozycja 40% miejsc. Wprowadzono Senat, do którego wybory miały być całkowicie wolne.

Wybory okazały się zupełną klęską PZPR. Z listy ZSL i SD, nie przeszła w wyborach ani jedna osoba. Jeśli chodzi o opozycję, to z bardzo małymi wyjątkami przeszli kandydaci Solidarności. Takiej klęski nie spodziewała się PZPR.

W zmienionej konstytucji wprowadzono urząd Prezydenta z bardzo znacznymi uprawnieniami. Pierwszy Prezydent miał być wybrany przez Zgromadzenie Narodowe, Sejm i Senat. Wałęsa nie stanął do wyborów zgodnie z uchwałami Okrągłego Stołu. Wybrano, ale tylko jedynym głosem większości Prezydentem generała Jaruzelskiego. Wtedy Michnik rzucił hasło:

„Wasz Prezydent - nasz Rząd”. Zjednoczone Stronnictwo Ludowe i Stronnictwo Demokratyczne porzuciło koalicję z PZPR i razem z Solidarnością utworzyły we wrześniu 1989 Rząd. Premierem został Tadeusz Mazowiecki, długoletni doradca Wałęsy. Był to pierwszy niekomunistyczny Rząd w państwach dawnych Demokracji Ludowych.

Tym samym Polska uzyskała pełną niezależność od Związku Radzieckiego. Bardzo przyczynił się do tego Wałęsa, polski papież i kościół w Polsce.

To, co się stało w Polsce, zdumiało świat. Chyba nikt nie spodziewał się braku oporu ze strony konserwatywnych kół PZPR i pierwszego we wschodniej Europie samounicestwienie się systemu socjalistycznego i rozwiązania się partii. Zbrojnej interwencji radzieckiej nie oczekiwano po zmianach, jakie w tym kraju przeprowadził Gorbaczow.

We wszystkich dawnych krajach socjalistycznych ujawnił się w całej pełni głęboki kryzys ekonomiczny, najbardziej w Związku Radzieckim, w Rumunii i Bułgarii. W sklepach nie było można dostać niczego, ani towarów przemysłowych, ani żywności. Brakowało światła i ciepła. Znacznie lepiej było na Węgrzech i w Czechosłowacji, ale i tam ceny poszły w górę, podczas gdy zarobki stały w miejscu. Okazało się, że wszędzie park maszynowy w fabrykach był przestarzały, od lat nie modernizowany. Wszędzie gwałtownie zwiększało się bezrobocie.

## Rzeczpospolita Polska

Niepodległa Polska zerwała z nazwą Polskiej Rzeczypospolitej Ludowej. Wróciła do przedwojennej nazwy Rzeczpospolitej Polskiej, a Biały Orzeł do przedwojennej korony. Zaczęło się szybkie przejmowanie władzy z systemu komunistycznego. Utworzenie niekomunistycznego Rządu i niekomunistycznego parlamentu jeszcze niczego nie załatwiło. Trzeba było całą administrację wyrwać z rąk komunistów, ale nawet i to nie zmieniało systemu. Chodziło o cały przemysł państwowy oraz handel, nawet spółdzielczy, który był w rzeczy samej państwowym, bo spółdzielczość handlowa także była w rękach ludzi wyznaczonych na te stanowiska przez partię. Jednym słowem chodziło o tak zwaną nomenklaturę.

Zmiany zaczęły się od góry. Najpierw Rząd, potem wojewodowie, potem prezydenci i naczelnicy miast aż do wójtów i sołtysów. W przemyśle zaczęło się od dyrektorów fabryk i przeszło w dół aż do majstrów. To samo w handlu i spółdzielczości. Tu jednak zaczęły się problemy. To prawda, że wśród członków partii było wielu oportunistów, „miernych i biernych ale wiernych”, ludzi niewiele wartych, niezdolnych, którzy zajmowali nawet wysokie i odpowiedzialne stanowiska. Było jednak wielu zdolnych, wybitnych, którzy wstąpili do partii tylko dlatego, że poza partią nie mogliby mieć żadnego dostępu do szerszej działalności. Przez długoletnią działalność w administracji, przemyśle czy w handlu nabyli cennego doświadczenia.

Aby ich zastąpić, trzeba było wielkiej rzeszy nowych ludzi. Były tendencje w obozie zwycięskiej Solidarności, by dokonać szybkiej zmiany. Przypomina mi się przedwojenny dowcip, który rozszedł się wśród studentów tuż przed Bożym Narodzeniem. Oto Rząd utworzył nowy, najwyższy order - Order Gwiazdy Betlejemskiej. Dla kogo? Dla tych, co się pierwsi dorwali do żłobu. Po pierwszej wojnie dla tych z 1-szej brygady. Po drugiej dla tych spod Lenino. Teraz dla tych, którzy pierwsi przeskoczyli przez płot. To jest niestety prawidłowość.

Skąd było wziąć tylu nowych, zdolnych, dobrze przygotowanych ludzi, by zastąpić nimi tych, którzy swe stanowiska piastowali bez koniecznych zdolności i przygotowania? Rząd Mazowieckiego prowadził politykę bardzo ostrożną. Chciał zmian stopniowych. Uważał, że zastępować należy tylko tych, którzy się na zajmowane przez siebie stanowiska stanowczo nie nadają. Uważał, że przeszłość, że przynależność do PZPR powinno się oddzielić grubą kreską od przyszłości, że należy w przyszłości w typowaniu kandydatów na stanowiska brać pod uwagę tylko kwalifikacje moralne i umysłowe niezależnie od politycznej przeszłości.

Mazowiecki, wytypowany na Premiera przez Wałęsę, objął rządy w sierpniu 1989 r., wśród galopującej inflacji i pogłębiającego się kryzysu ekonomicznego. Jego zaś zastępcą został Leszek Balcerowicz, młody ekonomista z SGPiS. Do końca roku przygotował program ekonomiczny Rządu. Polegał on na wprowadzeniu równowagi budżetowej, zaprzestaniu niekontrolowanego drukowania pieniędzy, wprowadzenia wewnętrznej, swobodnej wymiany złotówki i szybkim zakończeniu wszelkich dotacji.

W końcu marca 1990 r. trudno nam było kraj rozpoznać. Zniknął czarny rynek walutowy, bo dolary można było w dowolnej ilości kupić po stałej cenie zarówno w bankach państwowych jak i w niezliczonych prywatnych kantorach wymiany walut. Zapelniły się półki w sklepach, zarówno produktami przemysłowymi jak i żywnością. Ulice zapchane były handlem prywatnym. Zarówno na ulicy jak i w sklepach obfitowały produkty importowane. Jeśli chodzi o owoce, sprzedawano je jak w Paryżu czy Londynie, wszelkie owoce cytrusowe: banany, ananasy, kiwi, daktyle, awokado, papaje, karambole, opuncje. Jednym słowem było wszystko z wyjątkiem pie-



niędzy. Ceny zwłaszcza pod koniec 1991r., zbliżały się coraz bardziej do cen na zachodzie. Natomiast zarobki, zwłaszcza tych, którzy byli na posadach państwowych wynosiły 1/5 do 1/4 tego, co na zachodzie. Było jednak coraz więcej ludzi bogatych, tych którzy żyli z handlu, albo pracowali w różnych prywatnych spółkach i przedsiębiorstwach, także przedsiębiorstwach zagranicznych.

Bardzo ucierpiało rolnictwo, w tym i sadownictwo. Mówiliśmy, że w ogrodnictwie panował wolny rynek, ale to był wolny rynek jak na system socjalistyczny. Nie był on całkowicie wolny, bo nie było konkurencji zagranicznej. Teraz importowano wiele owoców i sprzedawano je po cenach niewiele wyższych od owoców własnej produkcji, bo rzucano je na nasz rynek po cenach dumpingowych, niższych niż w krajach, z których pochodziły. Polscy konsumenci nie widzieli ich w poprzednich latach toteż kupowali je masowo, zwłaszcza banany i owoce cytrusowe, zamiast owoców naszej produkcji. Stąd sadownicy spotkali się z nowym zjawiskiem, z niemożnością ich sprzedania. Z takim zjawiskiem spotkali się wszyscy rolnicy. W sklepie spożywczym więcej było żywności zagranicznej niż polskiej, zwłaszcza że do połowy 1991 r. nie było prawie żadnego cła na żywność importowaną. To było jednym z największych błędów polityki zagranicznej Balcerowicza. Wprawdzie bardzo zmniejszono inflację do paru procent miesięcznie, ale ciągle spadała produkcja przemysłowa, pogłębiał się kryzys w rolnictwie.

Spadek produkcji przemysłowej zaostriżył się zwłaszcza od początku 1991r., kiedy handel z ZSRR oparto na przeliczeniach dolarowych. Duża część naszej produkcji przemysłowej szła dawniej do ZSRR, a teraz ZSRR nie miał dewiz na jej zakup. Na nieszczęście zlikwidowano barter, towar za towar. Źle też wpłynęło na handel antyradzieckie nastawienie społeczeństwa, które nareszcie mogło dać sobie ulgę w środkach masowego przekazu.

Parę słów o Wałęsie. Jak pisałem, wydawał mi się w 1981r. bardzo naiwny, ale go nie doceniałem. Solidarność zeszała do podziemia, bynajmniej nie została rozbita. Wałęsa pozostawał na wolności. Otoczył się elitą wysokiej klasy intelektualistów i bardzo wyrósł w ciągu następnych kilku lat. Pierwszy raz stanął przed społeczeństwem 30-go listopada 1988 r. w debacie telewizyjnej podejmując wyzwanie Miodowicza, przewodniczącego związków zawodowych. Miodowicz przystąpił do niej z wyższością zwycięzcy, ale replika Wałęsy była druzgocącą repliką męża stanu. Przyznali to nawet najgorliwsi przeciwnicy Wałęsy.

Działalność Wałęsy w 1989 r., jego rola w doprowadzeniu i przeprowadzeniu obrad Okrągłego Stołu, a następnie w czasie czerwcowych wyborów do Sejmu i Senatu, sprawiła, że stałem się jego entuzjastą. Zachwiałem się w tym entuzjazmie już w początku 1990 r. Poczulem, że jest to człowiek o wybujałej ambicji. W 1989 r. nie chciał być Prezydentem ani Premierem. W rok później oświadczył, że chce być Prezydentem. Jaruzelski zgodnie z Konstytucją został wybrany na 6-cioletnią kadencję. Ponieważ zwycięski obóz Solidarności coraz natarczywiej nastawał na jej skrócenie, Jaruzelski zrezygnował ze swego stanowiska jesienią 1990 r. Na koniec listopada ogłoszono wybory prezydenckie.

Chciałem głosować na Mazowieckiego, ale w ostatnich dniach zmieniłem zamiar, ponieważ na widowni ukazał się Tymiński jako kandydat na Prezydenta. Zaczął w Polsce zyskiwać coraz więcej zwolenników wśród ludzi rozczarowanych tym co się działo po obaleniu komunizmu, chociaż nie przedstawił własnego programu. Zachodziła obawa, że wygra wybory. W pierwszej turze Wałęsa nie zdobył większości głosów, najwięcej głosów po Wałęsie uzyskał nie Mazowiecki a Tymiński. Sukces Tymińskiego przeraził wyborców, więc w drugiej turze Wałęsa zdobył blisko 70% głosów.

Tak więc mieliśmy już Prezydenta wybranego przez cały naród, ale Sejm był ciągle „kontraktowy”, wybrany tylko częściowo przez naród zgodnie z ugodą (kontraktem), zawartą przy Okrągłym Stole. Winno być odwrotnie. Najpierw winno się wybrać Sejm w pełni demokratycznych wyborach, a potem w ten sam sposób Prezydenta. Wybory do Sejmu i Senatu postanowiono przeprowadzić w końcu października 1991 roku.

Wałęsa jako Prezydent wywołał we mnie mieszane uczucia. Przede wszystkim przy Kancelarii Belwederskiej powołał jakby nowy Rząd złożony z Ministrów. Wypowiedzi Prezydenta były często populistyczne, mało poważne. Czasami jednak, jak mawiał o sobie, nabierał wody w usta, a wtedy przemawiał poważnie, mądrze. Powołał Rząd kierowany przez liberała Bieleckiego. Utrzymał Balcerowicza jako ministra finansów i pierwszego wicepremiera i popierał jego politykę ekonomiczną.

Sytuacja ekonomiczna kraju nie poprawiała się, a wręcz pogarszała się. Nadal tragicznie przedstawiała się w całym rolnictwie, w tym i sadownictwie. Rolnicy nie mieli nabywców na swoje produkty. Wiosną przetoczyła się przez kraj fala przymrozków, chociaż wyrządziła mniejsze szkody niż w 1990 r. Zbiory zarówno owoców jagodowych jak i owoców z drzew były dość wysokie. Katastrofalnie niskie ceny płacono za wszystkie owoce jagodowe, zaledwie zwracające koszty zbioru. Na pewno doprowadziło to do zaorania wielu pól truskawkowych, zlikwidowania wielu plantacji malin. Tylko sytuacja w jabłkach była dobra. W państwach EWG zamiast przeciętnego zbioru jabłek w wysokości 8 milionów ton spodziewano się tylko 5 milionów ton. Tak duże szkody wyrządziły przymrozki. Zanosilo się na to, że zachód Europy kupi nie tylko jabłka przerobowe, ale w znacznej ilości po raz pierwszy i deserowe.

## 40-lecie Instytutu Sadownictwa

Instytut został powołany do życia w 1951 r. Dnia 4-go września 1991 r. zorganizowano w Skierniewicach uroczystości poświęcone jego czterdziestoleciu. Odbyły się one w sali kinowej, która może pomieścić 400 osób. W uroczystości wzięło udział więcej niż 400 osób. Wszystkie miejsca zajęto, kilkadziesiąt osób stało pod ścianami i w przejściach. Przyjechał wiceminister Rolnictwa Stelmach, przedstawiciele spółdzielczości ogrodniczej, wielu najlepszych właścicieli sadów.

Dużą część uroczystości poświęcono mnie i mojej roli w zbudowaniu nowoczesnego sadownictwa w Polsce. Nic dziwnego, że było to dla mnie duże przeżycie. Punktem kulminacyjnym uroczystości było wystąpienie Gerarda Bąkowskiego, od lat już pracującego poza Instytutem. Powiedział tylko parę zdań i poprosił wszystkich, których posłałem na roczny lub dłuższy staż do Ameryki o powstanie. Powstało trzy czwarte sali. O tym pisał Minister Rolnictwa Tański, w swoim liście przywiezionym i odczytanym przez wiceministra Stelmacha. Minister dziękował mi za „transfer wiedzy” z Zachodu do Polski w czasach, kiedy „żelazna kurtyna” miała za zadanie nas od Zachodu oddzielić. Dziękował za to, że nie obawiałem się tej kurtyny przebić.

## Uroczystości Jubileuszowe z okazji 80-lecia

W 1993 roku, dokładnie 25-go grudnia, a według metryki 27-go grudnia miałem skończyć 80 lat. Moi uczniowie i przyjaciele postanowili to uczcić w szczególnie uroczysty sposób. Wiedzieli, że na okres od 16-go grudnia do 4-go stycznia wyjeżdżam z żoną do Konstancina do Domu Wypoczynkowego ZAIKS. Rozłożono wobec tego uroczystość na dwie raty. Pierwszą część organizował Komitet Nauk Ogrodniczych PAN na swoim dorocznym posiedzeniu dnia 17-go listopada. Główne przemowy wygłosili Prof. Dr Andrzej Sadowski w imieniu SGGW i Doc. Dr Edward Lange w imieniu Instytutu Sadownictwa. Dostałem wiele książek, albumów i kwiatów.

Dnia 24-go stycznia 1994 roku Edward Lange zorganizował główne uroczystości poświęcone mojemu 80-leciu. O 12:15 przyjechał po nas do Warszawy kierowca Instytutu Antosik i zabrał do Skierniewic. Pojechaliśmy od razu do kina Polonez, gdzie już zgromadziło się ponad 500 ludzi, głównie byłych „Exchangees” z Brethren Service. Wysłałem do Ameryki na dłuższy lub krótszy staż przeszło 1000 młodych mężczyzn i kobiet. Przeszło połowa pracowała tam na uniwersytetach, reszta na dobrych farmach. Na uroczystość przyjechało też wielu przedstawicieli różnych instytucji, rektorzy lub prorektorzy wszystkich uczelni rolniczych, dyrektorzy lub wicedyrektorzy instytutów rolniczych, kilkunastu posłów, jeden senator i wielu właścicieli dużych sadów.

Ceremonia zaczęła się z półgodzinnym opóźnieniem na prośbę wicepremiera Aleksandra Łuczaka, który miał przywieźć odznaczenie, ale nie mógł przybyć wcześniej. Przyjechał wreszcie i ceremonia się rozpoczęła. Wniesiono sztandar Instytutu. Odśpiewano „Jeszcze Polska”. Przemówienie wstępne wygłosił Edward Lange. Scharakteryzował w nim moja działalność, zasługi dla sadownictwa i dla kraju. Następnie wicepremier udekorował mnie Krzyżem Komandorskim z Gwiazdą Orderu Polonia Restituta przyznany przez Prezydenta Rzeczypospolitej Polskiej Lecha Wałęsę, i odczytał list od Premiera Waldemara Pawlaka. Po nim Wiceminister Rolnictwa odczytał list Ministra Rolnictwa Andrzeja Śmietanki, a wiceminister Edukacji Narodowej list Ministra Edukacji Narodowej. List gratulacyjny Marszałka Sejmu Józefa Oleksego nadszedł przysłany pocztą na adres w Aninie. Odczytano wiele innych listów od instytucji i osób prywatnych. Całość nie była nudna. Ostrowski przypomniał jak to pierwsza grupa stażystów udająca się do Ameryki „Batorym” połączyła się radiotelefonem z Dąbrowicami, aby porozmawiać ze mną. Stróż przyjął telefon i powiedział: „Proszę powiedzieć Panu Batoremu, żeby zadzwonił jutro, bo dziś Profesora Pieniążka nie ma”. Dowcipnie mówił poseł Jagieliński. Powiedział, że to Pieniążek rządzi Polską, bo w Sejmie ma najliczniejszy klub. Jest w nim wprawdzie tylko 16 posłów sadowników, ale wokół każdego z nich gromadzi się tłum innych posłów, bo sadownicy przynoszą ze sobą najsmaczniejsze jabłka. Wystąpiła też młoda i piękna Łowiczanka w barwnym stroju łowickim i powiedziała z wyraźnym akcentem łowickim: „Rozeszła się wieść między Księżakami, że w sąsiedniej wsi, w Pieniążkowej Woli, odbywa się wielka uroczystość, to i ja tu przyjechałam”. Przemawiali wybitni sadownicy - Łopatniuk, Gabrysiak, Mączewski, Korczak. Na zakończenie wypadało i mnie przemówić. Powiedziałem:

„Szanowni Państwo. Z wielkim wzruszeniem przyjmuję odznaczenie przyznane mi przez Pana Prezydenta. Zwłaszcza, że jest to odznaczenie przyznane mi przez najwyższą władzę w

moim kraju, który wrócił do nazwy z czasów mojej młodości, do nazwy Rzeczypospolitej Polskiej.

Patrząc wstecz na moje długie życie nie widzę w nim aż tak wielkich zasług, które by to odznaczenie usprawiedliwiały. Niemniej jednak serdecznie dziękuję.

W moim wieku wspomina się młode lata. Pochodzę z rodziny chłopskiej z okolic Garwolina. Gimnazjum skończyłem w Siedlcach. Nie myślałem o studiach ogrodniczych. Sadownikiem zostałem przez splot przypadków. W 1933 roku wstąpiłem na Uniwersytet Warszawski, aby specjalizować się u Prof. Zygmunta Wóycickiego w botanice. Prof. Wóycicki zauważył moje zamiłowanie do pracy naukowej i postanowił mi w tym pomóc. Miałem ukończyć studia w czerwcu 1938 roku, a we wrześniu tego roku pojechać do Austrii, aby doktoryzować się w tej specjalności. Wcześniej jednak, już w marcu, Hitler zajął Austrię. Przyszedł wtedy z pomocą Edmund Malinowski, światowej sławy genetyk, profesor SGGW. Zdobył dla mnie stypendium Funduszu Kultury Narodowej pod warunkiem, że zmienię kierunek swoich zainteresowań, że będę się doktoryzował w sadownictwie w Cornell University, Ithaca, w Stanie Nowy Jork w USA. Po powrocie miałem pracować w SGGW.

Propozycje przyjąłem z ochotą i pojechałem do Ameryki we wrześniu 1938 roku. Moje stypendium skończyło się z dniem wybuchu drugiej Wojny Światowej dnia 1-go września 1939 roku, akurat w tym dniu, kiedy brałem ślub z koleżanką z Uniwersytetu Warszawskiego Janiną Praską. Przyjechała ona do Cornell University też z zamiarem doktoryzowania się. Na dalsze studia zarabiałem swoją własną pracą, a potem dostałem dobre stypendium amerykańskie.

Z powodu wojny zostaliśmy w Ameryce nie trzy lata, jak zamierzałem, ale przez 8 lat. Po skończeniu wojny stanęło przed nami pytanie: wrócić czy nie wrócić? Mogłem zostać i bardzo mnie do tego namawiano. Miałem już doktorat, doszedłem do stanowiska profesora. Wiedziałem, że jeśli wrócę, to wrócę do innej Polski niż ta, z której wyjechaliśmy. Do Polski komunistycznej, oddzielonej od Zachodu „Żelazną Kurtyną”. Zdecydowało jednak coś, czego nikt do tej pory nie wyraził lepiej, niż to uczynił Homer prawie 3000 lat temu w Odysei pisząc: ‘Nie znajdzie nic słodsze od ojczyzny, choćby kto w cudzym kraju zamieszkał dom bogaty’.

Tak. Zamieszkiwałem dom bogaty, jakim była Ameryka, ale był to dom cudzy. Zdawałem sobie sprawę z tego, że po powrocie do Polski nie będzie mi łatwo. Oblicze stalinizmu poznawałem przecież z prasy i radia amerykańskiego. Mimo to wróciłem wiosną 1946 roku. Musiałem zapoznać się z polskim sadownictwem w nowych granicach kraju pomiędzy Bugiem a Odrą. Zorientowałem się szybko, że polscy sadownicy doskonale znają się na odmianach drzew sadowniczych, ale nie orientują się w najważniejszych chorobach i szkodnikach roślin sadowniczych i mniej wiedzą jak je zwalczać. Pamiętam ogólnopolskie zebranie sadownicze jesienią 1946 roku. Miało ono na celu ustalenie listy zalecanych do powszechnej uprawy odmian jabłoni. Wybrano mnie na przewodniczącego zebrania. Wybór przyjąłem, powiedziałem jednak, że będę nalegał, aby skrócono ich listę, bo proponowano więcej, niż uprawia się w całych Stanach Zjednoczonych. Droga głosowania listę proponowanych odmian zmniejszono o połowę, ale wtedy sadownik z Cieszyńskiego zgłosił dodatkowo 26 odmian, bo one, jego zdaniem, równie dobrze się w Polsce udawały. Poddaję wniosek pod głosowanie. Wniosek przepadł. Wnioskodawca wskoczył na krzesło i dramatycznym gestem wskazując na moją skromną osobę zawołał rozdierającym głosem: ‘Ten tygrys zniszczy polskie sadownictwo!’.

Mijały lata i niszczyłem polskie sadownictwo. Zorganizowałem Instytut Sadownictwa i Kwaciarnictwa w Skierniewicach i jego 10 terenowych zakładów doświadczalnych. Wtedy to było potrzebne, aby pokazać sadownikom nowoczesne metody produkcji owoców. Kładłem w

Instytucie największy nacisk na ochronę roślin sadowniczych przed chorobami i szkodnikami. Teraz już wystarcza mniejsza liczba zakładów terenowych i mniejsza liczba pracowników w Instytucie w Skierniewicach. W 1974 roku zorganizowałem w Warszawie XIX-ty Międzynarodowy Kongres Ogrodnicy, pierwszy w kraju słowiańskim. Przekonałem się, że Żelazną Kurtykę można przebić, jeśli się tego bardzo chce i ma potrzebną do tego odrobinę odwagi. Nawiązałem współpracę z Kościołem Braci. Rozpoczęliśmy tak zwaną Polsko-Amerykańską wymianę rolniczą, która trwa do dziś, a po moim przejściu na emeryturę prowadzona jest przez Prof. Zagaję. Wzięło w niej udział przeszło 1000 młodych pracowników nauki i praktyki ogrodniczej i rolniczej. Na tej sali widzę sporą liczbę tych właśnie „Exchangees”. Chyba to jasne, że wysłałem ich do Ameryki nie po to, by się tam uczyli marksizmu.

Moją namiętnością było podróżowanie i działalność pisarska. Jeśli chodzi o podróże, to Amerykę przejechałem od Alaski do Argentyny, a Stany Zjednoczone kilka razy od Atlantyku do Pacyfiku. W 1957 roku pojechałem na 3 miesiące do Chin, kiedy jeszcze po rewolucji komunistycznej Chiny były na Zachodzie zupełnie nieznanne. W 1963 roku, dzięki stypendium Australijskiej Akademii Nauk, spędziłem 2 miesiące na tym niezwykle ciekawym kontynencie. Stypendium było hojne. Pozwoliło mi na podróż dookoła świata. Mogłem poznać Japonię, wyspy na Oceanie Spokojnym, Indonezję, a wreszcie wiele państw w Azji i w Afryce. Wiele podróży sfinansowała mi również Fundacja Rockefellera. Polska stanowiła dla niej kraj ważny, bo utrzymujący dobre stosunki zarówno ze Wschodem jak i Zachodem.

Pamiętam takie zdarzenie. Fundacja miała Doświadczalną Stację Rolniczą w Indiach na pograniczu z Tybetem. Pracownicy stacji dowiedzieli się, że w Tybecie, tuż za granicą, wyhodowano cenną odmianę prosa, które jest tam, wysoko w górach, najważniejszym gatunkiem zboża. Indie nie utrzymywały żadnych stosunków z Chinami, które opanowały Tybet, więc stacja Rockefellera nie mogła prosa zdobyć. Dyrektor Fundacji zwrócił się do mnie o pomoc. Napisałem do Pekinu do mojego przyjaciela prof. Shena, a on otrzymał proso z Tybetu i przesłał mi je do Skierniewic. Ze Skierniewic poszło ono do Fundacji Rockefellera w Nowym Yorku, stamtąd zaś do Rolniczej Stacji Doświadczalnej na granicy z Tybetem. Do Zachodniej Europy i Ameryki przesyłałem otrzymany z Chin i ze Związku Radzieckiego wartościowy materiał genetyczny do hodowli nowych odmian, a do Chin i Związku Radzieckiego najnowsze odmiany zachodnioeuropejskie i amerykańskie, w tym także odmiany drzew owocowych wolne od wirusów.

W ciągu mojego długiego życia w Polsce miałem możliwość obserwowania zmieniających się z biegiem czasu zasad produkcji owoców i upodobań konsumentów. W pierwszych latach mojej działalności mieliśmy bardzo mało jabłek. Wystarczało ich do lutego, najwyżej do marca. Kładliśmy więc nacisk na uprawę odmian plennych i odpornych na mróz, mających zdolność do corocznego owocowania, takich jak McIntosh i Cortland. W pogardzie była Kosztela. Na bazarach sprzedawano ją po cenach niższych niż McIntosha. W tym roku czytałem, że na bazarach najtańszą odmianą był McIntosh. Konsumenci tak się już nim zmęczyli, że nie mogli dłużej na niego patrzeć. Długą drogę przebyliśmy w ciągu 50-ciu lat w produkcji jabłek. Przed 50 laty ich roczne zbiory wynosiły od 400.000 do 600.000 ton, a obecnie od 1.500.000 do 2.000.000 ton. Produkujemy jabłek więcej, niż możemy ich skosztować w stanie świeżym i przetworzonym. Połowę rocznego plonu eksportujemy, głównie w postaci soku jabłkowego. Nasz produkcja była nastawiona na eksport do Związku Radzieckiego. Obecnie Wschód nie bierze od nas jabłek, bo nie ma za nie czym płacić, Zachód zaś ma swoich dość, więc głosząc hasła wolnego handlu odziera się od nas wysokim cłem i kontyngentami, jak to miało miejsce w 1993 roku w przypadku

wiśni, porzeczek i malin. Ceny jabłek spadły w wielu naszych gospodarstwach sadowniczych poniżej granicy opłacalności. Dochodzą do nas głosy, że ponoszę za tę sytuację część winy, bo przyczyniłem się do zbyt wysokiej produkcji owoców.

To są jednak sprawy, które nie należą już do mnie, a do moich następców. Dziesięć lat temu przeszedłem na emeryturę i przyglądam się sytuacji, w jakiej znajduje się nasza produkcja owoców. Współczuję sadownikom, którzy cierpią z powodu nadprodukcji. Z ogólnego jednak punktu widzenia uważam, że łatwiej jest znieść zmartwienia z nadprodukcją owoców niż z ich niedostatkami”.

Po moim przemówieniu było jeszcze spotkanie przy kawie, rozmowy z dawnymi studentami. Niektórych nie widziałem pewnie od lat 40-tu, a wtedy padała sakramentalna uwaga: „Nic się Pan Profesor przez te 40 lat nie zmienił” zamiast stwierdzenia: „Wygląda Pan Profesor jeszcze jak żywy.”

Wydaje mi się, że jubileusz z okazji osiemdziesięciolecia jest najlepszą okazją, aby skończyć mój pamiętnik. Być może, że będę jeszcze żył przez jakiś czas, ale w tak późnym okresie życia trudno się spodziewać zdarzeń, które warto byłoby w pamiętniku odnotować